

Krzysztof Łoziński

# ŻYCIE POD WIATR



Krzysztof Łoziński

# ŻYCIE POD WIATR



Opole 2016



*Gdy wieje wiatr historii,  
Ludziom, jak pięknym ptakom,  
Rosną skrzydła,  
A trzęsą się portki pętałom.*

Konstanty Ildefons Gałczyński

SERIA SCRIPTORIUM: **REPORTAŻ**

**Redakcja:**

Witold Tomasz Machura

**Skład i projekt okładki:**

Marek Fialka

Wydawca:



Wydanie I

Opole 2016

**ISBN 978-83-62625-95-6**

© Copyright by Krzysztof Łoziński

© Copyright by Wydawnictwo SCRIPTORIUM

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden fragment tej publikacji nie może być powielany ani reprodukowany w jakiegokolwiek formie, bez pisemnej zgody autora i wydawcy.

**Zamówienia:**

[www.scriptorium.net.pl](http://www.scriptorium.net.pl)

tel. (77) 551 94 41, (601) 421 778

e-mail: [biuro.scriptorium@gmail.com](mailto:biuro.scriptorium@gmail.com)

## Spis treści

Od autora .....	8
<b>Część 1.</b>	
<b>Reportaże z mojego życia .....</b>	<b>11</b>
Czasy Bieruta	
1948-1956 .....	13
Cała Polska czeka na swego Dubczeka	
1968-1971 .....	21
Mój skromny Sierpień 80	
1980 .....	49
Sprawa (nie tylko) Narożniaka	
1980-1983 .....	55
Trzynaście dni	
1977 .....	99
Przez Nepal i wojnę	
2005 .....	123
Jak się topić, to w Mekongu	
2009 .....	149
<b>Część 2.</b>	
<b>Świat w moich czasach .....</b>	<b>157</b>
Zabawa w Atomice	
1945-2016 .....	159
Ludzie ginęli na Tiananmen	
1979 .....	191
Nie całkiem zmyślona historia – operacja „lustro weneckie”	
1987-1991 .....	213
Zróbcie sobie państwo	
1999 .....	221
Rzeźnik z Bagdadu	
2003 .....	275
Masowa elita	
2008 .....	279
Olimpijskie studium zakłamania	
Olimpiada zmienia Chiny na gorsze	
2008 .....	283
Koreański Ludowo-Demokratyczny Raj Robotników	
1929-2011 .....	287

<b>Część 3.</b>	
<b>Nasze polskie sprawy .....</b>	<b>301</b>
Zagubione dzieci	
2003 .....	303
Typowa sprawa Krzysztofa Olewnika	
2004-2008 .....	313
Koniec państwa prawa	
2016 .....	331
Sztandar z głupoty	
2008 .....	337
W jakim kraju leży internet?	
2009 .....	343
Głęboka próżnia mózgowa	
2012 .....	351
Gdy rozum śpi, budzą się PiS-iory	
2012 .....	359
Trzeba założyć KOD	
18 listopada 2015 .....	375
Noc długich nosów	
Styczeń, 2016 .....	381
Duża lekcja do odrobienia	
Czerwiec, 2016 .....	385
<b>A na koniec...</b>	<b>395</b>
Oświadczenie lustracyjne	
2007 .....	397
Lista obelg	
1968-2016 .....	399



## Od autora

Jeśli napisałeś artykuł,  
Z którego też wszyscy się zgadzają,  
To napisałeś go niepotrzebnie.  
(K.Ł.)

Książka jest zbiorem moich reportaży i artykułów, dobranych w taki sposób, by zilustrować obraz czasów, w których przyszło mi żyć. Ma ilustrować los mojego pokolenia polskiej inteligencji, obraz kraju i społeczeństwa, ale także świata, nawet bardzo dalekiego. Niektóre teksty są wspomnieniem prawdziwych wydarzeń z mojego życia, inne dotyczą spraw, w których nie brałem udziału, ale z jakiegoś względu były ważne dla obrazu tego czasu.

A były to czasy ciekawe, jak ze starego złorzeczenia: „obyś żył w ciekawych czasach”, bo w nieciekawych jest nudno, żyje się spokojnie i dostatnio, nie ma o czym opowiadać. Za to w ciekawych, ile atrakcji: wojny, katastrofy, rewolucje, jednym słowem dzieje się. To w łeb się dostanie, to z roboty wywałą, to do kicia wsadzą...

A drugiej strony te czasy rzeczywiście były ciekawe. Druga połowa XX wieku i początek XXI wieku to czas ogromnych przemian, zarówno w Polsce, jak i na świecie. Moje reportaże oczywiście nie opiszą wszystkiego, są takimi punktowymi reflektorami, pokazującymi co ciekawsze fragmenty niezwykle złożonego obrazu.

Nie jestem już młody, zbliżam się do siedemdziesiątki i przychodzi czas na refleksję nad własnym życiem. A jest ona w skrócie taka:

Prawie zawsze chciałem żyć w kraju wolnym, tolerancyjnym, mądrym, w kraju, w którym każdy może czuć się bezpieczny, w którym mówi się prawdę (nawet gdy jest się politykiem), w którym szanuje się wiedzę i uczciwą pracę. Tym czasem wiatr historii niemal zawsze wiał w przeciwną stronę. Stąd tytuł: „Życie pod wiatr”. Bo i prawdą jest, że niemal całe życie z czymś walczyłem, że niemal zawsze robiłem coś odwrotnie, niż głosiły trendy (państwowe, polityczne, środowiskowe...). Zwalczałem komunę, gdy rządziła komuna; krytykowałem demokratycznych rządzących, gdy robili, lub gadali, głupoty; zwalczałem kaczym, gdy rządzi... Dziś dochodzę do wniosku, że zawsze walczyłem z tym samym: z chamstwem i głupotą.

Książka składa się z trzech części: tekstów autobiograficznych, materiałów ze świata (zagranicznego) i artykułów dotyczących spraw polskich.

Najważniejsze, mam nadzieję, jest to, że moje reportaże i artykuły będą dobrze się czytać. A przecież do czego służą książki? Do czytania.

**Krzysztof Łoziński**

Część 1.

REPORTAŻE  
Z MOJEGO ŻYCIA



# Czasy Bieruta

## 1948-1956

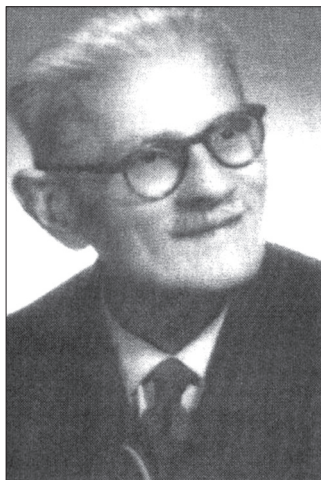
Urodziłem się w Polsce trzy lata po wojnie. Mieszkańcy innych krajów zapytaliby pewnie po której wojnie, ale w Polsce nikt takiego pytania nie zadaje. W Polsce wszystko dzieli się na przed wojną i po wojnie – dobrobyt, życiorys, historia – wszystko było przed wojną, lub po wojnie. Dla nas Polaków ten podział czasu jest niezwykle ważny, bo II wojna Światowa była wydarzeniem, które zaważyło na losach kilku kolejnych pokoleń i nawet dla ludzi takich jak ja, którzy sami jej nie przeżyli, ciągle jest punktem odniesienia.

Moje dzieciństwo to lata stalinowskiego terroru, sowieckiej okupacji i nędzy. Dziecko przyjmuje świat takim, jaki zna. Nie ma innego odniesienia. Na moją świadomość miały wówczas wpływ dwa czynniki: wszechobecna komunistyczna propaganda i losy mojej rodziny, które były tej propagandy zaprzeczeniem. W mojej dziecięcej głowie panował kompletny pojęciowy zamęt. Ze szkoły podstawowej wyniosłem przekonanie, że żyję w kraju pod jakimś względem wyjątkowym, lepszym, sprawiedliwszym, bogatszym. A jednocześnie ten obraz zakłócały co niektóre realia. Dziadek Leonard siedział w więzieniu. Dlaczego w tym dobrym sprawiedliwym kraju mój dobry dziadek siedział w więzieniu? Dlaczego jacyś dziwni obcy ludzie nachodzili moich rodziców, przewracali dom do góry nogami, grozili?

W przedszkolu przy ulicy Drewnianej, do którego chodziłem bardzo krótko, najwyżej rok, najbardziej bałem się „kozy”. Wychowawczynie ciągle groziły nam, dzieciom, zamknięciem do „kozy”. Nie bardzo

wyobrażałem sobie, co to jest „koza” ale instynktownie czułem, że to jakieś bardzo złe miejsce. Zagadką było też dla mnie położenie owej „kozy”. W dziecięcej wyobraźni wytypowałem na nią pewien betonowy bunkier wystający nieco z ziemi na podwórku przedszkola i przykryty żeliwnymi klapami. Dziś wiem, że był to po prostu węzeł ciepłowniczy, a te straszne kłapy, to typowe dla takich pomieszczeń włazy. Wówczas jednak ta wizualizacja „kozy” potęgowała strach. Oto popełnię jakieś przewinienie i stanę zamknięty w strasznym ciemnym bunkrze przykrytym ciężką klapą. I w dodatku ta wizja dziadka w więzieniu. Czy więzienie to też „koza”? Czy dziadek siedzi pod ziemią przykryty żeliwną klapą?

### Dziadek



Leonard Żączkowski („Leonard”) – zdjęcie z 1963 r.

Dziadek był przedwojennym socjalistą, jednym z czołowych działaczy PPS. Chodził na pochody 1 maja, gdzie bił się i z policją i z komunistami. W czasie okupacji niemieckiej brał udział w PPS-owskiej konspiracji. W jego mieszkaniu odbywał się podziemny zjazd PPS, a moja mama z siostrami robiły delegatom herbatę. Na całe życie zapamiętała tę herbatę, bo to był w czasie okupacji rarytas dostępny tylko dla Niemców. Polacy, na co dzień pili jakieś zastępcze ziółka ze słodzikami zamiast cukru. Mama z siostrami drukowały też podziemnego „Robotnika” na powielaczu białkowym. W czasie Powstania Warszawskiego dziadek pełnił funkcję komendanta Korpusu Bezpieczeństwa Państwowego, formacji policyjnej pilnującej porządku w mieście.

Podlegały mu między innymi obozy jenieckie dla wziętych do niewoli Niemców. Z racji funkcji został awansowany do stopnia pułkownika Armii Krajowej.

Po upadku powstania musiał wyjść razem z ludnością cywilną i z fałszywymi papierami. Rodzina wiedziała, że przez te obozy jenieckie był jedną z najbardziej poszukiwanych przez gestapo postaci. Wojna się skończyła i niby wszystko powinno już być dobrze, ale dziadkiem, z równym zapalem, co gestapo, interesowało się NKWD. Tym razem nie z powodu obozów jenieckich, lecz z powodu PPS. Trzeba bowiem pamiętać, że dla komunisty największym wrogiem nie jest kapitalista, tylko socjalista, a generalnie każdy uczciwy człowiek.

PPR, komunistyczna partia, założona w Moskwie przez generała NKWD, Sierowa, zastosowała podstęp. Pozornie zawarła sojusz z socjalistami z PPS. Jeden z działaczy PPS dostał zadanie spisania historii partii pod okupacją. Był to człowiek uczciwy i sumienny. Wykonał swą pracę dokładnie. Został nawet uhonorowany, a jego dzieło komuniści z PPR przekazali NKWD i jej polskiej agenturze UBP. Stało się podstawą do aresztowań. Komunistom wcale nie była potrzebna historia PPS pod okupacją, tylko identyfikacja jej działaczy.

Później teoretyczni partii „się złąły” i powstał PZPR. „Złąły się” tak: z PPR sto procent, z PPS Cyrankiewicz i drobna grupka wokół niego. Reszta PPS poszła do głównie do więzienia.

Nastąpiły aresztowania działaczy PPS. Mój dziadek, Leonard Wawrzyniec Żaczkowski, został aresztowany przez UBP w 1948 roku. Rodzina długo nie wiedziała, gdzie jest. Moja matka, a jego córka, jeździła od więzienia do więzienia i w końcu na Rakowieckiej przyjęto paczkę, później kolejne poszukiwania i w jednym z obozów dla Niemców przyjęto paczkę. Po pewnym czasie paczek już nie przyjmowano i rodzina znów go szukała. Odnalazł się w Rawiczu. Ponad dwa lata siedział bez wyroku.

W grudniu 1950 roku stanął przed sądem. Akt oskarżenia mówił: *„w okresie od początku sierpnia 1944 roku do pierwszych dni października 1944 roku na terenie Warszawy, idąc na rękę władzy państwa niemieckiego, działał na szkodę osób cywilnych ludności polskiej ze względów politycznych przez to, że jako komendant profaszystowskiej organizacji Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa na m.st. Warszawę, zadaniem którego było rozpracowywanie*

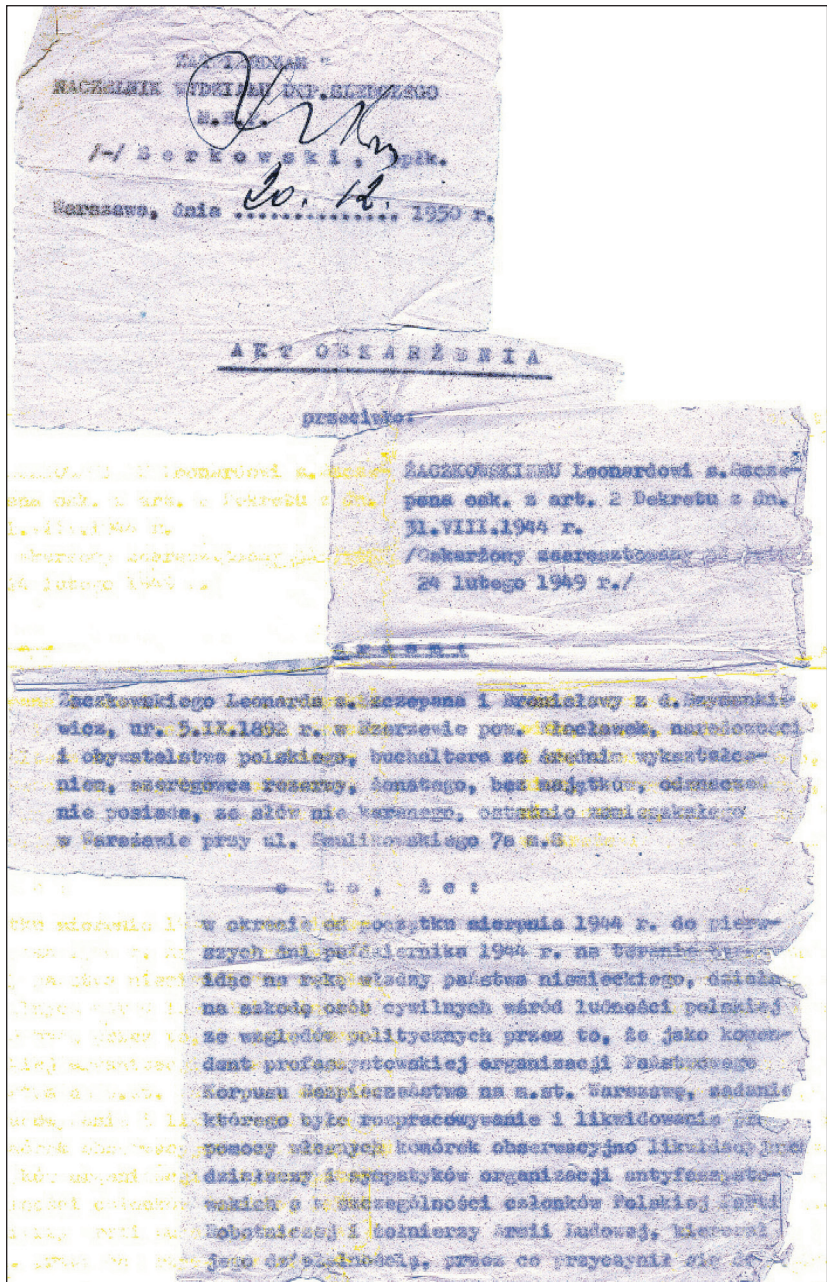
*i likwidowanie, przy pomocy własnych komórek obserwacyjno likwidacyjnych działaczy i sympatyków organizacji antyfaszystowskich a w szczególności członków Polskiej Partii Robotniczej i żołnierzy Armii Ludowej...*

Dalej akt oskarżenia mówił, że „na Placu Teatralnym strzelał do komunistów” (na Placu Teatralnym byli Niemcy, SS Dirlewanger), oraz że „smarował szyny dla niemieckich transportów jadących na front wschodni” (w sierpniu 1944 roku „niemieckie transporty” mogły jechać z Warszawy już tylko na zachód, front wschodni był na Wiśle). Miał też „zbierać adresy pod którymi mieszkali komuniści” (podczas powstania wszyscy Warszawiacy mieli adresy w piwnicy).

Zeznawali zawodowi „świadkowie”, wyrok ostatecznie 9 lat. Prokurator chciał kary śmierci. Początkowo nawet 3 kar śmierci, ale „dobry Bierut” dwie darował.

W 1954 roku dziadek dostał ostrego zapalenia wyrostka robaczkowego. Służba więzienna najpierw kilka dni zwlekała, w końcu niechętnie zawiozła go do szpitala. W liście do swojej kuzynki tak to opisywał: „W listopadzie r. ub. zachorowałem na zapalenie wyrostka robaczkowego a byłem operowany, kiedy nastąpiło zapalenie otrzewnej. W stanie prawie beznadziejnym leżałem przez kilka dni, a dziesiątego dnia dostałem przerwę kary i przewieziono mnie do szpitala miejskiego” (w Grudziądzu). [...] „Lekarze nie czynili mi wielkich złudzeń, bo kiedy przeniesiono mnie z sali operacyjnej, powiedzieli ‘pilnujcie go jeżeli się obudzi, bo może będzie żył.’” List kończy się słowami: „może się jeszcze zobaczymy, o ile sprawa moja będzie przychylnie załatwiona”.





Pierwsza strona aktu oskarżenia L. Żaczkowskiego (wycinał z tego „aktu” bibułek do papierosów)

Dziadek siedział na Rakowieckiej, czyli jak to mówią Warszawiaczy „w Mokotowie”, w Rawiczu i w obozie pracy w Potulicach. Był to obóz przeznaczony głównie dla Niemców. Większość z nich to byli niczemu nie winni niemieccy cywile, czasem całe rodziny łącznie z dziećmi. Tych ludzi, którzy nie zdążyli wyjechać do Niemiec, komuniści wsadzali do obozów pracy z jakiejś głupiej małpiej zemsty. Ale w obozie w Potulicach przebywali też skazani SS-mani, gestapowcy, konfidenty. Mojego dziadka, człowieka, któremu w czasie powstania podlegały obozy jenieckie dla Niemców, komuniści umieścili w obozie pracy razem z Niemcami. W akcie oskarżenia pułkownika AK nazywali „szeregowcem rezerwy”.

Zwolniono go, gdy był już bardzo ciężko chory. Komuniści przestraszyli się, że umrze w więzieniu. Nie tego, że umrze, bo tego by sobie pewnie nawet życzyli, ale tego, że w więzieniu. Woleli, by umarł na zewnątrz. Dziadek zrobił im jednak dowcip i przeżył. Został zrehabilitowany na fali odwilży politycznej 1956 roku. Umarł dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych.

### **Październik**

I tu znowu mieszkaniac innej kraju spytałby: „który październik?”. Ale nie Polak. Dla nas życie w PRL-u wyznaczały miesiące, w których władza strzelała do ludzi, lub, w których strajkowało pół kraju. I tak mieliśmy Czerwiec (1956), Październik (1956), Marzec (1968), Grudzień (1970), kolejny Czerwiec (1976), Sierpień (1980), kolejny Grudzień (1981) i wreszcie trzeci z kolei Czerwiec (1989), gdy komuna wreszcie padła i Polska odzyskała niepodległość.

Październik 1956 roku, jako wydarzenie tak na prawdę zaczął się w czerwcu. Do historii przeszedł „poznański czerwiec”, gdy zastrajkowali robotnicy Cegielskiego i innych fabryk, a komuna odpowiedziała, jak to komuna – zaczęła do ludzi strzelać. Doszło do walk ulicznych, Cyrankiewicz krzyczał o „obcinaniu rąk podniesionych przeciw partii” a sowiecki generał Popławski wjechał do miasta na czele czołgów. Czołgi były polskie, ale dowodził nimi Rosjanin. Takie to były czasy. Całym polskim wojskiem dowodził Rosjanin, Konstany Rokossowski. Propaganda komunistyczna robiła z niego Polaka. Ponoć miał urodzić się w Warszawie, na ulicy Brukowej. Jest to mała uliczka na Pradze. Nie była zniszczona w czasie wojny. Mieszkały na niej te same rodziny co wcześniej, wszyscy się znali. „Kostka” Rokossowskiego jakoś kompletnie nikt nie mógł sobie przypomnieć, a już zupełnie nikt nie potrafił pojąć, czemu ten „Kostek” z Pragi mówi wyłącznie po rosyjsku.

Wydarzenia Października 1956 zastały mnie w drugiej klasie szkoły podstawowej. Niewiele z tego wówczas rozumiałem. Pewnego

dnia zrobiło się jakoś strasznie ponuro, wyły fabryczne syreny, w szkole kazano nam stać na baczność. Umarł Bierut. My, dzieci, nie bardzo wiedzieliśmy, kto to jest ten Bierut. „Towarzysz Tomasz”, czyli Bolesław Bierut, był wszędzie. Na plakatach, pocztówkach, znaczkach pocztowych („Bierut wśród dzieci”). Szkoła przedstawiała nam Bieruta, jako dobrotliwego wujka, który czuwa nad wszystkim. Bardziej kochany od Bieruta był tylko „Towarzysz Stalin”. Gdy Bierut umarł, kazano nam stać na baczność i milczeć, no to staliśmy i milczeliśmy. Byliśmy za mali, by zadać sobie pytanie: po co? Zresztą nauczycielka umiejętnie „zrobiła” nastrój. Opowiadała nam ze łzami w oczach, jaki to dobry był ten Bierut, jaki będzie miał wspaniały pogrzeb, jak to trumnę na armatniej lawecie będzie ciągnąć sześć czarnych koni...

W rzeczywistości Bierut był strasznym łobuzem i zbrodniarzem. Komuniści pod jego przywództwem systematycznie mordowali wszystkich swoich prawdziwych i domniemyanych przeciwników. Ale Bierut miał też osobliwe poczucie łaski. Gdy ktoś miał trzy wyroki kary śmierci, to Bierut go ulaskawiał – z dwóch. Ale ja, jako dziecko o tym wszystkim nie wiedziałem. Wróciłem ze szkoły strasznie przejęty. Kazałem młodszej siostrze wyłączyć radio, tłumaczyłem jej, że panuje straszna żałoba. Następnego dnia równie przejęty poszedłem do szkoły, a tu nadgorliwa nauczycielka przypomniała sobie o moim uwięzionym dziadku. Kazała mi wstać, a wszystkie dzieci miały wskazywać mnie palcami.

– To jest Krzysiek Łoziński – mówiła nauczycielka – syn wroga ludu!

Nie wiem, czemu syn, a nie wnuczek, może się jej coś pomyliło, ale wróciłem ze szkoły zapłakany. Rodzice pytali, co mi jest, a ja nie umiałem powiedzieć.

– Płacę po Bierucie – wydukałem w końcu, choć rzeczywisty powód był inny.

Rodzice mieli jakieś poważne, przerażone miny. Dla nich, byłych żołnierzy AK, to, co powiedziałem, musiało być szokiem. W konsekwencji w następnych dniach otrzymałem solidny wykład z polityki, z którego też niewiele zrozumiałem (miałem 8 lat). Ale wiedziałem już że ten Bierut to świnia i krwio pijca. Nie wiedziałem, co to znaczy krwio pijca, ale wiedziałem, co to świnia i to mi musiało wystarczyć.

Kolejne wrażenie z Października 56, jakie pamiętam, to atmosfera ogromnego napięcia, zagrożenia. Wiedziałem, że wojska rosyjskie stoją pod Warszawą. Ludzie wykupywali ze sklepów żywność. A później dziadek wrócił z więzienia. I to nagle, mając 8 lat, poznawałem po raz pierwszy własnego dziadka. Gdy został uwięziony nie było mnie jeszcze na świecie. Gdy wyszedł, jego wnuk chodził do szkoły.

Pamiętam, że patrzyłem zaskoczony na bardzo starego człowieka, chorego na astmę, z jakąś wielką raną pooperacyjną na brzuchu. Dziadek nie był stary. Miał w tym momencie najwyżej 50 lat, ale był tak wyniszczony więzieniem, że wyglądał na starca.

Przyszła zima, dostałem w prezencie wielki wełniany szalik. W ówczesnej biedzie każdy szczegół garderoby był skarbem, a ten szalik był skarbem wspaniałym. Trwało powstanie na Węgrzech, wojska sowieckie szturmowały Budapeszt. Ukazała się wkładka do „Życia Warszawy” ze zdjęciami walk. W mojej szkole ktoś organizował pomoc dla Węgrów. W tej samej szkole, w której dopiero co czciliśmy pamięć Bieruta, teraz zbierano dary dla ludzi walczących z sowieckimi wojskami. Z wielkim przejęciem podarowałem swój wspaniały szalik.

W 1956 roku skończył się najgorszy okres rządów komunistycznych, czasy Bieruta.

# Cała Polska czeka na swego Dubczeka 1968-1971

Według obiegowego sądu, w 1968 roku przez świat, od Francji po Chiny, przetaczała się wielka fala studenckich buntów. Jest to jednak pogląd błędny, bo w rzeczywistości przetaczały się trzy, albo i cztery zupełnie różne fale, przypadkowo zbieżne w czasie.

We Francji uczniowie i studenci podnieśli bunt na rzecz komunizmu, przeciw mieszczańskiemu społeczeństwu swoich rodziców. „Paryska wiosna” nie była ruchem na rzecz wolności, lecz przeciw niej, choć szeregowi uczestnicy tego ruchu wierzyli, że walczą o wolność. Wierzyli też przywódcy tego ruchu, autoofiary własnego populizmu i głupoty. Złudzeń nie mieli tylko agenci KGB. W swoich raportach do Moskwy określali owych przywódców mianem: „użyteczni idioci”.

W Czechosłowacji buntowało się społeczeństwo i postępowała odwilż w szeregach partii komunistycznej. „Praska wiosna” była z całą pewnością ruchem na rzecz wolności, choć odbywała się pod przywództwem komunistów, którzy próbowali stworzyć rzecz niemożliwą – komunizm z ludzką twarzą. W Polsce nastąpił powszechny, antykomunistyczny bunt młodzieży. Ruch „marca 68” domagał się wolności i stał się początkiem trwałej opozycji antykomunistycznej.

W Chinach Mao Zedong rozkręcał właśnie „dziesięciolecie chaosu” za pomocą kampanii „Wielka Proletariacka Rewolucja Kulturalna”, „Strategia Trzeciego Frontu” i „Kampania Zwalczenie Konfucjusza i Lin Biao”. Polegało najpierw na mordowaniu przez Hunwejbiniów wszystkich wykształconych ludzi, później kogo popadnie, a w końcu

na masowym mordowaniu przez wojsko, a także zsyłaniu na wieś i do łagrów, hunwejbiniów, wykonawców Wielkiej Proletariackiej Rewolucji Kulturalnej. Za pomocą Strategii Trzeciego Frontu Mao Zedong odbierał Hunwejbiniom broń, a że najłatwiej odebrać ludziom broń, gdy już są martwi, to na przykład największe miasto Chin – Szanghaj – przed szturmem przez tydzień ostrzeliwano z armat. Kontynuacją tej kampanii (i mordowania) była Kampania Zwalczenia Konfucjusza i Lin Biao.

Jak widać, wszystkie te ruchy, poza polskim i czechosłowackim, niewiele miały ze sobą wspólnego.

Demokratyczne państwo francuskie stłumiło bunt za pomocą pałki i armatek wodnych, w zasadzie bez większych strat z obu stron.

„Praska wiosna” została zmiażdżona przez sowieckie czołgi. Zginęło około dwustu osób, w tym 90 zostało bezpośrednio zabitych przez wojsko sowieckie, głównie w Pradze. Co najmniej 800 osób zostało rannych. Dziesiątki tysięcy poddawano przez lata różnym represjom.

„Marzec 68” stłumiono bez ofiar śmiertelnych za pomocą intensywnego pałowania. Aresztowano i uwięziono 2700 osób (większość na bardzo krótko). Zapadło kilkadziesiąt wieloletnich wyroków. Tysiące młodych ludzi usunięto z uczelni i szkół. Sporą część z nich wcielono represyjnie do wojska na okres od kilku miesięcy do trzech lat.

Trudno powiedzieć, ile ofiar pochłonęła „Strategia Trzeciego Frontu” w Chinach. Całe „dziesięciolecie chaosu” kosztowało życie około 50 milionów ludzi, ale historycy nie są tu zgodni. Oceny wahają się od jednego do stu milionów, przy czym ocena pierwsza jest zupełnie nieprawdopodobna (głosi ją partia komunistyczna i jej wielbiciele wśród zachodnich sinologów). Myślę, że sama „Strategia Trzeciego Frontu” to ponad 10 milionów zabitych.

Jak widać, również pod względem skali tłumienia, analogia między francuskim łagodnym pałowaniem a chińskim ostrym strzelaniem może powstać tylko w umyśle kogoś, kto o najnowszej historii świata nie ma bladego pojęcia.

### **Pokolenie dzieci „Kolumbów rocznik 20”**

Urodziłem się w 1948 roku i byłem, jak większość uczestników polskiego Marca 68, przedstawicielem pierwszego pokolenia powojennego, pokolenia synów i córek AK-owców i innych żołnierzy II wojny światowej. Moje pokolenie polskiej inteligencji żyło w cieniu legendy Powstania Warszawskiego, partyzantki, WIN-u i brutalnych represji rządów Bieruta, które dotknęły sporą część naszych rodziców. Byliśmy pokoleniem, które mimo szalenie intensywnej komunistycznej indok-

trynacji w szkole, zawsze miało w tyle głowy pamięć, której komuniści nie zdołali wymazać.

Moja mama, Danuta Łozińska (rocznik 1920), była hufcową Szarych Szeregów, podczas powstania dowódcą sekcji łączności Radwana. Zaczynała powstanie w stopniu sierżanta, kończyła w stopniu podporucznika AK. Ojciec, Jerzy Łoziński (rocznik 1921) był idealnym konspiratorem. O tym, że był żołnierzem Kedywu (Komendy Dywersji AK) dowiedziałem się po jego śmierci. W domu na temat swych losów okupacyjnych nie mówił kompletnie nic. Pamiętam tylko, że ze Stanisławem Staszewskim („tata Kazika”) śpiewali dziwna piosenkę o „knajpie morderców”, którym „zamiast butelki marzy się kolba od parabelki”. Jako dziecko nic nie rozumiałem. Dopiero później zrozumiał że to o AK-owcach.

Wspominam o tym dlatego, że moim zdaniem większość dzisiejszych historyków tego okresu zapomina o bardzo ważnym aspekcie młodzieżowego buntu Marca 68, o pokoleniu, które miało już bunt i konspirację wyssane z mlekiem matek, którego żadna indoktrynacja, żadna propaganda nie mogła nakłonić do akceptowania komuny. W 1968 roku mieliśmy po 18-20 lat i pora była „coś zrobić”.

Komuniści nie docenili jeszcze jednego: tego że do młodego buntu przeciw komunie dołączają też ich własne dzieci, wychowywane na zwolenników systemu. W ramach czerwonego harcerstwa, tzw. „Walterowców”, pozwolono im dyskutować, a jak zaczęli dyskutować i myśleć, to wyszło im, że z tą komuną to jest całkiem „nie halo” i im nie po drodze. To z tego środowiska wywiodła się część przywódców Marca 68, część, a nie wszyscy, i oni też nie byli komunistami, jak twierdzi obecnie skretyniała prawica, lecz antykomunistami.

### **Dzień kobiet**

W 1968 roku byłem studentem pierwszego roku Wydziału Matematyki i Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. Studiowałem fizykę. Na studiach poznałem Krystynę, która była moją pierwszą poważną miłością. Jej koleżanka, wówczas narzeczona mojego kolegi z gór, Henia Mierzejewskiego, była sąsiadką Jacka Kuronia na warszawskim Żoliborzu. Właśnie przez nią, zupełnie przypadkowo, wkroczyłem na pół życia w świat polityki.

Wokół Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego tworzył się wówczas nieformalny krąg młodych ludzi, których później propaganda komunistyczna nazwała „komandosami”. Byłem jednym z najmłodszych z tego kręgu. Miałem dziewiętnaście lat. Działalność tej grupy polegała początkowo na gorących dyskusjach w prywatnych mieszkaniach

oraz cichym kolportażu nielegalnych wydawnictw, głównie paryskiej Kultury.

Wydarzenia nabrały tempa pod koniec lutego, kiedy to cenzura zdjęła z afisza „Dziady” Mickiewicza grane w Teatrze Narodowym. Poszliśmy niemal wszyscy na ostatnie przedstawienie i urządziliśmy na nim demonstrację, klaszcząc i gwizdząc w odpowiednich momentach. Później poszliśmy pod pomnik Mickiewicza. Ktoś, nie pamiętam już kto, przelazł przez barierkę i złożył pod pomnikiem kwiaty. Chcieliśmy się już rozejść, ale wokół pełno było milicji i tajniaków. Szliśmy więc Krakowskim Przedmieściem, a glina nas stopniowo wylapywała. Mnie i Krystynie jakoś się upiekło, ale parę osób zgarnęli. Ci zgarnięci dostali później tak zwane „kolegium” i musieli zapłacić jakieś znaczne grzywny. Zrobiliśmy na nich zrzutkę.

To typowy przykład, jak wydarzenia same się napędzają. Jakaś grupa robi w gruncie rzeczy niewinną demonstrację. Następuje przesadna reakcja władz, a po niej reakcja na reakcję. Władza znów reaguje za mocno. I znów mocniejsza reakcja opozycji. Aż dochodzi do otwartego starcia. Tak właśnie było z „marcem 68”.

Bardzo istotny wpływ na te wydarzenia miała trwająca już od pewnego czasu „praska wiosna”. Dzięki niej nie czuliśmy się osamotnieni. Dzięki niej była nadzieja.

W 1968 roku bardzo dużo rzeczy robiłem pierwszy raz w życiu. Na przykład pierwszy raz pisałem hasła na murach. Jeszcze przed wydarzeniami marca pisałem na murach: „Cała Polska czeka na swego Dubczeka” i po czesku: „Dubczek a Svoboda to naša svoboda”. Aleksander Dubczek był pierwszym sekretarzem KPCz, a Ludvik Svoboda prezydentem Czechosłowacji. Dla nas byli symbolami wolności, bo wylamali się spod rozkazów Moskwy.

Kilka dni po ostatnim przedstawieniu „Dziadów” brałem udział w akcji zbierania podpisów pod listem protestacyjnym do Sejmu. Tego listu z podpisami było wiele egzemplarzy, a część z nich była pisana przeze mnie na maszynie do pisania moich rodziców. Podpisy zbierało wiele osób, w tym Krystyna i moja siostra Magda. Zanosiliśmy te listy z podpisami do mieszkania Jacka Kuronia. Część tych listów musiała później SB-cja zniszczyć. Oglądałem niedawno te oryginalne listy z 1968 roku w muzeum Uniwersytetu Warszawskiego. Listów z podpisami zbieranymi przez Krystynę nie ma. Nie ma też listów z podpisami, które zebraliśmy w Klubie Wysokogórskim.

Skąd ja to wiem? A stąd, że zawsze osoba zbierająca podpisy najpierw sama podpisywała się na górze, by nie dawać komuś do podpisu zupełnie pustego egzemplarza. Bo przecież ludzie zwyczajnie się bali. Komunizm to taki system, w którym za napisanie listu do władz



idzie się do więzienia. W muzeum UW jest list z podpisami zaczynającymi się ode mnie, jest zaczynający się od Magdy, a nie ma zaczynającego się od Krystyny (na pewno taki istniał). Nie ma też żadnych listów z nazwiskami większości moich kolegów taterników. A przecież w Klubie Wysokogórskim zebraliśmy ze setkę podpisów, więc powinno być co najmniej pięć listów z samymi nazwiskami taterników – nie ma ani jednego.

„Marzec 68” był jednym z najważniejszych wydarzeń mojego życia. Najważniejszych oczywiście dla mnie. To był czas, w którym musiałem gwałtownie wydorosnąć. Prosto ze szkoły średniej, z dzieciństwa, w ciągu zaledwie kilku miesięcy wszedłem w realny świat dorosłych. W świat taki, jaki naprawdę jest: brutalny, niebezpieczny. To był mój wstęp do życia na serio.

Trzeciego marca spotkaliśmy się prawie wszyscy w mieszkaniu Jacka Kuronia. Gomułka przedstawił później to spotkanie w jednym z przemówień jako niemal naradę sztabową spisku. Tymczasem było to zwykle spotkanie dyskusyjne. Nikt nie przypuszczał wówczas, co się stanie pięć dni później.

Z tego spotkania zapamiętałem pewną refleksję. Patrzyłem na te około dwadzieścia osób w jednym, niezbyt dużym pokoju i skojarzyłem, że była to w tym momencie niemal cała opozycja polityczna w Polsce. I pamiętam myśl: na co my się porywamy? Ponad sto tysięcy milicji i ORMÓ, ponad dwa miliony członków partii komunistycznej, za miedzą ogromna Armia Czerwona, a tu wyrusza przeciw tej sile dwadzieścia osób, w połowie kobiet, bez broni. Istne szaleństwo. Wyłapią nas, zatłuką, rozwalą, zgniotą jednym palcem, ot tak, od niechcenia i nawet nie zauważą, że coś zgnetli.

Po latach kilkakrotnie opowiadałem to wspomnienie ludziom z różnych zniewolonych krajów, opozycjonistom z Tybetu, z Chin, z Laosu, z Białorusi, ludziom będącym właśnie na takim etapie walki garstki przeciw potędze, i mówiłem, że jest w polityce coś takiego, jak siła bezsilnych.

Opowiadałem też drugi incydent z mojego życia. W 1984 roku napisałem artykuł, w którym dowodziłem, że Związek Radziecki nie przetrwa dziesięciu lat, że musi się załamać, bo przegra z wolnym światem wyścig technologiczny. To był w Polsce ponury czas dekady Jaruzelskiego, pełnej walki władzy reprezentującej okupanta ze społeczeństwem, powszechne poczucie beznadziei. Proponowałem ten tekst kilku redakcjom prasy podziemnej. Nikt go nie chciał opublikować. Fantasta jesteś – mówili – marzyciel. Związek Radziecki nie przetrwał nawet pięciu lat. Moja teza, że w świecie burzliwego rozwoju kraje zniewolone nie mają szans, bo nowoczesną technologię może tworzyć

tylko wolny człowiek, sprawdziła się dokładnie. W dzisiejszym świecie każda dyktatura ma klęskę zapisaną w genach, to tylko kwestia czasu.

### **Ale wróćmy do wydarzeń „marca 68”**

Na ósmego marca zaplanowany był wiec na dziedzińcu uniwersytetu. Ten wiec miał być zakończeniem akcji zbierania podpisów pod listem do Sejmu. Miał zamknąć temat „Dziadów”, miał upomnieć się o relegowanych ze studiów Adama Michnika i Henryka Szlajfera i, o ile wiem, nic więcej nie miało się dziać. Przyszliśmy z Krystyną nieco spóźnieni, gdy wiec już trwał. Irena Lasota właśnie czytała rezolucję, jaką wiec miał uchwalić.

Nie, nie. To zdanie nie oddaje istoty rzeczy. Irena Lasota czyta rezolucję... Trzeba wiedzieć, kim wówczas była Irena Lasota. To było dziewczętko, malutkie, chudziutkie, taka filigranowa kruszynka. Ta kruszynka stoi na podwyższeniu i dziewczęcym głosikiem czyta buntownicze słowa przeciw ponurej, brutalnej sile. A wokół grupka studentów – dwieście, może trzysta osób.

Na dziedziniec wjeżdżają autokary i wysypuje się z nich tłum cywilów, partyjniaków, ormowców – „aktyw robotniczy”, jak to później określił Gomułka. „Grupki wichrzycieli podjudzane przez politycznych bankrutów i politykierów zaatakowały aktywy robotniczy na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego” – podało wieczorem Polskie Radio. Co „aktyw robotniczy” robił na Uniwersytecie?

„Aktyw robotniczy” otoczył nas kordonem. Wszyscy usiedliśmy na ziemi. Wtedy zaczęli nas wynosić, ale wyraźnie nie mieli instrukcji, co dalej. Mnie przenieśli z jednego trawnika na drugi, dwadzieścia metrów i zostawili. No to wstałem i z powrotem dołączyłem do pozostałych. Inni wyniesieni zrobili to samo. Przeszliśmy pod rektorat. Ciągle otaczał nas kordon tajniaków. Domagaliśmy się wycofania milicji z uniwersytetu. Do rektora poszła delegacja.

Po latach nie pamiętam szczegółów niektórych wydarzeń. Mógłbym oczywiście zajrzeć do licznych już publikacji, ale to przecież nie ma być podręcznik historii. Pamiętam taką scenę chaosu na dziedzińcu przed biblioteką uniwersytecką. Tłum był już większy, ale jakiś taki luźny, przemieszany z tajniakami. Dochodziło do chaotycznych bójek, przepychanek. Tajniacy próbowali wciągać ludzi do autobusów, a myślimy ich wyciągali.

W pewnym momencie wydawało się, że wszystko już się kończy. Ruszyliśmy z Krystyną w stronę bramy, by iść do domu. Byliśmy jakieś pięćdziesiąt metrów od bramy, gdy wybiegło z niej co najmniej stu milicjantów w długich, zimowych płaszczach, w hełmach i z długimi pałami. Zaatakowali tłum na dziedzińcu bez żadnego ostrzeżenia

bijąc na oślep. Zaskoczeni studenci rzucili się do ucieczki, ale nie bardzo było gdzie uciekać.

Uniwersytet Warszawski zbudowany jest w ten sposób, że brama główna jest właściwie jedynym dużym wyjściem z jego terenu. Istnieją jeszcze pewne przejścia przez budynki, ale na ogół są pozamykane, a przynajmniej wówczas były. Tak duży tłum, około tysiąca osób, mógł się wydostać właściwie tylko przez bramę główną, ale tę bramę blokowała milicja (od strony Powiśla uniwersytet był odgradzony murem, którego dziś nie ma). Część studentów, w tym my, przedostała się na mniejsze podwórko na tyłach Wydziału Geografii. Musieliśmy przebiec w tym celu przez wąskie przejście między budynkami, w którym ustawiły się dwa szpalery tajniaków z pałkami. Biegliśmy przez te szpalery i obrywaliśmy z obu stron. Później takie przepędzanie ludzi między szpalerami pałujących milicjantów nazywano „ścieżkami zdrowia”, ale wówczas nie było jeszcze tej nazwy.

Z tego małego podwórka praktycznie nie było wyjścia. Jedyna brama była zamknięta na kłódkę, a w drzwiach Wydziału Geografii stała milicja. Próbowaliśmy się przebić, ale z gołymi rękami przeciw 80-centymetrowym pałom nie mieliśmy szans. Po pewnym czasie z budynku Wydziału Geografii wybiegła jakaś kobieta z kluczem i otworzyła bramę. Wydostaliśmy się na Krakowskie Przedmieście tuż obok Kościoła Wizytek.

Krystyna nie miała jednego buta. Ja straciłem czapkę. Na Krakowskim Przedmieściu, pod bramą uniwersytetu i pod Pałacem Staszica trwała uliczna bitwa. W tym czasie, gdy jeden oddział milicji zaatakował uniwersytet, inny ruszył przeciw ludziom na ulicy, gapiom, przechodniom. Ta bitwa była dość jednostronna. Milicja pałowała, a ludzie skandowali „gestapo, gestapo”, lub „Gołędzinów do domu” i rzucali śnieżnymi pigułami. Słowem Gołędzinów określano wówczas oddziały zwarte milicji (nie było jeszcze nazwy ZOMO, albo jej nie znano). Gołędzinów to peryferyjna dzielnica Warszawy, w której mieściły się koszary milicji. Może bym się i włączył do tej bitwy, bo młody człowiek jest zapalczywy, ale miałem dziewczynę w jednym bucie, a jeszcze miejscami leżał śnieg. Poszliśmy na przystanek i pojechaliśmy autobusem do mnie, na Miodową.

Pierwsza myśl: co się dzieje? Dowiedzieć się czegoś, nawiązać kontakt z innymi. Jak zawsze w podobnej sytuacji miasto huczało od plotek. Jak dobrze dziś znam taki stan powszechnego niepokoju, przypadkowych informacji, powstawania mitów. Tyle razy obserwowałem później taki stan ludzi rozpytujących gorączkowo: co się dzieje? Obserwowałem to w sytuacjach różnych konfliktów i zamieszek w egzotycznych miastach, w Kabulu, w Delhi, w Pekinie, a także w Polsce

w „grudniu 70” i w pierwszym dniu stanu wojennego. Zawsze jest tak samo. Rozgorączkowani, podnieceni ludzie przekazują sobie sensacyjne wieści, ale naprawdę nikt nic nie wie.

Dowiadujemy się, że milicja zaatakowała też Politechnikę i akademiki na placu Narutowicza oraz Riwierę, ale wszędzie została odparta. Plotka głosi, że studentom na pomoc pospieszyli kolejarze (dlaczego akurat kolejarze?). Podobno przed bramą ASP milicja zatłukła na śmierć studentkę w ciąży. Wymienia się nawet jej nazwisko, więc plotka brzmi prawdopodobnie. Później prawie wszystkie te wieści okazały się nieprawdą. To też jest pewna reguła. Bezpośredni uczestnicy zdarzeń na ogół pamiętają nie całkiem prawdziwy ich obraz, nie potrafią najczęściej oddzielić tego, co naprawdę widzieli od tego, o czym tylko słyszeli, lub co im się tylko wydaje.

Kompletujemy jakoś obuwie Krystyny i jedziemy do Kuronia. Jacka nie ma. Został aresztowany już rano. Poza nim także Karol M-dzelewski, Adam Michnik i Henryk Szlajfer. Może ktoś jeszcze, ale na razie nie wiadomo. Gajka (Grażyna Kuroniowa) jest dziwnie opanowana, ale tak naprawdę, to nikt nie wie, co robić. Wpadam na pomysł, by porozklejać ulotki w dzielnicach robotniczych. Gajka obiecuje załatwić ulotki. Umawiamy się na jutro.

## Czar MO



Wiec na Uniwersytecie Warszawskim, 8 marca 1968 r.

MO (Milicja Obywatelska) podlegała MSW, na czele którego stał generał Mieczysław Moczar. Niektórzy czytali jego nazwisko, Moczar, w odwrotnej kolejności sylab i wychodziło z tego: Czar MO.

Jednym z ciekawszych zjawisk „Marca 68” był niebywały rozkwit ludowej twórczości satyrycznej. W ciągu zaledwie kilku dni powstała ogromna ilość wierszyków, piosenek, powiedzonek. Ta twórczość nie do końca była oryginalna.

Najczęściej dorabiano nowe teksty do znanych wcześniej melodii. Ilość nowych określeń na samą tylko milicję i ORMO była tak duża, że trudno wszystkie spisać: „kawalerowie mieciowi”, „bijące serce partii”, „panowie w kapeluszach” (o tajniakach), „rycerze Światały” (od nazwiska komendanta milicji, „ortalionik – pod nim pały – rycerze Światały” – śpiewał nieco później Janek Kelus). Nowego sensu nabrała stara lwowska przyspiewka: „o północy się zjawili jacyś dwaj cywili, nic nikomu nie mówili, tylko w mordę bili”. Nowy tekst dostał też popularny krakowiaczek: „albośmy to jacy tacy moczarowi wilkołacy, stalowa czapeczka, gumowa pałeczka i łzawiące gazy na wszystkie zarazy”. Pałac Mostowskich (siedzibę Komendy Stołecznej MO) mianowano „najlicniejszym z akademików”.

Na wszystkich warszawskich (i nie tylko warszawskich) uczelniach trwał strajk okupacyjny i nieustający festiwal wiecowania, uchwalania różnych rezolucji, tworzenia piosenek, pisania ulotek... W salach wykładowych siedzą studenci i przepisują ręcznie przez cztery kalki teksty ulotek dyktowane przez jedną osobę. Po chwili ktoś zbiera teksty i zanoszą na bramę, do ludzi. Więc nowy papier, kalki i jeszcze raz. I jeszcze. Co pewien czas piszący się zmieniają, ale ludzki powielacz pracuje non stop.

A pod bramą bijatyka. Ludzie do bramy, milicja na nich, tłum z bram po drugiej stronie na milicję. Co chwila zmiana kierunku. Między tymi szarpaninami i bijatykami trwa normalny uliczny ruch: jeżdżą autobusy, taksówki, samochody. Ściany budynków uniwersytetu oblepione plakatami, transparentami: „Prasa kłamie”, „Czytajcie Świerszczyk, on jeszcze nie kłamie”, „Moczar do Moskwy”, „Nie uczta się na błędach, tylko na uniwersytetach”.

Jesteśmy wszyscy w jakimś amoku, psychozie, działamy jak w gorączce. Bici, ścigani, aresztowani zachłystujemy się wolnością. Nareszcie mówimy, krzyczymy, piszemy na murach i w ulotkach to, co chcemy! Nareszcie jesteśmy wolni! Żadnego zastanowienia, żadnej refleksji, czym to się może skończyć. Młodzieńczy zapał i brak wiedzy o konsekwencjach powszechnie się myli z odwagą.

A nasi rodzice – „starzy” – przerażeni, zatroskani, próbują przemawiać do rozsądku. Ale kto by was słuchał – „starzy” – jesteście

układowi, ulegli, bezideowi! A oni po prostu mają wiedzę, której my nie mamy: o X pawilonie, o Katyniu, o Kołymie, o czołgach w Poznaniu i Budapeszcie...

W sobotę, 9 marca, w drugi dzień rozruchów jadę rano do Gajki i dostaję plik ulotek. Jestem rozczarowany ich treścią. Spodziewałem się jakiegoś większego tekstu, a tu na wąskich paskach papieru zaledwie kilka słów, pracowicie przepisane na maszynie: „Robotnicy! Golędzinów bije w waszym imieniu. Protestujcie”. Razem z Jankiem Chałupczyńskim, kolegą z podwórka, jedziemy to rozklejać. Najpierw na Wolę, do Skali, Kasprzaka, Nowotki, potem na Służewiec Przemysłowy. Naklejamy te wąskie paski papieru na przystankach, na bramach fabryk. Nikt nam nie przeszkadza. O pierwszej musimy skończyć. Janek jest robotnikiem. Pracuje w Skali i musi zdążyć na drugą zmianę.

Wpadam na chwilę do domu, na Miodową. Obok, pod wejściem do Szkoły Teatralnej, milicyjna suka. Wyprowadzają chłopaka w kajdankach. Jestem umówiony z Krystyną w Harendzie, w najbardziej idiotycznym miejscu, w środku ulicznej bitwy. Harenda to kawiarnia na Krakowskim Przedmieściu między uniwerkiem a Pałacem Staszi-ca. Przedtem mam wpaść do dziekanatu, nie wiem po co. Ktoś stamtąd dzwonił, żeby przyszedł.

Podaję nazwisko, a panie z dziekanatu starannie zamykają drzwi na korytarz.

– Mam polecenie skreślenia pana z listy studentów. Dziekan radzi, by pan sam zrezygnował ze wsteczną datą, to nie będzie śladu w papierach.

Jest w tym sens. Semestr i tak mam zawalony, bo nie zdałem analizy matematycznej. Tak, czy tak, wylecę. Ale jeśli zostaną skreślony z polecenia SB, to mogę już nigdy na studia nie wrócić. Zgadzam się i piszę podanie o skreślenie mnie „z powodu rezygnacji ze studiów”. Stawiam wsteczną datę.

Dziś bym się na taki układ nie zgodził. Powiedziałbym: nie, niech mnie skreślą. Ale wtedy nie miałem jeszcze żadnego doświadczenia politycznego. Nikt z nas nie miał.

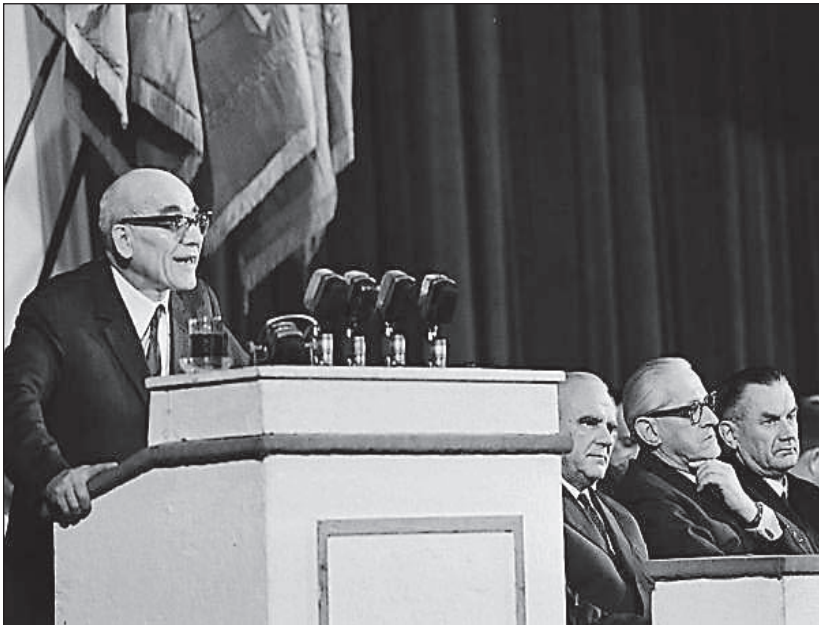
Idę do Harendy. Krystyna wylicza mi długą listę aresztowanych. Kilka wydziałów jest rozwiązanych. Oficjalnie wyrzucono ze studiów tylko sześć osób, ale później dowiemy się, że takich jak ja było kilkuset, takich co niby sami zrezygnowali, albo na rozwiązanych wydziałach, po wznowieniu zajęć pojawiły się nowe, odchudzone listy studentów i tych ludzi już na nich nie było. Niby nie zostaliśmy otwarcie wyrzuceni ze studiów. Zostaliśmy z nich zrezygnowani albo zniknięci.

Mam dwa problemy. Po pierwsze mogę spodziewać się aresztowania. Po drugie, jestem w wieku poborowym, a już nie jestem studentem. Mogą mnie wziąć do wojska. Problem pierwszy zostaje pozornie rozwiązany. Przez kilka dni się ukrywam, ale jakoś nikt mnie nie szukał, więc wracam do domu. Najpierw ukrywa mnie na strychu Witek Fedorowicz, ale to nie jest dobre miejsce, sąsiedni dom od uniwerku. Za dużo milicji dookoła. Na ostatni dzień przenoszę się na Dantyszka do domu rodzinnego braci Mierzejewskich.

Z drugim problemem jest większy kłopot. Rodzice załatwiają mi przyjęcie do wieczorowej szkółki, pod szumną nazwą Policealne Studium Elektroniki. Nie jest to wyższa uczelnia, formalnie nie chroni przed wojskiem, ale zwyczajowo nie brano ludzi do wojska dokąd się uczyli, nawet na takich pseudo uczelniach.

Jest to jednak szkoła dla pracujących, więc muszę być zatrudniony. Dostaję pracę w Fabryce Podzespołów Radiowych „Elwa” na Służewcu. Chodziłem do tej szkoły i do tej pracy bardzo krótko, niecały miesiąc. Na początku kwietnia dostałem kartę powołania do wojska. Nic mi ta szkoła nie pomogła.

## Szambo



Władysław Gomułka podczas przemówienia o „syjonistach” i „wichrzycielach”. Marzec 1968 r.

Do „Marca 68” nie istniał dla mnie temat antysemityzmu, ani nawet temat narodowości niektórych moich kolegów. Nawet nie wiedziałem o tym, że ktoś jest Żydem i wcale mnie to nie obchodziło. Podobna obojętność do tego tematu, lub nawet nieświadomość jego istnienia dominowała wśród większości moich kolegów. Do dziś uważam, że każdy rasista jest kanalią i nie ma czegoś takiego, jak „antysemita, ale porządny człowiek”. Te dwa pojęcia się wykluczają. Takie stwierdzenie jest identycznie absurdalne, jak „garnek cały, ale dziurawy”.

Od pierwszych dni marcowych rozruchów w prasie i w radiu (telewizor wówczas mało kto posiadał) rozpętuje się antyinteligencka i antysemita nagonka. „Aktyw robotniczy” odwiedza zebranie w Związku Literatów i używa „długich, elastycznych argumentów”. Gomułka trzęsie się na mównicy i pieni: „a taki Szlajfer, ni to pies ni wydra ... a taki Paweł Jasienica, krwawy watażka, pomocnik – Łupaszk – spod Białegostoku ... i tacy ludzie nazywają mnie ciemniakiem!” Gomułka nie może przeboleć, że Stefan Kisielewski nazwał jego władzę „dyktaturą ciemniaków”. Pojawia się określenie „syjoniści”. Studenci to „bananowa młodzież”. Z łamów gazet leje się szambo.

Za tą nagonką słowną, w której przodują Ryszard Gontarz i Kazimierz Kąkol, idą czyny. Ludzie wyrzucani są z pracy, profesorowie z uczelni, oficerowie z wojska. Wyjątkowo brutalne, chamskie przemówienie wygłasza sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR Józef Kępa. To przemówienie to sygnał do ataku. Tabuny młodych, partyjnych karierowiczów ruszają na wysokie stanowiska. Ale te stanowiska nie są wolne, więc trzeba wykryć „syjoniistów” i otworzyć drogę do własnej kariery. Gomułka stwierdza publicznie, że jeśli ktoś chce wyjechać do Izraela, to państwo mu to umożliwi.

To jest hasło do kolejnej akcji – wyrzucenia masy ludzi z Polski. W następnych miesiącach tysiące ludzi otrzymało „dokument podróży” – paszport w jedną stronę. Tylko pozornie te wyjazdy były dobrowolne.

Oto nagle dowiaduję się, że moja dziewczyna jest Żydówką. Pierwsza reakcja: no to co? A bądź sobie Żydówką, Murzynką, Chinką, czym chcesz, co mnie to obchodzi? Ale szybko okazuje się, że mnie to obchodzić musi.

Wychodzę z pracy po pierwszej zmianie, czyli o czternastej, i przed bramą widzę Krystynę. Jest zapłakana, roztrzęsiona. Dłuższą chwilę nie mogę jej uspokoić. Co się stało? Wczoraj jej matkę wyrzucili z pracy. Zostały bez środków do życia (ojciec od dawna nie żyje). W nocy było jakieś walenie do drzwi. Bały się otworzyć. Rano znalazła gówna pod drzwiami, a na drzwiach gwiazdę Dawida nasmarowaną kałem. Chce wyjechać, ma dosyć tego kraju.



A w prasie pełno tego szamba. Przemawia „poseł Ozga-Michalski (poeta)”. A przemawia tak: „Nasz orzeł biało-czerwony obrastał stalowymi piórami od Lenino do Berlina, a teraz chcą go syjoniści oskubać!” W każdej gazecie, w każdym przemówieniu, wszystkiemu winni są „syjoniści”. A swoją drogą to poezja przednia pana „posła, w nawiasie poety”. Chyba najlepsza odkąd Broniewski napisał „Słowo o Stalinie, w nawiasie poemat” („rewolucja parowóz dziejów, potrzebny jest maszynista, którym jest on, towarzysz, wódz, komunista, Stalin, słowo jak dzwon”).

Dzieją się tysiące dramatów. Ludzie wyrzucani są z kraju, którzy uważali za własny. Tu się urodzili, tu mieszkali przez całe życie, żadnego innego kraju nie znają. Mówią tylko po polsku i nagle zostali wykluczeni z narodu, którego językiem mówią. Mogą zabrać ze sobą tylko część majątku (jakże to typowe). Zerwane miłości, rozdzielone rodziny... Od tamtej pory minęło 48 lat. Prawie nikt z tych ludzi nie wrócił. Nikogo za tę zbrodnię nie postawiono przed sądem.



Jeden z organizowanych przymusowo wieców „klasy robotniczej”. Marzec 1968 r.

W pracy, w fabryce Elwa, w połowie pierwszej zmiany wzywają nas wszystkich na stołówkę. Wszędzie stoją transparenty. Partyjniacy wtykają je zaskoczonym ludziom w ręce. „Syjoniści od Syjamu”,

„Literaci do pióra, studenci do nauki”, „Jesteśmy z wami towarzyszu Wiesławie”, „Ukarać rewizjonistów i syjonistycznych wichrzycieli”. Na podwyższeniu ktoś nas filmuje.

Na salę wchodzi Józef Kępa w mocnej obstawie. Przemawia butnym tonem. Płaszcz rozpięty, nawet go nie zdjął, ręka w kieszeni.

– *Zdejmij łapę z rewolweru!* – krzyczy ktoś z sali.

Tajniacy rzucają się w tamtą stronę. „Wiesław, Wiesław” – skandują partyjni. Reszta milczy.

Wracamy na wydział. W milczeniu. Czujemy się zgwalceni, zbrukani, dziewczyny płaczą. Snujemy się w milczeniu. Wszyscy patrzą gdzieś w dół, pod nogi. Nikt nie rozmawia.

Po jakiejś godzinie jedna z kobiet zaczyna śpiewać: *„Żyli raz sobie hrabia z hrabiną, on zwał się Rodryg, ona Franczeska...”*. Kobiety zawsze śpiewały przy pracy na taśmie, ale nie dziś. Dziś to jest zgrzyt.

– *Stul pysk!* – dolatuje okrzyk z drugiego końca sali.

I znowu cisza do końca zmiany.

Na Krakowskim Przedmieściu już nie ma starć. Na uczelniach już nie ma strajków. Gęste patrole milicji. „Życie się normalizuje” – pisze Trybuna Ludu. 2700 osób siedzi w więzieniach i aresztach.

### **Armia twoja mać!**

Przed poborem do wojska nie uratowała mnie szkoła. Bo przed tym poborem nic nie ratowało. Brano równo: chorych, uczących się, jedynych żywicieli rodzin. Władza traktowała wojsko jak zastępcze więzienie. Bo i niewiele ówczesne wojsko różniło się do więzienia. Do przysięgi (6 tygodni) żadnych przepustek. Pierwsza po przysiędze, ale na następną czekałem pół roku. Wszechobecne chamstwo. Człowiek wychowany w kulturalnej, inteligentnej rodzinie raczej nie jest przyzwyczajony, by zwracano się do niego per „kurwa wasza mać” i odczuwa pewien dyskomfort. Ale to jeszcze nie jest najgorsza rzecz, do której trzeba szybko się przyzwyczać.

Kompletne zniewolenie. Nawet po korytarzu nie można poruszać się bez pozwolenia. W tak zwanym okresie unitarnym o samodzielnym wychodzeniu z budynku nie ma mowy. Do tego poniżenie, głupota, władza prymitywów o jakich inteligent nie przypuszczał, że w ogóle istnieją. Jest wiele sposobów gnojenia młodych ludzi: zbiórki kompanii na drzewie, meldowanie się do pieca, mycie kibli szczoteczką do zębów, wiórkowanie podłóg żyłką. Kapral wywała kopniakiem wiadro z wodą. Trzeba zebrać tę wodę z powrotem sznurowadłem i mieć nadzieję, że nie kopnie znowu. Bo co mu tam?

Dla komisji poborowej wszyscy byli zdrowi. Można było nie mieć nogi i też by wzięli. Spotkałem w wojsku chłopaka, który po jakimś wypadku miał uszkodzone ścięgna w kroczu. Nie mógł zrobić większego rozkroku niż 30 centymetrów, ledwo chodził. Wzięto go do wojsk powietrzno-desantowych. Cała kadra chciała się go czym prędzej z tego wojska pozbyć, bo tylko mieli kłopot. Wyszedł ze względu na stan zdrowia dopiero po roku. Inny chłopak miał schizofrenię. Chodził po sali i mówił: „nadają, nadają”, zakładał na głowę torebki po cukierkach, czasem dostawał napadów szału. Łapaliśmy go w koce, wiązaliśmy pasami. Jechał na komisję lekarską i wracał z orzeczeniem: zdolny, kategoria A. Nie wiem dobrze co dalej, bo zostałem przeniesiony. Podobno się powiesił.

Ale i zdrowi nie wytrzymywali. Za mojej wojskowej kadencji (1968 – 71) byłem świadkiem pięciu samobójstw. Na ogół informacja o tym nie wychodziła poza jednostkę. Kadra załatwiała wszystko z rodziną, kłamiąc i kręcąc. W papierach takiego delikwenta po prostu zwalniano do cywila. Były też samookaleczenia. Był ze mną taki Leszek, warszawski cwaniak i urka-burka. Nikt nie przypuszczał, że jest taki psychicznie słaby. Na warcie strzelił sobie w rękę. Stracił dwa palce i w końcu wyszedł, ale nie od razu. Najpierw go wyleczono i zaliczył Gołdap.

Oficjalnie nie było jednostek karnych. Były jednak jednostki szczególnie ciężkie, do których trafiały podpadziochy, w Gołdapi i w Orzyszu. Nie byłem tam, a ci co byli nie chcieli opowiadać. „Przejdiesz Gołdap, przejdiesz Orzysz, to na wojsko chuj położysz” – mówili żołnierze. Było jeszcze OTK (obrona terytorialna kraju). To były zakamuflowane obozy pracy dla cofniętych umysłowo, kryminalistów, zakonników, kleryków. Służba tam trwała krócej – półtora roku, ale polegała na ciężkiej pracy fizycznej. Żołnierze OTK pracowali na torach, na bagnach, kopali okopy. W wojsku nazywano ich Obrona Torów Kolejowych.

W znęcaniu się nad młodymi żołnierzami wspomagali kadre „głupole” (psychopaci) i „kamikazy” (żołnierze ochotniczej służby pięcioletniej). Żołnierze psychopaci byli znacznie gorsi od kadry. To oni tworzyli najbardziej opresyjne środowisko. To im ciągle leży się w głowach jakieś „małpie rozumy”, kocowy, rowerki, „bączki” i gry „w orientą”. Co to była gra „w orientą”? Na przykład ktoś zasnął, a drugi rzuca w niego hełmem i krzyczy: „orientuj się”. Nie zorientował się. Dostał stalowym hełmem w twarz, krew mu leci. Ale wesoło! Ha, ha, ha! Wszyscy się cieszą.

Istną zmorą byli „kamikazy”. Największe wiejskie prymitywy, najgorsze przygłupy szły na ochotnika na pięć lat do wojska. Mówili

im: karabin dostaniesz, mundur, dziewczyny będą szalały, za mundurem panny sznurem, a tu zupełnie inna rzeczywistość – w mordę i musztra. Więc się mścili na innych za swój los.

Człowiek żyjący w normalnych warunkach nie wyobraża sobie, do jakiego stopnia można stępić ludzką wrażliwość. Nie ma żadnej „wychowawczej roli wojska”. Wojsko wyłącznie deprawuje. W czasie konfliktów zbrojnych wszystkie armie świata zabijają bez potrzeby, rabują i gwałcą. Różna jest tylko w nich skala tych zjawisk, a jest tym większa, im bardziej w czasie pokoju rządzi w wojsku „fala”, „głupole” i „kamikazy”.

### **Dunaj! Dunaj! Dunaj!**

Zostałem przeniesiony do pododdziału liniowego. W kompanii zwiadu mam zapewniać łączność za pomocą radiostacji R 105 D. Stopiątka to cegła wielkości plecaka, ciężka jak cholera (20,5 kg) i o znikomym zasięgu (5 km przy dobrej pogodzie).

Nasze wojsko było wówczas potwornie zacofane technicznie. Amerykańscy marines mieli już radiotelefony w hełmach. A ja mam stopiátkę, swój plecak, automat i trzy magazynki.

W sumie blisko 30 kilogramów. Jak z tym biegać?

W tej kompanii jest lepsza atmosfera, a to za sprawą jej dowódcy kapitana W. Żołnierze go kochają, mówią do niego „Wodzu”. To rzeczywiście kapitalny facet. Wojownik nie z tej rzeczywistości i nie z tej epoki. Dwa metry chłopa, zawsze czysty mundur, sprężyste ruchy, czerwony beret zawadiacko zsunięty na ucho. Dbą o żołnierzy, nie daje ich krzywdzić, imponuje szalącą odwagą. Wódz nie musi podnosić głosu. Jego rozkazy są święte.

Obok, w pierwszym batalionie, jest wszystko odwrotnie. Ale tam rządzi major M, pseudonim „Gula”, wiecznie pijany, rozchełstany prymityw. Szefem jednej z kompanii jest sierżant K., pseudo „Drewniany Hitlerowiec”, sekretarz partii, znawca regulaminów i miłośnik „musztry pojedynczego żołnierza” o każdej porze doby.

Jestem w psychicznym dole. Krystyna mnie zostawiła, wyjechała do innego kraju, nawet nie wiem, do którego. Nie mam nawet jej zdjęcia. No i gdzie ja jestem? W jakim strasznym otoczeniu. Nasz romans trwał krótko, ale był szalenie intensywny. Byliśmy razem codziennie, bez przerwy, od rana do wieczora, a tu wystarczyło półtora miesiąca, by mnie rzuciła. „Bo męska rzecz być daleko, a kobieca wiernie czekać”, – śpiewa Alicja Majewska. O nie, szanowna pani. Nieprawda. Wszyscy chłopcy, którzy poszli ze mną do wojska mieli dziewczyny lub żony. Po roku nie miał żaden. Nie jestem wyjątkiem, ale czy musiała mnie porzucić tak szybko? Nie mogę się z tym pozbierać.

I to jest kolejna prawda o wojsku. Izolacyjna służba wojskowa powinna być zabroniona jakąś konwencją. W wolnym kraju nie ma potrzeby izolować żołnierzy od ich kobiet i rodzin, od społeczeństwa. Nie ma potrzeby niszczyć ludziom życia. Człowiek zdradzony, w warunkach pozbawienia wolności nie może przestać cierpieć, dokąd jej nie odzyska. Gdyby był wolny, doszedłby do siebie po kilku miesiącach.

8 kwietnia, dokładnie miesiąc po naszym wiecu na uniwerku, który dał początek „wydarzeniom marcowym”, sowiecki marszałek Greczko podpisał dyrektywę GOU/1/87654, nakazującą rozpoczęcie operacji „Dunaj” – uderzenia wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Decyzja została opóźniona o cały miesiąc, z powodu naszego polskiego „marca”. Spokój w Polsce był sowietom potrzebny do uderzenia na Czechy, bo z powodów geograficznych właśnie z Polski musiały wyruszyć główne siły inwazyjne.

To wszystko wiem dzisiaj z opracowań historycznych, ale wówczas myślałem, że jest dokładnie odwrotnie. Myśmy w marcu wierzyli, że dzięki temu, co dzieje się w Czechosłowacji, władza i u nas nieco zmięknie. Że mamy jakieś szanse. Tymczasem to my daliśmy Czechom i Słowakom dodatkowy miesiąc oddechu, a masowość aresztowań, relegacji z uczelni, karnych wcieleń do wojska, wynikała z konieczności pełnej pacyfikacji zaplecza. Paradoksalnie to właśnie my byliśmy pierwszymi ofiarami operacji „Dunaj”.

O decyzji inwazji jeszcze nikt nie wie, poza generalicją, ale w wojsku już daje się wyczuć napięcie. Miejsce dość liberalnego (jak na tamte realia) ministra obrony Mariana Sychalskiego zajmuje uważany za „człowieka Moskwy” generał Wojciech Jaruzelski. Nam, na dole, niewiele mówią te rozszady, ale wkrótce fala „nowego” spływa z góry do jednostek. Narasta kompletny zamordyzm, „głupolstwo” w pododdziałach sięga zenitu. „Koniec ze »świadomą dyscypliną«, ma być dyscyplina” – ogłasza Jaruzelski. „Świadoma dyscyplina” to eufemistyczne określenie na łagodniejszą, po okresie stalinowskim, politykę Sychalskiego, na zaniechanie dyscypliny drakońskiej i sądów polowych. My, szeregowcy, nie bardzo się w tej polityce orientujemy, ale już czujemy, że to „nowe” nie wróży nam nic dobrego.

Narasta fala szkoleń politycznych i nachalnej propagandy. „Czesi to nasz odwieczny wróg”, „czeska armia jest do niczego”, „Czesi sami poddali się Niemcom”, „Czesi zabrali nam Zaolzie”... Usiłuję protestować, że z tym Zaolziem, to raczej my.

– *Wy się, kurwa, szeregowy nie wymądrzajcie* – ripostuje polityruk.

Widzę jak „głupole” i „kamikazy” tę propagandę chwytają, jak w nią wierzą. Na początku sierpnia leje się już regularne propagandowe

kłamstwo: oto Czesi otworzyli granice dla Niemców, do Czech wkroczyła Bundeswehra...

Nikt już nie ma wątpliwości, do czego to zmierza. Drogami południowej Polski przez kolejne doby ciągną sowieckie wojska. Wstrzymano przepustki, urlopy. W połowie sierpnia ogłaszają alarm bojowy, ale nie ruszamy się z koszar. Pobieramy amunicję, śpimy z bronią i w mundurach, wolno tylko zdjąć buty.

Pierwszy rzut szykuje się do wyjazdu, pobierają racje żywnościowe, zakładają siatki na hełmy. Cygan, szeregowiec „kamikaz”, ostrzy bagnet. Wódz wchodzi na salę i zauważa Cygana:

– *Co ty, kurwa, robisz? Kartofle będziesz obierał?*

Cygan, speszony, chowa bagnet do pochwy.

Patrzę z przerażeniem na to wszystko. Co ja tu robię? Jeszcze tak niedawno pisałem na murach: „Cała Polska czeka na swego Dubczeka”. Wyobrażenia niektórych ludzi o tym, że żołnierz może w jakikolwiek sposób przeciwstawić się historii są głęboko naiwne i błędne. Żołnierz nie może nic. W dodatku współczesne wojsko mocno rozmydliło odpowiedzialność. Większość z nas właściwie „nic takiego” nie robi. Jeden śledzi cel na radarze, drugi prowadzi samochód, trzeci pilotuje samolot, ja tylko obsługuję łączność. Przenieśli mnie na stodwójkę, wielką radiostację dalekiego zasięgu, zajmującą aż dwa samochody.

W czasie całej operacji „Dunaj” żaden polski żołnierz nie strzelił do Czecha czy Słowaka, co więcej, mało który sowiecki żołnierz strzelał. Właściwie to oni nic nie robili poza tym, że byli. Aresztowania, rewizje, demolki robiły wojska KGB. A reszta tylko była. Ale w końcu cała ta machina, w której prawie wszyscy nie robili „nic takiego” złamała wolność dwóch narodów. I na tym polega ten szatański system: nikt się nie buntuje, bo nie ma powodu, bo nie robi „nic takiego”.



Krzysztof Łoziński w wojsku (1969 r.)

Co ja tu robię z bagnetem na automacie i ostrą amunicją? Do kogo ja mam strzelać? Do Vondraczkowej, do Hrabala? A może do Włada Petrika i Petra Deški, z którymi piłem w Kieżmarskiej Behe-rovke? Ale jeszcze mam nadzieję. Może to wszystko się jeszcze rozejdzie. Może to tylko demonstracja siły.

Podchodzę do okna i widzę ruch na placu alarmowym. Któryś, nie nasz, batalion ładuje się na samochody. Żołnierze kolejno podcho-dzą do burty i wrzucają na pakę dwa ładunki.

Potem wskakują. Zaraz? Dwa ładunki? Plecak i ...spadochron! Nagle robi mi się zimno, choć jest sierpniowy upał. Koniec złudzeń. Nikt nie bierze spadochronu na spacer, czy na musztrę. Żarty się skoń-czyły. Patrzę na tę scenę i lzy mi lecą po twarzy. Cały mój świat leży w gruzach.

W nocy z 20 na 21 sierpnia 1969 roku na Czechosłowację, liczącą niecałe 15 milionów ludności, uderzyło 27 dywizji, złożone z 400 tysię-cy żołnierzy, 6300 czołgów, 800 samolotów i 2000 armat. Potworna siła. Dla porównania, w 1941 roku Hitler zmobilizował przeciw ZSRR 3580 czołgów.

Według Trybuny Ludu i Żołnierza Wolności (obrzydliva to była gadzinówka) wojska Układu Warszawskiego pospieszyły Czechom i Słowakom z „bratnią pomocą”, wezwane na pomoc przez „siły pa-triotyczne”. Dubczek i Svoboda „udali się do Moskwy” na rozmowy. W rzeczywistości zostali porwani i wrócili dopiero po stworzeniu przez sowietów rządu kolaboranckiego. Aleksander Dubczek ciągle jeszcze był pierwszym sekretarzem KPCz.

Z naszej kompanii zwiadu w akcji bierze udział jeden pluton. Reszta siedzi na walizkach. Mam dyżur na radiostacji. Odbieram i na-daję szyfrogramy których treści nie znam. Nie wiem nawet, czy prze-syłam rozkaz, by kogoś ocalić, czy kogoś rozwalić. Dowódca kompanii łączy się na fonie z dowódcą plutonu w akcji.

- Co tam u was?
- Spokój.
- Są walki?
- Nie ma. Bierny opór.
- A ich wojsko?
- Bierne.

Wódz siedzi chwilę i myśli. I do dyżurnego:

- Zbiórka kompanii.

Chłopcy sprawnie ustawiają się w dwuszeregu, w hełmach, z bro-nią. Jest przecież alarm bojowy. Wódz staje przed dwuszeregiem.

- Zdać amunicję!



Wszyscy patrzą jeden na drugiego jak zbaraniałi. Nikt się nie rusza. Porucznik M., dowódca jednego z plutonów usiłuje oponować.

– Obywatelu kapitanie, a jeśli nas wyślą... Jest pogotowie, tam może być ostro...

– Zdać amunicję! Kurwa mać, natychmiast! Na mój rozkaz! Wykonać!

– Ale obywatelu kapitanie...

– Kurwa mać! Żołnierze, jestem polskim oficerem, do cywilbandy nie strzelam! Wykonać!

Żołnierze kładą na asfalcie magazynki, granaty, granaty nasadkowe, RGP. W milczeniu. Wszyscy wiemy, jak po tych słowach i po tym rozkazie blisko Wodzowi pod sąd polowy. I nagle, „kamikaz” Wacek, jeden z największych kompanijnych przygłupów, po którym nikt by się tego nie spodziewał, mówi na cały głos:

– Kurwa, jak któryś zakupuje Wodza, to będzie miał przejebane.

Wszyscy w wojsku wiedzą, co to znaczy „mieć przejebane” u starszego rocznika. Lepiej się powiesić od razu, krótsza męka. Nikt nie dołożył. Nawet „psychole” szanowali Wodza. Aż do końca operacji „Dunaj” mieliśmy puste magazynki.

Po wyjściu z wojska nigdy już nie spotkałem Wodza. Nie wiem, co robi, czy jeszcze żyje (powinien mieć dziś ponad 90 lat). Zasłużyłeś Wodzowi na mój dożywotni szacunek. Dałeś mi ważną życiową lekcję: o tym, że nawet w piekle można być człowiekiem.

W Pradze podpalił się student Jan Palach. „Życie się normalizuje” – donosi Trybuna Ludu.

### **Normalizacja**

W języku rosyjskim jest słowo *smuta*. Smuta to stan psychiczny ludzi, pewien niepowtarzalny nastrój, w który naród rosyjski popadał na tyle często, że wymyślił na jego określenie specjalne słowo. A popadał w ten nastrój z prostego powodu: przynależności do azjatyckiej, a nie europejskiej, tradycji politycznej.

Azjatycka tradycja polityczna sprowadza się w wielkim skrócie do tego, że nie ma w niej obywateli i ich przedstawicieli, lecz jest władza i poddani, a władza tym poddanym funduje w regularnych odstępach właśnie smutę.

Po stłumieniu studenckiego buntu i po operacji „Dunaj” zapanowała w Polsce właśnie smuta – stan apatii, beznadziei, nie myślenia, wegetowania, przeczekiwania...

Prasa donosiła z Czechosłowacji, że „życie się normalizuje”, co oznaczało, że i u nich smuta. Gomułka odprawiał kolejne dożynki. Kręciono serial „Czterech pancernych i pies”, dopasowując dno sztuki

filmowej do dna literatury. W radiu leciały audycje dla żołnierzy. Kiedyś zimą wracaliśmy z warty na kompanię, a że był mróz, to jak zwykle chłopcy sobie tego na warcie popili wódki z gwinta. W kompanii ktoś włączył radio, z którego rozległo się: „czołem żołnierze, mówi wasz stary wiarus”. To była wyjątkowo wredna audycja i Cygan nie wytrzymał – wywalił w to radio cały magazynek z Kbk-AK, całe 32 sztuki amunicji.

Życie płynęło monotonicznie, na picciu wódki lub alpag, grze w karty i odliczaniu dni do cywila. Na festiwalu piosenki żołnierskiej w Kołobrzegu prostytuowali się piosenkarze. Były dwie wredne do obrzydliwości piosenki z tego czasu: „Przyjedź, mamo, na przysięgę” i „Po ten kwiat czerwony”. Wojsko je przerobiło po swojemu. Pierwszą na „prawą mi urwało rękę, przyjedź zobacz twoja krew”, a drugą na „Czechów, co pomoc wzywali, będą żołnierze szukali”. Gdyby autorzy lub wykonawcy tych piosenek chcieli wówczas odwiedzić jakąś jednostkę wojskową, to bym im odradzał, ze względu na wyjątkowo wysokie ryzyko dostania po mordzie.

Były dwa festiwale naszej hańby domowej. Wspomniany już festiwal w Kołobrzegu i Festiwal Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze. Na obu polscy artyści za cenę dostępu do kariery i niemалą kasę uprawiali intelektualną prostytucję. Był jeszcze przez pewien czas Festiwal Piosenki Partyzanckiej w Kraśniku, na którym co roku miały być nowe piosenki partyzanckie. Ten festiwal jednak poległ śmiercią naturalną, bo, jak to określił Maciej Zembaty, nie udało się nałapać odpowiedniej liczby partyzantów.

Dzisiaj piosenka „Po ten kwiat czerwony” przyjmowana jest obojętnie, bo mało kto pamięta, w jakich okolicznościach powstała. Tym kwiatem czerwonym miała być żołnierska krew, przelana ponoć w czasie operacji „Dunaj”. Tyle tylko, że w ramach tej operacji krew przelewali żołnierze nie polscy, lecz sowieccy i nie swoją, lecz bezbronych cywilów.

Czy polskie wojsko musiało brać udział w tej interwencji? Z całą pewnością nie. Z punktu widzenia operacji wojskowej znikome kontyngenty państw Układu Warszawskiego (Polski, Węgier, NRD i Bułgarii) nie były do niczego sowietom potrzebne. Te kontyngenty nie stanowiły nawet jednego procenta wojsk inwazyjnych. Sowietom udział tych wojsk potrzebny był z powodów politycznych. Chodziło o dwie rzeczy: o to, by wszyscy trochę umoczyli ręce we krwi, co w przyszłości miało uniemożliwić solidarne wystąpienie podbitych narodów, oraz o pokazanie wszystkim, że w sowieckim imperium obowiązuje odwrócona zasada d'Artagnana: jak jeden przeciw Moskwie, to wszyscy przeciw jednemu.

Gomułka, Cyrankiewicz i Jaruzelski bez żadnego problemu mogli odmówić udziału w tym najeździe. Nie groził im sąd polowy, jak kapitanowi W. Najwyżej towarzysze z Moskwy trochę by na nich pofukali i to wszystko. Z całą pewnością nie zrobiliby z tego powodu najazdu na Polskę. Zresztą wiemy, że udziału w napaści odmówił Ceausescu (nie z gołębiego serca, lecz z politycznego kunktatorstwa) i nikt Rumunii nie najechał. Naszym władcom daleko było jednak do odwagi Wodza. Byli małymi, tchórzliwymi sługami okupanta, z którym związali swoje kariery. W grudniu 1970 roku skierowali polskie wojsko przeciw własnemu narodowi. Jaruzelski zrobił to jeszcze ponownie w grudniu 1981 roku, wyręczając okupanta w pacyfikacji własnego kraju.

Przyszło następne lato i moi koledzy taternicy, bracia Wrocławscy pojechali jak zwykle w Tatry Słowackie, do Doliny Zimnej Wody. W schronisku spotykali się z drobnymi oznakami wrogości ze strony Słowaków, bo oni Polacy, bo polscy najeźdźcy. Pewnej nocy zostali wyrzuceni ze schroniska na deszcz. Za nimi wyrzucono ich rzeczy, które zbierali z kamieni po ciemku i w deszczu. Nie mieli namiotu. Siedzieli do rana ukryci w kosówkach, a jacyś ludzie z latarkami ich szukali. Nie wiadomo, czy ci ludzie mieli dobre, czy złe zamiary, ale woleli nie sprawdzać.

Polscy turyści w Czechosłowacji spotykali się powszechnie z wrogością. To był efekt tego symbolicznego i bezczynnego udziału polskiego wojska w operacji „Dunaj”. Ale przecież o to Breżniewowi chodziło: wszyscy umoczyliśmy ręce we krwi.

W Czechosłowacji, niemal dokładnie w pół roku po inwazji, nocą z 28 na 29 marca 1969 roku, około 500 tysięcy osób wzięło udział w rozruchach skierowanych przeciw okupacyjnej armii sowieckiej. Pretekstem było zwycięstwo reprezentacji Czechosłowacji nad ZSRR na mistrzostwach świata w hokeju. Manifestacje odbyły się 69 miastach. Tłum zaatakował 21 garnizonów radzieckich. Sowieccy generałowie zaczęli grozić Dubczekowi. Oświadczono mu wprost, że może podzielić los Imre Nagya, premiera Węgier, rozstrzelanego po inwazji sowieckiej na ten kraj w 1956 roku. Do tłumienia wszelkiej opozycji przystąpiło już „znormalizowane” czechosłowackie wojsko i milicja.

W rocznicę inwazji, w Pradze, rodzima milicja zabiła dwóch młodych demonstrantów. 21 sierpnia zginęli trzej kolejni. Kilka tysięcy osób aresztowano i bito. Pod koniec roku aż 1526 osób skazano na podstawie dekretu, który podpisał nie kto inny, jak Aleksander Dubczek. Był to początek potężnej fali represji i masowego gnojenia ludzi krajowymi rękami. Uwięziony Bogumil Hrabal zmuszany był do palenia własnych książek. Bezpieka, za pomocą technik fotomontażu, fabryko-

wała i rozpowszechniała zdjęcia pornograficzne z udziałem niezależnie myślących artystek, piosenkarek, aktorek...

Aleksander Dubczek przestał być sekretarzem KPCz 17 kwietnia 1969 roku. Przez pewien czas pełnił jeszcze inne funkcje, ale i z nich był stopniowo rugowany. Pozbawiony znaczenia pracował fizycznie w fabryce. Do końca uważał się za komunistę. Nigdy nie przystąpił do coraz silniejszej z czasem opozycji. Komunizm z ludzką twarzą, o którym marzył, pokazał twarz Frankenszteina.

W Polsce krążył dowcip, że w czechosłowackiej reprezentacji na Wyścig Pokoju, za czasów Dubczeka jeździł kolarz nazwiskiem Vesely, a za jego następcy Husaka – Poslušny.

### **Torebka**

Wyszedłem z wojska. Musiałem od początku zdawać egzamin wstępny na studia, bo w międzyczasie wydano ustawę specjalnie dla ludzi represjonowanych po „marcu 68”. Po dwóch latach przerwy w studiach uległy unieważnieniu wszystkie nasze zdane egzaminy. Ja byłem na pierwszym roku, więc w sumie niewielka strata, ale niektórych wzięto do woja lub wsadzono z czwartego. Musieliśmy też odbywać „praktyki robotnicze”, bo jako inteligenci mieliśmy uczyć się pracy. Logiczne, wszak inteligent nie pracuje. Czytanie to przecież nie praca. Pisanie też. Może sobie czytać i pisać po robocie. A myślenie to już całkiem nie praca. Przy robocie może sobie taki myśleć, a już najlepiej to niech myśli o robocie, a nie o nie wiadomo czym!

Zacząłem już zapominać o Krystynie. Spotykałem inne kobiety. Prasa podała, że na lotnisku w Tel Awiwie trzech Japończyków, terrorystów z Japońskiej Frakcji Czerwonej Armii, otworzyło ogień do tłumu w hali odlotów. Zginęło kilkanaście osób, zanim napastników zastrzelono. Większość ofiar stanowili Portorykańczycy, ale zginęli też Żydzi. Ot, taka wiadomość. Jakiś czas później spotkałem przypadkowo dawną koleżankę Krystyny. Powiedziała mi, że ona zginęła w tym zamachu. Nie uwierzyłem, uznałem za fantazję.

Mój ojciec był człowiekiem bardzo ciekawym świata, ale żył w nieodpowiednim do tego kraju. Nie mógł po świecie jeździć, więc przynajmniej kupował w „empikach” zagraniczne czasopisma. Władza dopuszczała na ograniczoną skalę sprzedaż różnych zachodnich kolorowych magazynów, ale po jakimś czasie, już nieco nieaktualnych.

Pewnego dnia przeglądałem kupione przez ojca włoskie czasopismo „Epoka”, ze zdjęciami zrobionymi po tym zamachu na lotnisku. Nie było już na nich ciał ludzi, ale była krew i, jak to zwykle w takich przypadkach, różne pogubione, rozrzucone przedmioty: buty, parasolki, torebki. Patrząc na jedno ze zdjęć i nagle... jej torebka. Nie ma

wątpliwości, że ta sama, którą znam. Polska, skórzana torebka, tak zwana konduktorka. Musiałem mieć dziwną minę, bo ojciec spytał, czy coś się stało. Powiedziałem, że nic.

Krystyna nie była jedyną znaną mi osobą, wyrzuconą wówczas z Polski. Wyjechała lekarka, znajoma mojej matki, wraz z dziećmi. Ja wcześniej z tymi dziećmi jeździłem na wakacje. Wyjechał kolega z klasy, a także z pierwszego roku fizyki, Michał Gołaszewski. Moi koledzy ze szkolnej klasy odprowadzali Michała na pociąg bez powrotu, o ironio, na Dworzec Gdański, niecałe 500 metrów od Umchlagplatz.

Do dziś nie wiem na pewno, czy Krystyna rzeczywiście zginęła. Może ta torebka była tylko podobna, może miał ją przy sobie ktoś inny. Odkąd wyjechała z Polski nie nawiązała kontaktu z nikim, kto został.

Za wszystkie bezprawne represje Marca 68, za przestępstwa sądowe, jakimi były wieloletnie wyroki za wyrażanie poglądów, za wypędzenie z Polski tysięcy ludzi i za haniebny udział polskiego wojska w bezprawnej operacji „Dunaj” do dziś nikogo nie postawiono przed sądem.

### **Długie ręce SB**

Po wydarzeniach „Marca 68” ruszyła potężna fala represji. Jedną z jej form było oczernianie ludzi. Nie tylko w radio i gazetach, gdzie już wszystkich aktywistów, czy choćby uczestników, tego ruchu mianowano Żydami, synami komunistów, w tym komunistów z KPP, bananowa młodzieżą, ponoć żyjącą w luksusie i czym tam jeszcze się dało. Była jeszcze druga metoda, mniej widoczna, a znacznie bardziej skuteczna. Różni tajniacy, kapusie, partyjniacy dostali polecenie cichego rozpuszczania plotek. O tym, że ten i tamten to „Żydzi, co mieli rodziców w KPP” ich znajomi, koledzy z pracy, przyjaciele, mieli się dowiedzieć nie tylko z radia i gazet, ale i od „dobrze poinformowanych”. Dotyczyło to ogromnej masy ludzi, nie tylko liderów, ale i tak mało ważnych, jak ja. Długo zastanawiałem się później, dlaczego mnie wyjątkowo nie mianowano Żydem, jak innych. Dopiero po wielu latach przeczytałem SB-cką instrukcję: „nie można go jak innych pomawiać, że jest Żydem, bo zbyt wiele osób wie, że jest Tatarom” i zalecano rozpuszczać różne szkalujące mnie plotki w środowisku taternickim (czyli praktycznie moim środowisku). Nawiasem mówiąc, taki ze mnie Tatar, jak i Eskimos. Polska szlachta, Łozińscy herbu Lubicz, rzeczywiście wywodzili się z Tatarów Polskich, ale to było 600 lat temu.

Wówczas o takiej instrukcji nie wiedziałem, nie widziałem też raportów paru kolegów: „opowiedziałem o Łozi” to czy tamto „i kwituję odbiór 1500 zł”. Takie detale poznałem dopiero po wielu latach. Wówczas wróciłem w góry po trzech latach nieobecności (wojsko) i nagle

dowiedziałem się, że ponoć robiłem jakieś bardzo dziwne rzeczy (choć 3 lata mnie nie było), że jestem kompletnym głupkiem, nieudacznikiem, patałachem, co wcale nie umie się wspinać, itd.

Metoda była perfidna. W konkurencyjnym i zawistnym środowisku wystarczyło puścić parę takich „newsów”, a różne zakompleksione miernoty z własnej woli i zawiści tworzyły następne. Skoro nie można kogoś pokonać w górach, to zawsze można obrobić mu tyłek przy piwie, się wie.

Nie mam co narzekać, w końcu innych potraktowano znacznie gorzej. Najczęściej były to oszczerstwa antysemityczne. Dotknęły także nie Żydów, ściślej wiele osób Żydami mianowano. Ciekawy był stosunek do tego Jacka Kuronia. Gdy mianowano go Żydem, postanowił nie zaprzeczać, bo, jak powiedział: „w pewnych okolicznościach każdy porządny człowiek powinien być Żydem”. Gdy już w wolnej Polsce kandydował na prezydenta, skretyniała prawica pisała na jego plakatach „Żyda na prezydenta?”.

Jakiś czas temu moja redakcja („Kontratekstów”) dostała mail: „Kłamstwa Żydowskie o wydarzeniach w Polsce marca 68” a przedstawiający zgodną z wolą SB wersję wydarzeń: *„młodzi, ambitni działacze partyjni, głównie pochodzenia żydowskiego, (Jacek Kuroń, Adam Michnik, Henryk Szlajfer, Mosze Dojczegewand, Antoni Zambrowski, Seweryn Blumsztajn, Karol Modzelewski, Jan Tomasz Gross, Aleksander Smolar, prof. Leszek Kołakowski i im podobni), mniej zdolna młodsza kadra dydaktyczna na uczelniach, pracownicy aparatu partyjnego, administracji państwowej byli zainteresowani wybuchem fali niezadowolonia, w których to warunkach mogliby się wykazać pewną sprawnością, operatywnością, przydatnością, zaś wielu z dotychczasowych członków władzy nieudolnością i nieprzydatnością”*. Podpisał to bliżej nieznanym „Komitet Pamięci Ofiar Staliniзму w Polsce”.

Propaganda SB ciągle żyje po 48 latach, tylko w nowym wykonaniu. Co ciekawe Józefowi Dajczzegewandowi, którego SB przerabiała na Dojczegewanda (wiadomo: Dojcz to Niemiec, a Gewand to Żyd), autor tych wypocin uraczył imieniem Mosze, co zapewne przed chwilą wymyślił. A w ogóle to „Marzec 68” zrobili „działacze partyjni”, choć większość z nich do partii nie należała nigdy.

Ja, dowiedziałem w ostatnich latach się z telewizji, z ust PiS-owskiego publicysty i niezależnie PiS-owskiego posła, że moi rodzice byli w KPP (gdy KPP rozwiązano ojciec miał 14 lat, a matka 15). Żydem zostałem też niedawno, w jednej z audycji Radia Maryja (nie znał instrukcji).

Parę lat temu, pewien mechanik samochodowy, wojujący PiS-owiec, powiedział mi, że „On by tych wszystkich marcowych komandosów rozstrzelał”. Ten człowiek nie zna historii, nic o tych wydarzeniach nie wie, ale nasłuchiwał się głupot na PiS-owskich wiecach. Bo na tym polega „polityka historyczna”, by z antykomunistów zrobić komunistów, a z cykorów i dekowników bohaterów.

Lech Kaczyński, w 40 rocznicę tych wydarzeń, na którą nie zaprosił Adama Michnika, powiedział: „Śmy tam razem z bratem tam byli na tym wiecu”. Czort wie, może i byli w tłumie na Krakowskim Przedmieściu. Listy nie sprawdzano.

Jarosław Kaczyński w swojej autobiografii opisał swój rzekomy udział w tych wydarzeniach. Tylko właśnie ten opis jest dowodem na to, iż go tam nie było. Myli fakty, miejsca, podaje „fakty”, których nie było. Pisze, że razem z bratem, 8 marca, wyszli bez przeszkód z dziedzińca Uniwersytetu przez główną bramę. Mogli tamtędy wyjść tylko na samym początku wiecu. Później brama była zablokowana przez milicyjną ciężarówkę, a furgonami po bokach milicja nikogo nie przepuszczała. Tym czasem Kaczyński opowiada, że był pod rektoratem, czyli później. Zmyśla, że tam szpaler tajniaków wyjął palki z za pazuchy i zaatakował studentów. Nic takiego nie miało miejsca. Opowiada o ataku milicji pod kościołem Wizytek. Znowu nieprawda. Myślę, że Kaczyński po prostu słyszał relacje innych ludzi i wszystko mu się pomyliło.

Mieczysław Moczar śmieje się z za grobu.

*[Imiona i przezwiska oficerów i żołnierzy (na prośbę kilku z nich) oraz szczegóły pozwalające zidentyfikować jednostkę wojskową zostały zmienione]*





# Mój skromny Sierpień 80 1980

**Od tych wydarzeń minęło 25 lat. Aż trudno uwierzyć, że to już tak dawno. Wyrosło całe pokolenie ludzi, dla których „Solidarność” to historia. Dla mnie i moich rówieśników, to kawałek życiorysu, nieprzespane noce, niezwykle emocje, straszne napięcie, strach i nadzieja. W Polsce sprzed Sierpnia już nie dawało się żyć, choć na pewno ludziom wielu krajach żyło się znacznie gorzej. Ale my jednak tak odczuwaliśmy – tak dalej nie da się żyć. Idę dziś do sklepu, w którym jest więcej towaru niż było we wszystkich sklepach sporego miasta sprzed Sierpnia i widzę szynkę reklamowaną hasłem: „szynka jak za Gierka”. Czy ktoś, kto wymyślił to hasło wie, co mówi? Czy wie, że za Gierka szynki nie było niemal wcale? Ale to nic, szynkę byśmy jeszcze przeboleli, ale w sklepach tamtego czasu nie było już niemal niczego.**

## **Zaczęło się w Łodzi**

Nie wiem, czemu w rocznice wydarzeń zwanych „sierpniowymi” powtarza się ciągle pewien błąd. Panuje przekonanie, że pierwsze strajki, pierwszy opór roku 1980 wydarzyły się w lipcu w Lublinie. Gdzieś zupełnie zgubiono, zapomniano czerwcowy bunt łódzkich włókniarek. Oczywiście, to jeszcze nie było to, co Lublin. Kobiety wyszły na ulicę, milicja zgłupiała i nie wiedziała, co robić. Po kilku dniach dość spokojnych demonstracji wszystko ucichło. Niby nic się

nie wydarzyło, ale skromnie i bez większego rozgłosu ruszył pierwszy kamyk strajkowej lawiny. Dopiero po tym był Lublin – pierwszy strajk powszechny całego miasta, a nawet kilku miast. Po raz pierwszy władza musiała negocjować.

### **Byłem nowym pracownikiem**

Jeszcze rok wcześniej pracowałem w TKKF jako trener kung fu, ale pojechałem na wyprawę alpinistyczną w Kaszmir, do Indii. Gdy wróciłem, okazało się, że koleddy działający w tej samej dolinie mieli wypadek. Zostałem wysłany na akcję ratunkową i w efekcie „nie stawilem się w terminie do pracy po urlopie”. Straciłem pracę, do której spóźniłem się z urlopu o dwa miesiące. Jeden z instruktorów mojego klubu, Stanisław Filipowski pracował w Teatrze Wielkim, w malarni. Załatwił mi pracę w modelatorni (pracowni wytwarzającej dekoracje i rekwizyty na scenę). I w ten sposób znalazłem się w Teatrze Wielkim w Warszawie, dziwnym miejscu, teatrze, w którego działach technicznych pracowało 1200 osób, jak w średniej wielkości fabryce.

Gdy zaczynały się strajki lubelskiego lipca, większość pracowników teatru poszła na urlopy. Teatr, który w lecie nie pracował, był prawie pusty. Ja pracowałem tu dopiero kilka miesięcy, więc urlopu nie miałem. Siedziałem w pracy cały lipiec i sierpień i nie miałem kompletnie nic do roboty. Najpierw myślałem, że jestem sam w całym dziale technicznym, ale później odkryłem Andrzeja (nazwiska już dziś nie pamiętam). Był nieco młodszy ode mnie i tak jak ja nie miał urlopu. Zaczęliśmy spędzać nudne dniówki we dwóch. Najczęściej graliśmy w piłkę na pustej scenie o wymiarach większych niż rynek Starego Miasta. Gdzieś w połowie sierpnia Andrzej powiedział, że ma kolegę w Hucie Warszawa i od niego dostaje ulotki, które dobrze by było powielić, bo oni je przepisują na maszynie.

– No to dawaj te ulotki, będziemy je przepisywać – mówię. I tak nie mieliśmy nic lepszego do roboty, a ile godzin dziennie można grać w piłkę? Wyciągnęliśmy maszyny do pisania z nieczynnych biur naszych kierowników (nawet nie były zamknięte) i dalej pisać przez kalkę. Wieczorem Andrzej zanosił tę naszą produkcję koledze z huty a ten puszczał dalej w kolportaż.

Oczywiście wiedzieliśmy, co się dzieje w kraju. Od połowy sierpnia stał Gdańsk, Szczecin i niemal całe Wybrzeże. W Warszawie też wrzało. Strajkowały raz po raz Huta, Ursus i MZK. A my tu w samym środku miasta siedzimy w ogromnym opustoszałym gmachu i nic więcej nie możemy zrobić, niż tylko przepisywać ulotki. Z tym Andrzejem to była dziwna sprawa. Gdy tylko u nas zaczął się strajk, gdzieś zniknęła i nigdy już go nie widziałem. Do dziś nie wiem, co się z nim stało.

Ale jest on dla mnie pewnym symbolem tamtego czasu. Pamięta się dziś o strajkach wielkich zakładów, ale poza nimi były dziesiątki tysięcy takich ludzi, jak Andrzej, który cicho i anonimowo przepisywali ulotki, przynosili żywność pod bramy, przewozili pociągami wiadomości z jednego końca Polski na drugi, przemycali bibułę przez milicyjne blokady. I nikt im nie kazał. To także dzięki nim mógł się udać Sierpień 80.

### Strajk

Pod koniec sierpnia zaczynają wracać do teatru ludzie z urlopów. Strajkuje już niemal cała Polska. Przychodzi do mnie Staszek Filipowski.

– Krzysiek, musisz coś zrobić, wszyscy strajkują, a my co? Znasz ludzi z KOR-u, zrób coś!

– Stasiu wyluzuj i spuść powietrze – mówię – Co ja mogę zrobić? Jestem tu nowy, niemal nikt mnie nie zna. To wy, starzy pracownicy, musicie zacząć

Jest 28 sierpnia 1980 roku. O 9-tej rano, kierownik ślusarni teatru, Wojciech Niedbał, rozpuszcza po pracowniach wiadomość: „o 10.00 zebranie wszystkich na dolnej malarni”. Ani słowa, co za zebranie, po co zebranie, ale i tak wszyscy wiedzą. Tego zebrania nie zwołała dyrekcja. Przed dziesiątą ze wszystkich stron idą ludzie na malarnię. Jest to wielka hala na naszym „technicznym” V piętrze. Bez trudu mieści kilkaset osób.

Wchodzę na malarnię i widzę tłum. Ludzie stoją i nie wiedzą, co dalej. Wojtek rzucił hasło, ale później już skończył mu się koncept. Staszek wyciąga mnie na środek.

– To jest Krzysiek Łoziński, on wie, co robić! – krzyczy do tłumy.

– Stasiu wyluzuj – mówię cicho i czuję, że mam miękkie nogi.

Ale jest już za późno. Utworzył się krąg i wpatruje się we mnie tysiąc twarzy. Na miękkich nogach wchodzę na podstawione krzesło. Staram się mówić głośno i spokojnie. Mówię, że strajkuje stocznia i cały Gdańsk, Szczecin, Wrocław, Jastrzębie, u nas Huta, Ursus, MZK... Mówię, trochę podniośle, że musimy ich poprzeć, bo co po latach powiemy dzieciom? Że czekaliśmy beczynnie, aż wielcy załatwią wszystko za nas?

Po 15 minutach jest już komitet strajkowy. Ja, jako przewodniczący, Wojciech Tomaszczuk – kasjer teatralny, Kazimierz Sokołowski – stolarz, Wergiliusz Jasiński i Zbigniew Wolanin z działu sceny, Krzysztof Kalita z baletu, dwaj przedstawiciele orkiestry (nazwisk już nie pamiętam). No właśnie, jaka szkoda, że nie pamiętam już tyłu nazwisk. Ludzie nie związani z teatrem myślą, że orkiestra i balet to tacy

artyści, co im się dobrze żyje, nie pasują do strajku, ale to nieprawda. W balecie i wśród muzyków są artyści, którym się żyje bardzo dobrze, ale większość to ciężko pracujący ludzie, klepiący biedę.

Po chwili robi się jakiś ruch. Przez tłum przeciska się grupa dyrekcyjna. Staje przed nami dyrektor techniczny Jerzy Bojar, sekretarz partii Przetakiewicz i jeszcze parę osób.

– Ogłosiliśmy strajk, przejmujemy władzę nad zakładem – mówię do Bojara. Jest błąd jak ściana. I nagle pierwszy raz w życiu widzę jak „władza” się boi. Ta „władza”, która dotąd umiała nami tylko pomiatać.

– To co mam robić? – pyta roztrzęsiony Bojar.

– Siedzieć w gabinecie. Nikt pana nie wyrzuci – mówię.

„Dyrekcjoni” wycofują się na „z góry upatrzone pozycje”. Komitet strajkowy zbiera się w stolarni, w pokoju, gdzie zwykle jadano posiłki. Spisujemy nasze postulaty. Popieramy strajkujących Wybrzeża, chcemy wolnych związków zawodowych, prawa do strajku, wolnych sobót, podwyżki płac. Dodajemy nasze lokalne postulaty.

Krawcowe teatru szyją strajkowe opaski.

– Poprzednim razem szyłam opaski na powstanie – mówi jedna ze starszych kobiet.

Po południu do naszego pomieszczenia, które stało się już centralą strajku, wkracza ponownie Jerzy Bojar z delegacją dyrekcji i siada naprzeciw mnie.

– Słucham pana dyrektora – mówię. Nie ma nic do powiedzenia, więc przekazuję mu nasze postulaty.

Do tej pory to dyrekcja mówiła, a my słuchaliśmy. Bojar wyraźnie źle się czuje w nowej roli.

Rano 29 sierpnia zaczyna się presja. Wokół nas gęsto od milicji. Nie interweniują, ale robią wrażenie. Przychodzi Janusz Klekowski, skrzypek z orkiestry i redaktor podziemnego pisma „Opinia” (później, w stanie wojennym, Janusz był pierwszym spikerem Radia Solidarność razem z Zosią Romaszewską). Spisuje ze mną wywiad dla „Opinii”. Próbuję nawiązać kontakt z innymi strajkującymi zakładami, ale telefony są zablokowane. Telefon Kuroniów (Jacka i Gajki) też nie działa. U Janka Lityńskiego też cisza. W końcu dostaję od kogoś numer kontaktowy do MKS. Dzwonię (chrzanić podsłuchy). Mówię o naszym strajku.

Wieczorem kontratak dyrekcji. Zwołują zebranie załogi na widowni małej sceny. My też idziemy. Zaczyna sekretarz partii Przetakiewicz. Mówi, że kto się zapisze do nowych związków, ten straci, bo kasa zapomogowa i wczasy zostaną w starym związku. Nie czekając

na dopuszczenie do głosu wołam z sali, że to nie prawda. Głos dostaje solistka operowa Urszula Trawińska-Moroz.

– Ja tu wróciłam z urlopu, a tu jakieś związki... Co tu się wyprawia? Teatr to nie fabryka. Tu się nie robi śrubek...

– Tu się robi Polska – wołam z sali i dostaję brawa. Widzę, że trzeba przejąć inicjatywę. Wychodzę na scenę i mówię:

– Przejmuję, prowadzenie zebrania!

Dyrekcja ucieka z sali. Odczytuję 21 postulatów MKS. Śpiewamy hymn. Jakże inaczej brzmi teraz „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Wieczorem małe zamieszanie. Jeden z pracowników rozgłasza, że na Pradze „są już czołgi”. Ponoć dostał telefon do szwagra. Wchodzę do pracowni, w której gość właśnie peroruje. „Czołgi są już za Wisłą” – słyszę. Ludzie są przerażeni. Nie wiem, jak to jest z tymi czołgami, ale wiem, że coś trzeba zrobić, by nie dopuścić do paniki. „Tobie się Wisła z Wołgą pochrzaniła” – mówię na cały głos – „Nie ma żadnych czołgów, to prowokacja”. Wcale nie wiedziałem, że tych czołgów nie ma, ale miałem nosa, nie było. A wówczas wcale nie było to oczywiste.

Ranek 30 sierpnia zaczyna się od informacji, że jakiś SB-ek spisuje nasze dane w dziale kadr. Biorę „paru sprawnych” i idziemy do kadr. Rzeczywiście, jakiś facet grzebie w teczkach personalnych. Proszę go o przepustkę, ale nie ma. Ma natomiast legitymację MO.

– Pan tu nie pracuje, proszę opuścić budynek teatru.

Ociąga się, ale moich „paru sprawnych” wygląda przekonująco. Zgadza się, ale chce zabrać jakieś kartki. Odbieram mu je. Zawierają nasze nazwiska, daty urodzenia, adresy. Po latach wiem, że tego samego dnia zostałem wpisany na listę do internowania w ramach przygotowań do stanu wojennego. Te listy tworzone jeszcze przed podpisaniem porozumień na Wybrzeżu.

W południe przybywa prezydent Warszawy Szymborski. Do wieczora negocjujemy porozumienie w gabinecie dyrekcji. W tym czasie, gdy cały komitet strajkowy jest na rozmowach, ludzie dyrekcji sięją ferment. „Łoziński to nowy, pewnie specjalnie przysłany, nie reprezentuje załogi. Łozińskiego i Klekowskiego trzeba wyrzucić, „bo to KOR-owcy” (zresztą bzdura, ja nie byłem członkiem KOR-u, a jedynie współpracownikiem, a Janusz był związany z ROPCiO – Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela). Jednak nikogo to gadanie już nie rusza.

31 sierpnia, na dużej scenie, przed widownią wypełnioną strajkującymi, podpisuję porozumienie z Szymborskim. Szymborski próbuje być nonszalancki – „Och, nie jesteście pierwszym komitetem strajkowym, z którym negocjuję...” – To ma pan wprawę w kapitulacjach – gasi go Wirek Jasiński.

Odczytuję porozumienie i jeszcze porozumienie podpisane tego samego dnia przez MKS na Wybrzeżu. Ogłaszam koniec strajku. Ludzie mają łzy w oczach – łzy szczęścia.



W prezydium drugiego dnia Walnego Zjazdu „S” Regionu Mazowsze. Od lewej: Jan Józef Lipski, Krzysztof Łoziński, Krzysztof Łypacewicz.

Strajk w Teatrze Wielkim był zaledwie drobnym kamyczkiem strajkowej lawiny Sierpnia 80. Bo Solidarność to nie tylko stocznia, huty i kopalnie. To były setki, lub tysiące małych strajków, 10 milionów ludzi, którzy nie chcieli żyć w komunie. Pamięć i honor należy się im wszystkim.

Wychodzimy po strajku na miasto, niby to samo miasto, ale mamy wrażenie, że jesteśmy już w innym kraju, niż kilka dni temu – w wolnym kraju.

# Sprawa (nie tylko) Naroźniaka 1980-1983

Opowiem Państwu kawałek historii, całkowicie prawdziwej, choć dziś w świadomości i medialnych przekazach mocno przekręconej, historii w której oprócz tytułowego Jana Naroźniaka wzięło istotny udział parę innych osób, w tym Stefan Bratkowski i ja. Wracam do tej historii, która mogłaby być gotowym scenariuszem do sensacyjnego filmu, właśnie po to, by sprostować nieprawdziwą legendę, która wokół niej narosła.

**25 maja 1982 roku milicja postrzeliła Jana Naroźniaka. Rannego umieszczono w szpitalu pod strażą. Historia jego odbicia z rąk milicji przez działaczy MRKS – Adama Borowskiego i Jerzego Bogumiła – stała się legendą podziemnej Solidarności. Ale naprawdę sprawa Naroźniaka zaczęła się cały rok wcześniej – 19 listopada 1981. Pewne jej reperkusje trwają do dziś.**

## Część I – List

Od tych wydarzeń minęło wiele lat. Tyle czasu potrzebowałem na przełamanie niechęci do ich opisanie, do przywracania wspomnień, o których raczej chciałem zapomnieć. Liczyłem też na to, że sprawę tę opisze kto inny, bo niezręcznie jest mi pisać o mojej własnej roli. Nic chcę, by czytelnik odniósł wrażenie, że buduję swoją legendę,

ale akurat w tej sprawie mojej roli pominąć się nie da. Z drugiej strony, mijają lata, zacierają się pamięć, kilku istotnych uczestników tych wydarzeń już nie żyje, ludzie, którzy drastycznie wówczas łamali prawo pozostali bezkarni. Opisywałem to już w „Kontratekstach” ponad 12 lat temu, ale dziś wiem nieco więcej (dzięki kolejnym dokumentom). Mam też już serdecznie dosyć przypisywania moich dokonań komu innemu. Przez lata miałem nadzieję, że nieprawdziwe elementy legendy sprostuje sam Jan Narożniak, ale niestety nie zrobił tego, a błędna wersja historii żyje już własnym życiem. Dlatego, mimo oporów, zdecydowałem się to opisać. To jest jednostronna relacja oparta na moim stanie wiedzy. Parę aspektów tej sprawy jest ciągle niejasnych. Liczyłem, że odezwą się inni uczestnicy tych wydarzeń i opiszą je ze swej strony. W wydarzeniach tych brał udział nie tylko Jan Narożniak, Adam Borowski, Jerzy Bogumił i ja. Brało w nich udział około 30 osób, których rola do dziś jest nie do końca wyjaśniona.

Opisuję też własną sprawę karną, choć wiem, że to, co się w niej działo, nie było niczym wyjątkowym. Było normą tamtego czasu odwróconych wartości, w którym prawdomówność była podłością, a kłamstwo, składanie fałszywych zeznań i ekspertyz – aktem prawości i odwagi. Ale właśnie dlatego trzeba ten czas opisać.

### List

To była pierwsza jesień po strajkowym zwycięstwie Solidarności, listopad 1980 roku. Żyliśmy wtedy wszyscy w jakiejś niezwyklej gorączce. W siedzibie regionu Mazowsze, na ulicy Szpitalnej panował potworny młyn, przewalały się tłumy, każdy chciał coś zrobić, nikogo nie pytano o funkcję. Pamiętam taki obrazek, że na stole w powszechnie dostępnym pomieszczeniu leżała wielka foliowa torba z pieniędzmi, której nikt nie pilnował. Ludzie dobrowolnie wrzucali do niej pieniądze dla Solidarności. Polacy po latach niewoli po prostu zachłystywali się wolnością, choć komuniści nadal rządzili, za miedzą stała potężna Armia Czerwona, obowiązywała ciągle cenzura, a SB-cja tylko trochę wycofała się do kąta. Ja wówczas byłem przewodniczącym Komisji Zakładowej Solidarności w Teatrze Wielkim, no i udzielałem się w Regionie.

19 listopada przyszedł do mnie mój zastępca z komisji zakładowej, Wojtek Tomaszczuk. Przyniósł dokument – list prokuratora generalnego Lucjana Czubińskiego do prokuratorów wojewódzkich z 30 października. To była istna bomba. Nadruk „Tajne”, a w treści Czubiński zaleca „do umiejętnego stosowania w pracy politycznej i zawodowej” takie metody postępowania z działaczami opozycji, jak inwigilacja, zakładanie teczek, gromadzenie, a nawet fabrykowanie,



materiałów do przyszłych procesów, zatrzymywanie na 48 godzin, a po zwolnieniu zatrzymywanie w kolejnej komendzie, a potem w kolejnej i tak dalej. Zrozumiałem, że trzymam w ręku polityczny dynamit. Tylko skąd Wojtek, teatralny kasjer, ma takie rewelacje?

– Broniek Sapela pokazuje to wszystkim, chwali się, że ma więcej takich dokumentów – odparł Wojtek.

Broniek Sapela był w teatrze stolarzem, jego syn Piotr pracował w powielarni Prokuratury Generalnej. Tajne dokumenty, które powiełał, wynosił do domu, a jego ojciec podkradał mu je i chwalił się kolegom, jakiego to on ma ważnego syna. To był cały PRL. Państwo policyjne jak cholera a tajne dokumenty prokuratora generalnego pokazuje kolegom teatralny stolarz. Żyliśmy w wielkim kabarecie. Broniek i jego syn chyba w ogóle nie zdawali sobie sprawy z tego, z jakimi siłami igrają. Komuniści z dużo mniejszych spraw robili już afery szpiegowskie i przywalali potężne wyroki. Później, już w stanie wojennym siedziałem w celi z „młodocianym szpiegiem”, chłopakiem, który będąc na przepustce z wojska wszedł do konsulatu USA w Poznaniu. Tylko wszedł i nic więcej. Dostał 9 lat za „szpiegostwo”. Gdyby Piotra Sapelę złapano na wynoszeniu tajnego dokumentu, a Bronka – na pokazaniu go „Solidarności”... Za szpiegostwo groziło wówczas „od lat 5, do kary śmierci łącznie”.

Wybłągałem od Wojtka wypożyczenie dokumentu na godzinę. Pognałem do siedziby regionu, na Szpitalną. Miałem pecha, prawie nikogo z zarządu nie było. Spotkałem tylko Zbyszka Janasa i pokazałem mu dokument, ale musiałem ten dokument oddać z powrotem. Nie wiem, czemu żaden z nas nie wpadł wówczas na pomysł, by to od razu skopiować.

Oddałem dokument. Czulem niedosyt. Co z tego, że ja i Janas to widzieliśmy? Ustne świadectwo nie miało wartości bez dokumentu. Wiedziałem już, że ten dokument znajduje się w powielarni prokuratury, tylko jak go stamtąd wydostać? Dopomógł mi przypadek.

W 1980 roku na wykonanie kserokopii w jednym z nielicznych punktów usługowych trzeba było mieć zgodę z cenzury. Dlatego kopiowało się różne rzeczy w państwowych instytucjach „na fuchę”. Oczywiście, do tego trzeba było mieć „dojście”. I tu miałem szczęście. Moim „dojściem” był pewien pracownik Prokuratury Generalnej (znajduje się ona 100 metrów od Teatru Wielkiego). Do dziś nie wiem, jak się nazywał. Od początku istnienia Solidarności powiełałem u niego „na fuchę” materiały komisji zakładowej. Pieniądz, jak widać, nie ma poglądów politycznych. Mawiało się nawet, że kumoterstwo i korupcja to ostatnie ludzkie uczucia socjalizmu. A swoją drogą, to znów kabaret.

Opozycjonista powieliła materiały wywrotowe na lewo w Prokuraturze Generalnej.

Następnego dnia, 20 listopada 1981 roku, zadzwoniłem do „mójgo człowieka” i umówiłem się z nim w Telimienie. Wziąłem jakies małe ważne papiery do powielenia. Chodziło mi o dostanie się do powielarni prokuratury. „Mój człowiek” wprowadził mnie do budynku metodą „ten pan ze mną”. To był ściśle strzeżony budynek. Było biuro przepustek i wartownicy. Ale, jak to w PRL-u, nic nie działało tak, jak powinno. Pracownicy prokuratury wprowadzali często różnych ludzi metodą „ten pan ze mną”, bez przepustki. „Mój człowiek” wprowadził mnie do powielarni i poszedł. Zostałem sam z drukarzem i kombinuję, jak tu odnaleźć ten dokument i zwędzić. I znów miałem szczęście. Drukarz wyszedł na chwilę do telefonu. Ta chwila mi wystarczyła. Znalazłem cały stosik egzemplarzy listu. Zwinąłem jeden do teczki. Po chwili przez nikogo nie sprawdzany wyszedłem. Wartownik jeszcze pamiętał, że przed chwilą wchodziłem z pracownikiem prokuratury i nie żądał przepustki. To się teraz tak łatwo pisze, ale to był najtrudniejszy moment całej akcji. Pozazdrościć Sapelom tej błogiej nieświadomości. Ja w przeciwieństwie do nich dobrze wiedziałem, co mi groziło, gdybym został złapany na zwędzeniu tajnego dokumentu.

Z informacji ustalonych później, już w wolnej Polsce, przez prokuratora IPN wiem, że ten „mój człowiek” musiał być co najmniej prokuratorem w Prokuraturze Generalnej, bo nikomu innemu takie wprowadzanie kogoś z zewnątrz metodą „ten pan ze mną” by nie przeszło. Ale kto to był? Do dziś nie wiadomo.

Teraz do Regionu, na Szpitalną. Znowu nie ma nikogo z zarządu, ale widzę Janka Naroźniaka. Znamy się z gór i ze współpracy z KOR-em. Wiem, że Jankowi mogę zaufać. Pokazuję mu dokument. Obaj postanawiamy natychmiast go skopiować. A tu pech: dziewczyna od kserografu poszła na obiad i zabrała ze sobą klucze. Janek przez chwilę próbuje dostać się do tego pokoju po gzymsie przez okno, ale nie udaje mu się i wraca. Po chwili postanawia powielić dokument na mieście. Ponoć ma pewne, bezpieczne miejsce. Wrócił po jakiejś pół godzinie. Miał dziesięć kopii i oddał mi oryginał.

Teraz czekała mnie druga ryzykowna część akcji – podrzucenie dokumentu z powrotem. Wróciłem do teatru. „Mój człowiek” po chwili zadzwonił, że druki, które dałem do powielenia, są do odbioru. Musiałem coś wymyślić, by wejść ponownie do powielarni. W innym przypadku facet przyniósłby mi druki do Telimieny. Powiedziałem, że mam jeszcze jakiś interes do drukarza. Ponownie weszliśmy do powielarni metodą „ten pan ze mną”. Odebrałem swoje druki i myślę, jak to podrzucić, by nikt nie widział. I znów miałem trochę szczęścia. Drukarz

i mój facet pochylił się nad jakąś publikacją i coś uzgadniali. Wyciągnąłem list Czubińskiego z teczki i podrzuciłem gdziekolwiek. Po chwili podszedł do mnie drukarz i pyta, co jeszcze chciałem. Udałem zakłopotanie, że owszem chciałem, ale zapomniałem tę robotę ze sobą zabrać, podrzucę następnym razem, bo to nic pilnego. W tym momencie zauważył położony przeze mnie list Czubińskiego i mówi:

– Kto to do cholery tu położył? – i do siebie – Nigdy się matoly nie nauczą porządku!

Po czym wziął list i położył na miejsce.

Ponownie przekraczam portiernię, a strażnik do mnie:

– Można zobaczyć, co pan ma w teczce?

Oczywiście szanowny strażniku. Teraz to już sobie możesz oglądać moją teczkę nawet pod światło. Udało się. Idę do teatru i dochodzę do wniosku, że sytuacja jest znakomita. Nawet gdyby się kapnęli, mój facet, drukarz lub strażnik, to żaden z nich nie może się do tego przyznać. Jeden wprowadzał faceta z „Solidarności” bez przepustki, drugi robił fuchy, a trzeci wpuszczał kogoś bez kontroli. Wszyscy muszą więc milczeć.

**Chcę tu bardzo wyraźnie podkreślić: to ja, a nie Jan Naroźniak, wyostałem i ujawniłem ten dokument.** Pewną rolę odegrał tu świadomie Wojciech Tomaszczuk i całkowicie nieświadomie Bronisław i Piotr Sapeła. Ci ostatni owszem dokument podkradali, ale nie po to by go ujawniać „Solidarności”, i kompletnie nie rozumiejąc jego znaczenia. **Rola Jana Naroźniaka ograniczała się do wykonania 10 kserokopii, a Piotra Sapeły była wręcz żadna.**

### Kryzys

Jeszcze tego samego dnia wieczorem milicja przeprowadziła rewizję w Regionie. Tego jeszcze nie było. Od czasu podpisania porozumień sierpniowych władza nie atakowała nas jawnie. Były kryzysy i napięcia, ale milicja nie wkraczała do siedzib związku. Znaleźli kopie powielonego listu Czubińskiego. Myśleli naiwni, że wszystkie. Zatrzymali Janka Naroźniaka, którego ewidentnie musiał ktoś zakapować. Z milicją przysłała prokurator Wiesława Bardonowa. Zaskoczony Zbyszek Bujak widzi list Czubińskiego po raz pierwszy, ale od razu mówi, że takie coś, to on na pewno każe powiełać. Później okazało się, że jednocześnie zatrzymali Piotra Sapełę. Zrobili rewizję u wszystkich osób związanych z powielarnią i w samej powielarni. O tym, że dokument pochodził z powielarni świadczył brak numeru nadania.

Wyniki tych przeszukań musiały wprawić ubecję w zakłopotanie. W powielarni nie brakowało żadnego egzemplarza. W domu u Sapeły

znaleźli różne dokumenty, jakie wynosił, ale tego dokumentu nie było. Dowiedziałem się o tym nazajutrz, 21 listopada, od jego ojca, Bronka. Zrozumiałem, że władza wcale nie wie, kto wyniósł dokument i kiedy. Janka zgarnęli, bo ktoś go zakapował, prawdopodobnie ktoś, kto zauważył, że dokument powieła, ale nie wiedział nic więcej. Rewizja w powielarni i w domach jej pracowników była logiczną konsekwencją szukania źródła przecieku. Co do młodego Sapęły, to wiedzieli tylko, że wynosił jakieś dokumenty do domu, ale wcale nie byli pewni, że wyniósł także ten. W końcu, według ich wiedzy, żaden egzemplarz z powielarni nie zginął, nikogo obcego tam nie było, słowem – zagadka. Ubecja prawie nic nie wiedziała i tylko oszukiwała swoich przełożonych, czyli KC PZPR, że sporo wie.

Władza zachowała się w tej sprawie idiotycznie i histerycznie. Mimo że wcale nie wiedzieli, czy to Sapęła i Narożniak rzeczywiście wykradli ten list, oskarżyli ich o kradzież i powielanie tajnego dokumentu. Nie tylko potwierdzili w ten sposób, że dokument jest prawdziwy, ale w dodatku przyjęli konfrontację z nami w najlepszym dla nas i najgorszym dla nich momencie. Biuro Polityczne Komitetu Centralnego na zebraniu 26 listopada zachowywało się jak gromada zacierzewionych fanatyków i nie potrafiło znaleźć pragmatycznego wyjścia z sytuacji. Z protokołu tego zebrania: „*Tow. Józef Pińkowski zapytuje, kiedy dokument był wykradziony i czy Narożniak wiedział, że jest to dokument tajny? Tow. Lucjan Czubiński – Dokładnie nie wiadomo. Narożniak nie odpowiada na pytania. Narożniak w chwili przeszukania powiedział, że dokument otrzymał od osoby, której nazwiska nie ujawni, odbił 10 egz. i oddał osobie, której nie ujawni*” (podkreślenie moje).

21 listopada, na drugi dzień po zatrzymaniu Janka Narożniaka i Piotra Sapęły idę do Regionu z Bronkiem Sapęłą, który ma od naszych prawników otrzymać poradę i pomoc. Bronek jest roztrzęsiony i przerażony. Idziemy przez Plac Zwycięstwa (dziś Plac Piłsudskiego), a Bronek niemal mi płacze, że on pójdzie się zgłosić na SB i w ten sposób uratuje syna.

– W ten sposób to go wkopiesz, a nie uratujesz – mówię – Oni na razie wcale nie wiedzą, jak ten list się wydostał. Jeśli się przyznasz, to dostarczysz im dowodu na to, że Piotr ten list wyniósł i wtedy to już sytuacja będzie naprawdę ciężka.

Robię Bronkowi cały wykład o postępowaniu z SB i o zachowaniu „na salonach MSW”, o odmawianiu zeznań itp. Poskutkowało. Oczywiście Bronek nic nie wie o mojej akcji, ale jego przyznanie się byłoby groźne także dla mnie. Do tego momentu młody Sapęła nie

mógł mnie wkopać, bo sam nie wiedział, w jaki sposób list dotarł do „Solidarności”. Nawet, jeśli w śledztwie się przyznał, że wyniósł go do domu i odniósł z powrotem, to dla prowadzących sprawę nic z tego nie wynikało.

Tego samego dnia Prezydium Zarządu Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność” wydaje oświadczenie, w którym odnosi się do listu Czubińskiego: *„Dokument ten ujawnia liczne przypadki samowolnych decyzji policyjnych, nadużywania władzy i łamania prawa. Co więcej traktuje je jako zupełnie oczywiste. Pokazuje tym samym, że urząd prokuratorski jest instrumentem w rękach aparatu bezpieczeństwa.”* Dalej związek domaga się *„natychmiastowego uwolnienia Jana Narożniaka”* oraz *„ujawnienia roli Lucjana Czubińskiego w naruszaniu prawa w minionym dziesięcioleciu, a zwłaszcza jego odpowiedzialności za znęcanie się nad robotnikami Ursusa i Radomia po czerwcu 1976 r.”* Oświadczenie kończy się ogłoszeniem gotowości strajkowej i zapowiedzią strajku regionu w razie nie spełnienia żądań.

Odrębne oświadczenie wydał Zbigniew Bujak, jako prezes Zarządu Regionu, w którym polecał powielenie dokumentu *„w takiej liczbie egzemplarzy, by mogło otrzymać go każde koło związku”*. Doszło do paradoksalnej sytuacji, w której „tajny” list prokuratora generalnego do prokuratorów wojewódzkich, przygotowany w ograniczonej liczbie egzemplarzy, został powielony w nakładzie kilkudziesięciu tysięcy (inicjatywę Bujaka podchwyciły inne regiony) i udostępniony każdemu, kto chciał go przeczytać. W końcu autor tego listu wcale nie wysłał go adresatom. I tak mogli go przeczytać niemal wszędzie.

Gdy czytam po latach list Czubińskiego wydaje mi się on śmieszny. W opisach działalności „elementów antysocjalistycznych” i „trockistowsko-rewizjonistycznych”, jak on nas wszystkich nazywa, błąd na błędzie i kompletny kabaret. Na przykład: *„Służba Bezpieczeństwa ujawniła »List otwarty do członków PZPR«”* Kuronia i Modzelewskiego. Jak można ujawnić list otwarty? Napisanie listu otwartego to *„próba obalenia przemocą ustroju PRL”*. Delikatny ten ustrój. *„Zwalczano przypadki wrogich działań antysocjalistycznych, na przykład aresztowano, oskarżono i skazano Melchiora Wańkowicza”*. Pamiętam krążący wówczas dowcip: na Trzech Króli złapią Kacpra i Baltazara (bo Melchiora już mają). Czubiński wspomina o *„organizowaniu aktów terroru – próbie wysadzenia pomnika Lenina w Poroninie”*. Jaki kraj, taki terroryzm. Współpraca z *„wrogimi Polsce organizacjami”* polegała na *„przekazywaniu im fałszywych wiadomości”*. Na czorta komu fałszywe wiadomości?

## Strajk

W następnych dniach Solidarność rozszerza żądania o zwolnienie także Piotra Sapęły i Leszka Moczulskiego z KPN (siedzi od początku września). Strajkuje coraz więcej zakładów. W końcu strajkują niemal wszystkie zakłady regionu. Jeszcze moment, a stanie cała Polska.

W Ursusie zgromadziło się kilkuset przedstawicieli strajkujących zakładów. Trwa nieustający wiec. Nastrój coraz bardziej radykalny. Oliwy do ognia dolewa poeta Jerzy Narbut odczytując wiersz dedykowany Zbigniewowi Bujakowi:

*Nasz jest ten dzień, a jutro jest nieznane,  
Lecz róbmy tak, jak gdyby nasz był wiek.  
Pod wolny kraj spokojnie kłaść fundament  
Zjednoczmy się, bo jeden jest nasz cel.*

*A jeśli ktoś nas polski dom zapali,  
To każdy z nas gotowy musi być,  
Bo lepiej byśmy stojąc umierali,  
Niż mieli kłęcząc na kolanach żyć.*

Niestety i ja trochę dołałem na tym zebraniu oliwy do ognia. Moje wystąpienie było wyjątkowo ostre. Dziś myślę, że trochę przesadziłem, ale trudno, poszło...

Jednocześnie Stefan Bratkowski prowadzi mediację między nami a władzą. 26 listopada późnym wieczorem władze decydują się zwolnić aresztowanych. Bratkowski jedzie po nich na Rakowiecką. Czekają pod bramą całą godzinę, bo jak się okazało zgubiono podkoszulki aresztantów i zwolnienie się przeciąga. Kryzys w całym kraju grożący nieobliczalnymi konsekwencjami a paru klawiszy opóźnia jego przerwanie o całą godzinę, bo szuka dwóch podkoszulek. Wreszcie koło północy Narożniak i Sapęła zostają wniesieni na rękach do sali w Ursusie. Odwołujemy strajk.

## Po drugiej stronie

Cofnijmy się w czasie o parę godzin. 26 listopada zbiera się Biuro Polityczne KC PZPR. Panuje na nim chaos i histeria. Niektórzy wręcz proponują działania magiczne. Stefan Olszowski chce złamać strajk za pomocą „wystąpienia w telewizji ministra sprawiedliwości i prezydenta Warszawy”, Tadeusz Grabski za pomocą „uchwały anty-strajkowej”. Wojciech Jaruzelski oburza się, że Życie Warszawy opublikowało oświadczenie Solidarności. Władysław Kruczek histeryzuje: „Artykuł Życia Warszawy nie tylko o Narożniaku pisze, już biorą się

za Służbę Bezpieczeństwa, dobiórą się i do nas!”. Wspierają go w tej histerii Henryk Jabłoński i Mieczysław Jagielski – „to, co opublikowało Życie Warszawy, jest karygodne!” Między tym wszystkim wezwania do użycia przemocy pomieszane z biadoleniem, że „nie jesteśmy na to przygotowani”.

Na plenum pojawiają się żądania „przyspieszenia przygotowań do konfrontacji” (Olszowski, Grabski, Milewski, Kruczek, Jaruzelski, Brych). Wojciech Jaruzelski wypowiada zdanie: „Czy tow. Jabłoński będzie w stanie uzyskać stanowisko Rady Państwa dla dekretu o stanie wojennym?” (wszystko to cytuję za protokołem KC PZPR z 26 listopada 1980 roku). Rozważane są różne warianty: zwolnić tylko Naroźniaka, zwolnić obu, nie zwalniać żadnego.

„Tow. Stanisław Kania – Informacja od towarzysza Fiszbacha – jeśli Naroźniak zostanie zwolniony i pojawi się dziś w Ursusie, to strajk odwołaję. Maję plan strajku dla wszystkich dużych miast.

Tow. Kazimierz Barcikowski – Na konfrontację nie jesteśmy przygotowani.

Tow. Stefan Olszowski – Czy wtedy, gdy zdecydowano się na areztowanie Naroźniaka, nie brano tego wszystkiego pod uwagę?

Tow. Józef Pińkowski – Przeciwnicy dążą do demontażu władzy. Sprawa Naroźniaka jest ogromna, może dojść do awantur. Czy czas do podjęcia konfrontacji jest odpowiedni i sprawa tego warta? Jeśli odwołaliby strajk, to można to (zwolnienie areztowanych) rozważyć. Jednocześnie powołać sztab, który podejmie wszechstronne przygotowania na wypadek konfrontacji, rozważyć możliwość wprowadzenia stanu wojennego.”

Jakże groźnie brzmią te słowa. 13 miesięcy później stan wojenny wprowadzono. Z tych wypowiedzi widać, że towarzyszom chodziło wyłącznie o czas. Hasło „władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy” traktowano na serio.

Wreszcie decyzję podejmuje Stanisław Kania:

„Podjęć próbę honorowego kompromisu – przerywają strajk, zwalniamy obu zatrzymanych. Natychmiast podjąć przygotowania do osiągnięcia gotowości do konfrontacji:

– powołać roboczy sztab w składzie: Pińkowski, Olszowski, Barcikowski, Grabski, Jagielski, Kociolek, Werblan, Waszczuk, Milewski, Czubiński i szef Sztabu Generalnego. Przystąpi do pracy natychmiast.

– dokonać bilansu wszystkich sił, możliwości manewrowania nimi,

– opracować rozwiązania prawne dotyczące strajku,

– zaprogramować funkcjonowanie życia społecznego w warunkach nadzwyczajnych.”

Dziś czytam ten protokół jak kryminał. Czyżbym miał przed sobą pierwszą decyzję o przygotowaniu stanu wojennego? To, że towarzysze postanowili pod wpływem tego kryzysu przystąpić na serio do przygotowań nie ulega wątpliwości. Nie oznacza to jednak, że podjęli już decyzję o jego wprowadzeniu. Raczej chcieli się przygotować na taką ewentualność. Pewne wypowiedzi na tym posiedzeniu wskazują, że myślano o stanie wojennym już wcześniej, ale być może nie konkretnego nie robiono. Teraz podjęto decyzję działania. Z tych dokumentów wynika jasno, że przygotowania do siłowej likwidacji „Solidarności” zarządził nie Jaruzelski, lecz Stanisław Kania. Jaruzelski na pewno jego dzieło kontynuował i zapewne to on podjął ostateczną decyzję, ale pomysłodawcą nie był.

Dodatkowe światło na tę kwestię rzuca protokół z posiedzenia Biura Politycznego z 6 grudnia (10 dni później). Stanisław Kania był już po wizycie w Moskwie, gdzie wezwał go na dywanik zaniepokojony Breżniew. Polscy komuniści dopiero co z trudem przekonali Breżniewa, że podpisując porozumienia sierpniowe opanowali sytuację, a tu minęły nie całe trzy miesiące i strajkuje kilkaset zakładów. Kania musiał się nieźle wic na tym dywaniku.

6 grudnia Stanisław Kania mówił: *„Stanowisko zajęte przez bratnie partie na spotkaniu w Moskwie wzmacnia nas i tworzy nowy element sytuacji. Nie ze wszystkimi ocenami przyjaciół możemy się zgodzić, ale musimy je brać pod uwagę jako realność. Nasza sytuacja rzutuje na sytuację w bratnich krajach, dlatego mają one prawo do ostrzejszego spojrzenia na sytuację w Polsce. Wielkim naszym atutem jest zaufanie bratnich partii do naszego kierownictwa, połączone z wiarą, że sytuację opanujemy własnymi siłami.”* Przetłumaczmy tę partyjną nowomowę na zrozumiały dla wszystkich język polski: Moskwa poparła pomysł wprowadzenia stanu wojennego („wzmacnia nas”) i wywiera nacisk na jego realizację („tworzy nowy element sytuacji”). Za razem pojawiło się ultimatum („realność”) – jeśli sami stłumicie Solidarność, naszej interwencji nie będzie („zaufanie, że sytuację opanujemy własnymi siłami”). Tym samym zapadła decyzja, już nie o przygotowaniu stanu wojennego, ale o jego wprowadzeniu (choć bez daty). Ta decyzja zapadła w Moskwie.

Przestrzegał bym jednak przed zbyt uproszczoną interpretacją. Do realnego wprowadzenia stanu wojennego był jeszcze rok. Decyzje w tym czasie mogły wielokrotnie się zmieniać. Nie można pisać historii tylko na podstawie jednego, czy dwóch dokumentów. Jedno nie ulega wątpliwości. Sprawa Naroźniaka znacznie wzmocniła w szeregach



władzy obóz pracy do konfrontacji (w którym Jaruzelski był razem z Werblanem i Olszowskim). Wygraliśmy bitwę, ale zaczęliśmy przegrywać wojnę.

W tej chwili, w 2016 roku, wiem już nieco więcej, co zresztą potwierdzają cytowane tu dokumenty. Komuniści (i SB) **zgodzili się na mediację Stefana Bratkowskiego i zwolnienie aresztowanych dlatego, że już wówczas dokładnie wiedzieli, iż Jan Narożniak był tylko nieistotnym i przypadkowym uczestnikiem wydarzeń.** Wiedzieli, że jego rola sprowadzała się tylko do wykonania kserokopii, że dostał dokument od kogo innego (choć nie wiedzieli od kogo) i że Narożniak sam nie wie, skąd ten ktoś to miał. Nie przychodziło im do głowy, że jakiś Łoziński z Teatru Wielkiego mógł dwa razy wejść do PG, jak do kina bez biletu. Podejrzewali raczej dywersję we własnych szeregach (czyjąś rozgrywkę personalną z Czubińskim) a nawet zagranie obcego wywiadu. Narożniak i Sapela nie mieli dla nich większego znaczenia. Jeśli nie zwolnili ich do razu, to raczej z nawyku, że jak już siedzi, to niech siedzi, niż z rzeczywistej potrzeby.

Z naszej strony tylko kilka osób z zarządu regionu (Bujak, Romaszewski, Janas(?)) wiedziało, że to ja wyniosłem dokument. Wielokrotnie pytano nas (nawet wprost mnie) skąd się list Czubińskiego wziął w biurze regionu, ale nie mogliśmy tego ujawnić, bo to by oznaczało kolejne aresztowania. Przedstawiciele strajkujących załóg pytali nas o to także w czasie tego zebrania w Ursusie. Ja na wszelki wypadek zniknąłem z domu. Ukrywała mnie Marysia Zajdler, działaczka „S” z Teatru Rozmaitości.

## Część II – Akcja

Panuje przekonanie, że stan wojenny nas zaskoczył. Nie jest to prawda, choć zaskoczyła nas data jego wprowadzenia. Sygnałów było bardzo dużo już kilka miesięcy wcześniej. Aby nie widzieć, co się święci trzeba było być ślepym. Realne przygotowania z naszej strony, w wielkiej tajemnicy, do której u nas w Mazowszu dopuszczone było tylko kilkanaście osób, zaczęły się gdzieś na przełomie sierpnia i września 1981 roku. Później nabrały one tempa. 15 sierpnia otrzymaliśmy informację, że w Moskwie drukowany jest plakat „*Obwieszczenie o wprowadzeniu stanu wojennego na całym terytorium PRL*”. Nie było na nim daty, a w podpisie był „*Przewodniczący Rady Państwa*” bez nazwiska. 11 października zostałem upoważniony do „*organizowania sieci Tymczasowych Komisji Wykonawczych na terenie*

*dzielnicy Warszawa Śródmieście*". Podpisał to upoważnienie, w imieniu Prezydium Zarządu Regionu, Krzysztof Łypacewicz. Mam ten dokument do dzisiaj, a mówi on sporo. Otóż wypisany jest na gotowym druku, w który wstawiono tylko moje nazwisko i dzielnicę. Takie upoważnienia musiały dostać więcej osób, bo dla mnie jednego nikt by specjalnego druku nie robił. To znaczy, że na początku października nasze przygotowania do stanu wojennego były już bardzo zaawansowane.

### **Konspira**

Zostałem włączony do zespołu organizującego „straż robotniczą”, która miała być odpowiedzialną za przygotowania władzy. Kierujący zespołem Marek Nowicki polecił mi przygotowanie zakonspirowanej grupy do trudniejszych akcji oraz grupy do rozpracowywania struktur milicji i SB. Oczywiście wszystko potoczyło się inaczej niż planowaliśmy. W podziemiu powstały zupełnie inne struktury. Nigdy nie zostałem szefem podziemia w Śródmieściu. Kierowanie grupą mającą śledzić poczynania milicji i SB przejął ode mnie Bogdan Zalega, pseudonim „Laborant” (a nie „Bobas”, jak błędnie o nim później pisano), ja zaś zająłem się organizowaniem grup do trudniejszych akcji. Nie jednej, lecz kilku. Marek powierzył to zadanie mnie, bo byłem nie tylko alpinistą ale i trenerem kung fu i dysponowałem klubem zrzeszającym kilkuset bardzo sprawnych fizycznie młodych ludzi (muszę tu wyjaśnić, że nie chodziło o umiejętność walki – te grupy miały dokonywać akcji wymagających większej odwagi i sprawności, ale nie planowaliśmy walki czy terroryzmu).

*Tu mała dygresja: Czytelnicy wiedzą, że jestem z wykształcenia fizykiem i matematykiem, oraz że byłem alpinistą. Napisałem, że wówczas pracowałem w Teatrze Wielkim i że byłem trenerem kung fu. Nie ma w tym żadnej sprzeczności. W Teatrze Wielkim byłem modelatorem (robiłem dekoracje). Znalazłem się tam, bo na skutek nieplanowanej akcji ratunkowej w Himalajach nie wróciłem na czas z urlopu i straciłem pracę, a gdzieś pracować musiałem. Kung fu ćwiczyłem od 1964 roku (jako jeden z pierwszych w Polsce), a treningi prowadziłem po pracy, po południu. Alpinizm uprawiałem równoległe od 1960 roku.*

**OBOWIĄZKOWA OBYWATELSKIEJ**  
 D-n 4285/72  
 1972 r.  
 Termin dnia 23. I 1972 r.

**WEZWANIE**  
 Wzywa się Obywatela(ke) do osobistej w daniu 23. I 1972 r. w lokalu Kryzstof Lozinski

Ob. Kryzstof Lozinski  
 Nazwisko Marianne  
 ul. Podchorąża 20 m 3  
 pow. Warszawa  
 Termin dnia 23. I 1972 r.

**KOMIENDA MIEJSCOWA**  
 Warszawa Jednostka 1039  
 OS L. dz. PG-VI-849/83  
 Data 28.04 1983 r.

**WEZWANIE**  
 Wzywa się Obywatela(ke) do osobistej w daniu 22/87 w lokalu Warszawa

Ob. Kryzstof Lozinski  
 zam. Klanz zaho  
 ul. Z.k.M 14 m 31  
 p-ta Uzynoi  
 woj. Warszawa

**SĄD REJONOWY DLA M ST. WARSZAWY**  
 VI WIDZIAL K...  
 AL. Gen. Świerczewskiego 127  
 00-958 Warszawa  
 Dnia 06. I 1983 r.  
 Sygn. akt VIK 1320/82

**WEZWANIE**  
 Wzywa się Obywatela(ke) do osobistej w daniu 22/87 w lokalu Warszawa

Ob. Kryzstof Lozinski  
 ul. Rakowiecka 37  
 (dokładny adres)  
 Termin dnia 20. I 1983 r.

**ARES SZEDZOZY**  
 Wzywa się Obywatela(ke) do osobistej w daniu 10/83 w lokalu Warszawa

Ob. Kryzstof Lozinski  
 ul. Rakowiecka 37  
 Termin dnia 20. I 1983 r.

**WEZWANIE**  
 Wzywa się Obywatela(ke) do osobistej w daniu 10/83 w lokalu Warszawa

Ob. Kryzstof Lozinski  
 ul. Rakowiecka 37  
 Termin dnia 20. I 1983 r.

o godz. 10<sup>00</sup> w Sądzie przy ul. AL Świerczewskiego Nr 127  
 w sali nr 228 w pokoju nr 228 w sprawie 2 akt. 279 kł

Stawiennictwo jest obowiązkowe.  
 \*) Zbędne skreślić.  
 MB/K wezw. OPERA POLICJA I ZRYCZALTOWANA  
 Mi/K wezw. 3

**SECRETARZ**  
 DIW ZZ 34/82 640.000

Typowe pieszczoty ze strony SB. Ciągłe wzywanie na przesłuchania

Wracajmy do tematu. Kłopot był w tym, że ci ludzie z klubu kung fu byli bardzo młodzi, ich odporność psychiczna i dojrzałość pozostawiała wiele do życzenia. No i nie mieli żadnej praktyki w konspiracji. Szkoliłem ich, ale zwlekałem z włączeniem do akcji. Tymczasem inne grupy, złożone z mniej „bojowych”, ale za to nieco starszych osób, od samego początku zaczęły się sprawdzać w akcjach ulotkowych i... No właśnie, objawił się pewien szkopuł przypadkowej struktury podziemia, w której każdy działał trochę gdzie popadnie. Okazało się, że część „moich” grup uczestniczy jednocześnie w akcjach MRKS-u organizowanego przez Zbigniewa i Zosię Romaszewskich oraz Adama Borowskiego. Innego dnia w moje pomysły włączali się zupełnie „nie moi” ludzie od Adama. Czasami naprawdę nie było wiadomo, kto komu podlega, a niektórzy podlegali temu, komu dziś podlegać chcieli.

Między tym wszystkim były kawałki bardzo dobrej konspiracji. Na przykład bardzo skuteczne ukrywanie Bujaka (przez 5 lat), bardzo dobrze ukryta grupa Bogdana Zalegi dostarczająca parę razy cennych informacji (tajemnicę, kto w niej był, zabrał Bogdan do grobu). Ale jednocześnie były takie sytuacje, że działający w ścisłej konspiracji Bogdan udzielał się przy wydawaniu pisma „Fakty”, gdzie konspiracja była wręcz symboliczna i moim zdaniem niepotrzebnie ryzykował wyspę (Trzeba mu jednak przyznać, że w tym środowisku nie pisał ani słowem o tym, że robi coś jeszcze i, o ile wiem, nie powiedział nawet własnej żonie). Nie chcę twierdzić, że byłem mądrzejszy od wszystkich. Sam wdałem się w wydawanie niskonakładowego pisemka „Cel” (wyszły tylko 3 numery) i nawet sam się bawiłem w kolportaż, a miałem przecież zajmować się dużo poważniejszymi sprawami.

Taka sytuacja irytowała mnie i chciałem ją uporządkować. Spotkałem się z Adamem Borowskim, ale on zażądał, bym się mu po prostu podporządkował. Ja z kolei nie widziałem ku temu powodu, skoro w powstałej strukturze podlegałem niemal bezpośrednio przewodniczącemu regionu, Zbyszkowi Bujakowi (po drodze między nami byli tylko Michał Wroniszewski i Marek Hołuszko). Z kolei Zbyszek Bujak miał zupełnie inną niż ja koncepcję organizacji podziemia (po latach przyznając, że miał rację). Ja chciałem uporządkowania struktur, a Zbyszek uważał, że taka luźna, płynna struktura jest dużo trudniejsza do rozpracowania. Z kolei z Adamem różniliśmy się podejściem do działania, mimo kilkukrotnej, mniej lub bardziej zamierzonej współpracy (np. przy wmurowaniu tablicy upamiętniającej górników z kopalni „Wujek”, przy organizacji pochodu Solidarności 1 maja 1982 roku). Ja na każdą większą akcję chciałem uzyskać zgodę Bujaka, lub chociażby Marka Hołuszki (członka prezydium zarządu Regionu). Tymczasem Adam Borowski preferował działanie bez oglądania

się na nikogo i z dobrym skutkiem przeprowadził parę bardzo spektakularnych akcji. Adam miał pełne prawo do takiego sposobu działania. Nasze podziemie nie było wojskiem, nie było regulaminów ani rozkazów. Każdy robił to, co uważał za słusne. Muszę zaznaczyć, że mimo różnic w koncepcji działania, nie byliśmy ugrupowaniami konkurencyjnymi. Wręcz przeciwnie, pomagaliśmy sobie nawzajem, a dyskusje i różnice poglądów to rzecz normalna.

### **Strzały**

25 maja 1982 roku Janek Narożniak został postrzelony dwoma pociskami z Kbk-AK przez patrol ZOMO.

Po ogłoszeniu stanu wojennego Janek ukrywał się. Wśród dawnych działaczy podziemia dominuje obecnie opinia, że ukrywał się niepotrzebnie, bo nikt go nie szukał. Jednak furia, w jaką wpadło SB po jego uwolnieniu przez podziemie, a także niezwykle rozbudowana obstawa szpitala na Banacha, w którym leżał po postrzale, świadczą raczej o czymś innym. SB uważało go za bardzo ważnego więźnia, co było zrozumiałe po wydarzeniach z przed roku związanych z listem Czubickiego. Myślę, że oni nadal bardzo się chcieli dowiedzieć, jak ten list wydostał się z prokuratury. Ściślej mówiąc, dziś wiem (na podstawie dokumentów SB), że początkowo uważano go za ważnego więźnia głównie z powodu postrzelenia i szoku społecznego, jaki to postrzelenie wywołało. Po kilku dniach do SB dotarła wiadomość, że podziemie planuje jego uwolnienie, i wówczas bardzo zaostrzono kontrolę. Narożniak stał się dla SB więźniem prestiżowym.

Janek został zatrzymany przez przypadkowy patrol ZOMO. Wówczas ZOMO na ulicach legitymowało, a nawet rewidowało, ludzi. Tym zomowcom jego nazwisko nic nie mówiło (nie był też na liście osób poszukiwanych), ale nie miał w dowodzie osobistym stempelka o zatrudnieniu, a obowiązywała ustawa o „pasożytnictwie” wprowadzająca obowiązek pracy. Nie miał też legitymacji studenckiej, bo był na studium doktoranckim. Zomowcy stwierdzili, że muszą go zatrzymać. Janek przestraszył się internowania i zaczął się targować, by go puścili. Zażądali od niego 5 tysięcy złotych (równowartość dzisiejszych 220 zł), ale on miał przy sobie tylko 1200 złotych (ówczesna wartość nabywcza tej sumy była zbliżona do dzisiejszych 50-60 zł). Wówczas zaczął uciekać, a zomowiec (st. szer. Bydłoń), wycelował z kałasza i puścił serię. Janek dostał dwie kule. Jedną w nasadę małego palca prawej ręki, drugą w biodro. Pierwsza urwała mu palec, druga przebiła miednicę i narządy wewnętrzne. Pogotowie zabrało go do szpitala przy ulicy Banacha, gdzie był operowany. Wbrew późniejszej legendzie Janek nie zo-

stał postrzelony, gdy „szedł na akcję”. Według mojej wiedzy nie działał w podziemiu, po prostu gdzieś szedł.

Milicja obstawiła wszystkie wejścia do szpitala. Pod drzwiami pokoju, w którym leżał Janek, stale dyżurowało dwóch milicjantów, w pobliżu jeszcze trzech.

### Plan

**Muszę tu wyraźnie zaznaczyć, że mam świadomość, iż moja rola w uwolnieniu Janka Naroźnika była drugorzędna w stosunku do tego, co zrobili chłopcy z MRKS. Opisuję jednak wydarzenia od swojej strony, na podstawie tego, co wiem i tylko z tego powodu o moich przeżyciach będzie tu więcej, bo zwyczajnie więcej wiem o tym, co sam robiłem, niż o tym, co robił kto inny. Jest to jedyny powód pewnej dysproporcji w opisie.**

Gdy dowiedziałem się o postrzeleniu Janka i o tym, że jest w szpitalu, niemal natychmiast postanowiłem go odbić. Wiedziałem, że czasu jest mało, bo gdy tylko jego stan zacznie się poprawiać, zostanie przeniesiony do szpitala więziennego, a wówczas odbicie stanie się niewykonalne. Już na drugi dzień rano przeprowadziłem zwiad i zauważyłem, że obstawione są wszystkie wejścia z wyjątkiem wejścia do odrębnego budynku stojącego nieco z boku od strony ulicy Pawińskiego. Najwyraźniej milicja nie traktowała tego budynku jako części szpitala. Nie wiedziałem jeszcze o istnieniu podziemnego korytarza łączącego oba budynki. Myślałem raczej o tym, że osoba przechodząca z jednego budynku szpitalnego do drugiego nie zwróci uwagi milicjantów i nie zostanie poddana kontroli, jak ktoś wchodzący z miasta. Pierwsza myśl była taka, by wejść do małego budynku przez nie strzeżone wejście. W środku narzucić białe lekarskie fartuchy, zwędzić wózek i w takim stroju już razem z wózkiem wejść do głównego budynku. No dobrze, ale co dalej?

Przez następne dni pracowałem jak w gorączce. Spotkałem się z „Barnabą” (Michałem Wroniszewskim), przez którego miałem kontakt z Bujakiem (lokałem kontaktowym było mieszkanie Elżbiety i Pawła Strojnych) i poprosiłem o zgodę na akcję, a jednocześnie zwróciłem się do Michała, oraz współpracującej z nim Krystyny Łubnickiej, o dotarcie przez środowisko lekarskie do kogoś z personelu szpitala na Banacha, kto mógłby nam pomóc. Podobną prośbę skierowałem do Marka Hołuszki. Do przeprowadzenia akcji zacząłem przygotowywać równolegle trzy grupy, pozostawiając na koniec decyzję, która z nich ją wykona. Był to oczywiście błąd, bo w ten sposób o przygotowaniach wiedziało stanowczo zbyt wiele osób. Kolejnym błędem

(tak to dziś oceniam) było to, że jedna z tych grup składała się głównie z bardzo młodych instruktorów kung fu i nigdy jeszcze nie brała udziału w żadnej akcji. Byli to bardzo odważni młodzi chłopcy, ale bez żadnego doświadczenia. W mojej strukturze podziemia wszystkie grupy miały kryptonimy (nazwy) a wszyscy ludzie używali pseudonimów. Niestety nie najlepiej było z konsekwencją w przestrzeganiu tych zasad i w ogóle zasad konspiracji. To była zresztą słabość całego ówczesnego podziemia, gdzie o wielu poważnych akcjach (na szczęście nie wszystkich) wiedziało zawnaz pól Warszawy, więc SB-cja też.

Pierwsza z moich grup (Włodzimierza Strzyżewskiego) wywodziła się ze środowiska, które wcześniej miało pomysł reaktywowania przedwojennego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” i dlatego wybrała sobie kryptonim „Sokół”. Grupa „Laboranta” (Bogdana Zalegi) miała kryptonim „Orzeł” (Bogdan był zawsze bardzo zasadniczy w swych pomysłach). Trzeciej grupie nadałem kryptonim „Kondor” (na zasadzie, że jak już po ptakach, to konsekwentnie) i nie przyszło mi do głowy, że jest to nazwa niefortunna, bo później SB przerobi tę nazwę na „Legion Kondor” (tak się nazywało niemieckie lotnictwo w czasie wojny domowej w Hiszpanii) i będzie nas wrabiać w rzecką grupę faszystowską.

Już po dwóch dniach otrzymałem od „Barnaby” bardzo dokładny plan szpitala, informację, w którym miejscu znajduje się Janek, jak jest pilnowany (informację tę przygotował dla nas chirurg, Andrzej Sankowski). Wiedziałem też, że Janek jest przytomny, ale do transportu będzie się nadawał najwcześniej za kilka dni. No tak, ale jak będzie się nadawał do transportu dla nas, to i dla drugiej strony też. Lekarze z Banacha mieli jak najdłużej odwlekać moment ogłoszenia, że stan Janka się poprawia. Lekarze utrzymywali SB w przekonaniu, że nie może chodzić, choć mógł.

Lekarz, który przyjmował Janka do szpitala 25 maja, dr Krasnodębski, odruchowo i z własnej woli mocno pogorszył jego stan w dokumentach, by nie przewieziono go do szpitala więziennego. Napisał, że „w skutek zatorów tłuszczowych przewiezienie pacjenta do szpitala więziennego jest niemożliwe”. Od strony medycznej była to bzdura, bo stan Janka wcale nie był taki zły. SB uwierzyło do tego stopnia, iż później pisano w listach gończych, że „nie może poruszać się samodzielnie”. Mógł i to całkiem dobrze. O tym, że pogotowie przewiozło go na Banacha, zdecydowała dr Ewa Kunicka, mocno zaangażowana w działalność podziemną. Kierowała się tym, że akurat w tym szpitalu podziemie miało najsilniejsze struktury, a przynajmniej jej się tak wydawało. Z innych źródeł wiem, że SB samo zrezygnowało z zawiezienia Janka do szpitala MSW na ul. Komarowa (obecnie Wołoska), bo

niedługo wcześniej na Komarowa zmarł postrzelony sierżant Karos i bano się, by Narożniak też nie umarł. Oczywiście mogli go zawieźć do szpitala wojskowego na Szaserów, a wtedy o akcji moglibyśmy zapomnieć.

Trzeba było bardzo szybko przygotować nie tylko plan działania, ale i jego zaplecze, lokal do ukrycia Janka, samochód do jego przewiezienia, zapewnić mu dalszą opiekę medyczną. Załatwieniem tego zaplecza obiecał się zająć Marek Hołuszko. Po kilku dniach spotkałem się z nim i z jakimś mężczyzną z Pogotowia Ratunkowego, który zapewnił mnie, że z transportem nie ma problemu. Mieliśmy w tym celu użyć jednej z karettek, której załoga w ogóle nie zgłosił wyjazdu. Bogdan Zalega dotarł do jednej z pielęgniarek z oddziału, na którym leżał Janek. Od niej otrzymaliśmy dwie cenne informacje. Pierwszą, że Janek Narożniak chce być uwolniony (musieliśmy mu zadać to pytanie, by nie był zaskoczony), drugą o podziemnym korytarzu, który łączy główny budynek szpitalny z tym mniejszym. Był to podobno korytarz do prosektorium. Kilka dni później Bogdan Zalega przyniósł mi skarb: grubą teczkę dokładnych planów architektonicznych szpitala na Banacha, oraz ciekawostkę: nazwisko i stopień zomowca, który strzelał. Skąd to wszystko miał, nie mam pojęcia. Powiedział tylko: „pierwszy raz w życiu coś ukradłem”.

Na tym etapie przygotowań spotykałem się z wieloma osobami od strony Marka Hołuszki, których nie znałem i do dziś nie wiem, kto to był. Pamiętam tylko, że na jednym ze spotkań był ukrywający się członek zarządu regionu, Jerzy Narkun. Na tym spotkaniu był też nieznan mi mężczyzna, który proponował nam pistolet do sterroryzowania milicjantów pilnujących Janka. Z propozycji nie skorzystałem, ale przypomniała mi się ona po latach, gdy przeczytałem reportaż Jacka Hugo Badera o super wtyce w MRKS-ie, Sławomirze Miastowskim. On też proponował podziemi broń. Czyżby SB chciało wetknąć nam w ręce pistolety, by móc nazywać nas bandytami lub terrorystami? Nie można tego wykluczyć. Nie wierzę, by Miastowski był jedynym wywiadowcą przeciwnika w naszych szeregach. Na podobny zamiar wrabiania nas w terroryzm wskazuje jeszcze kilka faktów (pozorowany napad na Ambasadę PRL w Bernie, gdzie służby specjalne komunistów „zamachnęły się” same na siebie, by zrzucić winę na „Solidarność”, próba powiązania „Solidarności” z zamachem na Papieża w Fatimie).

Na tę historię z bronią rzucają też pewne światło akta operacyjne tzw. operacji „Kondor”, czyli akcji SB skierowanej bezpośrednio przeciw mnie (poza tym były jeszcze „moje” akta figuranta „Phobos”, czyli tak zwana „teczka”). Otóż prowadzący operację „Kondor” por. Małecki rysował tam całe fantastyczne struktury kierowanej przeze mnie podziemnej organizacji (nie mającej wielkiego związku z rzeczywistością)



oraz snuł dociekania jaką to ja mam broń. A więc najpierw napisał, że „Łoziński ma pistolet P-63”, później, że mam „rewolwer nagan”, a w końcu „15 kałasznikowów zakopanych w lesie”. Tymczasem ja żadnej broni nie miałem.

Opracowałem trzy wersje uwolnienia Janka. Dwie pierwsze przewidywały obezwładnienie pilnujących go milicjantów, trzecia wywiezienie Janka z sali operacyjnej na drugi korytarz, podczas gdy milicjanci będą dalej czekać pod drzwiami na koniec zabiegu (Andrzej Sankowski codziennie zmieniał mu opatrunki na bloku operacyjnym, milicja nie wchodziła do sali zabiegowej). Wszystkie trzy wersje zakładały wywiezienie Janka przez podziemny korytarz do drugiego budynku, pod którym miała czekać karetka. Właściwie wszystko było gotowe, ale Zbyszek Bujak zwlekał z wydaniem zgody na akcję. Rozmawialiśmy za pomocą kaset magnetofonowych, które przekazywał „Barnaba”. Zbyszek mówił: „jeżeli macie takie możliwości to lepiej wywieźcie z regionu maszyny poligraficzne” (w siedzibie Regionu Mazowsze zostały dwa nasze Romayory). Potraktowałem to jako polecenie i równoległe zacząłem przygotowywać i tę akcję (nigdy nie doszła do skutku). Dodatkowej roboty dowalił mi też Marek Hołuszko polecając na dwa dni przed wyznaczoną datą akcji zająć się przyjęciem „pod swoje dowództwo” trzech grup studenckich wywodzących się z NZS-u. Przypuszczam dziś, że ta moja nadmierna krzątanina „za pięć dwunasta” musiała zwrócić uwagę SB. Na domiar wszystkiego „Barnaba” w ostatniej chwili wypożyczył jedną z moich grup do rozrzucania ulotek drukowanych w mieszkaniu Basi Tryjarskiej.

Termin wykonania akcji wyznażyłem na 9 czerwca. Decyzję o wyborze grupy do jej wykonania miałem podjąć 8 czerwca wieczorem.

### **Zaskoczenie**

8 czerwca 1982 roku jak zwykle przyszedłem rano do pracy w modelatorni Teatru Wielkiego. Niemal natychmiast otrzymałem informację (nie pamiętam już skąd) o tym, że Janek Naroźniak został odbity przez podziemie. Pamiętam, że w pierwszej chwili kompletnie zbaraniałem. Jak, kto, jakim cudem? Byłem przekonany, że to jedna z moich grup wyskoczyła przed szereg i wykonała akcję bez mojego polecenia. Do głowy mi nie przyszło, że zrobił to zupełnie kto inny (Adam Borowski i Jerzy Bogumił z MRKS). Znacznie później dowiedziałem się, jak to było, ale do dziś nie wszystko w tej sprawie wiem.

Adam Borowski wpadł na pomysł odbicia Janka Naroźniaka niezależnie ode mnie i na pewno później ode mnie, bo zaledwie na kilka dni przed akcją (nasze przygotowania trwały dwa tygodnie). Zwrócił

się o informacje prawdopodobnie do tego samego źródła, co ja, czyli do lekarzy z Banacha. Otrzymał cały przygotowany dla nas pakiet informacji, łącznie z tymi, które zdobył Bogdan (musiały one przejść do niego jakąś okrężną drogą przez środowisko Zbyszka Bujaka). Nie jest dla mnie jasne do dziś i nie wiem, czy kiedykolwiek zostanie wyjaśnione, w jaki sposób MRKS zdobył pomysł przeprowadzenia akcji tak zwanym „trzecim sposobem”. Nie mogę wykluczyć, że dysponując tym samym pakietem danych, po prostu to samo wymyślili. Wysoce prawdopodobne, że ci sami ludzie, którzy przygotowywali zaplecze akcji na polecenie Marka Hołuszki, w pewnym momencie zaczęli pracować dla Adama, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że to już kto inny z nimi współpracuje. Z całą pewnością Adam Borowski i Jerzy Bogumił nie wiedzieli, że dostają jak w pigułce gotowe rozpoznanie zrobione już przez kogo innego i byli przekonani, że sami zbierają informacje. Z całą pewnością nikt nie zlecił Adamowi mojej akcji (co przez pewien czas podejrzewałem). Te fakty ustaliłem, gdy kilka lat później rozmawiałem z Adamem. W każdym razie akcja odbyła się dokładnie tak, jak ją przygotowałem, choć nie mogę wykluczyć, że niektóre rozwiązania MRKS opracował niezależnie, myśląc tymi samymi torami, co my. Kilka osób z MRKS-u, z którymi rozmawiałem po latach, nadal uważa, że całą akcję przygotowało samodzielnie. No cóż, tak powstają zagadki historii.

Dziś wiem jeszcze, że była trzecia inicjatywa uwolnienia Narożnika. Jej autorem był drugi lekarz z Banacha, dr Jerzy Siwiec. Już po kilku dniach współpracował on z Adamem Borowskim i Zbigniewem Romaszewskim i te dwie inicjatywy połączyły się w jedną.

Z całą pewnością też lekarz, Andrzej Sankowski, „nasz człowiek” na Banacha, nie wiedział, że w pierwszym etapie przygotowań współpracował z kim innym, a w ostatnim, z kim innym. Przecież „Barnaba” (Wroniszewski) nie mówił mu, dla kogo zbiera informacje. Mnie z kolei Marek Hołuszko nie mówił, kto ma Janka przewieźć i dokąd. To już nie miało mnie obchodzić, a w konspiracji nie zadaje się zbędnych pytań. Jednego jestem pewien, gdyby nie nasza wielodniowa praca, Adam i Jerzy nie przeprowadziliby rozpoznania tak szybko. Wiem, ile pracy to wymagało. Zresztą, gdyby nie zwleknięcie z decyzją ze strony Zbyszka Bujaka, to my byśmy zrobili tę akcję pierwsi, bo byliśmy całkowicie gotowi od dobrych paru dni. Ale to nie sport, ani licytacja za usług. Ważne, że jako całość – Solidarność w podziemiu – przeprowadziliśmy akcję. Reszta nie ma znaczenia.

Jak przebiegła akcja? Jest niestety kilka nie do końca spójnych wersji co do szczegółów. Prosiłem Adama Borowskiego, by to opisał, ale do dziś tego nie zrobił. Muszę więc opierać się na tym, co wiem.

Adam Borowski zadzwonił z budki telefonicznej na oddział, na którym leżał Janek Narożniak i powiedział, że dzwoni z bloku operacyjnego i „prosimy pana Narożniaka na zabieg”. Nikogo to nie dziwiło, bo Jankowi codziennie na bloku operacyjnym zmieniano opatrunki. Dwaj sanitariusze wzięli Janka na wózek i zawieźli na blok operacyjny. Milicjanci podążyli za nimi, ale na salę operacyjną nie weszli, tylko zostali pod drzwiami. Drzwi otworzył lekarz, Andrzej Sankowski. Adam Borowski i Jerzy Bogumił byli już w środku (według innej wersji, byli na sali pooperacyjnej od godz. 8.30). Po zabiegu wzięli wózek z Jankiem i wyszli innymi drzwiami, tak że milicjanci ich nie zauważyli. Zjechali windą do podziemia i korytarzem przez prosektorium zawieźli Janka do wyjścia przez mały budynek, gdzie czekał samochód, Nysa lub żuk, wcale nie z pogotowia. Zawieźli go do przygotowanego lokalu, w którym ukrywał się aż do amnestii. Milicjanci czekali pod drzwiami ponad godzinę, zaczynając orientować się, że zostali wykiwani. Adam i Jerzy wykonali więc akcję dokładnie w ten sam sposób, w jaki ja zamierzałem to zrobić. Muszę stwierdzić, że zrobili to perfekcyjnie i należy im się za to najwyższe uznanie.

### **Oj biedne ZOMO, biedne...**

ZOMO-wcy pilnujący Narożniaka nie mieli w szpitalu łatwego życia. W raportach do swych przełożonych skarżą się, a to, że pielęgniarki nie chciały dać im kompotu, a to, że dały im kawę z tabletkami nasennymi. Życie utrudniają im nawet salowe myjąc pod nimi podłogę wyjątkowo cuchnącymi środkami dezynfekującymi. Po pewnym czasie milicjanci uznają swe miejsce w szeregu i zaczynają wykonywać polecenia lekarzy, którzy do pewnych pomieszczeń ich nie wpuszczają, a ich pytania i żądania ignorują.

Naczelnik Wydziału III KS MO skarży się w raporcie do MSW: „W dniu dzisiejszym, ok. godz. 9.00, do separatki, której drzwi są stale otwarte, by umożliwić pilnującym obserwację wszystkiego, co dzieje się wewnątrz, weszła NN kobieta w białym fartuchu, podająca się za pielęgniarkę. Spytana przez dowódcę grupy funkcjonariuszy ZOMO o tożsamość, pospiesznie oddaliła się, nie udzielając odpowiedzi. Ze spostrzeżeń milicjantów wynika, że lekarze wizytujący Narożniaka nie przestrzegają nakazu trzymania drzwi stale otwartych i usiłują je zamykać.”

Wreszcie 7 czerwca SB postanawia coś zrobić. Jak czytamy w meldunku operacyjnym Naczelnika Wydziału III KS MO: „W dniu 7 bm. podjęta została decyzja o przewiezieniu Jana Narożniaka [...] do szpitala więziennego przy ul. Rakowieckiej. Przewiezienie to uzależnione było przez wydział śledczy od informacji o stanie zdrowia

internowanego, której udzielić miał prof. Bruno Szczygieł kierownik Kliniki Chirurgii A.M. Podczas gdy oczekiwano na informację Wydział III KS MO poinformowany został telefonicznie przez jednego z funkcjonariuszy wyznaczonych do strzeżenia Naroźniaka, że około godziny 10.00 został on zabrany na salę operacyjną. [...] Gdy do godziny 12.00 Naroźniaka nie przewieziono z powrotem do jego pokoju (nr 330) nawiązaliśmy kontakt telefoniczny z zastępcą dyrektora szpitala Różańskim Piotrem, który stwierdził, że po dokonaniu sprawdzenia upewnił się, iż Naroźniak jest już po zabiegu i przebywa w sali nr 330. [...] Ponieważ informacja ta sprzeczna była z tym co twierdzili funkcjonariusze ZOMO [...] ponownie przeprowadzono rozmowę z dyr. Różańskim, który przyznał, że osobiście nie sprawdzał, a oparł się wyłącznie na informacjach uzyskanych od personelu.”

W tym czasie, gdy ZOMO-wcy meldują, a ich przełożeni dzwonią do dyrektora i pytają uprzejmie, czy Naroźniak w szpitalu jest, czy go nie ma, Janek Naroźniak jest już dawno, od dwóch godzin, na ul. Staffa w mieszkaniu Małgorzaty Jastrzębowskiej.

Około godziny 13.00 „W związku z przedłużającą się nieobecnością Naroźniaka, funkcjonariusze operacyjni Wydziału III podjęli osobiście czynności wyjaśniające”. Jak to wyglądało, opisał po latach na podstawie relacji świadków Rafał Geremek („Życie, 11-12 grudnia 1999): „Kolejny fałszywy alarm – myśleli funkcjonariusze i ospale zaczęli go szukać. – Zniknął – szepnęła szef kliniki. Po czym rzucił się na ziemię i zaglądał pod łóżka. – Nie ma go! – krzyczał przerażony funkcjonariusz wymachujący kałasznikowem. Cały budynek został otoczony przez milicję i SB. Przeszukano szpital. W podziemiach znaleziono porzucony wózek i dwie pary szpitalnych ubrań. Na oddział wkroczyła prokurator Bardonowa. Nie pasował na nią żaden fartuch (z powodu wielkiej tuszy), dławiła się z wściekłości. W końcu opasano ją białym prześcieradłem, by mogła wejść na teren szpitalny. Jedna z pielęgniarek zaczęła chichotać. – Wyprowadzić! – wrzasnęła Bardonowa. Zaczęła krzyżeć, że odbędzie się zbiorowe przesłuchanie, które wykaże wszystkich sprawców, więc lepiej żeby przyznali się od razu.”

Z meldunku operacyjnego: „Funkcjonariusz ZOMO z III KO szer. Jachnia stwierdził, iż około godziny 10.40 widział ze swego stanowiska, znajdującego się przy drugim wejściu do bloku operacyjnego dwóch młodych mężczyzn w fartuchach lekarskich transportujących Naroźniaka w głąb bloku operacyjnego. Jak później ustalono, w miejscu gdzie zniknęli oni z pola widzenia funkcjonariusza – znajdowało się wyjście ewakuacyjne [...] oraz drzwi do windy.” Jak wynika z innych dokumentów, funkcjonariusze nic nie zrobili, bo na blok operacyjny nie wpuściła ich... pielęgniarka, Barbara Jagiełło.

### A SB jeszcze biedniejsza...

PRL upadł, bo jego służby policyjne, milicja i SB działały tak, jak wszystko w tym kraju, jak stare socjalistyczne przedsiębiorstwo. Co to znaczy? To znaczy, że w gruncie rzeczy nic nie robiły, brały pieniądze, markowały działalność i aby uzasadnić swoje istnienie produkowały papierową fikcję.

Według akt SB, moja grupa była obserwowana od pewnego czasu przez SB dzięki agentowi o pseudonimie „Karol”, którym był ktoś z moich bliskich znajomych. „Karol” opisywał sugestywnie, jak to był u mnie w domu, ale nie mógł swobodnie rozmawiać, z powodu obecności rodziny, pisał: „zdobyłem jeszcze większe zaufanie u Łozińskiego, gdy opowiedziałem mu, że brałem aktywny udział w demonstracji 3 maja, za co zostałem ukarany karą w wysokości 5000 zł przez Kolegium”. „Karol” opisywał, jak to przyjąłem go z radością, jako starego znajomego i opowiedziałem mu o grupie „Legion Kondor”, co ma uprowadzić Narożniaka. Po tych ostatnich szczegółach wiedziałem od dawna, że donos „Karola” został sporządzony ze wsteczną datą i wsadzony do akt. Wiedziałem dobrze, że nic takiego żadnemu „Karolowi” nie opowiadałem, niezależnie od tego, kim by miał być „Karol”. Nie mogłem też przed aresztowaniem znać nazwy „Legion Kondor”, którą to nazwę wymyślili SB-cy już po moim aresztowaniu, by sugerować, że jesteście organizacją faszystowską.

Ale dziś wiem jeszcze więcej. Otóż wszystkie trzy donosy „Karola” są kompletną lipą. A wiem to stąd, że wiem już, kim był „Karol”. Nazywał się Kazimierz O. (znam pełne nazwisko) i pracował w redakcji „Walki Młodych” (pisma ZMS-u). Rzecz w tym, że ja takiej osoby w ogóle nie znam i nie zna jej nikt z mojej rodziny. Nie mogłem „Karola” Kazimierza O. przyjmować jako starego dobrego znajomego, wprowadzać do domu, opowiadać takich szczegółów, bo go wcale nie znałem. Jest zupełnie nieprawdopodobne, bym zachowywał się w sposób opisany przez „Karola” wobec osoby całkowicie obcej i nieznamomej. O tym, że donos „Karola” napisano później świadczy więcej faktów. Wpisano w ten donos wiedzę operacyjną ze śledztwa. „Karol” rzuca nazwiskami Wieska Morawskiego, Tomka Gołębiowskiego i Mirka Święcha, rzuca też jedną z dat i miejscem spotkania. Ale to właśnie się kupy nie trzyma.

„Karol” pisze z datą 15 maja 1982 o spotkaniu odbytym dwa tygodnie później. 15 maja nie mogłem wymieniać nazwisk Gołębiowskiego i Morawskiego, bo ich jeszcze nie znałem. Poznałem ich kilka dni później, a jakie mają nazwiska dowiedziałem się dopiero od SB-ków w śledztwie. W dodatku prokurator Jackowska (vel Detko) powołując się na donos „Karola” napisała w akcie oskarżenia i mówiła na sali

sadowej, że SB otrzymało wiadomość o naszej działalności 5 czerwca i na tej podstawie zatrzymano nas 8 czerwca. Jednak donos „Karola” nosi datę 15 maja, a 15 maja „Karol”, ani nikt inny, nie mógł wiedzieć o planowaniu uwolnienia Naroźniaka, bo Naroźniaka JESZCZE NIE POSTRZELONO! Starszy szeregowy Bydłoń strzelał do niego 10 dni później, 25 maja. Co więcej, wiem skąd się wzięła data 15 maja. „Karol” w donosie z 14 maja pisze, że ma się ze mną spotkać „w najbliższych dniach”. Oczywiście wcale się ze mną nie spotkał, tylko pewnie wysmarował kolejny zmyślony donos. Zamiast tego donosu, dokonując podmiany, umieszczono fałszywkę z datą 15 maja. Zapomniano tylko o drobnym szczególe, o tym, że do Naroźniaka wtedy jeszcze nikt nie strzelał i żadna grupa „Kondor” nie naradzała się, jak go uwolnić.

Podobnie kompletną lipą są dwa poprzednie donosy „Karola”, z 8 maja i z 14 maja. „Karol” podaje w nich informacje z okresu jawnego działania „Solidarności”, informacje publicznie znane, a przedstawia je tak, jakby uzyskał je w drodze pracy operacyjnej już w stanie wojennym. „Karol” chyba cierpiał na brak gotówki i musiał coś napisać, by dostać kasę za donos. Pisze on na przykład, że trenował kung fu pod moim kierunkiem (może i trenował, przez klub przewinęło się parę tysięcy ludzi), oraz że „obecnie Łoziński prowadzi treningi na ul. Górczewskiej”. Na Górczewskiej to ja prowadziłem treningi w latach 1976-77, a więc 5-6 lat wcześniej. Pisze, że uczyłem się kung fu „od jakiegoś Wietnamczyka” (ma zapewne na myśli Nama), co właśnie świadczy o tym, że „Karol” nic nie wie. Wietnamczyk Nam rzeczywiście prowadził przez 2 miesiące zajęcia w moim klubie, gdy ja już dawno miałem czarny pas. Nam jest ode mnie blisko 15 lat młodszy. Myślę, że ów „Karol” zetknął się ze mną i z Namem na Górczewskiej 5 lat wcześniej i na tym cała jego wiedza o mnie się skończyła. To wszystko dają pod uwagę zapalonym lustratorom, bo widać tu jak akta SB mają się do rzeczywistości.

SB coś jednak wiedziało. W piśmie z 2 czerwca 1982, generał brygady Zdzisław Sarewicz, Dyrektor Departamentu II MSW, napisał do płk Tadeusza Szczygła, zastępcy Komendanta Stołecznego MO ds. Służby Bezpieczeństwa następujące słowa: „Ze sprawdzonego źródła uzyskaliśmy informacje, z której wynika, iż specjalnie zorganizowana grupa podziemia „Solidarności” planuje odbicie Naroźniaka. Podziemie przeprowadziło już konkretne rozpoznanie sytuacyjne (sądząc z daty mowa o nas, a nie o MRKS – przypis K.Ł.) i jest w stałym kontakcie z personelem szpitala [...]. Organizatorzy planują obezwładnienie gazem paraliżującym dwóch funkcjonariuszy i przewiezienie Naroźniaka do prywatnego mieszkania [...]. Do akcji przygotowane są trzy samochody.”

O czym ta notatka świadczy? O tym, że SB miało bardzo ogólną informację, ale nie wiedziało, kto ma przeprowadzić akcję. Gdyby wiedziało, nakazano by obserwację lub zatrzymanie konkretnych osób. Ta informacja pochodzi wyraźnie od jakiegoś informatora na obrzeżach całej sprawy – coś słyszał, że coś jest grane, ale nie potrafił podać żadnego konkrētu. Ten gaz paraliżujący też świadczy o tym, że mowa o nas, a nie o MRKS. To my początkowo planowaliśmy użycie gazu, który miał Wiesiek Morawski, ale zrezygnowaliśmy z powodu ryzyka, jakie niesie gaz w zamkniętym pomieszczeniu. O tym, że informator wiedział mało i jego wiedza była już nieaktualna świadczą też te trzy samochody. Taki pomysł zmiany kilku samochodów mieliśmy na samym początku planowania. Później doszliśmy do wniosku, że to bardziej ryzykowne, niż jazda jednym (trzeba wtajemniczyć więcej ludzi, ktoś mógłby zwrócić uwagę na przesiadki rannego na noszach).

Dalej generał Sarewicz pisze: „Uzgodniono (to znaczy podziemie uzgodniło) z personelem medycznym, iż w razie próby przewiezienia wymienionego do szpitala MSW, lekarze motywując to stanem zdrowia, odłożą planowany termin na kilka dni, umożliwiając w tym czasie przeprowadzenie akcji przez podziemie.”

Tu już pan generał nie tylko wie źle, ale nie wie, co robi jego własny resort. Nie planowano przewiezienia Janka do szpitala MSW, tylko na Rakowiecką do szpitala więziennego. Jego stan od samego początku pogarszano w dokumentach, więc to przewiezienie było opóźniane już od wielu dni. Jak wynika z innego dokumentu, decyzję o przewiezieniu Janka na Rakowiecką podjęto dopiero 7 czerwca, gdy Borowski i Bogumił już wywozili Naroźniaka ze szpitala. Dokładnie w tym samym czasie, gdy akcja już trwała, SB zdecydowała się ją uniemożliwić przez zabranie Janka na Rakowiecką, ale nie wyznaczyła jeszcze żadnego terminu. Termin uzależniono od opinii dyrekcji szpitala, która miała ją opracować w porozumieniu ze swym personelem.

Na tej notatce z 2 czerwca napisano odręcznie: „Naczelnik wydz. III. Podejmijcie przedsięwzięcia zabezpieczające wspólnie z towarzyszami ochraniającymi – pilnującymi. Pilecki”. Adresat pisma, płk Szczygiel (szef stołecznej SB), napisał: „Bardzo pilne. Proszę o rozkazy tow. Jarmoliński” z datą 4 czerwca. A więc przez dwa dni SB nic nie zrobiła, tylko przesyłała dalej drogą służbową, a szef stołecznej SB prosił o rozkazy (!!!) podporucznika SB Mieczysława Jarmolińskiego, prowadzącego operację „Doktorant”, czyli inwigilującego Naroźniaka. Dalej też nie zrobiono nic.

I tak mamy już 5 czerwca, gdy naczelnik Wydziału III KS MO pisze meldunek operacyjny do naczelnika Wydziału I Departamentu III MSW: „Zdaniem lekarzy hospitalizacja Naroźniaka potrwa ok. 2

miesiący. [...] Przed drzwiami pokoju stała warta pełni 5 funkcyjariuszy ZOMO”. To oczywiście typowa dla tamtych czasów „dupokrytka”, czyli dokument mający uzasadnić, dlaczego towarzysz nacelnik nic nie robi, a w razie co, winien jest kto inny. Skoro miało pilnować 5 ZOMO-wców, to za klapę odpowiada ZOMO (bo naprawdę było tylko dwóch). Odpis tego otrzymuje też wspomniany już Mieczysław Jarmoliński.

W dalszym ciągu tej „dupokrytki” czytamy: „O zamiarze odbicia Narożniaka poinformowano płk Rusinowicza, d-cę ZOMO. Podjęto sprawdzanie personelu medycznego zatrudnianego na oddziale, na którym leży figurant (czyli Narożniak), pod kątem postaw politycznych. Zaktywizowano pracę osobowych źródeł informacji zatrudnionych w Akademii Medycznej”. Muszę tu wyjaśnić, co znaczą te terminy. „Figurant” to osoba śledzona, a „osobowe źródła informacji” to wcale nie tajni współpracownicy, tylko osoby stale informujące SB z racji swych funkcji – dyrekcja, dział kadr itp. Tłumacząc tę notatkę z polskiego na nasze, znaczy ona, że nic konkretnie nie zrobiono, tylko zwalono kłopot na dowódcę ZOMO płk Rusinowicza. Typowa spychotechnika.

### Część III – Wsypa

Około godziny 10 rano 8 czerwca zostałem aresztowany. Jednocześnie ze mną zatrzymano Mirosława Święcha. i Michała Sienkiewicza (nie miał nic wspólnego z konspiracją, ale razem ze mną pracował i trenował – to cała jego wina). Nieco wcześniej zatrzymani zostali Andrzej Sankowski i Jerzy Siwiec. Kilka godzin po mnie wpadli: Piotr Osuch, Jacek Ś., Leszek Gago, Wiesław Morawski, Tomasz Gołębiwski i Dariusz Michniak. Wpadła niemal cała grupa „Kondor”, z wyjątkiem tylko łączniczki „Zuzanny” (Zuzanna Wychowańska).

Wsypa nie objęła innych grup i kontaktów. Według późniejszego aktu oskarżenia „5 czerwca Służba Bezpieczeństwa uzyskała informację” o mojej działalności. Dziś wiem, że mieliśmy wtykę, używającą pseudonimu TW „Marek”. Wiem, kto to był, ale nie jestem mściwy i zmilczę. Zastanawiające od razu było to, że natychmiast, jeszcze przed pierwszym przesłuchaniem oficer SB wiedział o tej grupie niemal wszystko. Wiedział, kto w niej był, łącznie z adresami. Wiedział, kiedy i gdzie się spotykaliśmy, o czym rozmawialiśmy. Znał wszystkie trzy plany uwolnienia Janka. Dlaczego więc nie aresztowano nas wcześniej i dopuszczono do wykonania akcji? Wytłumaczyć to można tylko w jeden sposób: byliśmy pod ścisłą obserwacją od znacznie



dłuższego czasu, na pewno nie od trzech dni. Jednym słowem mieliśmy wtykę lub wtyki. Z ujawnionych już dokumentów wiem, że wokół mnie działało pięciu tajnych współpracowników SB o pseudonimach „Mickey”. „Ewa”, „Jacek”, „Karol”, ale naprawdę groźny był tylko jeden: TW „Marek”. SB prawdopodobnie czekało na to, aż zaczniemy akcje, by wtedy nas zgarnąć. Musieli być tak pewni, że obserwują grupę, która ma wykonać akcję (błędnie, tę grupę traktowałem jako rezerwę, nawet nie rozdzieliłem ról), że nie wzmocniono ochrony Janka i nie uprzedzono pilnującej go milicji.

Nie tylko my zostaliśmy zaskoczeni akcją Adama i Jerzego. SB było zaskoczone też, a grupa „Kondor” nieświadomie odwróciła uwagę SB od prawdziwych wykonawców akcji. Ale tu pojawia zagadka. Już w czasie pierwszego przesłuchania, około godziny 11 rano, oficer SB wiedział, że akcję przeprowadził Adam Borowski. Skąd wiedział? Na pewno nie od nikogo z nas. Do tego momentu przesłuchiwanie byli tylko Mirek Święch. i Michał Sienkiewicz, którzy nawet nie znali nazwiska Borowski i nie wiedzieli, kto to jest.

Po latach Adam Borowski powiedział mi, że jego zdaniem doniósł Sławomir Miastowski. Adam spotkał się z Miastowskim około godziny 14-tej i powiedział mu o akcji. Miastowski był wściekły, że nie powiedział mu wcześniej. No tak, ale mnie pytano o Borowskiego na trzy godziny przed tym. Źródłem informacji musiał więc być kto inny.

Dlaczego zostałem zaskoczony? Przez myśl mi nie przeszło, że została namierzona akurat grupa, która dotąd nic nie zrobiła, poza odbyciem wstępnego szkolenia. Poza tym byłem przekonany, że skoro to nie ja zrobiłem akcję, to nie mnie szukają.

### **Aresztowanie**

Do mojej pracowni zadzwonił portier i powiedział, że przy wejściu czeka na mnie kolega. Spodziewałem się łącznika z informacją, co się właściwie dzieje, więc nie zdziwiło mnie to. Zjechałem windą na parter i idę korytarzem w kierunku portierni. Tuż przed schodami dziwnie postawiony wózek, jakim w teatrze wozi się dekoracje. Mijam go i dochodzę do schodów. W tym momencie dostaję silne uderzenie w tył głowy, prawdopodobnie kolbą pistoletu i silne pchnięcie w plecy (tym wózkim). Spadam ze schodów, ale jestem przecież mistrzem kung fu i dzudoką. Odruchowo robię więc po tych schodach dwa przewroty ukemi i staję na nogach. W tym momencie czterech ludzi, do tej pory schowanych za ścianką, łapie mnie za obie ręce. Nie wytrzymałem i rzuciłem ich. Miałem dawno przemyślane, że nie będę bił się z policją (życie to nie film i nawet największy mistrz sztuki walki z policją nie wygra) ale ci gamonie z oddziału specjalnego milicji

do tego stopnia nic nie umieli (wiem kto ich szkolił, więc się nie dziwię), że złapali mnie w jedyny sposób, przy którym można rzucić czterech ludzi na raz. Miałem się z nimi nie bić, ale takiego gromoństwa po prostu nie zdzierżyłem i panowie polecili na podłogę. Niestety zza ich pleców wyłoniło się sześciu dalszych i wobec sześciu wycelowanych we mnie luf musiałem skapitulować.

Tym razem stanąłem spokojnie i pozwoliłem się skuć kajdanami. Zawieźli mnie na ulicę Okrzei, gdzie mieścił się cały ówczesny sztab SB do walki z podziemiem. Wjechaliśmy windą na szóste piętro i zaczęła się próba zastraszania i wrzasków.

Wpada oficer oddziału specjalnego milicji, kpt. D., obecnie celebryta, którego dużo później rozpoznałem w siłowni klubu „Błyskawica” (przez kilka lat prowadziłem tam treningi) i wrzeszczy:

– Gdzie jest Borowski, gdzie jest Narożniak? Mam stu ludzi i wolną rękę z rozkazu premiera! Zaraz ich złapię! – i zaraz po tym – Gdzie jest Bujak?

– Tam, gdzie was nie ma – odpowiadam i wywołuję furię SB-ków.

– Zaraz dostaniesz wpierdol. Będziesz tu skakał pod ścianką, a ja cię będę bił, a jak się zmęczę to ich zawołam! – wyciąga pistolet, przedładowuje i wrzeszczy – zaraz będziesz miał kaliber 9 i o 10 gram będziesz cięższy! Zaraz cię wyrzucę przez okno!

– Przez okno, to ja mogę cię wyrzucić – odpowiadam.

Uspokaja się. Widać mój rzut czterema komandosami pana Misztala zrobił wrażenie. Na odosobniony wyskok pozwala sobie jeszcze jeden z szeregowców, młokos ostrzyżony na pazia (też go znam, trenował karate Kiokushinkay). Mówi:

– Ty dopiero możesz oberwać!

– To stań ze mną na ringu – mówię – w dziesięciu i z bronią to każdy jest silny.

Oficer każe mu się zamknąć. Widać rozumie, że pyskówka zamiast przesłuchania do niczego nie prowadzi. Poza tym żalona jest ta odwaga SB-ków wobec człowieka, który nie tylko ma skute na plecach ręce, ale jeszcze jest przykuty do krzesła.

Przychodzi inny oficer (sierżant Okoń) i robi mi wykład w stylu „widzita, rozumita, wszystko o was wiema”. Wylicza, gdzie i ile razy się spotkaliśmy, kto był, o czym była mowa. To był największy błąd, jaki w tej sprawie zrobiła SB-cja. Chciał zrobić na mnie wrażenie, że wiedzą wszystko, a pokazał mi, że nie wie nic. Cóż oni bowiem wiedzieli? O kilku spotkaniach z grupą, która nie zrobiła dotąd nic konkretnego? O planach akcji, którą ewidentnie zrobił kto inny a ja miałem na ten czas żelazne alibi? Każdy normalny oficer policji byłby wściekły, że zdemaskował informatora, spalił obserwację, a właściwie nic

nie wie. Ale SB to nie była normalna policja. Oni nie myśleli o tym, by dojść do prawdy, tylko o tym, by mieć materiał, żeby nas wsadzić. Jak już mieli ten materiał, nie szukali dalej.

Z tego SB-kiego kazania rozumiałem dwie rzeczy: pierwszą, że nie wpadła żadna z grup, które były już włączone do działań i nie zostały zdekonspirowane żadne istotne kontakty, drugą, że w tym, co o mnie wiedzą, nie ma przestępstwa. No, bo cóż to za przestępstwo: odbycie kilku rozmów o tym, że może by coś zrobić, ale bez żadnych konkretnych przygotowań, podziału ról, decyzji, terminów? Czyli tak naprawdę, to nie ma poważnej wsypy, jest tylko trochę kłopotów. Muszę tylko zrobić wszystko, by wsypa nie poszła dalej, bo to by mogło rzeczywiście być groźne.

Wyciągnąłem z tego wniosek: należy się przyznać do tych spotkań, bo to nie jest żadne przestępstwo nawet według praw stanu wojennego, a jednocześnie różną głupa, że żadnej innej działalności nie prowadziłem, to nie było podziemie Solidarności, tylko (tak jak twierdzi SB) organizacja „Legion Kondor”. Myślałem wówczas, że z powodu mitycznej organizacji, która nigdy nie istniała, o wymyślonej przez SB-ków głupawej nazwie, mogą co najwyżej trochę potrzymać mnie w areszcie. A że rozmawialiśmy o uwolnieniu Naroźniaka? No to co? Janek nie był ani aresztowany, ani internowany. Ot, wyszedł ze szpitala bez wypisu. Guzik z piórem mi zrobią. Myliłem się.

Następuje kolejna faza przemocy i wrzasków. Jeden z SB-ków łapie mnie za włosy i kilka razy uderza twarzą o blat stołu. I wrzaski: „zgwalcimy twoją żonę”, „a twoje dzieci też dostaną wpierdol”, „już są na izbie” (milicyjna izba dziecka to było wówczas piekło gorsze od więzienia, pobicia gwałty, grypsera...), „zgnijesz na Syberii”, „wszystko ci znajdziemy, już zrywamy parkiet”. Tym ostatnim wrzaskiem por. Małecki pokazał mi, że to wszystko lipa. W moim mieszkaniu nie było parkietu.

Po kilku godzinach bicia Mirek Ś. załamał się i złożył obszernie zeznanie o treści podyktowanej przez SB-ków. Nie mam do niego żalu. Dwudziestoletni chłopak nie mógł wytrzymać takiej presji. Nie tylko go bili, ale jeszcze szantażowali, pokazywali sfalszowane rzekomo moje zeznania (Mirek nie znał mojego charakteru pisma). Z zeznań Mirka wynikało, że nie tylko planowałem założenie organizacji terrorystycznej, ale jeszcze terroryzowałem ich wszystkich, a oni przychodzili na zebrania, bo się mnie bali. Mało tego „Legion Kondor” istnieje i ma milion członków (tu już SB-cy naprawdę przesadzili). Dziśszego czytelnika może to dziwić lub śmieszyć, ale to wcale nie były największe bzdury tworzone przez komunę w procesach politycznych. W latach 50. mój dziadek, Leonard Żaczkowski, został skazany za to,

że w czasie powstania warszawskiego, jako dowódca Korpusu Bezpieczeństwa Państwowego (powstańczej policji) rozstrzeliwał na Placu Teatralnym komunistów (na tym placu byli Niemcy, czyżby z NRD?).

Późnym wieczorem przewieźli mnie do celi w Pałacu Mostowskich. Na pożegnanie SB-ek zapowiada jeszcze: „*jutro będziesz śpiewał, jutro zrobimy ci piętki i imadelko!*” Z ujawnionych już przez IPN dokumentów wiem, że protokół zatrzymania sporządzono dopiero o godzinie 23.20. W ten sposób SB zyskiwała 11 godzin do ustawowego czasu zatrzymania (48 godzin). Wówczas nie znałem tego dokumentu, ale dziś jest on i przerażający (bezprawiem) i komiczny (głupota). W rubryce opisującej rodzaj przestępstwa wpisano dużymi literami: „UWOLNIENIE J.NAROŻNIAKA”. To chyba jakiś nowy artykuł w kodeksie karnym. W innej rubryce: „stan zdrowia dobry” orzekł kapral Jakis Tam (zapewne dyżurny z KS MO).

1. (X) / 1.

IPN  
OBLAD  
Warszawa

## R A P O R T

o zatrzymaniu osoby

W dniu 8 czerwca 1982, godz. 23:20  
z K.S.M.O. (nazwa jednostki MO)

działając na mocy:

\*) art. 206 § 1 kpk; art. 7 ust. 1 pkt 2 dekretu z dnia 21.XII.1955 r., w związku z art. 87 kodeksu wy-  
kroczeń; art. 72 § 1 kpow; art. 74 § 1 i 2 kpow.

postanowienia o tymczasowym aresztowaniu z dnia ..... nr ..... wyda-  
nego przez prokuratora—sąd\*)..... w .....

Żądania .....  
(nazwa uprawnionego organu lub nazwisko przełożonego)

z dnia ..... nr .....

w dniu 8 czerwca 1982 o godz. 14:00  
dokonałem zatrzymania Krzysztof ŁOZIŃSKI (imię i nazwisko)  
s/c Jerzego Dornety z d.  
ur. 16.07.1948 w W-wie zam. W-wa ul. S.N.M. 14m<sup>2</sup>  
miejsce pracy Techn. Wielki

IPN  
OBLAD  
Warszawa

którego tożsamość  
ustaliłem na podstawie d.o. AB 5412787 wyd. przez Nauz Dziel.  
(nazwa i numer dokumentu)  
W-wa Śródm.

z następujących przyczyn Podejrzewany o uwolnienie J. NARO  
ZNIAKA (skrócony opis przyczyn)

Okoliczności zatrzymania

IPN  
OBLAD  
Warszawa

Raport o zatrzymaniu osoby w Komendzie Stołecznej Milicji Obywatelskiej w Warszawie (tzw. „Pałac Mostowskich”). Krzysztof Łoziński jest tu „podejrzany o uwolnienie Jana Naroźniaka”. Ciekawostką tego dokumentu jest, iż jestem „podejrzany” przed przedstawieniem mi zarzutów i decyduje o tym „podejrzaniu” dyżurny z komendy milicji. Druga ciekawostka: cóż to za przestępstwo „uwolnienie” człowieka który nie był ani zatrzymany, ani aresztowany, ani skazany?

Mijają dwie doby i nic się nie dzieje. Przez ten czas Prokuratura Wojskowa odmawia wszczęcia postępowania. Uzasadnienie – brak przestępstwa. Zdesperowany porucznik Witold Józwiak dwoi się i troi, aby mnie nie wypuścić. Gdy mija 48 (a właściwie 59) godzin od zatrzymania, wpada na pomysł i załatwia dla mnie postanowienie o internowaniu. Wracam do tej samej celi, ale już jako internowany. Po kolejnych dwóch dniach jestem znów zatrzymany na 48 godzin, a jeden z podwładnych idealnie dyspozycyjnej prokurator Wiesławy Bardonowej przedstawia mi zarzut: *„W okresie od 15 maja 1982 r. do dnia 8 czerwca 1982 r. w Warszawie zorganizował i kierował kilkoma wieloosobowymi zebraniem mającymi na celu założenie nielegalnego związku o charakterze antypaństwowym »Legion Kondor«, program którego przewidywał akcje terrorystyczne wobec funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej, kradzieże z państwowych instytucji urzędzeń poligraficznych, rozpowszechnianie antypaństwowych ulotek, jak również podejmowanie różnego rodzaju akcji sabotażowo-dywersyjnych.”* Słowem – i ty zostaniesz ben Ladenem – SB-cja wzniosła się na szczyty absurdu. W uzasadnieniu prokuratura pisze, że *„celem działania podejrzanego było przywrócenie swobód demokratycznych i zniesienie rygorów stanu wojennego”* a następnie wyciąga z tego wniosek, że *„szkodliwość społeczna czynu jest znaczna”*. Sprawa ma się toczyć w trybie doraźnym, co znaczy, że grozi mi od 3 lat wżwyz.

Prokurator Bardonowa dobrze przerobiła lekcję z listu Czubińskiego „do umiejętnego stosowania w pracy politycznej i zawodowej”: *„W ostatnich latach zmieniono formy postępowania wobec osób prowadzących działalność antysocjalistyczną [...] pociągano do odpowiedzialności karno-sądowej za popełnienie przestępstw pospolitych.”* Dobrze odrobił też lekcję porucznik Józwiak *„osoby te były przed upływem 48 godzin zwalniane z aresztu i osadzone w innej komendzie na kolejne 48 godzin. [...] Pomiędzy jednym a drugim zatrzymaniem funkcjonariusze SB pozwalali tym osobom na spacer po mieście, wypicie kawy w kawiarni, kupno owoców.”* Porucznik Józwiak poszedł dalej. Zwolnił mnie po 59 godzinach, a zamiast spaceru pozwolił mi na bycie internowanym przez dwa dni.

Placęć podane

**ARESZT ŚLEDZOY**  
02-521 w Warszawie-Mokotów  
al. Rakowiecka 37

Seria D  
Nr ew/w III

L.dz. \_\_\_\_\_ **TALON na 3 kg**  
wraz z opakowaniem  
**paczkę żywnościową**

Dla Krzysztof Łozniński s. Jerzego  
(Imię, nazwisko, imię ojca)  
NO 7. PAZ 1932

Data wydania talonu \_\_\_\_\_

**UWAGA:**  
Paczka żywnościowa powinna być nadana w ciągu miesiąca od daty wydania talonu. W przypadku paczek zagranicznych w ciągu 2 miesięcy. Talon przeterminowany traci ważność i należy go zwrócić wystawcy.

**Wychowawca Aresztu Śledczego w Warszawie-Mokotów**  
(1)

P-8. Drukarnia Nr 1, W-wa: Zam. 697/815 — 6710 bl. e 100 s.

Talon na paczkę do więzienia. Podpisał to wychowawca aresztu śledczego, Aleksander Gawronik

Przez następne miesiące prokurator Anna Detko (vel Jackowska) wielokrotnie przedłuża mi areszt; Uzasadnienie: „postępowanie wymaga jeszcze wielu żmudnych czynności, szkodliwość społeczna czynu jest znaczna, sprawa toczy się w trybie doraźnym”. Za każdym razem odwołuję się do sądu, a sąd moje odwołanie oddala, choć przez kolejne 8 miesięcy w sprawie nie ma żadnego postępu, w aktach nie pojawia się żaden nowy dokument. Prokurator Detko oczywiście doskonale wie, że w sprawie nie ma już do zrobienia żadnych czynności. SB i prokuratura zapewne obawiały się, że materiał dowodowy jest zbyt kiepski nawet dla dyspozycyjnego sądu i chciały, bym jak najwięcej odsiedział w areszcie. Jeden z SB-ków powiedział mi wręcz cynicznie:

– My panu załatwimy wyrok dokonany. Posiedzi pan tyle w areszcie, że sąd to będzie musiał przyklepać. Odechce się panu Naroźniaków na długó.

SB się przede mną nie kryje z tym, że mityczny „Legion Kondor” wcale ich nie obchodzi, że to po prostu zemsta za Naroźniaka.

### Dziwne gry i zabawy

Po tygodniu od aresztowania przewożą mnie na Rakowiecką do III pawilonu (dawnego dziesiątego) więzienia Mokotowskiego. Jak

mnie od razu uświadamia jeden z więźniów kryminalnych, „ten trzeci pawilon to przejebana instytucja”. W odróżnieniu od dolka w Pałacu Mostowskich (wilgoć, ciemno, szczury) na III pawilonie jest jasno i czysto. Nie ma wrzasków, mówią mi na pan. Od razu przypomina się refleksja Eugenii Ginsbirg z książki „Stroma droga”: „czym bardziej uprzejmie i czysto, tym bliżej na egzekucję”. Mnie egzekucja wprawdzie nie grozi, ale potężny wyrok nie jest wykluczony. Na tym pawilonie nie trzyma się byle kogo. Panuje pełna izolacja. Przez 8 miesięcy nie widzę ani jednego więźnia z innej celi, niż moja. Cele są czteroosobowe, ale często więźniów jest 2 lub 3. Z uprzejmością na III pawilonie bywa różnie. Dostają łóżko po jednym z aresztowanych w sprawie sierżanta Karosa. Współwięźniowie opowiadają mi, że był straszliwie pobity.

Przesłuchania prowadzi porucznik Józwiak. Kierunek dociekań jest stały: „Gdzie jest Naroźniak?” Postęp śledztwa też jest stały: „Tam, gdzie was nie ma”. Po trzech miesiącach zastępuje go pułkownik Jan Będkowski. Jest znacznie inteligentniejszym i przez to groźniejszym przeciwnikiem. Mimo to sprawa nie posuwa się ani trochę.

Już w pierwszym miesiącu aresztowania zaczynają się dziwne gry. Zostaję wezwany na „spotkanie” w gabinecie naczelnika. Nie przesłuchanie, tylko „spotkanie” z facetem, który mówi, że jest „pracownikiem kancelarii premiera”. Nie przedstawia się nazwiskiem. Proponuje mi „załatwienie sprawy” w zamian za zgodę na emigrację i wystąpienie w telewizji z pochwałą stanu wojennego. Odmawiam. Facet widząc, że jestem palący a nie mam papierosów, zostawia mi paczkę „Sportów”. Rozmowa jest wręcz uprzejma.

Po kilku dniach niespodziewanie przenoszą mnie na drugi pawilon. W celi jest już dwudziestoletni chłopak, dziwnie milczący. Próbuję go zagadywać (w więzieniu jest nudno), ale on milczy.

– Czekam na wykonanie kary śmierci. Nie chcę rozmawiać – mówi w pewnym momencie, jakby się usprawiedliwił.

Na trzeci dzień drzwi celi otwierają się i wpada kilku klawiszy. Wywlekają go. Chłopak przeraźliwie krzyczy. Zostaję sam. Następnego dnia wracam do celi na III pawilonie. Znowu pojawia się dziwny facet na kolejnym „spotkaniu”. Ponawia propozycję emigracji i wystąpienia w telewizji. Ponownie odmawiam. Na odchodnym facet mówi:

– Pan mi jest winien paczkę papierosów.

– Oddam, kiedy pan będzie siedział – odpowiadam



PROKURATURA WOJEWÓDZKA  
WYDZIAŁ ŚLEDczy  
Świerczewskiego 127  
00-850 Warszawa

IPN  
OBLAD  
Warszawa

Warszawa, dnia 29 lipca 1982r. -2

II Ds 127/82

*W.A. waz  
wskazanie komisarza w  
ubiegłym celu*  
29.7.82

**AREST ŚLEDczy**  
w Warszawie - M. ...  
Wpływa ... 197...  
nr. 22983

Obywatel Naczelnik  
Wydziału Śledczego  
Komeny Stołecznej  
Milicji Obywatelskiej  
w m i e j s c u

IPN  
OBLAD  
Warszawa

Zgodnie z wnioskiem dotyczącym wyrażenia zgody na przeprowadzenie wywiadu telewizyjnego z tymczasowo aresztowanym Krzysztofem Łozińskim podejrzany z art. 279 kk uprzejmie zawiadamiam, że nie stawiam przeszkód w przeprowadzeniu tegoż pod warunkiem, że przedmiotem wywiadu nie będzie toczące się przeciwko Łozińskiemu postępowanie, a przed ewentualną publikacją zastrzegam sobie wgląd do przygotowanego materiału.

Naczelnik Wydziału Śledczego  
*Anna Bardonowa*  
mgr Wiesława Bardonowa

Zgoda prokurator Bardonowej na przeprowadzenie wywiadu ze mną w areszcie wydana Markowi Barańskiemu z redakcji „Dziennika Telewizyjnego”

Mija kolejne kilka dni i porucznik Jóźwiak prowadzi mnie do budynku administracji. Tam czeka ekipa telewizyjna z Markiem Barańskim z redakcji Dziennika Telewizyjnego. Barański proponuje mi wywiad. Odmawiam. Tłumaczy, że mogą dostać o trzy lata więcej, a poza tym odpowiadam nie tylko za siebie, ale i za tych chłopców, którzy siedzą razem ze mną. Jest to kłamstwo, bo wszystkich chłopaków zwolniono po kilku dniach nie stawiając im żadnych zarzutów. Najdłużej siedział Mirek Ś., którego bili podobno przez 9 dni. Pół roku był na zwolnieniu lekarskim. Do pracy w Teatrze Wielkim już nie wrócił. Ale ja o tym nie wiedziałem. SB utrzymywała mnie w przekonaniu, że oni wszyscy siedzą i że ode mnie tylko zależy, czy wyjdą. Jak będę zeznawał, to wyjdą, a nie, to siedzą przeze mnie. Wywiadu nie udzieliłem, dodatkowych zeznań nie złożyłem. Przez kolejne trzy miesiące nic się nie dzieje, tylko prokurator (Anna Detko i Krystyna Bartnik) przedłużają areszt powołując się na „czynności, które nie są zakończone”.

### **Symulacja, czyli białaja szizofrenija**

Śledztwo praktycznie ugrzęzło, pora pomyśleć o sobie, czyli rozwiązać problem: jak wyjść z więzienia? Postępowanie toczy się w trybie doraźnym i z tego powodu grozi mi 3 lata za wejście na salę sądową, a dalej się zobaczy. Są tylko dwie metody uchylenia trybu doraźnego – zmiana zarzutu (nie ma szans) lub orzeczenie biegłych o „ograniczonym rozeznaniu czynu i zdolności kierowania swoim postępowaniem”. No tak, ale do tego trzeba być chorym, a ja jestem zdrowy jak byk. W chorobę somatyczną albo psychiczną wyczynowego sportowca, alpinisty, trenera dwóch dyscyplin sportów walki, kung-fu i judo, posiadacza czarnego pasa, nikt nie uwierzy. Czyli klops. Na szczęście więzień ma bardzo dużo czasu na myślenie i kombinowanie. No to wykombinowałem intrygę tak nieprawdopodobną, że sam w nią nie wierzyłem. Ale co mi szkodzi spróbować?

Mówię klawiszowi, że chcę złożyć zeznanie. Już następnego dnia zgłasza się zdziwiony pułkownik Będkowski.

- Cóż to się stało, że pan Łoziński chce nagle składać zeznania?
- Jedno zeznanie.
- Jakie?
- Takie, że mam uszkodzony centralny układ nerwowy.

Zapada cisza.

- Pan mnie robi w konia – Będkowski doskonale wie, co jest grane.
- Ja składam zeznanie.
- I ja mam je zaprotokółować?
- Tak.

Będkowski milczy i po chwili mówi:

– Jak pan chce, ale tu już większe cwaniaki symulowały – i wyciąga protokół.

Składam zeznanie, że trenując sporty walki doznawałem wielu urazów głowy z powodu uderzeń i wstrząsów po upadkach a w dodatku jako alpinista wystawiony byłem na niedotlenienie. Poza tym na wyprawach przechodziłem różne ciężkie choroby tropikalne. Po takim zeznaniu Będkowski musi skierować mnie na badanie neurologiczne, bo to wynika z kodeksu postępowania karnego. Jeśli podejrzany zeznaje, że jest chory, to musi być opinia lekarza w aktach.

Tydzień później prowadzą mnie do szpitala więziennego. Ten szpital robi takie wrażenie, że zdrowy by umarł, ale nie wszyscy lekarze, którzy w nim pracują są tacy jak doktor Wroński (orzekł, że Jan Józef Lipski z wszczepionym rozrusznikiem serca jest idealnie zdrowy). Większość to zupełnie normalni lekarze. Na to właśnie liczę. Mówię lekarzowi, który mnie bada, że razem z doktorem Wiktorem Bodnarem prowadziłem zajęcia ze sportoterapii w szpitalu na Sobieskiego.

Liczę po cichu na to, że ten lekarz skontaktuje się z Bodnarem, który zna moją rodzinę.

Dobrze trafiłem. Na drugi dzień Bodnar zjawia się u mnie w domu. Wiadomość, że symuluję chorobę i jest szansa, by mnie wyciągnąć dociera do podziemia. Nie wiem, kim był ów lekarz z Rakowieckiej, ale w następnych dniach w pełni współpracował z podziemiem. Przekazał mi gryps z instrukcją, jak się mam zachowywać i orzekł, że konieczna jest obserwacja w szpitalu psychiatrycznym. Podziemie spodziewało się, że przewiozą mnie do Pruszkowa, gdzie w konspiracji był prawie cały personel, a stamtąd dam nogę. Ale ja nie chciałem dawać nogi. Wiedziałem, że jeśli plan się uda, to za dwa, trzy miesiące, i tak wyjdę.

Ale pułkownik Będkowski nie był durniem i wiedział, o co mi chodzi. Zamiast do Pruszkowa przewieziono mnie do Łodzi. Wylądowałem w szpitalu im. Babińskiego, ale ciągle za kratą, na oddziale zamkniętym.

Symulowanie choroby na oddziale psychiatrycznym jest dla zdrowego człowieka tak ciężkim stresem, że nikomu go nie życzę. Wprawdzie ja nie symuluję choroby psychicznej, tylko neurologiczną, ale przebywam razem ze schizofrenikami, paranoikami. Poza tym muszę sam się poniżać, na przykład udając, że jak zaczynam rysować kreskę, to nie mogę jej skończyć i rysuję nawet za kartką, lub specjalnie robić błędy w teście na inteligencję. Najgorsze jest to, że muszę wmawiać lekarzom (do protokołu badania), iż w tej sprawie nie wiedziałem, co czynię, że byłem bezwolnym narzędziem otoczenia, które wywierało na mnie presję. To było jedno z najcięższych przeżyć w moim życiu. Następnym razem wybrałbym odsiadkę.

Dziś wiem, że tym lekarzom nie musiałem nic wmawiać. Doskonale wiedzieli, że symuluję, ale zamiast mnie wsypać, postanowili mi pomóc. Już następnego dnia rano ordynator, dr Maria K., przynosi mi na oddział otwarty (z komentarzem: „Nie jestem klawiszem, nie trzymam zdrowych ludzi za kratą”). Nie jest w tym konsekwentna, bo na oddziale zamkniętym jest dwóch kryminalistów, którzy też ewidentnie symulują, ale ich zza kraty nie wypuściła. Mogę wyjść do parku, a nawet zwiać, ale nie jestem taki głupi. Czuję już, że wkrótce i tak wyjdę, a za ucieczkę mogą mi dowalić nawet 5 lat.

Tego samego dnia wieczorem zgłasza się do mnie pielęgniarka Anka – łączniczka łódzkiego podziemia, a dr Maria K., pod pozorem konieczności przeprowadzenia wywiadu środowiskowego, zawiadamia moją rodzinę, gdzie jestem. W Warszawie rozpoczyna się gorączkowe szukanie kontaktów z Łodzią. Jakiś łącznik udaje się do Marka Ketnera, łódzkiego psychiatry, który był lekarzem polskich wypraw

w Himalaje. Doszli do wniosku, że „taki równy gość musi być w podziemiu”, i słusznie. Kilka dni później Anka kontaktuje mnie z lekarzem „od Marka Ketnera”, który ma odpowiednio zaaranżować moje badania. Robimy EEG metodą podłożenia taśmy innego pacjenta. Wypełniam testy, metodą przepisywania z testu innego pacjenta. Ten materiał „z moich badań” dostaną biegli.

Orzeczenie, które wydali biegli to majstersztyk wciskania sądowni kitu. Z tego, że doznawałem urazów głowy wyciągnięto wniosek, że mam „osobowość o typie anankastycznym”. Wniosek: „nie stwierdzono objawów choroby psychicznej, oskarżony miał pełne rozeznanie czynu, ale zdolność kierowania swoim postępowaniem miał ograniczoną w stopniu znacznym”. Cały zabieg polegał na użyciu jednego obcego słowa, którego nie rozumiał sędzia, prokurator i SB-cy, oraz na twierdzeniu, że cokolwiek z tego wynika, podczas gdy nic z tego nie wynika. Psychiatria ZSRR wprowadziła pojęcie *bielaja szizofrenija*, która objawia się tym, że człowiek jest zupełnie zdrowy, tylko ustrój mu się nie podoba. Na tej podstawie sowieci zamykali dysydentów do psychuszek. Moi biegli wygenerowali *bieluju szizofreniju* po polsku, tyle że w mojej obronie – z uszkodzeń neurologicznych (których naprawdę wcale nie mam) wynika moja osobowość (zupełnie inna), zaś z niej ograniczona zdolność do kierowania postępowaniem objawiająca się tym, że zakładałem antypaństwową organizację.

Osobowość jest cechą stałą, człowiek rodzi się z nią i umiera. Zdolność do kierowania postępowaniem lub jej brak może wynikać z okoliczności, leków, alkoholu, strachu, stresu, ale nie z osobowości, a tym bardziej z osobowości anankastycznej, bo to słowo oznacza pedanta, człowieka nadmiernie dokładnego, przesadnie skrupulatnego. *Bielaja szizofrenija* w czystej postaci – ma taką osobowość, że mu się ustrój nie podoba, więc nie wie, co czyni. Tylko, że w tym przypadku wniosek jest odwrotny niż w ZSRR – nie należy mnie zamknąć, tylko wypuścić! Według polskiego prawa, nie popełnia przestępstwa ten, kto ma zdolność do kierowania swoim postępowaniem ograniczoną w stopniu znacznym. Uknulem całą intrygę z symulowaniem licząc tylko na zniesienie trybu doraźnego, a biegli wysmażyli ekspertyzę na niewinnienie. Tylko niestety – w stanie wojennym prawo było sobie, a sąd sobie.

### **Wyrok pojawia się i znika**

Po krótkim pobycie w więzieniu w Łodzi, w celi „stodole” na 50 osadzonych, głównie recydywy z Bałut i Chojnów (cały czas komuś odbija, tu kogoś biją, tam kogoś gwałcą, w kącie „bomba” – wiadro z pokrywą zamiast kibla) powracam do Mokotowa. Po pewnym czasie prokurator Detko przedstawia mi akt oskarżenia. Zarzut ten sam,

co na początku, tylko „uwolnienie J. Naroźniaka” z protokołu zatrzymania zmieniło się w „uprowadzenie internowanego J. Naroźniaka”. Biedny Naroźniak, zapierał się rękami i nogami a wredne podziemie go uprowadziło. W dodatku był internowany wstecz (postanowienie o internowaniu wystawiono po fakcie). Piszę pismo do sądu, w którym odwołuję zeznania. Piszę, że zeznania innych były wymuszone biciem, że byłem szantażowany. Pismo nie dociera do sądu. SB je schowała.

Mam prawo przeczytać akta sprawy. Przynosi je jakaś młoda, nie znana mi, prokurator, a towarzyszy jej młody SB-ek. Młoda prokurator kładzie na stole akta sprawy, a SB-ek swoją teczkę, której nie mam czytać. Mają pilnować, czy nie wrywam kartek, ale zamiast tego stoją przy oknie i flirtują. Nawet nie zauważyli, że zamiast akt wziąłem się za teczkę SB. A tam same ciekawostki – raporty o mnie jeszcze z „marca 68”. A potem istny rarytas – zalecenie na mój temat dla tajnych agentów w środowisku taternickim: „należy psuć mu opinię metodą ustną, ale nie można pomawiać go, że jest Żydem, bo zbyt dużo osób wie, że jest Tatarem”. Mało nie parsknąłem ze śmiechu. Zorientowali się, że czytam nie tę teczkę. SB-ek jest wściekły. Teraz już dokładnie pilnują, bym czytał właściwe akta.

Rozprawa w sądzie. Prokurator Detko mówi, że „wprawdzie nie ma dowodów, ale trzeba wziąć pod uwagę, że Naroźniak jednak został uprowadzony”. Domaga się dla mnie 3 lat więzienia. Pytam Mirka Święcha. (zeznaje jako świadek), czy był bity w śledztwie. Mówi: „Nie chcę tego wspominać” i dodaje: „moje zeznanie nie było moim pomysłem”. Sędzia J. Szrotki nie reaguje. Leszek Gago otwarcie zeznaje, że był bity, a zaznanie jest wymuszone i niezgodne z prawdą. Znów brak reakcji sędziego. Sędziego zupełnie nie rusza orzeczenie biegłych i oczywisty brak przestępstwa w zarzucanym mi czynie. Uchyła jednak tryb doraźny. Skazuje mnie na 1,5 roku więzienia i uchyła areszt, bo wyrok nie jest jeszcze prawomocny (zgodnie z ówczesnym prawem nie można było przedłużyć aresztu przy wyroku mniejszym niż 2 lata).

Ustne uzasadnienie wyroku nie zostało nigdzie zapisane, ale wyczyłem się go na pamięć. Było rekordem bezprawia: „W czasie rozprawy nie udowodniono czynu karalnego, ale oskarżony działał z dużym natężeniem złej woli. Sąd wziął pod uwagę, że braki w materiale dowodowym wynikają z uprzedzonego uchylenia się od zeznań oraz arogancji oskarżonego i świadków”. Tak więc dostałem 1,5 roku za złą wolę i arogancję. Obrońca od razu zapowiada apelację (zwrot o „złej woli” pojawia się też w pisemnym uzasadnieniu wyroku). Obecny na sali SB-ek pisze w raporcie dla swych przełożonych: „jako postronny obserwator stwierdzam obiektywnie, że вина nie została udowodniona” (z akt IPN).

Sygn. akt VI K 1320/82

W Y R O K

W IMIENIU POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ

Dnia 20 stycznia 1983r.

Sąd Rejonowy dla m.st. Warszawy w VI Wydziale Karnym w składzie:

Przewodniczący: SSR J. Szrotki

Zamniący : T. Rybiński, P. Ajtko

Protokółant : E. Czyż

w obecności Prokuratora: A. Jackowska

po rozpoznaniu w dniu 20 stycznia 1983r. sprawy:

Krzysztofa Łozińskiego urodz. dnia 16 lipca 1948r. w Warszawie  
syna Józefa i Danuty z domu Żaczekowska

oskarżonego o to, że:

W okresie od dnia 15 maja 1982r. do dnia 8 czerwca 1982r. w Warszawie zorganizował i kierował kilkoma ~~wieloma~~ wielosobowymi zebraniem mającymi na celu założenie nielegalnego związku o charakterze antypaństwowym "Legion Kondor", program którego przewidywał akcje terrorystyczne wobec funkcjonariuszy Milicji Gminnej, kradzieże z państwowych instytucji urządzeń poligraficznych, rozpowszechnianie antypaństwowych ulotek, jak również podejmowanie różnego rodzaju akcji sabotażowo-dywersyjnych

tj. o czyn z art. 279 k.k.

ORZĘKA

Krzysztofa Łozińskiego uznaje za winnego dokonania zarzucanego mu czynu i za to z mocy art. 279 k.k. skazuje go na karę 1/jednego/ roku i 6/sześć miesięcy pozbawienia wolności;

z mocy art. 83§1 k.k. na poczet orzeczonej kary pozbawienia wolności zalicza oskarżonemu okres tymczasowego aresztowania od dnia 8.VI.1982r. do dnia 20 stycznia 1983r;

od opłaty sądowej i kosztów postępowania w sprawie oskarżonego zwalnia; przejmując te ostatnie na rzecz Skarbu Państwa;

dowód rzeczowy w postaci nielegalnych wydawnictw wymienionych na k.7 a znajdujących się na k.6 nakazuje zniszczyć.

Na oryginale włą...

za zgod...



Wyrok-parodia z gatunku: „człowiek jest, paragraf się znajdzie”. Jak nie zdołano udowodnić mi akcji uwolnienia Janka Naroźniaka, to skazano mnie za kierowanie organizacją terrorystyczną, o której ten sam sędzia w uzasadnieniu napisał że „nie istniała”

Na drugi dzień wychodzę z aresztu. Mam natomiast dozór milicyjny i muszę się meldować. Milicjant z Ursynowa pyta mnie, czy „nie utrzymuję kontaktów ze środowiskiem przestępczym?”

– Na razie nie – mówię – ale jak dostanę wezwanie listem poleconym, to będę musiał się z wami kontaktować.

Z dokumentów ujawnionych już przez IPN wiem o piśmie SB -ka do sądu: „*zdaniem wydziału śledczego wyrok jest za niski, a uchylenie aresztu niesłuszne*”. A więc sąd ma się poprawić i tu zaczynają się czary nad wyrokiem. W SB istniała komórka do fałszowania dokumentów, tzw. sekcja T-7 Biura XI Antydywersji Politycznej (jej istnienie ujawnił Jan Nowak-Jeziorański). To, co działo się dalej, było prawdopodobnie jej dziełem. Po pewnym czasie idę do sądu rejonowego odebrać odpis wyroku. Sekretarka mówi mi, że może mi tylko wyrok pokazać, a sąd wyśle go adwokatowi. Patrzę i oczom nie wierzę: wyrok wynosi 3 lata, a na sali sądowej było 1,5 roku. Idę do adwokata i okazuje się, że on dostał pocztą wyrok, w którym jest nadal 1,5 roku. Dwa wyroki w jednej sprawie? Wracam do sądu po trzech dniach. Trzyletni wyrok zniknął. Cholera, przecież nie mam halucynacji!

Po kilku miesiącach odbywa się sprawa rewizyjna. Sąd wojewódzki zmniejsza mi wyrok do 7 miesięcy (czyli mniej niż odsiedziałem). Po zaledwie godzinie od zakończenia rozprawy idę do sekretariatu zamówić odpis wyroku.

– A wie pan, że już jest rewizja Sądu Najwyższego? – mówi sekretarka i pokazuje mi wyrok, w którym z powrotem mam 1,5 roku.

Sąd Najwyższy w tamtym czasie nazywany był Sądem Najwyższym. Nie jeden raz już w ciągu godziny zdążył się zebrać, przeczytać akta i uchylić wyrok pod dyktando SB. Myślałem, że tak samo jest tym razem. Idę jednak do Sądu Najwyższego, a tam o żadnej rewizji nie wiedzą. Wracam do sądu wojewódzkiego, a sekretarka mówi:

– Już nie ma tego wyroku. Przyszedł pan z komendy stołecznej i zabrał.

– Jak to? Zabrał wyrok?

– Proszę pana, tu nie takie cuda się dzieją...

Myślę, że to jest temat dla IPN: ile wyroków sfalszowała sekcja T-7? Przecież gdybym się od razu nie zorientował, to prawdziwy wyrok by zniknął, a został tylko fałszywy. A przecież wiele osób nie interesuje się aktami po zakończeniu sprawy. SB tworzyła w ten sposób możliwość uwięzienia wybranych osób w dowolnym czasie i z pominięciem sądu. Wystarczyłoby człowieka osadzić w więzieniu w celu odbycia „reszty” sfalszowanej wysokości kary.

## Reperkusje

Po wyjściu z więzienia niemal natychmiast powróciłem do działalności konspiracyjnej. W 1990 roku, już po przełomie, zostałem uniewinniony przez Sąd Najwyższy. Kilka miesięcy po mnie został aresztowany Adam Borowski a później, razem z innymi osobami z kierownictwa MRKS, Jerzy Bogumił. Sam Jan Naroźniak ujawnił się w 1983 roku w ramach amnestii (Adam i Jerzy jeszcze wówczas siedzieli). Miał później długotrwałe komplikacje zdrowotne (żółtaczkę wszczepienną), ale ostatecznie z tego wyszedł. Dość długo siedzieli Andrzej Sankowski i Jerzy Siwiec. Być może i inne osoby, o których nie wiem.

Adam Borowski został skazany na 6 lat więzienia, Jerzy Bogumił na 2 lata, ja na 1,5 roku. Wszystkie wyroki bez zawieszenia. W akcji MRKS brali jeszcze udział Kazimierz Hinz i Mirosław Radzikowski.

Gdy zostałem aresztowany, dyrektorzy Teatru Wielkiego, Robert Satanowski i Jerzy Bojar złożyli poręczenie społeczne. Zaledwie 3 miesiące później, łamiąc prawo, zwolniono mnie z pracy (ustawa zabraniała zwalniania funkcyjnych działaczy związkowych). Podpisał to inż. Piotr Marconi, który nie był moim przełożonym. Widać nikt z moich szefów, ani z dyrekcji, podpisać tego nie chciał. Po zwolnieniu z aresztu chciałem wrócić do pracy. Dyrektor Robert Satanowski zgodził się, ale potrzebna była jeszcze zgoda Urzędu Zatrudnienia. Tam jednak był na mnie zapis SB i zgody nie dostałem. W tym samym czasie dyrektorzy Teatru Wielkiego zostali wezwani do Ministerstwa Kultury i obrugani. Przez kilka lat SB uniemożliwiała mi normalne zatrudnienie. Przeżyłem i tak dzięki pracom wysokościowym oraz zagranicznej pomocy, którą organizował dla mojej rodziny Andrzej Roman.

W 1984 roku, z okazji 25-lecia klubu „Błyskawica” urządziłem z moimi uczniami pokaz kung fu. Po pokazie podszedł do mnie major Edward Misztal i zaproponował mi szkolenie oddziałów specjalnych milicji, których był dowódcą. Proponował gigantyczne, jak na tamte czasy, wynagrodzenie. Zaledwie dwa lata wcześniej jego podwładni ciężko pobili Mirka Święcha, grozili mi pistoletami i wyrzuceniem przez okno z 6 piętra, fałszowali dokumenty procesowe. Przypomniałem mu o tym i odmówiłem.

– Tamte sprawy nie mają znaczenia – odparł Misztal.  
– Ale ma znaczenie to, że milicja do ludzi strzela.  
– Oj z tym strzelaniem to było zupełnie inaczej...  
– Było tak, że górnicy żyli, a nie żyją – odparłem i do rozmowy już nie wracaliśmy.

Mało kto wie, że sprawa Naroźniaka spowodowała trwałe zmiany w przepisach dotyczących uprawiania sportu. Po wpadce grupy „Kondor” władze przestraszyły się, że w podziemiu pojawili się mistrzowie



i instruktorzy wschodnich sztuk walki. Odbyło się spotkanie prezesów i trenerów z milicją, na którym pewien oficer z KG milicji krzyczał: „jak student rzuca w milicjanta kamieniem, to trudno. Ale na to, żeby student jakieś karaty ćwiczył, władza ludowa zgodzić się nie może”. Efektem było zarządzenie GKKFiS „o zasadach uprawiania wybranych dyscyplin sportu”. Objęto nim także alpinizm, żeglarstwo, lotniarstwo itp., czyli wszystkie niepokorne środowiska sportowe. Zarządzenie przewidywało przymus zrzeszania się w istniejących związkach sportowych i cały szereg represyjnych rozwiązań.

\* \* \*

Zamykając opis tych wydarzeń chciałbym powiedzieć jeszcze jedno. Do nikogo nie mam pretensji za okazanie słabości w czasie przesłuchań. W przeciwieństwie do wielu obecnych lustratorów-amatorów, wiem, że żaden człowiek nie ma odporności nadprzyrodzonej. Wiem też, że nikt, komu nie przystawiano pistoletu do głowy, nie ma moralnego prawa oceniać tego, jak inni zachowywali się w areszcie. Niestety większość dzisiejszych krytyków naszych ówczesnych działań wyrażała swą dezaprobatę wobec systemu wyłącznie za pomocą drżenia portek. Może więc robiliśmy coś głupio, może czasem śmiesznie, może ktoś z nas czasem się załamał i zeznawał więcej niż powinien, ale pamiętajmy, że ci ludzie nie ograniczali się wyłącznie do drżenia portek. W podziemiu nie było legitymacji i list członków. Dlatego dziś szeregi podziemia uległy cudownemu rozmnożeniu o takich co „na tapczanie walczyli z komuną”. Ci mają najbardziej wypiętą pierś do orderów.

### **I na koniec – walka z mitem**

W 1980 roku, ani w podziemiu nie mogliśmy ujawnić kto naprawdę wydobył list Czubińskiego, od czego cała sprawa się zaczęła. Opinia publiczna błędnie przypisała ten czyn Janowi Narożnikowi i tak w pamięci wielu ludzi zostało. Liczyłem na to, że prawdę ujawni sam Jan Narożniak, bo przecież ją zna. Wie od kogo dostał ten dokument do powielenia. Niestety Narożniak milczy.

Rafał Geremek napisał w 1999 roku w „Życiu”, że działacze dawnego podziemia mają do Janka Narożniaka pewne żale, a dokładnie o to, że korzystając z amnestii ujawnił się, gdy Adam Borowski siedział jeszcze w więzieniu. To pewna nieścisłość. Żal to my, owszem mamy, ale nie o to. Raczej o to, że do dziś nie słyszeliśmy od niego słowa „dziękuję”, a także za pewien „wjazd kserokopiarką do historii”, za to granie roli bohatera i umniejszanie roli innych osób. Szczególnie przykro

odebraliśmy film dokumentalny Krzysztofa Langa „Palec Jana Naroźniaka”. Tak się bowiem złożyło, że w tym filmie Jerzy Bogumił, Adam Borowski i ja jesteśmy jedynymi osobami, które pojawiają się na ekranie nie podpisane nazwiskiem (a podpisano dokładnie wszystkie inne osoby). Ja pojawiając się na tym filmie jako „jakiś młody człowiek” przemawiający na wiecu w Ursusie, Adam i Jerzy, jako „jacyś ludzie”, którzy wywożą Naroźniaka ze szpitala. Naprawdę nie chodzi nam o to, by nam dawano order i stawiano pomniki, tylko o zwykłą uczciwość wobec faktów. Zwłaszcza, że autor filmu, Krzysztof Lang, doskonale mnie zna i dokładnie wie, jak się ten „jakiś młody człowiek” na ekranie nazywa. Nie podpisanie Adama i Jerzego to już bardzo gruby nieakt. Szanowny Krzysztofie i szanowny Janku, my nie jesteśmy „jacyś ludzie”. My mamy imiona i nazwiska, a wy dobrze je znacie.

Rafał Geremek, bez złej woli, ale raczej z niewiedzy pisze, że Janek Naroźniak w 1980 roku „w drukarni przypadkiem przechwycił esbecką instrukcję ‘Jak zwalczać opozycję’ i przedrukował ją w podziemnym piśmku”, co stało się powodem jego ówczesnego aresztowania. Uff! Niemal wszystko w tym zdaniu jest nieprawdą. („Życie” 11-12 grudnia 1999)

Później wielokrotnie pojawia się w różnych mediach wersja, że Jan Naroźniak i Piotr Sapela ujawnili list Czubińskiego. Za każdym razem piszę sprostowanie i za każdym razem zostaje ono zamieszczone. Naroźniak milczy. W końcu, w 2014 roku ten sam błąd popełnia Zbigniew Hołdys w Nesweeku. Ja zwykle piszę sprostowanie. Otrzymuję utrzymaną w dość aroganckim tonie odpowiedź, że mam mu dać spokój, bo Jan Naroźniak został za to odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego, a ja jestem nikiem, bo nie ma mnie w Wikipedii. No comments.

Przebieg wydarzeń został przeze mnie opisany obszernie w „Kontratakach” ok. 12 lat temu. Został też opisany (nie przeze mnie) w „Tygodniku Solidarność” z dnia 13 maja 2005 roku. Sprawę badał też historyk Ośrodka „Karta” Bartosz Kaliski, ale opisał tylko samą akcję uwolnienia Jana Naroźnika przez MRKS.

Opisane przeze mnie wydarzenia były badane przez prokuraturę IPN w Warszawie (prok. Marian Rębacz) i w Rzeszowie. Były też przedmiotem postępowań dowodowych przed Sądem Okręgowym w Warszawie, Wydział Cywilny i Wydział Karny. Zostały też przez te sądy opisane (zgodnie z moją wersją). Dysponuję okazałym stosem dokumentów potwierdzających to, co opisałem. O tym, że to ja ujawniłem list Czubińskiego, a błędnie przypisano to Naroźnikowi, przeczytać można w „Encyklopedii Solidarności” pod hasłem „Krzysztof Łoziński”.

# Trzydzieści dni 1977

***Tekst poniżej jest fragmentem rozdziału z mojej książki „Ślady na śniegu”. Jest to opis tego, czym grozi zabieranie na wyprawę w wielkie góry ludzi, którzy się kompletnie do tego nie nadają. Moja druga wyprawa na Koh-e-Tez w Hindukuszu Wysokim omal nie skończyła się dla mnie tragicznie. Wyprawa składała się głównie z kiepskich taterników, którzy dzięki różnym układom towarzysko-finansowym „musieli pojechać”. Koh-e-Tez to siedmiotysięcznik, 7015 m, w Afganistanie, na granicy z Pakistanem. Nazwa oznacza w języku farsi dosłownie Szczyt Ostry, wymawia się ją: Kuh-i-Tez.***

Nie będę zanudzał czytelników opisami, kto i którego dnia założył który obóz, czyli takimi opisami, przez które większości relacji z wypraw nie da się czytać. Ważne jest to, że powstał porządny obóz pierwszy na wysokości około 6000 metrów, nieco poniżej przełęczy Shogordok An, a następnie obóz drugi na samej przełęczy. Obóz drugi był tylko 400 metrów wyżej niż pierwszy, ale dzieliła je spora odległość pozioma, co na wysokości powyżej 6000 metrów nie jest bez znaczenia. Poza tym zakładanie obozu wyżej nie miało żadnego sensu. Do szczytu pozostało zaledwie 600 metrów różnicy wysokości i mniej niż kilometr w linii prostej, a usytuowanie obozu na przełęczy dawało nadzieję na późniejsze atakowanie Shogordoka i Sayoz Zoma



Koh-e-Tez (7015 m) widziany ze szczytu Kuh-e-Awal (5800 m) – fot. Krzysztof Łoziński

(szczyty o wysokości 6700 i 6856 m po drugiej stronie przełęczy), na co wówczas jeszcze skrycie liczyłem.

Koh-e-Tez, gdyby nie był siedmiotysięcznikiem, byłby górą zupełnie łatwą, wręcz spacerową. Jedyne trudności, zresztą niewielkie, występują na odcinkach bardziej stromego lodu. Do obozu na przełęczy Shogordok An doszło ze mną dwóch Jasiów. Obaj radzili sobie tam nawet niezłe, gdy mieli górną asekurację. Trochę niestety opóźniali mi tempo akcji, bo na początku, zamiast się aklimatyzować, grali w brydża. Teraz ten brydż wychodził im bokiem. Gdy drugi raz doszliśmy do obozu II z zamiarem atakowania szczytu, okazało się, że na wysokości 6400 metrów dla Jasiów skończyły się właśnie możliwości marszu w górę. To był efekt nienajlepszej aklimatyzacji.

Przenocowaliśmy na przełęczy. Rano Jasie oświadczyły, że wyżej nie pójda, a przynajmniej nie tym razem. Ja czułem się świetnie, a szczyt wydawał się być na wyciągnięcie ręki. Ustaliliśmy, że posiedzimy w obozie jeszcze jeden dzień i być może przez ten czas Jasie poczują się lepiej. Po południu zobaczyliśmy podchodzące w naszym kierunku dwie sylwetki. Byli to Marylka i Bartek, którzy, łamiąc ustalenia, „też chcieli brać udział w ataku szczytowym”. Gdy jednak doszli do przełęczy, bardzo już mocno dzwoniło im od wysokości w głowach i miny mieli nietęgę. W dodatku powstał pewien problem lokalowy. Na przełęczy był tylko jeden, i to mały, namiot. Trzy osoby mieściły się w nim z wielkim trudem. O pomieszczeniu pięciu ludzi nie było mowy.

W dodatku Marylka i Bartek, po podejściu od bazy, byli tak spruci, że na zejście tego samego dnia nie mieli już siły. Nie było wyboru, schodzić musieli Jasie. Ku mojemu zdziwieniu, nie protestowali. Mało tego, nie skorzystali z mojej propozycji, by zeszli tylko do jedyнки i następnego dnia podeszli ponownie, bo może będzie szansa powtórzenia ataku szczytowego. Postanowili zejść aż do bazy.

Rano okazało się, że Marylka i Bartek wprawdzie „bardzo chcą brać udział w ataku szczytowym”, ale ich możliwości fizyczne mocno z tą chęcią nie korelują. Uprosilili mnie, bym odłożył atak jeszcze o jeden dzień. To wszystko już przestawało mi się podobać, bo na skutek powolności Jasiów, i ciągłego odkładania ataku, byłem już piąty dzień w górze. Zaczynałem być po prostu mocno zmęczony, choć pod względem aklimatyzacji czułem się całkiem dobrze.

6400 metrów to już jest wysokość, do której nie można się trwale zaaklimatyzować. Na tej wysokości, a tym bardziej na większej, z każdym dniem traci się siły, nawet gdy nie podejmuje się większego wysiłku. Na tej wysokości już się praktycznie nie odpoczywa. Człowiek kładzie się spać i zamiast następnego dnia obudzić się wypoczętym, to jest jeszcze słabszy niż dnia poprzedniego. Co najgorsze, nie zdaje

sobie z tego sprawy. Po nocy wydaje mu się, że odpoczął, ale naprawdę sił mu ubyło. To jest taka pułapka wysokościowa, przez którą już wiele osób w górach zginęło. Myśli się: teraz jestem słaby, ale odpocznę, to zejść na dół. Tymczasem następnego dnia, i każdego kolejnego, jest się coraz słabszym. W końcu na zejście nie ma już sił.

Oczywiście, ja nie byłem jeszcze tak osłabiony, bym już musiał uciekać, ale każdy dzień tej ciuciubabki odbierał mi kolejne siły. Po kolejnej nocy Marylka i Bartek nadal nie nadawali się do akcji w górę. Zarządziłem, że idę na szczyt solo.

– O, jak to dobrze – ucieszyła się Marylka – to my już możemy schodzić!

– Co to, to nie – mówię – musicie przynajmniej poczekać na mój powrót, bo mogę być strasznie spruty.

Bardzo się smartwili, ale ostatecznie zgodzili się poczekać. Wiedziałem, że był to ostatni moment na atak szczytowy. Szósty dzień od mojego wyjścia z bazy. W dodatku pogoda, do tej pory jak drut, zaczęła być niepewna. Wśród seraków kopuły szczytowej wiatr wzniecał pióropusze śniegu. Po stronie pakistańskiej całe doliny wypełnione były chmurami, z których wystawały praktycznie tylko Tirich Mir oraz Istoronal (dwa najwyższe szczyty Hindukuszu, Tirach Mir ma 7770 m).

Wyprawa nie miała żadnych środków łączności. Ludzie, którzy zostali w bazie, nie wiedzieli, co się dzieje u góry, a ja nie wiedziałem, co się dzieje w bazie. O tym dowiedziałem się dopiero dużo później.

Tymczasem w bazie nie działo się dobrze. Kilka osób, siedzących beczynnie w bazie już któryś dzień z rzędu, zaczęło wzajemnie podgrzewać panikarską atmosferę. Była już późna jesień, przełom października i listopada, i w bazie z każdym dniem robiło się zimniej. O ile na początku działalności można było chodzić w dzień tylko w sweterku, to pod koniec kurtka puchowa była już strojem obowiązkowym, nawet w południe. Moje wyprawy zawsze miały tendencję do płynnej przemiany z letnich w zimowe, z powodu licznych opóźnień na samym początku.

Towarzystwo, które zostało w bazie, było wybitnie nieprzyzwyczajone do niskich temperatur. To obniżało ich nastrój. Do tego beczynność. Po kilku dniach zaczęły się im rodzić w głowach pomysły, że wszyscy, którzy wyszli do góry, dawno zginęli i nigdy nie wrócą. Szóstego dnia od naszego wyjścia, w tym samym momencie, gdy ja wyruszałem z przełęczy w kierunku szczytu, zeszło do bazy dwóch Jasiów. Byli tak zmęczeni, że ledwo leżli. Powrót Jasiów, zamiast uspokoić atmosferę, jeszcze ją podgrzał. Jasie, wbrew faktom, zaczęły opowiadać, że góra jest straszna, trudności ogromne, a Łoza – to wariat, co się porywa z motyką na słońce. Ten wariat trzymał ich kilka dni na przełęczy

i nie dawał zejść, aż w końcu niemal uciekli, niechybnie ratując życie. Teraz zapewne ich następcy ledwo tam żyją, i jak szybko nie zejda, to będzie strasznie.



Jedna z przeszkód w drodze na Koh-e-Tez. Ogromna bariera lodowa powstała z przesu-  
nięcia pionowego brzegów szczeliny – fot. Krzysztof Łoziński

Na domiar wszystkiego towarzystwo bazowe zauważyło, że zaczyna psuć się pogoda. Wieczorem Darek odczytał z bimetalicznego termometru, że jest – 41 stopni i wpadł w panikę. Nastrój w bazie był już taki, że wszyscy kombinowali, jak dać nogę na dół i tylko brakowało im do tego pretekstu.

W tym samym czasie ja, nieświadomy niczego, szedłem w kierunku szczytu. Pogoda psuła się coraz bardziej. Wzmagający się wiatr niósł od strony pakistańskiej śnieżną krupę. Pod wiatr nie dawało się już patrzeć. Byłem na nieco stromym, ale zupełnie łatwym śnieżnym zboczu. Wprawdzie z każdą godziną widoczność stawała się coraz gorsza, ale teren był łatwy, a kierunki oczywiste. Uznałem, że dokąd wiatr nie ma siły tak dużej, by utrudniać marsz w górę, to jeszcze nie ma powodu do paniki. Nie chciałem zresztą łatwo się poddawać. Miałem świadomość, że nie będzie już szansy na powtórny atak, a trzeciej wyprawy w ten sam rejon raczej nie zrobię. Na szczycie byłem około godziny 16-tej. Widoczność już była zerowa we wszystkie strony, a wiatr

stawał się nieprzyjemnie silny. Żałowałem, że nie mogę zrobić zdjęć ze szczytu, ale niestety widziałem tylko własne buty. Byłem we mgle.



Seraki nieco poniżej obozu I w drodze na Koh-e-Tez – fot. Krzysztof Łoziński



Wobec psującej się pogody nie było co na wierzchołku deliberować. Trzeba było czym prędzej zwiewać na przełęcz, a najlepiej jeszcze niżej. Zejście zajęło mi dość dużo czasu, bo wiatr stał się tak silny, że zmuszał do przeczekiwania w skulonej pozycji co silniejszych podmuchów. Sytuacja stawała się poważna. Zdałem sobie sprawę, że nawet nie wiem, czy śnieg pada, czy tylko wiatr go nanosi ze zboczy, bo kierunek opadu był niemal poziomy. Zejście utrudniał fakt, że wichura na zmianę nanosiła głębokie zaspy w jednych miejscach, a w innych wywiała cały śnieg, odkrywając skalne podłoże, co bynajmniej nie ułatwiało schodzenia. Ciągle to wpadałem w zaspę po pas, to natykałem się na jakieś skalne prożki, których, gdy szedłem do góry, nie było. Te prożki nie były ani duże, ani trudne, ale znakomicie opóźniały zejście, a ja wiedziałem, że muszę się spieszyć, bo pełnego załamania pogody bez namiotu nie przeżyję.

Gdy docieram na przełęcz, jest już zupełnie ciemno. Widoczność praktycznie zerowa, siła wiatru potworna. Ledwo daje się ustać na nogach. Nie mogę znaleźć namiotu. Przełęcz jest rozległa jak boisko piłkarskie. Łążę w tę i w tamtą stronę, aż nagle uświadamiam sobie, że jestem sam. Ludzi, którzy mieli czekać na mój powrót nie ma! Dali nogę! Na szczęście po chwili znajduję opuszczony namiot. Dobrze, że chociaż namiot mi zostawili. Bez niego nie miałbym szans.

Moja sytuacja jest niewesoła. Jestem sam na wysokości 6400 w kompletnym załamaniu pogody. W dodatku jestem potwornie zmęczony po wejściu na siedmiotysięcznik. Rano będzie tydzień, jak opuściłem bazę.



Samotny namiocik obozu I na wysokości ok. 6000 m. W tle podszczytowe zbocza Sayoz Zom – fot. Krzysztof Łoziński

Włazę do namiotu i przez jakiś czas leżę tak, jak padłem. Jest mi bardzo zimno. Mam koszmarne dreszcze i skurcze mięśni. To ze zmęczenia i wyziębienia. W końcu niemal zmuszam się do wejścia do śpiwora. Znajduję palnik i rozpalam butanowy płomień. W namiocie robi się trochę cieplej. Trzeba coś zagotować, napić się jakiegoś ciepłego płynu. Ale do tego trzeba wyleźć ze śpiwora i namiotu, by nabrać śniegu. Te czynności, przy moim zmęczeniu, wymagają nadzwyczajnej mobilizacji woli. Marylka i Bartek mieli czekać na mój powrót właśnie po to, by się mną zająć, gdy wrócę taki spruty, by zagotować mi jakiś płyn, dać coś jeść. A oni dali nogę.

Całą noc leżę w półdrzemce, mobilizując się z trudem, by co jakiś czas coś zagotować. Jestem odwodniony i wyziębiony, a pogoda nie zanosz się na lepszą. Na szczęście mam sporo paliwa i żarcia. Jeśli uzupełnię płyny i ciepło, mam szansę.

Rano pogoda wygląda jeszcze gorzej. Wiatr szarpie namiotem z taką siłą, że boję się, by go nie podarł. Mimo kompletnego puchowego ubrania, spodni puchowych i kurtki, marznę nawet w namiocie i w śpiworze. Niemal cały czas gotuję jakieś zupki i galaretki. W pewnym momencie patrzę na mój bimetaliczny termometr i w pierwszej chwili nie rozumiem, co widzę. W końcu dociera do mnie, że jest – 60 stopni. Nawet jeśli ten przyrząd trochę oszukuje, to i tak jest źle. Tak niska temperatura, huraganowy wiatr i moje wyczerpanie – to

za dużo przeciwności na raz. Dociera do mnie, że tej przygody mogę nie przeżyć.

Nie mam nic innego do roboty, niż czekać na poprawę pogody. W tych warunkach zejść się nie da. Ale nie można się poddać apatii. Trzeba cały czas walczyć, gotować, wychodzić na zewnątrz po śnieg. Mija siódmy dzień na wysokości. Noc jest jeszcze gorsza od poprzedniej. Wszystko w namiocie pokryte jest szronem. Rano wiatr zaczyna słabnąć i robi się trochę cieplej, ale wcale tego nie czuję. Termometr pokazuje – 47 stopni. Widoczność ciągle zerowa. Mija ósmy dzień od wyjścia z bazy i czeka mnie kolejna noc.

W nocy wiatr wyraźnie słabnie, a rano niemal zanika. Niestety pojawia się nowa atrakcja. Pada śnieg. Termometr pokazuje – 32 stopnie. „Prawie upał” – myślę. Trzeba czym prędzej wiać na dół.

Zwijam obóz i z ciężkim plecakiem zaczynam schodzić. Jestem bardzo osłabiony, ale jeszcze nie chcę porzucać sprzętu. Boję się, że przy złej widoczności zabłądzę. Muszę trafić na lodowiec, którym podchodziliśmy. Jeśli pójdę za bardzo w lewo, mogę wleźć w podciętą barierami seraków ścianę Sayoz Zoma. Co gorsza, padający, a przedtem nawiewany, śnieg przykrył szczeliny maskującymi mostkami, a ja, schodząc samotnie, nie mam żadnej asekuracji. Gdy szedłem do góry, szczeliny były widoczne. Teraz wszystko wygląda tak samo.

Idę jak po polu minowym. Pracowicie dziabię czekanem przed sobą. Co pewien czas natrafiam na pustkę. Omijam niewidoczną szczelinę i próbuję w innym miejscu. Jestem strasznie napięty. Boję się, że za którymś razem trafię na mostek na tyle gruby, że nie wyczuję czekanem dziury, a na tyle jeszcze słaby, że się pode mną zarwie. Kilka razy noga wpada mi w dziurę i w ostatniej chwili rzucam się do tyłu. W pewnym momencie czuję głucho tąpnięcie i jakieś dziesięć metrów przede mną samoczynnie zawala się most śnieżny ujawniając ogromną, szeroką na około siedem metrów szczelinę. Omal w nią nie wlażem.

Znajduję obóz I. Wierzchołek namiotu ledwo wystaje spod śniegu. Zwijam namiot i zabieram sprzęt. Plecak staje się cięższy. Idę mocno w prawo, bo strasznie boję się zapychu w ścianę Sayoz Zom. Teren wyraźnie się obniża i zaczynam go rozpoznawać. Jestem na dobrej drodze. W miarę schodzenia czuję się trochę lepiej, bo powietrze na mniejszej wysokości zawiera więcej tlenu. Nieco powyżej prowizorycznej jedynki widoczność znacznie się poprawia. Wyszedłem z chmur.



Omijanie ogromnej szczeliny w drodze na przełęcz Shogordok An – fot. z archiwum autora

Namiot prowizorycznego obozu I jest zupełnie zawalony i podarty. Zabieram z niego kilka pełnych ładunków butanowych i palnik. Nic więcej tam nie ma. Niepokoi mnie, że nie widzę namiotów bazy, choć normalnie były już stąd widoczne. Ale wszystko jest przysypane świeżym śniegiem, więc może i one?

Jest wieczór. Nie mam już siły iść dalej. Rozbijam jeden z namiotów i idę spać. Po zmroku wychodzę po śnieg do gotowania. Patrzę w stronę bazy. Czemu nie widać żadnego światła? Może już wszyscy śpią. Dlaczego, do cholery, nikt nie wyszedł do góry, by mi pomóc? Przecież wiedzą, że jestem dziewiąty dzień w akcji i ledwo żyję ze zmęczenia. Prawdziwą niespodziankę poznam dopiero jutro.

Rano pogoda jest wyraźnie lepsza. Śnieg już nie pada, ale jest trochę mgieł. Schodzę dalej. Nogi mam jak z waty. Plecak niemiłosiernie wżyna się w ramiona. Jeszcze nieprzyjemny odcinek po penitentach, jeszcze kawałek po piargach i już, za tą morenką będzie baza. I koniec. Będzie można odpocząć.

Wchodzę na morenkę i ... O kurwa! Nie ma bazy!

Stoję jak zbaraniały z worem na plecach. Zaraz, może to nie tu, może dalej. Ale nie, kamienne platformki po namiotach, spalone obryzki od bębnow... Nie ma wątpliwości.

Siadam na kamieniu i dłuższą chwilę siedzę bezradnie. Zupełnie nie wiem, co robić. Łudzę się jeszcze nadzieją, że oni tylko poszli

po pomoc dla mnie i jeszcze wróca, ale w końcu zaczyna docierać do mnie groza sytuacji. Do wylotu doliny mam dwadzieścia pięć kilometrów po lodowcu, po piargach, po potokach. Nie ma nawet ścieżki. Tam jest wieś Urgund-e-Bala. Ale to, że jest wieś, nic mi nie daje. W tym biednym kraju nie mogę liczyć na żadną bezinteresowną pomoc. Doliną Wahanu jeżdżą nawet ciężarówki, ale nikt mnie nie podwiezie za darmo. Nikt też za darmo mnie nie nakarmi. W tym kraju ludzie na co dzień umierają z głodu i nikt się nie zlituje nad jeszcze jednym głodującym. W Urgund-e-Bala niczego nie sprzedam, bo ci ludzie są strasznie biedni, ale może uda się wymienić coś z moich rzeczy na jedzenie. Może sprzedam coś, na przykład namiot czy śpiwór, w Iskashimie, ale i to niepewne, bo Iskashim – to straszna dziura. Jeżeli tam nic mi się nie uda, to marne szanse. Do Iskashimu z Urgund-e-Bala jest sto kilometrów. Nawet jak przejdę te sto kilometrów, to będę u kresu sił. Do Fajzabadu, gdzie jest telefon i są sklepy, jest kolejne sto pięćdziesiąt kilometrów. W dodatku przez górską pustynię. Muszę zdobyć jakieś pieniądze w Iskashimie, choćbym nawet wymienił wszystko, co mam, za samo podwiezienie do Fajzabadu. Inaczej zginę.



Widok na Pamir z okolic przełęczy Shogordok An (6400 m) – fot. Krzysztof Łoziński

Robię remanent sił i środków. Jestem bardzo wyczerpany akcją górską. Powinienem kilka dni odpocząć, ale nie mogę sobie na to pozwolić, bo nie mam co jeść. Cały mój prowiant, na te łącznie 125 kilometrów marszu do Iskashimu, to dwie puszki sprottek. W dodatku nie mam nawet dokumentów, bo je zabrali razem z moimi pieniędzmi

i resztą moich rzeczy. Nie mam bielizny na zmianę, nie mam lżejszego ubrania, lżejszych butów. Skoro już musieli uciekać, to mogli chociaż zostawić moje rzeczy i moje pieniądze...

Znacznie później udało mi się odtworzyć, to, co działo się w bazie przed moim powrotem. W tym dniu, gdy wyruszyłem na szczyt, do bazy zeszyli Jasie i podgrzały panikarską atmosferę. W dodatku popsukała się pogoda. Następnego dnia rano całe towarzystwo patrzyło przerażone na góry spowite chmurami i słuchało odgłosów niewidocznych z bazy lawin. Wczesnym popołudniem z mgieł wyłonili się Marylka i Bartek, którzy opowiedzieli, jak to wycofali się z przełęczy, w strasznym załamaniu pogody. Byli przy tym trochę podrapani, bo gdzieś tam niegroźnie spadli. Powiedzieli, że „Łoza nie wrócił ze szczytu”. Oni „musieli schodzić, bo też by zginęli”. Wedle moich ustaleń, zaczęli schodzić już w cztery godziny po moim wyjściu. Cholernie szybko. W tym czasie jeszcze siedłem do góry (nie muszę chyba wyjaśniać, że na siedmiu tysiącach chodzi się nieco wolniej). Pogoda faktycznie się psuła, ale ja uznawałem, że jeszcze nie jest tak źle, by się wycofywać z grani szczytowej, a oni uznali, że jest aż tak źle, że trzeba uciekać z przełęczy. Ot, kwestia oceny.



W serakach kopuły szczytowej Koh-e-Tez zrywa się wiatr. Ostatnie zdjęcie przed załamaniem pogody, wykonane na wysokości ok. 6700 m – fot. Krzysztof Łoziński

Po zejściu Marylki i Bartka, w bazie zapanowała panika. Darek łąził i powtarzał, że „Łoza nie żyje i nie ma na co czekać”. Któryś z Jasiów zaproponował nieśmiało, że Łoza może jakimś cudem jednak przeżyć, ale został przez wszystkich zakrzyczany. Dla uspokojenia sumień, ktoś wpadł na pomysł, że zejdą tylko do Urgund-e-Bala i tam na mnie zaczekają, a nie „na tym strasznym mrozie”. Z tego co wiem, minęli jednak Urgund-e-Bala bez zatrzymania. Oczywiście, o tym, że mnie potrzebna jest pomoc „na tym strasznym mrozie”, a nie w subtropikalnej dolinie Wahanu, jakoś nikt nie pomyślał.

Rozważali też pozostawienie moich rzeczy, czyli jednak nie do końca wierzyli w moją śmierć, ale doszli do wniosku, że jak zostawią, to i tak znajdą to miejscowi i zabrają. Ktoś wprawdzie wpadł na pomysł, że można te rzeczy gdzieś schować, a mnie zostawić kartkę, napisaną po polsku, z informacją gdzie, ale dziwnie szybko ten pomysł zarzucono. Zgodzono się natomiast bardzo chętnie z pomysłem Darka, by moje rzeczy, w tym paszport i pieniądze „przekazać rodzinie”.

Szwędałem się po pustej bazie jakąś godzinę. Szukałem po okolicznych piargach, czy nie znajdę jakiś rzeczy dla mnie schowanych, albo choćby porzuconych a przydatnych. Okolica była jednak jak wyczyszczona.

Nieco się przebrałem, bo spodnie i kurtka puchowa, a także wiatrochrony, nie były w dolinie potrzebne. Żałowałem, że nie mam innych butów, bo w wielkich i sztywnych butach wysokościowych bardzo źle się chodzi po równym, a także po piargach. Przekonałem się o tym bardzo szybko. Już na drugi dzień miałem nogi poobcierane do krwi. Te buty są bardzo dobre do chodzenia w rakach i do ochrony przed mrozem, ale ich podeszwa niemal wcale się nie zgina. No i każdy but waży prawie kilogram. Na zwykłej szutrowej drodze w dolinie Wahanu idzie się w czymś takim, jak w dybach na nogach. W dodatku w dolinie Wahanu jest ciepło, bo ta dolina leży bardzo nisko (ok. 2500 m.n.p.m.), i wielowarstwowe, bardzo ciepłe buty sprawdzają się w niej wyjątkowo źle. Że też, do cholery, nie zostawili mi choćby trampek.



Ostatnie spojrzenie na Koh-e-Tez pokryty świeżym śniegiem – fot. Krzysztof Łoziński

Tego dnia zaszedłem niezbyt daleko. Nie dotarłem nawet do Urgund-e-Bala. Położyłem się spać w samym śpiworze, bez namiotu, bo u wylotu doliny było już całkiem ciepło. Rano obudziło mnie dotknięcie w czoło. To pasący się samotnie biały koń dotknął mnie pyskiem. Wrażenie było dość niesamowite. Otworzyłem oczy i tuż nad głową zobaczyłem pochyłony pysk konia. Dwa miesiące wcześniej, w czasie dojazdu, zrobiłem sobie wycieczkę w bok, podczas gdy kierowca naprawiał samochód. Wszedłem na jedną z bezimiennych gór tutejszego reglu, o wysokości około 4000 metrów. Pod samym szczytem pał się biały koń. To było niezwykle spotkanie. Byłem bez aklimatyzacji i na tej wysokości mocno to odczuwałem, a tu w najlepsze koń się pasie!

Teraz znowu spotkanie z koniem, przecież nie tym samym. Zrobiło mi się trochę raźniej, tak jakby opiekował się mną jakiś duch pod postacią białego konia. Może jednak nie zginę.

Spakowałem graty i ruszyłem w dół. W Urgund-e-Bala spotkałem żołnierza, tego samego, który na poprzedniej wyprawie uczył mnie podstaw języka farskiego. Poznał mnie i nawet się ucieszył.

Od żołnierza dowiedziałem się, że moje towarzystwo, dwa dni temu, opuściło wieś wynajętym samochodem. Niestety, nic mi się w Urgund-e-Bala nie udało pohandlować. Tak, jak się tego domyślałem, tutejsza ludność była zbyt biedna. Czekał mnie dalszy marsz piechotą.

Zorientowałem się też, że sytuacja w Afganistanie bardzo się zmieniła. Nawet w tak małej wsi wyczuwało się napięcie. Wojna wisiała



w powietrzu. Posterunki nadgraniczne zostały wzmocnione. Zamiast jednego żołnierza, było trzech. Samochody, jadące w głąb kraju, wiozły poborowych z górskich wiosek. Ogłoszono mobilizację. Po drugiej stronie granicy nie starano się nawet maskować niezwykłego nagromadzenia ciężkiego sprzętu. Mój Askar (żołnierz – *farsi*) interpretował sytuację po swojemu.

– Patrz – mówi Askar – Rosjanie trzymają tam całe bataliony, a tu jest nas tylko trzech, to czyja armia lepsza?

Mnie się niestety kojarzy to inaczej. Z granicą polską, w 1939 roku.

Dziś, znając wynik wojny afgańsko-radzieckiej, muszę przyznać, że Askar miał rację. Armia Afganistanu okazała się lepsza, ale kraj zapłacił za to milionem zabitych i trzema milionami uchodźców. W dodatku wojny zaczętej wówczas do dziś nie można zakończyć.

Patrząc na drugi brzeg Piandżu. Piandż jest rzeką graniczną. Po stronie ZSRR aż roi się od wojska. Nawet się nie kryją. Woda w Piandżu ma tak silny prąd, że przeprawa na drugi brzeg jest zupełnie niemożliwa. Ta woda szybciej by człowieka rozerwała na kawałki, niż by się zdążył utopić. Mimo to radziecki brzeg jest umocniony jak linia Maginota. Zasięki z drutów kolczastych, bunkry ukryte w skałach, co dwieście metrów wieża strażnicza. W Termezie widziałem taką wieżę z bliska. Żołnierz siedzi tam na czymś w rodzaju podstawy działka. Kręcąc korbkami obraca się razem a WKM-em, potężną lornetą i potężnym reflektorem. Gdy na kogoś patrzy przez lornetę lub oświetla kogoś reflektorem, ma go jednocześnie na celowniku. Ot, tylko pociągnąć.

Za tą *sistemą* setki kilometrów bezludnego Pamiru, z lodowcami i przełęczami na sześciu tysiącach. Nawet, gdyby ktoś się przez te umocnienia przedostał, to w Pamiarze zginie z zimna i głodu.

Wyruszam w dalszą drogę. W twardych butach idzie się wyjątkowo źle. Bolą obtarte stopy. W dodatku nie mam czystych skarpetek. Od kilku dni mam na nogach te same, które już chyba można by postawić na sztorc. Ale nic na to nie mogę poradzić. Nie mogę ich uprać, bo musiałbym iść w mokrych albo czekać aż wyschną. Na zwłokę w marszu nie mogę sobie pozwolić, bo sił mam już bardzo mało i nie mam jedzenia. Błędne koło. Trzeba iść tak, jak jest, choć trochę boję się zakażenia w pokaleczonych stopach. Zjadam jedno z moich szprotek w oleju, na pusty od wielu godzin żołądek. Mam teraz do kompletu sensacje żołądkowe.



Droga w dół doliny Urgund-e-Bala. 25 kilometrów po lodowcu, morenach, potokach. W głębi szczyty Pamiru – fot. Krzysztof Łoziński

Plecak wydaje mi się bardzo ciężki. W następnej wsi, Urgund-e-Pajan, robię remanent. Śpiwór, ubranie puchowe, czekan, raki, namioty, ładunki butanowe i palniki, to mój majątek do ewentualnego sprzedania. Tego nie mogę wyrzucić, bo to może uratować mi życie. Co jeszcze? Latarka z wypaloną baterią. Próbowałem ją sprzedać w Urgund-e-Bala. Miejscowi nie rozumieli, że nie świeci, bo skończyła się bateria. Pokazywali, że nie świeci i mówili: „*harap*” (zepsuta – *farsi*). Oni chyba w ogóle nie wiedzą, że trzeba zmieniać baterie. Zresztą, skąd wezmą baterie? Pewnie gdyby wiedzieli, że baterie się wyczerpują, to nie kupiliby żadnej latarki.

Wyrzucam baterię i zostawiam pustą latarkę. Ona prawie nic nie waży. Co jeszcze? Mam trzynaście stalowych śrub lodowych. Pewnie ich nie sprzedam, bo w Afganistanie nikt nie wie, co to jest. Ale dla mnie śruby lodowe to niemal skarb. Tyle zabiegów musiałem odbyć, by je kupić. Młodzi czytelnicy mogą tego nie rozumieć, ale dla mojego pokolenia sprzęt alpinistyczny był niezwykle trudny do zdobycia. W kraju prawie nic nie można było kupić. Te nieszczęsne śruby Ali-gator (Jan Łacki) zrobił na fuchę w jakiejś fabryce i sprzedawał w klubie. Kupujący omal się o te śruby nie pobili, bo dla wszystkich nie starczyło. I teraz miałbym je wyrzucić? A na czym będę się wspinał w Tatrach? Nie, nie, ratowanie życia to za mały powód, by wyrzucać sprzęt. Śruby zostają.



Widok z dolnej części doliny Urgund-e-Bala. Od lewej Sayoz Zom, Koh-e-Shah, Koh-e-Urgund i Sangi Pindża. Na pierwszym planie morena czołowa lodowca – fot. Krzysztof Łoziński

W sumie plecak waży tyle, co ważył. Idę dalej. Jestem strasznie słaby. Ja nie idę, ja ledwo leżę. Wyznażyłem sobie cel na dzisiaj: Kazi Deh – 50 kilometrów. Strasznie chce mi się pić, ale woda jest tylko z potoków. Nie powinno się jej pić bez przegotowania. Mam wprawdzie butan i palnik, ale nie mam żadnego naczynia. Menażki i kubki zostawiłem w obozach. Skąd miałem wiedzieć, że nie zastanę bazy? W końcu piję wodę z potoku. Chrzanić amebę, muszę przeżyć. Ale piję tę wodę z takim uczuciem, jakbym pił cykutę. W końcu wiem, czym to grozi. Pamiętam, jak odchorowałem nie myte morele (zaliczyłem dur brzuszny).

Parę kilometrów dalej przed ponownym piciem nie odkażonej wody ratują mnie koczownicy. Jeden z nich zauważył, że chcę pić ze strumienia i głośno protestuje:

– *Nez, nez, harob al! (nie, nie, zepsuta woda – farsi)*

Cała grupa się zatrzymuje. Zapraszają, bym z nimi usiadł i oto niespodziewanie uczestniczę w jednym z najstarszych azjatyckich rytuałów. Już po kilku minutach płonie ognisko, a na nim grzeje się woda na herbatę. Krąży czarka z kumysem, a za chwilę jest już prawdziwy *czaj sabs (zielona herbata – farsi)*. Piję zachłannie. Ci bardzo biedni ludzie nie pomogą mi w marszu, nie nakarmią za darmo, ale

zwyczaj częstowania kumysiem i herbatą napotkanych wędrowców jest stary jak Azja. Niejednemu już pomógł przeżyć pustynię. Patrząc na tych azjatyckich nomadów i myśląc o moich wyprawowych kolegach. I kto tu jest dziki?

Siedzę w kręgu brodatych mężczyzn w zawojach na głowach i rozmawiamy. Należymy do zupełnie różnych światów, ale tu jest pustynia i ogromne odległości jedwabnego szlaku. Nic innego nie ma znaczenia. Ci ludzie idą z jucznymi wielbłędami do Turkiestanu, w okolice Kaszgaru. Idą z ładunkiem handlowym, jak ich przodkowie przed trzydziestoma wiekami. Granice ich nie interesują. Dla nomadów nie ma granic. Pytam, jak przedostaną się na teren dystryktu Kaszgar, przecież to w Chinach. Śmieją się. W Chinach, nie w Chinach, oni mają swoje starożytne szlaki, a jak ktoś tego nie rozumie, to mają jeszcze karabiny.



Marsz doliną Wahanu. Na zdjęciu uczestnicy poprzedniej wyprawy, z 1976 roku – fot. Krzysztof Łoziński

Afgańscy nomadzi zawsze mnie intrygowali, jako społeczność wyjątkowo tajemnicza. Jadąc samochodem przez pustynię niejednokrotnie mijaliśmy ich wielkie, czarne namioty. Nigdy przy drodze, zawsze z boku. Strzegła tych obozów niezawodna warta: wielkie półdzikie psy. Za którymś razem sfera około dwudziestu psów opadła samochód, tak że nie mogliśmy jechać dalej. I wtedy zobaczyłem pokaz niemal cyrkowej woltyżerki. Na odsiecz przyjechał facet, stojący bosymi

nogami na grzbiecie konia bez siodła. Koń szedł galopem, a on stał na nim wyprostowany, wydawał mu głosem komendy, wykonywał zwroty, i wielkim batem odganiał psy.

Afgański koczownik całe życie spędza w siodle. Kilkuletni chłopiec ma już swojego konia i karabin. Grupa nomadów – to klan rodzinny złożony z około 30-50 mężczyzn, kobiet i dzieci. Ci ludzie żyją, jak przed trzema tysiącami lat. W ich namiotach nie znajdzie się nawet gwoźdźcia, choć mogą wozić na wielbłądach kolorowe telewizory. Jedyne zdobycze cywilizacji, które uznają, to broń, radiotelefony, lornetki itp. Społeczność jest świetnie zorganizowana. W razie draki, grupy koczowników spieszą sobie na pomoc i zawsze wiadomo, kto kim dowodzi.

Opowiadano mi o takim incydencie, gdy armia pakistańska próbowała zrobić nomadom odprawę celną. Batalion Pakistańczyków zatrzymał karawanę i wywiązała się strzelanina. W tym momencie mali chłopcy na koniach popruli we wszystkie strony. Żołnierzy było więcej, ale koczownicy byli lepiej uzbrojeni. Początkowo nikt nie miał przewagi. Wojna pozycyjna. Ale już na drugi dzień okazało się, że Pakistańczycy nie mają łączności i odwrotu, bo wszystkie mostki i przełęcze obsadzone są przez snajperów. Trzeciego dnia, ze wszystkich stron ściągnęło kilka tysięcy konnych wojowników, którzy – zostawiwszy fraucymer i wielbłądy – zapakowali amunicję i ruszyli na odsiecz. Wojsku pozostała tylko sromotna rejterada. Gdy później w Afganistanie rozpoczęła się wojna, wiedziałem, że partyzantki nie trzeba tam organizować. Była gotowa.



Siedzę w kręgu brodatych mężczyzn i rozmawiamy – fot. Krzysztof Łoziński

W nocy docieram do Kazi Deh. Trudno to nawet nazwać wsią. Ot, kilka ajłaków z gliny, ale każdy polski alpinista zna tę nazwę. To stąd wyruszały wyprawy na Noszak. Pytam miejscowych o Polaków (nauka języka farsi jednak bardzo mi się przydała). *Bolandi nafari* (Polacy – farsi) byli, ale pojechali dalej. Kładę się spać pod gołym niebem. Jest ciepło.

Rano mam poważny problem z założeniem butów. Nogi są nie tylko poobcierane do krwi, ale i opuchnięte. Z trudem, przełamując ból, wciskam je w wewnętrzne botki. Zastanawiam się przez chwilę, czy nie iść tylko w nich, ale na kamienistej drodze i z tak poranionymi nogami, po prostu się nie da. Muszę niestety znowu wbić się w twarde, zewnętrzne skorupy, przez które się obcieram. Błędne koło.

Zjadam moją ostatnią puszkę szprotek. Dziś muszę dojść do Iskashimu, bo na jutro śniadania już nie mam. To jednak nie takie proste przy moim wyczerpaniu, ciężkim plecaku i poranionych nogach. 50 kilometrów w poziomie i podejście na Przełęcz Iskashimską (Iskashim An – 3200 m.n.p.m.). Tysiąc metrów różnicy wysokości.

Koczownicy nadali mi imię: Mariz, co znaczy Chory. Faktycznie, na zdrowego raczej nie wyglądam. Przy okazji obserwuję, jak rozcho-dzą się wiadomości w kraju bez telefonu, radia i gazet. Mijające się na pustyni samochody zatrzymują się na chwilę i następuje wymiana nowinek. Koczownicze grupy zasiadają przy każdym spotkaniu przy ognisku z kumysem i też odbywa się giełda wiadomości. W rezultacie podróźni, których spotykam, i mieszkańcy wiosek wiedzą już, że doliną Wahanu idzie ostatkiem sił pewien Mariz z Bolandy, którego koledzy, też z Bolandy, porzucili w górach i uciekli. Mija mnie chłopiec na osiołku i pozdrawia: „Salem Mariz”, ciężarówka zwalnia koło mnie i kierowca pozdrawia: „Salem Mariz”. No i co z tego? Salem, salem, ale podwożenia za darmo nie ma, choćbym nawet umierał.



Afgański koczownik z koniem – fot. Krzysztof Łoziński

Azjatycka nędza ma swoje okrutne prawa. Karawany na swojej drodze wielokrotnie przekraczają rwące potoki. Ludzie starzy lub chorzy, za którymś razem, nie mają siły pokonać prądu rzeki. Czasem toną, a czasem zostają samotnie na brzegu i czekają na śmierć w otoczeniu cierpliwych sępów. A karawana idzie dalej. Tak jest od wieków i nikt nie widzi powodu, by ten zwyczaj zmieniać dla jakiegось tam Mariz.

Idę coraz wolniej. Wręcz widzę, jak wyczerpują się moje siły. Coraz częstsze postoje, coraz krótsze odcinki między nimi. Zbliży się wieczór, a ja jeszcze nie zacząłem podejścia pod Przełęcz Iskashimską. Przy samotnym ajłaku siedzi stary człowiek i pali wodną fajkę.

– Mariz – mówi do mnie – nie idź nocą. *Szurawi nez hub (Rosjanie niedobrzy – farsi)*.

„Co on chrzani” – myślę. Rosjanie są za rzeką, po swojej stronie granicy. Wprawdzie to nagromadzenie wojska, którego trudno nie

zauważyć, nie wygląda zbyt sympatycznie, ale to w końcu inny kraj. Wkrótce jednak przekonuję się, że stary miał rację.

Po zmroku śledzą mnie reflektory z wież strażniczych po radzieckiej stronie granicy. W miarę, jak idę, jedna smuga światła przekazuje mnie drugiej. I w pewnym momencie słyszę przeciągły gwizd, a nad głową przelatuje mi seria smugowych pocisków. Padam na ziemię. Zrywam się i przeskakuję za wielki głaz, zasłaniający mnie od wieży, z której padły strzały. Rosjanie są zaledwie jakieś dwieście metrów ode mnie, choć dzieli nas rzeka. Dobiegają mnie śmiechy i jakieś pijackie wycia. To żołnierze armii, co łagodniejsza jest od dziecka, popili sobie i strzelają do wędrowca po drugiej stronie granicy. Ot tak, dla hecy. Sadowię się za głazem. Wolę nie sprawdzać, czy zabawa będzie kontynuowana. Zostaję tu do rana.

W dzień mijają lęki. Świeci słońce i świat wygląda jakoś optymistycznie, choć wiem, że ten dzień będzie dla mnie krytyczny. Nie mam już nic do jedzenia. To jest trzynasty dzień, odkąd wyszedłem z bazy w stronę Koh-e-Tez. Trzynasty dzień morderczej wyrpypy. Czwarty dzień prawie bez jedzenia. No, bo co ja jadłem? Dwie puszki szprotek i czarkę kumysu. Po spojrzeniach mijających mnie ludzi widzę, że muszę wyglądać koszmarnie. Przede mną przełącz. Tysiąc metrów różnicy wysokości. Nie wiem, jakim cudem tam wejść. Co ciekawe, gdy później, w Polsce, rozmawiałem z kolegami, nikt nie uświadamiał sobie, że ta różnica wysokości jest tak wielka. Oni tego nie odczuli, bo ten odcinek normalnie przejeżdża się samochodem.

Ledwo leżę. Kręci mi się w głowie, serce wali, z trudem przestawiam nogi. Może zostawić plecak? Nie. Jego zawartość – to towar handlowy i moja polisa na życie. Do Fajzabadu, kolejne 150 kilometrów, nie dojdę. Muszę w Iskashimie sprzedać namioty, śpiwór i resztę. I dalej jechać, a nie iść. A może... w Iskashimie jest most, a za nim „bratni kraj socjalistyczny”. Nie, to głupi pomysł. Ten „bratni kraj socjalistyczny” dopiero co chciał mnie dla zabawy zastrzelić i szybciej wysłać mnie na Kołymę, niż nakarmi. Idę dalej. Powoli, ale jednak do przodu. Muszę dojść i już. Nie ma dyskusji.





Dolina Wahanu to ogromne przestrzenie. Widoczna na zdjęciu droga to zachowany do dziś starożytny fragment jedwabnego szlaku – fot. Krzysztof Łoziński

Wolno zdobywam wysokość. Po południu zaczyna się zabawa w fałszywe przełęcze. Już wydaje mi się, że przełęcz jest tuż przede mną, ale za tą pozorną przełęczą teren dalej się wznosi, tylko łagodniej. I tak kilka razy. W końcu wychodzę na przełęcz, ale do Iskashimu jest jeszcze kilka kilometrów, tylko już po równym. Idę ostatkiem sił.

Dochodzę do jednego z pierwszych budynków, a zarazem jedyne-go w tym miasteczku hotelu. Na taras prowadzą schodki, a ja obawiam się, że nie mam już siły na nie wejść. Nagle na tarasie pojawiają się dwie postacie: Dareczek i Marylka. Patrzę na nich zdziwiony. Myślałem, że dawno ich tu już nie ma. Oni też patrzą na mnie jak na ducha.

– To ty żyjesz? – mówi zdziwiona Marylka.

– Ja żyję, ale wy nie będziecie – odpowiadam.

Robi mi się ciemno w oczach i jakoś miętko. Zemdlałem.

\* \* \*

Ocknąłem się na hotelowym tarasie. Pochylał się nade mną doktor Nadzibula Semadeni, afgański lekarz wykształcony w Europie, którego poznałem jeszcze na poprzedniej wyprawie. Miałem szczęście. W Afganistanie dominowały szpitale koraniczne, gdzie na rany postrzałowe przykładało się cytaty z Koranu. Doktor Semadeni był

jedynym prawdziwym lekarzem w dystrykcie Wahan, którego stolicą był Iskashim. Zbadał mnie i powiedział, że poza ogólnym wyczerpaniem, odwodnieniem i powierzchownymi obtarciami nic mi nie jest. Przy okazji zostałem zważony na jego lekarskiej wadze i wynik sprawił mnie w osłupienie: 43 kilogramy! Spojrzałem w lustro. Wyglądałem, jakbym wyszedł z Oświęcimia.

Nigdy nie ważyłem bardzo dużo. Jestem niski i, aż do pięćdziesiątego roku życia, byłem szczupły. Moją normalną wagą w młodości było 56 do 60 kilogramów. W czasie wyprawy straciłem co najmniej 13 kilogramów wagi. Większość tego zapewne w czasie tych ostatnich, morderczych 13 dni. Jeszcze miesiąc wcześniej byłem człowiekiem bardzo silnym fizycznie. Uprawiałem nie tylko alpinizm. Trenowałem sporty walki: kung fu i judo, biegałem z kolegami na maraton. Teraz ledwo mogłem ustać na nogach. Nie wiem, co by było, gdyby Iskashim leżał kilka kilometrów dalej.

**PS.** *Czytelnicy zapewne spytają, czym się to wszystko skończyło. Niczym. Szanowne towarzystwo wszystkiego się wyparło, a ja na świadków miałem tylko niepiśmiennych obywateli Afganistanu, których nazwisk nawet nie znałem, a tym bardziej nie wiedziałem, gdzie ich szukać.*

# Przez Nepal i wojnę 2005

*Kolejny materiał jest fragmentem kolejnej mojej książki „Kraj kontynent i himalajska perła”, publikowanej wyłącznie w Internecie. W grudniu 2005 roku przejechałem z moją późniejszą żoną Agnieszką 5,5 tysiąca kilometrów prze Indie i Nepal. Jak zwykle nie korzystamy z biur podróży, przemieszczamy się autobusami typu goverment bus, pociągami, riksami...*

*Przedstawiam czytelnikowi fragment tego reportażu dotyczący Nepalu.*

## **Wesoły hotelarz z Sandhia Guest House**

Hotelarz z Sandhia Guest House, w którym mieszkamy jest niski, drobny, ma bardzo ciemną karnację. Przypomina mi Szerpę, a nie Hindusa. Kucharz, też wygląda jakoś tak nepalsko. Hotelarz jest wesoły i rozmowny. Przysiada się do nas, objaśnia indyjskie potrawy, wypytuje o plany. Siedzimy w hotelowej restauracji na dachu, pijemy *masala czaj* w wersji imbirowej (herbatę z mlekiem i przyprawami – ginger massala czaj). Mówię, że z Varanasi wybieramy się do Nepalu. Hotelarz twierdzi, że ma brata, który ma hotel w Kathmandu. Coś mnie tknęło i pytam:

-Are you Nepali?

Okazuje się, że istotnie, jest Nepalczykiem. Nazywa się Sanjay.

– Namaste mero sati (witaj mój przyjacielu) – mówię w języku nepali i natychmiast rzeczywiście zyskuję przyjaciela. Nepalczycy są bardzo dumnym narodem. Biały sahib, który zna ich język, nieodmiennie robi wielkie wrażenie. Z tymi ludźmi można wiele załatwić za pieniądze, ale dużo więcej okazując im szacunek.



Przydrożny bar między Gorakhpur a Sonauli – fot. Krzysztof Łoziński

Zamieniamy kilka zdań w nepali i szybko przechodzimy z powrotem na angielski. Moja znajomość nepali jest jednak dość daleka od doskonałej.

Pytam, co on robi w Varanasi, czemu nie prowadzi hotelu w Kathmandu? Dowiaduję się, że „jest problem z maoistami”. W Nepalu od 10 lat działa maoistyczna partyzantka. Maoiści, jak wszyscy komuniści świata, trudnią się rabunkiem dorabiając do tego ideologię („grab za-grabione” głosił Lenin). Od turystów zbierają haracz, który nazywają „podatkiem na rewolucję”. Ostatnio wzrósł on do 25 dolarów od łepka. Znacznie więcej jednak żerują na przedsiębiorcach. Kto nie płaci, temu bombę. Podobno w Nepalu wszyscy się opłacają. A wszystko w ramach „sprawiedliwości dziejowej i ludowej”.

Maoiści są uzbrajani przez Chiny za pośrednictwem komunistów indyjskich. Dla Chin interes jest prosty – chcą mieć przyczółek po drugiej stronie Himalajów a Nepal znakomicie nadaje się do tej roli.

Nasz hotelarz okazuje się bardzo cenną znajomością. Kupuje nam koce z polara, abyśmy już nie marzli w podróży. Oczywiście sami mogliśmy je kupić, ale dla turystów wszystko jest droższe, niż dla miejscowych. Dostajemy od niego kartkę do brata w Kathmandu, że ma nam wynająć pokój taniej – po 500 rupii nepalskich za noc (75 rupii nepalskich = 1 dolar). 500 rupii nepalskich to 22 złote, a hotel

okazał się bardzo przyzwyczajony. Ogólnie ze wszystkim mamy przody i we wszystkim nam pomaga. Mamy już załatwione wszystkie możliwe bilety i środki transportu do samego Kathmandu. Jak to dobrze znać trochę język *nepali*!



Przydrożny warsztat wulkanizacyjny w stanie Uttar Pradesh – fot. Krzysztof Łoziński

### **Jeepem przez Gorakhpur do Sonauli**

Hotelarz załatwił nam wszystko, co mógł, ale potem, jak to w Indiach, wszystko jest inaczej. Jedziemy rikszą o szóstej rano na miejsce, skąd ma odjechać nasz autobus do Sonauli. Oczywiście ma to być tourist bus, video, airconditional, luksusery itp. No i oczywiście nie ma żadnego autobusu tylko są dwa jeepy marki machandra, oczywiście indyjskie, oczywiście ciasne i niewygodne. Patrząc na nasze bilety z miejscówkami nr 1 i 2, czyli koło kierowcy i chce mi się śmiać. Rzeczywiście siedzimy koło kierowcy, ale w jeepie. Klimat jest stereo, czyli jak się otworzy dwa okna a video to widok przez okno, jak kórz nie zasłania. Z nami jedzie paru Japończyków, dwoje Rosjan (bardzo sympatycznych), dwoje Żydów z Izraela, Kanadyjczyk i Australijka.

Oczywiście mamy w cenie biletu śniadanie. Dostajemy po plastikowym kubeczku *massala czaj* i po *ciapacie* i już. Jednym słowem herbata z mlekiem i naleśnik bez nadzienia.

Mam nieco obaw o Agnieszkę. Podróż do Nepalu „dołem” przez Sonauli to niezła wrypa. Sonauli mogłoby w jakimś filmie grać przedpiekle. Jest to, jak mawiał jeden z moich kolegów „miejsce równie piękne jak Chorzów Batory”, ale i nawet to nie oddaje „uroku Sonauli” do którego trzeba mieć sporą odporność fizyczną i psychiczną. Ja jestem przywykły. Podróżowałem już po Azji ciężarówkami, na koniu,

na mule, na dachu autobusu lub pociągu, rowerem a nawet czołgiem wypożyczonym za wódkę, ale Agnieszka nie jest przywykła do takich „wygód”. I do tego partyzanci, kraj niestabilny politycznie. Gdzie ja tę kobietę ciągnę?

### **Ale trudno, teraz już nie zawróćimy.**

Od rana przebijamy się dwoma jeepami przez wiecznie zapchane drogi stanu Uttar Pradesh. Posiłek w przydrożnym zajezdzie Agnieszka znosi nad podziw dobrze, choć standard tego miejsca jest już bardzo niski, nawet jak na Indie. Ale Agnieszka przez te dziesięć dni w Indiach bardzo już się oswoiła z tutejszymi urokami. Nawet muszę ją trochę hamować, bo wyraźnie nie wierzy w amebę, wszystkiego musi posmakować, kupuje nieznanne sobie potrawy na ulicznych straganach podawane na bananowym liściu. Z jednej strony mnie to cieszy, że tak dobrze znosi niewygody, ale z drugiej strony... ameba nie śpi. I żeby tam tylko ameba. A dur brzuszny, żółtaczką zakaźną, czerwonka i parę jeszcze innych tropikalnych atrakcji, to co, kiepskie choroby? Ja już w tropikach zaliczyłem dur brzuszny i malarię, więc jestem mniejszym optymistą w kwestii jedzenia z bananowego liścia.



Nepalski government bus z Sonauli do Kathmandu – fot. Krzysztof Łoziński

Po paru godzinach docieramy do Gorakhpur, 10-cio milionowego miasta molocha, w którym chyba nie ma nic ciekawego, jak mało gdzie. Gorakhpur miało zawsze złą opinię u mieszkających w Indiach

Polaków, który nazywali to miasto „Górną Dupą” z racji wszechobecnego łożka, kurzu, wąskich ulic, hałasu. Wyobraźcie sobie państwo jeden wielki bazar z wąskimi zatłoczonymi uliczkami, w upale i brudzie, z tabunami tnących komarów. A teraz wyobraźcie sobie, że ten bazar ma 50 kilometrów średnicy i jest na nim 10 milionów ludzi. No to macie Gorakhpur.

Przez dobre dwie godziny przeciskamy się wąskimi uliczkami w gigantycznych korkach, w porównaniu z którymi warszawskie Aleje Jerozolimskie po kadencji Lecha Kaczyńskiego, jako prezydenta Warszawy (wstrzymał wszystkie inwestycje i nie robił nic), to niemal pieszczota. W porównaniu z Gorakhpur, w Alejach nie ma żadnego korka i to o żadnej porze.

W środku Gorakhpur, w naszym jeepie popsuł się klakson, a to w Indiach poważny problem. W tym kraju, jak nie trąbisz, to nie jedziesz. A nawet gorzej. Jeżeli jedziesz bez klaksonu, to jest to podwójnie niebezpieczne. Klaksonem sygnalizuje się wyprzedzanie i nie ustępowanie z drogi. Jak nie trąbisz, to mogą cię w najlepszej wierze staranować. Po pół godzinie kombinowania, kierowca daje za wygraną i jedzie bez klaksonu. Jest już coraz ciekawiej. Do normalnego na indyjskich drogach slalomu między arbami, traktorami i rowerami dochodzą nagle uniki przed atakami ogromnych ciężarówek ignorującymi tego, co nie trąbi i gwałtowne hamowania przed samochodami pędzącymi „na czołowe” (kto nie trąbi, ten musi ustąpić). I tak posuwamy się do przodu w kierunku granicy Nepalu.

Kolejny postój „posiłkowy” wypada w przydrożnej jadłodajni krytej trzcinową strzechą wśród pól kukurydzy i ryżu. Tu już standard nie jest niski. Tu standardu nie ma wcale.



Koza w naszym autobusie – fot. Krzysztof Łoziński

Wieczorem docieramy do Sonauli. Najpierw indyjska odprawa graniczna. Chcą od nas jakiś kwitów z lotniska w Delhi, ale my takich kwitów nie mamy. Oficer imigracyjny dostaje ode mnie „gift” w postaci długopisu i już kwitów nie chce. Musimy tylko wypełnić istny stos papierów, ale tak już jest. Azja lubuje się w biurokracji a Indie zwłaszcza. Nasze jeepy nie mogą przekroczyć granicy, więc ładujemy bagaże na riksę rowerową i przekraczamy granicę, na której nikt nas nie sprawdza. Celników nawet nie widziałem.

Kontrole celne na indyjskich granicach są dość powierzchowne z wyjątkiem lotnisk (tu bywa ostro), ale nie dajmy się zmylić. Indyjskie służby celne są dosyć sprawne, tyle że działają na innej zasadzie. Mają prawo dokonywać kontroli na terenie całego kraju i dysponują siecią informatorów, który zwracają uwagę na bagaż podróżnych na dworcach, w hotelach itp. Paru przemytników już się kiedyś mocno zdziwiło, gdy przejechawszy bez przeszkód przez Sonauli, zostali wyłuskani z pociągu w Gorakhpur, 200 kilometrów od granicy.

Jesteśmy już na terytorium Nepalu a dopiero musimy odszukać Immigration Office i dostać wizę. Znów kupa papierów do wypełnienia. Wiza kosztuje 30 dolarów. Granica w Sonauli jest niemal otwarta i pozornie nikt jej nie pilnuje. Przez graniczną bramę płynie w obie strony strumień ludzi i pojazdów. Można tu przejść niemal bez kontroli, ale to złudzenie. Dalej cały kraj najeżony jest wojskowymi i policyjnymi *check postami* (posterunkami kontrolnymi), gdzie kontrole są nie tylko dokładne ale i mało sympatyczne – pod lufami karabinów całkiem na serio nabitych.

Sonauli to zabita dziura, jedna wielka tymczasowość, brudna, zatłoczona, niechlujna. Mamy nocować w Nepal Guest House a rano czeka nas *government bus* do Kathmandu, czyli lokalny nepalski pekaes, który nawet nie udaje żadnego *luxsusery* ani *airconditoned*. Idziemy coś zjeść do jednej z knajpek. Warunki higieniczne tego przybytku są z gatunku „lepiej nie patrzeć” albo „jedz a nie oglądaj”. Spotykamy tam naszych sympatycznych Rosjan. Są młodym małżeństwem, on jest właścicielem kancelarii adwokackiej w Moskwie, o Putinie mówi otwarcie *durak ifaszist*, a więc zdanie mamy podobne. Wyciągamy piersiówki z whisky i robi się nam wesoło. To nic, że bród, smród i Sonauli, Putin w Rosji, PiS wygrał wybory i partyzanci oraz tygrysy w lesie. Gadamy w przedziwnym języku, mieszaninie słów polskich, rosyjskich, angielskich, a gdy do rozmowy włącza się barman to jeszcze *nepali*. Właściciel knajpy się zainteresował i pyta, co to za język. – Mixed language – mówię i wzbudzam powszechną wesołość. Młodzi Rosjanie są typowymi „trackersami” jakich spotyka się wędrując po świecie. Zwiedzili Indie, Pakistan i Ceylon, teraz jadą



do Nepalu a później do Birmy i Laosu. A dalej się zobaczy... Są już w podróży 10 miesięcy. Dla odmiany Australijka, ok. 50 lat, nauczycielka Oxford English w swoim kraju, z którą jedziemy od Varanasi, podróżuje sama. Zwiedziła południowe Indie, teraz jedzie do Pokhary w Nepalu, a później jeszcze do Dharamsali w północnych Indiach, bo chce zobaczyć Dalajlamę (w Dharamsali znajduje się rząd tybetański na uchodźstwie). Szlaki Azji są pełne takich ludzi i wiedzą oni o Azji znacznie więcej niż niektórzy nasi dyplomaci zamknięci w klimatyzowanych pokojach ambasad.

Wracamy do Nepal Guest House, bo trzeba iść spać. Pokój ma 3x3 metry, bród aż się kłębi, ale dzięki „wesołej wodzie” da się przeżyć.

### **Przez Nepal i wojnę**

*Government bus* jest koszmar, to znaczy taki, jak wszystkie rządowe autobusy w biednych krajach Azji, a Nepal jest jednym z najbiedniejszych krajów świata. W dodatku od 10 lat trwa w nim wojna domowa. Nasz autobus to oczywiście indyjski Tata, czyli pojazd prawie bez resorów, który prędkość 40 km/godz. osiąga w tylko w sprzyjających warunkach. Mamy nim przejechać ponad 200 kilometrów przez równinę Teraju i pasmo górskie Sivalik, nazywane też Małymi Himalajami. Sivalik to może góry „małe” ale większe niż Karpaty.

Ledwo wyjechaliśmy z Sonauli – stop! *Check post*, rewizja autobusu, kontrola dokumentów. Żołnierze z karabinami M-16 nie wyglądają na takich, co żartują. W poprzek drogi ułożone kamienie i kłody drewna, tak że trzeba jechać slalomem i powoli. Jedziemy dalej przez lasy Teraju. Maoistów nie widać, tylko stada małą przy drodze. Parę kilometrów i – stop! Kontrola, rewizja, wszyscy wysiadać. Nie lubię jak ktoś mi macha nabitą bronią przed nosem, ale co na to poradzę? Autobus posuwa się koszmar, wolno od posterunku do posterunku. Wjeżdżamy w góry i zaczynają się piękne widoki na dolinę Bakhmati River. Przez chwilę widać nawet z daleka ośnieżone szczyty Ganesh Himal. To poprawia nastrój.

Naszym autobusem podróżuje koza przywiązana do siedzenia. Na jednym z postojów robię jej zdjęcie wzbudzając wesołość Nepalczyków. Zapewne myślą, że ten biały nie widział kozy. A ja myślę, że w moim kraju kozy nie podróżują autobusem. Przejście między siedzeniami zawałone jest workami z czymś. Te worki, raz z ryżem, raz z cementem, raz z herbatą, cały czas są ładowane i wyladowywane, bo jadą z nami jacyś dostawcy od wsi do wsi. W miejscach wolnych od worków stoją taborety, na których siedzą ludzie. Jedzie z nami na taborecie listonosz z workami poczty do Kathmandu. Jednym słowem wesoły

autobus. „Pędzisz pan 30, chciałoby się 40”, jak mawiał Edward Dzięwoński w jednym ze skeczów.

Czym bardziej wjeżdżamy w góry, tym potężniejsze stają się posterunki. Tu już wyraźnie widać atmosferę wojny. Walce Browna z drutu kolczastego, betonowe bunkry obłożone workami z piaskiem, ciężkie karabiny maszynowe na stanowiskach, a facet trzymający palec na spuście bynajmniej nie dłubie w nosie. Na jednym z posterunków, wysoko na zboczu bunkier z działkiem Vulcano. To straszna broń – 6 tysięcy pocisków na minutę. Jak mawiał pewien szkoleniowiec najemników w dalekim kraju – „zegniesz palec, a facet ma więcej dziur, niż tego między nimi”. Nie ma żartów, nikt nie wystawia takiej broni, ot tak, dla picu. Tu jest prawdziwa wojna. – Jest problem z maoistami – powiedział hotelarz z Varanasi. Rzeczywiście jest.

Pod wieczór autobus pnie się w górę po niesamowitych serpentynach, by przekroczyć grań, za którą leży dolina Kathmandu. Tuż przed zjazdem w dolinę postój. Wsiada kilku ludzi a jeden z nich wali prosto do mnie:

– Mister Lozinsky? I have a car to hotel for you!

To się nazywa organizacja pracy hotelarstwa! Faceci w Kathmandu już wiedzą, że jedzie tu z Varanasi Mister Lozinsky z kobietą i trzeba ich przejąć jeszcze przed wjazdem do miasta, bo Mister Lozinsky jest w Nepalu ósmy raz i da sobie radę. Mogłoby mu przyjść do głowy pojechanie do innego hotelu, więc trzeba interesu dopilnować. Oczywiście nie mam nic przeciwko temu, by się nami zajęli. Zamiast płać się po Thamelu (dzielnicy Kathmandu) i szukać noclegu, jedziemy na gotowe.

Hotel Encounter Nepal, do którego trafiliśmy, jest po trudach podróży istną oazą dobrobytu. Duży czysty pokój, ciepła woda, wanna, natrysk, restauracja w ogrodzie, kawiarenka internetowa. Rano wychodzę na balkon, chłodne, prawie mroźne powietrze, czyste niebo i... Himalaje przed nosem!

Warto było się dwa dni tłuc przez 600 kilometrów indyjsko-nepalskich dróg, Gorakhpur i Sonauli. Nawet te wycelowane w nas lufy M-16 im wybaczam i tę kożę w autobusie.

### **Strzały w Nagarkot**

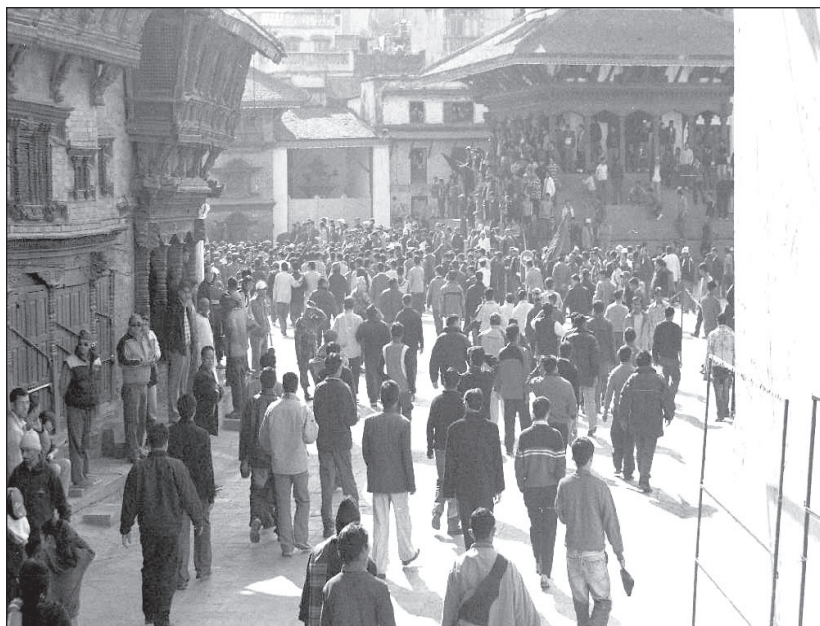
Po pierwszej chłodnej nocy w Kathmandu wstaje piękny pogodny dzień. Chcę iść na zakupy do miasta, podczas gdy Agnieszka jeszcze śpi. Zawsze, za każdym pobytem w Indiach, Nepalu, Pakistanie i innych krajach regionu, tak robiłem. Szedłem do najbliższego straganu i kupowałem owoce, głównie banany i mandarynki, na śniadanie.

Tym razem jednak nie chcą mnie wypuścić z hotelu. W mieście trwają rozruchy.

Wracam niemal biegiem po aparat i wyjaśniam Ghurce na bramie, że jestem dziennikarzem i że widziałem już parę wojen w dalekich krajach, nic mi ni będzie i na pewno sobie poradzę. Nie jest specjalnie przekonany, ale otwiera.

Na najbliższym skrzyżowaniu płoną opony. Tłum rzuca kamieniami. Po drugiej stronie szpaler policji w hełmach i z tarczami. Zupełnie jak za wojny polsko-jaruzelskiej. Nic nie mogę kupić, bo wszystkie sklepy są zamknięte. Początkowo myślę, że z powodu rozruchów sklepikarze chronią swój towar. Ale nie, jest strajk powszechny. Od strony Rani Pokhari widzę dym. To manifestanci podpalili kilka sklepów, które nie zastosowały się do strajku. Przed pałacem królewskim policja i wojsko z bronią maszynową, ale nikt ich nie atakuje.

Robię zdjęcia i idę w stronę Durbar Square. To najważniejsze miejsce w mieście. Jeśli chcę się dowiedzieć, co się dzieje, to na pewno dowiem się tam.



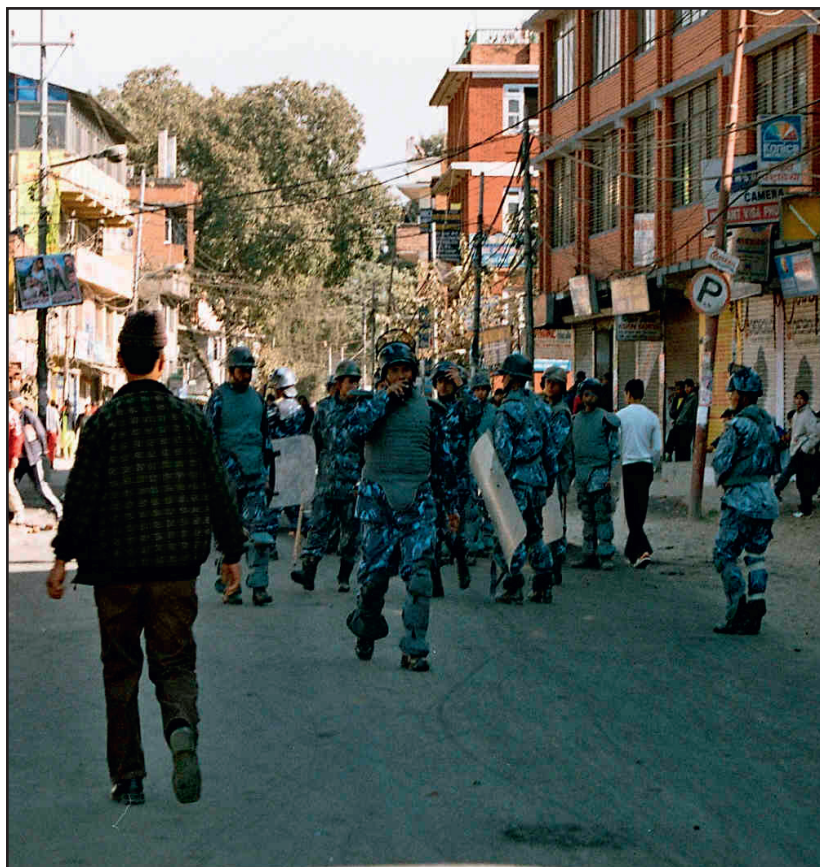
Rozruchy w Katmandu, demonstracja na Durbar Square – fot. Krzysztof Łoziński

Czym bliżej Durbar Square, tym większy tłum. Policja zachowuje dystans, blokując tylko ważniejsze skrzyżowania. Widzę trzy osoby w koszulkach obserwatorów ONZ. Mówią mi, że przedwczoraj jeden

policjant w Nagarkot zastrzelił człowieka, z którym miał osobiste porachunki, a ponieważ rząd nic nie zrobił, to sojusz 7 partii politycznych ogłosił strajk. Coś mi się to nie wydaje możliwe. Powód zamieszek musi być poważniejszy, a to, że obserwatorzy ONZ są najgorzej poinformowani ze wszystkich, też już w paru krajach widziałem. To, co mówią, to wersja rządu. Demonstranci mają swoją: w Nagarkot wojsko dokonało masakry cywili. Każdy jednak w emocjach mówi co innego. Prawda wyjaśni się zapewne za kilka dni.

Czasem tak się zdarza, że człowiek zupełnie przypadkiem staje się świadkiem historycznych wydarzeń w dalekich krajach. Mnie się to już zdarzyło dwa razy. Raz, w Afganistanie, byłem przypadkowym świadkiem wkroczenia do tego kraju wojsk ZSRR, od czego zaczęła się trwająca łącznie 23 lata wojna. Drugi raz, w Pekinie, byłem świadkiem początku studenckich demonstracji w 1989 roku, zakończonych masakrą ludności Pekinu przez wojsko, która przeszła do historii jako „wydarzenia na placu Tananmen”. W obu przypadkach było podobnie: człowiek coś widzi, nie bardzo wie, co, a później się orientuje, że to się dzieje historia. Podobnie było i w tym przypadku. Pierwsze rozruchy w Kathmandu i masakra w Nagarkot, zapoczątkowały trwający blisko pół roku bunt społeczny przeciw despotyzmowi króla Guaniendry zakończony znacznym ograniczeniem władzy królewskiej, przywróceniem demokracji i zawieszeniem broni w wojnie z maoistami.

Na razie jednak jest dopiero początek nepalskiej rewolucji i jedno co wiem, to że nasz kilkudniowy pobyt w Nepalu może być nieco zbyt „atrakcyjny”. Na szczęście wkrótce stąd wyjeżdżamy, bo znam też mechanizm takich dziejowych pułapek. Na początku ludzie nie uciekają, „no bo właściwie nic takiego się nie dzieje”, a gdy zaczyna „się dziać”, na ucieczkę jest już za późno. Pod koniec tej rewolucji turyści byli praktycznie uwięzieni w Kathmandu, w mieście nie było już co jeść, brakowało wody pitnej (oczywiście były rzeki-ścieki cuchnące na kilometr), trwały walki już na ostrą amunicję a wszystkie drogi zablokowali partyzanci. Oczywiście była jeszcze komunikacja lotnicza, ale trzeba było mieć bilet i przebić się na lotnisko.



Katmandu, policja z bambusowymi pałami szykuje się do akcji – fot. Krzysztof Łoziński

### **Idziemy zwiedzać**

Skoro są rozruchy to można za darmo zwiedzić Durbar Square. Normalnie obowiązuje opłata 250 rupii nepalskich od osoby. Po śniadaniu, gdy sytuacja w mieście jest już spokojniejsza, idziemy zwiedzać zabytki.



Kaplica na Thamelu – fot. Krzysztof Łoziński

Kathmandu jest jednym z najbardziej niesamowitych miast świata pod względem nagromadzenia zabytków. Kapliczki z III wieku przed naszą erą, świątynie z VI i VII wieku, buddyjskie stupy pamiętające

średniowiecze, to wszystko jest ciągle żywe, używane. W świątyni Kumari ciągle mieszka święta dziewczynka, mający ponad dwa tysiące lat posąg Hannumana jest co roku odmalowywany na nowo. Centrum tego wszystkiego to Durbar Square, czyli Plac Koronacyjny przed Starym Pałacem Królewskim. Sam pałac jest niedostępny, bo ciągle urządzuje w nim król, choć ma także nowy, luksusowy pałac koło Rani Pokhari (wielkiego sztucznego i oczywiście świętego jeziora w środku miasta).

Według legendy, kiedyś Dolinę Katmandu otaczały góry i wypełniało wielkie Jezioro Węży. Budda Wispaśji, idąc z miasta Bandhumati, wrzucił do niego nasienie lotosu z którego wyrósł kwiat, a nad nim ukazał się błękitny płomień. Bodhisattwa Mańdżuśri, który przywędrował tu z Chin, ognistym mieczem rozciął góry i wody odpłynęły z nurtem Bagmati do świętego Gangesu. Uczniowie Mańdżuśrego wzniesli miasto Mańdżupatan (dziś Patan), które później stało się częścią Kathmandu. Prawdziwa historia Nepalu i jego stolicy nie jest dobrze poznana. Wiemy, że wzmianki o mieście w dolinie na południe od Himalajów można znaleźć w chińskich księgach z III wieku przed naszą erą. Wiemy, że najstarszy obiekt w świątyni Pasupatinath, czerwony kamień przypominający kształtem byka Shivy, pochodzi z VI lub VII wieku przed naszą erą. Pewne wzmianki o Nepalu znajdujemy w indyjskim eposie Ramajana, ale trudno to uznać za historię. Bo czegoż tu nie ma? Czarny demon, który podstępem wydosłał od Shivy jego potężną moc, zwinął powierzchnię ziemi jak dywan. Shiva wezwał na pomoc boga zachowawcę świata Wishnu, który zamieniwszy się w wielkiego dzika urwał demonowi głowę kłami i przywrócił życie na ziemi. W kosmicznej bitwie brał udział półczłowiek-półtak Garuda, a o Nepalu jest tam tyle, że był, bo właśnie z Nepalu król małp Hannuman prznosił góry z Himalajów, gdy małpy budowały most na Ceylon, dzięki czemu książę Rama przeprawił się na świętą wyspę (Sri Lanaka) i pokonał demona Rawanę. Jak to streścił jeden z moich kolegów: „Rama nawalił Rawanę przy pomocy Hannumana i stąd jest Ramajana”.

Zachowana wersja (wcale nie najstarsza) eposu Ramajana (co znaczy: Droga Życia Ramy) pochodzi z IV wieku przed naszą erą, ale jego początki, podobnie jak początki Biblii, toną w pomroce dziejów. Początki królestwa Nepalu też.

Najstarsze konkretne fakty historyczne, jakie znamy, to podbój Nepalu przez indyjskiego władcę Aśokę w III wieku przed naszą erą. Po upadku dynastii Mauriów (tej z której był Aśoka) w 185 roku naszej ery, Nepal pozostawał w zależności od państw indyjskich, a od połowy VII wieku od Tybetu. Dopiero w XIII wieku rządy w Nepalu objęła

miejskowa dynastia Malla narodu Newarów. Król Dżajashiti z tej dynastii (panował w latach 1380-1400) doprowadził kraj do rozkwitu, między innymi skodyfikował prawo i wprowadził system kastowy na wzór hinduistyczny. W końcu XV wieku Nepal rozpadł się na cztery państewka-miasta (położone zresztą bardzo blisko siebie, w obrębie 50 kilometrów). Były to Benepa, Kathmandu, Patan i Bhadgun (dziś Bhagtapur). Od końca XVIII wieku w Nepalu władą dynastia Szah, czyli Gurkowie. W 1959 roku odbyły się pierwsze w historii Nepalu wybory parlamentarne, które wygrał Nepalski Kongres Narodowy. Droga Nepalu do demokracji jest jednak długa i kręta. Jak widać nie zakończyła się pełnym sukcesem do dziś, choć po tegorocznej „zimowej rewolucji” Nepal jest tak blisko rządów demokratycznych, jak nigdy dotąd.

Wróćmy jednak do Kathmandu. Dzisiejsza stolica Nepalu jest wielkim miastem liczącym 1,2 miliona mieszkańców. Kathmandu całkowicie już wchłonęło Patan. Położony 20 kilometrów od centrum Kathmandu, Bhaktapur jest dziś maleńkim, choć bardzo ciekawym i bardzo zabytkowym miasteczkiem. Czwarte miasto-państwo, Banepa, jest dziś całkowicie zapomnianą dziurą, którą turyści jadący autobusem w kierunku Lamosangu i dalej do przejścia granicznego z Tybetem w Kodari Pass lub do Cherikot i Jiri, po prostu mijają bez zatrzymania. Ot senne maleńkie miasteczko 30 kilometrów za Bhaktapur.

### **Wycieczka do Nagarkot**

W Nagarkot coś się wydarzyło, a na temat tego, co właściwie się wydarzyło, krążą sprzeczne wersje. W Nagarkot jest też najbliższa od Kathmandu (tylko 40 km) platforma widokowa, z której widać Himalaje. Oczywiście z samego Kathmandu też widać Himalaje, ale widać tylko same wierzchołki grupy Ganesh Himal i to nie wszystkie. Resztę zasłaniają bliższe i dużo mniejsze góry.

Wniosek z tego wszystkiego prosty – jedziemy do Nagarkot zobaczyć Himalaje i zobaczyć „co jest grane”. W hotelu oferują na samochód do Nagarkot za 3 tysiące rupii, więc bierzemy taksówkę z miasta za 1.500. Kierowca jest młody i rozmowny. Wypytuje mnie o nazwy himalajskich ośmiotysięczników i cieszy się jak dziecko, że większość z nich znajduje się w Nepalu, w tym najwyższy szczyt na ziemi Sagar-matha, zwany przez świat zachodni Everestem. Jest wyraźnie nepalskim patriotą dumnym ze swego kraju, choć biednym.

Nie ujechaliśmy daleko, gdy natrafiamy na posterunek wojskowy. W poprzek drogi betonowe bariery, druty kolczaste. Z bunkra powyżej celuje w nas CKM. Podchodzi dwóch żołnierzy. Jeden staje na przeciw samochodu i kieruje w nas lufę M-16. Dopiero wtedy drugi



podchodzi do kierowcy. Kierowca musi wysiąść i pójść z nim na posterunek. W tym czasie drugi trzyma nas na muszce. Kierowca wraca po 10 minutach i ruszamy dalej slalomem pomiędzy betonowymi zaparami.

Kilka kilometrów dalej mijamy patrol. Około 30 żołnierzy idzie w kilkumetrowych odstępach po dwóch stronach drogi. Broń w rękę, gotowa do strzału. Oczy bacznie obserwują okolice. Tak się patroluje w warunkach wojny. Duże odstępki między żołnierzami są po to, by nie można było ich skosić jedną serią lub jednym granatem. Jeszcze kilka kilometrów i mijamy kolejny patrol.

10 lat temu maoiści wyszli z parlamentu i wybrali drogę walki zbrojnej. Dziś, jak widać, są nawet u wrót stolicy. Ich przywódca używający pseudonimu „Prachendra”, co znaczy „Straszny” ma dość prosty plan. Wszyscy mają być równi i pracować na roli, miasta mają być zlikwidowane, pieniądze też. Identyczny program mieli Czerwoni Khmerzy w Kambodży. Skończyło się to wymordowaniem 1,7 miliona ludzi z 6-cio milionowego wówczas narodu. Zlikwidowano nawet nazwiska zastępując je numerami. Przywódca, Saloth Sar nazywał się Pol Pot, czyli „Brat nr.1.” W pierwszym etapie też wspierały go Chiny, podobnie jak „Prachendę” w Nepalu. Wspierał go też Związek Radziecki a wykszoliła Francuska Partia Komunistyczna.

W tej wojnie nikt nie jest czysty (a w której jest?). Maoiści, jak wszyscy komuniści świata, mordują, rabują i gwałcą. Opornych chłopów siłą wcielają do swej armii a tych, co się bardzo stawiają, po prostu zabijają. A później przylatują królewskie helikoptery i palą wieś napalmem jako „sprzyjającą partyzantom”. Turystów w zasadzie nikt nie atakuje, ale partyzanci pobierają od nich „podatek na rewolucję” w wysokości 25 dolarów. Co głębsi turyści się z tego cieszą i traktują partyzanckie pokwitowania jak pamiątki z podróży.



Nagarkot. Widok na Himalaje (Ganesh Himal) – fot. Krzysztof Łoziński

W Nagarkot panuje spokój. Nic nie wskazuje na tragedię sprzed paru dni. Fotografujemy wspaniałą panoramę Himalajów od Ganeshów po lewej po Numbur na granicy Rollwalingu i Solo Khumbu po prawej. Jedynym widocznym ośmiotysięcznikiem jest Shisha Pangma po stronie tybetańskiej, ale jest tak daleko, że widać ją jako małą białą kopkę na horyzoncie. Najbardziej okazała wygląda stąd Langtang Lirung, bo jest najbliżej.

Wreszcie wiemy, co się w Nagarkot stało. 16 grudnia odbywał się tu festyn religijny. Żołnierz z patrolu dostał się między tańczący tłum i wpadł w panikę. Pamiętajmy, że ci żołnierze żyją w ciągłym oczekiwaniu na atak. Spanikowany żołnierz zaczął krzyczeć, by ludzie się od niego odsunęli, ale rozbawiony tłum tancerzy nie zważał na te krzyki. W końcu Żołnierz zaczął strzelać. Seria z Colta M-16 zabiła 12 osób a 19 raniła. Na plac wpadli mnisi buddyjscy z nożami i zasztyletowali zabójcę. Ten incydent zapoczątkował falę rozruchów antyrządowych, która przekształciła się w „zimowa rewolucję” zakończoną znacznymi ustępstwami ze strony króla, przywróceniem demokracji i nawet zawarciem rozejmu z maoistami. Na jak długo? W ucywilizowanie maoistów nie wierzę. Nie wierzę w komunistów, którzy zrezygnują z dochodów z rabunku i ich mocodawców z Pekinu, którzy zrezygnują z planów podboju. Ale tu wybiegliśmy w przyszłość. Na razie jest grudzień 2005 roku, rewolta dopiero się zaczyna (i nie wiemy, czym się skończy), partyzanci są jeszcze w lesie.

Wracamy do Kathmandu zahaczając po drodze o stare miasto królewskie Bakhdapur i Patan. To wręcz nieprawdopodobny natłok wrażeń, jak na jeden dzień. W Patanie rozstajemy się z naszym kierowcą, który koniecznie chce się z nami umówić na jutro. Przy rozliczeniu, Agnieszka postanawia dać mu „premię” 300 rupii, bo czekał na nas w Nagarkot i Bakhdapur i w ogóle był sympatyczny. Przez pomyłkę daje mu jednak rupie indyjskie a nie nepalskie. Rupie indyjskie są o 1/3 więcej warte niż nepalskie. Ten drobny błąd miał mieć konsekwencje nazajutrz.

### **Sawayambhunath i Pasupatinath (Świątynia Małp i Świątynia Shivy)**

Rano zjawia się nasz kierowca. Mamy z nim jechać do Świątyni Małp (Sawayambhunath) i Świątyni Shivy (Pasupatinath). Zaśpiewał cenę 1500 rupii, tyle samo co za jazdę do Nagarkot. Tyle, że Nagarkot jest o 40 kilometrów dalej niż Pasupatinath. To skutek wczorajszej pomyłki Agnieszki i dania mu 300 rupii indyjskich ekstra. Facet po prostu uznał, że można nas doić. Rozstajemy się z nim w nieprzyjemnej atmosferze. Niech nie myśli, że jest jedynym taksówkarzem w Kathmandu. Rzeczywiście, następnego dnia pojechaliśmy do Pasupatinath za 150 rupii, dziesięć razy mniej, niż zaśpiewał nasz kierowca. Tyle tylko, że popsuł nam humor. Jeszcze wczoraj wydawał się sympatyczny i godny zaufania.

Dziś odpuszczamy jazdę. Do Sawayambhunath pójdziemy piechotą. To nie jest bardzo daleko. Gdy jedliśmy śniadanie w hotelowym ogrodzie, było nam ciepło, więc wyruszmy lekko ubrani. I to był błąd. Ogród był w słońcu a wąziutkie uliczki Thamelu toną w cieniu. Kathmandu leży dosyć wysoko a jest druga połowa grudnia. Zaczynamy marznąć. Martwię się o Agnieszkę, bo jest mocno przeziębiona i to zimno jest nam potrzebne akurat jak pryszcz na... no wiecie państwo.



Stupa w pobliżu Thamelu w Kathmandu – fot. Krzysztof Łoziński

Idziemy starymi wąziutkimi uliczkami i staramy się nie marznąć, aż w końcu kapitulujemy. Wchodzimy do jednego ze sklepów i kupujemy szal kaszmirski. No i po kłopotcie.

Sawayambhunath to spora i bardzo stara buddyjska stupa wzniesiona na stromym wzgórzu. To wzgórze ma prawie sto metrów wysokości. Prowadzą na nie kamienne schody, które stają się coraz stromsze. W końcu są tak strome, że niektórzy ludzie podpierają się rękami. Choć jestem alpinistą, to czuję podejście w nogach i w płucach. Dla Agnieszki to za dużo. Poczeka na mnie na dole.

Pod sam koniec – bramka – turysto płać! Patrzcie państwo, jakie cwane. Na dole turysta mógłby się rozmyślić, ale jak już włął sto metrów do góry po piekielnych schodach, no to już zapłaci. Bulę 50 rupii.

Świątynia jest niebywale piękna. Oczy Buddy patrzą na cztery strony świata spod złotego hełmu nad białą kopułą stupy. Z iglicy na wszystkie strony spływają kolorowe girlandy chorągiewek modlitewnych. Wokół istne stado czortenów, rzeźb, kapliczek, świątynek, no i, oczywiście, sklepy z pamiątkami. Jakże by nie? Z góry rozległy widok na Kathmandu i Himalaje.

Kolejny dzień to wycieczka do Pasupatinath, jednej z najstarszych świątyń w mieście. Najstarszy obiekt w tym miejscu wyceniono na VI-VII wiek przed naszą erą. Po drodze mijamy lotnisko i zwraca moją uwagę jego ochrona. Kiedyś to był zwykły płot z siatki a teraz istna forteca – wieże strażnicze, bunkry, zasieki. A jeszcze kilkanaście

lat temu ludzie po odprawie wylazili przez zwykłe drzwi na płytę, bo w hali odlotów było gorąco. Obok był ten płot z siatki a w nim dziura. Za dziurą, już w mieście, stragan z napojami. Pasażerowie po odprawie wylazili więc przez dziurę do tego straganu, kupowali limkę lub coca-cole, po czym bez żadnej odprawy wracali na tranzyt. W Kathmandu można było wnieść do samolotu nawet małą armatę, byle nie wystawała spod płaszcza. Jeśli dziś specjaliści od terroru głowią się skąd się teraz bierze taka ilość zamachów na samoloty, to trzeba sobie przypomnieć takie lotniska w krajach trzeciego świata sprzed kilkunastu lat. To na nich terroryści zaczęli wnosić broń do samolotów.

Ostatni dzień w Kathmandu to świątynia Shivy w Pasupatinath. Już przy wejściu widzimy osobliwy tłumek, grupę ludzi z wielkim białym transparentem na którym nie ma żadnego napisu ani rysunku. To symbol buddyjskiego pogrzebu a raczej kremacji.

### Płoną stosy nad Baghmati



Stos pogrzebowy w Pasupatinath. Katmandu – fot. Krzysztof Łoziński

Przez świątynię w Pasupatinath przepływa święta rzeka Baghmati, nad której brzegiem odbywa się kremacja ciał zmarłych w Kathmandu i okolicy. Baghmati w tym miejscu to ledwie cieknąca struga i raczej daleka od czystości. Idziemy na taras nad terenem kremacji. Bezpośrednio na ten brzeg rzeki zejść nam nie wolno. Pod nami dopalają się trzy stosy. Dym dochodzi nawet do nas. Zwyczaj są tu inne niż w Indiach. Kremację wolno fotografować, tyle że z daleka. Przenosimy się na drugi brzeg rzeki i obserwujemy przygotowania do pogrzebu. Robotnicy świątynni i kapłani układają ciało na stosie. W tym momencie zostaje ono zasłonięte tym białym transparentem przed oczami bliskich. Jest to takie białe prześcieradło na kijach. Bliscy zmarłego nie widzą teraz, co się dzieje przy stosie, ale my z drugiej strony rzeki (odległość jakieś 20 metrów) widzimy doskonale. Kapłani rozcinają i usuwają ubranie. Na stosie leży nagie ciało. Zostaje przykryte wiązkami słomy i kłódami drewna. Teraz jeden z kapłanów podkłada wiązki słomy pod spód stosu. Dopiero teraz usunięta jest biała płachta i bliscy zmarłego znów są przy nim. Ciało jest właściwie niewidoczne poza głową i stopami wystającymi na dwóch końcach stosu. Dwaj mali chłopcy, chyba synowie zmarłego, w towarzystwie dorosłego mężczyzny okrążają stos i podkładają ogień. Nawet z tej odległości widzę, że chłopcy są tym bardzo zestresowani, bardzo to przeżywają. Ale cóż? Taki jest tu wymóg religijny. Stos ojca musi podpalić syn.

Po naszej stronie rzeki, na szerokich schodach siedzi już spora liczba przygodnych widzów. Choć wolno fotografować, robię zdjęcia tak, by nikt nie zauważył. Nie czekamy aż stos się wypali, trwa to koło 3 godzin.



Świątynia Shivy, Pasupatinath, Katmandu – fot Krzysztof Łoziński

Idę jeszcze na świątynną górę zobaczyć najstarszy kamień Kathmandu. 2600 lat temu ludzie uznali, że pewien kamień jest podobny kształtem do siedzącego byka Shivy i postawili go w tym miejscu. Od 26 wieków malują go czerwoną farbą i palą przed nim kadzidła. A poza tym, kamień jak kamień.

To nasz ostatni dzień w Kathmandu. Wieczorem wyjeżdżamy z Nepalu. Chcemy jeszcze odwiedzić Bodha Stupa, czyli największą stupę buddyjską na świecie. Przedzieramy się dłuższy czas na piechotę potężną obwodnicą Kathmandu, Ring Road. Jest to bardzo męczące. Hałas, spaliny, kurz... wreszcie wymiękamy. Nie da się za jednym po- bytem zwiedzić wszystkiego. Wracamy na Thamel.

## Ostatnie pierożki momo



Katmandu, Thamel – fot. Krzysztof Łoziński

Ostatni wieczorny spacer po Thamelu. Kupuję sobie piękną kurtkę z wełny jaka za sumę wartą w Polsce najwyżej koszulki polo. Zaopatrujemy się w prezenty dla rodzin i wreszcie ostatni raz idziemy do małej knajpki, w której parę dni temu wykryliśmy wyjątkowo pyszne pierożki momo. I tu niespodziewanie spotykamy Polaków. Andrzej i Piotr Ptak z Wrocławia, ojciec i syn, są takimi samymi włóczęgami



jak my, co nie mogą spokojnie w ojczyźnie wysiedzieć na tyłku, tylko ich miota po świecie. Szybko nawiązujemy porozumienie. Andrzej Ptak był kiedyś na wyprawie himalajskiej z Krzysiem Wielickim. Piotr od paru miesięcy buszuje po Azji. Ojciec przyjechał do Kathmandu, by się z nim spotkać. Włóczykije zawsze się dogadają. Podobnie jak my nie uznają biur podróży, drogich hoteli, rezerwacji hoteli, autokarów. Piotr był tym razem w Pakistanie i Indiach a dalej jedzie do Birmy, Laosu, Wietnamu, Kambodży i Tajlandii. Tacy ludzie wracają do kraju tylko po to, by ciężko pracując zarobić na kolejną włóczęgę po świecie. Ta pasja jest nieuleczalna. W chwili, gdy piszę te słowa, od naszej podróży po Indiach i Nepalu nie minął jeszcze rok, a już zaliczyliśmy Tajlandię i Kambodżę. I w podobnym stylu – bez żadnego biura podróży, rezerwacji hoteli, w nieznanie. I znów zobaczyliśmy rzeczy, których klienci Orbisu, Vinga, Tui i tym podobnych instytucji nie zobaczą i nie przeżyją nigdy, choćby wyłożyli nie wiem jaką górę kasy.

### **Horrorystyczny wesoly autobus**

Około godziny 22 jedziemy na dworzec autobusowy w Kathmandu. Tutejszy Pekaes, czyli government bus, zabierze nas do Sonauli (granica), skąd rano mamy kolejny government bus, tyle że indyjski, do Gorakhpur. Ale to dopiero początek kolejnej tury podróży. Z Gorakhpur mamy pociąg, 21 godzin jazdy, do Amritsaru oddalonego od Goprakhpur o 1200 kilometrów.

### **No to czeka nas wyrpą – półtorej doby w drodze.**

Autobus pnie się serpentynami przez góry Sivalik. Na drodze panuje ogromny ruch a w autobusie ogromny tłok. W przejściu pośrodku ludzie siedzą na dostawionych drewnianych stołkach. Niektórzy stoją. Cała podłoga zawalona jakimis workami (rano zorientuję się, że jest to poczta). Około północy zaczyna się korek. Podjeżdżamy po kilkadziesiąt metrów i stop. Wreszcie grzęźniemy na dobre. Kierowca zjeżdża na pobocze i zarządza „przerwę na spanie”. Nie można się dowiedzieć, o co chodzi, bo nikt poza nami nie posługuje się tu angielskim a mój nepali jest daleki od doskonałości. W nocy wychodzę na zewnątrz na siusiu i słyszę dziwnie znajome dalekie odgłosy: puk puk puk, tratata, tratata... Grają powolne serie z WKM-ów i szybkie z CKM-ów i karabinków automatycznych. No nieźle. Na szczęście gdzieś daleko.

Wracam do środka i nic nie mówię Agnieszce. Nic jej ta wiedza nie pomoże, a tylko by się denerwowała. Rano, już w Sonauli, dowiemy się, że trwała nocna bitwa między armią a maoistami.

Nad ranem ruszamy. Już wiem, że szanse zdążenia na pociąg z Gorakhpur mamy niewielkie. Jedziemy drzemiąc. Jest już jasno gdy

wjechaliśmy na dworzec autobusowy w Simra i stoimy. Stoimy, stoimy i nagle orientuję się, że ludzie z naszego autobusu gdzieś się podziali. Jesteśmy sami. Wypadam na zewnątrz i widzę, że wszyscy przesiadli się do innego autobusu. W łamanym nepali dopytuje się, co jest grane.

– Chhema garnos sati, Sonauli hoina, Birgain hoina – stara się mi przekazać kierowca (Bardzo przepraszam przyjacielu, Sonauli nie, Birgain nie).

Cholera, ten autobus dalej nie jedzie! Do granicy jest 50 kilometrów!

Pokazuję na ten drugi autobus:

– Kahaa samma? – wygrzebuję z pamięci pojedyncze słowa w nepali (ten dokąd?).

– Sonauli hoina, Birgain ho (Sonauli nie, Birgain tak).

A niech ich cholera. Mamy bilety do Sonauli ale nikogo to nie obchodzi. Autobus skończył trasę w Simra. Drugi jedzie do Birgain, to bliżej granicy, ale jeszcze nie granica. Trudno, trzeba jechać do Birgain i czort wie, co dalej.

Przenosimy bagaż do drugiego autobusu a raczej na jego dach. W środku wszystkie miejsca już zajęte, tłok niemiłosierny. Dostają azjatyckiej furii i najgorsze wyrazy powtarzając po kilka razy (w lokalnych językach też) wywalczam miejsce siedzące dla Agnieszki. Sam będę stał półwisiąc. Oczywiście musimy kupić kolejny bilet, bo nasz bilet do granicy nikogo już nie obchodzi – był na tamten autobus.

Autobus, zapchany po brzegi i jeszcze trochę, niemiłosiernie się wlecze przez równinę Teraju. Patrzę na zegarek i konstatuje, że nasz autobus do Gorakhpur po indyjskiej stronie dawno już odjechał. Agnieszka pyta, jak wytrzymuję na stojąco w niewygodnej pozycji.

– Jestem wyćwiczony w 517 – mówię.

517 to warszawski autobus jadący przez Aleje Jerozolimskie. Przypomina chwilami nepalski government bus.

Wreszcie jesteśmy w Birgain. Bierzymy dwie riksze rowerowe (ze względu na bagaż nie zmieścimy się w jedną) i jedziemy w kierunku Sonauli. W końcu to już tylko kilka kilometrów. Tak oto państwo sahibowie, mając kupione bilety na całą trasę, jadą riksami po drodze państwowej w Nepalu gubiąc co chwila „łańcuchy od rowera”... Skąd ja to znam? Z całej Azji. Tym się ona między innymi różni od Europy.

### **Sonauli, czyli burdel na kółkach**

W Sonauli dopadamy naszego agenta Nepal Guest House, który ma nas dalej wyekspediować do Gorakhpur autobusem co już odjechał 2 godziny temu. Oczywiście musimy dopłacić 900 rupii do taksówki, by zdążyć na pociąg, bo następny autobus będzie jutro. Perspektywa

ewentualnego kiblowania w Gorakhpur wcale mnie nie cieszy, bo jest to miasto tak piękne, że można się obwiesić (wyobraź sobie czytelniku 10-milionowy bazar, na którym nikt nie sprząta a nad nim krążą komary jak chrabąszcze... i tną oczywiście).

Agent dzwoni po taksówkę a ja pędzę z naszymi paszportami do odprawy nepalskiej i indyjskiej. Nikogo tu nie dziwi, że jestem jeden a paszporty mam dwa, że przekraczam granicę z tymi dwoma paszportami a później już dwuosobowo odprawiony wracam przez tę granicę z powrotem z nieważną już wizą. Nikogo nie dziwi, że Agnieszka została w Nepalu bez paszportu a później przekracza granicę do Indii, granicę, którą w paszporcie już teoretycznie przekroczyła. Ot, takie porządki panują w Sonauli. W pierwszą stronę, nie mieliśmy zdjąć do wiz nepalskich, więc wysłano mnie, bez wizy, na nepalską stronę do punktu ksero, by skopiować paszporty, skąd wróciłem bez żadnej odprawy z dwoma paszportami ciągle bez wizy na stronę indyjską, dałem facetowi z immigration Office 20 rupii w łapę (równowartość 1 złoty i 20 groszy polskich) i było po odprawie.

Przyjechała taksówka marki ambasador w stanie reanimowanej pobiedy. Wsiadamy do tyłu, bo z przodu siedzi kierowca i pomocnik. Oni siedzą na drewnianej ławce zamiast samochodowych siedzeń, co jednak ma pewne zalety, bo parę kilometrów dalej dosiada się do nich na trzeciego jakiś policjant na autostopie. Taksówka osiąga zawrotną prędkość 53 kilometry na godzinę i ani trochę więcej. Do Gorakhpur jest 200 kilometrów. W dodatku co chwilę musimy się zatrzymywać, bo w niemal każdej wsi trwa wiec. To Bharatija Janata Party (Indyjska Partia Ludowa) prowadzi kampanię wyborczą do parlamentu stanowego stanu Utar Pradesh.

W Gorakhpur jesteśmy 15 minut przed odjazdem naszego pociągu. Problem z tym, że mamy tylko bilet ale bez rezerwacji miejsca. No i nie wiemy, który peron, a peronów na tym dworcu dużo, bo dworzec jest gigantyczny, tak jak i miasto. Wpadam do agencji naprzeciw dworca po rezerwację. Cwaniak z agencji natychmiast wyludza ode mnie 200 rupii, bo wie, że jesteśmy pod przymusem czasu. Nie załatwi, nie jedziemy. Za chwilę wszystko jest załatwione, ale wyludza jeszcze 100 rupii, no i jest tragarz, który nas wsadzi do pociągu (kolejne 100 rupii). Na targowanie się nie ma czasu. Co tam, 100 rupii to nasze 6 złotych



W pociągu z Gaorakhpur do Amritsaru. 21 godzin jazdy – fot. Krzysztof Łoziński

Wreszcie jesteśmy na peronie... a pociągu nie ma. Spóźnił się, skurczybyk, półtorej godziny. Pociągi są w Indiach całkiem niezłe, ale trasy mają po 2 tysiące kilometrów (nasz jedzie z Kalkuty do Jammu) i punktualność na tych trasach traktują nie do końca poważnie.

Wreszcie jest pociąg. Jesteśmy tak zmęczeni, że padamy. Przed nami 21 godzin w pociągu.

# Jak się topić, to w Mekongu 2009



Nasz autobus w wodzie – fot. Krzysztof Łoziński

Jesteśmy w Siem Riep w Kambodży po koszmarnej podróży z Bangkoku. Do granicy wszystko było dobrze, autostrady w bogatej Tajlandii pokazują, że nie było tu ministra Marka Pola. Koszmar zaczął się dalej. Już 20 kilometrów od granicy samochód stanął,

bo kierowca nie wlał wystarczająco paliwa i oleju silnikowego. Dym z silnika i zero akcji.



Droga w Kambodży – fot. Krzysztof Łoziński

Kierowca wsiadł na skuter i po godzinie wrócił z benzyną i jednym litrem oleju (silnik potrzebuje minimum 3 litrów). No i pojechaliśmy dalej, ale niezbyt daleko. 5 kilometrów dalej zagotowała się chłodnica i wywaliło olej, a raczej jego resztkę. Tym razem pękła też dość istotna rura z układu chłodzenia. Kierowca autostopem pojechał gdzieś ją spawać. My, 19 osób z różnych krajów, czekamy na drodze. Wkrótce robi się noc i nadciągają istne dywizje moskitów. Jest 49 stopni Celsjusza, noc, moskity, Kambodża i popsuty samochód. Coś pięknego.



Stacja benzynowa – benzyna w butelkach po Coca-coli. Kambodża – fot. Krzysztof Łoziński

Kierowca wraca po 3 godzinach i teoretycznie możnajechać, ale samochód nie ma świateł. Pomocnik kierowcy świeci latarką ręczną przez szybę i jedziemy w kompletnych ciemnościach. Za chwilę nowa atrakcja, której nikt się nie spodziewał – powódź!. Nikt nie brał pod uwagę powodzi! Około północy nadciąga fala powodziowa i droga zostaje zalana przez wodę. Jedziemy do połowy kół w wodzie, bez świateł i na kompletnym odludziu. Woda przybiera i boczny prąd staje się coraz silniejszy.

W pewnym momencie autobus grzęźnie na rozmytej drodze (w Kambodży nie ma asfaltu, to są drogi gruntowe nie konserwowane chyba nigdy). Wszyscy wysiadamy pchać. Po pas w wodzie szarpimy się z ugrzęźniętym pojazdem. Po pół godzinie znowu jedzie, ale pomocnikowi kierowcy skończyły się baterie w latarce. Dalej jedziemy już w kompletnej ciemności i po chwili pojazd wpada do rowu. No to

klops. Nie wiadomo, co robić. Jest druga w nocy, przybiera woda, nadciągająca tropikalna burza, która wody raczej doda, niż ujmie. Tym razem nie dajemy już rady autobusowi wypchnąć.

Kierowca dzwoni z komórki po pomoc. Autobus jest mocno pochylony i zanurza się coraz bardziej. Przez drzwi woda wlewa się do środka. Stoimy na drodze bezradnie w wodzie, jedni po kolana, inni po pas a chwilami nawet po piers. Za chwilę nowa atrakcja, Prąd wody robi się coraz silniejszy. Kobiety zaczynają panikować, a faceci dostają jakiegoś małpiego rozumu i się śmieją. Po godzinie na horyzoncie jakieś światło – nadjeżdża ogromny traktor na pomoc. Ale zamiast brać się do roboty zaczyna się targowanie o cenę za udzielenie pomocy, a my toniemy coraz bardziej. Wreszcie uzgadniamy zrzutkę po 2 dolary na łeb i traktor bierze nas na hol.



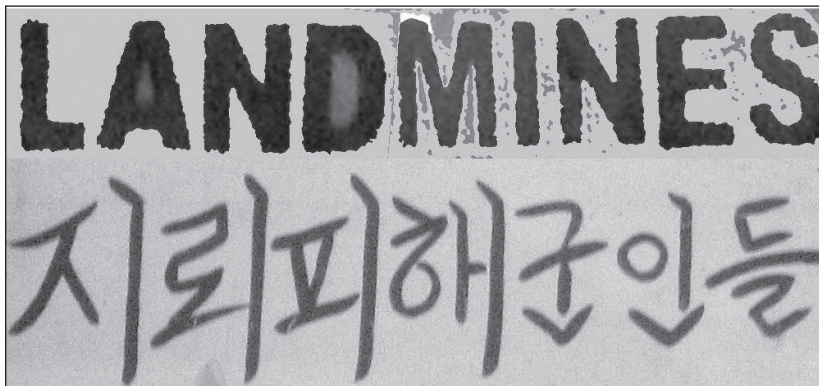
Utopiona ciężarówka – fot. Krzysztof Łoziński

Przy wyciąganiu z rowu autobus niemal się przewraca. No, ale wyszedł. Jedziemy na holu. Mijamy utopione ciężarówki, ludzi na wysepkach wystających z wody. Woda jest niemal po horyzont. Drogę wskazuje tylko rząd słupów. Około 5 rano wyjechaliśmy na suchy



ład. Kierowca usiłuje naprawić światła, ale bez skutku. Jedziemy więc w kompletnych ciemnościach. Jest tylko światło gwiazd. Księżyc, niestety, w nowiu.

No i już miało być pięknie, ale woda przedarła się w kolejnym miejscu. Znowu ugrzęźliśmy w wodzie i rozmytej drodze. Znowu pchanie pojazdu – udaje się wyjechać. Do Siem Riep dojeżdżamy o 8 rano – 24 godziny po wyjeździe z Bangkoku. Normalnie ta droga zajmuje kilka godzin.



Tablica ostrzegawcza „miny lądowe” (przeciwpiechotne) – z archiwum K.Ł.

W tym wszystkim była jeszcze jedna atrakcja. Plagą Kambodży są miny przeciwpiechotne. Pobocza tej drogi, którą jechaliśmy, są w wielu miejscach zaminowane, ale o tym nie wiedzieliśmy. Może i lepiej. Po 4 dniach woda nie ustąpiła. Siem Riep jest całkowicie odcięte od świata. Do Bangkoku wracamy samolotem linii Bangkok Airlines, czyli tu-tejszą firmą Ja & Szwagier.

Do tej historii dodam jeszcze jeden szczegół. Gdy staraliśmy się wypchnąć autobus z zatopionego rowu, łaziliśmy po pobliskich polach i szukaliśmy po omacku, pod wodą, kamieni do podłożenia pod koła. Przy drodze stały jakieś tablice, ale po ciemku nikt ich nie czytał. Gdy przyjechał ten traktor nas wyciągać, to miał reflektory i przeczytałem na jednej z tablic: „Danger! Landmines!” (Niebezpieczeństwo! Miny lądowe! – ang.). Gdy opisałem tę historię w „Kontratekstach”, co zrobiłem jeszcze z Kambodży (nawet tam jest Internet), zaczęli do mnie mailować koledzy: „Ale przygoda!”



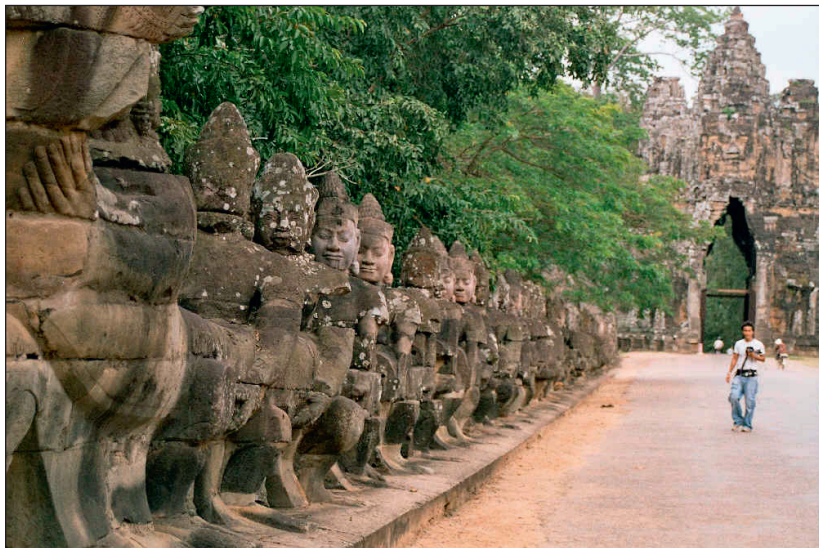
Angkor Wat (Świątynia Miejska), Angkor, Kambodża – fot. Krzysztof Łoziński

Oczywiście tę przygodę wynagrodziło nam Angkor. Angkor to niesamowity zabytek, miasto z XIII wieku, wielkości dzisiejszego Londynu, które przez 700 lat było całkowicie zapomniane, zarosnięte przez dżunglę. Odnaleziono je przypadkowo. Do dziś odkrywane są z satelity kolejne obiekty. Archeologowie przebijają się do nich maczetami przez dżunglę.



Ta Prohm. Angkor. Kambodża – fot. Krzysztof Łoziński

Angkor robi niesamowite wrażenie. Uważam, że jest to jeden z najciekawszych zabytków świata, tej klasy co Machu Picchu w Peru, Tadź Mahal w Indiach, ale tamte są w porównaniu z Angkor maleńkie. W dodatku Angkor jest mało zniszczone, bo nie było nigdy zburzone, Jedyne szkody wyrządziły korzenie drzew, które rozsadzały mury.



Angkor Tom. Droga Olbrzymów i Brama Umarłych (Angkor, Kambodża) – fot. Krzysztof Łoziński

W Angkor zaliczyłem kolejną „przygodę”. Tuż przed wejściem do twierdzy Angkor Tom, przez Drogę Olbrzymów i Bramę Umarłych, znajduje się spora góra, a na niej ciekawa świątynia Phnom Bakheng. Poszedłem na tę górę sam. Agnieszka została z riksaszarzem przy postoju „taksówek słoniowych” (Elephant Taxi – wynajmuje się taksówkę – słonia). Idzie się ok. 1,5 kilometra ścieżką przez las. Porobiłem zdjęcia i zadowolony zabieram się do wracania, a tu strzałki nakazują wracać inną ścieżką. A na tej ścieżce stoi znak ostrzegawczy z rysunkiem słonia i napisem „po angielskiemu” (bo nie po angielsku): „Careful wild elephants” (Uwaga dzikie słonie). Co miałem zrobić? Skoro byłem na samej górze, to nie miałem wyboru – trzeba iść i liczyć na to, że nie spotka się słonia. Na szczęście nie spotkałem. Były za to piękne olbrzymie motyle o skrzydłach wielkości moich dłoni. A na samym dole kolejna niespodzianka – tablica z instrukcją, co zrobić, gdy spotka się tygrysa. Tygrysy są tu oczywiście u siebie w domu, ale czemu ta tablica stoi przy wyjściu z lasu, a nie przy wejściu?

Kilka razy podczas wykładów pytano mnie, czy podczas zagranicznych podróży bałem się zwierząt. Pozwolę więc sobie w tym miejscu na pewną retrospekcję. Wiele lat temu, podczas jednego z pierwszych moich pobytów w Indiach (a było ich łącznie 12), poszliśmy z jednym z kolegów popływać w miejscowej rzece. Na środku rzeki znajdowała się taka wysepka, piaszczysta łacha z krzakami pośrodku. Dopłynęliśmy do tej łachy, wyszliśmy na piasek i zajrzeliśmy za te krzaki. A tam leżało sobie co najmniej 10 (nie liczyłem) potężnych krokodyli różańcowych. Wtedy jeszcze słabo znałem Indie i nie wiedziałem, że są tam tak potężne krokodyle, jedne z największych na świecie. Myślałem, że są tylko gawiale i polują tylko na ryby. Powaga nas zdjęła, bo musieliśmy z powrotem dopłynąć do brzegu, a już wiedzieliśmy, że w tej wodzie są krokodyle. Chyba nigdy w życiu, ani wcześniej, ani później nie bałem się tak bardzo. Gdy oglądamy krokodyle w telewizji, nie zdajemy sobie sprawy z tego, jakie to bydle jest ogromne i jaki mały jest przy nim człowiek.

Część 2.  
ŚWIAT W MOICH CZASACH



# Zabawa w Atomice 1945-2016

***Jeżeli testy jądrowe są nieszkodliwe, to czemu USA, Anglia i Francja nie przeprowadzają ich na własnym terytorium?***

Greenpeace

Od czasu zrzucenia bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki przeprowadzono w różnych krajach co najmniej 2370 wybuchów jądrowych w atmosferze, pod wodą i pod ziemią. Nie można wykluczyć, że było ich jeszcze więcej, ale dopiero od pewnego czasu próby jądrowej nie da się ukryć.

Część ekspertów uważa, że liczba testów jądrowych przeprowadzonych przez ZSRR, Chiny i Francję była większa od podawanej. Na liczbę 2370 wybuchów składają się: 1030 amerykańskich (815 podziemnych i 215 w atmosferze), co najmniej 1000 radzieckich (ustalono 508 podziemnych i 207 w atmosferze), 205 francuskich (ustalono 148 podziemnych i 54 w atmosferze), 45 brytyjskich (z tego 23 na terenie USA), 73 chińskie (ustalono 23 w atmosferze i 20 podziemnych), co najmniej 7 indyjskich i 5 pakistańskich i 4 Korei Północnej. W wyniku tych eksplozji zginęło znacznie więcej ludzi niż w wyniku wybuchu jedynek dwóch bomb, jakich do tej pory użyto w czasie wojny. Wojskowi i politycy właściwie wszystkich krajów atomowych, ale szczególnie ZSRR i Chin, wykazywali przy tym nieprawdopodobne wręcz

lekceważenie życia ludzkiego. Podobne lekceważenie mogliśmy obserwować w czasie wszystkich atomowych katastrof, z których najbardziej znane to pożar elektrowni w Czarnobylu i zatonięcie atomowej łodzi podwodnej Kursk. Przypadków świadomego narażania ludzi na napromieniowanie i inne skutki działania energii jądrowej było tak wiele, że omówienie ich wszystkich wymagałoby napisania grubej książki.

Dokładnej liczby ofiar wszystkich testów i awarii jądrowych nie sposób obecnie ustalić, ale są podstawy do przypuszczeń, że przekroczyła ona 3 miliony ludzi. Wiele poczynań władz ZSRR i Chin, związanych z testami atomowymi, śmiało można zakwalifikować jako zbrodnie przeciw ludzkości a nawet zbrodnie ludobójstwa.

### **Produkt wojny totalnej**

Broń atomowa jest logicznym przedłużeniem wojny totalnej, którą prowadziły wszystkie strony II wojny światowej, ale dla sprawiedliwości trzeba stwierdzić, że aliantom wojna totalna została narzucona przez państwa osi. Niewątpliwie to państwa osi pierwsze zaczęły masowo zabijać ludność cywilną i dokonywać terrorystycznych nalotów bombowych na dzielnice mieszkalne miast. Jednym z najwcześniejszych aktów wojny totalnej była rzeź Nankinu dokonana w 1937 roku przez wojska japońskie. Zabito wówczas w ciągu zaledwie kilku dni co najmniej 300 tysięcy chińskich cywilów.

Alianci początkowo nie bombardowali dzielnic mieszkalnych w miastach przeciwnika, choć niemieckie i japońskie lotnictwo robiło to od samego początku wojny. Dopiero w 1943 roku dowódcy wojsk alianckich doszli do przekonania, że naloty dywanowe są niezbędne do pokonania państw osi.

W połowie lutego 1945 roku Japonia przeżywa pierwsze naloty dywanowe. W tym czasie większość miast niemieckich leży już w gruzach. Do legendy przeszedł nalot 1700 bombowców na Drezno, w wyniku którego zagotowała się nawet woda w rzece, a z miasta nie zostało dosłownie nic.

Superfortece B-29 amerykańskiej Task Force, startujące z Okinawy i inne maszyny startujące z lotniskowców, atakują najpierw lotniska i obiekty przemysłowe między Tokio i Jokohamą. W pierwszym nalocie bierze udział 2000 bombowców. Następnego dnia 1800 bombowców prowadzi atak na dosyć rozległym obszarze w Tokio i wokół Tokio. Japończycy po raz pierwszy oglądają z przerażeniem całe dzielnice zrównane z ziemią. Następnie, w tygodniowych odstępach, nadlatują mniejsze grupy, po kilkadziesiąt bombowców, systematycznie likwidując kolejne fragmenty miasta.



9 marca 1945 roku zapisał się jako dzień zagłady Tokio. Od rana mieszkańcy ze strachem patrzą w bezchmurne niebo. Dobra pogoda nikogo już nie cieszy. Po południu zrywa się silny wiatr.

Miasto jest wielkie, ale drewniano-papierowe. Tradycyjne japońskie domy nie mają piwnic. Lekkie konstrukcje z papieru i drewna miały chronić przed skutkami trzęsień ziemi, ale wobec bomb nie mają nawet ścian chroniących przed odłamkami i płoną jak pochodnie. Nie ma żadnych schronów. Wykopano tylko płytkie rowy na ulicach, które miały zastąpić schrony, ale stały się pułapkami na ludzi.

O godzinie 23.00 wyją syreny, radio informuje o zbliżających się wielkich formacjach bombowców. O północy pierwsza fala z 2400 superfortec B-29 jest już nad Tokio. Nisko lecące samoloty zataczają koła zrzucając bomby napalmowe i fosforowe, wytyczając zamknięte kręgi pożaru – pułapki na ludzi bez wyjścia. Niezwykle silny wiatr roznosi płomienie. Teraz lecą bomby burzące i odłamkowe. A potem znów fosfor i napalm. I tak na zmianę.

W mieście rozgrywa się piekło. W ciągu trzech godzin jednej nocy zginęło 197 tysięcy ludzi, około pół miliona jest rannych i poparzonych, milion ludzi straciło domy i cały dobytek. Okazuje się, że nad samym Tokio operowało „zaledwie” trzysta maszyn zrzucając 700 tysięcy bomb. Pozostałe 2100 bombowców, z ośmioma tonami bomb każdy, atakowało inne cele, wyrządzając „analogiczne straty”. Wojna totalna osiągnęła apogeum. W ciągu trzech godzin lotnictwo amerykańskiej Task Force zadało Japonii piętnastokrotnie większe straty niż te, które wyrządziły wszystkie naloty niemieckie na Wielką Brytanię. Grunt polityczny do użycia broni atomowej był już przygotowany. W piątym roku wojny opory moralne przed masowym mordowaniem ludności cywilnej dawno już zostały zapomniane.

### **Akt pierwszy: Alamagordo**

Zanim zrzucono bomby na Hiroszimę i Nagasaki, dokonano pierwszej, próbnej eksplozji jądrowej 16 lipca 1945 roku, na poligonie w Alamagordo (stan Nowy Meksyk). Od razu ujawniły się przy tym dwa zjawiska, które miały później towarzyszyć wszystkim badaniom nad bronią jądrową i znacznej części badań nad energią jądrową: cyniczne lekceważenie ludzkiego życia i potworne kłamstwo. Już przy pierwszym próbnym wybuchu zrobiono to, co później wszystkie państwa atomowe robiły nagminnie: doświadczenia na ludziach, którzy bynajmniej nie poddali się im dobrowolnie. Te doświadczenia, jak i późniejsze podobne, nie miały nic wspólnego z nauką. Nauka nie robi doświadczeń na ludziach bez ich wiedzy i świadomej zgody, a i to uważa się za ostateczność.

Wojskowi wpadli na prosty pomysł: a gdyby tak za pomocą atomówki przełamać front? Nacierające wojska wjechałyby przez epicentrum wybuchu, jak przez otwarte wrota. Jest okazja, by ten pomysł przećwiczyć. O przebiegu tych ćwiczeń niewiele wiadomo. Trwała wojna światowa a program atomowy był najściślej tajny, jak tylko można. Ilu żołnierzy amerykańskich przejechało na jeepach i transporterach przez epicentrum zaraz po wybuchu? Ilu przebiegło ten obszar piechotą? Kilkuset na pewno.

Weterani tego wydarzenia wspominali po latach, że musieli „biec w podskokach”, bo ziemia parzyła przez buty, że w niektórych samochodach zapaliły się opony. Jakie dostali dawki promieniowania, nie wiadomo, bo nie mieli klisz radiometrycznych. Wojskowi odnotowali, że wielu żołnierzy miało później biegunkę, niektórym wypadały włosy, ale ostatecznie skonstatowano, że „właściwie nic się nikomu nie stało”. Dopiero po latach, organizacje pozarządowe podniosły alarm, że zadziwiająco wielu uczestników tych ćwiczeń zmarło później na nowotwory.

W Alamagordo jednak odbyto ćwiczenia dopiero po wybuchu atomowym, ale nie w jego trakcie, jak to później robiono wielokrotnie w ZSRR. Skutki zniszczeń badano w inny sposób. Rozmieszczono budynki i pojazdy. W domach rozmieszczono manekiny w sytuacjach takich, aby przedstawiały życie typowej amerykańskiej rodziny. Manekiny siedziały przy stołach, leżały w łóżku itp. Wszystko filmowano. Zaobserwowano po raz pierwszy dziwne zjawisko. Część manekinów, znajdujących się bardzo blisko epicentrum, ucierpiała niewiele, zaś część innych, znajdujących się bardzo daleko, nawet o kilkadziesiąt kilometrów, całkowicie spłonęła. Dziwne ocalenia blisko centrum tłumaczy się dziś pionowym kierunkiem fali uderzeniowej i promieniowania termicznego oraz brakiem wtórnej (groźniejszej) fali uderzeniowej (cisza podobna do tej w oku cyklonu). Powstawania wysp całkowitego zniszczenia w dużych odległościach, o ile wiem, nie wytłumaczono do dziś.

27 lipca 1945 roku uczestnicy konferencji w Poczdamie stawiają Japonii ultimatum: żądanie bezwarunkowej kapitulacji, zanim spadnie na nią „potęga nieskończenie większa od tej, która spustoszyła Niemcy”. Japonia postanawia zignorować ultimatum. W wewnętrznym komunikacie premier Sudzuki używa zwrotu mokusatsu (zabić milczeniem, traktować z milczącą pogardą). Generał Tojo wzywa do samobójstwa „stu milionów” współczesnych Biakkotai (bohaterów, którzy oddali życie za cesarza), następców kamikadze mających atakować wojska amerykańskie w razie inwazji wysp. Na zdobytej już Okinawie siedem milionów marines przygotowuje się do desantu

na Japonię. Amerykańskie okręty bezkarnie ostrzeliwiają z dział japońskie porty. Bombowce Task Force codziennie równają z ziemią kolejne miasta.

Od 25 lipca dwie bomby atomowe znajdują się już w bazie na wyspie Tianian. Truman wydaje rozkaz: „zrzucić bomby na Japonię po 2 sierpnia, najwcześniej, jak tylko będzie to możliwe....”

### **Pika-dom**

Dziwaczne słowo *pika-dom* powstało w Japonii by określić wrażenie związane z wybuchem bomby atomowej. Można je przetłumaczyć jako pstryk-bum. Ciche pstryk to wybuch kilkuset kilogramów trotylu zgniatającego uran w bryłę o przekroczonej masie krytycznej. Bum to eksplozja jądrowa.

6 sierpnia 1945 roku bombowiec B-29 „Enola Gay” pilotowany przez kapitana Williama Parsonsa, kapitana Paula Tibbetsa i nawigatora majora Thomasa Ferebee z bombą atomowa „Little Boy” startuje w kierunku Japonii. Około 8 rano jest nad Hiroszimą. O 8.05 zostaje odwołany alarm lotniczy. Radio podaje, że pojedynczy samolot oddalił się znad Hiroszimy. Ludzie obserwują opadający spadochron. O 8.15 Hiroszimę oświetla „blask dziesięciu tysięcy słońc”.

Na wysokości 580 metrów nad ziemią powstaje kula plazmy o temperaturze ponad miliona stopni i średnicy 280 metrów. Promieniowanie termiczne powoduje, że wielu ludzi wyparowało zostawiając tylko cienie na kamieniach, których powierzchnia uległa stopieniu. Po jednym z mieszkańców pozostały tylko ślady stóp na zeszkłonym chodniku. Wyparował nie zdążywszy się przewrócić. Od ogromnej temperatury wszystko staje w ogniu. Palą się nawet metale. Pierwsza fala uderzeniowa podmuchu, skierowana na zewnątrz, burzy wszystko w promieniu trzech kilometrów i roznosi pożar na niemal całe miasto. Ogromna temperatura w epicentrum powoduje ruchy konwekcyjne powietrza i wtedy powstaje druga fala uderzeniowa: podmuch huraganowego wiatru skierowanego do środka, wzniesającego jeszcze bardziej pożar i niszczącego to, co jeszcze zostało. Po ośmiu minutach atomowy grzyb osiąga 13 kilometrów wysokości i 6 kilometrów średnicy. Widać go z odległości stu kilometrów.

W promieniu trzech kilometrów od epicentrum zniszczenie było całkowite. W centrum tego obszaru, kilkaset metrów od epicentrum nie przeżył nikt. Ci, co przeżyli nieco dalej, byli potwornie poparzeni. Dopiero ludzie znajdujący się w naprawdę dużej odległości, rzędu 40 kilometrów wyszli z wybuchu w zasadzie bez szwanku, ale odnotowano też szereg nagłych zgonów w dużej odległości od epicentrum, nawet w odległości 100 km. Zginęło od razu 70 tysięcy ludzi. 80 tysięcy

zmarło następnego dnia. Do końca 1945 roku, przez pięć miesięcy, zmarło kolejne 130 tysięcy. Do dziś na chorobę popromienną zmarło jeszcze ok. 400 tysięcy mieszkańców Hiroszimy.

Trzy dni później, 9 sierpnia 1945 roku, o godzinie 11.01 Amerykanie zrzućili kolejną bombę „Fat Man”, na Nagasaki. Nagasaki to był nadmorski kurort, żadnego przemysłu, celów militarnych. Taki japoński Sopot.

Ile było ofiar obu wybuchów? Różne źródła podają rozbieżne liczby. Najbardziej wiarygodny raport Japońskiego Czerwonego Krzyża podaje 250 tysięcy zabitych i 150 tysięcy rannych w Hiroszynie oraz 120 tysięcy zabitych i 80 tysięcy rannych w Nagasaki. Liczby te nie obejmują zmarłych dużo później na chorobę popromienną. Razem z nimi, łączna liczba ofiar obu bomb jest prawdopodobnie bliska miliona. Nie jest więc prawdziwy rozpowszechniony pogląd, że naloty dywanowe zabiły w Japonii więcej ludzi niż broń atomowa.

15 sierpnia Japonia skapitulowała. Skończyła się wojna, ale promieniowanie zabijało nadal. Do obu miast przybywali ludzie, których nie było tam w czasie wybuchów. Zajmowali ocalałe domy, zaczęli chorować i wyjeżdżali. Ich miejsce zajmowali następni. Część przybyszów, którzy nie byli obecni w czasie eksplozji, zachorowała i umarła. Przez lata rodziły się dzieci z wadami wrodzonymi. Napromieniowanych długo uważano w Japonii za pariasów. Nie mogli dostać pracy ani ożenić się. Przez pierwsze dwa lata nikt się nimi nie zajmował. Długo ukrywano przed nimi naturę bomb. Nie ustanowiono żadnej strefy skażonej, zakazanej dla ludzi. Można przyjąć, że władze japońskie nie zdawały sobie sprawy z zagrożenia dalszym napromieniowaniem, ale amerykańscy wojskowi wiedzieli przecież, jakie bomby zrzućili. Widać jednak nie potrafili przestawić myślenia z zabijania cywilów niedawnego wroga na ich ratowanie.

W 1947 roku, amerykańska fundacja ABCC zaczęła prowadzić badania napromieniowanych. Nie leczono ich jednak. Japońskim lekarzom, którzy chcieli leczyć, powiedziano: „nie możecie wykraczać poza cele fundacji”.

### **Wspomnienia z wojska**

W okresie zimnej wojny USA, ZSRR, Anglia, Francja i Chiny przeprowadziły ogromne ilości tak zwanych doświadczalnych wybuchów jądrowych. Dziś można mocno podważyć „doświadczalność” tych testów, bo charakter większości badań niewiele miał wspólnego z nauką. Przeważnie były to po prostu demonstracje siły.

Czy można prowadzić badania naukowe za pomocą wybuchów jądrowych? Można. Natura procesów zachodzących w czasie wybuchu

termojądrowego jest ta sama, co procesów zachodzących we wnętrzu gwiazd. Dla astrofizyka może być to okazja do zbadania na ziemi próbek gwiazdy. Można badać różne zjawiska z zakresu fizyki niezwykle wysokich temperatur i ciśnień, no i oczywiście z zakresu fizyki jądrowej. Można, ale przeważnie wcale tego nie robiono. Decydujących o wszystkim wojskowych bardziej interesowało, jak bomba zabija i niszczy. Takie badania nie mają nic wspólnego z nauką. Te badania masowo i na wielką skalę robiono na ludziach i zwierzętach.

Amerykanie pierwsze wybuchy w czasie pokoju robili na poligonach w Nowym Meksyku i w Nevadzie. Szybko jednak, pod naciskiem opinii publicznej, musieli je przenieść poza granice kraju. Zaczęły się próby na Pacyfiku. Było ich 315 (127 amerykańskich, przeważnie na atolu Bikini, 176 francuskich na atolu Mururoa i 12 francuskich na atolu Fangataufa). Na atolu Bikini żyło plemię polinezyjskie złożone z dwudziestu kilku rodzin. Przekonano króla, by zgodził się na „czasowe” przeniesienie całej wspólnoty na inną wyspę. Po serii „doświadczeń” mieli na Bikini powrócić. Dopiero po fakcie Polinezyjczycy zrozumieli, że na swoją wyspę nie wrócą nigdy.

Po wybuchach na Bikini po raz pierwszy zaczęła powstawać społeczna świadomość nieodwracalności skażenia i jego skutków dla przyrody. Pojawiły się pierwsze protesty o charakterze ekologicznym. Głośna stała się sprawa wielkich żółwi morskich, które po złożeniu jaj, zamiast powrócić do morza, traciły orientację, szły w głąb łądu i ginęły. Po raz pierwszy na większą skalę zaczęto zadawać pytanie: jeśli „to” tak działa na żółwie, to jak działa na nas?

Urodziłem się dokładnie w trzy lata po pierwszym wybuchu bomby atomowej w Alamogordo. W szkole uczono mnie o strasznych skutkach amerykańskich bomb na Hiroszimę i Nagasaki. Wiedziałem o biednych chorych dzieciach cierpiących w Japonii na chorobę popromienną. Według propagandy z okresu mojego dzieciństwa, ZSRR prowadził pokojową politykę, zaś Gomułka chciał zbawić świat planem Rapackiego (o utworzeniu strefy bezatomowej w Europie Środkowej). Broń atomowa „z wypisów szkolnych” była wówczas wyłącznie zła – amerykańska. Amerykanie gnębili też Murzynów i zrzucali stonkę. Co innego kraje „socjalistyczne”. Pamiętam rysunek z podręcznika fizyki (niestety nie pamiętam już do której klasy): „pokojowe wykorzystanie energii jądrowej”. Rysunek przedstawiał, jak za pomocą serii wybuchów jądrowych wykopuje się kanał przez góry. Dopiero po wielu latach dowiedziałem się, że rzeczywiście Stalin miał taki idiotyczny, nigdy nie zrealizowany (na szczęście), pomysł, by atomówkami wyrąbać kanał przez Altaj i skierować nim wody Angary w celu nawodnienia stepów. Ładnie by ta skażona radioaktywnie woda nawodniła!

Od 1968 do 1971 roku byłem w wojsku. Po latach przypominałem sobie dwa fakty, na które wówczas nie zwróciłem specjalnie uwagi.

Wyświetlano nam szkoleniowy film wykonany w ZSRR: Wojsko w okopach i ziemiankach. Żołnierz odbiera telefon z aparatu polowego TAJ. W słuchawce głos: „wołnia, wołnia, wołnia”, to znaczy alarm atomowy, „się wie”. Żołnierze wkładają „bechatki”, hełmy, maski przeciwgazowe i chowają się do ziemianek. Samolot zrzuca bombę atomową na pozycje wroga. W telefonie polowym głos: „Smirna! Idiot udarniają wołnia! (Uwaga! Idzie fala uderzeniowa!)”. Żołnierze siedzą spokojnie w ziemiankach. Fala przechodzi. „Wpieriod!” Żołnierze wypadają z ziemianek, gaszą saperkami drobne pożary i przystępują do natarcia poprzez zniszczony wybuchem atomowym teren.

Ten film musi jeszcze gdzieś być w wojskowych zasobach. Może dziś odszukałaby go jakaś telewizja i pokazała, co komunistyczni wojskowi planowali zgotować również i polskim żołnierzom. Do takich działań nas szkolono i nikt nas nie informował, że po takim natarciu przez epicentrum możemy chorować lub nawet umrzeć. Wręcz przeciwnie, sugerowano nam, że wszystko będzie O.K. Wówczas miałem 19 lat i nie widziałem w tym nic dziwnego. Zrozumiałem o co chodziło dopiero po latach, gdy zobaczyłem materiały z autentycznych ćwiczeń wojskowych w Tockoje (ZSRR) z użyciem autentycznych atomówek.

Wkrótce zostaliśmy poinformowani, że weźmiemy udział w ćwiczeniach polegających na tym, że zostanie dokonany desant powietrzny na terenach „oczyszczonych” z obrony przez wybuch atomowy. Mieliśmy na te manewry pojechać do ZSRR. Zaczęliśmy przechodzić „szkolenie przeciwatomowe”. Całe to szkolenie wyraźnie nie miało żadnego spójnego planu. Początkowo sprowadzało się do tego, że na komendę mieliśmy włożyć maski przeciwgazowe i płaszcze przeciwchemiczne OP-1, przebiec w tym rynsztunku kilkaset metrów, a potem zmyć z siebie „skażenie” natryskiem. Kadra nie bardzo wiedziała, co z tym szkoleniem robić, więc szybko nabrało ono swojskiej kapralskiej interpretacji. Wychodziliśmy za jednostkę na piaszczyste wydmy nazywane „Saharą”, gdzie padała komenda: „maski włóż” i „biegiem marsz” albo, po założeniu masek: „kompania śpiew”. Bieganie po piachu i śpiewanie w masce przeciwgazowej nie jest najłatwiejszym zajęciem, więc szybko nauczyliśmy się, że trzeba zawczasu z maski wyjąć zaworki, by oddychać nie przez pochłaniacz, lecz obok. O ile pamiętam, była to jedyna rzecz, jakiej nauczyłem się na „szkoleniu przeciwatomowym”.

Cała sprawa zakończyła się drobną aferą. W kinie jednostki wyświetlano akurat brytyjski film fabularny, pod tytułem „Wzgórze”, o tym jak to źle jest w angielskiej kompanii karnej, bo karzą ludziom

biegać pod górę po piachu. Swoją drogą, ten kto nakręcił ów film, chyba nigdy nie był w wojsku. Pewnego dnia, na wieczornym apelu, jeden z naszych kompanijnych rozrabiaków wystąpił i poprosił o przeniesienie do angielskiej kompanii karnej. Wojsko ryknęło śmiechem, a on dostał prace poza kolejnością. Nieco później powiedziano nam, że na manewry nie pojedziemy i „szkolenie przeciwatomowe” się skończyło.

I tu znów mam kilka pytań. Może jest ktoś, kto wie, co to było? Czy tylko bzdurne szkolenie okraszone bajeczką dla szeregowców, czy może ktoś, w 1969 roku naprawdę chciał wysłać polskie wojsko na ćwiczenia z użyciem bomby atomowej? Może ktoś jeszcze pamięta podobne fakty?

### **Tockoje**

W samym ZSRR, w czasach pokoju, dokonano około tysiąca próbnych wybuchów jądrowych. Poligony atomowe rozrzucone były po całym obszarze kraju. Niektóre z wybuchów odbyły się całkiem blisko granic Polski, ale w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych nikt nas o tym nie informował. Gdyby wówczas nastąpiła taka awaria, jak w Czarnobylu, też byśmy nie wiedzieli. Poligonów atomowych było w ZSRR aż 110, a największe to Semipałatyńsk w dzisiejszym Kazachstanie, Tockoje między Orenburgiem a Kujbyszewem (700 km od Moskwy) i Nowa Ziemia na Oceanie Arktycznym.

Pierwsza radziecka bomba atomowa wybuchła o siódmej rano 29 sierpnia 1949 roku. Technologia budowy bomby została przez wywiad radziecki wykradziona Amerykanom. Wcześniej w ZSRR nie prowadzono badań z zakresu fizyki jądrowej. Fizyka kwantowa i teoria względności, czyli podstawy teoretyczne badań jądrowych, były w ZSRR zakazane jako idealistyczne. Komunistów zainteresowała dopiero bomba. Specjaliści radzieccy udali się do Hiroszimy i Nagasaki. Delegacja nie interesowała się losem ofiar obu wybuchów i nie wyrażała dla nich współczucia. Członkowie delegacji byli zachwyceni zniszczeniami wywołanymi przez bombę i gorąco poparli dążenie Stalina do posiadania takiej samej.

Gen. Aleksandr Osen tłumaczył dużo później: „Ameryka miała 300 bomb, a my nie. Jakże tak?” Fizyk jądrowy Kurczatow oświadczył: „Uczeni naszej wielkiej ojczyzny, wraz z partią komunistyczną, dołożą wszelkich starań, aby obywatele komunistycznego państwa zapanowali nad przyrodą”. Niektórzy do dziś wierzą w ówczesną argumentację. Emerytowany major Gieorgij Parnijew powiedział w wywiadzie udzielonym Waldemarowi Milewiczowi 50 lat później: „W imieniu pokoju na świecie, radziecka władza i partia podjęły decyzję utworzyć tu (w Semipałatyńsku) atomowy poligon. Uczyniono to wyłącznie

w celach pokojowych”. Na uwagę Milewicza, że w wyniku tych działań wielu ludzi zginęło lub do dziś choruje, oświadczył: „O czym tu mowa? Iluż tych ludzi było?”

W Tockoje stacjonowała specjalna jednostka wojskowa używana do testowania na ludziach skutków wybuchów jądrowych. W manewrach z użyciem autentycznych bomb atomowych brało udział 45 tysięcy żołnierzy. Przeżyło te ćwiczenia zaledwie tysiąc. Jednostka nie miała nawet numeru. Oficjalnie nie istniała. Podobnie „nie istniały” miasteczka naukowców pracujących nad bronią jądrową. Na przykład późniejsze miasteczko Kurczatow koło Semipałatyńska. Cały szereg takich tajnych ośrodków miało wspólny adres pocztowy: Moskwa 450.

Całkowicie utajniona była też produkcja bomb. Rudę uranową wydobywali więźniowie. Kopalnia była ich miejscem pracy, domem i grobem. Więzień tylko raz zjeżdżał do kopalni i tam zostawał do śmierci (na ogół dość szybkiej). Promieniowanie w kopalniach uranu przekraczało wielokrotnie wszelkie dopuszczalne normy.

Wspomina robotnik z zakładów produkujących bomby atomowe: „Nasz szef powiedział wprost, że będziemy pracować bez osłon i wskaźników pomiarowych, bo gdybyśmy mieli przyrządy pomiarowe, ich wskazania uniemożliwiłyby pracę, a do tego nie można dopuścić.” Z ludzi pracujących w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych przy produkcji bomb przeżyło zaledwie około 2%.

Manewry z udziałem żywych ludzi i bomb atomowych prowadzone były najczęściej na poligonie w Tockoje. Przeprowadzono je także na poligonie koło Semipałatyńska już przy wybuchu pierwszej radzieckiej bomby atomowej. Żołnierzy rozmieszczono w ziemiankach, okopach i nawet zupełnie płytkich transejach. Dla generałów zbudowano podziemne bunkry wyposażone w peryskopy. Ćwiczeniami dowodził generał Buganin.

Żołnierzom rozdano po dwie pary kalesonów i podkoszulek, zimowe sznytele i maski przeciwgazowe. Było bardzo ciepło, +45 stopni, więc wielu żołnierzy ukradkiem zrezygnowało z części tej „ochrony”. Na poligonie rozmieszczono też prawdziwe czołgi, armaty, samoloty i żywe zwierzęta. Zwierzęta rozmieszczono w różnych miejscach, w ziemiankach, okopach i na otwartej przestrzeni. W specjalnych bunkrach umieszczono przyrządy pomiarowe i kamery. W czasie wybuchu filmowały one płonące żywcem owce, obdzierane ze skóry konie, które później, ciągle żywe, okaleczone podrygiwały bezradnie przywiązane do palików. Tego, co działo się z żołnierzami w płytkich transejach nie filmowano, lub też do dziś nie ujawniono takich filmów.

Dowódcy powiedzieli żołnierzom, że największa dopuszczalna dawka promieniowania to 100 Rtg/godz Kurczatow sprostował tę



informację na 50 Rtg/godz. Żołnierze pytali, co będzie, jeśli dostaną więcej. Usłyszeli, że pojedą na pół roku do sanatorium. Dla żołnierza Armii Czerwonej, w tamtych latach, odbywającego pięcioletnią służbę praktycznie bez przepustek i urlopów, sanatorium to był niemal raj.

Oczywiście żołnierzy perfidnie oszukano. Człowiek może, bez większego szwanku dla zdrowia zebrać **przez całe życie** dawkę ok. 100 Rtg. Takie ilości promieniowania zbieramy stopniowo w naturalny sposób od przyrody. Jest to promieniowanie pochodzące od słońca, promieniowania kosmicznego, pierwiastków promieniotwórczych, których niewielkie ilości znajdują się w różnych skałach itp. Każda dodatkowa porcja promieniowania zwiększa szansę na powstanie nowotworów. Dawka 200 Rtg to pewna ciężka choroba popromienna. 300 Rtg jednorazowo to szybka śmierć.

Czym innym jednak jest zbieranie 100 Rtg przez całe życie, a czym innym jest pochłonięcie nawet mniejszej dawki, ale w bardzo krótkim czasie. Zebranie 50, a tym bardziej 100 Rtg w ciągu jednej godziny oznacza radykalne skrócenie życia. Natężenie promieniowania 60 Rtg/godz powszechnie uważa się za poziom śmiertelny.

**[W tym opracowaniu używam świadomie nieco archaicznych jednostek Rtg i Rtg/godz, choć jako fizyk wiem, że racjonalniej byłoby używać jednostek promieniowania pochłoniętego. Są one jednak zupełnie nieznanne przeciętnemu czytelnikowi po szkole średniej, a poza tym większość materiałów, z których korzystam podaje dane w jednostkach takich, jak powyżej. Gdybym zaczął używać równoległe innych jednostek, czytelnik doznałby pojęciowego zamętu. Pozostaje mi więc trzymać się tej wersji i prosić kolegów fizyków o wybaczenie. – przypis autora]**

14 września 1954 roku w Tockoje przeprowadzono największe ćwiczenia wojskowe z użyciem broni atomowej. Żołnierzom w płytkich okopach kazano położyć się nogami w kierunku epicentrum, przykryć się szynem i otworzyć usta. Karabiny mieli wziąć pod siebie, by własnym ciałem chronić je przed zniszczeniem. Wspomina jeden z uczestników tych ćwiczeń: „Byliśmy w głębokim schronie 8 kilometrów od epicentrum. Właz osłoniliśmy głazem ważącym 350 kg. Po wybuchu zniknął. Odczuliśmy wstrząs sejsmiczny i zalało nas jasne światło, choć byliśmy w podziemnym schronie.”

Inny żołnierz, któremu kazano leżeć w płytkim okopie: „Powiedziano mi, że mam schować pod siebie karabin, bo od temperatury lufa może się wygiąć. Pomyślałem: jeśli karabin może się zniszczyć,

to co może być ze mną? Gdy dowódcy odeszli, przeniosłem się do ziemianki obok głębokiego okopu, w którym stały przywiązane do paliaków owce. Po wybuchu owce były strasznie poparzone. Ich wełna spłonęła. Po moim wykopie nie został nawet ślad. Podmuch wyrównał teren. Cała ziemia usiana była martwymi ptakami.”

Wielu żołnierzy leżących w płytkich okopach nie przeżyło tych ćwiczeń. Po wybuchu żołnierze pomaszzerowali w kierunku epicentrum dokonując pomiarów promieniowania. Szeregowy Żukow pojechał do epicentrum samochodem terenowym. Był tam po 10 minutach. Zameldował, że odnotował skażenie 75 Rtg/godz. Zmarł na chorobę popromienną. Jeden z samolotów przeleciał przez środek chmury radioaktywnej, czyli tak zwanego grzyba. Pilot wkrótce zmarł, a samolot był tak skażony, że trzeba go było złomować.

Wspomina inny żołnierz: „Dowódcy byli dumni z wyników ćwiczeń. Skoro radziecki żołnierz potrafił przemaszerować przez epicentrum, dowiódł, że nie ma siły zdolnej go zatrzymać.”

Nikita Chruszczow tak uzasadniał konieczność przeprowadzania podobnych ćwiczeń: „Dla uratowania ludzkości warto poświęcić 100 tysięcy, albo nawet 150 tysięcy ludzi”.

W latach sześćdziesiątych żołnierze nadal nie mieli żadnej osłony przed promieniowaniem oprócz szyneli i masek przeciwgazowych. Odbywano wtedy nieco inne ćwiczenia. Żołnierzy rozmieszczono w różnych punktach poligonu na ciężarówkach. Mieli siedzieć tyłem do epicentrum, dość daleko od niego. Dano im papier i ołówki. Powiedziano, że najpierw osłepną i ogłuchną, a gdy już odzyskają wzrok i słuch, mają opisać swoje wrażenia.

### **Semipałatyńsk**

W 1953 roku Związek Radziecki miał już broń termojądrową. Pierwszej eksplozji dokonano w sierpniu 1956 roku na poligonie koło Semipałatyńska. Sacharow, który zdawał sobie sprawę, że siła wybuchu będzie znacznie większa, wymusił na wojskowych ewakuację ludności z okolicznych wsi. Pozostawiono jednak 64 osoby, przeważnie młodych mężczyzn. Później badano ich, pobierano krew, od niektórych siłą. Wszystkich spito wódką. Część spito na siłę. Jako rekompensatę dano im wódkę i po kawałku kielbasy. Powiedziano, że jak będą pić wódkę, to nic im nie będzie.

W czasie pierwszej próby atomowej na poligonie Semipałatyńsk kierunek wiatru był taki, że radioaktywny pył spadł na utajnione miasteczko Kurczatow, gdzie mieszkali i pracowali twórcy bomb. Opad dotknął też Nowosybirsk i wielu innych miast. Przy następnych wybuchach uważano na kierunek wiatru, by wiał on w kierunku kazachskich

ws. Zasięg opadu radioaktywnego jest jednak bardzo duży. Radioaktywna chmura docierała odtąd na Północny Ałtaj a także na terytory chińskiej prowincji Xinjiang, która jest do dziś najbardziej skażonym rejonem na ziemi. Według oficjalnych źródeł rosyjskich, na Północnym Ałtaju skażenie dotknęło ponad 40 miejscowości zamieszkałych przez 78 tysięcy ludzi. Według organizacji ujugurskich, w rejonie miasta Kaszgar w Xinjiangu, na chorobę popromienną zmarło co najmniej 250 tysięcy ludzi i do dziś w Kaszgarze umiera średnio 25 osób dziennie. W Xinjiangu miały miejsce też chińskie wybuchy atomowe, ale było ich znacznie mniej.

Znacznie gorzej przedstawia się skażenie Północnego Ałtaju według źródeł pozarządowych. Skutkami napromieniowania, według tych danych, miało zostać dotknięte 2,3 miliona ludzi. 21400 osób otrzymało dawki promieniowania aż 800 razy przekraczające dopuszczalną normę. Leonid Iljin, dyrektor Instytutu Biofizyki badającego skutki skażenia w tym rejonie, twierdzi, że w niektórych miejscach promieniowanie przekraczało dopuszczalne normy aż 1800 razy. Ludzie, którzy się tam znaleźli ginęli natychmiast.

Stalin i jego następcy nie przejmowali się ich losem. Górny Ałtaj zamieszkały był przez przesiedlony „element politycznie niepewny”: Tatarów, Niemców i inteligentów. Podobnie nikt nie przejmował się losem Ujugurów w Xinjiangu. Sojusznik Stalina, Mao Zedong, uważał Ujugurów za „naród zdradziecki” i nie protestował przeciw spadającemu na nich radioaktywnym pyłom. Nie protestował też jego następca Deng Xiaoping.

Na poligonie koło Semipałatyńska przeprowadzono 469 wybuchów jądrowych, z czego 87 w wysokich warstwach atmosfery, 73 na powierzchni ziemi i 309 pod ziemią, z tych ostatnich jednak, aż w połowie przypadków, substancje radioaktywne przedostały się na powierzchnię, z czego w 39 przypadkach na dużą skalę. 17 lutego 1989 roku podziemna eksplozja po prostu rozerwała górę. Nastąpiło ogromne skażenie, które dotknęło zwłaszcza miasteczko Czagan. Nikt się tym specjalnie nie przejął. Sprawy nawet nie nagłośniono, choć była to katastrofa ekologiczna porównywalna ze skutkami wybuchu w Hiroszynie. Prób zaprzestano ponad 15 lat temu, a mimo to do dziś na poligonie utrzymuje się średnio promieniowanie 6 Rtg/godz. W kraterze zwanym Kielkiem-1, powstałym po wybuchu „małej” (1,2 kilotony) bomby naziemnej norma promieniowania przekroczona jest 400 razy. Nawet trawa tam nie rośnie.

Ludność kazachską z okolic Semipałatyńska przez czterdzieści lat utrzymywano w nieświadomości, co do natury eksperymentów na poligonie. Mówiono im: „Będą ćwiczenia, wychodźcie na ulice.” Ale jakie

ćwiczenia? Tego już nie mówiono. Major Gieorgij Parmijew tłumaczy Waldemarowi Milewiczowi, że wszystko było w porządku: „Za pięć minut dojdzie do wystrzału, co za różnica z czego, trzeba uważać”. Jego zdaniem takie ostrzeżenie było zupełnie wystarczające.

Zupełnie inne zdanie ma radiolog-onkolog prof. Saim Balmuchorow: „Jest takie powiedzenie, a nuż się uda. Tak myśleli odpowiedzialni za próby atomowe. Bali się, że jeśli każą ludziom zostać w domach, to podmuch może ich tam przywalić i trzeba będzie za to odpowiadać. Lepiej wygonić nieświadomych wieśniaków na ulice, bo tam od razu nie zginą. Promieniowania przecież nie widać. Choroby przyjdą po latach i nikt nie udowodni ich związku z wybuchami. Ot cała logika”

Zmarłym na chorobę popromienną lekarze musieli wpisywać inną przyczynę zgonu. Nie wolno było stawiać diagnozy białaczka lub rak. Ludzie wychodzili z domów i oglądali piękne atomowe grzyby, nawet nie wiedząc, że wystawiają się w ten sposób na promieniowanie. Skąd mogli kazachscy chłopcy wiedzieć, co to jest promieniowanie gamma i jak działa? Nikt nich nie uczył o cząstkach alfa i beta, jądrach atomowych, uranie, plutonie.

Mówi kobieta z trudem poruszająca się o kulach, a właściwie o krześle zastępującym jej kule: „Widziałam z daleka czarny dym. Nie wiedziałam, o co chodzi. A potem przestałam chodzić. Zanieśli mnie do szpitala latem, a gdy odzyskałam przytomność padał śnieg.” (ta i poprzednia wypowiedź pochodzą z filmu dokumentalnego W. Milewicza).

Waldemar Milewicz: „Z prawie każdej zagrody (w rejonie Semipałatyńska) wychodzą do mnie kaleki.”

W Semipałatyńsku powstało określenie „żółte dzieci” dla tysięcy kalek rodzących się z wadami wrodzonymi. Niemal w każdym domu żyją ludzie o potwornie zdeformowanych twarzach, powykęcanych nogach lub rękach, ludzie urodzeni bez kończyn... Prawie w każdym domu ktoś choruje na chorobę popromienną. Co dziesiąty mieszkaniec rejonu otrzymał jednorazową dawkę promieniowania co najmniej 100 Rtg. W rejonie Semipałatyńska i Karagandy 1,2 miliony ludzi choruje na chorobę popromienną. W rejonie Semipałatyńska 85% ludzi ma ciężką anemię, u 70% stwierdza się aberacje chromosomalne.

W instytutach badawczych w Semipałatyńsku, w słojach z formaliną przechowywane są martwo urodzone, lub zmarłe zaraz po urodzeniu okaleczone genetycznie dzieci.

W Instytucie Bezpieczeństwa Radiologicznego i Ekologii w Kurczatowie przechowywane są w formalinie zwierzęta po testach jądrowych.

„Królik doskonale nadaje się do badań porażen oczu. Mamy więc w słoju całego czarnego królika z wypalonymi ślepkami. Leży też baran bez wełny, porozrywane płuca wielbłądów, popękane serca psów.[...] Jest też łeb krowy i pies z opaloną sierścią. [...] Zamiast obroży drut stalowy wtopiony w ciało od gorąca. Jakoś go trzeba było przywiązać, aby nie nawiał ze swojej strefy. (J. Hugo-Bader, „GW”)

W zakładach w Semipałatyńsku pracowano nad nową generacją broni: połączeniem gazu bojowego, chorobotwórczego wirusa i izotopu radioaktywnego. Podobno nastąpiła awaria i trochę „tego” wylało się na miasto. Liczba „żółtych dzieci” uległa zwielokrotnieniu.

### **Nowa Ziemia**

Nowa Ziemia, to dwie niemal złane ze sobą wyspy na Oceanie Arktycznym. Znajdują się na niej dwa ogromne poligony atomowe utrzymywane do dziś w stanie „30-dniowej gotowości”. W latach 1955-1990 przeprowadzono na nich 132 wybuchy jądrowe (42 podziemne i 90 w atmosferze). Ponieważ obszar Nowej Ziemi jest niemal bezludny, jako królików doświadczalnych używano tu żołnierzy i więźniów rozmieszczonych w specjalnie w tym celu zbudowanych łagrach. Część więźniów umieszczano na barkach zakotwiczonych na morzu.

1 czerwca 1958 roku, kierujący testami akademik Fiedorow stwierdził, że z okazji pięknej pogody można dokonać większej liczby prób. Z kutra raketowego wystrzelono trzy rakiety z głowicami jądrowymi: pierwszą o 8.00 rano, drugą o 14.00 a trzecią o mocy 50 megaton o 15.00. Ta ostatnia bomba była największą odpaloną do tej pory. Jej moc była 2500 razy większa od użytej w Hiroszimie. Kula plazmy o temperaturze 5 mln. stopni miała średnicę blisko 4 kilometrów. Bomba zmieniła rzeźbę terenu. Wyparowały lodowce i zagotowała się wieczna zmarzlina. Kilka tysięcy kilometrów dalej, w Polsce, laboratoria odnotowały krótkotrwały 200-krotny wzrost promieniotękania. Ale był rok 1958. W gazetach nie ukazała się nawet wzmianka. Sprawę nagłośnili Finowie.

Wcześniej mieszkańcom Nowej Ziemi skonfiskowano wszelkie przyrządy pomiarowe, a nawet radiodbiorniki i aparaty fotograficzne.

Opowiada laborantka z zespołu badającego skutki wybuchów: „Z Nowej Ziemi pamiętam niezwykle piękną przyrodę. Wszędzie rosły piękne kwiaty. Po wybuchu zrobiło się ciemno jak w nocy. Poczułam, że chodzę po czymś miękkim. Najpierw myślałam, że to myszy, ale to cała ziemia usłana była martwymi ptakami. W miejscowej przychodni lekarskiej długo po tym nie robiono zdjęć rentgenowskich. Nie mieli klisz. Wszystkie się prześwieciły.”

## **Szeroka, szeroka jest ziemia (radziecka) Szeroko po ziemi więzienia (i poligony atomowe)**

Na terenie ZSRR działało 110 poligonów atomowych. Na każdym z nich przeprowadzono średnio 5 eksplozji, z tym, że na trzech największych znacznie więcej. Poligony rozmieszczone były mniej więcej równomiernie niemal na całym terytorium kraju. Kilku co najmniej wybuchów dokonano w niewielkiej odległości od granic innych krajów, głównie Chin i Mongolii, ale także od granic Polski. Eksplozji jądrowych dokonywano na terenie dzisiejszej Białorusi. Obszar skażony tymi testami „dopisano” później do skutków Czarnobyla. Podobno były też eksplozje w obwodzie Kaliningradzkim. Grzyby atomowe powinny być widoczne z Suwałk i Sejna, ale być może ludzie po prostu nie wiedzieli, co widzą. Grzyb atomowy widoczny z odległości ponad 100 kilometrów można wziąć za dużą chmurę lub dym wielkiego pożaru, a towarzysze przecież nie informowali „sojuszników”, co czynią.

Już od pierwszego wybuchu w Alamagordo było wiadomo, że każdy, kto widzi grzyb atomowy, otrzymuje potężną dawkę promieniowania. Było też wiadomo, że obszar, na którym nastąpił wybuch, nie nadaje się do zamieszkania przez ludzi przez co najmniej kilkanaście, a w skrajnych przypadkach i kilkaset lat. Zależy to od siły i rodzaju bomby oraz od tego, gdzie została zdetonowana (w atmosferze, na ziemi, pod ziemią, pod wodą).

Pomimo tej wiedzy Amerykanie dokonywali niektórych wybuchów tak blisko Hawajów, że ich mieszkańcy fotografowali grzyby atomowe. W przypadku prób radzieckich, obserwowanie grzybów przez ludzi, bez żadnych zabezpieczeń, było niemal normą. Szczytem chytrej hipokryzji wykazała się Francja, dokonując niemal wszystkich wybuchów poza własnym terytorium, na Saharze i na Pacyfiku, i za każdym razem tłumacząc, że są one nieszkodliwe.

Przy okazji wybuchów w Semipałatyńsku, ze względu na ich wielką liczbę, ujawniły się zjawiska trudniejsze do zaobserwowania na innych poligonach, ale z całą pewnością występujące wszędzie. Po pierwsze okazało się, że promieniowanie jonizujące ma wpływ nie tylko ciało człowieka, ale i na jego psychikę. Wokół Semipałatyńska i na Północnym Ałtaju zaobserwowano nienormalnie wysoką liczbę samobójstw bez żadnej widocznej przyczyny. Odsetek psychicznie chorych też jest kilkakrotnie wyższy niż gdzie indziej a liczba tak zwanych schorzeń organicznych (czyli chorób psychicznych wynikających z uszkodzenia mózgu) jest nawet kilkanaście razy wyższa od normy.

Wokół wszystkich poligonów atomowych w biednych krajach miejscowa ludność „zaraza się”, skażeniem radioaktywnym rozkradając z poligonów różne napromienione przedmioty, pijąc skażoną

wodę, a już z reguły pojąc nią było (Tak naprawdę skażona jest nie tyle woda, co znajdujące się w niej zawiesiny). Ludzie w dalszych częściach kraju ulegają pewnemu skażeniu jedząc mięso świń i krów pojonych radioaktywną wodą i karmionych roślinami rosnącymi na skażonych terenach.

W rejonie Semipałatyńska ludność rozkrada miedziane kable ze sztolni w górze, w której dokonywano wybuchów podziemnych. Kradzioną miedź przemycana jest do Chin i tam sprzedawana. Jeden z reporterów zbliżył się z licznikiem promieniowania do zwoju takiego kabla wyciągniętego ze sztolni i jak to określil: „licznik zwariował”. Natężenie promieniowania w sztolniach, do których wchodzą poszukiwacze miedzi, dochodzi do kilkudziesięciu Rtg/godz. Starają się przebywać w nich krótko i piją wódkę. W Rosji powszechne jest przekonanie, że wódka odkaża organizm od promieniowania jonizującego.

W rejonie Semipałatyńska próbowano zrealizować „pokojuwe zastosowanie energii jądrowej”, które pamiętam ze szkolnego podręcznika fizyki. Koło wsi Znamienka, za pomocą bomby o mocy 140 kiloton „wykopano” sztuczne jezioro o średnicy 400 metrów i głębokości 100 metrów. Jak pisze Jacek Hugo-Bader „pojawiły się w nim nawet ryby – tyle że bez oczu”. Uczni radzieccy planowali w ten sposób stworzyć sztuczne oazy na pustyniach.

Stosunek radzieckich wojskowych do miejscowej ludności najlepiej oddaje wypowiedź wiceministra obrony ZSRR marszałka Wasilewskiego skierowana do naukowców przerażonych tym, że wiatr zwiął chmurę radioaktywną, po wybuch bomby termojądrowej o mocy 400 kiloton, nad 250-tysieczny Semipałatyńsk: „Co wy się tak towarzysze uczeni przejmujecie? Każde ćwiczenia wojskowe pociągają za sobą ofiary!”

### **Xinjiang (Turkiestan Wschodni) – dno piekiel**

Naruszanie praw człowieka związane z testami nuklearnymi w ChRL pozostaje prawie całkowicie nieznanie zachodniej opinii publicznej. Nie zauważyła go nawet Amnesty International w swoich raportach, ani autorzy wydanej niedawno także w Polsce „Czarnej Księgi Komunizmu”.

W 1950 roku Mao Zedong powiedział: „Nie boimy się bomby atomowej. Ona jest jak papierowy karabin. Ameryka jest tygrysem zrobionym z papieru. O zwycięstwie w przyszłej wojnie decydować będzie nie Ameryka ze swoją atomową bombą, ale Chińczycy ze swym wielomilionowym narodem.”

W 1957 roku Mao głosił: „Nawet, jeśli zginie 300 milionów Chińczyków (w owym czasie połowa populacji), to zostanie jeszcze

wystarczająco dużo, by w Chinach zbudować komunizm.” Ze wspomnień Nikity Chruszczowa wiemy, że Mao Zedong namawiał go do rozpętania wojny atomowej z Zachodem, tłumacząc, że skoro zginie tylko połowa ludzkości, to nie ma się czego obawiać. Wiadomo też, że Mao dwukrotnie starał się sprowokować USA do zrzucenia bomb atomowych na Chiny, by w ten sposób wymusić na ZSRR uderzenie odwetowe.

Gdy Nikita Chruszczow dążył do odprężenia między ZSRR a USA, Mao zaczął ostrzeliwać z armat dwie wysepki należące do Tajwanu licząc na to, że Amerykanie w odwecie zrzucą na Chiny atomówkę. Mao chciał w ten sposób popsuć Chruszczowowi proces odprężenia. Mówił: „Może sprowokujemy Amerykanów do zrzucenia bomby na Fujian i zginie dziesięć lub dwadzieścia milionów ludzi. [...] Zobaczymy wtedy, co powie Chruszczow.” W innym momencie Mao liczył na to, że Amerykanie zrzucą bombę atomową na miasto Hardlin. Mao zupełnie nie znał realiów zachodniej polityki i, na szczęście, jego prowokacje były zupełnie nieskuteczne.

Począwszy od 1958 roku do wsi w rejonie jeziora Lop Nor zaczęli przybywać chińscy „geologowie”, rozmieszczając liczne przyrządy pomiarowe i budując jakieś instalacje. O tym, czym naprawdę są te „geologiczne” urządzenia, ludność Wschodniego Turkiestanu miała się wkrótce przekonać.

Pierwszą eksplozję nuklearną Chiny przeprowadziły 1 października 1963 roku. Fakt ten ukrywano przed światem przez ponad trzy miesiące. Druga eksplozja atomowa nastąpiła 14 maja 1964 roku. Świat dowiedział się o niej dzięki protestowi ZSRR. Wiele źródeł do dziś podaje błędnie datę tej drugiej eksplozji, jako pierwszej. Obydwie eksplozje przeprowadzone zostały na terenach zamieszkałych przez ludność ujgurską, na które dodatkowo sprowadzono nieznaną liczbę więźniów politycznych, służących jako obiekty doświadczalne do obserwacji wpływu promieniowania na ludzki organizm. Nikt dokładnie nie wie, ilu ludzi zginęło nad jeziorem Lop Nor. Nikt nie wie, ilu było więźniów w obozach, zniesionych wybuchem z powierzchni ziemi. Wiadomo, że znikło całkowicie 9 wsi razem z ludźmi, uprawami i bydłem. Siła eksplozji była tak wielka, że w jej rejonie zatarte zostały koryta strumieni i kanały nawadniające, a rzeki wyparowały. W terenie powstała ogromna niecka „jak płaska patelnia wok”.

Naoczny świadek, pragnący zachować anonimowość, który spędził 18 lat w chińskich więzieniach i obozach, a obecnie mieszka w Taszkencie, został umieszczony w rejonie Lop Nor razem z innymi więźniami, na których badano skutki napromieniowania żywego organizmu. Opowiada, że zaraz po pierwszej eksplozji zrobiło się strasznie



gorąco, wprost nie do wytrzymania. Przez pierwszy tydzień ponad 300 osób zmarło z objawami ciężkiej biegunki. Tylko „wyjątkowi szczęśliwcy” przeżyli. Cierpią na „choroby płucne” do dziś.

Inny świadek, także mieszkający obecnie w Taszkencie, opowiadał, jak 1 października 1963 roku szedł do pracy przez pola. Był wczesny ranek i było jeszcze ciemnawo. Nagle zrobiło się niezwykle jasno. Pomyślał: „Co to? Słońce wcześniej wzeszło?” Poczuł silny ból rąk i zobaczył, że palą mu się palce, a następnie, że płoną jego włosy i ubranie. Gdy chciał ręką ugasić włosy, skóra z głowy opadła mu na twarz. Do dziś choruje, a znaczna część jego ciała pokryta jest bliznami.

Inny świadek, wówczas młody oficer Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, a obecnie emigrant mieszkający w Kanadzie, obserwował wybuch z bunkra razem z innymi wojskowymi. Po eksplozji wsiadli w samochód terenowy i pojechali do jednostki wojskowej, która stacjonowała w pobliżu i w ich mniemaniu poza zasięgiem wybuchu. Najwyraźniej wojskowi chińscy nie zdawali sobie sprawy z zasięgu rażenia bomby. W pewnym momencie, od temperatury gruntu, w samochodzie zapaliły się opony. Na skutek ukształtowania terenu, budynków jednostki nie sięgnął podmuch, a jedynie temperatura. Mury stały, a na wapiennym tynku, który zmienił się w marmur, widać było cienie żołnierzy, którzy wyparowali.

Nie znamy siły tej bomby, ale musiała być ona dość duża, bo wiadomo, że kula gorącej plazmy miała w tym przypadku średnicę ok. 900 metrów.

Jeszcze w tym samym 1964 roku przeprowadzono trzecią doświadczalną eksplozję. Do dziś przeprowadzono łącznie 23 wybuchy jądrowe w atmosferze i nieznaną dokładnie ogromną ilość wybuchów podziemnych w rejonie Lop Nor i pustyni Takla Makan, po których rejon ten jest do dziś najbardziej skażonym radioaktywnie obszarem na ziemi. Skażenie pogłębione zostało jeszcze przez to, że po drugiej stronie grzbietu Altaju oraz na niezbyt odległym poligonie w Semipałatyńsku odbywały się próby radzieckie. W tym rejonie średnio przez 27 dni w miesiącu wiatry wieją z zachodu na wschód. Chodzi o to, że opady radioaktywne nie znają granic państwowych i większość skażonych pyłów opadła w Turkiestanie Wschodnim. Rząd ChRL nie wystosował z tego powodu ani jednego protestu do ZSRR, co świadczy o tym, do jakiego stopnia lekceważy życie własnych obywateli. Łącznie w Kotlinie Kaszgarskiej opadły pyły po co najmniej 300 wybuchach jądrowych radzieckich i chińskich. Skażenie terenu jest nieznane. Władze ChRL nie pozwalają go mierzyć. Wiadomo jednak, że w niektórych rejonach prześwietlają się zapakowane filmy fotograficzne. Do niedaw-

na z tego powodu, w wielu miejscach, nie można było fotografować. Prześwietlone były wszystkie zdjęcia. Dziś są już aparaty cyfrowe.

Ludność Wschodniego Turkiestanu doznała z powodu skażenia radioaktywnego niewyobrażalnych cierpień i do dziś cierpi z powodu szeregu nienormalnych zjawisk w przyrodzie oraz zmian genetycznych u ludzi, zwierząt i roślin.

Między Lop Nor a miastem Turfan, na przestrzeni 600 do 700 kilometrów, ciągnie się niezamieszkały obszar, zwany Kara Jungle. Składowano tam skażone pojazdy wojskowe i inne przedmioty używane do testowania skutków wybuchu atomowego. Te niestrzeżone magazyny znaleźli myśliwi z Turfanu i począwszy od 1964 roku ludność ujgurska wynosiła stamtąd najróżniejsze „trofea”. Nieco później rozkradaniem pozostałości po atomowych testach zajmowali się głównie mieszkańcy wsi Pichan.

Wkrótce mieszkańcy Turfanu i Pichan zaczęli umierać, a ich ogrody i sady więdły i podupadły. Przyroda stopniowo zmieniała się w spaloną ziemię. Teren był skażony radioaktywnie znacznie bardziej niż później wokół Czarnobyla.

Masowe dolegliwości biegunkowe pojawiły się w Pichanie w 1964 roku i były pierwszym objawem chorób, które przerodziły się w wielką „epidemię” raka płuc, rozprzestrzeniającą się we Wschodnim Turkiestanie. Dziesiątki tysięcy ludzi cierpiało z powodu tych chorób, a szczególnie mieszkańcy gęsto zaludnionych powiatów Kashgar, Khotan i Aksu. W latach osiemdziesiątych zaczął się rozpowszechniać rak wątroby, powodując śmierć ponad dziesięciu tysięcy osób w samym tylko dystrykcie Kashgar. Służby medyczne dystryktu zwróciły się do Pekinu o 10 milionów yuanów (ok. 1,5 miliona USD) dofinansowania na leki, ale otrzymały odmowę. Tymczasem nowotwory sięją spustoszenie wśród ludności Wschodniego Turkiestanu. Obecnie w samym Artusch w Kashgarze umiera 25 – 30 osób dziennie. Niezależna komisja medyczna w 1991 roku oceniła, że we Wschodnim Turkiestanie choruje ok. 170 tysięcy osób, a ok. 210 tysięcy zmarło na nowotwory, będące skutkiem napromieniowania. Fakty te zostały podane do wiadomości publicznej przez przewodniczącego International Commitete „Eastern Turkestan” Usupbecka Mukhlissi na VIII Antynuklearnym Kongresie w Bonn w październiku 1990 r., lecz pozostały bez echa.

Próby nuklearne prowadzone były w Xinjiangu do 1998 roku – były to eksplozje podziemne. Nikt nie wie, ile ich przeprowadzono. Wiadomo, że co najmniej kilkadziesiąt, ale są źródła mówiące o 400. Spowodowane nimi wstrząsy sejsmiczne oraz skażenie radioaktywne po wybuchach naziemnych doprowadziły do ogromnego zniszczenia środowiska naturalnego. Wiele rzek i strumieni zmieniło swoje koryta

lub wyschło. Zaburzone zostało krążenie wód podziemnych. Piaski pustyni Takla Makan pochłaniają co roku coraz to nowe, żyzne dotychczas tereny. W Turkiestanie Wschodnim można zaobserwować nieznanie nigdzie zjawisko: strumienie, wokół których życie biologiczne nie rozkwita, jak wszędzie na świecie w pobliżu wody, lecz zamiera, bo woda w nich jest tak skażona, że nawet rośliny nie mogą wegetować w jej pobliżu.

Turkiestan Wschodni, czyli prowincja Xinjiang zamieszkała jest przez ludność ujgurską i kazachską oraz chińskich muzułmanów. Wszystkie te społeczności są w ChRL dyskryminowane a nawet poddawane eksterminacji. Mao Zedong określał Ujgórów jako „naród zdraziecki”. Testy jądrowe przeprowadzano na tych terenach nieprzypadkowo i nieprzypadkowo nie ewakuowano ani nie ostrzegano ludności. Wiele wskazuje na to, że nawet celowo bombardowano zamieszkałe tereny. Działanie to ma wszelkie cechy przemyślanego ludobójstwa. Ostatnio komuniści chińscy dokonują eksterminacji Ujgurów i Kazachów w ramach „wojny z terroryzmem”.

### **Indie – Pakistan**

Obydwa państwa od dawna były podejrzewane o posiadanie broni atomowej. Indie dokonały pierwszej podziemnej eksplozji w 1974 roku na poligonie Pokharan w pustynnym Radżastanie. Aż do maja 1998 roku była to jedyna eksplozja indyjska. Druga eksplozja, dokonana w 1998 roku, sprowokowała Pakistan do podobnej demonstracji siły (oba kraje znajdują się w stanie zamrożonej wojny, w obu do władzy dochodzili nie raz wojowniczy nacjonalisci). W rezultacie, w krótkim czasie, doszło do 11 eksplozji jądrowych (6 indyjskich i 5 pakistańskich). Wszystkie one, podobnie jak pierwsza indyjska, były wybuchami podziemnymi.

Gdy premier Indii Atal Bihar Vajpayee tryumfalnie przybył na miejsce wybuchów w stanie Radżastan, przywitała go demonstracja wrogo nastawionych chłopów, którym od wstrząsów zawaliły się domy. Premier oświadczył wówczas, że chłopcy powinni cieszyć się z tego, że Indie są mocarstwem atomowym, a nie biadolić nad swoimi domami.

Sytuacja jest o tyle groźna, że oba kraje nie tylko znajdują się w stanie wojny, ale i żyją w wielkiej nędzy. Społeczeństwa tych krajów entuzjastycznie popierają testy jądrowe, bo uważają, że broń atomowa przywraca im godność odebraną przez kolonializm, który zepchnął ich w biedę i zacofanie. Populistyczni politycy, a właśnie tacy w obu krajach czasami rządzą, mogą w przyszłości wykorzystywać broń atomo-

wą dla poprawy reputacji. Może też wystąpić pokusa użycia jej w nie zakończonej ciągle wojnie o Kaszmir i nie tylko o Kaszmir...

Opowiada świadek demonstracji poparcia dla prób atomowych w Rawalpindi (Pakistan): „Tłum ciągnie wielką makietę przypominającą radziecką raketę SAM-2, na której wypisano »Islamska bomba«”. Euforia dochodzi do zenitu. Tłum domaga się zrzucenia bomby na Indie. Skandują »Allah Akbar, Allah Akbar!« i nagle, jakby zapominając, kto jest ich wrogiem »Śmierć Ameryce, śmierć Ameryce ... śmierć Europie, Allah Akbar!«”

### **Korea Północna**

Od paru lat wiadomo na pewno, że Korea Północna posiada broń jądrową. Dzięki ujawnieniu tzw. „pakistańsko-libijskiego śladu” wiadano, że KRL-D ma z całą pewnością od 2 do 4 bomb, oraz że realizuje dwa programy jądrowe. Pierwszy oparty o uran, a drugi o pluton. Do tej pory KRL-D przeprowadziła co najmniej 4 wybuchy jądrowe. Wszystkie próby były podziemne. Po ostaniej KRL-D twierdziła, że była to bomba termojądrowa, ale fachowcy zachodni w to wątpią. Analitycy wywiadu USA przewidują, że jeśli nie powstrzyma się tych programów, jeśli świat będzie beczynny, to do roku 2018 może mieć od 70 nawet do 150 bomb. Ile ich ma obecnie najbardziej tajny kraj świata, nikt nie wie.

### **Życie w cieniu wojny**

O posiadanie bomby atomowej, lub zaawansowane prace nad nią, podejrzewane są także Izrael i Iran. Wiadomo, że prace nad bronią atomową prowadził także Irak pod rządami Saddama Husaina (reaktor budowany dla niego przez specjalistów francuskich zbombardowało swego czasu izraelskie lotnictwo). Z całą pewnością państwa atomowe posiadają obecnie co najmniej 35.900 głowic jądrowych, z tego 19.775 gotowych do natychmiastowego użycia. Najwięcej, 22.500 głowic ma Rosja, później USA 12.070, Francja 500, Chiny 450, Wielka Brytania 380, Indie i Pakistan prawdopodobnie po kilka. Tyle dane oficjalne. Niektórzy eksperci twierdzą jednak, że prawdziwa liczba głowic jest dużo większa i może wynosić nawet 50 tysięcy.

Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę z tego, jak blisko było kilkakrotnie w okresie „zimnej wojny” do użycia broni jądrowej na wielką skalę.

Pierwszym takim momentem była wojna w Korei, drugim kryzys kubański. Były jednak sytuacje groźne, a mniej znane. W czasie wojny w Wietnamie amerykańscy wojskowi rozważali użycie projektu „Davi

Crockett”, czyli atomowych pocisków artyleryjskich o mocy ok. 1 kilotony.

Ogromne napięcie panowało w czasie kryzysu czechosłowackiego w 1968 roku i nieco później. To wtedy w ZSRR odbywało się najwięcej manewrów z użyciem bomb atomowych.

Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych doszło do wielkiego napięcia na tle amerykańskiego projektu budowy bomby neutronowej, a więc takiej, która prawie nie ma podmuchu, ale niezwykle groźnym promieniowaniem neutronowym zabija ludzi, nie niszcząc sprzętu. Wojska Układu Warszawskiego postawiono w stan pogotowia, gdy prasa belgijska doniosła o pomysłe zaminowania granic kraju takimi bombami. „Jakże to tak, to nasze wojska, nasze czołgi, nie będą mogły wjechać do Belgii?” – wymknęło się podobno Andropowowi.

Na początku lat siedemdziesiątych amerykański bombowiec B-52 zgubił bombę atomową nad Grenlandią. Bomba nie wybuchła i Amerykanie długo nie chcieli się przyznać do tego wypadku. Gdyby wybuchła, istniało niebezpieczeństwo, że zwiad amerykański uznałby to za atak ZSRR. Dalej wiadomo.

Przy okazji wyszło na jaw, że amerykańskie B-52 z bombami atomowymi cały czas krążą wokół granic Układu Warszawskiego. Lata no nie tylko nad morzami ale i nad Europą. Jeden B-52 mógł zabrać cztery bomby o mocy 20 megaton, o łącznej sile niszczącej większej 4000 razy od bomby zrzuconej na Hiroszimę, większej niż wszystkie bomby klasyczne zrzucone w czasie II wojny światowej i wojny w Korei łącznie.

Wydawało się też, że wcześniej, w styczniu 1970 roku, u wybrzeży Hiszpanii, rozbił się w Morzu Śródziemnym bombowiec B-52 z czterema bombami atomowymi. Szybko wyłowiono trzy z nich, a czwartej szukano jeszcze kilka miesięcy i znaleziono na głębokości 900 metrów dzięki użyciu batyskafu.

Od początku prezydentury Ronalda Regana wojskowi i politycy ZSRR byli przekonani, że administracja Regana planuje dokonać niespodziewanego uderzenia atomowego na państwa Układu Warszawskiego. Wywiad KGB prowadził wówczas operację „RJaN” (skrót od Rakietowyj Jadrowyj Nariad) mającą na celu przewidzenie tego uderzenia. Wojskowi radzieccy planowali dokonanie uderzenia wyprzedzającego, a skorumpowany i nieudolny wywiad KGB składał meldunki pod zapotrzebowanie centrali. Jego oficerowie, chcąc się wykazać i nie chcąc przyznać się, że niewiele wiedzą, meldowali o ruchach wojsk i innych wydarzeniach, których wcale nie było. Na podstawie tych meldunków przywódca ZSRR byli całkiem blisko decyzji o uderzeniu wyprzedzającym.

Ten incydent ujawnia zagrożenie związane z samym istnieniem broni jądrowej. Wywiady państw totalitarnych, takie jak KGB, wbrew legendzie, wcale nie są super sprawne, a wręcz przeciwnie, na ogół są skryminalizowane, nieudolne, często bardziej zajęte dziwnymi biznesami i przekrętami niż robotą, którą powinny wykonywać. Takie wywiady dostarczają swoim centralom bardzo często zupełnie błędne informacje, na podstawie których ktoś może podjąć decyzję o naciśnięciu atomowego guzika.

Podobny niebezpieczny moment miał miejsce na początku listopada 1983 roku, kiedy to rządzący, po śmierci Leonida Breżniewa, Jurij Andropow był w pełni przekonany, że amerykańskie ćwiczenia „Zdolny Łucznik 83” są tylko manewrem maskującym niespodziewane uderzenie atomowe. 6 listopada KGB rozesłało do swoich placówek depeszę, że „czas od podjęcia przez prezydenta USA decyzji o ataku do jego rozpoczęcia wyniesie 7-10 dni”. Sugerowano w ten sposób, że ponieważ ćwiczenia, uważane tylko za kamuflaż, rozpoczęły się 2 listopada, to do ataku na ZSRR pozostało tylko 3-6 dni. 8 listopada wojska raketowe i lotnictwo radzieckie postawione zostały w stan najwyższej gotowości. Samoloty uzbrojone w bomby atomowe stały na pasach startowych. Odkryto pokrywy silosów z raketami balistycznymi. Cud, że nikomu nie drgnął palec na atomowym przycisku.

Panika Andropowa nie była pozbawiona podstaw. Pokazał to dobitnie późniejszy incydent, gdy niemiecki nastolatek, Mathias Rust, nielegalnie przeleciał niewielkim samolotem z Finlandii do Moskwy i wylądował w pobliżu Kremla, nie zauważony przez zwiad przeciwlotniczy ZSRR. Wojskowi radzieccy musieli sobie zdawać sprawę z tego, że lecący na małej wysokości pocisk manewrujący, np. Tomahawk, jest w stanie bez przeszkód osiągnąć każdy cel w ZSRR.

Następny kryzys wystąpił we wrześniu i październiku 1993 roku w czasie konfliktu między Borysem Jelcynem a parlamentem. Gdy w Moskwie Jelcyn rozstrzeliwał parlament z armat, minister obrony Paweł Graczow doszedł do wniosku, że Amerykanie mogą wykorzystać kryzys do niespodziewanego ataku i postawił w stan gotowości wojska raketowe oraz Flotę Pacyfiku. Amerykańscy analitycy nie mogli uwierzyć, że ktoś bawi się raketami w czasie takiej zadymy w stolicy i doszli do wniosku, że to Rosja chce wykonać nagle uderzenie atomowe.

25 stycznia 1995 roku o godzinie 6.24 rano oficerowie wojsk rosyjskich zobaczyli na ekranach radarów tajemniczy obiekt zachowujący się jak amerykańska rakietą Trident wystrzelona z okrętu podwodnego. Była to norweska rakietą meteorologiczna, o której wystrzeleniu dyplomacja Norwegii, zgodnie z międzynarodowymi umowami

powiadomiła 20 dni wcześniej ambasadę Rosji, ale ta zapomniała przekazać informację do Moskwy. O 6.28 Borys Jelcyn trzymał już palec na przycisku atomowej walizeczki. Przez dwadzieścia minut generałowie obserwowali na radarach lot rakiety a Jelcyn wahał się, który wariant kontruderzenia przyjąć, czy tylko na ograniczone cele w Europie, czy maksymalny, na Europę, USA, Chiny i Japonię jednocześnie. Po tym czasie rakietka zgodnie z planem wpadła do morza.

Zimna wojna dawno się skończyła, ale niebezpieczeństwa wybuchu przypadkowego konfliktu atomowego na pewno nie można uznać za przeszłość. Wywiady, sztaby i rządy dwóch państw atomowych, Rosji i Chin są skorumpowane i nieudolne, jak wszystko w tych krajach i mogą podejmować nieobliczalne decyzje. W przekonaniu ludzi Zachodu, w Rosji i w Chinach minęły już czasy, gdy u rządu zasiadali nieobliczalni psychopaci, jednak ja, od lat analizując politykę tych krajów, nie rozumiem, na czym to przekonanie jest oparte.

Wymieniłem tylko najpoważniejsze kryzysy. Według danych amerykańskich, obrona przeciwrakietowa USA w latach 1977-84 ogłaszała aż 20.784 fałszywe alarmy o zbliżającym się ataku rakietowym na USA. Analogiczne dane innych państw nie zostały ujawnione.

### **Żółty las**

Na świecie znajduje się obecnie co najmniej setka elektrowni jądrowych i znacznie większa liczba reaktorów atomowych. W Polsce reaktor znajduje się na przykład w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku tuż pod Warszawą. Ogromna większość reaktorów nie stanowi praktycznie żadnego zagrożenia dla ludzi i środowiska naturalnego, o ile warunki ich eksploatacji są normalne. Reaktory znajdujące się w elektrowniach, instytutach badawczych, na statkach, w okrętach podwodnych itp. zaczynają być jednak groźne na styku energii jądrowej z komunizmem lub bałaganem. Nie jest przypadkiem, że w prworządnych krajach nie doszło dotąd do żadnej rzeczywistej katastrofy reaktora. Prasa nadawała wprawdzie wielki rozgłos drobnym wyciekom i niewielkim awariom, ale były to wydarzenia bardziej medialne niż rzeczywiste.

Wbrew powszechnemu wyobrażeniu, reaktor atomowy jest urządzeniem bardzo prostym i naprawdę trzeba bardzo się starać, by coś w nim zepsuć, a do tego, by doszło do katastrofy, nie wystarczy jeden błąd, czy nawet kilka usterek. Do tego potrzebna jest cała lawina błędów, zaniedbań i lekceważenia ludzkiego życia, czyli właśnie komunizm lub kompletny chaos. To nie przypadek, że do poważnych wypadków z udziałem reaktorów doszło do niedawna wyłącznie w ZSRR i Rosji. Piszę „do niedawna”, bo później wydarzyła się katastrofa

w Fukushima, w Japonii, ale tam przyczyną było gigantyczne trzęsienie ziemi i równie gigantyczna fala tsunami. Trudno to uznać za „awarię” reaktora. Było to raczej zniszczenie elektrowni atomowej przez kaskadizm przyrody.

Z reaktora może nastąpić wyciek radioaktywnych substancji, może też nastąpić pożar, w czasie którego wydostanie się radioaktywny dym. Reaktor nie jest jednak bombą, ma zupełnie inną budowę, i nie może eksplodować tak, jak bomba. Właśnie dzięki temu hitlerowcom nie udało się zbudować bomby atomowej. Mieli oni błędną koncepcję zrzucania reaktora i doprowadzania do jego eksplozji, a to właśnie okazało się niemożliwe. Mimo wysiłków niemieckich fizyków, reaktor w żaden sposób nie chciał wybuchnąć. Wbrew temu, co głoszą ekolodzy, bać się trzeba bomb, a nie reaktorów, chyba, że znajdą się one na styku ze schizofreniczną polityką, ale na tym styku niebezpieczne jest niemal wszystko.

Do pierwszej wielkiej katastrofy jądrowej doszło w latach siedemdziesiątych w zakładach produkujących paliwo jądrowe w Czeliabinsku na Uralu. Nastąpiło wielkie skażenie terenu i zginęło wielu ludzi, ale blokada informacyjna była tak szczelna, że przez 20 lat nikt z zewnątrz o tym nie wiedział, a i do dziś niezbyt dokładnie wiadomo, co właściwie się stało.

Najbardziej spektakularną katastrofą był pożar reaktora elektrowni w Czarnobylu w 1986 roku. Był on wynikiem nie tylko serii zaniedbań, ale i całkowitego zlekceważenia sygnałów o zagrożeniu wypadkiem przez władze ZSRR.

Bezpośrednio w czasie akcji gaszenia zginęło 35 osób. Później z powodu napromieniowania zmarło ok. 4 tysięcy osób, a ponad 70 tysięcy doznało trwałego uszczerbku na zdrowiu. Na Ukrainie uznano 3,5 miliona osób, za poszkodowane na skutek katastrofy, z których 1,5 miliona wymaga leczenia. Według Ministerstwa Zdrowia Ukrainy, w latach 1981-85 w Kijowie nie było ani jednego przypadku raka tarczycy wśród dzieci. Od katastrofy w Czarnobylu zanotowano ich już 1400. Trzeba jednak zaznaczyć, że część badaczy kwestionuje te liczby, twierdząc, że Ukraina zawyża liczbę ofiar, by wyłudzić pomoc. Eksperci twierdzą, że wcześniejszych przypadków raka tarczycy u dzieci nie stwierdzano, bo nie prowadzono badań i statystyk.

Istnieją dokumenty świadczące o tym, że wszystkie służby ZSRR były przekonane o groźącym gigantycznym skażeniu i że nic nie zrobiły, by chronić ludzi. Mało tego, z powodów politycznych ludzi świadomie narażano.

21 lutego 1979 roku, na siedem lat przed awarią, ówczesny szef KGB, Jurij Andropow, powiadomił na piśmie najwyższe władze ZSRR,



że w Czarnobyliu nagminnie lekceważone są procedury bezpieczeństwa i w związku z tym grozi katastrofa reaktora. Władze nic, w związku z tym, nie zrobiły.

Gdy doszło już do katastrofy, przez kilka dni ukrywano ją przed światem, bezczelnie kłamiąc, że nic się nie stało. Nie odwołano etapu kolarskiego Wyścigu Pokoju rozgrywanego w Kijowie a nawet amatorskiego meczu piłkarskiego na boisku mieszczącym się niecały kilometr od płonącego reaktora. Później okłamywano świat i własne społeczeństwo na temat wielkości skażenia.

Nie podjęto od razu akcji ratunkowej, tylko zwlekano z nią kilka dni pozwalając, by wiatry roznosiły radioaktywny dym i pyły na ogromnej przestrzeni. Gdyby do gaszenia reaktora przystąpiono natychmiast, skażenie byłoby znacznie mniejsze. Wszystkie służby, które powinny być kompetentne, nie zostały wcale przygotowane na taką sytuację i zupełnie nie wiedziały, co mają robić, choć z pisma Andropowa wynika, że o grożącej katastrofie wiedziano już siedem lat wcześniej.

Opowiada Swietłana z Ukrainy: „Miałam narzeczonego, który służył w wojsku w Semipałatyńsku. Stał na warcie za betonową osłoną pilnując rakiet z głowicami jądrowymi. Gdy zaczął się pożar w Czarnobyliu, wezwano go ponownie do wojska i skierowano do gaszenia reaktora. Spytał: »Dlaczego ja?«. Usłyszał: »Bo mamy w kartotece, że jesteście już napromieniowani«. Zасыpywał łopatą płonący reaktor. Dostał tylko maskę przeciwgazową i wódkę, jako jedyne zabezpieczenie. Zmarł po tygodniu.”

Opowiada Sierhiej z Białorusi. „W tamtym czasie byłem w wojsku. Nasi dowódcy nic nie wiedzieli, co właściwie się dzieje. Ogłoszono alarm i wydano nam ostrą amunicję. Powiedziano, że w Homlu wybuchły rozruchy i ludność rabuje sklepy. Staliśmy dwa dni w lesie pod Homlem i wróciliśmy do swojej jednostki dalej nic nie wiedząc, o co chodzi.”

W skażonej „zonie” znajdowało się szereg towarów i obiektów, które władza za wszelką cenę chciała odzyskać. Była na przykład farma świńska. Wszyscy byli przekonani, że mięso tych świń nie nadaje się do spożycia z powodu pochłoniętej dawki promieniowania. Ale jak tu odpuścić tyle świń? Wymyślono więc metodę. Świnie dwa razy w tygodniu zmywano natryskami i tuczono dalej. W ten sposób były już „odkężone”. Samochód, który zabierał je do rzeźni przejechał po gazonym wapnie i był już „odkężony”.

Ludność wysiedlona z „zony” dostała mieszkania w miastach, głównie w Mińsku na Białorusi oraz w miasteczku Sławutyecz na Ukrainie. Większość tych ludzi zaczęła jednak te mieszkania wynajmować i wróciła do swoich domów w „zonie”. Na skażonych terenach

powszechnie zbiera się jagody i grzyby. Sprzedaje się je nawet w Polsce. Promieniowania nie widać, a w białoruskiej biedzie trzeba jakoś żyć. Gdy spytałem na Ukrainie starszą kobietę, czy grzyby, które sprzedaje w pobliżu „zony” są bezpieczne, odparła: – „Oczywiście – sama zbierałam”.

„Zona” to cały osobny temat przypominający atmosferę opowiadań Strugackich „Piknik na skraju drogi”. „Zona”, podobnie jak inne silnie skażone miejsca na ziemi, ma swoich „stalkerów”, czyli ludzi żyjących z rozkradania pozostawionych w niej urządzeń, ale i stała się dla wielu ludzi azylem bez władzy. W „zonie” nie ma administracji, więc ściągają do niej ukrywający się przestępcy, anarchiści, artyści i pięknoduchy różnej maści. Według oszacowań ukraińskich w „zonie” mieszka około 100 tysięcy ludzi. Promieniowania przecież nie widać.

Promieniowanie jednak jest. Jest mniejsze niż po wybuchach bomb atomowych, ale to nie znaczy, że nie jest groźne. Jest za małe, by zabijać od razu, ale przez to podstępne. Człowiek przybywa do „zony” i żyje, dobrze się czuje, choroba przyjdzie po latach. Tymczasem nawet wśród roślin widać już zmiany genetyczne. W „zonie” rośnie „żółty las”.

– Ten las tak na prawdę nie jest „żółty”, tylko zielony – mówi Sierhiej – ale od razu widać, że ta zieleń jest inna. Rośliny są jakieś inne. Nawet pod samym Mińskiem można zobaczyć takie rzeczy, że rośnie liść, a z niego wyrasta drugi liść.

Wsie w „zonie” odwiedził prezydent Łukaszenka. Chwalił mieszkańców i przekonywał, że można tu żyć bezpiecznie. Jednak, gdy poczęstowano go mlekiem z „zony”, nie chciał wypić.

Podobne zjawiska obserwuje się we wszystkich skażonych strefach na ziemi. W sztucznym zbiorniku w pobliżu Semipałatyńska pojawiły się ryby bez oczu, żółwie morskie na atolu Bikini straciły orientację w kierunkach, ujugurscy wieśniacy z okolic jeziora Lop Nor opowiadają o krokodylach z dwoma parami oczu i rakach ze szczypcami długimi na metr. „Zona” wokół Czarnobyla jest z tych wszystkich miejsc strefą akurat najmniej skażoną i, o ironio, jedyną, w której zabroniono ludziom mieszkać.

### **Beztroska, bałagan i groza**

W 1996 roku generał Lebidź, mocno kontrowersyjna postać rosyjskiej polityki, ogłosił, że z magazynów wojskowych zginęło ponad sto atomowych „bomb walizkowych” służących do dokonywania podstępnych zamachów na terytorium wroga. Nie wiem, czy „bomby walizkowe” w ogóle istnieją, czy też są produktem wyobraźni generała Lebidzia. Nawet mała bomba atomowa waży kilkaset kilogramów, więc

musiałyby być raczej „wózkowa” niż „walizkowa”, ale incydent ten ujawnił nowe zagrożenie.

Rozpad Związku Radzieckiego i powstały przy tej okazji chaos, spowodowały wiele przypadków rozkradania materiałów rozszczepialnych i nawet cały proceder przemytu tych materiałów, w tym przemytu do państw marzących o broni atomowej i bardzo lubiących terroryzm.

Prasa zachodnia wielokrotnie już ostrzegła, że instrukcja budowy bomby atomowej jest powszechnie dostępna i znaleźć ją można nawet w Internecie. Dla konstruktorów amatorów i terrorystów istniała jednak poważna bariera. Trzeba było w tym celu zgromadzić dużą ilość uranu lub plutonu, a to w normalnych warunkach nie jest takie proste.

Okazuje się jednak, że w byłym ZSRR niemal wszystko i niemal wszędzie można ukraść. Przy okazji katastrofy okrętu podwodnego Kursk wyszło na jaw, że najbardziej tajny okręt atomowy przenoszący rakiety z głowicami jądrowymi, wyszedł w morze bez zapasowych akumulatorów, bo w najbardziej tajnej bazie floty rosyjskiej rozkradziono akumulatory z najbardziej tajnego okrętu.

Wypada postawić sobie kilka pytań. Co rozkradziono z silosów rakiet balistycznych z głowicami jądrowymi, skoro można było ukraść akumulatory z Kurska? Czy tylko miedziane kable do odpalania tych rakiet, czy też może zabezpieczenia przed ich przypadkowym odpaleniem? A może ktoś ukradnie głowicę jądrową?

Przy okazji katastrofy Kurska okazało się też, że władze Rosji nadal kłamią w najlepszym radzieckim stylu. Podano komunikat, że nawiązano z załogą Kurska kontakt radiowy, że reaktor jest wyłączony i zabezpieczony. Później okazało się, że najprawdopodobniej cała załoga zginęła w ciągu sekund i żadnej łączności z nią nie było. Redagujący ten komunikat nawet nie wiedzieli, że na Kursku są dwa reaktory a nie jeden. Co więcej Kursk nie był pierwszym radziecko-rosyjskim okrętem atomowym spoczywającym razem ze swym reaktorem na dnie morza (ale jedynym, który wydobyto). Od lat na dnie u wybrzeży Norwegii spoczywa Czerwony Konsomolec ze swoimi reaktorami i raketami, a u wybrzeży wysp Kurylskich spoczywa na dnie od lat 60-tych atomowa łódź podwodna K-129. Wiadomo też, że w północnych portach stoi wiele rdzewiejących atomowych okrętów podwodnych niezdatnych do użytku i częściowo już pozatapianych. Wiadomo, że wyciekają z nich do morza substancje radioaktywne i w Rosji nikt się tym specjalnie nie przejmuje.

Stan zaniedbania rosyjskich wojsk raketowych i marynarki wojennej najlepiej obrazują manewry na Morzu Barentsa, w których brał udział prezydent Putin. Miał to być pokaz sprawności i odstraszania.

Tymczasem z trzech zaplanowanych do wystrzelenia rakiet zdolnych do przenoszenia głowic jądrowych, pierwsza wybuchła w powietrzu nad okrętem, druga spadła 100 metrów od niego do morza a trzecia w ogóle odmówiła startu. Parę lat wcześniej rosyjski krążownik, „Admirał Łazariew”, tak skutecznie sam się trafił własną rakieta, że nigdy już więcej nie wyszedł w morze. Później wyszło na jaw, że inny krążownik, „Piotr Wielki”, jest w takim stanie technicznym, iż podobno „reaktor może mu wypaść przez dno”. To ostatnie stwierdzenie jest chyba przesadą, ale dobrze na pewno nie jest.

Katastrofa Czarnobyla pokazała, że w elektrowniach atomowych ZSRR nie było żadnych przygotowanych na katastrofę służb ratowniczych i żadnych opracowanych procedur. Jak znam Rosję i inne kraje WNP, mogą się założyć, że nie ma ich nadal. Kursk wyszedł w morze pomimo braku jakiegokolwiek sprzętu ratunkowego i wyszkolonych ekip ratunkowych. Ta sama radziecka logika: „ludziej u nas mnogo”. Czego się zresztą spodziewać po kraju, który zrzucał bomby atomowe na własnych obywateli?

Trzeba jeszcze wspomnieć, że nie tylko radzieckie atomowe okręty podwodne tonęły. Amerykanie stracili w ten sposób w 1963 roku okręt podwodny Thresher, a następnie, w 1968 roku, okręt podwodny Skorpion.

Trzeba jeszcze wspomnieć, iż Amerykanie próbowali potajemnie wydobyć zatopiony sowiecki okręt K-129. Zbudowali nawet w tym celu specjalny statek dźwig. Jednakże podczas podnoszenia okręt K-129 złamał się na pół i opadał na dno Pacyfiku. Właściwie nie wiadomo, co się dzieje z jego reaktorem.

### **Nasi nie lepsi**

Przypomnijmy jeszcze jak zachowały się polskie władze komunistyczne wobec katastrofy w Czarnobylu.

Pożar wybuchł o 1.26 w nocy z soboty na niedzielę 26 kwietnia 1986 roku. W poniedziałek rano, 28 kwietnia, stacja radiacyjna w Miłokajkach poinformowała Centralne Laboratorium Ochrony Radiologicznej o gwałtownym wzroście promieniowania. Naukowcy zastanawiali się, co się stało i co robić. We wtorek nad ranem prof. Zbigniew Jaworowski z Centralnego Laboratorium Ochrony Radiologicznej został wezwany do KC. Dwie doby po katastrofie.

Opowiada prof. Jaworowski: „Przedstawiłem tam możliwe scenariusze rozwoju skażeń. Wszystkie niepewne (ZSRR ciągle zaprzeczał, że coś się stało). Zaproponowałem działania ochronne:

\* jednorazowe podanie jodu dzieciom we wschodniej połowie kraju [...]

\* zamknięcie szkół

\* odwołanie pochodzącego z pierwszomajowego.

Dwa ostatnie postulaty z miejsca odrzucono.

[...] Powiedziałem, że musimy podawać do publicznej wiadomości wszystkie informacje o skażeniach. To spotkało się ze zdecydowanym oporem. Najmocniej oponował ówczesny rzecznik prasowy – Jerzy Urban. Wtedy użyłem argumentu: Nie możemy nic ukrywać, bo stracimy wiarygodność wśród importerów naszej żywności. Stracimy setki milionów dolarów. To poskutkowało.”

Dzięki podstępowi prof. Jaworowskiego, Polska jako pierwszy kraj komunistyczny podjęła akcję zapobiegawczą i ogłosiła fakt skażenia dwa i pół doby od katastrofy. Pochód pierwszomajowy jednak się odbył. Promieniowanie promieniowaniem, a ideologia ideologią.

### **Czy strach się bać?**

I tak i nie. Nie należy bać się elektrowni jądrowych. Są one nieuchronnym następstwem rozwoju technologii. Odkąd człowiek po raz pierwszy wziął do ręki kamień, jako narzędzie, zaczął obcować z siłami większymi, niż siły jego mięśni. Przez całą historię cywilizacji i techniki igraliśmy z coraz większymi siłami i od tego nie uciekniemy. Strach przed tymi siłami był zawsze, ale z drugiej strony nie możemy się już bez nich obejść. Oczywiście zawsze może nastąpić taka katastrofa naturalna jak w Fukushima (trzęsienie ziemi o sile 9 stopni w skali Richtera), ale naprawdę groźnie jest co innego: głupota. W Fukushima było sporo ofiar trzęsienia ziemi i tsunami, ale trudno udowodnić, by ktokolwiek zginął z powodu zniszczenia reaktora. Ocalałych po tsunami natychmiast ewakuowano poza strefę skażenia i natychmiast zaczęto akcję ratunkową. Gdyby tak samo postąpiono w Czarnobylu, na pewno nie było by tylu ofiar. Gdyby nie kompletne lekceważenie zasad bezpieczeństwa i gdyby nie komunistyczny bajzel, pewnie w ogóle ni byłoby tej katastrofy.

Bać się trzeba ogromnych arsenałów bomb i szaleńców u władzy, takich jak wodzowie Północnej Korei i nie tylko oni. Dokąd istnieją gigantyczne arsenały jądrowe oraz rządzący szaleńcy, niczego nie można wykluczyć.

W opracowaniu pominąłem opis awarii w Fukushima oraz irański plan budowy bomby atomowej (na szczęście chyba już wstrzymany). To są już jakby elementy innej bajki.



# Ludzie ginęli na Tiananmen 1979

4 czerwca 1989 roku Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza dokonała masakry mieszkańców Pekinu znanej pod symboliczną nazwą „wydarzeń na Tiananmen”, choć ludzie ginęli także w innych częściach miasta i w innych miastach. W miarę upływu czasu przebieg tych wydarzeń jest coraz bardziej zakłamywany i przeinaczany. Poniższy tekst składa się z dwóch części: dyskusji z tezą, iż na samym placu Tiananmen nikt nie zginął, oraz z rekonstrukcji przebiegu wydarzeń, godzina po godzinie, w nocy z 3 na 4 czerwca 1989 roku.

Ze zdumieniem stwierdzam, że 27 lat po tragedii ludności Pekinu, powtarza się ciągle w mediach kłamliwą i dawno już obaloną wersję, wedle której w obrębie samego placu Tiananmen nikt nie zginął. Wersja ta jest produktem dziwnej relacji Liu Xiaobo skwapliwie rozpowszechnianej przez służby ChRL. Wersja ta, występująca w relacjach innych osób, jest po prostu powtórzeniem relacji Liu Xiaobo, w którą uwierzyli, a nie ich samodzielnym dziełem lub obserwacją. W rzeczywistości jest ot ciągle relacja jednej osoby, tylko kilka razy powtórzona. Jest to wersja z całą pewnością nieprawdziwa.

Aby nie być gołosłownym, powiem najpierw, na czym opieram swój pogląd:

- byłem świadkiem części wydarzeń w Pekinie w 1989 roku;
- dotarłem do ok. 70 Polaków przebywających wówczas w Pekinie lub do ich relacji (w Pekinie było wówczas co najmniej kilkuset obywateli polskich);

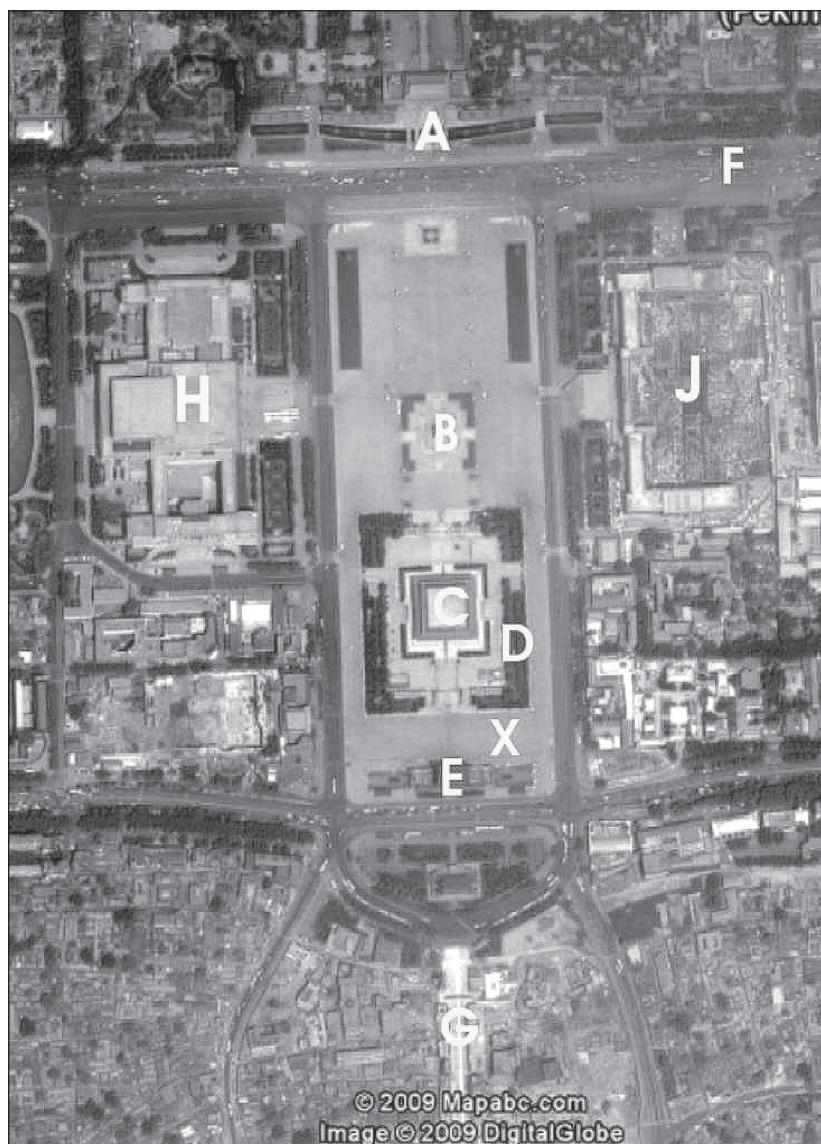
- prowadziłem przez kilkanaście lat systematyczne badanie wszelkich dostępnych źródeł na temat tego wydarzenia (samo moje archiwum wycinków prasowych zajmuje szafę);
- dotarłem do relacji zagranicznych dziennikarzy obecnych niemal do końca w obrębie placu Tiananmen (m.in. Lousie Branson z „Sunday Times”, Joanne Moore z „China Daily”, Barra Seitz z telewizji ABC, Melindy Liu z „Newsweeka”, Dana RATHERA z telewizji CBS) oraz do relacji samych czołowych uczestników tych wydarzeń (Wuer Kaixi, Wang Dan, Chai Ling, Liu Xiaobo, Hou Dejman);
- zapoznałem się z setkami zdjęć, filmów i nagrań dźwiękowych wykonanych na samym placu Tiananmen. Znaczna część tych dokumentów nie pozostawia cienia wątpliwości, gdzie i kiedy zostały wykonane (znaczna część tych materiałów jest dostępna w Internecie);
- zapoznałem się z udostępnionymi materiałami CIA (część nadal pozostaje tajna);
- sam dotarłem do świadków, którzy nie chcą ujawnić swej tożsamości z obawy o bezpieczeństwo. Są wśród nich przebywający obecnie na emigracji żołnierze 27 Armii.

### **Co do faktów:**

Część przywódców studenckiego buntu potwierdza wersję Liu Xiaobo (czytaj: Liu Śiao Po) o wyjściu wszystkich studentów z placu przed atakiem wojska, ale tu pojawia się szereg nieścisłości. Wiadomo na przykład, że niektórzy z nich, jak Wang Dan, opuścili plac wcześniej i nie byli świadkami tego wydarzenia. Liu Xiaobo twierdzi, że negocjował z wojskiem przerwanie ognia w pobliżu schodów budynku Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych razem z Hou Dejmanem. Hou Dejman relacjonuje zupełnie co innego – negocjował sam, bez Liu Xiaobo, w pobliżu bramy Tiananmen (czyli zupełnie gdzie indziej) i to potwierdzają inni świadkowie, także ze strony wojska. Podkreślam, że negocjowano przerwanie ognia, a więc nie jest prawdą, iż na placu Tiananmen w ogóle nie strzelano. Trzeba też podkreślić rozbieżności w relacjach innych przywódców studenckiego ruchu (np. raz szli oni na czele pochodu, a raz na końcu, raz sami widzieli, raz słyszeli od innych).

Należy też wziąć pod uwagę fakt, że wersja o tym, że na placu już nikt nie został, jest dla tych ludzi szalenie wygodna psychologicznie i być może sami oni chcą w to wierzyć. Oto bowiem, zamiast przywódców, którzy wyszli pozostawiając kolegów na rzeź, są wówczas bohaterami, którzy wszystkich uratowali.





Otoczenie Placu Tianamen na zdjęciu satelitarnym (Google Earth). A – Brama Tiananmen, B – Pomnik Bohaterów Rewolucji, C – Mauzoleum Mao Zedonga, D – podwójny szpaler drzew wokół mauzoleum, E – Brama Qianmen, F – Aleja Changan, G – ulica Qianmen, H – budynek Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych, J – Muzeum Historyczne, X – miejsce, z którego Liu Xiaobo miał ponoć widzieć, że na placu nikogo już nie ma. Jak widać, bez przenikania przez ściany, jest to niemożliwe

Obecnie wśród chińskich uczestników tamtych wydarzeń panuje atmosfera podobna do tej, co wśród dawnej polskiej opozycji. Ludzie są skłóceni. Oskarżają się nawzajem, lub tworzą legendy. W relacji jednego z chińskich świadków natknąłem się opowieść, o tym, że dzwonił on z placu Tiananmen przez telefon komórkowy (w 1989 roku!). W Pekinie nie było wówczas ani jednej sieci telefonii komórkowej. Wiele sprzeczności może być wynikiem konfabulacji. Konfabulacja to nie kłamstwo, lecz uzupełnianie luk w pamięci wyobraźnią i wiedzą zdobytą później. Człowiek, który konfabuluje jest przekonany, że mówi prawdę. Dlatego bardzo ryzykowne jest opieranie się na relacjach jednej lub tylko kilku osób.

Należy też pamiętać, że w sytuacji takiego dramatu i takiego zamieszania powstaje mnóstwo plotek, mitów, fantasmagorii, w które wielu ludzi chętnie wierzy i rozpowszechnia, zaś rzetelne badanie historyczne tego wydarzenia jest z powodów oczywistych szalenie utrudnione do dziś.



Fragment centrum Pekinu z satelity (Google Earth). A – plac Tiananmen, B – Hotel Beijing, C – Muzeum Historyczne, D – wysokie budynki przy alei Changan. Jest oczywiste, że z Hotelu Beijing nie widać palcu Tiananmen

Istnieją jednak dowody, fakty obiektywne, jak topografia otoczenia, nagrania obrazu i dźwięku. i dokumenty (choć tych ostatnich jest bardzo mało). Można też ustalić dość łatwo czas wykonania zdjęć, bo był to świt, okolice 4 rano w czerwcu. Moment wykonania zdjęcia można ustalić po tym, na ile jest jasno lub ciemno (wschód słońca 4 czerwca to godzina 4.20; jasno zaczyna się robić stopniowo od 3.50). Z tych obiektywnych źródeł coś jednak wiemy.

Nie jest możliwe, by ludzie idący na końcu pochodu studentów widzieli, że na palcu nikogo już nie ma. Cały niemal plac Tiananmen zastawiony był budami, namiotami i szałasami, w których studenci koczowali przez 1,5 miesiąca. Plac jest ogromny, ma ok. 600 na 1000 metrów. W dodatku stoją na nim budynki: ogromny Pomnik Bohaterów Rewolucji, Mauzoleum Mao Zedonga, Brama Quanmen. Ogarnięcie tego wszystkiego wzrokiem, w dodatku w okolicznościach niebываłego zamieszania, w półmroku, wśród dymów (część szałasów płonęła), jest absolutnie niewykonalne i to z żadnego miejsca, a już na pewno z pobliza wylotu ulicy Quanmen, skąd rzekomo relacjonujący widzieli, że nikt nie został. Nie trzeba być wielkim detektywem, wystarczy choć trochę znać Pekin, by wiedzieć, że z tego miejsca niewiele można zobaczyć. Relacje o tym, że nikogo na placu już nie było, należy więc uznać raczej za pobożne życzenie, konfabulację – samousprawiedliwienie, niż za fakt.

Według zgodnej relacji wielu świadków, już po wyjściu z placu pochodu studentów, wybuchła tam wyjątkowo gwałtowna strzelanina. Propaganda ChRL twierdziła, że wojsko strzelało do megafonów. Abstrahując od absurdalności tej bujdy (nikt nie strzela do nieczynnych megafonów), przeczą temu obiektywnie stwierdzalne fakty. Według nagrania dźwiękowego kanonada zlewająca się w nieprzerwany jeden wielki huk trwała aż 18 minut (było to między godz. 5.00 a 5.30). Załóżmy, że strzelało tylko 10 żołnierzy (na pewno więcej niż 10). Znając szybkostrzelność karabinka KbKAK (kałasza), łatwo obliczyć, że wystrzelono ok. 54 tysięcy sztuk amunicji (!!!). Do megafonów? Znacznie bardziej prawdopodobne jest, że strzelało bardzo wielu żołnierzy do bardzo wielu celów. Jeśli rzekomo na palcu nikogo nie było, to po co oni strzelali, i do czego?

Wielu świadków relacjonuje, że z palcu Tiananmen wywożono zwłoki w sieciach podczepionych pod helikoptery. Nie sądzę, by niezależni od siebie ludzie zmyślali, że widzieli takie helikoptery nad miastem, zwłaszcza, że ich relacje są zadziwiająco zgodne. Wiadomo też, że przez wiele godzin 4 i 5 czerwca płonęły wielkie stopy, choć nie można wykluczyć, że palono w nich głównie resztki namiotów i szałasów.

Nie jest na pewno prawdą, że na placu nie było wcale ofiar, bo strzelano tam już o wiele wcześniej, niż pochód studentów z niego wyszedł. Wiarygodne relacje o strzelaniu w obrębie samego placu (relacje poważnych dziennikarzy Barra Steitza i Melindy Liu nagrywane na gorąco na dyktafony) mówią o tym, że ogień do demonstrantów otwierano już z przerwami od godziny 1.30 rano 4 czerwca, zaś studenci opuścili plac między 4.30 a 5 rano, czyli dobre trzy godziny później. Istnieją setki zdjęć ludzi zabitych na placu, jeszcze gdy było ciemno,

czyli przed 4 rano. Jest też powszechnie znanym faktem, że wzniesiona przez studentów gipsowa replika Statuy Wolności została rozbita pociskiem z działa czołgowego.

Znany jest też ujawniony już dokument CIA sporządzony 5 czerwca 89 r. w Pekinie: „[...] żołnierze strzelali do wszystkiego w zasięgu wzroku; ścigali ludzi aż do bocznych uliczek, żeby ich zabić. [...] napadali na szpitale i odłączali rannych od urządzeń medycznych. [...] było to] starannie zaplanowane działanie mające na celu zlikwidowanie możliwie jak największej liczby naocznych świadków. Polecenie władz, by uniemożliwić ucieczkę naocznym świadkom, wypełniono też na placu Tiananmen. Plac został szczelnie otoczony przez pojazdy wojskowe i żołnierzy, zanim rozpoczęła się rzeź. Chociaż relacje chińskiego rządu oraz nielicznych naocznych świadków wspominają o wynegocjowaniu odejścia studentów z placu, część studentów tam pozostała. [...] wszyscy potencjalni naoczni świadkowie prawdopodobnie zginęli.”

Przez krótki czas, w 1993 roku, był jawny raport CIA, który później szybko utajniono, zawierający analizę zdjęć satelitarnych. Mówił on o „1750 ciałach leżących na ziemi” w obrębie placu Tiananmen (nie wiadomo, zabitych, czy rannych) ok. godziny 5.45 czasu pekińskiego.

W 1996 roku jeden z profesorów Uniwersytetu Pekńskiego wygłosił zadziwiające oświadczenie: „Działając za zgodą najwyższych władz partii i państwa podaję po raz pierwszy pełną liczbę ofiar kontrrewolucyjnych wystąpień na placu Tiananmen w Pekinie. W ramach samego placu zginęło 931 osób, zaś 25 tysięcy zostało rannych. 540 osób rozstrzelano natychmiast po aresztowaniu”. To zadziwiające oświadczenie zostało niemal niezauważone przez prasę światową (choć powtórzyły je liczne agencje prasowe, jak Reuters, AFP, AS i inne). W Polsce poinformował o nim tylko tygodnik „Wprost”. Zastanawiające jest to, że podane liczby ( $931+540=1371$ ) są zbliżone do liczby ciał naliczonych przez CIA z satelity (1750). Ja bym tej zbieżności nie ignorował.

Ujawnione już dokumenty podają skutki tej mniejszej, wcześniejszej kanonady – w 37 pekińskich szpitalach „do południa (4 czerwca) doliczono się 6,5 tysiąca rannych i 4 tysiące zabitych”. Liczby te pochodzą z chińskich źródeł medycznych, które początkowo dość rzetelnie informowały, do momentu zablokowania informacji przez służby bezpieczeństwa. Jeżeli ludzie ginęli na placu później (po 4.30, 4 czerwca), to ich ciała nie trafiły do szpitali, lecz tam zostały.

Zwolennicy tezy, że na samym palcu nikt nie zginął, przytaczają jeszcze jeden argument: rano, z okien hotelu Beijing (czytaj Pejczink, czyli Pekin) „nie było widać żadnych ciał” na Placu Tiananmen. Nie było widać z prostego powodu. Z okien tego hotelu nie widać placu

(zasłania go budynek Muzeum Historycznego i inne budynki) a widać tylko część alei Changan przyległą do placu. Ta część była opanowana przez wojsko wcześniej. Zwolennicy tego argumentu chyba nie znają topografii Pekinu. Hotel Beijing znajduje się na tyle daleko o placu Tiananmen (ponad 2 kilometry), że nawet gdyby nic nie zasłaniało, to i tak nic by widać nie było. W dodatku miasto spowite było dymem. Płonęły barykady, autobusy, pojazdy 27 armii podpalone przez demonstrantów...



*Północno zachodni kraniec placu Tiananmen, godzina tuż przed 5 rano, 4 czerwca 1989. W tle brama Zhongnanhai. Według teorii o wyjściu wszystkich studentów, nie powinno tu być już nikogo. Jak widać, ludzie są ciągle na placu Tiananmen*



Ludzie uciekający z placu Tiananmen pod ostrzałem w rejonie wylotu ulicy Quanmen. Godzina 4 rano, 4 czerwca 1989. Jak widać, ktoś tu jednak strzelał przed wyjściem pochodu studentów

Na koniec chcę się jeszcze odnieść do podawanych w mediach i raportach (np. AI) liczb ofiar tego wydarzenia. Podane w mojej książce liczby 7 tys. zabitych i 25 tys. rannych wynikają z następujących przesłanek:

- znanej częściowej liczby ofiar z 37 pekińskich szpitali i jej interpolacji na pełną liczbę szpitali (51), które przyjmowały rannych i ciała zabitych;
- znanej z medycyny wojskowej proporcji liczby zabitych do liczby rannych w wyniku strzelania do ludzi z broni palnej;
- porównania czasu trwania walk, liczby żołnierzy i liczby ofiar w innych podobnych wydarzeniach w innych krajach;
- cytowanej już tajemniczej wypowiedzi na Uniwersytecie Pekińskim;
- informacjach ze źródeł CIA.

W każdym razie są to jedyne liczby ofiar oparte na jakimś wyliczeniu, rozumowaniu, na jakiś danych wyjściowych. Staralem się dojść, z czego wynika liczba 1 tysiąca ofiar podawana w raportach Amnesty International... i doszedłem – z niczego nie wynika. Po prostu raz tak napisano, bo tak się komuś wydawało, a później liczba ta jest bezmyślnie powtarzana.

Nie twierdzą, że podawane przeze mnie liczby są z całą pewnością prawdziwe, ale są to jedyne liczby wyliczone przy pomocy metod matematycznych, a nie „sufitologii”.

Mam jeszcze uwagi co do czasu tego wydarzenia i czasu obchodzenia jego rocznicy. Pierwsze strzały na ulicach Pekinu padły o godzinie 23.30, 3 czerwca. Jest to godzina 13.30 czasu Warszawskiego dnia 3 czerwca. Wojsko ostatecznie wtargnęło na plac Tiananmen ok. godziny 5 rano 4 czerwca, czyli o godzinie 19 czasu Warszawskiego, ciągle 3, a nie 4 czerwca. Według naszego czasu, największa tragedia rozegrała się po południu 3 czerwca, a więc nie w dniu polskich wyborów, lecz dzień wcześniej. Trzeba jednak dodać, że sporadyczne walki trwały jeszcze w Pekinie do 7 czerwca, czyli w sumie 5 dni.

I jeszcze o postaci wspomnianego już Liu Xiaobo. Nawet jeśli nieco on nabujał, chcąc dodać sobie zasług, i tym bardzo zaszkodził prawdzie historycznej, nie można na tej podstawie całkowicie go potępiać i przekreślać innych jego zasług. Sam przez wiele lat uczestniczyłem w konspiracji antykomunistycznej i wiem, jak potwornym stresem i presjom poddawani są działacze takich formacji. A ludzie są tylko ludźmi. Mają wady, robią błędy, nie zawsze mają rację. Przestrzegam przed kaczystowskim rozumieniem historii, w którym wszystko jest czarno-białe. To jest widzenie charakterystyczne dla ludzi, którzy sami niewiele robili.

W artykule „Niech wojsko oczyści ten plac” (Gazeta Wyborcza, 30-31 maja 2009), prof. Bogdan Góralczyk pisze, iż wojsko otrzymało rozkaz „zakazujący rozlewu krwi na placu Tiananmen”. Jest to wersja kolportowana intensywnie przez propagandę ChRL od wielu lat, także pod postacią specjalnie spreparowanych po fakcie „dokumentów” i relacji etatowych „świadków” podsuwanych politologom i sinołogom. Prawdziwa treść rozkazów przekazanych wojsku brzmiała tak:

„Skutecznie wprowadzić stan wojenny, aby siły zbrojne okryły się chwałą” – minister obrony Qin Jiwei, godzina 23.15, 3 czerwca, 1989. Następnie sztabowcy przekładają to na konkrety. Rozkaz, jaki otrzymują drogą radiową poszczególne kompanie brzmi dosłownie: „strzelajcie tak, aby zabić”. Pierwszy na język praktyki przekłada to dowódca kompanii Tan Yaobang (czytaj: Dan Jaopank) o godzinie 23.30 w alei Fuxing, w dzielnicy Muxudi, wydając komendę: „krótkimi seriami, kierunek na wprost, ognia”.

Aby sprawę zamknąć – wszyscy świadkowie niskiego szczebla ze strony wojska (szeregowcy, dowódcy plutonów i kompani), do których udało się dotąd dotrzeć, zgodnie twierdzą, że rozkaz nie strzelania w obrębie placu Tiananmen do nich nie dotarł i go nie znają. Był natomiast inny rozkaz, wydany 5 czerwca, nie strzelania na odcinku alei

Changan w pobliżu hotelu „Beijing”. Chodziło więc nie o to, by nie zabijać, tylko by zagraniczne media, zakwaterowane głównie w tym hotelu, tego nie widziały.

Znamienne, że dziś z okazji rocznic tych wydarzeń prasa państw demokratycznych pisze tylko o Placu Bramy Niebiańskiego Spokoju (Tiananmen), tak jakby w Szanghaju czy Kantonie nie lała się krew, jakby w Nankinie, Zhanchou i kto wie w ilu jeszcze miastach nie dokonywano taśmowych egzekucji, masowych aresztowań i powszechnie nie stosowano wyszukanych tortur.

Liczba zabitych, podawana przez różne źródła, waha się od kilkudziesięciu do ok. 15.000. Za najbardziej prawdopodobną uważam liczbę ok. 7.000 zabitych i ok. 25.000 rannych (trzeba pamiętać, że większość lżej rannych nie trafiła do szpitali w obawie przed aresztowaniem). Liczby te obejmują tylko zabitych i rannych w dniu 4 czerwca 1989 r. i dniach następnych (walki w Pekinie trwały jeszcze 4 dni). Nie obejmują jednak osób straconych po procesach lub zabitych w aresztach i więzieniach w następnych dniach, miesiącach i latach. Według prof. Fang Lizi – jednego z duchowych przywódców studentów z Tiananmen – w egzekucjach niejawnych, ciągnących się jeszcze długo po wydarzeniach, stracono ok. 20 tysięcy osób oraz oficjalnie 1051 osób w samym tylko 1991 roku. Pełna liczba ofiar masakry i późniejszych egzekucji może wynosić nawet 27 tysięcy osób! Liczby te byłyby znacznie większe, gdyby początkowy atak nastąpił w dzień, a nie w nocy, gdy liczba ludzi przebywających na placu Tiananmen była znacznie mniejsza. W dzień na placu o wymiarach 1000 na 600 metrów i przyległych ulicach przebywał gęsty tłum. Liczba demonstrantów, przeciwko którym użyto dużej liczby pojazdów bojowych (głównie czołgów T-72), mogła w samym blisko 15-milionowym Pekinie przekraczać 500 tysięcy. W całych Chinach w otwartych starciach z wojskiem i milicją wzięło udział ok. 2 milionów ludzi. W Pekinie „wymiana ognia” (dość jednostronna) z broni maszynowej trwała ok. 14 godzin, a przez następne 3 dni dochodziło jeszcze do mniejszych starć.

Zebrania dokładniejszych danych nie ułatwili niestety (z pewnymi wyjątkami) zagraniczni dziennikarze, którzy zamieszkali w Hotelu „Beijing”, a więc w ostatnim miejscu w Chinach, w którym można się czegoś o tym kraju dowiedzieć (za to jest się pod ścisłym nadzorem tamtejszej SB). Dlatego też większość stacji telewizyjnych pokazywała głównie chowających się przed obstrzałem hotelowych waluciarzy (współpracujących ze służbami bezpieczeństwa). Gdyby sławny incydent zatrzymania kolumny czołgów przez samotnego starszego mężczyznę nie zdarzył się na bulwarze Changan niemal na wprost Hotelu „Beijing”, to zapewne nikt by się o nim nie dowiedział. Człowiek



ten prawdopodobnie został aresztowany za to, że nie zszedł z jezdni („za zakłócenie ruchu drogowego”) i skazany na karę śmierci, którą wykonano (tak przynajmniej twierdziła w pewnym momencie pekińska telewizja). Na szczęście w Pekinie przebywała znaczna liczba polskich „przewalaczy” (osób prowadzących półlegalny handel zagraniczny), od których zdołałem się dowiedzieć znacznie więcej niż od korespondentów, mimo że większość z nich interesowała się bardziej zakupem bawełny i owerloków niż tym, co się działo.

Wszyscy moi rozmówcy mówili o nieprawdopodobnej brutalności sił represyjnych. Wielokrotnie strzelano z broni maszynowej i dział czołgowych wprost w tłum bez żadnego wyraźnego powodu. Strzelano do uciekających i nie broniących się. Zatrzymanych bito wyjątkowo brutalnie (nie tylko pałki, także kolby karabinów, kopanie w brzuch, krocze i twarz). Telewizja pokazywała sceny sądów. Podsądni prowadzeni z wykręconymi do tyłu rękami, z przygiętym karkiem. Liczne wyroki śmierci. Liczne wyroki po kilkanaście lat więzienia. Komunistyczna władza prezentowała całą swą brutalność jawnie, bez żenady, pokazowo.

Fang Lizi tak wspomina atak wojska na plac Tiananmen: „Największej rzezi dokonano przy pomniku Bohaterów Rewolucji. Ci, którzy byli lekko ranni lub ocaleli, chronili się za jego cokół. Żołnierze rzucali się za nimi, dźgając ich bagnetami, dobijając rannych i strzelając w tył głowy. Czołgi przejechały po ludziach, którzy schronili się w namiotach i szałasach. Zgnieciono ich na miazgę, którą potem trudno było żołnierzom zeskrobać z betonu”.

Według relacji innego świadka „złapanych demonstrantów żołnierze bili kolbami, żelaznymi prętami, kopali i dźgali bagnetami. Zmasakrowanych i okrwawionych wrzucali na ciężarówki. W przepelnionych aresztach bici, straszliwie stłoczeni, bez żadnej pomocy medycznej czekali kilka dni na sąd. Wielu umierało z ran. Przed sąd prowadzono ich z wykręconymi do tyłu rękami i zgiętym karkiem. W takiej upokarzającej pozycji wysłuchiwali wyroku. Najczęściej była to kara śmierci. Sceny sądów i egzekucji transmitowała telewizja.”

Według moich szacunków w całym kraju aresztowano kilkadziesiąt tysięcy osób, z których ok. 6.000 przez lata przebywało w więzieniach i obozach pracy, nie gorszych od stalinowskich czy hitlerowskich, z wyrokami przeważnie od 7 do 15 lat (są i tacy, których skazano na dożywocie). Trzeba pamiętać, że większość spraw nagłośnionych przez międzynarodową opinię publiczną, to przypadki intelektualistów i studentów. A przecież znaczną większość aresztowanych i skazanych stanowili zwykli ludzie, z którymi władza obchodziła się dużo brutalniej i którzy dla międzynarodowej opinii pozostają anonimowi.

Dopiero wiosną 1994 roku działającym w Nowym Jorku organizacją Human Rights Watch Asia i Prawa Człowieka w Chinach (Human Rights in China) udało się zestawić listę 500 osób w wieku od 17 do 71 lat, aresztowanych w Pekinie po 4 czerwca 1989 roku. Jest to lista bardzo niepełna.

W następnych latach służby specjalne ChRL przeprowadziły potężną operację dezinformacji na temat tego wydarzenia i liczby jego ofiar. Pojawiła się kłamliwa wersja, że na samym placu nikt nie zginął, bo wszyscy studenci wcześniej z niego wyszli. Powstały nawet w wielu krajach, obficie dotowane przez ambasady ChRL, „historyczne” książki i artykuły utrwalające tę wersję. Część takich publikacji powstała bez „sponsoringu”, a jedynie z naiwności autorów i wydawców. Produktem tej naiwności jest też znany film dokumentalny BBC, w którym bezkrytycznie kupiono wersję o wyjściu wszystkich studentów z placu, choć przeczą nawet temu niektóre zdjęcia pokazywane w tym filmie.

### **Koniec Wielkiego Kłamstwa**

W 2000 roku ujawniono na zachodzie tak zwane „Dokumenty Tiananmen” – wykradzony z Chin zbiór dokumentów odsłaniający przebieg procesu decyzyjnego, który doprowadził do masakry. Zbór ten jednak nie obejmuje samego przebiegu wydarzeń w Pekinie i jego skutków.

W 2002 roku, nakładem wydawnictwa „Magnum” ukazała się, po polsku, praca Gordona Thomasa pod tytułem „Zarzewie ognia – Chiny i kulisy ataku na Amerykę”. Znaczna część tej pracy poświęcona jest przebiegowi wydarzeń na placu Tiananmen w Pekinie, w tym masakrze studentów w nocy z 3 na 4 czerwca 1989 roku. Autor ujawnia szereg, dotąd tajnych, dokumentów CIA, z których część dotyczy tego wydarzenia (w tym raportów tajnych agentów z Pekinu). Drugą podstawą jego opracowania jest 240 godzin nagranych zeznań 35 świadków i uczestników masakry (również od strony wojska), w tym poważnych reporterów zagranicznych, jak Lousie Branson z „Sunday Times”, Joanne Moore z „China Daily”, Barra Seitza z telewizji ABC, Melindy Liu z „Newsweeka”, Dana RATHERA z telewizji CBS oraz całej trójki najważniejszych przywódców studenckiego buntu: Wuer Kaixi, Wang Dana i Chai Ling (koledzy dziennikarze, błagam: przestańcie w artykułach robić z Chai Ling mężczyznę – to kobieta).

Nowo ujawnione dokumenty i relacje są o tyle cenne, że po raz pierwszy można odtworzyć w miarę dokładnie przebieg wydarzeń tragicznej nocy (ujawnione wcześniej „Dokumenty Tiananmen” nie opisywały przebiegu masakry, a jedynie proces decyzyjny, który do niej

doprowadził). Obalają też one ostatecznie Wielkie Kłamstwo, kolportowane odkąd Pekin starał się o przyznanie mu olimpiady, o tym, że wszyscy studenci opuścili plac przed atakiem wojska i w ramach samego placu nie było ofiar śmiertelnych. Wersja taka oparta była na relacjach Liu Xiaobo podającego się (niezgodnie z prawdą) za jednego z przywódców ruchu, który ponoć wyprowadził studentów z placu. Nie wiedzieć czemu spora grupa politologów i publicystów dawała wiarę jemu, a nie rzeczywistym przywódcom studentów (Wuer Kaixi, Wang Dan, Chai Ling) Obserwowałam, jak z roku na rok Wielkie Kłamstwo toruje sobie drogę w książkach i mediach, pomimo że dobitnie mu przeczy choćby bardzo bogata dokumentacja fotograficzna i filmowa. Motywacja Pekinu była oczywista: odebrać placowi Tiananmen znaczenie symbolu. Nie twierdzą, że wszyscy autorzy powielający tę wersję byli wobec Pekinu dyspozycyjni (choć są i tacy). U większości z nich przyczyną była niekompetencja i nabieranie się na licznie kolportowane przez służby specjalne ChRL fałszywe relacje fałszywych świadków.

Z relacji świadków wynika, że na placu Tiananmen ludzie masowo ginęli już na trzy godziny wcześniej przed wynegocjowanym wyjściem części studentów. Relacja Barra Steitza (4 czerwca, ok. godz. 1.30: „Stoję koło gmachu Zgromadzenia Ludowego. Teraz widzę, że wszystkie drzwi otwierają się i wysypują się z nich setki żołnierzy. Wszyscy są w hełmach i uzbrojeni. [...] Z Changan właśnie skręcił na plac transporter opancerzony. Ludzie atakują go kijami [...] słyszę jakiś inny dźwięk. Ktoś mówi, że to czołgi nadjeżdżające z zachodu aleją Changan.” Gdy Barr dobiega do styku placu z aleją Chnagan, relacjonuje o strzałach od strony gmachu Zgromadzenia Ludowego.

I dalej: „Czołgi. Nie widzę ile, ale dużo. [...] Za nimi żołnierze. Maszerują w zdyscyplinowanych szeregach, ostrzeliwiają z biodra budyńki i uliczki. Po prostu ładują i strzelają, ładują i strzelają. Jakby strzelali do kaczek.” Obok Barra upadła kobieta z przestrzeloną głową. „Żołnierze w hełmach wybiegli przed linię czołgów, które toczyły się do przodu z rykiem silników. [...] Teraz odgłosy strzałów były nieprzerwane. Na południowym krańcu placu błyskały pasma żółtego światła. Potem dowiedziałem się, że to pociski smugowe z broni maszynowej.”

Melinda Liu z „Newsweeka”, godzina 2.00: „Ciężka broń, karabiny maszynowe, a do tego terkot karabinów samoczynnych. [...] Płoną pojazdy. Wszędzie leżą martwi lub ranni. [...] Żołnierze z alei Changan nie przestają strzelać. Inni otwierają ogień z ciężarówek, które przejeżdżają przez plac, siejąc śmierć.”

Około godziny 4.30 piosenkarz Hou Dejian (a nie Liu Xiaobo) przekonał studentów i dowódcę wojska do tego, że studenci opuszczą plac pod warunkiem, że nie będzie się do nich strzelać. Wojsko

przerywa ostrzał. Około 5.00 niewielki pochód studentów opuszcza plac w rejonie bramy Quanmen. Wielu jednak zostaje. Między 5.00 a 5.30 od strony placu Tiananmen dobiega największa kanonada, jaką słyszano w Pekinie. Tego faktu nie podaje cytowana książka, ale akurat tego faktu nie negują nawet zwolennicy tezy o tym, że na placu nikogo już nie było. Twierdzą tylko, że to wojsko strzelało do megafonów.

Wersji o tym, że na placu nikogo już nie było przeczą też powszechnie znane zdjęcia.

Walki w Pekinie trwały jeszcze cztery dni. Na pewno kosztowały życie kolejnych tysięcy ludzi.

### **Przebieg zbrodni**

Dziś znamy już tak dużo relacji świadków i dokumentów, iż możemy dość dokładnie odtworzyć przebieg tragicznej nocy w Pekinie:

### **Prężenie mięśni**

W nocy z 3 na 4 czerwca 1989 roku piechota 27 Armii wspomagana czołgami i transporterami opancerzonymi zaatakowała demonstrantów na placu Tiananmen i w innych częściach miasta.

Od pewnego czasu krążyły pogłoski o nadciągającym ataku. W wielu częściach miasta ludność wzniosła barykady. Główne arterie blokują wywrócone autobusy. Od 20 maja obowiązuje stan wyjątkowy. 27 armia przerzucana jest z Tybetu, gdzie dokonywała masakry mieszkańców Lhassy. Pekin otacza już szczelny kordon jednostek 38 armii. 3 czerwca, w nocy 5 tysięcy żołnierzy piechoty zmierza w kierunku centrum miasta. Tuż przed godziną 22, prowadzący ich samochód terenowy wpada w poślizg powodując wypadek (zabija 3 osoby) w dzielnicy Muxudi (daleko od centrum). Ludność pospiesznie wznosi barykady, które żołnierze starają się omijać. Żołnierze są bez broni i bez rozkazów. Tłum zatrzymuje ich. Podobny incydent zdarza się na zachodnim krańcu alei Changan. Tłum tryumfuje, nie wiedząc, że są to tylko działania kamuflażowe, mające ukryć prawdziwą operację. W tym samym czasie pancerne pułki 27 armii zajmują pozycje na obu krańcach Changan i na południu, na końcu głównej ulicy Pekinu – Quanmen. Około godziny 22.30, około 6 kilometrów na północ od Tiananmen, w szerokiej alei Andingmen, dochodzi do pierwszego drobnego starcia. Ciągłe nie padają strzały, a tłum wydaje się być górą.

Korespondentka „Newsweeka”, Melinda Liu, notuje cytat z dzieła Sun Tzu „Sztuka wojny”: „Jeśli jesteś blisko stwarzaj pozory, że jesteś daleko. Podsuń wrogowi przynętę, żeby go zwabić, udaj nieporządek i wtedy uderz”. Wyjątkowo trafna uwaga. Te pozorne działania nieuzbrojonych rekrutów wyciągnęły ludzi z domów na ulicę. Całe miasto

biegnie na pomoc swoim studentom. „Rebelię trzeba stłumić zdecydowanie” powiedział Deng Xiaoping, a później: „Na Placu Tiananemnie nie może być ofiar” („Dokumenty Tiananmen”). Te zdania, wypowiedziane w specyficznym języku służb specjalnych, znaczą: „trzeba zabić jak najwięcej ludzi” i „na Tiananmen ma nie przeżyć żaden świadek”. W języku służb specjalnych nigdy nie mówi się „zabijcie świadków”, mówi się „nie może być ofiar”, a każdy oficer Ludowej Milicji Zbrojnej, Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, NKWD, KGB i polskiej „bezpieki” sam wie, co to znaczy i co ma robić. „Udano nieporządek” i wyciągnięto ludzi z bezpiecznych domów na ulice, by „rebelię stłumić zdecydowanie” – zabić jak najwięcej z nich.

W tym samym czasie wywiad brytyjski otrzymuje informację, że „dobrze uzbrojone oddziały w gmachu Zgromadzenia Ludowego i w tunelach pod miastem mogą liczyć już 20 tysięcy ludzi”. Oraz, że minister obrony Qin Jiwei agituje żołnierzy i oficerów na zachodnich krańcach miasta do „skutecznego wprowadzenia stanu wyjątkowego” (o godzinie 23.15, w nocy!!!) i „aby siły zbrojne okryły się chwałą”.

O godzinie 23.00 nagle otwiera się brama Zhongnanhai i wybiega z niej kilkuset milicjantów z ręcznymi miotaczami gazów łzawiących i pałkami. Dochodzi do starcia z tłumem. Na milicjantów lecą płyty z chodnika. Nagle milicja na komendę zawraca i znika z powrotem za bramą Zhongnanhai. Coraz większy tłum gromadzi się w alei Changan. Godzina 23.20 – około tysiąca żołnierzy z karabinami i w hełmach wypada z gmachu Zgromadzenia Ludowego na stronę Changan. Tłum, ok. 200 tysięcy ludzi rusza na nich. Żołnierze wycofują się do gmachu. „Badanie przeciwnika” – znowu celnie konstatuje Melinda Liu. Nie może wiedzieć, że wcześniej, o godzinie 22.30, agencja Xinhua nadała dziwny komunikat: „Wspaniała Armia Ludowo-Wyzwoleńcza cieszy się zaufaniem ludu. Swoimi wielkimi czynami okazała żarliwą miłość do stolicy, jej mieszkańców i wszystkich przestrzegających prawa studentów. Oficerowie i żołnierze jeszcze raz pokazali, że są armią swego ludu”. Dziesięć minut później analityk CIA Baker i dyrektor CIA George Tannet zawiadamiają prezydenta USA Georgea Busha: „w Pekinie rozpoczyna się akcja wojska”.

O godzinie 23.25 telewizja przerywa normalny program. Na ekranie pojawia się napis: „Kwatera Główna Dowództwa Stanu Wyjątkowego”. Anonimowy głos czyta: „Mieszkańcy Pekinu. [...] Chuligani podsycają zamieszki. Na prośbę szerokich mas mieszkańców miasta wojsko podejmie zdecydowane i skuteczne kroki, aby rozprawić się z chuliganami. Nie będziemy im okazywać wyrozumiałości...”

O godzinie 23.30 w dzielnicy Muxudi, w alei Fuxing dowódca kompanii piechoty 27 armii, Tan Yaobang, odbiera radiowy rozkaz:

„strzelajcie tak, żeby zabić”. Stojąc na platformie ciężarówki wydaje komendę: „krótkimi seriami, kierunek na wprost, ognia!”. Padają pierwsi zabici. Rozpoczęła się rzeź.

### **Rzeź**

Tyraliera posuwa się strzelając aleją Fuxing. Za plecami żołnierzy pojawiają się czołgi. Obok 5 tysięcy żołnierzy piechoty, wsparte czołgami zdobywa kolejne barykady w alei Andingmen. Płoną pierwsze czołgi i transportery. Są już setki zabitych. Trwa opór, ale za atakującymi posuwa się kolejne 75 tysięcy piechoty i setki czołgów. Tłum uzbrojony w kamienie i butelki z benzyną przeciw działom czołgowym, karabinom maszynowym i karabinkom AK-47. O północy ruszają dwie kolejne kolumny. Od wschodu i zachodu po 10 tysięcy piechoty wspartej czołgami posuwa się koncentrycznie aleją Changan. Zdobywają teren w walce z tłumem. Zdobywają i niszczą kolejne barykady. Od południa, znacznie węższą ulicą Quanmen przecinającą cały Pekin w kierunku placu Tiananmen, posuwa się brygada komandosów wsparta czołgami. Oddział tysiąca żołnierzy strzegących rezydencji Deng Xiaopinga w centrum miasta strzela do wszystkich, którzy pojawią się w zasięgu ich broni. Niechęć chce, że bardzo wielu ludzi stara się uciec z centrum właśnie wtedy.

Około 1.30 kolumny nadciągające przez Changan zbliżają się do placu. Za nimi zostały setki zwłok i tysiące rannych. Z gmachów Zgromadzenie Przedstawicieli Ludowych i Muzeum Historycznego wysypują się setki żołnierzy w hełmach i z bronią. Tworzą złożoną z trzech szeregów tyralierę. Pierwszy szereg leży, drugi kłęczy, trzeci stoi. Wszyscy z bronią wycelowaną w plac. Kolejna tyraliera wybiega z bramy Zhongnanhai i od razu otwiera ogień. Zza jej pleców wyjeżdżają odkryte ciężarówki ze stojącymi żołnierzami, którzy jeżdżą przez plac i strzelają. Panuje ogromne zamieszanie. Wszędzie leżą zabici i ranni. O godzinie 2.00, pod południowy skraj placu, w pobliżu bramy Quanmen podchodzą komandosi i czołgi idące od południa. Pułapka jest zamknięta, plac otoczony zewsząd. Na Changan studenci próbują zatrzymać czołgi siadając na ziemi. Dostają się pod gąsienice.

Około 3 w nocy zaczyna się pojedynek na megafony. Z jednej strony, bezpośrednio dowodzący akcją, Qiao Shi: „Wybuchła poważna kontrrewolucyjna rebelia. Od kilku dni Armia Ludowo-Wyzwoleńcza była powstrzymywana. Teraz jednak należy bezwzględnie stłumić te kontrrewolucyjną rebelię”. Z drugiej strony, z centrum „dowodzenia” studentów na stopniach Pomnika Bohaterów

Rewolucji, odpowiada mu Chai Ling: „Nie ma żadnej kontrrewolucji. Nie odstępujemy od zasad pokojowej demonstracji”. Od strony Zakazanego Miasta rusza powoli przez plac tyraliera żołnierzy prowadząc niemal ciągły ostrzał. Huk wystrzałów tłumi płynący z megafonów głos Chai Ling: „Jesteście naszymi braćmi. Obiecaliście, że nie użyjecie siły przeciw ludowi. Nie łamcie tej obietnicy!” Około 4.30 tajwański piosenkarz Hou Dejian Mówi przez megafon: „Odlóżcie broń” i zapowiada, że idzie negocjować z wojskiem. W chwilę później uzgadnia z oficerem politycznym dowództwa akcji przerwanie ognia. Mówi znów przez megafon do studentów: „Dowiedliście swego. Pokazaliście, że nie boicie się umrzeć. Teraz odejdźcie”. Studenci zaczynają gromadzić się wokół pomnika i formować pochód.

Nagle gaśnie światło. Studenci tracą łączność, jaką zapewniały im megafony. W całkowitych ciemnościach niewielki pochód kilku tysięcy studentów opuszcza plac w rejonie bramy Quanmen. Dziesięć lat później nastąpi cudowne ujawnienie się świadków, którzy „widzieli”, że na placu nikt nie został. Nic widzieć nie mogli. Panowały zupełne ciemności. Widok zasłaniały im też budynki bramy Quanmen, Mauzoleum Mao Zedonga i ogromny cokół Pomnika Bohaterów Rewolucji. Gigantycznych rozmiarów plac, który tylko od pomnika do Changan liczy ponad 800 metrów, usłany był namiotami, szałasami, budami, w których przez półtora miesiąca mieszkali demonstranci. Na placu z całą pewnością zostały jeszcze tysiące ludzi, w tym setki rannych, którzy uciec nie mogli. Dziesięć lat później objawią się też relacje zachodnich korespondentów (bliżej nie wiadomo których). Ponoć 4 czerwca rano widzieli oni z okien Hotelu „Beijing”, że na placu Tiananmen nikogo już nie ma i nie widać też żadnych ciał. Tylko, że z okien hotelu „Beijing” nie widać palcu Tiananmen, bo zasłania go budynek Muzeum Historycznego. Widać zaledwie skrawek placu, tuż przy Chanagan, skrawek, na którym właściwie nic się nie działo.

Około piątej rano znów zapala się światło. Zresztą i tak robi się już jasno (jest czerwiec). Od strony bramy Tianamen rusza tyraliera wparta czołgami. Żołnierze strzelają krótkimi seriami do uciekających. Posuwająca się wolno tyraliera dobija rannych. Widać, że mają to przeciwiczone: krótka seria, uderzenie bagnetem i jeszcze jedna seria w leżące ciało. Jeśli jeszcze ktoś się rusza, idący za tyralierą podoficerowie kopniakiem obracają ciało na plecy i z pistoletu strzelają w głowę. Krótkie postoje na wymianę magazynków.

Dwieście, może więcej, osób chroni się za barierki tarasów otaczających pomnik Bohaterów Rewolucji. Zostają otoczeni

i systematycznie wymordowani. Seria, bagnet, seria. Oficerowie przechadzają się wśród leżących ciał. Dobijają jeszcze żyjących. Patrzy na to bezradnie coraz większy tłum mieszkańców Pekinu stłoczony w wylotach pobliskich ulic. Co pewien czas tłum rusza. Nowe serie z broni maszynowej i nowe ciała osuwają się na ziemię.

„[...] część (studentów) skupiła się przy pomniku Bohaterów Rewolucji, tworzy łańcuch, splata się rękami. [...] Wojsko zacieśnia krąg. ‘Nie strzelajcie! Nie chcemy z wami walczyć!’ – krzyczą desperaci do tyraliery, która celuje w nich ze szturmowych karabinów AK-47.

Oficer wypalił w głowę jednemu z przywódców, próbującemu pertraktować. I natychmiast huragan ognia zmiotł pierwszy szereg ‘łotrów i kontrrewolucjonistów’

‘ – i drugi, złożony z samych dziewcząt, błagających o litość.

Od południa, od bramy Qian Men, rozlega się także straszliwa kanonada: do tych, którzy nie zdążyli uciec. Tutaj zdesperowany tłum broni się, rzuca kamienie i ‘koktaile Mołotowa’. Po paru sekundach ognia – nikt nie zostaje na nogach, walą się ranni i zabici.” (Wojciech Giełżyński „Mord na placu Tiananmen”).

Na pobliskich ulicach ogromny ruch. Na wózkach, rowerowych rikszach i na czym się da, młodzi ludzie wiozą do szpitali rannych kolegów. W drugą stronę mieszkańcy Pekinu biegną na pomoc swoim dzieciom. Tłum gęstnieje.

Wstaje dzień i walki rozlewają się na całe miasto. Tłum już nie jest bezbronny. Na czołgi i transportery lecą „koktaile Mołotowa”. Ludzie wyłapują pojedynczych żołnierzy i dokonują linczów. Wojsko atakuje uniwersytet. Dochodzi tam do jeszcze większej rzezi niż na Tiananmen. Na ulicach transportery opancerzone rozjeżdżają rowerzystów. Czołgowe CKM-y walą do wszystkiego co się rusza.

Na jednym z głównych skrzyżowań miasta, tuż pod ogromnym billboardem przedstawiającym roześmianych ludzi wszystkich ras i narodowości ozdobionych napisem po chińsku i angielsku „Jedność, przyjaźń, postęp”, pocisk z czołgowego działa trafia w wypełniony ludźmi autobus. „Kawałki ciał zabitych wylatywały we wszystkie strony. Ciężko ranni czołgali się po jezdni. Inni uciekali. Skosiła ich seria. I wtedy tłum się rzucił na czołg. Ze wszystkich stron na raz. Wyciągnęli załogę. Żołnierzy wdeptali w ziemię, a dowódcę powiesili na wraku autobusu na pętli z kabla” (relacja jednego z polskich turystów). Autobus palił się. Kilka godzin później jego spalony wrak ze zwęglonymi zwłokami powieszzonego żołnierza sfotografował reporter Jonthon Annel.





Spalone ciało zlinczowanego czolgiisty – fot. Jonthon Annels

Straszne sceny rozgrywają się w szpitalach. Szpitale żadnego miasta nie są w stanie udzielić pomocy kilkudziesięciu tysiącom rannych. Zwożeni na rikszach i wózkach krwawiący ludzie umierają na korytarzach i schodach.

„Nasza koleżanka, Polka, była od kilku dni w szpitalu. Czwartego czerwca udało jej się zadzwonić do hotelu. Krzyczała histerycznie: ‘Zabierzcie mnie, zabierzcie mnie z tego piekła!’ Pojechaliśmy po nią. Wszędzie był okropny smród krwi, kału, moczu, wszystkiego, co wylewa się z martwego człowieka. W korytarzach leżały stopy zwłok, w których przewracali ludzie szukający swoich bliskich. Po podłodze płynęła krew zmieszana z moczem. Trudno było iść, bo buty się w tym ślizgały” (relacja polskiego turysty).



Stos ciał na korytarzu jednego ze szpitali (zabrakło miejsca w kostnicach)

„Ze szpitala Fuxing doniesienia o dantejskich scenach. Na korytarzach zwały trupów: ludzie przewracają je, szukają swoich. Jakaś matka znalazła. Szloch – i nagle zimne oczy. Podchodzi do fotoreportera: ‘Pokaż światu tego dobrego chłopca, on zginął za Chiny’. Lekarz pokazuje innego, ze związanymi z tyłu rękami. Tego zabili z zimną krwią.” (W. Giełżyński „Mord na placu Tiananmen”)

### **Ostatni człowiek na Tiananmen**

4 czerwca, pierwszego dnia walk, zachodnie stacje telewizyjne pokazują głównie waluciarzy sprzed Hotelu Beijing kryjących się przed ostrzałem. Ekipy telewizyjne, które zamieszkały głównie w tym hotelu (kto o zdrowych zmysłach w nim mieszka??!!), znalazły się w pułapce. Bulwar Changan, który „wygląda, jakby przeszedł tędy tajfun” (W. Giełżyński), jest pod ciągłym ostrzałem. Czołgiści walą z KM-ów po oknach hotelu. Tylko niewielu zagranicznych operatorów telewizyjnych porusza się po mieście.

Po latach od tych wydarzeń wiem, że na drugi dzień, 5 czerwca, wojsko dostało rozkaz by nie strzelać na krótkim odcinku Changan, tuż obok Hotelu Beijing. Prawdopodobnie ktoś we władzach obawiał się skutków politycznych przypadkowego zastrzelenia jakiegoś cudzoziemca. Wtedy, przed piętnastu laty, nikt w Pekinie o tym nie wiedział i tą strefę pokoju interpretowano całkiem opatrnie.

Kilka czołgów ustawiło się na wiadukcie z działami zwróconymi na zachód, bo tam jest strefa, która mają ryglować ogniem. W mieście bucha plotka: 27-ma przygotowuje się do obrony, nadciąga rzekomo zbawcza 38 Armia. Rzeczywiście ze wschodu bulwarem Changan nadciąga wielka kolumna czołgów. Na wysokości Friendship Store (sklepu dla cudzoziemców, w którym nikt przy zdrowych zmysłach nie kupuje) i dalej, przy bazarku, na którym Polacy zwykle wymieniaли dolary na yuany, ludzie patrzą na nadciągające czołgi. „38-ma nadchodzi!” Niektórzy nieśmiało machają rękami. I nagle, koniec złudzeń. Długa seria z KM-u wali w tłum.

Miasto kipi od plotek. Udzielają się one zagranicznym korespondentom i dyplomatom. Krążą fantastyczne wieści o ruchach wojsk i jeszcze bardziej fantastyczne interpretacje tych wieści. Badając spokojnie po latach przebieg tych zdarzeń trzeba stwierdzić: to była rutynowa wymiana załóg na pierwszej linii. Wycofywano pododdziały będące już ponad dobę w walce i zastępowano je wypoczętymi. Wszystko w ramach tej samej 27 Armii. Żadnych innych ruchów wojsk w rzeczywistości nie było. Rzekomo zbawcza 38 armia szczelnym pierścieniem otaczała miasto i pilnowała, by z piekła nikt nie uciekł.

I oto w czasie tej wymiany załóg dochodzi do symbolicznego incydentu, który później obie strony konfliktu będą interpretować odmiennie. W strefie ciszy przed Hotelem Bejing samotny mężczyzna staje na drodze czołgom. Nie mógł tego zrobić w bardziej pokazowym miejscu. Zostaje sfilmowany przez kilka stacji telewizyjnych i sfotografowany przez kilkunastu reporterów. Zdjęcie „człowieka przed czołgami” obiega cały świat.

Niewątpliwie ten samotny mężczyzna wykazał się nieprawdopodobną odwagą. Niewątpliwie jego czyn miał wyjątkowo czytelny przekaz: przeciwstawienie racji moralnej tępej sile. Na tym jednak kończą się fakty i zaczyna dwustronna mitologia.

Agencje komentują: samotny człowiek zatrzymał czołgi jadące na plac Tiananmen. Wielu szlachetnych ludzi z całego świata podaje przykład jego czynu, jako tego, że racja moralna zwycięża siłę. Czołgiści nie zabili go, bo według tej interpretacji, ruszyło ich sumienie... W rzeczywistości były to czołgi wycofywane z placu Tiananmen. Te same załogi jeszcze kilka godzin wcześniej miażdżyły gąsienicami bezbronnych ludzi. Ci sami żołnierze przez cały poprzedni dzień zajęci byli mordowaniem. To, co ich wstrzymało, to nie był odruch sumienia tylko rozkaz nie mordowania w bezpośrednim zasięgu większości zachodnich kamer i obiektywów. Oczywiście desperat o tym rozkazie nie mógł wiedzieć, ani ten, co rozkaz wydał, nie mógł wiedzieć, że spowoduje pośrednio narodzenie legendy i zdjęcia symbolu. Ludzi po prostu

rozjechanych przez czołgi (nawet te same) były setki i ich zdjęć też. Do rangi symbolu jednak nie urosły.

Dalszy ciąg legendy dopisuje nieco później telewizja pekińska. Pokazuje zdjęcie „człowieka przed czołgami” i jego „proces”: w celi więziennej trzech sędziów w mundurach, naprzeciwko na kubie na fekalia zwanym w Chinach „matong”, a w polskich więzieniach „bombą” – oskarżony (skąd my znamy takie „procesy”?). Zapada wyrok: kara śmierci „za zakłócenie ruchu drogowego”. I komentarz spikera: „gdyby nasi dzielni żołnierze chcieli strzelać, ten łotr nie mógłby żyć” (to było na etapie, gdy władze twierdziły jeszcze, że wśród cywilów nie było żadnych ofiar, i żadna broń ani żadne czołgi nie zostały użyte). Ten komentarz, o dobroćliwości czołgistów i łotrostwie desperata, powtarza do dziś propaganda ChRL oraz przynajmniej część polskich sinologów (sam słyszałem).

W telewizji trwa makabryczny serial: procesy, procesy, procesy i egzekucje. Spiker powtarza niemal jak katarynka: kara śmierci, kara śmierci... „[...] oskarżeni łamali prawa stanu wojennego, niszczyli pojazdy wojskowe, atakowali żołnierzy i milicjantów. Za działalność kontrrewolucyjną, niszczenie majątku państwowego i zakłócenie ruchu drogowego Sąd Ludowy Miasta Szanghaju skazuje (tu trzy nazwiska) na karę śmierci. Wyrok zostanie natychmiast wykonany.” Mało kto wówczas zwrócił uwagę na skład osobowy Komitetu Polityczno Prawnego, który zatwierdził ten wyrok. Zasiadał w nim mało wówczas znany burmistrz Szanghaju Jiang Zemin dyskretnie kreowany na ulubieńca ludu, który rzekomo nie dopuścił w swoim mieście do masakry podobnej jak w Pekinie.

Pacyfikacją Lhassy w Tybecie, którą 27 armia musiała przerwać, by jechać na Pekin, kierował późniejszy prezydent Chin Hu Jintao. Do wydania rozkazu strzelania do studentów przyznał się publicznie premier Li Peng, ale wiadomo, że naprawdę rozkaz ten wydał Deng Xiaoping. Bezpośrednio dowodził akcją generał Qiao Shi. To on wydał rozkaz: „strzelajcie tak, żeby zabić”. Z ramienia rządu akcję nadzorował minister obrony Qin Jiwei.

W akcji brało udział ok. 100 tys. żołnierzy wspieranych przez ok. 2 tys. czołgów i transporterów opancerzonych. Straty po stronie wojska nie są znane. Wiadomo jedynie, że zniszczone zostało ok. 600 pojazdów wojskowych.

Zapewne odezwą się głosy całkiem licznych polskich wielbicieli chińskiego komunizmu kwestionujące moje ustalenia. Mam na to prosta odpowiedź: niech władze ChRL otworzą archiwa, udostępnią dokumenty, umożliwią badania na miejscu nie tylko dyspozycyjnym wobec nich sinologom, a zagraniczni historycy i publicyści nie będą się mylić.

# Nie całkiem zmyślona historia – operacja „lustro weneckie” 1987-1991

**Jest to opowieść o tym, co mogą wywiady robić w Internecie, oparta na prawdziwych wydarzeniach. Niektóre szczegóły są owocem mojej fantazji, ale cóż, wywiady nie robią konferencji prasowych. Są to jednak szczegóły drugoplanowe.** Zwróćmy uwagę, że czytamy, co mogły zrobić w Internecie wywiady w latach 1987-91 i spróbujmy sobie wyobrazić, co mogą teraz.

Byli sobie pan i pani Hamilton. Mieszkali w Stanach Zjednoczonych i prowadzili małą firmę informatyczną. Małą, to nie znaczy kiepską, ale podatną na kłopoty, bo każdy, kto ma pomysły przerastające jego możliwości, prędzej czy później ma kłopoty. A Hamiltonowie właśnie mieli taki pomysł. Napisali program szpiegowski, co gorsza, genialny program szpiegowski.

Program nazywał się entenced promis i był połączeniem automatycznego hakera z inteligentną bazą danych. Służył do automatycznego zbierania i przetwarzania informacji o 1600 osobach jednocześnie. Działo to tak: Program dostawał nazwiska z pewną ilością wstępnych informacji o każdym z obserwowanych. Zaczynał działanie od tego, że przez Internet włamywał się do komputerów osobistych osób śledzonych, a jeśli nie mieli komputerów, to do takich komputerów, na których pracowali. To oczywiście dla wywiadu kaszka z mleczkiem, ale

na tym się nie kończyło. Program identyfikował wszystkie adresy ze skrzynki adresowej i z maili wchodzących i wychodzących. Oczywiście czytał wszystkie maile i włamywał się do wszystkich komputerów, z których przychodziły lub do których wychodziły. Z tych wszystkich informacji tworzył bazę danych o inwigilowanym osobniku. Jeśli gość kupił w supermarkecie buty i zapłacił kartą kredytową, to komputer już znał jego kartę kredytową, bo wcześniej już włamał się do jego konta bankowego i znał wszystkie operacje z jego konta. Jeśli teraz kupił buty, to program włamywał się do komputera supermarketu, identyfikował rozmiar butów i producenta, następnie włamywał się do komputera producenta, ściągał stamtąd dokumentację techniczną tych butów i po chwili baza danych wzbogacała się o informacje, jakie buty gość nosi, jak wygląda ślad jego podeszwy, jaki ma rozmiar, czyli ile przypuszczalnie gość waży, jaki ma wzrost, i tak dalej. Każde zapłacenie kartą kredytową zostawiało ślad w bazie danych.

Dzięki znajomości konta bankowego gościa, program entened promis śledził jego rachunki za prąd, wodę i gaz. Na tej podstawie oceniał jego aktywność, obecność lub nieobecność w domu, oceniał ile osób w tym domu przebywa i jakie mogą być w nim urządzenia. Ten program to była po prostu szpiegowska potęga. Zwłaszcza że potrafił jeszcze kojarzyć informacje dotyczące różnych inwigilowanych osób.

Nawet nie wyobrażacie sobie ile informacji można zebrać o kimś przez Internet. Program namierza jego miejsce pracy i już hyc do komputera pracodawcy i już wie, ile gość zarabia, w jakich dniach i godzinach pracuje, kiedy ma urlop, a kiedy ma zwolnienie... A! Ma zwolnienie! No to hyc do komputera lekarza i już wiemy, na co choruje, czy naprawdę choruje, czy tylko bajcuje... Zapłacił mandat! No to hyc do komputera policji i już znamy numer rejestracyjny i markę jego samochodu. Żyje sobie człowiek, żyje i nie wie ile komputerów go otacza. Myśli sobie, cwany jestem, ukryłem się, z nikim nie gadam. Głupi człowieku jesteś. Gadasz jak cholera. Wręcz trzepiesz diobem na prawo i na lewo, tyle że gadasz nieświadomie na każdym kroku gdzie spotykasz komputer. A gdzie spotykasz komputer? Niemal wszędzie! Ten program ma cię kotku bury jak na talerzu. Ma twoje zdjęcia z wniosków paszportowych, twoje dane z metryki urodzenia i biura adresowego. Kupiłeś na stacji bilet do Krakowa. No to cię mamy. Hyc do kamery dworcowej i już mamy twoje zdjęcia, jak wsiadasz do pociągu, jak się ubierasz, jak się ruszasz. Komputer to najlepszy kapuś wywiadu XXI wieku. Bo komputer jest wszędzie!

*(Tu mała dygresja. Artykuł pisałem parę lat temu. Obecnie jest jeszcze ciekawiej. Każdy smartfon ma odbiornik GPS. Odkąd w 2016 roku zacząłem być aktywistą KOD, ktoś ciągle zdalnie włącza mi*

*funkcję lokalizacji. Wylączę lokalizację, za chwile znów działa. Po prostu służby bardzo chcą wiedzieć, gdzie jestem. Po co? No chyba nie po to, by zrobić sobie ze mną swetfocię. Dziś nie trzeba komuś zakładać w domu pluskiew, bo najlepszym urządzeniem podsłuchowym, i podglądowym jest jego laptop. Ma mikrofon i kamerkę i pamięć dyskową, a co za problem wsadzić mu Trojana? Nie wiele mniej przydatny do szpiegowania jest nasz telefon komórkowy, czym nowocześniejszy, tym lepiej. Dziś cały czas żyjemy w otoczeniu naszych domowych potencjalnych szpiegów. Ja na komputerze piszę, a pan porucznik czyta.)*

Ale wracajmy do historii. Hamiltonowie zaproponowali swój program Departamentowi Sprawiedliwości USA jako narzędzie do inwigilacji przestępców. Programem zainteresował się umieszczony tam przez Langley (wspólnoty wywiadów USA) agent o pseudonimie „Howard”. Informacja o entenedch promis błyskawicznie dotarła do dyrektora CIA i zarazem szefa Langley, Williama H. Webstera. Webster nakazał „Howardowi” dokładne rozpracowanie programu, a ten już wiedział, co robić. Rozpoczęła się operacja „lustro weneckie”.

„Howard” podłożył niczego nie spodziewającym się Hamiltonom najzwyczajszego trojana (program do podglądania cudzych komputerów) i najzwyczajniej w świecie skopiował program enteched promis. Aż się dziwił, że było to tak łatwe. Naiwni Hamiltonowie byli bardzo dobrymi programistami, ale zupełnie nie znali się na grze wywiadów i nie mieli pojęcia, z jakimi siłami rozpoczęli grę. Ich komputery okazały się bezbronne jak dzieci i to przesądziło o ich przegranej. William H. Webster był znakomitym fachowcem od szpiegowskiej roboty i od razu wyciągnął prawidłowe wnioski: po pierwsze, program jest bardzo dobry; po drugie, można go skopiować i po cichu używać bez kupowania od Hamiltonów; po trzecie, jeśli komputery Hamiltonów są tak źle zabezpieczone, to ten program może ukraść każdy i to jest jego poważna wada.

W tym momencie CIA rozpoczęło z Hamiltonami subtelną grę, z której ci zupełnie nie zdawali sobie sprawy. Ciągłe czekali na decyzję Departamentu Sprawiedliwości, ten zaś, dzięki sprytniej sugestii „Howarda”, zwrócił się oficjalną drogą o opinię do CIA. Sprawy się przeciągały, Hamiltonowie narzekali na biurokrację, która jednak nie miała tu nic do rzeczy. Po prostu, informatykom CIA potrzebny był czas.

Specjalnie powołany zespół informatyków ponownie włamał się do komputerów Hamiltonów i dokonał zmian w entenedch promis. Pierwszą zmianą było umieszczenie w nim tajnej furtki, pozwalającej na zdalne odczytywanie bazy danych zebranej przez każdego użytkownika programu. CIA przewidywało, że ktoś program kupi (lub

ukradnie) i będzie go używał, a wtedy CIA będzie dysponować wszystkimi informacjami, jakie ten ktoś zbierze. Drugą zmianą było wprowadzenie sekwencji powodującej, że program sam automatycznie informował jeden z serwerów CIA o tym, że ktoś zaczyna śledzić instytucje rządowe lub wojskowe USA. Trzecia wreszcie, wprowadzona do programu, sekwencja pozwalała na jego zdalne zniszczenie, i uniemożliwienie ponownej instalacji, gdyby zaszła taka potrzeba.

CIA nie było tak głupie by używać programu ukradzionego Hamiltonom. Webster dobrze wiedział, że to, co zrobili jego informatycy, równie dobrze może zrobić GRU, Mosad, biuro 610 (tajny kontrwywiad chiński) lub ktokolwiek inny. CIA musiało mieć własny program. Entenched promis został przez informatyków CIA znacznie rozbudowany i udoskonalony. Mógł już śledzić nie 1600, ale 16 tysięcy osób jednocześnie. Mógł też współpracować z satelitami szpiegowskimi, kierując ich kamery na odpowiednie cele. Dostał też nową nazwę: Gordonas mirror – lustro Gordony.

CIA negatywnie zaopiniowało entenched promis dla Departamentu Sprawiedliwości, a ten odmówił zaskoczonym Hamiltonom zakupu. Wtedy zgłosił się do nich „doktor Or”. Był to agent Mosadu, który podawał się za podróżującego po Stanach Zjednoczonych naukowca. Oczywiście nie zawitał on do Hamiltonów przypadkowo. O jego obecności w USA poinformowała „Pamela”, umieszczona w Mosadzie agentka. Dzięki temu „doktor Or” spotkał „przypadkowo” gadatliwego urzędnika Departamentu Sprawiedliwości, który „wygadał się” izraelskiemu „naukowcowi” o programie Hamiltonów. Oczywiście wygadał się bardzo inteligentnie, bo był to agent CIA „Pocupaine”, czyli „Jeżozwierz”. Mosad nie mógł zorientować się, że podsunięto mu „minę”.

„Doktor Or” też programu od biednych Hamiltonów nie kupił, tylko go im wykradł i uważał, że jest bardzo chytry. Nie wiedział, że wykradł wersję zmodyfikowaną celowo przez CIA. Informatycy Mosadu nie zauważyli tajnej furtki zrobionej przez CIA i wprowadzili do programu kolejne dwie tajne furtki. Następnie zaczęli zmodyfikowany przez siebie program rozpowszechniać po świecie.

Zadanie tego rozpowszechniania dostał agent Mosadu, magnat prasowy Robert Maxwell. Czemu powierzono tak ważne zadanie amatorowi? Właśnie dlatego, że był amatorem – miał udawać, że daje się przekupić innym wywiadam, ale w rzeczywistości nie mógł im sprzedać nic więcej, niż Mosad chciał. Maxwell dość skutecznie udawał przekupnego zdrajcę i już wkrótce przerobiony najpierw przez CIA, a potem przez Mosad, program entenched promis kupiło od niego szereg państw (według Gordona Thomasa, także Polska). O to właśnie chodziło zarówno CIA jak i Mosadowi. Po pół roku Mosad czytał już bazy



danych wywiadów kilkunastu państw, zaś z kolei jego bazę danych (i wszystkie inne też) czytało CIA. Co więcej, CIA poddawało szczególnej opiece wybrane na podstawie tych danych cele za pomocą programu Gordonas mirror.

W tym momencie William H. Webster zorientował się, że sytuacja wcale nie jest słodka. Pracownicy zaplecza Langley nie nadążali przetwarzać tak dużej masy informacji. Działalność Maxwella należało przyhamować, nim wywiad zostanie zalany lawiną danych, której nie opanuje. W tym momencie operacja „lustro weneckie” weszła w drugą fazę, według zasady z pokera – gdy jesteś na topie, kończ grę, zgarbiaj pulę i znikaj. CIA zebrała już potężną masę danych, a każdy szpieg wie, że gdy operacja trwa za długo, to w końcu się wyda i wtedy będzie „obora”, czyli poważne kłopoty.

Pora do zwijania operacji była najwyższa, bo serwery Langley zaczęły być dosłownie zalewane alarmami o tym, że państwa, które kupiły program, zaczynają się dobierać do instytucji USA. Na to Langley nie mogło pozwolić. Mosadowi podsunęto kolejną „mine” – informację o nielojalności Maxwella i o tym, że zgromadzony przez niego, dzięki sprzedaży programu, gigantyczny majątek zaczyna zwracać uwagę brytyjskich służb skarbowych. To groziło wyspą, więc Mosad rozpoczął operację „chytro kret” polegającą na psuciu Maxwellowi interesów, by jego majątek zmalał. Jednocześnie kazano mu zaprzestać sprzedawania programu.

Banki nagle zaczęły się domagać od Maxwella spłaty zaciągniętych kredytów i robiły trudności z zaciąganiem nowych. Niektórzy stali, a potężni, klienci przestali zamawiać w jego sieci prasowej reklamy. Robert Maxwell czuł, że jakaś niewidzialna ręka psuje mu biznes. Jego konta bankowe topniały, a nakłady jego prasy spadały. Ale Robert Maxwell bardzo lubił wielkie pieniądze i nie zamierzał z nich rezygnować. To właśnie dlatego, jako szpieg był amatorem. Błędu, który zrobił, nie zrobiłby nigdy człowiek profesjonalnego wywiadu. Maxwell, chcąc ratować swoje medialne imperium, sprzedał enteneded promis Chinom, na co nie miał pozwolenia Mosadu. Myślał naiwnie, że Mosad się o tym nie dowie, bo poinformował Chińczyków o tajnych furtkach, dzięki czemu mogli je zablokować. Ale Maxwell, tak jak cały Mosad, nie wiedział o trzeciej tajnej furtce zrobionej wcześniej przez CIA.

William H. Webster został obudzony o drugiej w nocy. Szyfrogram, który dostał, był bardzo krótki, ale sprawił, że sen Websterowi przeszedł na długo: „Chiny mają enteneded promis”. Nim jeszcze szef CIA zdążył ochłonąć z wrażenia, przyszedł następny szyfrogram. Informował o tym, że wywiad chiński próbuje się włamać do komputerów ośrodka atomowego w Los Alamos i robi to właśnie za pomocą

entenced promis. Tego już było za dużo. Webster polecił zwijać natychmiast operację „lustro weneckie”. Przez Internet poszedł w świat tajny sygnał likwidujący program entrenched promis na każdym komputerze, na jakim się pojawił. Wywiady kilkunastu państw nagle niemal oślepyły. Było to możliwe dzięki trzeciej poprawce wprowadzonej do programu na samym początku przez CIA. Klienci Maxwella zaczęli mu grozić, bo natychmiast zrozumieli (żaden wywiad nie jest głupi), że kupili program „mine”.

I wtedy Maxwell zrobił ostatni błąd swego życia – zaczął grozić Mosadowi. Kilka dni później wypadł za burtę ze swego jachtu. Było to w nocy. Załoga nic nie zauważyła. Ciało Roberta Maxwella wyłowiono z Atlantyku po dziesięciu dniach mocno nadjedzone przez ryby. Policyjny patolog nie mógł już znaleźć śladu po ukłuciu igły z trucizną. Uznano, że magnat prasowy Robert Maxwell utonął. Agencja Royters napisała, że Robert Maxwell mógł popełnić samobójstwo, bo jego interesy szły ostatnio bardzo źle. Dwóch pletwonurków z Delta Force, wypożyczonych Mosadowi przez Langley, powróciło na lotniskowiec Enterprise z łodzi podwodnej, która zabrała ich z miejsca akcji. Mosad zakończył operację „chytry kret”. CIA zakończyła operację „lustro weneckie”, a zaczęła operację „cicha mgła”. Miała przeciw program Gordonas mirror. Webstera gryzł jednak niepokój. W jaki sposób Chiny zmodyfikowały swoją wersję zapasową programu entrenched promis? Czy przypadkiem nie zauważyły tajnej furtki i modyfikacji wprowadzonych przez CIA? Webster wiedział, że każda operacja wywiadu powoduje operację odwetową przeciwnika. Wiedział też, że całe stado informatyków kilkunastu ciężko wkurzonych wywiadów analizują bit po bicie kopie zapasowe entrenched promis i Bóg jeden wie, jakie z tego wyciągną wnioski, a tym bardziej, jakie nowe programy szpiegowskie powstałe na bazie entrenched promis ruszą wkrótce do walki w sieci. Na razie CIA miało trzy lata przewagi nad innymi dzięki Gordonas mirror.

Pani Hamilton spotkała swą starą przyjaciółkę. Na standardowe pytanie: „Co tam u was?”, odpowiedziała:

– A wiesz Nancy, zrobiliśmy znakomity program, wręcz wspinały, i zupełnie nie możemy go sprzedać.

[Robert Maxwell, właśc. Jan Ludvik Hoch (ur. 10 czerwca 1923 w miejscowości Slatinské Dôly w Czechosłowacji – obecnie Sołotwyna na Ukrainie, obwód zakarpacki, zm. 5 listopada 1991) – brytyjski wydawca i przedsiębiorca prasowy, polityk. W czasie drugiej wojny był oficerem brytyjskiej armii, służbę zakończył w stopniu kapitała odznaczony Military Cross. W 1951 zakupił wydawnictwo naukowe Pergamon Press. W latach 1964-1970 był członkiem parlamentu

---

z ramienia Partii Pracy. Od 1981 właściciel Maxwell Communication Corporation, od 1986 wydawnictw Media Press, European Satellite TV Broadcasting Consortium; współdziałowiec Agencji Reutera, Agence Centrale De Presse, TF 1); wydawca m.in. Daily Mirror i The European. Zmarł w niejasnych okolicznościach, prawdopodobnie po wypadnięciu z jachtu do morza w pobliżu Wysp Kanaryjskich. – źródło: Wikipedia]



# Zróbcie sobie państwo 1999

8 grudnia 1991 roku w Białowieży trzej politycy reprezentujący trzy najważniejsze republiki związkowe podpisali układ o rozwiązaniu Związku Radzieckiego. Byli to Borys Jelcyn – Rosja, Leonid Krawczuk – Ukraina i Stanisław Szuszkiewicz – Białoruś. 26 grudnia tego samego roku Rada Republik ZSRR uchwaliła deklarację o rozwiązaniu ZSRR. Dotychczasowe republiki związkowe stały się niemalże z dnia na dzień niepodległymi państwami, dziedzicząc po ZSRR niemal wszystko: klasę polityczną, mentalność, dogorywającą gospodarkę, biedę, sztucznie w wielu przypadkach wytyczone granice.

Późną jesienią 1999 roku napisałem obszerny reportaż z Ukrainy, po ośmiu latach jej nagłej i niespodziewanej niepodległości. Reportaż ukazał się w marcu 2000 roku w Magazynie, dodatku do Gazety Wyborczej. Przedstawiam w nim ówczesny obraz kraju, który nagle miał „zrobić sobie państwo” z tej biedy, pokomunistycznej klasy politycznej, braku społeczeństwa obywatelskiego.

Gdy dziś czytam ten tekst, widzę w nim załączki przyszłych wydarzeń, pomarańczowej rewolucji, nieudanych reform po niej, rządów Janukowycza zakończonych majdanem, aneksji Krymu przez Rosję i konfliktu na wschodzie kraju. Przedstawiam państwu ten tekst, pisany w 1999 roku.

## Część I

### Koło Lwowa jest granica

Na Ukrainie byłem po raz pierwszy dwa lata temu (1997) z okazji ukraińskiego wydania mojej książki. Byłem wówczas tylko trzy dni i tylko we Lwowie. Teraz (listopad 1999) odbyłem wyczerpującą trasę. W ciągu dziesięciu dni przebyłem cztery tysiące kilometrów pociągami, autobusami i pieszo. Odwiedziłem trzy najistotniejsze punkty Ukrainy: Ukrainę Zachodnią (Lwów), Ukrainę Wschodnią (Kijów) i Krym. Te trzy miejsca tego samego kraju, to trzy różne światy z odmiennymi problemami, innym rozkładem sił politycznych i o innych proporcjach narodowościowych. Byłem w bardzo ciekawym momencie, między dwoma turami wyborów prezydenckich. Zmęczyłem się, nie wyspałem, schudłem o parę kilo (tego akurat nie żałuję) ale zobaczyłem fascynujący kraj, kraj z jednej strony tak bardzo nam bliski, a z drugiej, tak bardzo nam nieznanym, momentami niemal egzotyczny.

Gdy jedzie się z Warszawy na wschód, trudno nie oprzeć się wrażeniu, że cofamy się w czasie, że zmierzamy do Europy B. Wszystko na tym kierunku jest jakieś tandetne, obskurne: autobusy, pociągi, przejścia graniczne i traktowanie ludzi. Podróż na Ukrainę to ciągle wyprawa raczej dla takiego trampa jak ja, niż dla ludzi lubiących wygodne hotele i dobre drogi. Je się kiepsko, mieszka biednie, podróżuje niewygodnie. Jednak my Polacy stanowczo powinniśmy ten kraj lepiej poznać, bo znaczenie tego co się dzieje na Ukrainie jest dla nas trudne do przecenienia.

Ukraina, w co wierzę, będzie naszym strategicznym sojusznikiem, ale gdyby źle poszło, w co nie wierzę, może też być naszym strategicznym wrogiem. My musimy ją znać i rozumieć, bo jednym nie będzie dla nas na pewno, nie będzie krajem mało ważnym.

### Rawa Ruska – Hrebenne

Przyjechałem na dworzec autobusowy Warszawa Zachodnia dużo za wcześnie. Mam prawie godzinę do odjazdu. W pustawej poczekalni kilkunastu podróżnych oczekujących na ten sam, co ja autobus. Jestem w tej grupie jedynym Polakiem. Pół godziny przed odjazdem pojawiają się rekieterzy. Bandyckie mordy nie zostawiają złudzeń, kto przyszedł. Chodzą w pięciu, zachowują się w wyzywająco. Gdzie jest policja? Co za głupie pytanie, przecież wiem gdzie jest. Łapie kierowców na pobliskim rondzie. Tam można „zarobić na śniadanie” a z ochrony obywateli Ukrainy przed bandytami nie ma żadnego „pożytku”.

Autobus Warszawa – Lwów przypomina standard podróży polskiego PKS-u z czasów Gierka a nie linii międzynarodowej. Coś w rodzaju starego Autosanu. Siedzenie powinno się rozkładać, ale mechanizm nie działa. Wiercę się całą noc próbując znaleźć pozycję umożliwiającą sen i rano mam kręgosłup pogięty w chiński paragraf.

Przed granicą gigantyczny korek. Tiry stojące „na skóśkę”, ogromna liczba samochodów osobowych z załadowanymi przyczepami. Ciągnie się to kilometrami. Na przejściu granicznym w

Hrebennem panuje ogromny ruch, a droga do przejścia wąska jak u chłopa na pole. Bardzo stąd daleko do Europy, a właściwie to wyznik zderzenia Polski B z Europą B.

Wreszcie przebijamy się pod pierwszy szlaban i stoimy. Ciemno, w budce koło szlabanu ktoś siedzi, ale nie uważa za stosowne do nas wyjść. Po półgodzinie pojawia się żołnierz i leniwie podnosi szlaban. Przepuszcza kilkanaście samochodów. Do autobusu wchodzi cywil i mówi:

– No, dawajcie po złotówce na ekologię.

Co za „ekologia” do cholery? Z kwitu, który dostaję, wynika, że opłatę (nie bardzo wiadomo za co) wprowadził samorząd miejscowej gminy. Bardzo bym chciał zobaczyć podstawę prawną tej opłaty. Niby to tylko złotówka, ale granicę przekraczają w tym miejscu tysiące ludzi dziennie. Muszą się z tego robić ogromne sumy. Czy samorząd gminy ma prawo ustanawiać opłaty graniczne?

Ale rychło dowiaduję się, że jestem w miejscu, gdzie „się płaci” bez szemrania, najpierw rekieterom, potem za „ekologię” a potem...

Do autobusu wchodzi polski oficer Straży Granicznej.

– Dawajcie po sto złotych

Cały autobus milczy, tylko ja jestem po polsku bezczelny.

– Za co?

– Za to, żeście nie byli na wyborach!

Wszyscy się śmieją. To był tylko żart, ale widzę, że Ukraińcy wcale nie byli tego pewni.

Zaczyna się sprawdzanie paszportów i meldunków. Obywatele Ukrainy w czasie pobytu w Polsce muszą być zameldowani i jest to sprawdzane przy wyjeździe. I tu znowu moje zdziwienie. Skąd

te meldunki? Wymóg Unii Europejskiej? O ile wiem w żadnym z krajów Unii nie ma obowiązku meldunkowego. Zwiedziłem wiele krajów, od bardzo biednych do bardzo bogatych, nigdzie nie musiałem się meldować i nikt tego nie sprawdzał na granicy. W czasie pobytów na Ukrainie też nikt nie kazał mi się meldować.

Kilkanaście lat temu Amerykanin, z którym wędrowałem przez Nepal, gdy dowiedział się, że w Polsce istnieje obowiązek meldunkowy,

powiedział: „w wolnym kraju meldować się muszą tylko przestępcy zwolnieni za kaucją, a wolny człowiek mieszka gdzie chce”. Tymczasem u nas obowiązek meldunkowy, ta wymyślona przez Lenina *propiska*, nie tylko nie zniknął razem z systemem, z którego pochodzi, ale nawet zaczyna być rozciągany na cudzoziemców.

Kilku Ukraińców nie ma kwitków zameldowania. Są pojedynczo wzywani do budki. Później kierowca zbiera od nich jakieś pieniądze do czapki.

– To formalny mandat, czy do kieszeni – pytam mojego sąsiada, gdy już jedziemy dalej.

– Podobno mandat, ale ja myślę, że do kieszeni.

Jak jest naprawdę nie wiem. Ale, jeśli to mandat, to czemu pieniądze zbiera kierowca? I czemu od wszystkich łącznie. O ile wiem mandaty są w Polsce imienne.

– Dostaliście jakieś pokwitowania – pytam sąsiada.

– Nie. Może kierowca dostał.

Może kierowca dostał, ale przecież nie kierowca płacił.

Dwa lata temu jechałem na Ukrainę pociągiem do stacji Rawa Ruska a dalej autobusem do Lwowa. Jechali ze mną: Sasza, młody chłopak z Sewastopola i Dysydent, facet w moim wieku, który rzeczywiście za czasów komunistycznych był dysydentem. Wtedy dla odmiany oglądałem osobliwości odprawy ukraińskiej.

Sasza wiół z Polski komputer dla sewastopolskiej grupy Amnesty International. Zaopatrzony był we wszystkie niezbędne kwity świadczące o tym, że wiezie komputer dla międzynarodowej organizacji, a nie dla siebie.

– Nie dawaj się, nic nie powinieneś płacić – instruował go przed granicą Dysydent, ale gdy przyszło

do odprawy Dysydent zachowywał bezpieczną odległość od całego zdarzenia.

I znowu ja byłem po polsku bezczelny. Tkwiałem w przedziale, i mimo aluzji żołnierza, nie chciałem sobie pójść.

Chcąc nie chcąc żołnierz stara się wyłudzić pieniądze przy mnie. Zaczynają się gadki: że cła wprawdzie niema, ale „jakoś sprawę załatwić trzeba”, że cła niema, ale „jakaś opłata musi być”, „to może da się załatwić” itd. Sasza jest jednak twardy – jest *bumaga* i nic nie trzeba płacić.

Skąd ja znam takie gadki? Z polskiej policji drogowej – „mandatu nie wymierzimy, panie kierowco, ale jakaś kara musi być”, czyli przekładając z polskiego na nasze „daj pan stówę i będziemy kwita”. Dialogi na cztery nogi i portfel są doprawdy międzynarodowe.



Pociąg do Rawy Ruskiej przypomina osobowy z czasów Gomółki. Staje chyba na każdej stacji. Tłok koszmarny, jacyś rozrabiający pijani żołnierze na przepustce i inne podobne atrakcje. O stacji Rawa Ruska czas zapomniał. Końcowy przystanek autobusu do Lwowa to zwykły wybrukowany plac manewrowy i nic więcej. Autobus wygląda jakby się miał zaraz rozlecieć. To jeszcze taka stara sowiecka konstrukcja na bardzo wysokim zawieszaniu z terenowym ogumieniem. Droga do Lwowa nie była reperowana chyba od dwudziestu lat. Dziura na dziurze. W tłoku, na stojąco trzęsiemy się na wybojach przez dwie godziny, choć to tylko siedemdziesiąt kilometrów. Polska sąsiaduje z niepodległą Ukrainą już prawie dziesięć lat, a ciągle oba kraje odwrócone są od wspólnej granicy plecami.

### **Granica nieporozumień**

Polska niedawno uszczelniła swoją wschodnią granicę spełniając wymogi Unii Europejskiej. Staram się tłumaczyć lwowskim politykom, że musieliśmy tak zrobić, że integracja z Unią jest dla nas ważna i niestety musimy się godzić też na rozwiązania, które niekoniecznie nas cieszą. Oczywiście rozumieją to, ale w rozmowach przebija ciągle jakiś podskórny żal. Tłumaczą mi ile straciliśmy, my Polacy, na zahamowaniu handlu bazarowego. Nie mówią, że, oni Ukraińcy, stracili dużo więcej, ale przecież o tym wiem. Przybysze z Ukrainy i Białorusi kilkakrotnie już byli wydalani z Polski za „cel pobytu niezgodny z deklarowanym”, czyli za bazarowy handel lub pracę w naszym kraju. Rzecz w tym jednak, że oni nie mogą zadeklarować na granicy takiego celu pobytu. Nasz kraj, w którym ciągle istnieją bazy dla cudzoziemców, jak warszawski Stadion, w którym ciągle zatrudnia się masowo Ukraińców i Białorusinów na budowach, nie daje im żadnej możliwości by robili to legalnie. Teoretycznie załatwienie pozwolenia na handel lub pracę jest możliwe, ale formalne utrudnienia są tak poważne, że stawia się przed tymi ludźmi alternatywę: na czarno albo wcale.

Tymczasem dla obywateli Ukrainy i Białorusi praca i handel w Polsce to niemal być, albo nie być. Ci ludzie po prostu nie mają szans odbić się od nędzy we własnym kraju. Zaopatrzenie rynku na Ukrainie pochodzi też w znacznym stopniu z tego, co zostanie przywiezione z Polski w starych niemiłosiernie przeładowanych ładach i zaporozcach z równie niemiłosiernie przeładowanymi przyczepkami. Widziałem całe kilometry takich pojazdów czekających pokornie pod granicą. W środku zmęczeni, skuleni na mrozie ludzie. W Polsce najczęściej myśli się o nich jako o „handlarzach ze wschodu”. Gdy niedawno ukradziono mi samochód spod domu, jeden z sąsiadów powiedział: „bo wie pan, na tych budowach w okolicy to Ukraińcy

pracują”. Prosty schematyzm myślenia utożsamiający tych co pracują z tymi co kradną. Czy nie potrafimy zobaczyć w nich ciężko pracujących ludzi, którzy wbrew wszystkiemu ciągną swój kraj do Europy, choćby przez to, że nie chcą podporządkować się powszechnemu poczuciu beznadziei?

Doprawdy krótką mamy pamięć, bo jeszcze niedawno to my królowaliśmy na bazarach Europy i Azji a sklepikarze i hotelarze z dzielnicy Pahargandj w Delhi uczyli się mówić po Polsku: „nie ma dziura, nie ma plama”, zaś w Polsce na łózkach składanych pod Domami Centrum oferowano indyjską bawełnę. Dziś walizkowi „przewalacze”, którzy gnieździli się u Kumara w hotelu „Relax”, najgorszym ale i najtańszym zapluskwionym hotelu na Nehru Bazaar, obrośli w indyjskie sklepy i drażni ich, że na Stadionie „Ruskie handlują”. Tymczasem, po upadku Berlińskiego Muru, centrum handlu Wschodu z Zachodem przeniosło się z Berlina Zachodniego do Warszawy, a na Main Bazaar i Nehru Bazaar język polski został zastąpiony rosyjskim.

Obywatel Ukrainy jadący do Polski musi okazać na granicy dwieście dolarów. To dla nich bardzo poważna bariera. Dla wielu Ukraińców jest to roczna pensja. W drodze powrotnej, znowu na przejściu w Hrebennem, obserwowałem taką scenę: polski oficer Straży Granicznej sprawdzał paszporty i pieniądze na pobyt.

– Paszporty na stronie ze zdjęciem i pieniądze w garści – zapowiada, po czym – Znowu jedziesz? Za dwieście dolarów ciągle tych samych?

– No, tyle mam mieć – broni się Ukrainiec.

– Dwieście dolarów uprawnia do dziewięciodniowego pobytu w Polsce, a ty siedzisz już w Polsce pół roku! Załatw sobie zaproszenie, bo więcej nie pojedziesz!

Przechodzi do następnego:

– Co znowu jedziesz? Do wujka czy do ciotki tym razem? A ta ładna pani do kogo jedzie? Do dziadka? Dużo masz tych dziadków co do nich ciągle jeździsz.

Rzecz charakterystyczna, do obywateli polskich nasi pogranicznicy mówią na „pan”, a do Ukraińców, niezależnie od płci i wieku, na „ty”. Jednak mimo tego groźnego poburkiwania: „no gdzie pracujesz, wizę powinienes mieć”, wszyscy granicę przekroczyli. Obyło się nawet bez „dialogów na cztery nogi i portfel” i to na obu odprawach.

Jurij, deputowany do rady miejskiej Lwowa, mimo pewnego żalu do Polski za uszczelnienie granicy, wyraża też pewne zrozumienie dla naszej polityki.

– Polacy muszą granicę uszczelnić ze względu na wymogi Unii, a ze względu na dobre stosunki z Ukrainą, nie za bardzo tych

ograniczeń przestrzegają. Niezbyt rygorystyczne przestrzeganie tych przepisów to najlepsze wyjście dla obu stron.

### **Trzecia ręka i łyczkowska awantura**

Wszyscy ukraińscy politycy, z którymi rozmawiałem, „kuczownicy”, monarchiści, Tatarzy Krymscy, nawet komuniści (o dziwo) przyznawali, że dobre stosunki z Polską to strategiczny interes Ukrainy. Nie rozmawiałem tylko z *czarnosotieńcami* i innymi ultranacjonalistami, ale w Polsce też żaden zagraniczny dziennikarz nie robi wywiadów ze skinami.

Nie do uniknięcia był temat Cmentarza Łyczakowskiego i związanego z nim konfliktu. W jednym byliśmy zgodni, w rozdmuchiwaniu konfliktów polsko-ukraińskich miesza z pewnością trzecia ręka, a głupi ludzie po obu stronach granicy dopełniają reszty. Mieliśmy nawet zgodność poglądów co do lokalizacji tej trzeciej ręki. Gdy spytałem jednego z Lwowiaków o jej adres, powiedział:

– Nie wiem jaki tam adres, ale jak spytasz w Moskwie o Łubiankę, każdy wskaże ci drogę.

Z Alikiem i Swetą oglądam Cmentarz Orląt na Łyczkowie. Niedawny konflikt dotyczący napisu na pomniku „Polskim wojakom” komentują oni zupełnie inaczej niż polska prasa.

– Ktoś chciał dobrze, a wyszło jak zawsze. Ktoś wyrwał się przed szereg i zrobił napis bez konsultacji z Polakami. W języku ukraińskim ten napis brzmi całkiem w porządku, a w języku polskim fatalnie. Tu nie było złej woli – mówi Sweta.

– Na szczęście wasz prezydent zachował się bardzo rozsądnie i nie dopuścił do rozdmuchania sprawy – dodaje Alik.

Muszę przyznać, że Aleksander Kwaśniewski, który nie jest moim idolem, ma na Ukrainie bardzo dobrą opinię i zdecydowanie robi dobrą robotę dla Polski. Spotykałem się wielokrotnie z wyrazami uznania pod jego adresem.



„Cmentarz Orłąt” na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie – fot. Krzysztof Łoziński

Cały konflikt wokół Cmentarza Orląt jest mocno sztuczny i niepotrzebny. Uważam, że rozdmuchiwanie historycznych urazów jest sprzeczne z racją stanu zarówno Polski, jak i Ukrainy. Historię pora już zostawić historykom. Pora żyć dniem dzisiejszym i zrozumieć, że zawsze będą we wspólnej historii karty czytane odmiennie. Musimy ułożyć sobie stosunki z sąsiadami, dla których Chmielnicki nie był potworem, a UPA to nie były „bandy”. Musimy po obu stronach granicy studzić gorące głowy i zgodzić się na to, że będziemy mieli polski cmentarz wojskowy we Lwowie,

ale nie domagajmy się, by wybudowano panteon chwały oręża polskiego na Ukrainie.

Strona ukraińska stara się zrównoważyć drażliwą wymowę Cmentarza Orląt budując obok niego pomnik poległych w tym samym konflikcie Ukraińców, z tym, że tam nie ma grobów. Polacy chowali swoich zabitych na Łyczakowie, chowali tam także zmarłych dużo później weteranów tego konfliktu. Ukraińcy chowali swoich zabitych w różnych miejscach, więc ich grobów na Łyczakowie nie ma.



Kompletnie zaniedbany i zapomniany cmentarz powstańców 1863 roku na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie – fot. Krzysztof Łoziński

O tym jak sztucznie rozdmuchiwany jest konflikt wokół tego cmentarza świadczy następujący fakt. Na samej górze Cmentarza Łyczakowskiego znajduje się cmentarz Polaków poległych w Powstaniu Styczniowym. Jest kompletnie zaniedbany i zarośnięty. Skromne,

proste krzyże wśród drzew i pomnik, którego nikt nie odwiedza. O ten cmentarz nikt się nie awanturuje.

Zastanawiająca jest dysproporcja historycznej wagi wydarzeń, związanych z obydwojoma polskimi cmentarzami na Łyczakowie, z emocjami jakie im towarzyszą. Ja wiem, że jak pisał Baczyński „krew ta sama spod czaka czy hełmu”, ale niewielki tragiczny incydent, którego ofiary leżą na Cmentarzu Orląt, ma zupełnie inną historyczną wagę niż powstanie 1863 roku.

Skąd taka dysproporcja emocji? Czyżby stąd, że cmentarz powstańców 1863 roku nie drażni Ukraińców i nie da się na jego tle tworzyć polsko-ukraińskiego konfliktu tak potrzebnego trzeciej ręce z adresem na Łubiance? A interes tej trzeciej ręki zupełnie jasno określają ukraińscy politycy, z którymi rozmawiałem: „Rosja wie, że bez Ukrainy nie da się odbudować imperium”.

Dobrze by było, by gorące głowy w Polsce też miały taką jasność, komu i po co ten konflikt jest potrzebny. To samo dotyczy ciąglego podgrzewania atmosfery wokół katedry w Przemyślu, historii Wołynia, UPA, Akcji Wisła... Zastanówcie się popędliwi rodacy w czyje tu karty gracie i czy na pewno chcecie w nie grać.

### **Własowiec-Ukrainiec i Żyd-komunista**

Dużo złej krwi w polsko-ukraińskich emocjach czyni bezmyślność i nieznajomość historii.

Niektórzy nasi rodacy mawiają: Lwów to polskie miasto. Nieprawda. Może tak było kiedyś, ale teraz już nie i dobrze jest o tym pamiętać. Lwów jest miastem ukraińskim, choć do dziś mieszka tu wielu Polaków i nie polaków mówiących po polsku. We Lwowie mieszka też wielu Rosjan i Ormian. Miewałem takie rozmowy, że ja mówiłem po polsku, jeden mój rozmówca po ukraińsku a drugi po rosyjsku i wszyscy się rozumieliśmy.

– Ja sama nie wiem, kto ja jestem – mówi Natalia

– Ojciec Rosjanin, matka Tatarka, mieszkam na Ukrainie i mówię po polsku.

Takich ludzi też jest tu wielu. Wszyscy nauczyli się żyć w tej mieszaninie narodów i języków. Na co dzień nikomu to nie przeszkadza.

Rozmawiam z grupą tutejszych dziennikarzy. Na początku rozmowa jest nieco sztywna, ale po paru piwach ujawniają się różne żale.

– Dlaczego Polska pomaga na Ukrainie tylko Polakom? – pyta jeden z nich – Wyobraź sobie wieś, w której mieszka 30 Polaków i 2 tysiące Ukraińców. Polacy mają pomoc z zagranicy i wielki nowy kościół, a Ukraińcy starą rozpadającą się cerkiew i biedę. To prosta droga do antagonizmu. Czy nie lepiej pomagać wszystkim?

Myślę że lepiej pomagać wszystkim. Myślę, że często nasze działania podejmowane ze szlachetnych pobudek, bywają nie do końca przemyślane. We Lwowie jest wielki polski kościół katolicki. Większość tutejszych katolików to Ukraińcy, ale msze są tylko po polsku. O to też mają do nas żal.

Ale i my miewamy żale nie do końca uzasadnione. W Sewastopolu spotkałem Polaka, który pokazał mi polski katolicki kościół przerobiony na kino. Zachrystię przerobiono na publiczny szalet. Władze miasta nie chcą tego kościoła oddać. Ale dlaczego nie chcą? Bo są zdominowane przez komunistów, w ogromnej części Rosjan. A te przebudowy to przecież dzieło ZSRR. Czy słuszne jest tu kierowanie żalów do Ukraińców?

Polakom znak trizuba kojarzy się z UPA, a UPA kojarzy się wyłącznie z walką przeciw Polsce, choć prawda historyczna jest znacznie bardziej skomplikowana. Pokolenie moich rodziców pamięta oddziały SS RONA, które pacyfikowały Powstanie Warszawskie i mimo że służyli w nim Rosjanie, całą tą formację nazywa się „Ukraińcami”. A przecież skrót RONA oznacza: *Ruskaja Oswoboźdiennja Narodnaja Armia* – czyli *Rosyjska Wyzwoleńcza Narodowa Armia* – rosyjscy narodowcy, a nie Ukraińcy. Błąd powstał zapewne dlatego, że większość Polaków w 1944 roku nie znało ani języka rosyjskiego, ani ukraińskiego i po rzezi na Wołyniu odruchowo okrutne oddziały SS nazwało „Ukraińcami”. Prawie nikt w Polsce nie pamięta natomiast o ośmiu milionach żołnierzy narodowości ukraińskiej walczących przeciw Niemcom w Armii Czerwonej (dwa miliony z nich poległo).

W czasie Powstania Warszawskiego powstał też całkowicie ahistoryczny stereotyp Własowiec-Ukraińiec. Tak ludność Warszawy nazywała SS-manów słynnych z niebywałego okrucieństwa

przy pacyfikacji Woli. A przecież to była rosyjska szumowina, w której byli nawet wynarodowieni Polacy (dowódca nazywał się Bolesław Kamiński i był Polakiem). Armia Własowa tymczasem składała się z Rosjan (a nie Ukraińców), nigdy jej nie było na terenie Polski a jedyne bój jaki stoczyła, to było wygonienie Niemców z Czeskiej Pragi. W nagrodę za to Amerykanie wydali Własowców Stalinowi a ten posłał ich zaraz na Kołymę, skąd już przeważnie nie wrócili. Mimo to weteranom Powstania Warszawskiego bardzo trudno wytłumaczyć, że ten stereotyp jest błędny. To pokolenie zapamiętało straszne wojsko Kamińskiego jako wyłącznie Ukraińców i najczęściej nie dopuszcza do siebie informacji, że zapamiętało źle.

Stereotyp Ukraińca sojusznika Niemców hodowała też pracownice propagandy PRL, mimo że Ukraina była częścią bratniego Sojuza. Powstawały różne grafomańskie dzieła i filmy, „Łuny w Bieszczadach”,

„Wilcze echa”. Bohaterami mieli być Gerhard i generał Świerczewski „Walter”,

co się „kulom nie kłaniał” (kłaniał się za to Stalinowi i NKWD). Ukraińcom przewidziano rolę szwarcharakterów.

W efekcie tego wszystkiego Ukraińcy mają w polskiej opinii najgorsze możliwe notowania. Czas by zacząć zmieniać ten stereotyp.

Gdy kilka lat temu redagowałem wspomnienia Polaków, którzy w 1939 roku, po wkroczeniu Armii Czerwonej, prosto ze Lwowa pojechali do łagrów nad Peczorą, zetknąłem się kilkakrotnie ze stwierdzeniami, że NKWD pomagali w aresztowaniach lwowscy Żydzi. Taki stereotyp Żyda komunisty jest mocno zakorzeniony w polskiej świadomości. I tu jednak historia jest bardziej skomplikowana.

W międzywojennej Polsce wielu Żydów, zwłaszcza młodej żydowskiej inteligencji, sympatyzowało z komunizmem. Ci ludzie najczęściej mieli o komunizmie zupełnie błędne wyobrażenia. To był nieistniejący w realnej rzeczywistości komunizm romantyczny, na który chorowała w tamtym czasie znaczna część europejskiej inteligencji. Chorowali na to zresztą głównie Francuzi i Włosi (do dziś im to zostało), ale Żydom to się pamięta. Szkoda jednak, że nie pamięta się dalszych losów lwowskich Żydów.

Rzeczywiście po wkroczeniu Armii Czerwonej garstka żydowskich komunistów współpracowała z NKWD. Stanowili oni jednak margines żydowskiej społeczności i nie uchroniło ich to przed strasznym losem całego narodu, który zgotował im nie tylko Hitler, ale także i Stalin.

Gdy wojska niemieckie i sowieckie, podzieliwszy Polskę, stanęły naprzeciw siebie, początkowo przepuszczały w obie strony tej niby granicy ludność cywilną. W pewnym momencie Sowieci zaczęli zwracać cywilów do strefy niemieckiej. Polscy Żydzi w kilku miejscach granicy znaleźli się w pułapce. Nie mogli dostać się do strefy sowieckiej a i Niemcy nie wpuszczali ich z powrotem. Na wąskim pasie ziemi niżej tysiące ludzi koczowało umierając z głodu.

Wkrótce też ujawnił się prawdziwy stosunek świetlanego systemu do Żydów na zajętych terenach, w tym we Lwowie. Nie tylko Polacy ale i Żydzi szybko zasilili łagry w Kazachstanie, na Kołymie i w Republice Komi. W tym także komuniści obu narodowości. To było brutalne zderzenie komunizmu romantycznego z rzeczywistym.

Część Żydów została jednak we Lwowie i w okolicach. Po wkroczeniu Niemców znaleźli się we lwowskim gettcie, skąd wywożono ich do komór gazowych. Nieliczne niedobitki, które przetrwały i tą opresję, doczekały powrotu Armii Czerwonej i NKWD, które wywiozło ich



prawie wszystkich na Kołymę, kontynuując dzieło niedokończone z powodu wkroczenia Niemców.

Życie tych którzy ocalili w późnym Sojuszu też nie było słodkie. Nie pozwolono odbudować żadnej synagogi. Nabożeństwa odprawiano w prywatnym mieszkaniu. Nie było żydowskich szkół.

Przed wojną Lwów był miastem w dużym stopniu żydowskim. Dziś zostały tylko puste miejsca po zniszczonych synagogach i pomnik getta upchnięty byle jak między jakąś fabryką a wiaduktem kolejowym. Usytuowanie tego pomnika sprawia wrażenie, że Sowietci postawili go bo musieli, ale jednocześnie postawili go w takim kącie, by im ta zawalidroga nie przeszkadzała i nie kłuła w oczy. Przechodziłem koło tego pomnika kilkanaście razy zacząłem skojarzyłem, że to jest pomnik lwowskiego getta.

Przeżyłem we Lwowie drobny incydent, który skupia jak w soczewce sedno lwowsko-polskich spraw. Na jednym ze straganów starsza kobieta sprzedaje różne wisiorki. Spostrzegam leżące obok siebie trzy naszyjniki. Jeden ozdobiony polskim orłem, drugi trizubem a trzeci gwiazdą Dawida.

– Specjalnie je pani obok siebie położyła? – pytam.

– No leżą obok siebie, no to co?

No właśnie, niech są obok siebie, i „no to co”, i tak trzymać.

### **Ukraińiec przestępca**

W Polsce rozpowszechniony jest stereotyp Ukraińca-przestępcy. W przekonaniu sporej części moich rodaków samochody w Polsce kradną „Roskie”, a pod tym pojęciem rozumie się nie tylko Rosjan ale także Białorusinów i Ukraińców.

– W Polsce ujawnia się zaledwie kilka przestępstw rocznie dokonanych przez obywateli Ukrainy – mówi Jurij – a mimo to Ukraińców obarcza się główną odpowiedzialnością za przestępczość. Zobacz jak wasza policja traktuje naszych kierowców. Jak potencjalnych przestępców. Samochody z ukraińską rejestracją są w Polsce ciągle zatrzymywane.

– Rozmawiałem kiedyś o tym z waszym ambasadorem – mówię – problem jest szerszy, bo i wasza milicja szczególnie czepia się polskich samochodów. Ambasador mówi, że to problem dołów. Szefostwa obu policji, gdy się spotykają, to jest pełne zrozumienie, a krew psują funkcjonariusze na samym dole. A ja myślę, że problem jest zupełnie prozaiczny. Szanowni pomilicjanci wszystkich pokomunistycznych krajów są przyzwyczajeni do wyłudzenia pieniędzy od kierowców a wiedzą, że od cudzoziemców wyłudza się łatwiej. Znam też zjawisko polowania na polskich kierowców przez milicję czeską.

Wschodnia przestępczość, którą zauważają Polacy, jest głównie przestępczością przygraniczną. Moi ukraińscy znajomi prawie za każdym razem, gdy przyjeżdżali do Polski, mieli jakieś incydenty z rekie-terami. Szczególne szczęście miał do tego Andrij, ale i Alikowi się oberwało na Dworcu Centralnym.

Andrij wykonał gigantyczną pracę. Przetłumaczył Małą Encyklopedię PWN na język ukraiński, uzupełniając ją jeszcze nowymi hasłami dotyczącymi Ukrainy. Jest z tego wyraźnie dumny. Mówi, że wolnej Ukrainie brakowało takiego wydawnictwa.

- Ale całe honorarium mi ukradli – mówi.
- Gdzie?
- W pociągu do Rawy Ruskiej.

Przyszedł konduktor i kazał mu dopłacić do biletu. Zobaczył przy tej okazji, gdzie Andrij ma pieniądze. Później, gdy Andrij siedział sam w przedziale (w pobliżu granicy pociąg jest prawie pusty), dostał gazem po oczach i tyle widział swoją wypłatę.

W wyobrażeniu Polaków Ukraina jest krajem tak niebezpiecznym, że istna groza. Po powrocie parę osób pytało mnie, czy nie bałem się tam jechać. Muszę stwierdzić, że nie tylko się nie bałem, ale wręcz nie widzę żadnego powodu do specjalnego strachu. Chodziłem po kilku miastach z bardzo drogim, jak na ukraińskie warunki, aparatem fotograficznym i nie tylko nikt na mnie nie napadł, ale też nie spotkałem się z żadną zaczepką. Oczywiście są tam, jak w każdym kraju, miejsca gdzie rozsądni ludzie nie spacerują po zmroku, ale takie miejsca są i u nas.

Oczywiście, jak w każdym biednym kraju, cudzoziemiec jest obiektem szczególnego zainteresowania przestępców, ale z tym strasznym zagrożeniem, to straszna przesada. Dużo większe niebezpieczeństwa czekają na cudzoziemców w Tajlandii czy w Indiach, a przecież masę ludzi tam jeździ. Nie ma żadnego powodu, by unikać Ukrainy.

Na Ukrainie istnieje przestępczość zorganizowana, której zwalczanie może być w przyszłości dużym problemem. Mafia zajmuje się kradzieżami samochodów, przemytem oraz handlem ludźmi. Nie należy jednak i tego zjawiska wyolbrzymiać. To nie jest ta skala zjawiska, co w Rosji, gdzie mafia zaczyna kontrolować całe dziedziny gospodarki i wkrótce może nawet zagrozić państwu. Skala działania mafii ukraińskiej nie jest większa niż podobnych organizacji przestępczych w innych krajach.

Jurij, który oprowadzał mnie po Sewastopolu, mówi, że naprawdę niebezpiecznie było kilka lat temu, gdy formujące się gangi walczyły o przejęcie majątku upadających przedsiębiorstw państwowych i o strefy wpływów. W tej chwili wszystko się uspokoiło, a wielu

gangsterów przeszło do prywatnego biznesu i wtopiło się w klasę „nowych Ruskich” i „nowych Ukraińców”, czyli takich biznesmenów, co muszą nosić koszule z długim rękawem, by zakryć tatuaże.

Zjawisko przemycaenia na Ukrainę samochodów kradzionych w Polsce lub w Niemczech istnieje, ale jego skala nie jest tak duża jak polska fama głosi, bo ten rynek jest po prostu za biedny. Zbyt mało jest na te samochody potencjalnych kupców. Zupełną już bzdurą jest nasze przekonanie, że Ukraińcy kradną w Polsce samochody. Powiedzmy sobie uczciwie, że w Polsce kradną przede wszystkim Polacy.

Poważnym problemem jest przemyt ludzi. Słyszałem kilka opowieści, o tym jak mafia przemyca nielegalnych emigrantów. Często zresztą wcale ich nie przemyca, tylko wyłudza pieniądze. Grupę emigrantów z Indii wożono na przykład cały dzień zamkniętym samochodem dostawczym bez okien dookoła kilku wsi, po czym przestępcy wysadzili ich w lesie, mówiąc że już są w Niemczech. Hindusi, którzy wcześniej już zapłacili za usługę, dostali od przestępców adresy, pod które mieli się udać, oczywiście w Niemczech. Musieli za te adresy dodatkowo zapłacić, a gdy rzekomi przemytnicy odjechali, Hindusi zorientowali się, że nadal są na Ukrainie i to prawie w tym samym miejscu.

Istnieje też prawdziwy handel żywym towarem. Gdy jechaliśmy pociągiem ze Lwowa do Semferopola, Sweta opowiedziała mi taką historię:

– Kiedyś jechaliśmy na Krym tym samym pociągiem. W sąsiedztwie od nas jechała grupa ludzi sprzedanych na plantację do Turcji. Wiesz, ten cały handel ludźmi do Turcji odbywa się właśnie w tym pociągu. Ci ludzie strasznie pili i całą noc rozrabiali. Nie mogliśmy przez nich spać. Oczywiście oni jechali z nami w *plaskartnym*, a ten co ich konwojował w *kupiejnym*.

Muszę tu wyjaśnić o co chodzi. Na Ukrainie jest kilka rodzajów wagonów sypialnych. Najtańszy jest tak zwany *wobszczyj wagon*, czyli wagon sypialny bez przedziałów, zjawisko znane każdemu, kto podróżował po ZSRR, a wśród *wobszczych wagonów* najtańszy jest *plaskartny*, czyli twarde prycze. *Kupiejny*, to wagon z przedziałami przypominający nasze kuszetki.

– Już w pociągu zabrali im paszporty – kontynuuje opowieść Sweta – No to oni byli już dobrze sprzedani, jak im zabrali paszporty już w pociągu. Oczywiście na plantację, nie do burdelu. Te baby, co tam były, nie nadawały się do burdelu. No i oni tak strasznie pili, aż jeden z nich zaczął się awanturować i koniecznie chciał z kimś się bić. Jak chciał, to chętnych szybko znalazł. Wyszedł z nimi gdzieś na zewnątrz i tam obili mu mordę aż była sina. Ale on się dalej awanturował

i obsługa pociągu wezwała milicję. Milicja wysadziła go z pociągu na jakiejś stacji. Wtedy ten, co ich konwojował, przyszedł ze swojego *kupieznego* i strasznie się zdenerwował, bo przecież ten człowiek był już zapłacony i nie mogło go zabraknąć. No więc ten konwojent zaczął dzwonić z *mobilnego* telefonu (komórkowego) i tego z siną mordą przywieźli taksówką na następną stację.

Oczywiście czasem można się natknąć i na takie scenki, ale podróżując pociągiem przez Ukrainę zwykle widzi się scenki zupełnie inne. Ubodzy ludzie prowadzą ubogi handel i cały ten handel transportują osobowymi pociągami. Na stacjach, w *plaskartym* wagonie odbywa się ożywiony ruch. Ludzie wnoszą i wynoszą ogromne torby, kartony a nawet po kilka worków ziemniaków i cebuli. To jest ta mniej malownicza, ale za to bardziej typowa rzeczywistość.

### Waląca się perła

Lwów jest perłą architektury, mówią jedni. Lwów był perłą architektury, bo teraz się wali, mówią drudzy.

Zabytki Lwowa są w ogromnej większości w oplakanyam stanie. Miasto nie ma pieniędzy na ich renowację, a międzynarodowe organizacje z pomocą się nie spieszą. Miasto zresztą nie ma pieniędzy niemal na nic.

Z pięknych renesansowych kamieniczek lwowskiej starówki sypią się tynki, odpadają gzymsy. Gdziekolwiek widać jakieś niemrawe prace remontowe, ale technologie budowlane niemal muzealne (drewniane rusztowania itp.). Dwa lata temu zaczęto wyburzać dwie kamienice za pomnikiem Mickiewicza. Od Andrija uzyskałem informację, że decyzję o wyburzeniu i odbudowie podjęto, bo zaczynały walić się stropy. Inny z Lwowiaków mówi: „Wszystko się zawaliło, tylko ściany zewnętrzne zostały”. Po dwóch latach trwa ciągle wyburzanie. Odbudowy nie zaczęto.

Spod sypiących się tynków miejscami wylaniają się napisy przedwojennych polskich szyldów. „Tu jest nafta i świece” czytamy w miejscu, gdzie odpadła farba. Bardzo to wzrusza nielicznych polskich turystów, ale nie cieszy Ukraińców. Oni widzą, że farba i tynk odpada, a nie powód do wzruszeń.



Spod odpadających tynków na lwowskiej starówce wychodzą przedwojenne polskie szyldy – fot. Krzysztof Łoziński

Władze miasta wpadły na pomysł, by zapędzić do renowacji najemców lokali użytkowych. Właścicielom sklepików i kawiarenek stawia się warunek: wynajmiemy ci lokal, ale odnowisz elewację parteru. Efekty bywają dziwne. Przeważnie polega to na pomalowaniu samego tylko parteru różową lub „majtkową” niebieską farbą. Reszta kamienicy sypie się dalej. Widziałem też całkiem porządne partery. Kawiarenka niemal jak na Zachodzie. Plastikowe okna, równiutkie tynki, nawet płyty chodnikowe zastąpiono ozdobną kostką brukową. Wystrój wnętrza też bardzo przyzwoity i z gustem, ale reszta kamienicy sypie się jak zwykle. Taki wyremontowany parter to przeszczep z innego świata.

– Nie narzekaj – mówi Andrij, wydawca i tłumacz, deputowany do rady miejskiej Lwowa – dobrze, że remontują choć partery. Lepsze to niż nic.

We Lwowie prawie nie sprząta się ulic. Śnieg leży do wiosny tam gdzie spadł. Są problemy z zaopatrzeniem w wodę. Woda w kranach

jest tylko w określonych godzinach rano i wieczorem. W łazienkach i ubikacjach stoją wiaderka z zapasami cennego płynu.

Problem wody jest nowy a zarazem jest ostatnim „prezenterem” komunistycznej gospodarki dla miasta. Z wodą tu zawsze było źle, bo Lwów leży na dziale wodnym. Teraz ujęcie jest na terenie innej gminy, z którą władze miejskie nie mogą się dogadać. O wieczornych kąpielach trzeba we Lwowie zapomnieć.

Są też problemy z prądem. W całych dzielnicach miasta prąd jest okresowo wyłączany. Czasem tylko oświetlenie ulic, ale częściej po prostu wszystko. Gdy byłem tu dwa lata temu, widok zaciemnionych dzielnic był codziennością. Teraz jakoś nie widzę, by prąd wyłączali. Dzielę się tym spostrzeżeniem z Alikiem.

– Zimą będą wyłączać – mówi Alik z jakąś rezygnacją.

– Turyści widzą tylko, że zabytki są zaniedbane, że nie prowadzi się ich konserwacji lub prowadzi zbyt wolno, a my mamy poważniejsze problemy – mówią Lwowiacy.

– Wiem – mówię – mój kraj też jest na dorobku i też ma problemy pustej kasy.

– Tak – mówi Andrij – tylko że Polska na tym dorobku się dorabia, a Ukraina, jakoś nie widać.

– No i są problemy mentalne – wtrąca się ktoś z boku – nie ma na wodę, a jest na pomniki.

W centrum miasta, między operą a pomnikiem Mickiewicza stanął niedawno pomnik Szewczenki. Za postacią Szewczenki, dość dziwny twór, ni to stella, ni to tren ślubnej sukni, ni to ogon pawia. Sterczy to wysoko w górę. Na tym czymś płaskorzeźby, cała plejada historycznych postaci. Ale najciekawszy jest rewers tego tworu. Z dołu do góry korowód postaci. Na dole historia, posuwając się w górę coraz nowsza, a u szczytu popiersia w garniturach – dzisiejsi ukraińscy politycy. „Podpieli się pod Szewczenkę”, śmieją się moi lwowscy przyjaciele.

– Ten to Krawczuk, ten Kuczma, ten Czarnowił – objaśnia mi jakiś przechodzień szewczenkową podpinkę.

Już wiem, to chyba jednak ogon pawia.

Nieco dotacji na odbudowę zabytków Lwowa dają Żydzi z Izraela, których rodziny zginęły w gettcie. Jakoś nie słyszałem by coś sponsorowali Polacy. My odbudowujemy tylko swój cmentarz, obiekt który nie łączy lecz dzieli. A tak dużo się w Polsce mówi i pisze o lwowskich sentymentach. Chyba po raz kolejny źle sprzedajemy nasz wizerunek.

Odwiedziłem księgarnię, o której polscy turyści mówią „polska księgarnia we Lwowie”. Znalazłem tylko jeden polski tytuł. Jaki, nie wspomnę, bo wstyd. Nigdzie na Ukrainie nie można kupić polskich

gazet, choć bardzo dużo ludzi czyta tu po polsku. Nie zależy nam na opinii własnego kraju, czy co?

## Część II

### „Życie nie jest cukrem”

#### Bieda

Alik jest jedną z barwniejszych postaci Lwowa. Był pierwszym hispanem na Ukrainie, zakładał ukraińską organizację Amnesty International, jeździł autostopem do Amsterdamu. Pracuje w operze w dziale technicznym. Zarabia teoretycznie osiemdziesiąt hrywien miesięcznie (hrywna jest mniej więcej równa złotówce), ale w praktyce zarabia jeszcze mniej.

– Płacą mi to dwadzieścia, to trzydzieści hrywien, co dwa, trzy tygodnie – mówi.

– A co z resztą?

– A reszta, to rośnie zadłużenie państwa wobec mnie.

Ceny żywności są na Ukrainie takie same jak w Polsce. Artykuły przemysłowe są nieco tańsze, ale nie bardzo. Tańszy jest transport, bo dwa razy tańsze jest paliwo. Bilety w komunikacji miejskiej kosztują od trzydziestu do siedemdziesięciu kopiejek. Dużo tańsze są takie opłaty jak czynsz, prąd, telefon, bo to wszystko ciągle państwowe i poza rachunkiem ekonomicznym. Dwa razy tańszy jest alkohol. Mimo wszystko osiemdziesiąt hrywien to strasznie mało. A Alik realnie zarabia pięćdziesiąt.

Chodzimy z Alikiem po bazarze i robimy zakupy. Ciut kartofli, ciut pomidorów, ciut jabłek, jakaś wędzona ryba i dziesięć hrywien poszło. Alik chciałby przyjechać na parę dni do Warszawy. Dawniej przyjeżdżał, choć bilet autobusowy na tej trasie to jego miesięczna pensja. Może jego znajomi biznesmeni będą jechać. Może zabrałby się z nimi samochodem i pokazaliby za niego na granicy te nieszczęsne dwieście dolarów, co uprawnia do dziewięciu dni w Polsce. To dla Alika dwadzieścia miesięcy pracy, prawie dwa lata. Dla niego polska granica jest praktycznie nieprzekraczalna.



Tryzub (herb Ukrainy) w pustej portmonetce z napisem: „Najważniejsze już u nas jest”.  
Karykatura ukraińska z 1999 roku

Rozumiem, że wymóg Unii Europejskiej, że musieliśmy granicę uszczelnić, ale czyśmy tu trochę nie przesadzili?

Natalia zarabia sto hrywien we lwowskim muzeum. Natalia i Sweta są „prostymi doktorami filozofii”.

– Zawód mamy dobry, tylko kraj do niego niedobry – śmieje się Sweta – tu lepiej być ślusarzem niż filozofem.

– A myślisz, że mój dużo lepszy? – odpowiadam

– Wy mnie znacie z mojej publicystyki i moich książek, ale ja zarabiam prowadzeniem ciężarówki, bo pisaniem nie zarobiłbym na kapię. W naszej części Europy inteligent to nie status społeczny tylko hobby.



Żarty żartami, ale ja, mimo mojej biedy, zarabiam prawie dwieście dolarów, a nie piętnaście czy dwadzieścia. Jak by nie liczyć. A większość moich rodaków zarabia koło trzystu i więcej. Co więcej wielu obywateli Ukrainy w oficjalnej pracy zarabia tylko teoretycznie. Opóźnienia wypłat o pół roku albo i rok są w wielu instytucjach niemal normą. Sweta mówi, że przez pół roku nie dostaje nic, a potem nagle jakąś większą sumę, ale nie wszystko do końca, co jej się należy. Dorabia lekcjami angielskiego. Wielu ludzi kombinuje, handluje, rozkrada państwowe zakłady, robi fuchy w czasie pracy. Skąd my to znamy?

We Lwowie jest fabryka telewizorów. Takich starych, poradzieckich. W tej chwili nawet w Afryce tego nie chcą. Zakład więc nie pracuje, ale ludzie teoretycznie pracują. To znaczy nic nie robią, albo fuchy robią, pensji nie dostają, a do pracy chodzą. Niemożliwe? A jak u nas przez parę lat było z Ursusem? Czy nie tak samo?

No tak, ale Ursus się burzył, a ludzie na Ukrainie się nie burzą.

– Nawet jak by im kazali dopłacać do chodzenia do pracy, to by chodzili – mówi Natalia.

– Przemysł stoi, to się ekologia poprawiła, bo nie dymi – śmieją się moi znajomi.

Dlaczego ludzie są tacy bierni? Trzeba znać najnowszą historię tego kraju. Rozkułaczenie, wielki głód... Widziałem takie zdjęcie z okresu głodu na Ukrainie: stragan z ludzkim mięsem. Na straganie głowa i korpus młodego chłopca, bez rąk, bo już sprzedane. Za straganem starsza kobieta. Kobieta, jak kobieta, ale oczy niesamowite. Mieszanka przerażenia z rezygnacją. A gdzie jest większość ukraińskiej inteligencji? Gdzie są buntownicze charaktery? W płytkich grobach wiecznej zmarzliny Republiki Komi.

Przypomina mi się książka Piotra Wojciechowskiego „Czaszka w czasce”. Była tam taka scena: młody Kozak pyta starego – „Co będzie dalej? Jak to co? Wiosną zazieleni się step i przyjdzie nowa władza po nowej trawie.” I to jest właśnie to. I te oczy tej kobiety. Filozofia Wschodu na pograniczu Zachodu. Nie ma co się buntować, bo i tak przyjdzie nowa władza po nowej trawie.

Przez siedemdziesiąt lat wmawiano tym ludziom, że praca (i płaca) nie jest dla nich, lecz oni są dla pracy. Praca w tamtym systemie była wartością samą w sobie, a „człowiek pracy”, czym biedniejszy tym godniejszy. Więc oni są niemal dumni z tej biedy.

Rozmawiałem o tym z młodą kobietą siedzącą obok mnie w autobusie powrotnym do Polski. Powiedziałem, że przypomina mi to zjawisko wierszyk, który kiedyś napisał Mrozek ku czci małorolnych:

*Ty małorolny,  
Prosty i oddolny,*

*Nie siejesz, nie orzesz,  
A odstawiasz zborze.*

Czyli powód do dumy: pracujesz ciężko i jesteś biedny. A ona mi na to innym wierszykiem, który pozwolę sobie nieudolnie na język polski przełożyć:

*O Ty górniku z Doniecka,  
Stworzyła cię władza radziecka.  
Nie zarabiasz,  
Nie dorabiasz,  
Za darmo pracujesz,  
A ciągle fedrujesz.*

Co za analogia! Aż trudno uwierzyć, że oni nie czytali Mrożka.

Rzeczywistość jest bardziej skomplikowana. Ci ludzie nie mają dokąd pójść. Zmieniają pracę, to na taką samą albo gorszą. Poza tym nie znają innych wzorców zachowań, nie wiedzą co z tym zrobić. Rzeczywistość, jaką znają jest dla nich jedyną istniejącą.

Jak ci ludzie żyją? Jedzą głównie kartofle i ryby, wędzone, smażone, bo ryby są najtańsze. Przed moim wyjazdem do Warszawy Natalia zrobiła obiad: miseczka rosółu z trzema kartoflanymi knedliczkami i kromka chleba z konserwą, którą ja z Polski przywiozłem. Ot i cały obiad.

W czasie podróży pociągiem nie chodzi się do *restauranta*. Ludzie kupują żywność na stacjach. Na każdym postoju na peron wylega gromada miejscowych mężczyzn i kobiet. Trzymają w rękach wędzone ryby, foliowe torebki z pierogami, jakieś placki, ziarna słonecznika, piwo. Odbywa się ożywiony handel.

Do *restauranta* zresztą nie ma po co chodzić. Kiedy jeszcze w latach siedemdziesiątych podróżowałem przez ZSRR pociągami, w *restaurancie* były tylko dwie potrawy: *ragu* i *salianka*. *Ragu* to był po prostu gulasz a *salianka* to zupa rybna z oliwkami, rzecz w normalnych warunkach nie jadalna, ale z braku wyboru, jadąc pociągiem tydzień albo i dwa, jadło się i to. Według moich znajomych, teraz w *restaurancie* jest jeszcze *kurica* (kura).

Ale nie całkiem jest to prawda. Przynajmniej w karcie wybór jest znacznie większy niż w czasach ZSRR. Gorzej w praktyce. Gdzieś między Zaporozem a Kijowem poszliśmy jednak do restauracyjnego. Dziewczyny długo studiowały kartę i w końcu zdecydowały, że „szarpniemy się” na frytki. Przyszedł kelner i powiedział, że frytek nie ma, ale poza tym wszystko jest. Kolejny wybór padł na czekoladę. Okazało się, że takiej czekolady nie ma, ale poza tym wszystko jest. Dobra niech będzie inna, no i herbata. Kelner przyniósł czekoladę, ale powiedział, że herbaty są tylko dwie *maczałki*, a nas jest pięć osób. Sweta wyjęła

z torebki trzy *maczałki* naszej herbaty i dała kelnerowi. Ale poza tym wszystko jest. Zamówiłem piwo „Premium”. Nie ma piwa „Premium”, może być inne. Niech będzie.

Wagon restauracyjny jest prawie pusty. Oprócz nas są jeszcze cztery osoby. Mało kogo stać na *restauranta*.

Bieda powoduje, że ciągle pokutują rozwiązania handlowe nie z tej epoki. Mleko w kartonach wprawdzie jest (w ZSRR było wcześniej niż u nas), ale większość ludzi kupuje tańsze mleko rozlewane. Codziennie rano na podwórko zajeżdża cysterna. Kierowca dzwoni ręcznym dzwonkiem i z okolicznych bloków schodzą się mieszkańcy z butelkami na mleko.

Na wschodniej Ukrainie je się wyraźnie lepiej.

– Tam to cię tak nakarmią, że będziesz się musiał wykręcać – powiedziała pewnego razu Natalia.

I rzeczywiście. Obyczaj nakazuje gościa tak ugościć, że niemal nie pęknie. Coś jak nasze zastaw się, a postaw się. Podejmujący mnie w Sewastopolu Roman kroił kromki chleba grubości trzech centymetrów. Ledwo mogłem to ugryźć. W Dniepropietrowsku na stacji kupiłem sobie hotdoga. Miał chyba z piętnaście centymetrów średnicy.

– Jak to jeść – pytam Swety – trzeba mieć paszczę jak krokodyl?

– No trzeba – śmieje się.

W Jalcie idziemy nadmorskim bulwarem. Ciepło jak w lecie, choć to listopad, palmy, libańskie cedry, cyprysy, fale rozbijają się o nabrzeże. Na bulwarze kawiarenki z wystawionymi na zewnątrz stolikami, słowem Riviera, jak koło Marsyli. Ale co to? Nad samym morzem stoją dwie ciężarówki a do nich ogromna kolejka. Chyba ze dwieście osób.

– Za czym ta kolejka? – pytam.

– Po cebulę i kartofle.

Ot i taką mamy w Jalcie Rivierę.

### **Idzie ku lepszemu?**

Widziałem wiele biednych krajów i bieda na Ukrainie nie jest aż taka, aby mogła mnie zdziwić. Kłopot jednak w tym, że tempo wychodzenia z tej biedy jest niezwykle powolne. Andrij, deputowany do rady miejskiej Lwowa, tak widzi przyczyny tego stanu:

„Polska zaraz po odzyskaniu niepodległości podjęła radykalne reformy gospodarcze. Ludzie byli pełni nadziei, i zanim się zorientowali, że biedniej ponosząc koszty reform, reformy zaczęły przynosić rezultaty. Ukraina miała inne problemy. Niepodległość przyszła trochę z zaskoczenia. Ludzie mieli problemy z samoidentyfikacją, ze stosunkiem do nowego państwa.”

Nacjonalistom wszystko wydaje się proste: wystarczy powieść wszędzie znaki trizuba i opowiadać, że Ukraina była podbita przez sowiecką Rosję. Prawda jest bardziej złożona. We władzach ZSRR i KPZR zasiadało bardzo wielu Ukraińców. Wielu ludzi identyfikowało się z tym państwem. Dziś znaczna część ludności kraju mówi tylko po rosyjsku a partia komunistyczna głosząca odbudowę imperium ma bardzo silne wpływy. Dążenia reformatorskie nie mają wielkiego poparcia ani zrozumienia w społeczeństwie. Najczęściej torpedowane są zarówno przez komunistów jak i nacjonalistów.

W Sewastopolu widziałem taki satyryczny plakat: Z pustej portmonetki wystaje znak trizuba (trizub jest herbem Ukrainy). Napis głosi: „Najważniejsze u nas już jest”. Dla wielu ludzi na Ukrainie niepodległość nie rozwiązała problemów, tylko je rozmnożyła. W rzeczywistości krach gospodarki nie jest wynikiem niepodległości, lecz skutkiem gospodarki radzieckiej, ale niewielu ludzi to rozumie, że najpierw załamała się gospodarka i dopiero wtedy mógł się rozpaść ZSRR. Wielu prostych ludzi myśli jednak, że niepodległość przyniosła biedę i że reformy (których prawie nie ma) przyniosły biedę.

Jak jest naprawdę? Brak radykalnych reform (inna rzecz, że tu nie były możliwe, Ukraina to nie Polska) spowodował, że spadek poziomu życia, wywołany załamaniem gospodarki radzieckiej, nie został szybko naprawiony, lecz trwał. Nostalgia za „lepszymi” sowieckimi czasami napędziła głosów komunistom, którzy dwa lata temu wyraźnie wygrali wybory parlamentarne. Zdominowany przez komunistów parlament blokuje dalsze reformy. Nie dopuścił do prywatyzacji przemysłu, do reformy podatków, do uchwalenia ustawy o prywatnej własności ziemi. Słowem, zastój umacnia zastój.

Młodzi lwowscy dziennikarze mówią, że poważnym problemem jest apatia znacznej części społeczeństwa. To efekt kolektywizacji i wielkiej czystki a także 70 lat systemu, który niszczył ludzi aktywnych. Myślę, że nie bez znaczenia jest los kilku pokoleń, które miały wyłącznie negatywne doświadczenia. Postawa znoszenia wszystkiego w pokorze była najlepszym przystosowaniem. Ludzie, którzy się tak przystosowali, wszelkie zmiany uważają za zagrożenie.

Władze Lwowa postanowiły usprawnić komunikację miejską. Duże autobusy źle sobie radziły w wąskich uliczkach. Wprowadzono szybkie i zwrotne mikrobusy. No i zaraz podniósł się krzyk. Mikrobusy są prywatne! W starych autobusach wielu ludzi jeździło za darmo lub półdarmo. Ten emeryt, ten weteran, ten jeszcze z innego tytułu. W mikrobusach wszyscy muszą płacić. Nic nie pomagają tłumaczenia,

że starych autobusów jest tyle, co było i zniżki w nich nadal obowiązują. Lobby antyreformatorskie ruszyło do ataku. Na szczęście nieskutecznego.

Milicja zaczęła skrupulatnie sprawdzać, czy w mikrobusach nie jedzie więcej osób, niż pozwala na to rejestracja. Starych państwowych autobusów nikt nie sprawdza. Można je przeładować nawet dwukrotnie i nic. Po dwóch latach we Lwowie antymikrobusowa szarża milicji osłabła, ale na Krymie nadal trwa. Byłem świadkiem takiej sceny: Jechaliśmy mikrobusem z Semferopola do Jałty. Kierowca zgodził się zabrać ponadplanowo małe dziecko, które ojciec trzymał na rękach. Przy każdym patrolu milicji drogowej, a jest tych patroli mnóstwo, kierowca ostrzegał: „schowajcie dziecko”. Raz zapomniał i już zapłacił mandat. Rzecz osobliwa, po zapłaceniu mandatu ponadplanowy pasażer mógł jechać dalej.

Większość moich rozmówców mówi: „Wszystko by było dobrze, żeby nie ta nasza *ekonomika*.” Jednocześnie opowiadają ze śmiechem, jak dowcipy, pomysły władz różnego szczebla dotyczące ekonomiki. Na przykład we Lwowie ktoś odpowiedzialny za wywózkę śmieci wymyślił, żeby mieszkańcy na sygnał dzwonkiem wyrzucali odpadki prosto do śmieciarki, zamiast do pojemników. Po tygodniu śmieciowa reforma ekonomiki upadła z powodu powszechnego zlekceważenia.

Niby to śmieszne, ale tak na prawdę wcale nie śmieszne. Reformy gospodarcze, które zapowiada Leonid Kuczma, jeśli w ogóle będą realizowane, to napotkają na bardzo poważne bariery mentalne. W tym kraju nie tylko większość zwykłych ludzi, ale i spora część działaczy gospodarczych nie rozumie gospodarki rynkowej. Stąd się biorą takie pomysły jak śmieciowe reformy.

Gorzej, że wielu działaczy gospodarczych nie rozumie tak podstawowych spraw, jak potrzeba wprowadzenia prywatnej własności ziemi, czy też w ogóle respektowania prawa do własności.

Przed urzędem miejskim we Lwowie od trzech miesięcy strajkuje grupa ludzi. Kocują w poprzykrywanych foliami namiotach, grzeją się na mrozie przy prowizorycznym piecyku. Nikt nie zwraca na nich uwagi i nikt się nimi nie przejmuje. O co tu chodzi? W dawnym systemie można było sobie wypracować mieszkanie zakładowe z miejsca pracy. Ci ludzie latami pracowali na swoje mieszkania, a gdy nastał rynek, mieszkania sprzedano komu innemu. Jak może funkcjonować gospodarka rynkowa przy takim lekceważeniu własności? Już nie wywozi się strajkujących na Kołymę, ale jeszcze nie zaczęto się liczyć z ich prawami.

Nawet jeśli ustanowi się prywatną własność ziemi, to problemy ludności wiejskiej się nie skończą. Dawni kołchoźnicy nie są

rolnikami. Nie tylko nie czują się gospodarzami, ale nawet nie mają jak na tej ziemi gospodarować. Nie mają zabudowań gospodarskich, narzędzi i umiejętności. Dawny kolchoźnik nieraz mieszka w bloku. Jak by nawet dano mu pług, czy bronę, to nie ma gdzie ich trzymać. Wprawdzie kolchozy częściowo sprywatyzowano tworząc *kooperatywy* (spółdzielnie pracownicze), ale kolchozową mentalność ciężko zmienić. Większość *kooperatyw* przynosi straty, a brak prawa do własności ziemi odstrasza inwestorów. Ukraina, która była spichlerzem ZSRR, a mogłaby być spichlerzem Europy, stanęła przed perspektywą importu zboża.

Co gorsze świat poszedł do przodu i trzeba go gonić. Pojawia się problemy podobne jak w Polsce. Z jednym poletkiem kartofli, z dwoma krowami itp. nie można konkurować z rolnictwem Unii Europejskiej czy USA.

Skala problemów które czekają ukraińską gospodarkę jest dużo większa niż była u nas. W Polsce cały czas istniało prywatne rolnictwo i rzemiosło. Mogło nam się nie podobać uwłaszczanie nomenklatury, ale dzięki niemu w 1989 roku istniała już spora grupa ludzi, którzy mieli pewne umiejętności prowadzenia prywatnych firm i mieli pewien kapitał. Jak mają Ukraińcy brać gospodarkę we własne ręce, jeśli te ręce są niewprawne a portfele puste?

### **A jednak powoli do przodu**

W odczuciu większości ludzi nic się nie zmienia i nic się nie poprawia. Jednak ja, po dwóch latach nieobecności, widzę pewne powolne zmiany na lepsze. Nie jest to skok gospodarczy, ale też nie nic. We Lwowie jest więcej prywatnych kawiarenek i sklepów. Nieco poprawiło się zaopatrzenie, ale i dwa lata temu było już niezłe. W porównaniu z pustymi półkami „Uniwersytetu” na Placu Czerwonym, które pamiętam z czasów ZSRR, różnica jest kolosalna.

Dwa lata temu zaczęto na Ukrainie wprowadzać telefony komórkowe, nazywane tu *mobilnymi*. Wcześniej korporacje telefoniczne uznawały, że tutejszy rynek jest za biedny. Sieć jest jednak ciągle słabiutka. Zasięg telefonu komórkowego miałem we Lwowie, później w czasie jazdy pociągiem na krótko w Białej Cerkwi a dalej przez prawie tysiąc kilometrów do Dniepropietrowska kompletnie nic. Zasięg pojawił się ponownie dopiero w Semferopolu, ale za to na Krymie był praktycznie wszędzie. W drodze powrotnej oczywiście zasięg był w Kijowie, ale w drodze z Kijowa do Lwowa znów tysiąc kilometrów pustki.

Dwa lata temu poznałem we Lwowie grupę młodych ludzi ćwiczących aikido. Przypominało to początki wschodnich sztuk walki w Polsce na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Sala

gimnastyczna wynajęta od szkoły, na podłodze prowizoryczna mata z powiązanych razem starych kołder. To nawet gorzej niż było u nas. Myśmy długo nie mieli porządnej maty tatami, ale zamiast tego mieliśmy chociaż materace gimnastyczne. W ZSRR był taki moment, gdy zabroniono ćwiczenia wszystkich wschodnich sztuk walki z wyjątkiem olimpijskiego judo. Część ludzi ćwiczyła dalej nielegalnie, ale większość klubów upadła. Teraz ruch ten zaczyna się odradzać. Dwa lata temu widziałem u tych młodych ludzi ogromny zapal, który przydałby się już nieco zblazowanym polskim zawodnikom.

Teraz, chodząc ulicami Lwowa zauważyłem niespodziewanie wielki kolorowy szyld: Klub Aikido. Porządny odnowiony własny lokal, żadne tam wynajęte szkolne sale, żadne tam maty z kołder tylko porządne japońskie tatami. A więc coś poszło do przodu.

Takich drobnych zmian na lepsze zauważyłem sporo. Nie ma przelomu, ale jest nieco więcej komputerów i zachodnich samochodów. Ciut ciut lepiej wyglądają ulice i sklepy. Coś się jednak rusza.

Ruch samochodowy jest znikomy. Przy pierwszym pobycie we Lwowie miałem wrażenie, że jestem w jakiejś strefie zamkniętej dla ruchu i dopiero później skojarzyłem, że tu jest po prostu tak mało samochodów. No i jakie to są samochody. Stare lady, zaporożce, wołgi nawet pobiedy. Myśmy już zapomnieli o takich konstrukcjach. Stan techniczny większości z nich jest taki, że w Polsce nie miałyby szans przejść badań technicznych. Ale jest już trochę lepszych marek. Wprawdzie jeżdżą nimi podobno tylko *nowe Ruskie* (nowobogacy o podejrzanym pochodzeniu fortun), ale jednak ktoś już takimi samochodami jeździ.

W Kijowie sfotografowałem niemal symboliczną scenę. Stara, drewniana chałupka w oplakanyim stanie, a przed nią nowiutki biały chrystler. Z Semferopola do Jałty jechałem prywatnym busikiem. W pierwszym momencie myślałem, że to ford tranzit, ale patrzę: inna deska rozdzielcza. Wsiadłem i patrzę, co to jest. „Gazel”. Co za „Gazel”? Okazuje się, że to nowa ukraińska konstrukcja produkowana w Semferopolu. Jechałem tym osiemdziesiąt kilometrów i muszę przyznać, że to całkiem przyzwoity samochód. Na pewno lepszy od naszych Lublinów. A więc zaczyna się już pojawiać ukraińska produkcja przypominająca standard forda a nie lady czy wołgi.

Poważnym problemem dla ukraińskiej gospodarki jest nadmierny fiskalizm państwa. Policja podatkowa jest wszechpotężna i cieszy się zasłużoną niechęcią niemal wszystkich. Gdy spytałem moich znajomych, czemu w księgarniach nie ma polskich książek, skoro tak wiele osób czyta tu po polsku, wytłumaczono mi, że to wina nadmiernego fiskalizmu. Księgarz musi zapłacić podatek już w momencie zakupu

książek, czy innego towaru a nie dopiero po sprzedaży. Nie kupi więc książki, przy której ryzykowałby, że jej nie sprzeda i to szybko.

Dwa lata temu głosowano na komunistów, którzy nie dopuścili do reformy systemu podatkowego. Obecnie już niemal wszyscy rozumieją, że reforma podatków jest konieczna. W ogóle chyba więcej ludzi rozumie konieczność przeprowadzenia reform. Jest większe przyzwolenie społeczne dla reform.

Nadal jednak dość powszechna jest niewiara w to, że Kuczma je przeprowadzi.

– Kuczma to taki sam komunista jak Simonienko – mówiła większość moich rozmówców, ale chyba sami nie do końca w to wierzyli. Leonid Kuczma wprawdzie wywodzi się z tego samego ugrupowania co komuniści, ale jest raczej typem socjaldemokraty, może nie takiego jak w Niemczech, czy Szwecji, ale jednak.

Miałem spotkanie z dziennikarzami i nagle na sali zapanowało jakieś ożywienie. Wszyscy wyraźnie się z czegoś cieszyli, coś sobie szepotali, przekazywali jakąś, wyraźnie dobrą wiadomość. Zapytałem co się wydarzyło. Odpowiedź była zaskakująca. Przyszła wiadomość, że ktoś dokonał napadu na policję podatkową. To był ten powód do radości.

Niemal jednocześnie jednak usłyszałem deklarację wiary w powszechną apatię. Gdy powiedziałem, że w Polsce, gdyby robotnicy miesiącami nie dostawali wypłaty, to by urzędy państwowe płonęły, usłyszałem: „u nas, aby coś się zmieniło, to tylko gdyby wódka zdrożała.”

## Milicja

Tak, tak. Milicja, nie żadna policja. Na Ukrainie ciągle nie zmieniono nazwy i nie tylko nazwy.

Najbardziej widać milicję drogową. W miastach niemal na każdym skrzyżowaniu stoi radiowóz i trzech czy czterech milicjantów zawzięcie kontrolujących samochody. W mniejszych miastach, jak Lwów czy Sewastopol, wygląda to niemal komicznie, bo tych samochodów jest bardzo mało. Można odnieść wrażenie, że kontroli jest więcej niż pojazdów. Gdy jedzie się samochodem, to niemal w każdym miasteczku jest się zatrzymywanym do kontroli. Oczywiście bez żadnego powodu, ot tak. Na drogach co dwadzieścia, trzydzieści kilometrów znajdują się stałe posterunki kontrolne, a szansa zatrzymania jest bardzo duża. bo ruch jest niewielki. Obserwowałem twarze kierowców. W miarę zbliżania się do punktu kontrolnego stawali się jacyś napięci, a gdy go minęli – ulga, udało się. Tym razem nie przyczepili się, ale co któryś raz władczy gest pałą nakazuje zjechać na pobocze. Tak, tak pałą, a nie żadnym lizakiem, malowaną w czarne i białe pasy pałą.



Dlaczego kierowcy tak się boją tych kontroli? Wyraźnie widziałem, że się boją. Fama głosi, że niemal za każdym razem trzeba Panu Milicjantowi coś dać, a kontrola jest tylko pretekstem.

– Jak to jest – mówi jeden z moich rozmówców – wszędzie kontrole, a jednocześnie wszyscy wiedzą, że bardzo dużo samochodów jest kradzionych. Czemu ich nie łapią?

– Wiesz, u nas w Polsce jest taki piosenkarz i poeta Młynarski, co napisał piosenkę o miasteczku, w którym jeden szeryf wypadł na jednego mieszkańca. I w tym miasteczku bank obrobili, bo jak głosił morał tej piosenki „bardzo trudno odróżnić bandytę, kiedy wokół są sami szeryfi”.

– Chyba coś w tym jest.

Ale moi ukraińscy rozmówcy nie zauważają rzeczy, które ja widzę. Przy tych powszechnych kontrolach drogowych jeżdżą samochody w tragicznym stanie technicznym i jakoś to milicji drogowej nie peszy. Autobus z Sewastopola do Semferopola, którym jechałem, był w takim stanie, że u nas dojechałby tylko do pierwszego policjanta.

Milicji drogowej zupełnie nie peszą też osobliwe obyczaje drogowe. Na przykład przechodnie zupełnie bez skrępowania przechodzą przez jezdnię na czerwonym świetle i żaden milicjant na to nie reaguje. Kierowcy też nie są przechodniom dłużni. Nikt tu nie przepuszcza pieszego na pasach ani nie na pasach. Pan jedzie i pryskajcie narody. Wschodnia ustępliwość jest tu pojęciem nieznanym.

We Lwowie obserwowałem razem ze Swetą taką scenę: Jeden pan kierujący ładą skręcając w lewo wziął za ciasny łuk i stanął dziobem w dziób naprzeciw czarnej wołgi, która miała jechać prosto. Za wołgą utworzył się wielki korek, a mimo to kierowca łady nie chciał ustąpić.

– Co za dureń – mówię – cofnąłby o metr i wszyscy by przejechali.

Tymczasem kierowca łady nie tylko nie wycofuje się ze swojego błędu, ale nawet awanturuje się. Wyskoczył z samochodu, dopadł do kierowcy wołgi, wymachuje pięściami.

– To taka mentalność – mówi Sweta – gdyby ustąpił, to by stracił twarz.

Przynajmniej pod tym względem, pod względem sposobu rozumienia honoru, Ukraina zdecydowanie należy do kultury europejskiej a nie wschodniej. Żadnego wschodniego „ustąp aby zwyciężyć”. Raczej nasze swojskie „tyle mam, na ile się pcham”.

W Kijowie odnotowałem inną scenkę. Pewien pan jadący ładą złapał gumę. Nie zepchnął jednak swego pojazdu na chodnik, choć miejsca na chodniku było *skolko ugodno*, tylko wziął się do wymiany

koła, tam, gdzie stał. A że stał na zakręcie ulicy pod kontem prostym, to i na tym zakręcie dokonywał naprawy na środku jezdni. Dwa metry za samochodem postawił tylko dla ostrzeżenia karnister. Mówię moim przyjaciółom, że w Polsce za taki numer, to by mu mogli nawet prawo jazdy zatrzymać.

– Tak? A czemu? – bardzo się dziwią.

Ale oto jedzie milicja. Zwalniają. Patrzę, co będzie się działo. Ale nic się nie dzieje. Zwolnili tylko, żeby go wyminąć i pojechali. Co kraj, to (drogowy) obyczaj.

Natalia i Sweta pomagają uchodźcom z różnych krajów, których losy zanosły na Ukrainę, a nie jest to kraj słodki dla ubiegających się o azyl polityczny czy status uchodźcy.

Aslan jest Kurdem. Ma status uchodźcy i od kilku lat przebywa we Lwowie. Jest człowiekiem wykształconym, zna kilka języków i to nie tylko zachodnich. Zna także chiński, hindi i farsi (perski). Mimo to Aslan nic nie robi. Nie ma pracy, nie może wyjechać za granicę, bo nie ma paszportu.

Aslan odprowadzał nas na dworzec, gdy wyjeżdżaliśmy na Krym. Patrolujący dworzec milicjanci wyraźnie mu się przyglądali, przechodzili coraz bliżej nas.

– Milicja krąży jak pszczoła wokół miodu i w końcu zawsze przyjdzie – mówi Aslan – Na razie nie ruszają mnie bo jestem z wami. Gdybym był sam już by mnie zgarnęli.

– Dlaczego – pytam.

– Jest zła koniunktura dla „czarnych”. Wprawdzie wybuchy były w Rosji a na Ukrainie nic się nie działo, ale u nas też milicja „czarnych” bije.

Mowa oczywiście o zamachach bombowych, które propaganda rosyjska przypisuje Czeczenom. Na Ukrainie większość ludzi uważa, że te zamachy to też ta „trzecia ręka z Łubianki” robiła, a nie żadni Czeczeni, ale milicja ma wyraźnie inne zdanie, a może po prostu milicjanci lubią bijać „czarnych” i każdy pretekst jest dobry.

Spotkałem się z grupą uchodźców z Afganistanu. Jeden z nich stara się dopiero o status uchodźcy. Wysłał wszystkie konieczne dokumenty do MSW w Kijowie, a oni mu odrzucili wniosek, motywując odmowę tym, że ponoć brak dokumentów (które były). Natalia napisała ostre pismo w jego sprawie do MSW. Teraz ponoć nie mogą znaleźć tego, co tę odmowę podpisał. Według Natalii ministerstwo stara się odrzucać wszystkie sprawy uchodźców pod zupełnie dowolnymi pretekstami.

Związek Radziecki rozpętał konflikt w Afganistanie i wycofując się po prostu porzucił swoich niedawnych sojuszników. Państwa powstałe

z rozpadu ZSRR tym bardziej się do niczego wobec tych ludzi nie poczuwają. Na Ukrainie wegetuje spora grupa afgańskich uchodźców. Jest też wielu weteranów wojny afgańskiej, dawnych żołnierzy radzieckich. Ta społeczność też jest właściwie przez wszystkich porzucona.

– Ukraina mówi: to sprawa Rosji, Rosja mówi: to sprawa ZSRR, a ZSSR nie ma – tłumaczy mi afgański uchodźca Osman.

Osman miał niedawno konflikt z Milicją. Odbывała się jakaś międzynarodowa konferencja organizacji pozarządowych i Osman jechał na tę konferencję, ale po drodze spotkał milicjantów. Milicjanci patrzyli: „czarny” idzie, no to go pobili. Osman zjawił się na konferencji z podbitym okiem. Natalia pojechała z nim na milicję, zrobili obdukcję lekarską, po czym milicja stwierdziła, że wszystko nieprawda, bo milicjanci mówią, że go nie pobili. Wtedy Natalia zadzwoniła na numer oficera dyżurnego milicji i mówi: „Ja wiem, że wszystko pod tym numerem się nagrywa i nie możecie tego zatuszować, to ja wam mówię, że jak nic z tą sprawą nie zrobicie, to o pobiciu delegata na międzynarodową konferencję jutro będzie w radiu Swoboda”.

Po chwili przyjechał major milicji i zaczął straszyć Osmana, że za składanie fałszywych zeznań pójdzie do więzienia, ale Osman twardo: „pobili mnie i już”. Minęło parę minut, przyjechał dowódca okręgu milicji. Kazał wezwać tych milicjantów i pyta: „pobiliście go?”, a oni byli tak przestraszeni, że się przyznali.

W efekcie końcowym Natalia uzgodniła z dowódcą okręgu, że sprawy nie będzie, ale ci dwaj delikwenci będą chodzić na szkolenie z zakresu praw człowieka, a ona będzie im sprawdzać notatki. I tak zostało.

Na Ukrainie do dziś istnieje i działa Służba Bezpieczeństwa. Kiedy pierwszy raz spotkałem się z grupą ukraińskich działaczy Amnesty International, a było to cztery lata temu, organizacja ta była jeszcze na Ukrainie nielegalna. Jej założyciele byli wzywani przez Służbę Bezpieczeństwa i straszeni. Ukraiński oddział Amnesty International zarejestrowano dopiero niedawno.

Dwa lata temu wydano w języku ukraińskim moją książkę „Piekło Środka – Chiny a prawa człowieka”. Na promocję tej książki przyjechałem do Lwowa. Odbyłem wtedy szereg spotkań, udzieliłem wywiadów dla radia i telewizji. Po moim wyjeździe organizatorzy tych spotkań byli wzywani przez Służbę Bezpieczeństwa.

– Wezwali nas i mówią: „kogo wy zapraszacie, Chiny to nasz najbliższy sojusznik” – opowiada Andriej – ale my na to: „mamy do tego konstytucyjne prawo”. I na tym się skończyło.

W tym roku ukraińska Amnesty zrobiła pierwszy raz demonstrację pod Ambasadą ChRL w Kijowie w rocznicę masakry na placu

Tiananmen. Wprawdzie zawzięcie fotografowano ich z ambasady, ale ukraińska SB już nie przeszkadzała. Coś się więc zmienia na lepsze, ale organizacje pozarządowe ciągle nie mają tu słodkiego życia. Nie jest to jednak sprawa polityki państwa tylko mentalności funkcjonariuszy i urzędników.

Teraz też miałem szereg spotkań i prelekcji na temat łamania praw człowieka w ChRL (w tym celu zaproszono mnie na Ukrainę), ale tym razem już nikt nie przeszkadzał, a przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

We Lwowie miałem wywiad dla lokalnego radia „Plus”. Przy okazji zadano mi pytanie na temat wolności prasy. Chodziło o to, że lokalna milicja wpadła na pomysł, by dziennikarzom pisującym o sprawach kryminalnych zabronić samodzielnego zdobywania informacji, by mogli publikować tylko te informacje, które im milicja oficjalnie przekaze. Powiedziałem, że my dziennikarze, jesteśmy od tego, by zdobywać informacje i je publikować, a jeśli władza ma jakieś tajemnice, to niech ich pilnuje i to tylko jej problem. Tak się ta wypowiedź spodobała, że zostałem zaproszony na wieczór do udziału w wielkiej audycji – dyskusji między dziennikarzami a władzami.

Gdy jednak wieczorem stawiliśmy się ze Swetą, występującą w roli tłumaczki, w siedzibie radia, dowiedzieliśmy się, że „audycja przełożona jest na inny termin”.

– Przestraszyli się – wyjaśnił nam prywatnie jeden z dziennikarzy.

– Kto?

– No przecież nie my.

Na Ukrainie często milicja nadużywa władzy a SB wydaje groźne pomruki, ale czasy się jednak zmieniają, co widać choćby po tym, że i milicja i SB potrafią przestraszyć się prasy i zaczynają się liczyć z Amnesty International. Te służby ciągle tkwią jedną nogą w ZSRR, ale i one się zmieniają w kierunku europejskich standardów. Droga jednak przed nimi daleka.

### **Życie nie jest cukrem**

Idziemy ze Swetą ulicami Lwowa i rozmawiamy o sierocińcach. Rok temu przekazałem moim ukraińskim znajomym kopię brytyjskiego filmu „Umieralnie” o strasznych warunkach w sierocińcach ChRL. Chcieli to puścić w ukraińskiej telewizji, ale tym razem przestraszyli się dziennikarze.

– Nie chodziło nawet o strach przed reakcją SB, lecz o zbyt duże analogie do naszych sierocińców – mówi Sweta.

– Jest aż tak źle?

– Aż tak to nie, ale i w naszych sierocińcach życie nie jest cukrem.

Opowiadam, że w Polsce toczy się obecnie kampania o to, by całkowicie zlikwidować tradycyjne koszarowe domy dziecka zastępując je wszystkie rodzinnymi domami dziecka, tak jak to ma miejsce w krajach wysoko rozwiniętych.

– U nas są różne domy dziecka, ale takich rodzinnych nie ma. Noworodek sierota trafia najpierw do domu małego dziecka. Są tam tylko pielęgniarki, które go karmią i przewijają, ale nikt z tym dzieckiem nie rozmawia. Po półtora roku dziecko staje przed komisją, która decyduje o jego dalszym losie. Patrzą, czy chodzi, czy mówi i tak dalej. Ale jak to dziecko ma mówić, skoro nikt z nim nie rozmawia? Jeśli nie mówi, trafia do zakładu dla debili i tam do końca życia, na ogół krótkiego, jest hodowane jak warzywo. ale to dziecko wcale nie musi być debilkiem, tylko nie dano mu żadnych szans.

Dzieci, które mają więcej szczęścia, bo na przykład jakaś pielęgniarka się nimi lepiej zajęła, albo trafiły do sierocińca w późniejszym okresie życia, umieszczane są w takim koszarowym domu dziecka.

– Tam też życie nie jest cukrem – mówi Sweta – *diedowszczyzna*, nadużycia seksualne i wszystko inne, ale lepsze to, niż warzywo.

*Diedowszczyzna* to pojęcie z wojska – odpowiednik polskiej fali. Taki system sierocińców Ukraina odziedziczyła po ZSRR. Zaraz, zaraz a tradycja Makarenki? A „Poemat Pedagogiczny”? To była taka wystawka dla propagandy. Rzeczywistością tamtych czasów nie był Makarenko, tylko towarzysz Feliks i oddziały czeka rozwalające na miejscu całe grupy sierot walęśające się na Ukrainie po wojnie domowej i wielkich wysiedleniach. „Poemat Pedagogiczny” był lekturą dla zachodnich inteligentów, żeby wierzyli w rzekomy komunistyczny humanizm. Dla sierot były browningi czekistów.

Pojęcie praw człowieka, praw obywatelskich i tym podobne, z wielkim trudem przebijają się przez pokomunistyczną urzędniczą mentalność. Natalia założyła w swoim miejscu pracy wolny związek zawodowy. W efekcie wyrzucono ją z pracy. Teraz jest bezrobotna i procesuje się ze swoim dyrektorem w sądzie pracy.

Na jednej z kamienic w centrum Lwowa znajduje się rzeźba żywo przypominająca amerykańską Statuę Wolności, tyle że w pozycji siedzącej na tronie.

– Widzisz – mówią Lwowiacy – u nas też jest Statua Wolności, tylko ona u nas siedzi.

Żart dobry, ale nie do końca prawdziwy. O poszkodowanych przez milicję można jednak się skutecznie upominać, a Natalia ma szansę sprawę w sądzie pracy wygrać. To już nie to, co było w ZSRR.

### Część III

#### **Wrona i ser**

Byłem na Ukrainie między dwoma turami wyborów prezydenckich. W pewnym sensie sytuacja była już wyklarowana. Na placu boju pozostali tylko dwaj kandydaci: obecny prezydent Leonid Kuczma i komunista Peter Simonienko. Zdaniem moich znajomych, o liberalnych poglądach, to właściwie „wsio ryba” (wszystko jedno). Kuczma to dla nich taki sam komunista, tylko barwy zmienił. W żadne zapowiadane przez Kuczmę reformy nie wierzą. Opowiedzieli mi taki dowcip:

Jest jak w bajce „Wrona i ser”. Wrona na gałęzi, trzyma ser w dziobie, lis pod spodem. Lis zagaduje: „wrona zaśpiewaj, wrona powiedz coś”, a wrona milczy. Wreszcie lis pomyślał i mówi:

– Wrona, idziesz na wybory?

– Taaak!

Wypuściła ser, lis ser porwał, a wrona siedzi dalej i myśli: „właściwie jak bym powiedziała „nie”, to by wyszło na to samo”.

Nie wszyscy jednak mają takie zdanie.

#### **Cerkwie i meczety**

W Sewastopolu rozmawiałem z Tatarami Krymskimi. Będą głosować na Kuczmę i jest to w ich przypadku całkowicie zrozumiałe. W przypadku zwycięstwa komunistów nie mają szans.

Wysiedlenia Tatarów z Krymu dokonał Związek Radziecki, którego spadkobiercą prawnym jest Rosja, ale Krym znajduje się obecnie w granicach Ukrainy, która prawnie nie odpowiada za działania ZSRR. Rosja zaś do niczego się nie poczuwa, choć teoretycznie powinna. Mało tego, liczna społeczność rosyjska na Krymie, w większości elektorat komunistów, jest powrotowi Tatarów wybitnie niechętna. Przecież przez lata prowadzono rosyjskie osadnictwo w dawnych tatarskich wsiach. Wielu Rosjan mieszka w domach, które ciągle mają swoich tatarskich właścicieli.

Leonid Kuczma, jako prezydent, uczynił tatarski Medżes, swoim nieformalnym ciałem doradczym. Medżes jest demokratycznie wybraną reprezentacją społeczności tatarskiej, ale jest tworem pozakonstytucyjnym, więc niczym więcej niż ciałem doradczym być nie może i Tatarzy to rozumieją. Zwycięstwo Kuczmy daje im nadzieję. Za jego pierwszej kadencji zaczęli wracać na Krym i państwo ukraińskie pomogło im w zarzegnaniu konfliktu z ludnością rosyjską.

Konflikt grozący, jak się jeszcze niedawno wydawało, nieuchronnym wybuchem rozwiązano w ten sposób, że Tatarzy budują od nowa

swoje wsie obok dawnych wsi tatarskich zamieszkałych obecnie przez Rosjan. W wielu miejscach Krymu widziałem takie widoki: stara wieś z cerkwią a obok nowa z meczetem. To, że nie dochodzi przy tym do ostrych narodowych waśni, jest niewątpliwym sukcesem młodego ukraińskiego państwa.

A jak mogło być? Przypomniała mi się pewna opowieść sprzed lat. W mrokach stanu wojennego, w 1982 roku, w celi trzeciego pawilonu (dawnego dziesiątego) mokotowskiego więzienia siedziało nas trzech politycznych: Leszek Moczulski z KPN-u, podziemny wydawca Paweł Józwa i ja, oraz, jak to zwykle, jeden kryminalny: Leszek Sosólski z „afery brylantowej”, bardzo dziwny „przestępca”, nieśmiały zielonoświatkowiec, który się modlił śpiewając (do dziś mam wrażenie, że ta „brylantowa afera” narodziła się na zamówienie ówczesnego MSW). Moczulski opowiadał wtedy o swoim pobycie na Krymie.

Był w dawnej tatarskiej wsi zamieszkałej przez samych Rosjan i nagle zauważył jakieś nadzwyczajne poruszenie wśród mieszkańców. Szeptana wiadomość: „Selim wrócił” obiegała wieś. Wszyscy zaczęli iść w jednym kierunku. Naprzeciw swojego dawnego domu siedział w kucki stary Tatar i ostrzył długi nóż. Naprzeciw niego, w drzwiach domu, rosyjska rodzina z zapalem majstruje coś przy użyciu siekier. Wszyscy czekają w napięciu, aż przyjeżdża milicja i zabiera Selima spowrotem na zsyłkę. Napięcie mija, ale wszyscy wiedzą, że za miesiąc lub dwa pojawi się kolejny

Selim lub Ahmed i będzie ostrzył nóż przed swoim dawnym domem.

A powodów do nienawiści było sporo. Oto relacja jednego z ocalałych po deportacji Tatarów:

*„W zaplombowanych wagonach ludzie umierali jak muchy z głodu i braku powietrza: nie dawano nam jeść ani pić. W mijanych wioskach ludność zwracała się przeciw nam, gdyż powiedziano jej, że jada zdraycy ojczyzny, i grad kamieni walił w drzwi wagonów. Kiedy otwarto je pośród kazachskiego stepu, dostaliśmy do jedzenia racje wojskowe, ale nic do picia, następnie kazano nam wyrzucić naszych zmarłych obok torów i ruszyliśmy dalej”* („Czarna księga komunizmu”, tłum. Andrzej Nieuważny).

Spółeczność tatarska boryka się z wieloma problemami. Niedobitki narodu wróciły na swoją ziemię, ze swoją biedą. Wróciły tam, gdzie nikt ich nie oczekiwał i nikt nie przewidział dla nich miejsca do życia. Początkowo koczowali w wozach i namiotach obok swych dawnych siedzib, a później zaczęli się budować.

Ludzie wysiedleni, żyjący przez wiele lat wśród obcych, często nie przekazali swoim dzieciom ojczystego języka i tradycji. Wielu młodych

tatarów ma obecnie problemy z samoidentyfikacją i stosunkiem do nowego ukraińskiego państwa. Tatarzy po raz pierwszy w historii są obywatelami Ukrainy.

Z drugiej strony Ukraina, która została obdarowana Krymem przez Chruszczowa (Nikita Chruszczow przesunął granice republik radzieckich i włączył Krym do Ukrainskiej SSR) ma też z tym prezentem nie lada problemy i to problemy nie tylko Tatarów. Na Krymie osiedlano wielu weteranów partii komunistycznej. Znaczną część ludności stanowią rdzenni Rosjanie. W Sewastopolu znajduje się baza rosyjskiej Floty Czarnomorskiej. Ukraińcy wcale nie są zachwyceni posiadaniem w swoich granicach bazy wojennej oraz licznej mniejszości narodowej związanych z krajem prowadzącym obecnie wojnę.

Gdy byłem pierwszy raz na Ukrainie opowiedziano mi dowcip.

Dzwonią eksperci ONZ do Sekretarza Generalnego:

– Panie Kofi Anand, dzwoniemy z Ukrainy. Tatarzy chcą wrócić do swoich domów a Rosjanie nie chcą się wyprowadzić.

– A co ma z tym wspólnego Ukraina?

– Jak to co? Krym.

Wtedy również usłyszałem określenie: Krym to rosyjska mina z opóźnionym zapłonem podłożona pod Ukrainę.



Okręty rosyjskiej Floty Czarnomorskiej w porcie w Sewastopolu (Krym) – fot. Krzysztof Łoziński

To że obecnie tą minę udało się, może nie rozzbroić, ale przynajmniej zabezpieczyć, jest niewątpliwym sukcesem niepodległego państwa.



### Plakatowa wojna i król

Z zapalem zbierałem i fotografowałem różne plakaty i ulotki wyborcze. Jeszcze we Lwowie obdarowano mnie przepysznym plakatem Leonida Kuczmy: Kuczma jako pank. Na zielonym tle uśmiechnięty Kuczma ufryzowany w pankowy grzebień Irokeza w żółto-niebieskim kolorze (barwy narodowe Ukrainy) i napis „*Wsio bude czotko*”, czyli „wszystko będzie fajnie” lub „wszystko będzie spoko”. Słowo *czotko* pochodzi z lwowsko-młodzieżowego slangu i trudno je przetłumaczyć dokładnie.

Ale to jeszcze nie wszystko. Wpatruję się w plakat i widzę na zielonym tle masę bardziej zielonych krop. Przyglądam się tym kropom i oczom nie wierzę. To nie żadne kropy, to małe zielone Kuczmy! Całość doprawdy przepyszna.

W szybie wystawowej jednego ze sklepów Kuczma z wysuniętym palcem wskazującym wygłasza hasło: „być obywatelem to kupować ukraińskie”. Podobne plakaty z palcem przypominającym gest Jelcyna (tyle że Jelcyn najczęściej tym palcem grozi, a Kuczma poucza) wiszą w wielu miejscach, tylko hasła są różne. „Ale wszystkie równie głupie” podśmiewają się Lwowiacy.

Tuż za pomnikiem Mickiewicza we Lwowie, na płocie plakat Simonienki. Lenin i Stalin siedzą na ławeczce. Między nimi, z tyłu, Simonienko w indiańskim pióropuszu i napis „Wódz Simonienko”.

W Sewastopolu kolejny przepyszny plakat: Na czerwonym tle czarny carski rosyjski orzeł. Oczywiście dwugłowy. Na jednej z głów ma czapkę baranicę, taką jak nosili sekretarze, na drugiej

kapelusz jaki nosił Gorbaczow. Z czapek wychodzą wstęgi zbiegające się pod wiszącą nad wszystkim czapką generalską. Na piersi orła ogromny herb ZSRR a na skrzydłach herby republik radzieckich. W szponach orzeł trzyma sierp i młot. Pod tym napis „Chwała wielkiemu październikowi” (właśnie przypada rocznica rewolucji październikowej choć jest listopad). Przy całej tej rosyjskiej symbolice napis jest w języku ukraińskim (październik to *żowtien* a nie *aktiabr*).



Plakat wyborczy kandydata komunistów, Simonienki: „Lenin, Wódz Simonienko, Stalin” – fot. Krzysztof Łoziński

Leonid Kuczma po prostu zmiażdżył przeciwnika propagandowo. Po jego stronie były wszystkie państwowe media, większość prywatnych mediów i pieniądze gospodarczych oligarchów. Plakatów i ulotek

Kuczmy było znacznie więcej niż Simonienki. Cała droga z Jałty do Sewastopola opisana hasłami Kuczmy: „Tatarzy z Kuczma”, „Kuczma tak!”, „Głosujemy na Kuczme”, „Kuczma to przyszłość”. W drodze z Sewastopola do Semferopola zauważamy napis: „Tylko z Kuczma w XXI wiek”.

– Bez Kuczmy nie będzie XXI wieku, nie będzie sylwestra – śmieje się Roman, działacz Amnesty International i młody sewastopolski polityk – No more Christmas! Do tego cała masa plakatów antykomunistycznych. „Czy chcesz?” pyta plakat przedstawiający kartki na wszelkie podstawowe produkty, jakie obowiązywały w ZSRR. Na innym plakacie żółto-niebieska flaga Ukrainy i słowa: na biało „pokój”, na czerwono „wojna”.

W telewizji sonda uliczna. „Tatarzy Krymscy będą głosować za Kuczma” oświadcza tatarski młodzian; „Będziemy głosować za Kuczma” mówią młode piękne dziewczyny; „Będziemy głosować za Simonienką” mówi para podstarzałych meneli z przepitymi twarzami; „Będę głosować za Simonienką” mówi sklerotyczny dziadek, po którym widać, że z trudem kojarzy co w ogóle mówi. Cały program, dobór wypowiedzi i osób, wyraźnie tendencyjny.

Obrona Simonienki słaba, słabiutka. Ulotki kiepskie, plakaty czarno-białe, w telewizji absencja.

Na gazetowym, byle jakim papierze ulotka Simonienki: „Zwolennikom rynku, burżujom NIE!. Półgłodowemu życiu NIE! Oddajmy głos na Simonienkę, socjalizmowi powiedzmy TAK!”. Całość w języku rosyjskim.

We Lwowie spotkałem monarchistów. Przedstawiono mi nawet króla, lub kandydata na króla. W małej, taniej kawiarence król, który przy okazji jest biskupem, opowiada mi o sobie przy kawie. Opracował sztandary i znaki dla ukraińskiej armii, opracowuje herby. Z tego żyje. Utrzymuje kontakty z polskimi monarchistami. Pytam, na kogo będzie głosował i widzę, że strzeliłem gafę. Przecież król nie może popierać innej kandydatury do władzy niż własną, a w dodatku nie może przecież być demokratą i głosować. Z rozmowy wynika jednak, że król ma poglądy wyraźnie prozachodnie i na pewno Simonienko nie jest jego faworytem.

Dostaję w prezencie czasopismo monarchistów. Na okładce król siedzi w fotelu. Widać dwa ordery. Za nim ciemna sylwetka jakiegoś zamku. Blanki i krózganki. Wyżej chmury się kłębią, a w chmurach pioruny, pioruny, pioruny. Pyszne samo w sobie.

W pewnym momencie do króla podchodzi jakiś jego znajomy. Prosi o pomoc w uruchomieniu samochodu i król idzie popchać samochód. Opowiadam całe wydarzenie dziewczynom.

– Tacy i u nas królowie – komentuje krótko Natalia.

Bardzo wielu moich rozmówców będzie głosować na Kucznię, ale nie za Kucznię, tylko przeciw Simonience. Oni ćwiczą polską specjalność: wybieranie mniejszego zła.

W Sewastopolu dostaje ulotkę-instrukcję jak głosować. Na kolejnych rysunkach ładna dziewczyna w kwietnym wianku na głowie, w ukraińskiej koszuli *rubaszce*, w kwiecistym fartuszku, kozaczkach i w mini przechodzi kolejne etapy głosowania. Podchodzi do stołu komisji, bierze kartkę i idzie do urny. Tytuł: „Ukraina wybiera sobie prezydenta”. Na jednym z rysunków dziewczyna, która wyraźnie ma symbolizować Ukrainę, mówi: „Kogo by tu wybrać, jak oni wszyscy tacy garni,..”.

– Co to znaczy garni? – pytam Romana, bo nie znam tego słowa.

– Fajni, przystojni, coś takiego.

Dowcip w tym, że według znacznej części wyborców wszyscy, lub prawie wszyscy kandydaci byli zupełnie nie fajni.

– Czy nie uważasz, że ona jest seksualnie agresywna? – pyta mnie jeden z sewastopolskich dziennikarzy.

Patrzę jeszcze raz na rysunek. Pod ludowym strojem duży biust, mocno wcięta talia i mini. No i te rozważania o wybieraniu przystojniaków.

– Myślę, że jest.

### **Sewastopol stoi na kościach**

Jurij i jego syn Andrij oprowadzają mnie po Sewastopolu. Sewastopol ma kilka naturalnych portów, fiordów zwanych tu *buchtami*. Między nimi na półwyspach wzgórza, na które miejscowi mówią *chelmy*. Na każdym kroku ślady kolejnych krymskich wojen. Na jednym z *chelmów* Panorama, gigantyczny obraz panoramiczny przedstawiający wojnę krymską. Cały obiekt bardzo podobny do naszej Panoramy Raławickiej. Obok wystawa zdjęć z obrony Sewastopola przed Niemcami podczas II wojny światowej. Między tym kramy z wojennymi pamiątkami. Nieco dalej starannie odrobiony artyleryjski bastion z pierwszej wojny krymskiej.

To była dziwna wojna – mówi Andrij – w niedziele nie walczone, a oficerowie obu stron składali sobie wizyty.

Nie chroniło to jednak żołnierzy obu stron przed całym okrucieństwem wojny. Obie strony drążyły podkopy pod pozycje przeciwnika i podkładały w nich ładunki wybuchowe. Czasami podkopy spotykały się i wtedy walki toczyły się pod ziemią. Cała historia Sewastopola to kolejne obrony i oblężenia.

– Tu gdzie się tylko łopata ruszy, to wykopuje się kości. Cały Sewastopol stoi na kościach – mówi Andrij.

Po całym dniu zaczyna mi się już mylić, kto gdzie komu zatopił okręty, kto i kiedy sam zatopił okręty, by zablokować wejście do *buchty* i które wojska siedziały na których *chelmach*. Pełno tu pomników, które Niemcy obalali, a sowietci z powrotem stawiali lub odwrotnie. Między tym jednak normalne współczesne życie. Przy wyjściu z muzeum *Czarnomorskoj Floty* (Floty Czarnomorskiej), między historycznymi armatami i torpedami, maleńka kawiarenka z czerwonym szyldem: *Coca Cola*.

Na bulwarze nad *buchtą* gromadka pionierów w czerwonych kurtkach ćwiczy przed wiecem wyborczym komunistów. To będzie pionierska orkiestra. Instruuja ich dwie młode i ładne dziewczyny. „Zupełnie nie wyglądają na komunistki” myślę.

– Widzisz ten budynek? – pokazuje Andrij – Tam była najpierw *ochrana* (carska policja polityczna), później *czeka*, potem gestapo i w końcu NKWD. Wszyscy mieli pewien osobliwy zwyczaj. Przywiązywali ludziom kamienie do nóg i wrzucali do *buchty*.

– Tu gdzie jesteśmy i teraz ćwiczą pionierzy?

– Właśnie tu. Do niedawna nikt nie wiedział, że tam pod wodą stoi *straszny tłum*.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem. Po polsku zwrot „straszny tłum” można rozumieć jako „wielki tłum”. Ale tym razem chodzi na prawdę o tłum „straszny”.

– Jak zaczęli pływać płetwonurkowie, okazało się, że tam pod wodą stoją w pozycji pionowej, z kamieniami u nóg setki ludzkich zwłok w różnym stopniu rozkładu.

Co za horror! Aż nie do wiary.

– I to ciągle tam jest? Nic z tym nie zrobiono?

– Nie wiem czy ciągle jest, ale było – mówi Andrij.

Sewastopol stoi na kościach, Sewastopol pływa na kościach, Sewastopol żyje na kościach... Koszmar. Ale jest 20 stopni ciepła w listopadzie, świeci słońce i dwie niezłe laski ćwiczą pionierów.

W głębi *buchty* szare, groźne sylwetki rosyjskich okrętów Floty Czarnomorskiej. Baza wojenna kraju, który akurat prowadzi wojnę, na terenie niepodległej Ukrainy, na wzgórzu za mną ogromny pomnik Lenina, ćwicząca orkiestra komunistycznych pionierów i „*straszny tłum*” pod wodą. Co za koktail.

Nawet jeśli Andrij się myli lub zalewa, jeśli tego „*straszego tłum*” wcale tam pod wodą nie ma, to nie mam wątpliwości, że wszystkie kolejne policje polityczne, które tu rezydowały, były zdolne do jego stworzenia.

Zresztą co za różnica, pod wodą czy pod ziemią. Przecież cała Ukraina leży na kościach. Cała najnowsza historia tego kraju jest niebawale tragiczna i ta historia wyłazi na powierzchnię niemal na każdym kroku, ożywa, jakiego zagadnienia by się nie dotknąć.

To właśnie Ukraina była najbardziej dotknięta sztucznie wywołanym głodem lat 1921-1922. Siódmego lipca 1921 roku Cerkiewny Komitet Pomocy Głodującym apelował: *„Dla wygłodzonej ludności wyszukany danie stała się padlina, a i to danie trudno znaleźć. Płacz i jęki rozlegają się ze wszystkich stron. Dochodzimy już do ludożerstwa... Wyciągnijcie pomocną dłoń do waszych braci i siostr.”*

*„Proponuję rozwiązać komitet jeszcze dziś...”* – brzmiała reakcja Lenina – *„Przekazać do dzienników dyrektywy w sprawie rozpoczęcia od jutra nie przebiegających w środkach ataków na ludzi z komitetu”*.

Lenin jest wciąż obecny na Krymie i wschodniej Ukrainie. W Sewastopolu, w Jakcie, w Semferopolu stoją pomniki Lenina, są ulice Lenina, szkoły im Lenina... A Lenin, jak to Lenin, miał swoje specyficzne wnioski z wielkiego głodu. Lenin pisał 19 marca 1922 roku do Biura Politycznego: *„[...] W chwili gdy tyle zagłodzonych istot żywi się ludzkim mięsem, gdy drogi usłane są setkami, tysiącami trupów, teraz i tylko teraz możemy [...] skonfiskować majątek Cerkwi ze straszną, bezlitosną energią. [...] Możemy w ten sposób zdobyć skarb wartości miliardów rubli w złocie. [...] tylko rozpacz wywołana głodem może skłonić masy do postawy wobec nas życzliwej lub przynajmniej neutralnej. [...] Im więcej członków reakcyjnego duchowieństwa się rozstrzela tym lepiej dla nas.”*

Gdy z Krymu w 1920 roku uchodziły niedobitki wojsk Wrangla, bolszewicy przystąpili do masakrowania ludności.

*„Od połowy listopada do końca grudnia 1920 roku rozstrzelano lub powieszono ok. 50 tysięcy osób. [...] Za pomoc w ewakuacji białych 26 listopada rozstrzelano w Sewastopolu kilkuset dokerów. 28 i 30 listopada Izwiestia Rewolucyjnego Komitetu Sewastopola opublikowały dwie listy rozstrzelanych. Na pierwszej znalazły się 1634 nazwiska, na drugiej 1202. [...] Prospekt Nachimowski pelen był trupów aresztowanych i powieszonych oficerów, żołnierzy i cywilów.”* (ten i poprzednie cytaty za „Czarną Księgą Komunizmu”)

Czego nie zdążył Lenin, kontynuował Stalin, dołożył się Hitler, i znowu Stalin poprawiał czego nie dokończył, a na koniec i Chruszczow i Breżniew też nieco ręki do dzieła dołożyli.

Na wysokim brzegu nad *buchtą*, w której stacjonują okręty rosyjskiej Floty Czarnomorskiej, pomnik żołnierzy z Sewastopola poległych w Afganistanie. W rozbitą czerwoną gwiazdę wbity krzyż.

– Na szczęście do Czeczenii nasi żołnierze już nie muszą jechać  
– mówi mi jeden z tutejszych dziennikarzy – Może to już koniec naszej produkcji grobów.

### **Dwa wiece**

Na środku placu położonego tuż nad brzegiem *buchty* stoi sobie na pomniku Paweł Nachimow, rosyjski admirał, dowódca Sewastopola w wojnie krymskiej poległy w obronie miasta w 1855 roku. Pod jego pomnikiem mają się dziś odbyć dwa wiece wyborcze, najpierw komunistów, a potem zwolenników Leonida Kuczmy.

Tuż obok placu miejsce stałej pikiety zwolenników Simonienki. Czerwone sztandary, plakaty z sierpem i młotem, gromadka starych ludzi w odświętanych ubraniach. Niektórzy w orderach.

Jeden z polskich komentatorów wydarzeń na Ukrainie na pytanie: „dokąd zmierza ta formacja?” odpowiedział: „na cmentarz” i miał rację. Ogromna większość komunistycznych aktywistów to ludzie starzy i bardzo starzy.

Zaczyna się wiec. Przybywają kolejne grupy. „Powitajmy oficerów, którzy nigdy nie zdradzili swojej ojczyzny Związku Radzieckiego!” woła prowadzący. Pochód kilkudziesięciu oficerów pod czerwonym sztandarem witają oklaski. Marszowy krok, czarne marynarskie mundury, liczne ordery. Średnia wieku 70 lat. Na czele oficerska orkiestra. Oficerowie ustawiają się w szereg i tak przetrwają do końca wiecu.

Przybywa orkiestra pionierów, która ćwiczyła rano nad morzem. Dumne, przejęte dziecięce twarze. Bum, bum, bum grają bębny i werble. Te dzieci z całą pewnością nic z tego nie rozumieją.

Przybywa kolejna grupa. „Powitajmy sewastopolskich konsołców!” Wśród otaczających plac nielicznych postronnych widzów i dziennikarzy rozlegają się chichoty. Pod wielkim czerwonym sztandarem, bezładną grupką idzie osiemnastu (policzyłem) facetów koło trzydziestki.

W tłumie ok. 1500 osób uwijają się gazeciarki w wieku emerytalnym. Sprzedają „Prawdę”. Staram się zrobić zdjęcie jednej z nich, paradującej w czerwonym berecie ozdobionym złotymi literami „C C C P” (ZSRR), ale babcia pomimo wieku umyka przed obiektywem bardzo sprawnie.



Rosyjscy komuniści przed wiecem w Sewastopolu (Krym) – fot. Krzysztof Łoziński

„*Towariszczu raboczi i bezraboczi!*” zaczyna wiec prowadzący (Gra słów nieprzetłumaczalna na polski. „Towarzysze pracujący i bezrobotni”, ale brzmi to jak „robotni i bezrobotni”).

– Czemu bezrobotni – pytam później jednego z komunistycznych działaczy – przecież Ławrientij Beria głosił, że kto nie pracuje, ten nie je?

Uchylił się od odpowiedzi. Ale gdyby ten wzrok mógł zabijać...

Przemówienia w języku rosyjskim. „Odbudować Związek Radziecki!”; „Musimy kontynuować dzieło Lenina!”; „Tam w Czeczenii nasi bracia krew przelewają!”

– Tylko że nie swoją – mówi stojący koło mnie ukraiński dziennikarz.

Jakaś kobieta śpiewa wyborcze czastuszki przyjmowane przez zebranych z widocznym zadowoleniem. Wysoki głos i skrzeczący mikrofon utrudniają zrozumienie słów, ale wielokrotnie

wylapuję zwroty w stylu: „*sztu by Kuczmu ubiwať*” lub „*Kuczma tot bandiť*” (Żeby Kucznię zabijać”; „Kuczma ten bandyta”). W tłumie pomruk zadowolenia.

„Komunizmu skażem da, Mashadowowi, Kucznie smiert!” kończy ostatnią czastuszkę wysokim głosem wyjątkowo wojownicza *babuszka* („Komunizmowi powiemy tak, Mashadowowi, Kucznie śmierć”). Nie widzę jednak by wśród dziennikarzy i widzów ktoś się tą wojowniczą retoryką specjalnie przejmował. Moje pytania o treść



czastuszek kwitują wzruszeniem ramion lub puknięciem w czoło. Takie treści nadają się według nich do psychiatrii, a nie do politycznych analiz.

Ale część artystyczna trwa. Jeden z pionierów recytuje wiersz. Przejęty chłopięcy głosik wykrzykuje „*Da zdrastuj towariszcz Stalin! Da zdrastuj Sowieckij Sojuz!*” (Niech żyje towarzysz Stalin, niech żyje Związek Radziecki!). Nachodzi mnie refleksja, jak bardzo zmienił się układ sił w Europie. Treści, które jeszcze niedawno budziły grozę, teraz brzmią jak kabaret.

Czas minął, komuniści odchodzą w pochodzie, a z przeciwnej strony nadchodzi inny pochód, zwolenników Kuczmy. Przez chwilę zwolennicy jednych i drugich mieszają się na obrzeżach placu. Dochodzi do paru burzliwych dyskusji.

– Czego chcecie od Moskwy? To wszystko Moskwa zbudowała! – wykrzykuje w kierunku demokratów wojowniczy dziadek w orderach.

Ale oto nadchodzi główny pochód z orkiestrą na czele. Wojskową orkiestrą oczywiście. Nieco śmieszą mnie analogie. Tu wojskowa orkiestra i tam wojskowa orkiestra. Tam prowadzący witał przybyłych z okazji święta (rocznicy rewolucji) i tu prowadzący wita z okazji święta (nie-dzieli). Ale nastrój jest wyraźnie inny. Nie ma wojowniczego jadu, jest wielu młodych ludzi, inteligentne twarze. Spotykam pikietę Tatarów, z którymi rozmawiałem poprzedniego dnia. Niosą zielony transparent z napisem „Muzułmanie Krymu za Kuczma”. Dominują żółto niebieskie narodowe sztandary Ukrainy. Język przemówień ukraiński. Tłum jest wyraźnie mniejszy, ok. tysiąca osób. Trochę mnie to niepokoi.

– Kuczma ma więcej zwolenników niż komuniści, ale nie ma wśród nich takiego fanatyzmu, dlatego mniej ludzi chodzi na wiece – uspokaja mnie Jurij.

Stoimy z boku w grupie nieco już znudzonych dziennikarzy i rozmowa schodzi na sprawy Rosji i wojny w Czeczenii.

– Pierwszy raz słyszę o terroryście, który podkładał bomby, a jak się wojna zaczęła to przestał – mówi jeden z nich.

– Tak jakby właśnie chciał wywołać tę wojnę – mówi inny.

– A jak szybko znaleźli te dalsze bomby, co jeszcze nie wybuchły – dodaje ktoś trzeci.

– To jasne, przecież FSB (Federalna Służba Bezpieczeństwa) wiedziała gdzie je podłożyła.

Zbiorowy śmiech.

Ukraińskiej inteligencji wcale się ta rosyjska awantura na Kaukazie nie podoba. Roman pokazywał mi list jaki wysłał w imieniu tu-tejszego środowiska do rządu w Kijowie. Domagali się w nim uszczelnienia granicy z Rosją. Obecnie ta granica to bardziej linia na mapie

niż granica. Nie ma na niej prawdziwych posterunków granicznych. Napięte są też stosunki Ukrainy z Białorusią, zwłaszcza po tym, jak Kuczma na wniosek Kwaśniewskiego wyprosił Łukaszenkę ze spotkania przywódców regionu.

W programie wyborczym Simonienki przewija się motyw „chińskiej drogi”, jako rozwiązania dla Ukrainy. Ponieważ przyjechałem na Ukrainę głównie po to by wygłosić parę prelekcji na temat sytuacji w Chinach, spotykałem się z pytaniem, co myślę o tej „chińskiej drodze”. Czytelnicy z pewnością wiedzą, co myślę, więc nie będę tematu rozwijał, ale jeden raz ja mogłem zadać pytanie

o „chińską drogę”. Zadałem je jednemu z komunistycznych liderów w Sewastopolu.

– Co pan rozumie przez „chińską drogę”? – spytałem.

– System jednopartyjny i dobrobyt.

– A czy wie pan o tym, że stopa życiowa w Chinach jest dużo niższa niż na Ukrainie? że aby dojść

do chińskiego „dobrobytu” Ukraińcy musieliby znacznie zbiednieć? [*tak wówczas było – przypis autora*]

– Nie wiedziałem o tym.

– A czy wie pan jak jest druga strona tej „chińskiej drogi”, że jest nią niewolnicza praca milionów więźniów w łagrach?

– Nie wiedziałem o tym.

„Chińska droga” w programie wyborczym Simonienki to w rzeczywistości puste hasło. Ani on, ani jego zwolennicy nic nie wiedzą o tamtejszej rzeczywistości. Ot, po prostu marzy im się kraj, w którym oni by rządili, a jednocześnie byłoby wszystko to czego oni zrobić nie umieją: dobrobyt, sprawna gospodarka, rozwinięte technologie. Chiny są dla nich mitem komunistycznego Eldorado, mitem tak samo jak Eldorado fikcyjnym.

### **Buty na Lenina**

Kiczownik to miejsce, gdzie handluje się kiczem. Taki bazar staroci, tandety i różnych przedziwnych wyrobów. Widziałem kiczownik we Lwowie ale dopiero kijowski kiczownik robi wrażenie. Ciągnie się chyba z kilometr wzdłuż opadającej w dół do rzeki ulicy.

Na kiczowniku jest niemal wszystko. Poza autentycznym kiczem mnóstwo pamiątek po ZSRR, które sprzedaje się kolekcjonerom i turystom. Wojskowe czapki, ordery, sztandary. Ale jest i nowsza produkcja. Nad bogatą kolekcją „matrioszek” (takie drewniane baby coraz mniejsze jedna w drugiej) wiszą T-shirty z Leninami a wśród nich – Mac Lenin – portret Lenina wmontowany w znak Mac Donalds. Jeszcze niedawno za taki portret groziła Kołyma, teraz sprzedaje się go turystom.



Stragan na bazarze w Kijowie. Koszulki ze znakiem „McLenin’s” i matrioszki – fot. Krzysztof Łoziński

Zwracam uwagę na wyjątkowo bogatą kolekcję „matrioszek”. Czegoż tam nie ma. „matrioszka” – kosmonauta, „matrioszka” – Gorbaczow, „matrioszka” – Krawczuk i tak dalej. Sprzedawca zachwala mi jedną z nich. Na wierzchu „matrioszka” – Gorbaczow, ale na kolejnych co raz to mniejszych „matrioszkach” wyciąganych ze środka Gorbaczow coraz bardziej się zmienia. Na samym końcu objawia się maleńki drewniany Clinton. Czyż nie pyszne?

Na całej Ukrainie ścierają się dwa Leniny: Lenin z pomnika z Leninem z kiczownika.

W Semferopolu koło stacji Lenin na pomniku siedzi na ławce.

– Kiedyś, wcześniej rano było bardzo mało ludzi, i usiadłam obok Lenina na tej ławce – opowiada Natalia – no i mam zdjęcie jak siedzę z Leninem na ławce.

– Ale czemu wcześniej rano – pytam – w dzień się bałaś?

– W dzień byłoby to ryzykowne.

– Aż tak bardzo?

– No, nie bardzo, ale jeszcze parę lat temu, bardzo.

Obserwuję nazwy ulic w Jałcie: Lenina, Kirowa, Kalinina... W Jałcie pomnik Lenina stoi nad samym morzem. Jakoś dziwnie wygląda ten Lenin wśród palm, cyprysów i flag niepodległej Ukrainy.

– Rosja kiedyś w Jałcie świat dzieliła, a teraz nie ma nawet Jałty – mówi Andrij.

W Sewastopolu, na ulicy Lenina, jest sklep z butami. Właściciel zabawił się w grę słów i wywiesił sobie szyld: „Buty na Lenina”.

Przejeżdżaliśmy pociągiem przez dwa wielkie miasta, które zwały się w jedną aglomerację: Dnieprodzierżyńsk i Dniepropietrowsk. Skąd nazwa Dnieprodzierżyńsk to jasne. Od żelaznego Felka. Ale Dniepropietrowsk? Od Piotra Pierwszego? Okazuje się, że nie. Od Pietrowa, pierwszego sekretarza Komunistycznej Partii Ukrainy.

Na Ukrainie nie można było, tak jak w Polsce, po prostu zwalić pomników Lenina. Zbyt silni są tu ciągle jeszcze komuniści, no i nikt nie chce nadmiernie drażnić Rosji. Ale jednocześnie bez rozgłosu już szyje się Leninowi buty.

Myślę o perspektywach przyjęcia Ukrainy do Unii Europejskiej, co zapowiadał w kampanii wyborczej Leonid Kuczma. Przez chwilę mam taką wizję: Ukraina w Unii z milicją i SB zamiast policji, z nie zreformowaną gospodarką, rozbuchanym fiskusem, pomnikami Lenina i ulicami Kalinina. Zupełnie nie realne. Ukraina najpierw musi przejść z etapu podśmiechów z Lenina i szycia mu butów do etapu wykreślenia Lenina i jego koncepcji z prawa, gospodarki i mentalności ludzi.

Siedzimy w Jałcie w kawiarence nad brzegiem morza i rozmawiamy o szansach Ukrainy na rozwój turystyki. Jałta to piękne miejsce. Zresztą nie tylko Jałta i nie tylko Krym. Złote kopuły kijowskich cerkwi, zabytki Lwowa i wiele innych miejsc, które mogłyby ściągać turystów.

– Tylko taki zachodni turysta musi mieć nie tylko ładne widoki – mówię – On musi mieć także wygodne hotele z basenami, kortami, dobrymi restauracjami...

– To wszystko w Jałcie jest – twierdzą moi znajomi.

– Jest ale nie takie jak na Rivierze, czy w Grecji.

– Jak to nie takie?

Widzę, że nie umiem wytłumaczyć tego ludziom, którzy nigdy nie widzieli Rivieri, Chamonix, Zermatt i innych podobnych miejsc, którzy myślą, że Jałta, Batumi czy Donbaj to są kurorty.

– Słuchaj Andrij, ja ci tego nie wytłumaczę – mówię – ale jedź na Rivierę, czy do Monte Carlo, Monaco, czy nawet na Goa w Indiach i zobacz na czym polega różnica. Wtedy zrozumiesz, że Jałta to nie jest kurort, a zaledwie miejsce, w którym mógłby powstać kurort.

– Ale czemu nie możesz tego wytłumaczyć?



Jałta, Krym – fot. Krzysztof Łoziński

– Bo to polega na wszystkim. Nie tylko na tym, że jest hotel z restauracją, basenem i kortem. Także na tym jakie są klamki w drzwiach, jaki program w telewizji i jaką minę ma kelner. Taki zagraniczny turysta nie może przyjechać do Lwowa czy Sewastopola i dowiedzieć się, że w kranie nie ma wody, wykąpać się nie może, bo wanna służy do magazynowania zapasu wody, a nie do kąpieli. Jak przyjedzie samochodem, to muszą mu go nie ukraść a policja nie może go zatrzymywać do kontroli co kilkadziesiąt kilometrów, bo wolny człowiek nie jest przyzwyczajony do tego, że policja go zatrzymuje, choć nie popełnił żadnego wykroczenia.

Jedziemy z Romanem Z Sewastopola do Semferopola. Na dworcu autobusowym w Sewastopolu, tuż obok zachowanego dla pamięci pokoleń pociągu pancernego z II wojny światowej z napisem „Śmierć faszystom”, wsiadamy do autobusu, który według polskich norm nadaje się wyłącznie do odholowania na złom.

Autobus chrzęści i rzezi na serpentynach przez Krymskie Góry. Za oknem jakiś obiekt przemysłowy, coś jakby paskudna rozległa zwirownia. Wszystko tu jakieś szare i ponure. Dalej w skałach mnóstwo jaskiń. Patrzę na te jaskinie i widzę, że są jakieś dziwne, jakoś zbyt regularnie rozmieszczone i wyloty mają prostokątne.

- Co to jest ? – pytam Romana.
- A to są sztuczne groty, kiedyś w nich ludzie mieszkali.
- A dawno?
- Dawno, zaraz po Grekach, tak piąty-szósty wiek.

Jak to? Tu jest taki zabytek, sprzed półtora tysiąca lat. Jaskinie mieszkalne wykute w skałach pewnie jeszcze przez Scytów i nie ma tu miejsca pielgrzymek zagranicznych turystów? Przecież wszędzie na świecie, gdzie widziałem podobne twory, Bhamian w Afganistanie, Ellura i Ajanta w Indiach, wykute w skałach mieszkania mnichów w Turcji Cappadocji, wszędzie tam kłębiły się tłumy turystów, a biura podróży wymieniały takie miejsca w swoich katalogach. A tu – zapyziała żwirownia i rozklekotany autobus. Jako zabytek wystawiony na widok komunistyczny pociąg pancerny zamiast scytyjskich budowli.

Myszę, ile Ukraina traci na braku rozkręcenia turystyki. Zawsze wiedziałem, że na Krymie są skałki i że po tych skałkach ludzie się wspinają. Ale dopiero teraz te skałki zobaczyłem. Toż to nie są skałki. Wysokie na sto do dwustu metrów skalne ściany ciągną się kilometrami. Tu jest więcej trudnego terenu do wspinania niż w całych Polskich Tatrach. I w dodatku jest to zagospodarowane. Widzę gromadki młodych ludzi z plecakami, liny spod kłapy wystają, zupełnie jak w skałkach Jury. Gdy autobus podejżdża bliżej do jednej ze skał, widzę błyszczące w słońcu rządki spitów (haków do asekuracji osadzonych na stałe). Przecież te krymskie skały są wcale nie gorsze niż francuskie Kalanki czy greckie Meteory, tylko nikt ich nie rozpropagował.

W Semferopolu przy stacji Lenin siedzi na pomnikowej ławce. Wsiadam z pociągu w Kijowie. Lenina nie widać (choć pewnie gdzieś jest) – widać restaurację Mac Donalds. Później kojarzę, że to jest właśnie kwintesencja dzisiejszej Ukrainy: rysunek z kijowskiego kiczownika – Lenin wpisany w znak Mac Donalds. Ukraina znajduje się na rozdrożu między dwoma odmiennymi światami. Jej gospodarka, polityka i świadomość ludzi to właśnie taki Mac Lenin.

### **Telewizja uliczna**

Na głównej ulicy Lwowa stoi telewizyjny wóz transmisyjny z wielką satelitarną anteną a obok niego ogromny ekran o powierzchni kilku metrów kwadratowych. To telewizja uliczna, instytucja, jakiej nie widziałem w żadnym kraju.

Program rozpoczyna się wieczorem. Uliczny tłumek zgromadzony przed kamerą zaciekle dyskutuje na podsuwane przez dziennikarzy tematy. Każdy z wypowiadających się ludzi od razu widzi się na wielkim ekranie i najczęściej nie kojarzy, że nikt poza tymi, co stoją obok, go nie ogląda. Ale magia kamery i ekranu jest tak wielka, że wszyscy chcą „wystąpić w telewizji”. Między tymi wystąpieniami uczestników programu i jedynych widzów zarazem puszczone są materiały nakręcone przez reporterów, które pobudzają widzów do dyskusji. Telewizja uliczna filmowała na przykład moją konferencję prasową we Lwowie.

Wypytyuję jednego z dziennikarzy tej telewizji o jej działanie.

– To jest pomysł wyjścia z telewizją bezpośrednio do widza. Widzowie aktywnie uczestniczą w programie i bardzo się angażują. Staramy się trochę dyskusją sterować, patrząc komu dajemy mikrofon do ręki. Ale czasami jakiś pijak czy oszołom jest tak natrętny, że musimy go dopuścić do głosu. Wtedy widownia sama reaguje. Rozlegają się głosy: „Zabrać mu mikrofon!” lub „Nie dawać mikrofonu pijakom!” i wszystko wraca do normy.

– Ale jak to działa? Przecież ci we Lwowie, na tej ulicy, widzą tylko siebie. Na dobrą sprawę można by zamiast tego ekranu postawić lustro – zgłaszam swoje wątpliwości.

– No nie zupełnie. Robimy jeszcze tak zwane mosty. Jeden z wozów we Lwowie łączy się z wozem w Doniecku, a wóz z Kijowa z wozem z Zaporozża. W ten sposób widzowie mogą dyskutować z widzami z innego miasta albo z widzami z innego wozu w tym samym mieście, gdy dyskutujemy o sprawach lokalnych.

– Ale czy to jeszcze jest nadawane w normalny sposób, chodzi mi o to, czy mogę wasz program odbierać przez telewizor?

– Nie. To są tylko te ekrany na ulicach, ale jest ich w całym kraju około dwustu i przy każdym, jak widzisz, gromadzi się tłum ludzi. Twoja prelekcja o łamaniu praw człowieka w Chinach była transmitowana na dwustu ekranach na całej Ukrainie. Natomiast ogromna większość dyskusji rzeczywiście toczy się tylko na miejscu a ekran i kamera stanowią zaledwie ich katalizator. Są jak przedmioty magiczne. Bez nich ludzie by nie dyskutowali, choć mogliby mieć dokładnie tyle samo słuchaczy.

– Trochę mi to przypomina formułę polskiego radia TOK-FM. Ono też polega na rozmowie ze słuchaczami, tyle że ci słuchacze dzwonią do studia.

– A u nas studia w ogóle nie ma.

– Bardzo ciekawy eksperyment. Nigdzie czegoś takiego nie widziałem.

– U nas też nie wiadomo, czy jeszcze zobaczysz. To jest za pieniądze jakiejś zachodniej korporacji oraz za pieniądze oligarchów związanych z Kuczmą. Nie wiemy, czy będziemy jeszcze pracować, gdy skończy się kampania wyborcza.

– Ale przecież nie zauważyłem, byście prowadzili kampanię wyborczą Kuczmy.

– Bezpośrednio nie, ale samo pobudzanie do dyskusji sprzyja Kuczmi, zwłaszcza teraz, gdy jako przeciwnik został tylko Simonienko.

Przez znaczną część pobytu obracałem się wśród dziennikarzy i rozmowa często schodziła na sprawy mediów. Zauważyłem, że na Ukrainie właściwie nie ma ani jednej gazety, w której można by

zamieszczać większe materiały. Największe artykuły w ukraińskich gazetach mają objętość cztery do sześciu stron maszynopisu, i to właściwie tylko w jednym tygodniku „Pi+K – Polityka i Kultura”. To musi powodować płytkość większości analiz, bo bardzo rzadko skomplikowane treści da się opisać w tak małej objętości. Gdy mówię, że ja składam w Gazecie Wyborczej materiały o objętości dwudziestu stron i co najwyżej skrócą mi je do czternastu, wzbudzam zazdrość.

A to bardzo ważna sprawa. Ukraińskiej inteligencji wyraźnie brakuje forum do poważniejszej dyskusji. W dodatku wiadomości zagraniczne są bardzo skąpe. Poza podstawowymi informacjami z Rosji i z Europy właściwie nic więcej. Gdy mówiłem o represjach władz chińskich wobec związku Falun Gong, widziałem że wśród ukraińskich dziennikarzy prawie nikt o tym nie słyszał, a w Polsce bębniła o tym cała prasa, telewizja i wszystkie możliwe radia. Na temat takich spraw, jak polityka Indii czy Pakistanu, można tu dyskusji w ogóle nie zaczynać. Przed Ukrainą stoi ciągle problem zbudowania mediów na europejskim poziomie i jest to o tyle ważne, że obecnie publicystyczną pustkę wypełnia prasa rosyjskojęzyczna.

– O swoich opiniach na temat tego co Rosja robi w Czeczenii możemy sobie pogadać, ale nie bardzo mamy gdzie to napisać – mówi mi młody inteligentny dziennikarz z Kijowa – a jest o czym pisać. Na przykład o hipokryzji Zachodu. Gdy była wojna w Kosowie, Zachód twierdził, że gdy łamane są prawa człowieka to nie ma „wewnętrznych spraw” jakiegoś państwa, a gdy zaczęła się wojna z Czeczenią wszyscy zgodnie orzekli, że to wewnętrzna sprawa Rosji.

– Wiesz, widziałem taki rysunek w jednym z amerykańskich czasopism. Stoi na lotnisku bombowiec i jeden pilot mówi do drugiego: „Prezydent Clinton powiedział, że odtąd żaden totalitarny reżim nie może czuć się bezpieczny.” A ten drugi na to: „To kiedy lecimy na Pekin?”

– Fajne, ale gdzie byś u nas o tym opowiedział? W telewizji ulicznej? Usłyszysz cię pięćdziesiąt osób.

No tak, porządną prasę trzeba dopiero zbudować, ale przy wszystkich niedomogach ukraińskiej demokracji, to jednak jest demokracja, czego na pewno nie można powiedzieć o Rosji. Tu nikt nie rozpędzał parlamentu z armat. A ta prasa, choć nie przystaje do potrzeb nowoczesnej demokracji, jest jednak wolna. Jej niedomogi wynikają z biedy i nieznajomości wzorców a nie z ograniczeń narzucanych przez państwo.

### **Najlepsze witaminy – ukraińskie dziewczyny**

Na Ukrainie jest dużo więcej niż u nas bardzo wysokich kobiet. Ja mam wzrost „leninowy”, czyli 170 cm, co nie jest zbyt wiele, przez co



chwilami czułem się dziwnie, choć kompleksów damsko męskich nigdy nie miałem. Siada naprzeciwko mnie w autobusie piękna dziewczyna, nogi „do podłogi”, mini ledwo pępek zakrywa. Łypie do mnie niebieskim okiem, tylko czemu ona ma dwa metry wzrostu? Z dziewcząt, z którymi podróżowałem dwie też bardzo wysokie. Sweta ze Lwowa 180 lub więcej. Weronika z Drohobycza jeszcze wyższa.

Ale jednocześnie coś jest w tych dziewczuchach optymistycznego. Gdy patrzy się na ukraińskie dziewczyny na ulicach, widzi się Europę. One mogłyby chodzić po ulicach Paryża. Modnie ubrane, odstawione zupełnie nie tak, jak radziecka siermiężna tradycja uczyła.

Ukraińska młodzież dąży do Europy, uczy się angielskiego, buszuje po Internecie. Elektorat Simonienki to głównie emeryci. Nawet gdyby elity władzy nic nie robiły, to zmiana

pokoleniowa pociągnie ten kraj do przodu. To nieuchronne.



# Rzeźnik z Bagdadu

## 2003

**Saddam Husajn, psychopata i zbrodniarz zamordował osobiście kilkadziesiąt osób a jego rządy kosztowały Irak i inne państwa życie prawdopodobnie około trzech milionów ludzi.**

Saddam Husajn al – Tikriti, Saddam („Ten kto stawia czoło”) z Tikritu od 1973 roku używający nazwiska Husajn, urodził się w 1937 lub 1935 roku we wsi Owia koło Tikritu. Należy do plemienia Al Bu Nasir i potężnego klanu z Tikritu, miasteczka w którym urodził się Kurd Saladyń, wyzwoliciel Jerozolimy i pogromca krzyżowców. Opiekujący się nim ojczym traktował chłopca w sposób wyjątkowo okrutny. Podobno bił go nawet metalowym pętem. Gdy Saddam miał dziesięć lat uciekł z domu. Przygarnął go wuj Chairallah Tulfa, arabski nacjonalista, oficer, wpływowa postać klanu z Tikritu. Twierdził, że są *„trzy rzeczy, których bóg nie powinien stworzyć: Persowie, Żydzi i muchy”*.

Całe życie Saddama to pasmo zbrodni. Jeszcze jako młody chłopak popełnił cztery morderstwa. W ostatniej klasie liceum trafia po raz pierwszy do więzienia. Jest podejrzany o zabójstwo komunisty z Tikritu, ale wkrótce zostaje zwolniony. Przez klan z Tikritu został wprowadzony do partii BAAS (Socjalistycznej Partii Odrodzenia Arabskiego) i rok później bierze udział w zamachu na prezydenta Abd al – Karima Kassima. Zamach się nie powiódł i Saddam musi uciekać do Jordanii

i Egiptu. Na emigracji spędza cztery lata. W tym czasie ożenił się Sądą, matką jego pięciorga dzieci: córek Raghid, Rany i Hali oraz synów Udaja i Kusaja.

Z opresji wybawia go udany tym razem zamach na prezydenta Kassima, którym kierował wuj Saddama Ahmed Husajn al-Bakhr. Jest to początek kariery politycznej Saddama. Towarzyszy wujowi, gdy ten w 1968 roku dokonuje puczu i przejmuje władzę. Saddam jest prawą ręką nowego dyktatora, ale jedenaście lat później (w 1979 r.) obala go i sam obejmuje władzę w państwie. Wcześniej zleca zabójstwo byłego premiera An Naifa, który wygnany przez Saddama z kraju przebywał w Londynie. Inspirując serię morderstw, porwań, publicznych egzekucji i wyrafinowanych tortur Saddam Husajn umacnia swoją władzę w państwie. Swemu dobroczyńcy al-Bakhrowi odwdzięcza się umieszczeniem go w areszcie domowym. Dwa dni po zaprzysiężeniu na prezydenta zwołuje Radę Dowództwa Rewolucji. W czasie transmitowanego przez telewizję posiedzenia nakazuje aresztować 68 osób. Sterryzowana reszta rady godzi się już na wszystko. Rozpoczyna się gigantyczna czystka w partii BAAS połączona z zamordowaniem kilkuset jej działaczy (na ok. 5 tysięcy członków w ogóle). Saddam osobiście morduje 21 ludzi.

Wszystkie istotne stanowiska w Iraku zostają obsadzone przez rodzinę Saddama i klan z Tikrit. Nowym funkcjonariuszom państwa dyktator daje za żony kobiety ze swojej rodziny. Dziś niemal wszystkie są wdowami. Ich mężów zabił Saddam Husajn.

W 1995 roku dwaj zięciowie Saddama, Husajn Kamel i Saddam Kamel, wraz z rodzinami uciekli do Jordanii. Saddamowi udało się ich nakłonić do powrotu. Umieszczono ich w willi – areszcie domowym. Po oddzieleniu kobiet, krewnych dyktatora, do willi najpierw wpuszczono gaz, a potem ostrzelano ją z armat. Obaj zginęli.

W latach osiemdziesiątych Saddam zaczyna romans ze stewardesą Samirą. Wywołuje to napad furii jego starszego syna Udaja, który publicznie zabija ochroniarza ojca. Saddam początkowo skazał syna na śmierć, ale szybko zmienił zdanie i wysłał go do Szwajcarii. Następnie poślubił Samirę. Swemu dobroczyńcy z dzieciństwa wujowi Chajrallahowi konfiskuje cały majątek, by zemścić się za krytykę tego małżeństwa.

Wkrótce syn Saddama Udaj wraca ze Szwajcarii i w czasie rodzinnej awantury rani serią z karabinka automatycznego swego wuja Watbana. Tym razem Saddam już go na nic nie skazuje. Udaj dowodzi bojówkami siejącymi terror („Lwy Udaja”). W 2000 roku jego bojówki obcinają piłami głowy dwudziestu prostytutkom i wystawiają je na widok publiczny w Bagdadzie. Nie chodzi bynajmniej o walkę

z prostytutką, Był to element osobistych porachunków Udaja z postrzelonym wujem. Ulubioną rozrywką Udaja było gwałcenie kobiet. Ma na tym polu kilkaset dokonań.

Rządy Saddama były nieprzerwanym pasmem masowych zbrodni. W 1980 roku, w ramach tłumienia buntu szyitów, wojsko zabija kilka tysięcy ludzi. Dziesiątki tysięcy zostaje wygnanych z kraju. Zaraz potem Irak rozpoczyna trwającą osiem lat wojnę z Iranem, w której ginie około miliona ludzi. Wojska Saddama po raz pierwszy używają gazów bojowych. W 1982 roku dochodzi do nieudanego zamachu na dyktatora. Wieś, w której się to zdarzyło zostaje z rozkazu Saddama zbombardowana bombami napalmowymi a jej mieszkańcy wymordowani. Następnie armia iracka morduje około 100 tysięcy Kurdów. W tym czasie wojsko ponownie używa gazów bojowych zabijając ok. 5 tysięcy kurdyjskich cywilów w miasteczku Halabdzia i dalsze 2 tysiące w okolicznych wsiach. Nie było tam walk, lecz cyniczny mord cywilów, w tym kobiet i dzieci.

W czasie sprowokowanej przez Saddama wojny o Kuwejt i operacji „Pustynna burza”, będącej jej konsekwencją, ginie 60 tysięcy obywateli Iraku.

Masowa śmierć była codziennością tego kraju. Działyły potworne obozy koncentracyjne i więzienia. Tylko w jednym więzieniu w Bagdadzie, przez pięć lat, rozstrzelano 3 tysiące więźniów. Oprawcy Saddama znani byli z wyjątkowego okrucieństwa. Jedną z zabaw było zmuszanie więźniów do picia benzyny i strzelanie do nich z pocisków smugowych, co powodowało, że wybuchali.

20 marca 2003 roku Stany Zjednoczone wraz z koalicjantami dokonują inwazji na Irak. Armia Saddama zostaje rozbita w ciągu 20 dni. Do dziś w wyniku wojny i późniejszych zamachów terrorystycznych zginęło około 300 żołnierzy koalicji, 15 tysięcy żołnierzy Iraku i około 8 tysięcy Irackich cywilów. 6 tysięcy z nich zabili terroryści Saddama. Jednym z ostatnich wyczynów Saddama było wystrzelenie 2 pocisków z granatnika w bazar w Bagdadzie (zginęło 18 osób) tylko po to, by twierdzić, że to Amerykanie ostrzelali bazar rakietami (wojska amerykańskie były wówczas ok. 100 km od Bagdadu, a znalezione na miejscu szczątki pocisku wskazują na granatnik o zasięgu do 1 km).

22 lipca 2003 roku żołnierze USA zabili Udaja i Kasaja.

13 grudnia 2003 roku złapano Saddama. Nie stawiał oporu, zachowywał się w sposób wskazujący na całkowity brak odwagi i godności.



# Masowa elita

## 2008

**[Pozornie tytuł zawiera absurd. Jak elita może być masowa? Przecież w definicji elity zawarta jest elitarność. Niemniej jednak dożyliśmy czasów, w których środowiska, uważane i uważające się, za elitarne liczą dziesiątki, setki tysięcy, a nawet miliony ludzi. Jest to zupełnie nowa jakość w historii świata]**

Patrzę na zdjęcie Ansel Adamsa „Księżyc i ściana Halfdom”. Klasyka fotografii, arcydzieło... I nagle myśl: czy aby sam nie zrobiłem zdjęć na tym samym poziomie? Myśl, wbrew pozorom, wcale nie absurdalna. Ansel Adams niósł ciężką kamerę, ogromny statyw i naświetlał nocne zdjęcie księżyca w Yosemite przez wiele minut. Co więcej, musiał naświetlony materiał sam wywołać. Ile mógł w swojej karierze artystycznej wykonać zdjęć – kilkaset, tysiąc? Wysiłek wkładany w wykonanie dobrego technicznie zdjęcia był tak duży, że dzisiejsze „pstrykanie” na prawo i lewo nie wchodziło w rachubę. Zresztą, przed wynalezieniem nowoczesnych kamer nie było możliwe. Technika zmuszała do zastanowienia, do starannego zaplanowania pracy.

Mam archiwum około 20 tysięcy zdjęć analogowych i około 10 tysięcy cyfrowych. Swoich własnych zdjęć. Co więcej, fotografują dziś prawie wszyscy, zwłaszcza małymi „cyframi” (ostatnio nawet telefonami). Oblicza się, że obecnie dziennie powstaje na świecie miliard

zdjęć, w tym około 10 milionów zdjęć na wysokim poziomie artystycznym lub poznawczym.

Podobne zjawiska następują we wszystkich dziedzinach. W czasach drzeworytu i miedziorytu wytworzenie grafiki zajmowało wiele godzin albo i dni. Do dziś podziwiamy „rękę” i linię Albrechta Dürera. Niegdyś ideał niedościgniony. Dziś już nie trzeba mieć „ręki”, bo idealną linię zapewniają odpowiednie funkcje Corela, nie mówiąc o bardziej zaawansowanych programach graficznych. Kilkadziesiąt milionów grafików komputerowych wytwarza co dzień wiele milionów grafik.

Jeszcze w początkach XIX wieku, polski inteligent mógł przeczytać wszystkie nowości literackie wydawane w jego języku. Dziś w Polsce wydawane jest 25 tysięcy tytułów książek rocznie. Czy ludzie piszący książki nadal są elitą? A może już nie wszyscy.

Podobnie rzecz się ma z nauką, medycyną, dziennikarstwem, podróżnictwem...

Miliony masowych naukowców generują co rok miliony masowych prac naukowych. Ogromnej większości tych dzieł, poza ich twórcami i gronem kolegów, nikt nie czyta. Zresztą ta gigantyczna masa „prac naukowych” najczęściej nie przedstawia żadnej wartości naukowej. Tak samo 990 milionów, z miliarda, robionych codziennie zdjęć nie przedstawia żadnej wartości artystycznej i poznawczej.

Środowiska przypisujące sobie elitarność, misję, środowiskową etykę, etos... stały się tak liczne, że poziom większości tworzących je jednostek spisał, zmarniał, o żadnej etyce czy autorytecie zawodu nie ma już mowy. Wkurza mnie na co dzień złe dziennikarstwo, potworna ilość błędów merytorycznych generowanych przez masowych dziennikarzy. Ale czy może być inaczej? Jeżeli stacja telewizyjna lub ogólnokrajowa gazeta codzienna zatrudnia ponad tysiąc dziennikarzy, to ilu z nich może mieć rozległą wiedzę, erudycję i odpowiedni poziom etyczny? Prestiż środowiska leci z pieca na łeb. Jeszcze sto lat temu, informacja prasowa była, adekwatnie do ówczesnej wiedzy o świecie, niemal zawsze prawdziwa. Dziś w każdym wydaniu niemal każdej gazety mogę znaleźć bez trudu sporą garść poważnych błędów w faktach. Masowe dziennikarstwo w masowym społeczeństwie przetwarza masową informacyjną siećkę.

A co to dziś znaczy *podróżnik*? Byle trekery przemierza dziś więcej kilometrów rocznie niż Marco Polo przez całe życie. Byłem w ponad 50 krajach. Czy jestem podróżnikiem? Nie. Jestem zwykłym facetem ciekawym świata, takim samym jak miliony innych turystów. Pojęcie *podróżnika*, jako kogoś wyjątkowego, nie ma już żadnego sensu. Podobnie rozmywa się pojęcie dziennikarza. Czy autor blogu jest



dziennikarzem? Bo jeśli tak, to za chwilę niemal każdy będzie dziennikarzem.

Myślę, że trzeba dziś zrewidować pojęcie elity i autorytetu. Profesor prawa przestaje być autorytetem tylko z powodu tytułu profesora, gdy w kraju jest kilkuset profesorów prawa, w tym ze dwie setki kompletnych durni. Podobnie z każdą inną dziedziną. Potrzebne jest inne kryterium. Ale czy ono w ogóle istnieje? Czy pojęcie elity w ogóle jeszcze ma sens?

Niegdyś uważano, że kraj i społeczeństwo pozbawione elit musi zginąć. Dziś elity właściwie same się zlikwidowały przez to, że zaczęły być masowe, a kraje i społeczeństwa mimo to trwają.

A jaki z tego morał? Ano taki, że od masowej elity nie można wymagać cech tradycyjnej elity. Jeśli mamy w kraju kilkadziesiąt tysięcy lekarzy, to nie spodziewajmy się przestrzegania przysięgi Hipokratesa. Od dziesiątków tysięcy dziennikarzy nie oczekujemy przestrzegania etyki dziennikarskiej i rzetelności. Etyka i rzetelność to cechy prawdziwej elity, a nie elity masowej. Żadnej gwarancji wiedzy i rzetelności nie dają dziś stopnie naukowe. Znam spore grono kompletnie głupich profesorów i docentów, liczne rzesze pisarzy, którzy nie napisali nic godnego uwagi i potężną masę podróżników, którzy dużo widzieli, ale nic nie zrozumieli.

Trzeba w końcu zauważyć, że nie ma już czegoś takiego jak: etyka grupy zawodowej, wysoka norma środowiskowa, honor tytułu naukowego itp. Zaczynamy żyć w świecie, w którym normy etyczne, wiedzę, honor i autorytet można przypisywać tylko jednostkom na zasadzie czysto uznaniowej, bo żaden tytuł, dyplom, przynależność do środowiska tego już nie gwarantują. A piszę to wszystko dlatego, że śmiesz mi walczyć pewnego środowiska o utrzymanie tytułu docenta. Masowi naukowcy walczą o ostatni relikwitu pozoru, że są elitarni.

(W 2016 roku, rządzący PiS zapowiedział „wymianę elit”. Na kogo? Na miernoty oczywiście. Ludzi spełniających kryteria dawnej elity nie da się wymienić. Można co najwyżej wyrzucić ich z pracy. A wymiana obecnej elity? Czy to aby nie masło maślane?)



# Olimpijskie studium zakłamania Olimpiada zmienia Chiny na gorsze 2008

(Artykuł napisany i opublikowany jeszcze przed olimpiadą w Pekinie)

8 sierpnia rozpoczęła się Olimpiada w Pekinie. Poprzez nią sztafeta olimpijskiego znicza. Inauguracja sztafety nastąpiła na placu Tiananmen, w miejscu-symbolu masakry z 1989 roku, gdy wojsko zabiło w Pekinie 7 tysięcy ludzi i 30 tysięcy raniło. Inauguracji sztafety dokonano między ogromnym portretem Mao Zedonga, wiszącym na bramie Tiananmen, a jego mauzoleum na drugim końcu placu. Miejsce szczególne, zważywszy że Mao był największym zbrodniarzem w historii nie tylko Chin, ale i świata. Niezależnie od ocen liczby jego ofiar (od 68, 80 do 200 milionów wedle różnych badaczy), Hitler i Stalin to przy nim niemal detaliści. Znicz olimpijski, chroniony przez oddział specjalny chińskich komandosów po cywilnemu, przemierzył trasę, podczas której bito i aresztowano demonstrantów, konfiskowano flagi Tybetu i portrety Dalajlamy, w paru miejscach „oczyszczano” teren z ludności miejscowej.

Ale nie to jest najgorsze w przygotowaniach Chin do olimpiady. Gdy tylko zapadła decyzja MKOL, władze chińskie postanowiły zapewnić sobie na olimpiadzie spokój, stosując jedyną znaną sobie metodę zapewniania spokoju – aresztując lub zabijając wszelkich rzeczywistych lub domniemyanych opozycjonistów. Za głównego wroga uznano związek Falun Dafa (Falun Gong), którego jedyną winą było to, że liczył więcej członków, niż partia komunistyczna. Ćwiczenie gimnastyki zdrowotnej gi gong w stylu Falun już od kilku lat było w ChRL zakazane i groziło wyrokiem (np. 14 lat więzienia). W ramach przygotowań do olimpiady aresztowano i zesłano do obozów koncentracyjnych ponad 200 tysięcy praktykujących Falun Gong. Ponad 2 tysiące z nich zmarło podczas tortur. Przy okazji, razem z rodzicami zabito kilkoro dzieci (najmłodsze miało 18 miesięcy).

Chiny szykują się do olimpiady, jak do bitwy lub do wojny. Z Pekinu usunięto już wszystkich bezdomnych, chorych psychicznie, kalekich, bezrobotnych ze wsi szukających pracy, ulicznych rzemieślników (fryzjerów, naprawiaczy rowerów, szewców, itp.). Ostatnio zaczęły się aresztowania działaczy nielicznych organizacji pozarządowych, ludzi pomagających chorym na AIDS lub cukrzycę, prawników pomagających chłopom dochodzić swych praw. Ze stolicy wygoniono przyjezdnych, którzy zgodnie z chińską tradycją przybyli zanosić petycje do władz w swoich sprawach. Wielu więźniom przedłużono wyroki, by nie wyszli przed olimpiadą.

Od wielu miesięcy trwa propagandowa kampania wrogości do Zachodu. Chińczycy pompowani są nacjonalizmem, wielkochińskim szowinizmem a nawet rasizmem. obrońcy praw człowieka przedstawiani są im jako niewdzięczni wrogowie, którzy chcą popsuć olimpiadę, poniżyć Chiny. Bo olimpiada ma być igrzyskami chwały Chin, dowodem wyższości Chin nad resztą świata, zwłaszcza wrogiego świata zachodniego. Jest nawet oficjalne hasło: „Olimpiada bez zakłóceń”. Wydawane są instrukcje, czego nie wolno wносить na stadiony (transparentów, flag, koszulek z nieprawomyślnymi napisami lub grafikami), a nawet instrukcje, co wolno śpiewać (nie tylko na stadionach). Jednocześnie władze alergicznie reagują na wszelką krytykę za granicą. Niedawno koncern samochodowy Fiat przeproszał rząd Chin za zatrudnienie w reklamie aktora Richarda Gere'a, znanego działacza na rzecz Tybetu. Transmisje telewizyjne z olimpiady nie będą całkiem na żywo, lecz z kilkuminutowym opóźnieniem, bo tego wymaga cenzura obrazu, co władze jawnie przyznały.

Najbardziej, przy tym wszystkim, zdumiewa mnie dobre samopoczucie działaczy MKOL i sportowców. Czy naprawdę nie czują, że to jest zabawa na grobach? Jak można mieć dobre samopoczucie

startując w kraju, w którym zabija się za uprawianie gimnastyki w stylu nie podobającym się władzy? Czy europejski gimnastyk, odbierając medal, pomyśli o zabitych za ćwiczenie gimnastyki w stylu Falun? Czy na pewno nie zauważy niestosowności swojego medalu? Nie rozumiem ludzi, którym obojętne jest miejsce, w jakim się tańczy.

Patrzę na naszych sportowców składających uroczyste ślubowania i zastanawiam się, co właściwie ślubują? To, że pojadą do kraju, którego znaczna część terytorium to obszary podbite w drodze zbrojnego najazdu i okupowane za pomocą krwawego terroru (Tybet, Turkiestan Wschodni)? A może to, że będą przestrzegać ustanowionych przez MKOL zasad politycznej cenzury swoich zachowań (żadnych gestów, żadnych protestów) i potulnie wystąpią przed wrogą sobie publicznością? Jak będą się czuli w inwigilowanym miasteczku olimpijskim, z podsłuchem w telefonie i cenzurą w Internecie? Czy wiedzą, że cały obsługujący ich personel został starannie dobrany i przeszkolony przez służby bezpieczeństwa?

Ilu sportowców zdaje sobie sprawę z tego, że jeszcze całkiem niedawno, jeszcze 10 lat temu, w Chinach stadiony sportowe służyły do publicznych egzekucji? A zmieniło się to tylko z powodów praktycznych. Władze nie chciały, by pobieranie organów do przeszczepów od zabitych skazańców odbywało się publicznie. Dlatego dziś na stadionach sportowych odbywają się tylko wiece egzekucyjne, gdzie ogłasza się wyroki a podburzony tłum lży i poniża skazanych. Samą egzekucję przeniesiono za miasto, gdzie czekają specjalne karetki, w których lekarze wykrawają z konających (często jeszcze żywych) ofiar serca, nerki, rogówki... Powody przeniesienia egzekucji nie były natury humanitarnej, lecz politycznej i estetycznej. Niedawno władze chińskie przyznały, iż tylko w celu pobrania organów, wykonuje się ponad 10 tysięcy egzekucji rocznie, a kanadyjski dyplomata David Kilgure udowodnił, że często jedynym powodem skazania na śmierć jest zgodność tkankowa ofiary z zapotrzebowaniem na narządy. Znane są nawet przypadki typowania ofiary do złapania i skazania, choć ten człowiek nie popełnił żadnego przestępstwa.

I znów mam pytanie o samozadowolenie sportowców. Czy aby na pewno to wszystko wam zupełnie nie przeszkadza? Jak można być tak zakłamanym, by bawiąc się na grobach opowiadać o „wielkim przesłaniu sportu”, „szlachetnej rywalizacji”, „czystości idei olimpijskiej”? Jakie znowu „przesłanie sportu”? Sport zawodowy, a tylko taki jest na olimpiadzie od bardzo dawna, to tylko widowisko, biznes i propaganda. Ten sport nie ma żadnego przesłania, a jeśli rozwija w ludziach jakieś cechy charakteru, to głównie te najgorsze: zawiść, pazerność, pychę. Gdy sportowiec zaczyna brać pieniądze za to, że trenuje i startuje,

to staje się pracownikiem, niczym cyrkowiec, showman. Tak samo, jak oni, ma zapewnić tłumom widowisko a organizatorom zawodów dochody. Od dawna państwa traktują sport jako metodę rozbudzania nacjonalizmu. Gdy słyszę o „nie mieszaniu sportu do polityki” ogarnia mnie śmiech pusty. Sport od niemal zawsze tkwi w polityce po uszy.

A „szlachetna rywalizacja”? Na olimpiadzie w Sydney startowało 460 „astmatyków”, bo astma uzasadnia obecność sterydów w organizmie. Oficjalnie ściga się doping, ale po cichu pracuje się nad metodami dopingu trudnymi do wykrycia. Jeśli sport jest taki czysty i szlachetny, to skąd się biorą zionące nienawiścią tłumy na stadionach i gigantyczne afery korupcyjne w związkach sportowych? Czemu ci sławni sportowcy pędzą żywot raczej hulaków, niż ascetów?

Zupełnie też nie przekonuje mnie argument: „Jesteśmy tylko sportowcami i nie interesujemy się polityką”. Tu nie chodzi o protest polityczny, tylko moralny. Wielkie zbrodnie zawsze odbywały się przy cichej akceptacji zwykłych ludzi, którzy mówili: „Jestem tylko kupcem, robotnikiem, lekarzem...”. Stare chińskie przysłowie mówi: „Gdyby każdy Chińczyk podniósł jeden palec pokonalibyśmy tyranów”. Gdyby każdy uczciwy człowiek ruszył jednym palcem w obronie praw człowieka, Chiny musiałyby się z tym liczyć. Chiny nie liczą się ze światową opinią publiczną, bo ciągle znajdują ludzi, stosujących samousprawiedliwienie: „Jestem tylko sportowcem, biznesmenem, inwestorem...”.

Nie oszukujmy się proszę państwa. Chinom przyznano olimpiadę, bo obiecały największe dochody. Warunku poprawy stanu przestrzegania praw człowieka, ani Chiny, ani MKOL, nigdy nie traktowały poważnie. Decyzja umieszczenia igrzysk w Pekinie spowodowała znaczne pogorszenie w tej dziedzinie, a nie poprawę. Przyniosła też potężne rozbuchanie chińskiego nacjonalizmu, ksenofobii i rasizmu.

Są jednak elementy pozytywne. Olimpiada zwróciła uwagę świata na dwie rzeczy: zbrodnie chińskiego komunizmu i olbrzymią hipokryzję zawodowego sportu. Może to coś da.

**PS.** Warto dodać do tego tekstu ciekawą perelkę. Po olimpiadzie odbyła się również w Pekinie paraolimpiada, czyli olimpiada sportowców niepełnosprawnych. Odbyła się w mieście, z którego wcześniej usunięto wszystkich chorych, kalekich i brzydkich, by nie psuli estetyki.

# Koreański Ludowo-Demokratyczny Raj Robotników 1929-2011

## *Ściąga dla telewizji*

Po śmierci Kim Dżong Ila w polskich mediach pojawiła się ogromna liczba komentatorów, która to liczba jaskrawo kontrastuje z rzeczywistą liczbą Polaków, którzy cokolwiek o Korei Północnej wiedzą. Usłyszeliśmy, poza zdaniem ludzi naprawdę kompetentnych, ogromną ilość kompletnych bzdur, jak na przykład wypowiedź pewnego pana, iż „przeciętna waga żołnierza Korei Północnej to 32 do 35 kilogramów”. Brednię tę TVN-24 powtarzała wielokrotnie.

Odnutowałem też dość osobliwą teorię Krzysztofa Mroziewicza, że Chiny nie chcą zjednoczenia Korei, bo stałaby się ona potęgą gospodarczą zagrażającą Chinom (*sic!*). Zupełnie odmienne zdanie na ten temat ma rząd Korei Południowej: zjednoczenie spowodowałoby załamanie gospodarki Południa. Usłyszeliśmy też historię o tym, jak to w czasie Wojny Koreańskiej wojska Północy wyryły dziesiątki tuneli pod granicą i tymi tunelami wyjechały czołgi i zajęły Seul. Kompletna bzdura. Północ rzeczywiście ryje tunele pod granicą, ale... 30 lat później.

Rozmawiałem telefonicznie o tych komentarzach z prof. Dziakiem i obu nam ręce opadały z szelestem. Mam wrażenie, że siła parcia na szkło bywa odwrotnie proporcjonalna do stopnia komplikacji kory

mózgowej. Jak to swego czasu powiedział Stanisław Tym, „cylindryczna gładź kory mózgowej najlepiej pasuje do gładzi ekranu telewizora”.

Z cylindryczną gładzią walczyć mi się nie chce, ale koledzy prosili mnie, bym coś o Korei Północnej napisał. Ponieważ jestem leniwy, postanowiłem zmodyfikować swój stary tekst o tym kraju. Uaktualniłem go, bo parę rzeczy się od tamtej pory wydarzyło i coś niecoś więcej dziś wiemy. Mam nieśmiałą nadzieję, że może ktoś to przeczyta, zaczym pójdzie gadać do telewizji. Nie śmię nawet marzyć, że przeczyta jeszcze publikowane w „Kontratekstach” teksty Waldemara Jana Dziaka, Marcelego Burdelskiego, Jerzego Bajera, Nicolasa Levego..., że może porozmawia z prof. Andrzejem Rzeplińskim...

No cóż, pomarzyć dobrze jest...

### **Skąd się wzięła dynastia Kimów?**

Wielki Wódz Towarzysz Kim Ir Sen w rzeczywistości nazywał się Kim Song-ju. Urodził się 15 kwietnia 1912 roku we wsi Mangyongde. Oficjalna propaganda KRL-D podaje, że jego rodzice mieli „właściwe” klasowo, ludowe pochodzenie, brali udział w antyimperialistycznym ruchu oporu, tworzyli liczne, nie istniejące w rzeczywistości organizacje. Nawet dziadek Wielkiego Wodza poprowadził atak ludu na amerykański okręt i zatopił go, choć w rzeczywistości był od niego oddalony o setki kilometrów.

Naprawdę ojciec Wielkiego Wodza, Kim Huong Dzik, ukończył szkołę średnią prowadzoną przez amerykańskich misjonarzy i został nauczycielem w szkole powszechnej. Poznał tam Kang Bon Sok, matkę Kima, córkę dyrektora szkoły. Matka Kima nie była rewolucjonistką, lecz praktykującą chrześcijanką.

Wkrótce po narodzinach Kima rodzina wyemigrowała zarobkowo do Mandżurii. Młody Kim chodził tam do chińskiej szkoły i ostatecznie w 1929 roku zakończył edukację na ośmiu klasach. W szkole zetknął się z grupą Mandżurskiej Federacji Młodzieży Komunistycznej. Wbrew późniejszej propagandzie nie odgrywał tam znaczącej roli, ale od jesieni 1929 roku do maja 1930 był więziony przez policję japońską. Został zwolniony ze względu na młody wiek. W tym czasie Kim przybrał swój pierwszy pseudonim: Hian Pol, co znaczy Pierwsza Gwiazda. Po zwolnieniu z aresztu przybrał pseudonim Il Sung (Być Słońcem). W ten sposób Kim Song-ju zamienił się w Kim Ir Sena (wszędzie poza Polską pisze się to Kim Il Sung, przemianowanie Il Sunga na Ir Sena jest po prostu skutkiem błędu w tłumaczeniu poprzez język rosyjski. Koreański => rosyjski => polski).

Według propagandy, już jako siedmioletnie chłopię poprowadził antyjapońską demonstrację, a wkrótce potem opuścił Koreę



z zamiarem powrotu jako jej wyzwoliciel. W 1930 roku utworzył Koreańską Armię Rewolucyjną, w 1932 roku Partyzancką Armię Ludową (żadna z nich nie istniała) a na terenach wyzwolonych – Rząd Ludowo-Rewolucyjny (nie było takich terenów ani rządu). W okresie młodości Kima, cała rodzina, w tym przyszła żona, z szybkością karabinu maszynowego zakładała liczne organizacje młodzieżowe, chłopskie, kobiece, związki zawodowe... Gdyby naprawdę w Korei było tyle organizacji, to japońska Armia Kwantuńska uciekłaby w popłochu. Klops w tym, że źródła historyczne o tych ligach, związkach i armiach uparcie milczą.

W rzeczywistości Kim Ir Sen walczył w partyzantce komunistycznej, ale chińskiej. Jego przełożonym był Wei Zhengmin (ponura postać KPCh), a nad nim stał Kang Sheng, późniejszy szef służb specjalnych Mao Zedonga. Warto zwrócić uwagę na tę postać, w cieniu której kształtowały się poglądy Kima. Wśród historyków Kang Sheng zyskał przydomek chińskiego Berii, choć pod względem skali zbrodni, cynizmu i okrucieństwa prawdziwy Beria, niewątpliwie zbrodniarz, nie dorastał mu do pięt.

Kim Ir Sen wyróżniał się brawurą, ale przy tym ignorancją i głupotą, jeśli patrzeć na jego akcje od strony sztuki wojny. Jego nieodpowiedzialne działania doprowadziły w końcu do takiej mobilizacji policji japońskiej, że komunistyczna partyzantka w Mandżurii została fizycznie zlikwidowana. W lutym 1937 roku 50 partyzantów Kima stoczyło potyczkę u podnóża góry Pektu (Pektusan, świętej góry Koreańczyków, na pograniczu z Chinami), w której zginęło 13 żołnierzy japońskich. W czerwcu 1937 roku 80 partyzantów Kima pokonuje 30 żandarmów i urzędników japońskich „wyzwalając” na kilka godzin miasteczko Pochonbo. Według obecnej propagandy były to przełomowe bitwy, a w Pochonbo Kim dowodził 10 tysiącami partyzantów, wówczas nie istniejącej, Koreańskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. W rzeczywistości jego oddział osiągnął maksymalną liczebność 300 ludzi w lipcu 1940 roku, tuż przed totalną klęską mandżurskiej partyzantki.

W marcu 1941 roku Kim ucieka do ZSRR (oficjalnie nigdy tam nie był, lecz do 1945 roku stoczył 30 bitew z Japończykami), gdzie w 1942 roku zostaje dowódcą batalionu Specjalnej Samodzielnej Brygady Snajperów Armii Czerwonej. W skład jego oddziału wchodzi 100 Chińczyków, 40 Rosjan i 60 Koreańczyków. Formacja ta nie brała udziału w żadnych walkach. W 1944 roku Kim Ir Sen studiuje w Chabarowsku w Szkole Wywiadu NKWD. Wielki Wódz towarzysz Kim Być Słońcem został agentem NKWD i w takiej roli Rosjanie przywieźli go do Korei.

Wcześniej, w 1941 roku poznał w ZSRR chłopkę, analfabatkę Kim Dżong Suk używającą wówczas imienia Wiera. 16 lutego 1942 roku

urodził się ich syn, Jurij Ilisajewicz Kim, znany nam obecnie jako Kim Dżong Il. Przydomek Dżong Il znaczy: Po Prostu Słońce. O ile ojciec chciał Być Słońcem, to syn już nim był. Kim Dżong Il urodził się we wsi Wiakutskoję, w pobliżu Chabarowska, na Syberii. Poród odbywał się w szopie na drewno opałowe, a przyjmowała go lekarka weterynarii.

Według propagandy Kim Dżong Il urodził się w baraku partyzanckim na stokach świętej góry Pektusan. W dniu jego urodzin rozkwitły kwiaty (w lutym) a powietrze wypełniły ptasie trele. Mówiąca ludzkim głosem jaskółka obwieściła urodziny Ukochanego Przywódcy siwobrodemu starcowi, który nie wiadomo czego szukał na tym pustkowiu.

Podobne niezwykle zjawiska dzieją się w Korei do dzisiaj. Jeszcze niedawno, w rocznicę urodzin Kim Ir Sena siedemnaście żurawi okrążyło trzykrotnie pomnik idei Dżucze w Phenianie, a jaskółki przez cały dzień mówiły ludzkim głosem. Zaraz potem niewielka rakietą balistyczna Tupogong II przeleciawszy nad Japonią umieściła na orbicie satelitę nadającego pieśni na cześć Kim Ir Sena, których to sygnałów niedoskonała technika USA i jego sojuszników nie zdołała odebrać (a także wykryć satelity).

### **Legendarny General**

Całe życie Kim Ir Sena i jego syna owiane jest propagandową mitologią. W wiosce Mangyongde zbudowano zupełnie nowe chłopskie chaty rodziny Kimów, kryte zupełnie nowa strzechą. Wokół pełno jest tablic pamiątkowych w stylu: „Skacząc z tego kamienia, jako czteroletnie dziecko, Wielki Wódz towarzysz Kim Ir Sen wymyślił, jak pokonać japońskich imperialistów”. Na zboczach góry Pektu (Pektusan) powstają zupełnie nowe baraki partyzanckie (nigdy ich tam nie było), partyzanckie bazy, place ćwiczeń, zasadzki... Na pniach drzew, zbyt młodych, by wówczas rosły, odkrywane są partyzanckie napisy i hasła.

Legendę uzupełnia obfita ikonografia. Tytuł obrazu: „Wielki Wódz towarzysz Kim Ir Sen przekracza rzekę graniczną, by wyzwolić ojczyznę spod japońskiej okupacji”. Młody, uśmiechnięty Kim, z pepszą na piersi brnie przez śniegi. Zdjęcie: demonstranci w 1945 roku niosą portret Kim Ir Sena. Całe zdjęcie jest mocno kontrastowe, tylko czerni i biel, a ogromny portret Kima utrzymany jest w półtonach szarości. Oczywisty fotomontaż. W późniejszym fotomontażu ci sami demonstranci też niosą portret Kima, ale inny.

Kolejne zdjęcie: Kim Ir Sen przemawia. Na twarzy Kima ziarno fotograficzne jest drobnutkie, a na reszcie zdjęcia grube jak kasza. Twarz Kima wmontowano w zdjęcie kogo innego.

Bogata jest też bibliografia niezliczonej ilości dzieł Kim Ir Sena (wyrażnie pisanych przez różnych autorów) oraz dzieł o Kim Ir Senie. Wraz z pojawianiem się coraz to nowszych wersji historii dotychczasowe książki, gazety i dokumenty lądują w piecach, a na ich miejsce pojawiają się zupełnie nowe wersje ich starych wydań. Publikowane są teksty nigdy nie wygłoszonych przemówień, w okolicznościach, których nigdy nie było. Teksty te tłumaczone są na niemal wszystkie języki świata. Mam przed sobą dzieło: „Kim Ir Sen. »O Dżucze w naszej rewolucji.« Z okazji 65 rocznicy urodzin Wielkiego Wodza towarzysza Kim Ir Sena”, po polsku (wydano kilkudziesięciu językach), twarდა oprawa, skóra, złożony tytuł, kredowy papier, 572 strony. Zawartość: nigdy nie wygłoszone przemówienia. Na przykład: „Odrzućmy linię lewacko-awanturniczą i wcielajmy w życie kurs rewolucyjno-organizacyjny – przemówienie na naradzie kierowniczej kadry partyjnej i komsomolskiej w Menwołgu w powiecie Jańczy. 20 maja 1931 roku.” Nie było takiej narady, a Kim miał wówczas 18 lat i przebywał w Mandżurii. Albo: „Artykuł opublikowany w organie Koreańskiej Armii Ludowo-Rewolucyjnej »Sogwan«. 10 listopada 1937.” Nie było wówczas takiej armii ani jej organu.

Ale bywa jeszcze dziwniej. Gdy jeden z polskich badaczy chciał się spotkać z profesorem Baik Bong, autorem trzutomowej biografii Kim Ir Sena (łącznie 1800 stron) okazało się, że nie ma takiego profesora.

Oficjalna wersja wyzwolenia Korei przeszła kilka przemian. Do końca lat pięćdziesiątych utrzymywano, że Koreę wyzwoliła Armia Czerwona. Później stopniowo pojawia się wersja o udziale partyzantów koreańskich. Od 1950 roku mowa jest o Wojskach Radzieckich i oddziałach Kim Ir Sena. Później następuje zmiana akcentów: Wojska Kim Ir Sena przy udziale Armii Czerwonej. Ostatecznie: tylko wojska Kim Ir Sena – „Stalowy Dowódca” wydał rozkaz i pokonał „milion żołnierzy Japonii”.

W rzeczywistości w sierpniu 1945 roku ZSRR wypowiedział wojnę Japonii. Wojska radzieckie, nie napotykając większego oporu doszły do połowy półwyspu koreańskiego i tu zatrzymały się (co było uzgodnione z USA na konferencji w Kairze). Wojska amerykańskie wylądowały nieco później i zajęły południe. 19 września, trzy tygodnie po wyzwoleniu Korei, Rosjanie przywieźli Kim Ir Sena w mundurze kapitana Armii Czerwonej na statku „Pugaczow” do portu Wousan. Zaraz potem Rosjanie awansowali Kima do stopnia „legendarnego generała” i urządzili mu huczne powitanie w Phenianie. Nie znający koreańskich obyczajów i kaleczący język (od dziecka przebywał na emigracji) Kim, występujący w skromnej marynarce z radzieckim orderem, wygłosił przemówienie, które mało kto zrozumiał. Ogólnie wypadł błado.

Koreańczycy nie wpadli w zachwyt dla „legendarnego generała”, o którym nikt nie słyszał.

### **Władza wyrasta z lufy karabinu**

Początkowo w Korei Północnej rządzą samodzielnie Rosjanie, ale stopniowo zaczynają się wyręczać Kimem, który z czasem coraz bardziej otwarcie dąży do pełni władzy. W organizowaniu spisków, prowokacji i zabójstw przydają mu się nauki Kang Shenga i szkolenie w NKWD. Kim musi najpierw usunąć konkurentów. Pierwszym jest pastor Ho Man Sik, autentyczny bohater antyjapońskiego ruchu oporu, naśladowca Gandhiego, propagujący walkę bez przemocy. W przeciwieństwie do Kima ma w Korei ogromny autorytet.

Ho Man Sik zrobił jednak poważny błąd: dał się wciągnąć w gry polityczne nowego okupanta. To on przedstawił w czasie „powitania” w Phenianie Kim Ir Sena „dając mu twarz”. Bez tego Kim byłby dla Koreańczyków tylko rosyjskim agentem.

Rządzący Koreą pułkownik Ignatiew powołuje w listopadzie 1945 roku marionetkowy Tymczasowy Komitet Ludowy Pięciu Prowincji oraz Biuro Administracyjne Pięciu Prowincji, na którego czele staje Ho Man Sik. Kim Ir Sen działa w jego tle. W grudniu 1945 roku konferencja w Moskwie przypieczętowała podział Korei na strefy okupacyjne. Sojusznicy uznają, że Korea nie dorosła do samodzielnej państwowości. Ho Man Sik, dobry, uczciwy człowiek i żarliwy patriota, na znak protestu składa rezygnację. Kim Ir Sen, którego niepodległość Korei ani ziębi ani grzeje, natychmiast wykorzystuje okazję do przejęcia władzy. Tego samego dnia Ho Man Sik zostaje aresztowany, a później zamordowany.

Teraz Kim musi wykończyć konkurencję wśród towarzyszy komunistów. W kolejnych czyskach znikają komuniści z Korei, reemigranci z Chin i ZSRR a w końcu niemal wszyscy towarzysze Kima z chińskiej partyzantki i Specjalnej Brygady Snajperów. Ich miejsce zajmują nowe kadry posłusznych klakierów gotowych przyklasnąć ścięciu każdej głowy, byle tylko zachować własną. Od lutego 1946 roku Kim rządzi już niepodzielnie. We wrześniu 1948 roku zostaje proklamowana Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna – państwo ze snu Orwella.

### **Wojna światów**

Podstawową przyczyną wojny koreańskiej była megalomania Kim Ir Sena. Kim wierzył, że gdy jego wojska wkroczą do Korei Południowej, wybuchnie tam powstanie, które zapewni mu zwycięstwo. Tymczasem ludności Południa, mimo niezbyt sympatycznej dyktatury, żyło się coraz lepiej i nikt się nie kwapił do nowych wojen.

Kim Ir Sen nie mógł rozpocząć wojny samodzielnie. Uzależniony był od protektorów: Rosji i Chin. Potrzebne mu były dostawy materiałów wojennych oraz błogosławieństwo polityczne. Kim wykorzystał przeciw swym protektorom to, w czym sami go wyszkolili: dezinformację. Do obu stolic zaczynają napływać nieprawdziwe informacje o przygotowaniach Południa do wojny, koncentracji wojsk na granicy, o rewolucyjnym wrzeniu wśród robotników i chłopów. Trzeba przyznać że Kim miał niezły talent w mistyfikacji i spiskach, skoro zdołał nabrać Stalina i Mao oraz służby specjalne Kang Shenga i Berii.

5 marca 1949 roku plany ataku na południe otrzymuje Stalin a 14 maja Mao Zedong. Obaj z pewnymi oporami, i nie od razu, akceptują atak. Ale i tu Kim wyprowadza ich w pole. Atakuje wcześniej niż było to uzgodnione, 25 czerwca 1950 roku, tworząc fakt dokonany. Zaskoczony Związek Radziecki nie zdołał zapobiec rezolucji ONZ o interwencji w Korei (ZSRR chwilowo bojkotował ONZ, jego przedstawiciela w Radzie Bezpieczeństwa nie było na sali i nie złożył weta). Rada Bezpieczeństwa ONZ podejmuje ją już 27 czerwca. W tym czasie wojska Północy prą na południe przy niewielkim tylko oporze zaskoczonego przeciwnika.

Kim nie przewidział jednak szybkości reakcji USA. Już 30 czerwca, zaledwie 5 dni po ataku, na półwyspie koreańskim lądują pierwsze wojska amerykańskie pod flagą ONZ. Ofensywa wojsk Kima zostaje powstrzymana. 15 września generał Douglas Mac Artur rozpoczyna kontratak ogromnym desantem morskim na dalekich tyłach wojsk Północy. Po siedmiu dniach wojska amerykańskie przekraczają 38 równoleżnik i wkraczają do KRL-D. Armia Północnokoreańska praktycznie już nie istnieje. Mac Artur zbliża się do granicy Chin. Komuniści w północnych Chinach profilaktycznie aresztują 100 tysięcy ludzi a kolejne 50 tysięcy od razu rozstrzelują (resztę nieco później).

8 października marszałek Peng Dehuai wkracza do Korei na czele 12 chińskich dywizji jako „milion ochotników”. „Ludzka fala” piechoty chińskiej początkowo wypiera wojska amerykańskie, ale Mac Artur używa najsilniejszego atutu – lotnictwa. Naloty i nieprzerwana nawała artyleryjska dziesiątkują „ludzką falę”. Rosyjscy (i polscy) piloci, w maszynach przemalowanych na koreańskie, nagminnie przegrywają pojedynki z lotnictwem USA. Ale na miejsce rozbitych wojsk chińskich przybywają wciąż nowe. Wojna trwa i w końcu bierze w niej udział niemal cała Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza. Chińczycy wysłali do Korei w sumie, choć nie jednocześnie, 2.300 tys. żołnierzy. Niemal całe wojsko jakie posiadali. 700 tys. z nich poległo. 1.200 tysięcy zostało rannych. ChAL-W straciła blisko 70% stanu osobowego. W końcu nawet Stalin i Mao zrozumieli, że muszą zakończyć wojnę,

jeśli za kolejne pół roku nie chcą mieć Mac Artura w Pekinie. 27 lipca 1953 roku granica powróciła na 38 równoleżnik.

Muszę tu obalić pewien rozpowszechniony obecnie mit. Wojna koreańska nie było wojną między USA a Koreą. Walczyły wojska ONZ, w których głównym trzonem były wojska USA, ale także byli żołnierze innych krajów, np. Australijczycy. Po drugiej stronie wojna była też mocno umiędzynarodowiona. Poza żołnierzami ZSRR i Chin brali w niej udział także żołnierze innych państw podległych Moskwie, w tym polscy (piloci, łącznościowcy, radiolokacja, szpitale wojskowe).

Niewątpliwie i Stalin i Mao byli wściekli na Kim Ir Sena za sprowokowanie tej awantury. Ten jednak rozpoczął sprytną grę. Po śmierci Stalina w 1953 roku, wykorzystując napięcia między Chruszczowem a Mao i lawirując, ostatecznie uniezależnił się od obu. Wychowanek Kang Shenga, agent NKWD Kim Ir Sen w końcu wykiwał wszystkich.

### **Gospodarz ciała**

O Korei Północnej często mówi się „ostatni bastion stalinizmu”. To nieprawda. Realia tego kraju jak i ideologia Dżucze (dosłownie: gospodarz ciała) nie mają ze stalinizmem nic wspólnego. Są autorskim dziełem Kim Ir Sena. Nieprawdziwy jest także pogląd, że realia Północnej Korei są takie same, jak Chin za czasów Mao. Jest to system równie potworny, ale zupełnie inny.

Na ideologię Dżucze składają się cztery elementy:

1. Dżucze w ideologii oznacza nacjonalizm i kult myśli Kim Ir Sena,
2. Dżucze w polityce oznacza pełną niezależność od mocarstw i świata.
3. Dżucze w ekonomice oznacza pełny izolacjonizm, samowystarczalność gospodarczą.
4. Dżucze w obronie oznacza samowystarczalność w obronie kraju („przemienić kraj w twierdzę”). Rzeczywiście cały kraj pokrywają bunkry i schrony, a wszystkie plaże pokryte są zasiekami.

Do oblędu doprowadzono militaryzację kraju. Każdy, niezależnie od płci, przechodzi codzienne obowiązkowe szkolenia wojskowe od 7 do 65 roku życia (doba obywatela KRL-D dzieli się na 8 godzin pracy, 8 godzin szkoleń wojskowych i ideologicznych oraz 8 godzin snu). Ogromną, liczącą 1.128 tys. żołnierzy, armię uzupełnia 1,5 milionowa Czerwona Gwardia Robotniczo-Chłopska i 700 tysięczna Czerwona Gwardia Młodzieżowa.

Wydatki na armię pochłaniają 30% budżetu. Służba wojskowa trwa, zależnie od formacji, od 5 do 10 lat. Po niej następuje

obowiązkowa służba w Korpusie Pacyfikacyjnym do 40 roku życia i w Gwardii Robotniczo-Chłopskiej do 65 roku życia.

Do niedawna pensja Koreańczyka była niemal stała, wypłacana głównie w bonach. Obowiązuje pełne rozdzielnictwo dóbr. Prawie nie ma sklepów. Poza patiomkinowskimi atrapami dla cudzoziemców nie istnieją normalne kina, teatry, restauracje, kawiarnie. Nie ma prywatnych samochodów a jazda na rowerze do niedawna była zabroniona (oficjalne uzasadnienie: „jadący na rowerze przebywa poza kolektywem i nie wiadomo, o czym myśli”). Rower powrócił do łask dopiero, gdy w kraju niemal zupełnie zabrakło benzyny. Mieszkanie rodzina otrzymuje od państwa od razu z meblami (nie ważne, czy im się podobają). Jeden pokój przeznaczony jest na obowiązkowy portret Kim Ir Sena. Dokładny regulamin mówi, że w tym pokoju nie wolno: czesać włosów, przeciągać się na sofie... Jedyne co wolno, to oddawać część.

Od lat w KRL-D panuje głód. Zmarło już 2 mln. ludzi. Podstawą wyżywienia jest „czarna kluska” wytwarzana z mieszaniny trocin, zmielonych kaczanów kukurydzy i mąki (w mniejszości). Znaczoną część areału upraw obsiano makiem na produkcję heroiny, stanowiącą, obok fałszowania obcych walut, istotne źródło dochodów państwa. Gdy pewnego razu Korea Południowa udzieliła Północnej pomocy finansowej na zakup żywności, władze Północy zakupiły 200 mercedesów 600 SL.

Dzieci po ukończeniu 3 roku życia przebywają w „całodobowym przedszkolu”, skąd rodzice otrzymują je tylko na niedzielę. Starsze dzieci oddzielane są do rodzin całkowicie i wychowywane przez państwo. System jest jednak niekonsekwentny, bo państwu brakuje środków, więc objął nie wszystkie dzieci, a część dzieci odebranych rodzicom jest porzucana. Te sztuczne sieroty błakają się żebrząc i kradnąc. Mają swoich biologicznych rodziców, ale nie wiedzą, gdzie ich szukać. Praktycznie nie istnieje normalne życie rodzinne.

W kraju wychodzi tylko jedna gazeta „Nodong Siumun” licząca w stolicy 6 stron, a na prowincji 4 strony. Te dwie dodatkowe stołeczne strony to wiadomości zagraniczne. Oczywiście są to odpowiednie wiadomości: o czynach społecznych na Kubie, o udanych zbiorach w Chinach... Obowiązuje zasada: jeden człowiek – jedna gazeta, bo ma ona różne wersje: inną dla partyjnych, inną dla związkowców, inną dla kobiet... Obowiązuje klucz, co kto czyta. Gazet nie wolno wyrzucać. Trzeba je składać do specjalnej teczki i co miesiąc oddawać. W ten sposób, po kolejnym zakręcie historii, władze mogą wydrukować nowe wersje starych gazet i mieć pewność, że nikt nie zachował oryginału.

Spółczeństwo podzielone jest na trzy klasy. Pierwsza „centralna” lub „lojalna” grupuje 28% obywateli. Druga „niestała” lub „niepewna”

– 45%. Trzecia „wroga” lub „obca” – 27%. Każda z klas podzielona jest na 51 kategorii. Zewnętrznym objawem przynależności do określonej klasy jest rodzaj znaczka z portretem Kim Ir Sena i Kim Dżong Ila, noszonego na ubraniu. Ruch między klasami możliwy jest tylko w dół. To co najbardziej różni ludzi innych klas i kategorii to odległość od uwięzienia i egzekucji.

Kraj pokryty jest siecią obozów koncentracyjnych i więzień. Strażnik za zabicie więźnia otrzymuje premię: dwie butelki piwa i pół kilograma wołowiny. Terror i izolację informacyjną doprowadzono do takiego poziomu, że jakakolwiek opozycja jest niemożliwa. Procesy sądowe są tylko dwóch rodzajów: tajne i pokazowe. Podstawy wyroku nikt nie zna, bo kodeks karny jest tajny. Bywa, że tajny jest także akt oskarżenia, i podsądny nie wie, za co i na jakiej podstawie jest sądzony. Bardzo często orzekana jest kara śmierci, lub „kara śmierci do trzeciego pokolenia” obejmująca zbiorowo całe rodziny. Egzekucje wykonywane są w sposób niezwykle okrutny. Udokumentowano na przykład egzekucje na nagich kobietach wieszanych za ręce lub nogi i rozszarpywanych przez celowo wygłodzone psy. Znamy też przypadki testowania gazów bojowych lub trucizn na całych więzionych rodzinach, łącznie z dziećmi. „Badacze” obserwowali te „testy” przez szyby i robili notatki.

Koreańskim komunistom udało się wprowadzić ten system w dużym stopniu dzięki tradycji 500 letniej izolacji kraju. Korea nazywana była od wieków Krajem Zatrzaśniętej Bramy.

### **Po Prostu Słońce**

Po śmierci Kim Ir Sena władzę w kraju przejął jego syn Kim Dżong Il. Wcześniej studiował w szkole lotniczej w Lipsku w NRD. Ponieważ panicznie bał się latać, nigdy nie wsiadł do samolotu. Szkoły nie ukończył. Został wydalony za burdy i hulaszczy tryb życia. Niechby jednak ktoś, wymieniając bizantyjskie tytuły Ukochanego Przywódcy, zapomniał powiedzieć „genialny pilot myśliwski”, to marny jego los.

Jeszcze za życia ojca Kim Dżong Il „sprawował nadzór” nad środowiskiem filmowym i „udzielał wskazówek na miejscu”, co polegało głównie na tym, że swatał aktorki prominentom i urządzał huczne balangi w towarzystwie pięknych kobiet. Prawdopodobnie już w tym czasie zaczęto sprowadzać dla niego specjalnym samolotem szwedzkie prostytutki.

Kim Dżong Il był niskiego wzrostu i nosi buty na 12 centymetrowym koturnie. Nosił też niezwykłą u Koreańczyka fryzurę afro, która według jednej teorii przysparzała mu dodatkowych kompleksów, a według innej, sam się ondulował, by dodać sobie wzrostu. Przez



pierwsze cztery lata rządów tylko raz się odezwał publicznie wypowiadając dwa słowa: „czołem żołnierze” i krążyła teoria, że ma poważną wadę wymowy. Gdy jednak spotkał się z prezydentem Korei Południowej, był rozmowny i elokwentny, oraz upił rozmówcę doprowadzając do tego, że ów zasnął (ten incydent świadczy o skali izolacji KRL-D – przez cztery lata na Zachodzie niemal nic nie wiadano o człowieku, który nią rządzi).

W czasie spotkania z prezydentem Rosji, obiecał mu, że Korea zawiesi swój program raketowy, a gdy Putin powtórzył to na spotkaniu grupy G7, Kim Dżong Il oświadczył: „żartowałem”. Udając się w delegację do Pekinu, a później do Moskwy, zabrał ze sobą ponad sto osób, co politolodzy interpretują tak, że nie zostawił w kraju nikogo, kto mógłby pod jego nieobecność próbować przewrotu. Jego podróż do Moskwy zasłynęła z powodu niemal komicznego incydentu. Gdy pancerny pociąg wjechał na Dworzec Kazański w Moskwie, agenci FSB z przerażeniem zauważyli ślady po kulach na wagonie Kim Dżong Ila. Okazało się, że obstawa Kima juniora, podczas podróży przez Syberię, zastrzeliła kaczkę, którą podano na obiad Ukochanemu Przywódcy. Później narysowano sylwetkę kaczki na wagonie i strzelano do niej jak do tarczy.

Kim Dżong Il nazwał swoją politykę „strategią czerwonego sztandaru”, której głównym hasłem jest „karabin naprzód”. W praktyce polityka ta oznacza rządy armii ponad partią. Pierwszym efektem „strategii czerwonego sztandaru” była spektakularna ucieczka na Południe Hwang Dżong Jopa, czołowego ideologa dżucze, który wiedział, że w tym kraju były ideolog, to martwy ideolog.

Później nastąpiło (dziś już wiemy, że tylko taktyczne i pozorowane) nieśmiałe otwieranie się Północy, głównie na pomoc finansową i żywnościową, przy czym nie obeszło się bez incydentów, takich jak wspomniany już zakup mercedesów. Wielu ekspertów twierdzi, że Phenian zawiąza liczbę ofiar głodu, by uzyskać większą pomoc zagraniczną, której znaczna część zasila jego armię.

Odpowiedzią na rzekome pojednawcze gesty Kim Dżong Ila była „słoneczna polityka” prezydenta Korei Południowej Kim De Dżunga, w efekcie której doszło do historycznego spotkania obu przywódców, a następnie do pierwszych od 50 lat spotkań rozdzielonych rodzin. Wcześniej uzgodniono, że Południe bezwzględnie deportuje każdego ewentualnego uciekiniera. Trzeba pamiętać, że oba państwa są ciągle formalnie w stanie wojny.

Trzeba tu dodać, że „słoneczna polityka” skończyła się kompletną klapą. „Historyczne spotkanie” Kimów odbyło się dzięki gigantycznej łapówce w wysokości 500 milionów dolarów (!!!) dla Kim Dżong

Ila, a jego opóźnienie o dobę spowodowane było oczekiwaniem Północy na potwierdzenie przelewu.

Jednocześnie następuje proces oddolnego otwierania się na świat, czyli nasilanie się ucieczek. Chiny brutalnie deportują złapanych uciekinierów, a ci trafiają w ojczyźnie pod ściankę lub do obozu, co ostatecznie na jedno wychodzi (tylko później). Jednak Chiny także nieco tolerują uchodźców, a łapią tylko tych, którzy się nie oplacają milicji lub gangom, lub próbują dostać się do ambasady i konsulatów Korei Południowej. Kobiety uciekinierki z Korei Północnej sprzedawane są na targach chińskim chłopom na żony. Obrońcy praw człowieka uważają, że jednak ich los i tak jest lepszy, niż w ojczyźnie. Jak ujawnił swego czasu „Memoriał”, Rosja kupuje od KRL-D więźniów do wyrebu lasu na Syberii, a żywot więźniów w ojczyźnie jest tak miły, że chcą być oni sprzedani na Syberię.

Kilka lat temu świat obieżyły sensacyjne wieści, że Phenian uruchomił elementy rynku: uwolniono ceny, zlikwidowano bony towarowe, wprowadzono rozliczanie się między przedsiębiorstwami, państwo ma skupywać od rolników płody po cenach rynkowych. Szybko okazało się to kolejną lipą. Jak na razie nic nie wiadomo o prywatyzacji i zgodzie na prywatną działalność gospodarczą. W KRL-D nie ma ani jednej prywatnej firmy i niemal nie istnieją sklepy. Rolnicy w tym „raju robotników” to też nie wolni farmerzy, którzy mogą robić co chcą. Do gospodarki rynkowej jest KRL-D ciągle dalej niż na Księżyc. Przedwczesna była radość z tego, że młody Kim chce pójść „chińską drogą”, czyli zliberalizować gospodarkę przy zachowaniu pełni terroru i kontroli nad społeczeństwem. Ogłoszony już przez niektórych publicystów „początek upadku ostatniego bastionu komunizmu” nie ma pokrycia w faktach. Symptomatyczne było ogłoszenie „wolnej strefy inwestycyjnej” przy granicy z Chinami. Otoczono miasto 3-metrowym murem, wygnano z niego mieszkańców i ogłoszono: inwestorzy inwestujcie! Oczywiście nikt nie zainwestował, bo nikt nie zwariował.

W tradycyjnej politologii funkcjonował pogląd, że rządy trwają, jeśli są dobrze przystosowane do funkcjonowania w wewnętrznych i zewnętrznych warunkach. Jednak najnowsza historia dyktatur Trzeciego Świata pokazuje, że jest inaczej. Dyktatury trwają, nawet gdy nienawidzi ich niemal całe społeczeństwo, gdy kraj pogrąża się głodzie i jest całkowicie izolowany na arenie międzynarodowej. Dyktatury trwają, gdy nie ma powodu, by upadły. Tak jest właśnie z KRL-D. W Kraju Zatrzaśniętej Bramy nie dojdzie do buntu. Poziom terroru i izolacji jest taki, że jedyną formą oporu jest ucieczka. Wbrew pozorom likwidacją tego tworu nie jest też zainteresowany nikt z zewnątrz.

Korea Południowa wcale nie kwapi się do otwarcia granicy. Co bowiem zrobić z milionami ludzi, którzy nawet nie umieją normalnie chodzić po ulicy, którzy nie umieją robić zakupów i rozmawiać, a najlepiej opanowali składanie i rozkładanie Kałasznikowa? Biznesmeni Południa też nie kwapią się do wzięcia na utrzymanie 23 milionów głodujących rodaków. Likwidacją KRL-D nie są zainteresowane Chiny i Rosja, widzące w tym kraju państwo buforowe przed stacjonującą w Korei Południowej i Japonii US Army. Z kolei dla Amerykanów istnienie KRL-D jest uzasadnieniem do utrzymywania baz wojskowych u granic Rosji i Chin, a cała globalna polityka USA oparta jest na takich bazach.

Tak więc, Koreański Ludowo-Demokratyczny Raj Robotników może jeszcze trwać bardzo długo, niezależnie od tego, czy będzie się reformował, czy też nie.

Obecna zmiana władzy, po śmierci Kom Dżong Ila, prawdopodobnie też nic nie zmieni (obym się mylił). Koreańscy dyktatorzy nie rządzą sami. Rządzi cały klan ich potężnego rodu oraz ściśle dowództwo armii. Młody Kim Dżong Un sam, tak naprawdę, niewiele ma do powiedzenia. Mrzonkami są nadzieje na jego „zarażenie zachodnią cywilizacją” bo przez 1,5 roku uczył się w szkole w Szwajcarii. Jakże by nie były jego rzeczywiste poglądy, niewiele one znaczą. Opowieści, że jest „wychowany na Zachodzie” i „zna pięć obcych języków” raczej bym między bajki włożył.



Część 3.

NASZE POLSKIE SPRAWY



# Zagubione dzieci

## 2003

**W 14 lat po upadku komunizmu ideologia lewacka była wyznawana przez znaczną część polskiej młodzieży. Jest to o tyle ciekawe, że obecnie, w 2016 roku, wśród polskiej młodzieży dominuje ideologia nacjonalistyczna, nawet skrajnie prawicowa. Wystarczyło 10 lat proporcji: 3 lekcje religii na jedną lekcję fizyki, czy historii, oraz kolportowania w szkołach bzdur środowiska Frondy, aby polska młodzież przestała się z wzdychania do Che Guevary na marsze z pochodniami Młodzieży Wszechpolskiej i ONR. Przypominam poniżej tekst, w którym opisałem stan umysłów znacznej części młodych ludzi w 2003 roku. Zachęcam do refleksji, jak łatwo jest manipulować młodzieżą, gdy państwo zgadza się na to, by w szkołach obok wiedzy krzewiono ideologię, a jednocześnie umywano ręce od tego, jaką.**

Od pewnego czasu ze zdumieniem obserwuję dwa zjawiska: coraz większą popularność ideologii lewackiej (komunistycznej, antyglobalistycznej, „ekologicznej”) wśród wrażliwej moralnie młodzieży i coraz bardziej oderwany od rzeczywistości język mojego pokolenia, którym próbujemy do młodzieży docierać. Istnieje niebezpieczeństwo, że wkrótce znaczna część młodej polskiej inteligencji dołączy do grona „użytecznych idiotów” (termin używany przez rosyjskie i chińskie

służby specjalne na określenie lewicujących intelektualistów). Ruchy lewackie karmią młodzież propagandowym kłamstwem, w które ta młodzież wierzy. Nie dziwny się na przykład słysząc, że twórca sowieckiego terroru Lew Trocki, odpowiedzialny za śmierć setek tysięcy ludzi, jest wzorcem moralnym.

Jak duża część młodzieży tak myśli? Nie wiadomo. Nie ma na ten temat aktualnych badań, ale są fakty pozwalające przypuszczać, że wśród młodzieży inteligentkiej jest to część znaczna. Potwierdzają to moje obserwacje (spośród kilkunastu młodych ludzi z różnych środowisk, z którymi rozmawiałem – od członków Amnesty International po środowisko „oazowe” – wszyscy uważali, że światem rządzą korporacje ze spiskiem MFW na czele, że celem interwencji USA w Iraku było zwaładnięcie ropą naftową, że globalizacja zagraża biednym krajom itp.). Oczywiście ta grupa jest za mała, by była reprezentatywna. Zastanowienie budzi jednak udział kilkusetosobowych grup młodych Polaków w zagranicznych zadymach antyglobalistycznych (Seattle, Genua, Praga i inne). Jeśli kilkuset radykałów dotarło, mimo kosztów, do Genui, to ilu nie dotarło? Trudno nie zauważyć licznych plakatów ugrupowań lewackich na murach miast (nie stać na to małych grup) i licznego udziału młodzieży w manifestacjach tych ugrupowań.

Nie jest ważne jak duża procentowo część młodzieży podziela lewackie poglądy (5 czy 50 proc). Istotne, że jest to spora część tej grupy, której los innych nie jest obojętny, dla której liczy się coś więcej, niż „fura, skóra i komóra”. Tą najwartościowszą młodzież ogłupiono, nafaszerowano demagogią i kłamstwem. Jest to klęska wszystkich: polityków, rodziców, szkoły, kościoła.

Nastąpiło zjawisko zawłaszczenia słusznych idei, jak ochrona środowiska, czy walka z łamaniem praw człowieka, przez organizacje głoszące światopogląd, który oprowadził do największych zbrodni w historii – światopogląd mniej lub bardziej jawnie komunistyczny, często występujący pod pokrętnymi nazwami „ekologii” lub antyglobalizmu. Na niebezpieczeństwo takiego zawłaszczenia zwrócił uwagę, na łamach Gazety Wyborczej, prof. Leszek Kołakowski. Obawiam się, że stało się to już faktem.

### **Amnesty International – wrogie przejęcie czy lewacka czkawka?**

Spektakularny jest przełom, jaki dokonał się w polskim oddziale Amnesty International. W jego wyniku kilku zasłużonych działaczy praw człowieka, w tym założyciel polskiej AI, Bogusław Stanisławski, wystąpiło z organizacji, zaś w jej władzach przewagę uzyskali ludzie o lewackich poglądach.



Problem narastał od roku. Cytuję za listem Bogusława Stanisławskiego, w którym rezygnuje on z członkostwa: „W lutym zwrócono mi uwagę na plakat Inicjatywy „Stop Wojnie” – obok przedstawiciela Stowarzyszenia Irakijczyków w Polsce [...] miał przemawiać członek Zarządu Stowarzyszenia AI w Polsce. Na plakacie podana jest strona [www.stopwojnie.w.pl](http://www.stopwojnie.w.pl). Wszedłem na nią i ścierpłem: tytuł kłamstw, „antyhistorii”, zgromadzonych w jednym pliku informacyjnym, tak skoncentrowanej agresji nie widziałem od czasów [...] stalinizmu. [...] W marcu doszło do manifestacji antywojennej organizowanej przez „Stop Wojnie”. Obok czerwonych szturmówek „Nowej Lewicy”, czarnej flagi Federacji Anarchistycznej, czerwonej płachty z sierpem i młotem [...] symbol Amnesty International.”

Przejdę do własnych obserwacji. W czasie demonstracji pod ambasadą ChRL w rocznicę wydarzeń na Placu Tiananmen, obok napisu „Pekin 1989” pojawił się napis „Bagdad 2003” a członkowie Inicjatywy „Stop Wojnie” przemawiali o „zbrodniach amerykańskich”, rozprawiali plakaty przeciw Unii Europejskiej i namawiali do czytania Marksa. Zbrodniarzy z Tiananmen zrównano z żołnierzami USA. Na nic zdały się protesty: moje, Bogusława Stanisławskiego, członków PEN Clubu i starszych działaczy Amnesty. Okazało się, że znaczna część amnestyjnej młodzieży należy już do lewackich lub komunistycznych organizacji, że bierze udział w demonstracjach pod czerwonymi sztandarami z sierpem i młotem. Jeden z czołowych działaczy AI chciał jechać do Iraku jako „żywa tarcza”, by bronić Saddama Husaina.

W sierpniu, w rocznicę Bitwy Warszawskiej 1920 roku „Walcząca Grupa Rewolucyjna” wzywała na plakatach do „uczczenia pamięci poległych bolszewików”. Warszawiacy czytali i stukali się w czoło traktując to jako umysłową aberrację. Zdumiony odnotowałem udział działaczy AI w tej manifestacji. W ramach Inicjatywy „Stop Wojnie”, ale z symboliką AI, przemawiali przeciw „okupacji Iraku”. Nie przeskądzały im czerwone flagi i napis w języku rosyjskim „Na Polszu!”

We wrześniu odbył się walny zjazd polskiej AI. Dyskusja na temat odejścia od zasad Amnesty, na którą oczekiwali starsi działacze, została zmarginalizowana. W nowym zarządzie przewagę osiągnęły osoby o skrajnie lewicowej orientacji.

Mam nikłą nadzieję, że organizacja się jeszcze otrząśnie. Oficjalne raporty AI nie mówią o „zbrodniach amerykańskich w Iraku” (bo ich nie było), ale cóż z tego, jeśli publicznie mówią o nich działacze. Ludzie nie czytają raportów, a widzą w telewizji działaczy AI pod czerwonymi flagami bredzących o „amerykańskich zbrodniarzach”, i „okupantach”, palących flagę i kukłę prezydenta USA, chwalaących „partyzantów irackich”. Jest to szczególnie obrzydliwe po dokonaniu przez

tych „partyzantów” zamachów bombowych na meczet, siedzibę ONZ, Międzynarodowy Czerwony Krzyż, czy kwaterę włoskich karabinierów, którzy przybyli po to, by zapewnić Irakijczykom bezpieczeństwo. Dotąd AI takich „partyzantów” potępiała. Inicjatywa „Stop Wojnie”, w której biorą udział działacze AI, nadal chwali „partyzantów irackich” po tym, jak zastrzelili oni polskiego oficera.

### **Gdy komunista nie kłamie, to znaczy, że nie żyje**

Od kilku lat rozmawiam z ludźmi z ruchów anarchistycznych, antyglobalistycznych i ekologicznych. Ostatnio dołączyły do nich organizacje jawnie komunistyczne. Jest ich w Polsce ponad 20. Funkcjonuje pewien konglomerat księżycowych poglądów pomieszanych ze słusznymi, których wyznawanie w całości wśród młodzieży moralnie nobilituje. Młody człowiek ze środowisk nazywających się „wolnościowymi” zwalcza elektrownie atomowe, autostrady, tiry, Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Międzynarodową Organizację Handlu, Unię Europejską, Papieża, „zbrodnie amerykańskie w Iraku”, globalizację, łamanie praw człowieka w Chinach i w Czeczenii oraz restauracje Mc'Donalds. Domaga się wożenia ciężarówek pociągami, zastąpienia samochodu rowerem, nie wycinania lasów, nie kupuje jogurtu Danone (bo to produkt „koncernu”) i nie przeszkadza mu, że spora część tych postulatów przeczy sobie nawzajem. Zwalczając zjawisko globalizacji *de facto* wspiera reżimy łamiące prawa człowieka, bo zwalcza to, co im najbardziej zagraża – swobodną wymianę informacji i myśli, wolny handel, swobodne przemieszczanie się ludzi. Domaga się poprawy poziomu życia w biednych krajach, a jednocześnie chce, „by każdy kraj rozwijał się we własnym tempie bez obcych wpływów”, czyli chce izolocjanizmu gospodarczego, który jest jedną z głównych przyczyn zacofania i nędzy w Azji i Afryce.

Ja też chcę chronić przyrodę przed dewastacją, a świat przed okrucieństwem i nędzą, ale zdaję sobie sprawę z tego, że gdyby ściśle zrealizować wszystkie postulaty dzisiejszych „ekologów” i antyglobalistów, to przyroda zostałaby zdewastowana w stopniu niesłychanym a kraje biedne pogrążyłyby się w głodzie i terrorze, jakiego ludzkość nie znała. Dlaczego młodzi ludzie tego nie rozumieją?

Najprostsza odpowiedź jest fałszywa – bo nie otrzymali w szkole odpowiedniej wiedzy. Istota sprawy jest inna – oni chcą wierzyć w „prawdy” podawane im przez środowiskowych guru, takich jak Lori Wallach czy Noam Chomsky i wierzą nawet w największe kłamstwa. Następuje sprzężenie się dwóch zjawisk. Z jednej strony młodzi chcą realizować radykalizm moralny odrzucając z góry to, co serwują im „starzy”, szkoła, politycy, kościół... Z drugiej strony ludzie tacy jak

Wallach czy Chomsky muszą kłamać, bo tezy, że za nędzę odpowiada globalizacja, a USA jest najbardziej zbrodniczym reżimem świata, za pomocą prawdy uzasadnić się nie da.

### **Dawka trucizny**

W ostatnim czasie szczególną popularność wśród młodzieży zyskała Inicjatywa „Stop Wojnie” oraz parę współpracujących z nią ugrupowań lewackich (Walcząca Grupa Rewolucyjna, Socjalistyczna Partia Odrodzenia Komunizmu u Obywateli, Komunistyczny Front Narodowy, Nowa Lewica, Federacja Anarchistyczna, Federacja Zielonych). Ze stron internetowych oraz publikacji tych ruchów młodzi ludzie dowiadawali się że:

- USA uzbrajały Saddama Husaina i wyniosły go do władzy (w rzeczywistości uzbrajał go ZSRR);
- USA dostarczyły mu gazy bojowe przeciw Kurdom (sam wyprodukował);
- USA „wzmocniły korzenie terroryzmu” usuwając talibów i Al Kaidę z Afganistanu (????!!!!);
- USA odpowiadają za wywołanie wojny w Afganistanie (tej trwającej 23 lata, rozpoczął ją najazd ZSRR);
- Dzięki USA wojna ta trwa nadal (????!!!!);
- USA rozpoczęły wojnę koreańską 1953 roku i spowodowały podział Korei (rozpoczął ją Kim Ir Sen);
- Celem interwencji USA w Iraku jest „krew za ropę” (USA nie zajęły dla siebie ani jednego złoża ropy w Iraku).

Na tych samych stronach terroryści Saddama i Al Kaidy przedstawiani są jako „partyzanci iraccy” i cieszą się wyraźną sympatią autorów opracowań. Na początku wojny Inicjatywa Stop Wojnie starała się zorganizować wycieczkę polskiej młodzieży do Iraku w charakterze „żywych tarcz” i w tym zakresie współpracowała z ambasadą Iraku i wspomagającym reżim Stowarzyszeniem Irakijczyków w Polsce, oraz Stowarzyszeniem Studentów Palestyńskich.

Gdy staram się tłumaczyć, że wojnę w Korei rozpoczął Kim Ir Sen, a wojska USA zjawiły się później jako wojska ONZ, lider Inicjatywy „Stop Wojnie”, Filip Ilkowski, rzuca mi w twarz: „to pan tak mówi!” i radzi czytać Marksa. Dyskusja z ludźmi kłamiącymi „w zaparte” jest niemożliwa. Antyamerykanizm odebrał im rozum, popchnął do wspierania takiego zbrojaka jak Saddam Husain. Nie przekonają ich wiwatujące tłumy Irakijczyków, ani Irakijczycy, którzy omal nie zlinczowali „żywych tarcz” z Zachodu. Gdy mówię o tym, Filip Ilkowski rzuca znowu: „to pan tak mówi!”. Zwrot „to pan tak mówi” jest w tym środowisku

uniwersalną odpowiedzią na każdą próbę głoszenia historii zgodnej z prawdą, a nie z komunistyczną propagandą. Ta propaganda jest dla nich wykładnią prawdy, a to co mówią „starzy”, politycy, kościół, czego uczy szkoła, jest fałszem. Ci ludzie nie widzą sprzeczności między walką o prawa człowieka w Czechenii i w Chinach a wspieraniem reżimu, który łamie prawa człowieka w Iraku. Dla nich Amerykanie to „zbrodniarze”, „okupanci” i nie szkodzi, że wyzwolili Irackich Kurdów, czego ci sami ludzie dopiero co się domagali.

### **Czerwona ofensywa**

Lewackie kłamstwo i bzdura zatrują umysły naszych dzieci niemal bez reakcji ze strony starszego pokolenia. Czy ktoś z państwa wszedł na stronę internetową Partii SPOKO, Komunistycznego Frontu Narodowego lub Walczącej Grupy Rewolucyjnej i przeczytał głoszone tam treści? Otóż KFN domaga się „wznowienia planów pięcioletnich”, przywrócenia „sowchozów” i „przyłączenia Polski do ZSRR jako obwodu autonomicznego” (nie zauważył, że ZSRR nie istnieje). Bohaterem na tych stronach są Lew Trocki i Ernesto „Che” Guevara, człowiek który, gdyby żył, dostałby przed każdym sądem w najlepszym przypadku dożywocie. Czemu nie reagujemy, gdy nasz syn lub córka chodzą w koszulce z wizerunkiem „Che”? Czy właściwym dla nich wzorcem jest człowiek, który po zajęciu Hawany rozstrzelał bez sądu 600 osób, który uzasadniając egzekucję demokratów w więzieniu Cabana, mówił: „Wybory? A po co? Już mamy władzę!” i który w swym politycznym testamencie napisał: „Zalecam skuteczną nienawiść, która czyni z człowieka efektywną, działającą szybko, selektywnie i bezwzględnie maszynę do zabijania”?

Na lewackich stronach jest co czytać. Na przykład wezwania do stosowania terroru i przemocy. „Totalna rozpierdowa systemu w Pradze!” – tak wzywali na demonstrację antyglobaliści. „Rząd na bruk – bruk na rząd”, „Zjadaj bogatych”, „Śmierć amerykańskim okupantom”, „Niech żyją iraccy partyzanci”, „Gdy pracodawca nie płaci na czas, daj mu w mordę”.

Można powiedzieć: to margines, większość młodych Polaków to patrioci i katolicy. Niestety to nie margines. Paradoksalnie patriotyzm i katolicyzm nie przeszkadza wielu młodym głosić lewackich treści. Ich poglądy podziela duża część młodzieży poza zdeklarowanym „dresiarstwem” i skrajną prawicą typu „Młodzieży Wszechpolskiej”. Spotykałem młodych ludzi wychowanych w tradycji katolickiej tłumaczących mi, że za nędzę trzeciego świata odpowiada spisec „koncernów” z Mc’Donalds na czele. Oni wprawdzie nie zwalczają Papieża, ale całą resztę komunizującego światopoglądu też głoszą, co ciekawe,

werbalnie przyznając się do antykomunizmu. Znam młodego człowieka, który z takim samym zapalem jeździ na spotkania z Janem Pawłem II, jak i na antyglobalistyczne zadymy. Potępia zbrodnie komunizmu w Chinach, co nie przeszkadza mu dążyć do komunizmu w Polsce, tyle że nazywa go „sprawiedliwością społeczną”. Ale jego interpretacja tej „sprawiedliwości” to czysta komuna.

Komunizujące dzieciaki to nie margines, to wrażliwa moralnie część polskiej młodzieży, której zrobiono wodę z mózgu. Oczywiście to nie jest cała ideowa młodzież, ale problem nie sprowadza się do procentów.

### **Zielony to niedojrzały czerwony**

Ogłupianie nie pojawiło się po raz pierwszy w związku z wojną w Iraku. Wielokrotnie, prowadząc wykłady o tematyce praw człowieka, spotykałem się ze zdziwieniem młodych ludzi, że nie zwalczam autostrad i tirów, popieram energetykę jądrową i nie zwalczam globalizacji. Zanim pojawiły się partie neokomunistyczne, sączono w umysły kłamstwo pseudoekologiczne i antyglobalistyczne.

Ponad dziesięć lat temu środowisko „ekologiczne” zablokowało budowę elektrowni atomowej w Żarnowcu posługując się instrumentalnym kłamstwem. Autor wydanej wówczas przez „ekologów” broszury „Fakty i mity o energii atomowej”, Jerzy Jaśkowski, pisał: „Należy odrzucić twierdzenie, że gazy szlachetne nie ulegają metabolizmowi w organizmie człowieka. Pierwiastki te mają określoną energię, dużo wyższą od energii wiązań chemicznych”. Genialne! Odkrył chemiczne wiązanie gazów szlachetnych! Dalej pan Jaśkowski pisze: „zwolennicy energii jądrowej [...] twierdzą, że na organizmy żywe działa tylko energia pochłonięta”. Według niego, nie tylko. Zasada zachowania energii do kosza! Inni przeciwnicy elektrowni rozpowszechniali informację, że Żarnowiec leży „na uskoku tektonicznym”. Gdzie były wówczas, gdy faszzerowano głowy młodzieży takimi bzdurami, instytuty naukowe, nauczyciele, rodzice?

Po zadymie antyglobalistycznej w Pradze, jeden z młodych aktywistów wygłosił w radiu tyradę o szkodliwości globalizacji. Oto przez nią zaczęto w Indiach uprawiać kukurydzę więc wzrosła cena cebuli, która jest głównym pożywieniem indyjskiej biedoty. Na takie *dic-tum*, obecni w studio dziennikarze otworzyli gęby ze zdziwienia i zamilkli. Ten młody człowiek z całym gorącym zaangażowaniem chce bronić Hindusów przed głodem i jedzie rzucać koktailami mołotowa w czeską policję, bo państwa Zachodu obsiały Indie kukurydzą! Angażuje się moralnie i chce poświęcić młode życie w oparciu o informację, które są kłamstwem. W Indiach nie uprawia się kukurydzy na

większą skalę, podstawą wyżywienia biedoty nie jest cebula lecz *dalbat* (ryż z soczewicą), od dobrych 20 lat nie ma głodu, a wzrost gospodarczy jest obecnie jeden z najwyższych na świecie. Gdzie byli rodzice i nauczyciele, gdy środowiska lewackie sączyły młodym ludziom do głowy takie bzdury, gdy tworzyła się gleba pod obecne 20 partii neokomunistycznych?

### **Zróbmy coś**

Wyrosło pokolenie, dla którego „noce sierpniowe” to abstrakcja zarówno w Powstaniu Warszawskim jak i w Stoczni Gdańskiej. To pokolenie jest faszzerowane antyhistorią i antywiedzą przy obojętności starszych. To pokolenie uważa, że wojna wietnamska to była „agresja USA na Wietnam” a nie Wietnamu Północnego na Południowy. Uważa, że zbrodnie komunistyczne były straszne (zwłaszcza te w Chinach) ale ich przyczyna – komunistyczna ideologia – jest dobra, bo wszyscy będą równi, nie będzie granic i prywatnej własności, czyli sielanka. Tylko tej sielanki nie da się osiągnąć bez zabicia lub zniewolenia ogromnej większości ludzi, który nie chcą być równi, nie chcą nie mieć granic i chcą zachować swą własność.

Grozi nam to, że zlustrujemy i zdekomunizujemy starych komunistów, a obudzimy się wśród nowych, którymi będą nasze dzieci. Koniec komunizmu ogłosiliśmy za wcześnie. Zajęliśmy się kombatantstwem, stawianiem (lub obalaniem) pomników, a zaniedbaliśmy edukację o naturze wszelkiej dyktatury, o tym, że komuna prowadzi do zbrodni nie tylko w Chinach, ale zawsze i wszędzie. Obawiam się, że walka z tym zjawiskiem nie będzie łatwa. Prawda o istocie komunizmu, o tym że jego zbrodnie wynikają wprost z ideologii, przebija się do świadomości zachodnich społeczeństw z wielkim trudem. Także do świadomości historyków i politologów. Nie wiem, jak to zrobić, by skazane lewackim myśleniem elity zaczęły oduczać tego myślenia własne dzieci. Jak nauczać, że Karol Marks był szarlatanem tworzącym absurdalne teorie polityczne i ekonomiczne, skoro znaczna część elit nadal uważa go za wielkiego filozofa? Jak uczyć o zbrodniczej naturze komunizmu, skoro sami nauczyciele często nie są o tym przekonani?

Nie znam rozwiązania, ale zacznijmy go szukać.

**No i co, proszę państwa? Kto by pomyślał, że po kolejnych 13 latach młodzi Polacy będą „hajlować” pod pomnikiem Dmowskiego i palić flagi Unii Europejskiej? Nad zagadnieniem warto się zastanowić, bo wygląda na to, że całkowicie odpuściliśmy, oddaliśmy komu popadnie (13 lat temu neokomunistom, obecnie neofaszystom) wychowanie**

**naszych dzieci, że zupełnie nie interesowaliśmy się od dawna, kto i jaki kit wciska im do głów. 13 lat temu młodzież czciła che Guevarę, a obecnie „żołnierzy wyklętych”, zaliczając do nich zarówno żołnierzy WIN-u jak i zwykłych bandytów (paru z tych „żołnierzy wyklętych” zamordowało na przykład naczelnika GOPR, Józefa Openheima). Dawniej młodzież chodziła w koszulkach z Che Guevarą, a obecnie z powstańczą kotwicą, a jedno i drugie jest tak samo bez sensu.**





# Typowa sprawa Krzysztofa Olewnika 2004-2008

**Bulwersująca opinię publiczną sprawa porwania i zabójstwa Krzysztofa Olewnika nie jest wcale wyjątkowa. Podobne niechlujstwo, bałagan i niefrasobliwość prokuratury i policji to niemal norma, a przynajmniej zjawisko bardzo częste. Poniżej przypominam 3 swoje artykuły i jeden list czytelnicki z archiwum „Kontratekstów” opisujące łącznie 17 przypadków spraw prowadzonych z podobną nonszalancją i niekompetencją – z jednej strony długotrwałe aresztowania i szykany wobec niewinnych ludzi, z drugiej bez troski zwalnianie i zaniechanie ścigania groźnych przestępców. W Polsce można wylądować w areszcie za napis na koszulce „HWDP”, zostać najechanym przez antyterrorystów za wpis na internetowym forum („homo ZOMO” wiecznie żywe dokonało najazdu na staruszkę), a jednocześnie uniknąć jakiegokolwiek odpowiedzialności za bójkę ze skutkiem śmiertelnym lub usiłowanie zabójstwa. Zapraszam do lektury. Warto sobie przypomnieć te fakty.**

## **Artykuł 1.**

### **Aresztować... kogo popadnie**

11 czerwca 2004, 18:05

Bulwersujące opinię publiczną sprawy bezmyślnego stosowania aresztu i oskarżania ludzi, którzy później okazują się niewinni, stały się ostatnio tak liczne, że zaczynają stanowić problem społeczny i polityczny. Mieliśmy zbudować państwo prawa, a w nim aparat ścigania spełniający nowoczesne standardy. Tymczasem stworzyliśmy bezmyślną biurokratyczną maszynę niezdolną do korygowania własnych błędów.

Sprawa Tomka Falisza, który z powodu wklejenia swojego zdjęcia do legitymacji szkolnej brata spędził w areszcie dwa miesiące stała się głośna na całą Polskę. Warto się zastanowić nad tym, czy za każdym razem trzeba ogólnokrajowej akcji mediów, by aparat ścigania dostrzegł absurd w swym postępowaniu i czy trzeba aż interwencji osób publicznych, by naprawiono oczywisty błąd? Dlaczego w ogóle wszczęto sprawę karną wobec wybryku godnego, co najwyżej, przeprowadzenia krótkiej rozmowy wychowawczej? Przykłady, które przytoczę pokazują, że jest jeszcze gorzej. Bezwład biurokratycznej maszyny, jaką stała się prokuratura i część policji oraz sądów, powoduje, że ludzie nieuczciwi mogą wykorzystywać aparat ścigania do własnych celów, do zrzucania winy na innych, do usuwania konkurentów biznesowych, unieszkodliwiania uczciwych ludzi przeszkadzających komuś w lewych kombinacjach. Najbardziej niepokojące jest to, że gdy manipulacja aparatem ścigania w końcu się wydaje, jej sprawcy pozostają bezkarni. A dzieje się tak dlatego, że wystarczy prokuraturze raz pokazać kandydata na winnego, nawet bez żadnych ku temu podstaw, a wprawiona raz w ruch biurokratyczna maszyna będzie się toczyć własnym rozpędem. Przez ponad rok obserwowałem toczącą się przed Sądem Okręgowym w Warszawie sprawę o zabójstwo, w której już lektura aktu oskarżenia budzi poważne wątpliwości, czy przypadkiem strony procesowe nie powinny zamienić się miejscami. Z każdą kolejną rozprawą stawalo się coraz bardziej jasne, że oskarżeni byli w rzeczywistości ofiarami napadu a świadkowie oskarżenia i oskarżycielka posiłkowa sprawcami. Nawet, gdy było już wręcz oczywiste, że świadkowie kłamią i że to oni powinni zasiadać na ławie oskarżenia, nie nastąpiła żadna reakcja prokuratury.

### **Kto zabił Andrzeja Z.?**

Dwaj młodzi Ukraińcy spędzili w areszcie prawie dwa lata oskarżeni o zabójstwo i udział w bójce z użyciem niebezpiecznego narzędzia. 7 stycznia 2003 roku zostali ostatecznie uniewinnieni przez sąd, który uznał, że działali w obronie koniecznej, oraz, że byli w rzeczywistości ofiarami, a nie sprawcami napadu.

12 marca 2000 roku, około godziny 22.00, w Rembertowie, trójka obywateli Ukrainy – Igor Brejter, Aleksander Chokhalevitch i Oksana

Białorus – czekała na autobus. Igor odszedł około 20 metrów do sklepu nocnego. Kupił butelkę wódki i papierosy. Gdy odwrócił się od okienka, zobaczył potężnie zbudowanego mężczyznę, który zażądał od niego siatki z zakupami, kurtki i pieniędzy. Mężczyzną tym był prawdopodobnie Andrzej Z., ale nie jest to do końca pewne. Igor odmówił. Mężczyzna zapowiedział, że „wróci z kolegami”.

Chwilę później Ukraińcy zostają napadnięci przez sześcioro podpitych bywalców baru „Wodnik”, w tym Andrzeja Zimę oraz jego żonę Magdalenę i dotkliwie pobici. W sądzie napastnicy powiedzą później, że biegli z baru zdejmując po drodze kurtki, „aby się bronić”, bo „czuli się zagrożeni” przez znajdujących się o 150 metrów od nich Ukraińców. Będąca w ciąży Oksana zostaje rzucona na ziemię, jest ciągnięta za włosy, a późniejsza oskarżycielka posiłkowa Magdalena Z. siedzi na niej okraciem i okłada pięściami. W czasie, gdy Igor walczy najpierw z dwoma, a później z trzema mężczyznami, Aleksander stara się pomóc Oksanie odciągając od niej Magdalenę Z. (według aktu oskarżenia „naruszył nietykalność cielesną Magdaleny Z.”) W tym momencie Igor zauważa, że jeden z mężczyzn wykonuje zamach, by uderzyć nożem w plecy Aleksandra i nieudolnie stara się odebrać mu nóż, wykonując zapamiętany z wojska chwyt samoobrony. Zeznający w sądzie biegli orzekli, że w tym momencie, na skutek ruchu Igora, napastnik mógł się nadziać na własny nóż. Mógł, ale nie ma pewności, czy nóż doszedł wówczas do ciała. To mocno niejasny element tej sprawy. Według aktu oskarżenia, Igor Brejter „działając z zamiarem pozbawienia życia Andrzeja Z. uderzył go nożem w klatkę piersiową”.

Jasne jest jedno. Zaraz po tym, Andrzej Z. przebiega przez jezdnię i przewraca się na trawniku. Poniżej prawego sutka ma głęboką ranę kłutą, dochodzącą do serca. Według ekspertyzy biegłego sądowego dostał dwa (!) uderzenia nożem (drugie „z dopchnięcia”), co stało się przyczyną zgonu. Ale i teraz jest wiele niejasności. Jedna z napastniczek, Nadia K. krzyczy: „Andrzej dostał dwie kosy!” Skąd wiedziała, że ciosy były dwa, skoro trafiły w tę samą ranę, a twierdzi, że momentu uderzenia nie widziała? Moim zdaniem, i tu mam inne zdanie niż sąd, nie ma żadnego dowodu na to, że człowiekiem, któremu Igor Brejter starał się wytrącić nóż był Andrzej Z. Do końca nie wykluczono ewentualności, iż tym człowiekiem mógł być inny uczestnik bójki. Nóż, który próbował wytrącić mu Igor, nie doszedł do ciała i nie wypadł mu z ręki. To on mógł Andrzejowi Z. „sprzedać kosę”, co zapewne dobrze widziała kryjąca go Nadia, a może i inne osoby. Tego wątku w ogóle nie wyjaśniło śledztwo policyjne, a prokuratury to nie interesowało.

Bójka zostaje przerwana. Ukraińcy wsiadają do autobusu, który właśnie nadjechał. Polscy uczestnicy zajścia gromadzą się przy

umierającym Andrzejowi Z. Nadia K. biegnie do baru i wzywa na pomoc „Olka” (właściciela baru), który zabiera ze sobą kij bejsbolowy i dwóch kolegów. Wszyscy trzej zatrzymują autobus, którym odjeżdżają Ukraińcy. Wpadają do środka. Magdalena Z. wskazuje „Olkowi” Igora, a ten wali go kijem bejsbolowym w głowę, z taką siłą, że kij pęka („słaby kij” – komentuje to „Olek” w sądzie). Igor traci przytomność. Ma pogruchtane kości czaszki, ogromną ranę na głowie. Zostaje wywleczony z autobusu i porzucony na chodniku. Według aktu oskarżenia „Olek” z kolegami „wsiedli do autobusu i zmusili go do wyjścia”. „Olek” był na rozprawie doprowadzany z aresztu, gdzie siedział w innej sprawie. W październiku 2002 roku został skazany na 5 lat za „udział w związku przestępczym o charakterze zbrojnym i handel bronią”. Jako jedynemu z całej grupy napastników ma proces o pobicie Igora Brejtera.

### **Zmowa i matactwo**

Przyjeżdża policja, straż miejska i dwie karetki pogotowia. Lekarz stwierdza zgon Andrzeja Z. Druga karetka zabiera nieprzytomnego Igora. Następnie napastnicy, na czele z „Olkem”, razem z policją szukają noża. Już w tym momencie policja przyjęła wersję, że sprawcami zabójstwa są Ukraińcy, którzy wraz z ciężarną kobietą napadli na dziewięcioro redbertowskich dresiarzy i dopuściła prawdziwych napastników do szukania dowodu zbrodni. Prawdopodobnie znaleźli oni wówczas nóż i ukryli przed policją. Aleksander Chokhalevitch i Oksana Biłorus zostają zatrzymani. Igora aresztowano później, po wypisaniu ze szpitala.

Autobus, z którego wyciągnięto Igora odjeżdża. Poza kierowcą jest w nim Jacek B., dobry kumpel grupy z baru „Wodnik” (na rozprawie jest doprowadzany z aresztu – siedzi w innej sprawie). Jacek B. znajduje i wyrzuca złamany kij bejsbolowy „Olka”. Prokuratura nie zwraca żadnej uwagi na oczywisty fakt usuwania dowodu przestępstwa.

Następnego dnia bar „Wodnik” jest zamknięty dla zwykłych gości. „Olek” wpuszcza tylko uczestników wczorajszej bójki. Późnym popołudniem „Olek” dzwoni do Komendy Stołecznej Policji i powiadamia o znalezieniu noża, którym został zabity Andrzej Z. Funkcjonariusze wydziału zabójstw zabierają z baru „Wodnik” kompletnie pijanego Jacka B. wraz z rzekomo znalezionym przez niego nożem, który ponoć przyniósł do baru około 10 rano. Co robił Jacek B. i o czym konfelowal z „Olkem” oraz innymi uczestnikami bójki przez 10 godzin, nie wiadomo. Jacek B. twierdzi, że znalazł w autobusie zakrwawiony nóż, złożył go, schował do kieszeni, zaniósł do domu i umył, usuwając z niego odciski palców i krew, a następnie postanowił przekazać policji. Nie

potrafi wyjaśnić, czemu w takim razie zaniósł nóż do baru, po co go mył, a nawet, po co w ogóle go zabierał. W czasie eksperymentu w sądzie nie potrafi przez całą minutę złożyć tego noża. Szuka bezpiecznika (jest to nóż sprężynowy) w zupełnie niewłaściwym miejscu. Od razu widać, że wcześniej nie miał tego noża w ręku.

Według aktu oskarżenia świadek Jacek B. znalazł w autobusie zakrwawiony nóż sprężynowy, „zaniósł do domu, umył i gdy później dowiedział się o bójce, zaniósł do KP w Rembertowie”. Ta zupełnie nieprawdopodobna bajka została z góry przyjęta przez prokuraturę za prawdziwą, mimo że w aktach znajdują się dokumenty wydziału zabójstw KS Policji, mówiące zupełnie co innego. Prokuratura nie reaguje na to, że Jacek B. już po raz drugi, myjąc nóż, zaciera ślady przestępstwa.

Prawdopodobnie w czasie tych 10 godzin w barze „Wodnik” grupa uzgadnia zeznania i planuje zrzuć winy na Ukraińców. W dużym stopniu im się to udaje. Igor Brejter zostaje oskarżony o zabójstwo Andrzeja Z. Aleksander Chokhalevitch oskarżony jest o to, że „działając wspólnie i w porozumieniu z Igorem Brejterem wziął udział w pobiciu Andrzeja Z., którego skutkiem był zgon”. Pobita Oksana Biełorus po krótkim pobycie w szpitalu zostaje deportowana na Ukrainę. Magdalena Z. zostaje oskarżycielką posiłkową a wszyscy napastnicy świadkami oskarżenia. Kluczowego świadka w sprawie o zabójstwo deportowano z kraju! Już w czasie procesu, matka Igora odnajduje Oksanę, prosi o przyjazd do Polski i złożenie zeznań. Oksana odmawia, bo się boi. Na Ukrainie spędziła pół roku w szpitalu. Straciła dziecko. Twierdzi, że w czasie przesłuchania w Rembertowie została dodatkowo pobita przez policję. Czy to prawda? Nie wiem. Prokuratury to nie interesuje.

Kłamstwo w żywe oczy to najbardziej trafne określenie na treść zeznań składanych przez świadków oskarżenia w śledztwie i w sądzie. Prokuratura w ogóle nie reaguje na oczywiste składanie fałszywych zeznań.

7 stycznia 2003 roku sąd uniewinnił Igora Brejtera i Aleksandra Chokhalevitcha ze wszystkich zarzutów uznając, że nie byli oni napastnikami, lecz ofiarami napadu i działali w warunkach obrony koniecznej. W uzasadnieniu wyroku sąd stwierdził, że napastnikami byli: poszkodowany Andrzej Z., jego żona oskarżycielka posiłkowa i świadkowie oskarżenia. Igor i Aleksander spędzili w areszcie rok i dziesięć miesięcy. Przeciw rzeczywistym sprawcom napadu (z wyjątkiem „Olka”) nie wszczęto żadnego postępowania. W moim przekonaniu jest wśród nich prawdziwy zabójca Andrzeja Z. Nikt go nie szuka. Po co? Oskarżeni wyszli z aresztu i wyjechali za granicę. Policja i prokuratura zamknęły sprawę i wszyscy są zadowoleni.

### Typowa sprawa

Sprawa Brejtera i Chokhalevitcha nie jest niestety odosobniona. Wpisuje się ona w długi ciąg niechlujstwa, zlej woli i bezmyślności prokuratury oraz policji.

Kustosz z Muzeum Historycznego Miasta Warszawy Jacek Bochiński, kulturalny człowiek, który nawet nie przeklina, został aresztowany jako uczestnik napadu na ciężarówkę. Gdy doszło do napadu Jacek Bochiński nosił brodę, a wiadomo, że żaden z napastników nie był brodaty. Ma świadków na to, że znajdował się gdzie indziej. Został aresztowany, bo policjant z Radomia napisał notatkę służbową bez żadnego uzasadnienia, że Jacek Bochiński „jest sprawcą”. Podobno tak mu powiedział detektyw Rutkowski wynajęty przez poszkodowanych. Później Jacka Bochińskiego rozpoznali poszkodowani. Twierdzi, że świadomie go wrabiają. Spędził rok w areszcie śledczym i, mimo że absurdalność zarzutu jest oczywista, nadal jest oskarżony, tylko już z wolnej stopy.

60-letnia mieszkanka Łodzi, Dobrochna N., oskarżona o pomówienie z powodztwa prywatnego, spędziła miesiąc w areszcie, a później 6 tygodni w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym, bo druga strona procesowa zażądała poddania jej badaniu. Badanie wykazało, że jest zdrowa. Obecnie wygrała sprawę przed Trybunałem Praw Człowieka w Strasburgu. Policjant Jerzy Morawski pomówiony przez przestępców o przyjęcie łapówki spędził 15 miesięcy w areszcie. Do dziś nie przedstawiono mu zarzutu. Zwolniony za kaucją wysokości 3 tysiące złotych. W całym okresie aresztowania jeden raz go przesłuchano i jeden raz skonfrontowano ze świadkami. Od maja 2001 nic dalej w jego sprawie nie robiono. Inny pomówiony przez przestępców policjant spędził w areszcie 16 miesięcy. Został w areszcie pobity. Przez cały okres aresztowania został przesłuchany jeden raz.

Janusz Heatclif Pineiro spędził w areszcie 7 miesięcy. W listopadzie 2001 zaproponowano mu zwolnienie za kaucją 50 tys. złotych. Nie wpłacił jej, więc w styczniu 2002 zwolniono go bez kaucji. Janusz Heatclif Pineiro stracił w areszcie 30 kilogramów wagi. Zwolniono go, bo prokurator się przestraszył, że umrze. Do dziś (przez półtora roku) do sądu nie wpłynął akt oskarżenia. Powody jego aresztowania mają ewidentnie polityczny charakter. Andrzej Modrzejewski, były prezes PKN Orlen został widowiskowo zatrzymany przez jednostkę antyterrorystyczną i UOP. Zwolniono go po jednym przesłuchaniu.

Jacek Truszyński, były prezes Poczty Polskiej spędził wiele miesięcy w areszcie na podstawie pomówienia. Jego żonę zatrzymała, nie

wiadomo, po co, jednostka antyterrorystyczna w kominiarkach i z bronią. Wyciągnięto ją z samochodu, rzucono na maskę, skuto kajdankami i... zwolniono nie stawiając żadnego zarzutu.

Widowskowo aresztowany Roman Kluska, były właściciel Optimusa, został zwolniony za kaucją 8 mln złotych. Zajęto mu majątek wartości 17, 5 miliona złotych. Oskarżony był o spowodowanie straty Ministerstwa Finansów w wysokości 7,5 miliona złotych. Tyle samo na transakcji zaoszczędziło Ministerstwo Edukacji. Oskarżenie było w oczywisty sposób absurdalne. Ostatecznie wycofano wobec niego wszystkie zarzuty, ale nikt nie wyrównał mu strat.

Piotr Ż. aresztowany pomyłkowo za mandat nie zapłacony przez jego brata był w areszcie wielokrotnie bity i gwałcony. Po nagłośnieniu sprawy przez prasę, jego trzech oprawcy otrzymali po 10 lat więzienia.

Sebastian S. właściciel 22 nowych mercedesów busów i firmy transportowej spędził pół roku w areszcie pomówiony przez policjantów, którzy rozpoznali go jako złodzieja cinquecento. Widzieli go ponoć w nocy przez szybę przez kilkanaście sekund, a mimo to „mają pewność”, choć nie pasuje on do podawanego przez nich rysopisu, nie znaleziono jego śladów, a świadkowie mówią, że był gdzie indziej.

Piotr Trznadel został pozwany do sądu przez sąsiada, z którym się pokłócił. Sąd zamknął go w szpitalu psychiatrycznym. Gdy protestował, szpital zaczął leczyć go przymusowo. Gdy przez telefon komórkowy powiadomił rodzinę i dziennikarzy, że jest źle traktowany, odebrano mu telefon. Został przywiązany do łóżka, a gdy w czasie odwiedzin odwiązała go żona, to „dla dobra pacjenta” zakazano odwiedzin.

Lech P. spędził 14 miesięcy w areszcie „rozpoznany” przez świadka, który złożył fałszywe zeznanie, pomimo że biegły grafolog stanowczo wykluczył go jako sprawcę przestępstwa. Przez kolejne 10 miesięcy stosowano wobec niego dozór policyjny, choć ujęto już prawdziwego sprawcę, który przyznał się do winy.

Wielokrotnie obserwowałem w czasie rozpraw sądowych, że dla urzędników prokuratury wnoszenie o areszt jest czynnością emocjonalnie obojętną. Liczą się paragrafy i rutyna, a poza polem zainteresowania pozostaje los człowieka.

### **Jest człowiek – paragraf się znajdzie**

W polskim prawie karnym zupełnie nie funkcjonują zabezpieczenia przed pomyłkowym lub celowym oskarżaniem i aresztowaniem niewinnych ludzi. Za bezpodstawne umieszczenie człowieka w areszcie właściwie nikt nie odpowiada.

Pozornie każdy z przytoczonych tu 14 przykładów bezmyślności aparatu ścigania jest inny. Coś je jednak łączy. W większości

przypadków niewinnie aresztowani ludzie byli przez kogoś wrabiani. Igora Borejtera i Aleksandra Chokhalevitcha wrabiali bywalcy baru „Wodnik”, którzy na nich napadli. Piotra Trznadla wrabiał sąsiad, aresztowanych policjantów wrabiali złodzieje. Andrzeja Modrzejewskiego, Jacka Truszyńskiego i Romana Kluskę wrabiał ktoś, komu przeszkadzali w interesach. Za każdym razem osobom wrabiającym niewinnych ludzi udało się. Osiągnęli, co chcieli, sami nie ponieśli żadnych konsekwencji.

A dzieje się tak dlatego, że polskie prawo zawiera poważną lukę. Sędzia, widząc w czasie rozprawy oczywiste przestępstwo ze strony świadka nie nakazuje wszczęcia przeciw niemu postępowania, bo czeka na wniosek prokuratora lub pokrzywdzonego, a taki wniosek nie pada. Prokurator nie jest zainteresowany w przyznaniu się do błędu (jak w sprawie Borejtera) i oskarżania własnych świadków, oraz w podważaniu własnego materiału dowodowego. Pokrzywdzony z kolei najczęściej nie wie, że może wystąpić z takim wnioskiem, lub nie wierzy w jego skuteczność. Dlatego Magdalena Z., oskarżycielka posiłkowa ze sprawy Borejtera, oraz jej koledzy mogą spać spokojnie. Sąd wprowadził orzeczek, że to oni napadali, że śmierć Andrzeja Z. była konsekwencją tego napadu, ale nie nakazał, by ich z tego powodu ściagać, a prokurator sam z siebie ściagać ich nie zacznie. Komuś, kto wrabiał Andrzeja Modrzejewskiego, Jacka Truszyńskiego i Romana Kluskę, też włos z głowy nie spadnie.

Moim zdaniem sąd powinien mieć obowiązek z mocy prawa wnoszenia oskarżeń przeciw ujawnionym na rozprawie sprawcom przestępstw, oraz osobom dopuszczającym się manipulacji aparatem ścigania. W tej chwili nie tylko nie ma takiego obowiązku, ale nawet nie bardzo może.

W innych przytoczonych powyżej przykładach stosowano wobec osób zatrzymanych całkowicie nieproporcjonalne środki przymusu. W takich przypadkach, widzący to sędzia powinien także z mocy prawa, nie czekając na niczyj wniosek, przyznawać im odszkodowania od sprawców takich nadużyć. Ktoś, kto kazał antyterrorystom wywlec z samochodu, rzucić na maskę i skuć kajdankami o nic nie oskarżaną kobietę, powinien ponieść tego konsekwencje. Podobnie powinno być w sprawie Dobrochny N. Dlaczego musiała ona odwoływać się aż do Strasburga? Jeśli kustosza Jacka Bochińskiego rzeczywiście ktoś wrabia i na rozprawie się to wyda, to ten ktoś nie powinien już z sądu wrócić do domu, tylko do aresztu. Świadek, który złożył fałszywe zeznanie, przez które Lech P. spędził 14 miesięcy w areszcie, powinien odpowiadać nie tylko za składanie fałszywych zeznań, ale i za to, co zrobił Lechowi P.



Aby wyeliminować przypadki instrumentalnego posługiwania się aparatem ścigania, trzeba poczynić takie zmiany w prawie, by nie uchodziło to bezkarnie. Ale to nie wszystko. Część instrumentalnego posługiwania się aparatem ścigania wynika z podległości prokuratury. Wprawdzie wprowadzono ją z pobudek politycznych, ale bywa używana, do celów całkiem prywatnych lub populistycznych. Dokąd prokurator musi wszczynać postępowania z polecenia szefa, dotąd będzie musiał oskarżać nawet ludzi, w których winę sam nie wierzy. Przypomnę tu słynne polecenie ministra sprawiedliwości Lecha Kaczyńskiego, który, kierując się populizmem, nakazał podległym mu prokuratorom występować o areszt tymczasowy zawsze i odwoływać się od wszystkich decyzji sądu oddalających wnioski o areszt. Tej polityki niestety nie zarzucili do końca jego następcy i stąd takie sprawy jak bezsensowne aresztowanie Janusza Heatclifa Pineiry i wielu innych osób. Stąd też atmosfera stosowania aresztu o byle co, jak w sprawie Tomka Falisza.

Prokurator powinien być całkowicie niezależny, tak jak sędzia. Przeciwnicy tego poglądu twierdzą, że rząd nie będzie mógł wówczas realizować polityki karnej. Tymczasem w praworządym państwie takie pojęcie jak polityka karna nie powinno w ogóle istnieć. Prokurator, policjant i sędzia powinni realizować prawo, a nie jakąkolwiek politykę. Opinia publiczna domaga się surowego ścigania i karania przestępców. Najpierw jednak trzeba stworzyć takie warunki, w których normalni ludzie nie będą mogli być wrabiani w przestępstwo, nie będą spędzać dwóch lat w areszcie i po uniewinnieniu nie usłyszą nawet słowa przeproszam.

**Komentarz aktualny:** Jacek Bochiński został ostatecznie uniewinniony. Jego sprawę prowadził ten sam policjant, który prowadził sprawę porwania Krzysztof Olewnika

## **Artykuł 2.**

### **Nowa wykładnia prawa – wolno dźgać ludzi nożem**

11 sierpnia 2004, 16:16

Według prokuratora Andrzeja Piasecznego z Prokuratury Rejonowej Warszawa Śródmieście, czyn napastnika, który starał się ugodzić człowieka nożem, celując w tętnicę szyjną, nie ma „znamion czynu ściganego z oskarżenia publicznego”. Według tegoż prokuratora „brak jest interesu społecznego w objęciu ściganiem z urzędu” tego czynu. Na tej podstawie prokurator Andrzej Piaseczny umorzył postępowanie wobec ewidentnego usiłowania zabójstwa. Atak nożem na tętnicę

szyjną powoduje niemal stuprocentową śmierć. Napastnik nie trafił, bo mu przeszkodzono, ale bardzo się starał. Zadał aż 4 uderzenia nożem w nasadę szyi napadniętego.

### **Incydent w spokojnej kawiarni**

25 lipca siedziałem wraz z kilkoma znajomymi osobami w kawiarni naszego wspólnego kolegi w Warszawie. Jest to normalny spokojny lokal, do którego przychodzą kulturalni ludzie. Około godziny 21.00 do lokalu wszedł lekko podchmielony osobnik i usiadł przy sąsiednim stoliku. Początkowo nic nie zapowiadało awantury. Facet był nie pierwszej młodości (ok. 50 lat na wygląd), niewysoki, drobnej budowy.

W pewnym momencie zwrócił się do mnie: „ty jesteś Ukrainiec”. Odpowiedziałem: „nie”. Na to on wygłosił całe zdanie, którego nie rozumiałem, bo chyba nie miało sensu. Myślałem, że mam do czynienia z samotnym pijaczkiem szukającym towarzystwa. Jego towarzystwo jednak mi nie odpowiadało. Powiedziałem: „Panie, ja nie mam do pana żadnego interesu. Siedz pan tam, gdzie pan siedzi i zajmuj się sobą.” Po tych słowach facet zamilkł i siedział spokojnie około 10 minut. Po chwili wstał i podszedł do baru. Za barem był w tym momencie Krzysztof K., nasz kolega, właściciel kawiarni.

Gość zaczął coś do Krzyśka mówić, czego nie słuchałem. Ponoć pytał Krzyśka, czy jest Włochem, mówił, że szuka jakiegoś człowieka i na pewno go znajdzie, oraz, że „on tych kurwów wszystkich pozabija” – których, nie wiadomo. Gość, według relacji Krzyśka, był ogólnie agresywny, ale ta agresja nie była skierowana do żadnej konkretnej osoby. Nagle, zupełnie spokojnie, bardzo grzecznie zapytał, „czy może pooglądać obrazki?”. Krzysztof powiedział, że tak i facet podszedł do wnęki, w której znajdowała się wystawa zdjęć. Nie przyszło nam do głowy, że jest to tylko pretekst, by znaleźć się za plecami jednego z naszych kolegów, Witolda G.

Witek to spokojny starszy pan, schorowany, słaby fizycznie, nie zaden zabijaka. Siedział spokojnie na krześle naprzeciw mnie i prawie się nie odzywał w czasie ogólnej rozmowy. Facet stał za Witkiem tyłem do niego, udając, że ogląda zdjęcia. Prawdopodobnie w tym czasie, gdy był zwrócony do nas plecami, wyjął z kieszeni nóż i otworzył go. Nagle wykonał obrót i szeroki zamach prawą ręką starając się trafić Witka nożem, w szyję. Nie trafił, bo Witek się poruszył i dlatego, że w ten sposób jest bardzo trudno trafić, jeśli nie jest się wyszkolonym w walce nożem. Szerokie zamaszyste ciosy są bardzo mało celne, o czym wiedzą wszyscy ludzie ćwiczący jakąkolwiek sztukę walki. Witek zaczął się zasłaniać rękami a napastnik próbował ugodzić go ponownie, kalecząc

mu ręce. Zadał jeszcze 3 uderzenia, zaczynam zdążyć złapać go za nadgarstek (od Witka oddzielał mnie stolik). Wszystko to działo się bardzo szybko. Witek nieco popchnął napastnika w moją stronę, a ja razem z kolegą, Piotrem K., powaliłem go na ziemię. W szamotaninie zdołał jeszcze trafić mnie nożem (niegroźnie) w udo. Odebraliśmy mu nóż i przekazaliśmy gościa policji. Ot i całe zajście.

### **Co by było, gdyby...**

Gdyby napastnik trafił od razu pierwszym ciosem, tym, którym tylko przeciął Witkowi skórę na szyi, nie byłoby szans ratunku. Witek miał w tym momencie ogromne szczęście. Przebicie tętnicy szyjnej powoduje natychmiastowe silne niedotlenienie mózgu i śmierć w ciągu kilku minut. Krwotok taki jest niezwykle trudny do zatamowania, nawet gdy ranny natychmiast znajdzie się na stole operacyjnym. Przecięta tętnica cofa się w głąb ciała, niczym guma, a chirurg ma bardzo mało czasu na akcję. Nie można jej po prostu ucisnąć, bo wtedy ranny się dusi. Każdy instruktor sztuki walki powie państwu, że cios w tętnicę szyjną jest najniebezpieczniejszym rodzajem ataku nożem. Cios w serce czasami daje się przeżyć. W tętnicę szyjną – niemal nigdy.

Kolejne szczęście, że naprzeciw Witka siedziało przy stole dwóch mężczyzn, Piotr K. i ja, oraz że ja ćwiczyłem przez 40 lat sztukę walki kung fu i to akurat styl Hung Gar, w którym jedną z podstawowych technik jest przechwytywanie ręki napastnika. Złapanie w ruchu za rękę uzbrojoną w nóż jest szalenie trudne i ryzykowne. Jeśli się źle trafi, można samemu zostać pociętym. Zresztą życie to nie film i nawet mistrz kung fu sporo ryzykuje podejmując walkę gołymi rękami z nożownikiem. Co by się stało, gdyby mnie tam nie było? Piotr pewnie sam nie dałby sobie rady. Witek tym bardziej. Zapewne napastnik dźgałby aż do skutku i w końcu by trafił. Tuż po tym, jak złapałem napastnika za rękę, Witek przewrócił się do tyłu razem z krzesłem i był praktycznie bezbronny. To, że w całym zajściu nie stało się nikomu nic poważnego, to niemal cud.

Facet był w jakimś nienormalnym amoku. Miał siłę nieproporcjonalną do jego masy i budowy. To wskazuje na jakieś patologiczne działanie alkoholu albo chorobę psychiczną. Jeszcze na ziemi, trzymany przez dwóch ludzi, szarpał się i groził.

### **To mnie wkurza**

Zajście miało miejsce 25 lipca późnym wieczorem. Już 29 lipca prokurator umorzył postępowanie „nie znajdując znamion przestępstwa” i proponując nam, byśmy wnieśli oskarżenie prywatne, jeśli chcemy. Prokurator powołuje się na „stan faktyczny”, a w mojej ocenie

nawet nie zadał sobie trudu, by się z tym stanem faktycznym zapoznać. Nie zauważył nawet, że ciosy noża były 4, a nie jeden. Nie przesłuchał sam żadnych świadków, nie zebrał szerszej informacji o sprawie. Uważam, że błędna była od samego początku kwalifikacja prawna czynu: art. 157 par. 2 kk – „naruszenie czynności narządu ciała”, czyli tak jak w przypadku popchnięcia kogoś, przewrócenia na ziemię itp.

Myślenie prokuratury, że skoro nikt nie odniósł poważnych obrażeń, a jedynie drobne, to nic się właściwie nie stało, jest niedopuszczalne. To tak jakby twierdzić, że można do ludzi strzelać, jeśli się nie trafi, można podkładać bomby, jeśli na skutek usterki nie wybuchną itp. Na zupełną już kpinę zakrawa stwierdzenie prokuratora, że Witold G. „nie dostarczył żadnej dokumentacji z leczenia obrażeń”. To panu prokuratorowi uszkodzony ma jeszcze dostarczać dokumentację? To prokuratura nie może sama, lub przez policję, wziąć karty informacyjnej z pogotowia? Zresztą, gdyby Witek nawet chciał dostarczyć prokuratorowi dokumentację, to pewnie by nie zdążył, tak szybko umorzono postępowanie.

Postępowanie sprawcy miało znamiona działania zaplanowanego i przemyślanego. Wymyślił sobie pretekst, by stanąć za Witkiem (oglądanie obrazków), zaplanował otwarcie noża, tak byśmy tego nie widzieli. Nawet, jeśli atak był wynikiem jakiś chorych urojeń, lub patologicznego upojenia, to facet powinien być przynajmniej poddany obserwacji psychiatrycznej. Jeżeli tak działa na niego alkohol, to tym bardziej. Nie jestem zwolennikiem koncepcji Lecha Kaczyńskiego typu „kara śmierci dla każdego”. Nie uważam, że każdy sprawca musi wylądować na długie lata w więzieniu, ale wypuszczenie na drugi dzień faceta, który ganiał po mieście z nożem (chyba sprężynowym), o sztyletowatym ostrzu i atakował nim ludzi, to przegięcie w drugą stronę.

Po pierwsze czyn należało zakwalifikować jako celowe stworzenie zagrożenia dla życia i zdrowia osób, a nie „naruszenie czynności narządu ciała”.

Po drugie, istniała przesłanka do zastosowania aresztu tymczasowego – niebezpieczeństwo popełniania kolejnych przestępstw, którego nie można było wykluczyć bez badania biegłego psychiatry i bez szerszego zbadania okoliczności zdarzenia. Jeżeli na gościa tak działał alkohol, to istnieje poważne niebezpieczeństwo, że będzie popełniał podobne czyny.

Po trzecie, noszenie przy sobie takiego noża (bo nie jest to nóż dokrojenia chleba, tylko do walki) jest zabronione przez ustawę o broni i amunicji. Nie prawda, że samo posiadanie noża nie jest zabronione. To zależy od rodzaju noża. Nie przyjrzałem się temu nożowi dokładnie, ale wydaje mi się, że jest to boczno wyrzutowy nóż sprężynowy

z filcową rękonośką (by nie zostawały odciski palców). Nie jest to na pewno harcerska finka.

Bardzo jestem ciekaw, czy napastnikowi wydano ten nóż z depozytu, skoro według prokuratury nie ma sprawy?

I rzecz ostatnia, która mnie wkurza. W Polsce toczy się dyskusja, w której grupa prawnych oszołomów domaga się zaostrzenia prawa i przywracania kary śmierci. Takie postępowanie prokuratury dostarcza im argumentów. A to przecież nie prawo jest złe, tylko prokuratura działa tragicznie źle. W jednych sprawach trzyma niewinnych ludzi w areszcie przez dwa lata (patrz sprawa Brejtera i Shakalevicha) a w innych – wypuszcza bez żadnego postępowania faceta, który gania z nożem i atakuje ludzi.

**PS.** Sprawa ma dalszy ciąg. Po artykule Bogdana Wróblewskiego w „Gazecie Stołecznej” (warszawskim dodatku Gazety Wyborczej) prokuratura postanowiła wznowić postępowanie. Obecnie dopuszcza już możliwość postawienia sprawcy zarzutu usiłowania zabójstwa. Wstrzymano też decyzję o zwróceniu napastnikowi noża (kluczowego dowodu w sprawie). Na szczęście po pierwszym błędzie prokuratury nie zdążył go on jeszcze odebrać (i zniszczyć lub wyrzucić). Sprawca pozostaje na wolności, bo teraz nie można zgodnie z prawem zamknąć go ponownie na 48 godzin. Może go aresztować dopiero sąd po przedstawieniu zarzutu. Czy napastnik będzie siedział spokojnie w domu i czekał na aresztowanie – zobaczymy.

Ubocznym skutkiem sprawy jest szereg głosów na forum dyskusyjnym „Gazety” wyrażających poparcie dla PiS i Lecha Kaczyńskiego, jako bojowników o zaostrzenie prawa, co wiele osób błędnie postrzega jako metodę zwalczania przestępczości. Osobom tym pragnę wyjaśnić, że prawo jest w Polsce bardzo dobre, tylko jest bardzo źle stosowane. Jest źle stosowane między innymi dlatego, że panowie Lech Kaczyński i Zbigniew Ziobro, jako minister i wice minister sprawiedliwości w rządzie AWS, zajmowali się tylko swą prywatną ideą fix, czyli zaostrzeniem prawa wbrew opinii wszystkich ludzi, który się na tym zna. Skutkiem ubocznym było doprowadzenie do stanu zapaści więziennictwa i prokuratury. To dzięki nim prokuratura działa właśnie tak, jak w tej sprawie. Panowie Kaczyński i Ziobro kontynuowali też z powodzeniem dzieło upolitycznienia prokuratury zapoczątkowane przez Jerzego Jaskiernię.

Zwolennikom Lecha Kaczyńskiego pragnę też wyjaśnić, czym się on różni od Rudolfa Gulianiego (sławnego burmistrza Nowego Jorku). Rudolf Guliani, nie zmieniając w najmniejszym stopniu prawa, zmusił policję i prokuraturę do działania (zgodnego z prawem)

i doprowadził do pewnego spadku przestępczości w Nowym Jorku (nota bene do poziomu kilkanaście razy wyższego niż w Warszawie, ale był jeszcze wyższy). Lech Kaczyński, najpierw jako minister zdezorganizował resort sprawiedliwości i doprowadził do jego zapasności, a później jako Prezydent Warszawy nie zrobił w sprawie zwalczania przestępczości dokładnie nic. Gdy rozmawiałem z nim, jeszcze jako dziennikarz „Wprost”, i pytałem, jaki ma pomysł na niebezpieczne dzielnice, nie miał pomysłu żadnego, natomiast wstawił mi opowiastkę o swych pomysłach typu „kara śmierci dla każdego” i „tysiąc więzień na tysiąclecie” (oczywiście ironizując). Był jedynym prezydentem miasta wojewódzkiego (rozmawiałem ze wszystkimi), który nie miał żadnego realnego pomysłu na walkę z przestępczością. Twierdząc więc, że Lech Kaczyński nie ma żadnego realnego planu zwalczania przestępczości, a jedyne co robił, to własną kampanię wyborczą za pomocą populizmu i bicia propagandowej piany. **PS:** *Prokurator okręgowy M. Kujawski po pierwszych publikacjach prasowych oświadczył, że sprawa będzie wznowiona, a nóż pozostanie w dyspozycji prokuratury.*

Komentarz aktualny: Sprawa „się toczy, to znaczy: facet się ukrywa i policja nie może go znaleźć. Raz go już znalazła, ale ponownie wypuściła i dalej się ukrywa. Podejrzewam, że tak naprawdę nikt go nie szuka. Od wydarzenia minęło 12 lat, a jedyne co się dzieje, to przychodzące do mnie cyklicznie pisma z prokuratury o zawieszeniu postępowania w skutek nie ujęcia sprawy. Dobrze przynajmniej, że nie o umorzeniu. A na marginesie: napadnięty, któremu chyba uratowałem życie, się na mnie obraził.

### Artykuł 3.

#### Przyzwoitość w oparach absurdu

5 października 2004, 19:28

Jak podaje „Trybuna Śląska”, 19 letni Michał Wolański z Mikołowa został ukarany przez patrol policji mandatem wysokości 500 złotych, za napis CHWDP na bluzie. W młodzieżowym slangu oznacza to „Ch... w d... policji” (piszę, bo nie każdy wie), ale jak twierdzi sam pokrzywdzony, napis ten można czytać też jako Chwała Wam Dobrzy Policjanci. Co więcej policja skierowała sprawę do sądu grodzkiego o wykroczenie z art. 141 kodeksu wykroczeń (używanie wulgaryzmów w miejscach publicznych). Chłopak może oprócz mandatu dostać jeszcze grzywnę wysokości 1500 złotych. Feralną bluzę kupiła mu mama.

Uff! Takiego steku absurdów dawno nie czytałem. O ile wiem, to nie można człowieka karać dwa razy za ten sam czyn. Jak już został

ukarany mandatem, to czemu jeszcze grzywna? A może jeszcze mandat, grzywna, odsiadka, banicja, chłosta... Chyba panów policjantów trochę poniosło. Dopiero co opisywałem jak zwolniono z aresztu bez stawiania zarzutu człowieka, który dźgał drugiego człowieka nożem w szyję, bo prokurator nie znalazł „znamion czynu zabronionego” w usiłowaniu zabójstwa (patrz: „Nowa interpretacja prawa – wolno dźgać ludzi nożem”) i kazał oddać gościowi nóż sprężynowy, bo to w końcu jego własność. Nieco wcześniej opisywałem („Aresztować... kogo popadnie”) przypadek ujawnienia na sali sądowej sprawcy morderstwa, który następnie wyszedł z sądu przez nikogo nie zatrzymany i do dziś nie toczy się przeciw niemu żadne postępowanie (od 2 lat). A tu sprawa koszulki – „ogromne wojska, bitne generały, policje jawne, tajne i dwupłciowe” (jak pisał Norwid) – do boju! Huzia na koszulkę!

Przypomnijmy zatem krótka historię koszulek. Za rządów Edwar-da Gierka furorę robiły w Polsce dwie koszulki. Napis na jednej głosił „NIE LUBIĘ RUSKICH pierogów”, a na drugiej „RUSKIE, ŚLĄSKIE i LENIWE pierogi”. Myślę, że partii miłościwie nam wówczas panującej i jej milicji te koszulki się nie podobały, ale jakoś chyba nikogo za to nie zamknęli. W 1980 roku nosiliśmy koszulki z napisami „PK – pełzający kontrrewolucjonista” i „EA – element antysocjalistyczny”. SB-cja na pewno nie wpadła w zachwyt, ale jakoś nie zgarniała. Później, przebywając przez czas dłuższy w Azji widywałem u Polaków koszulki z napisem: „My job is smuggling” („moim zawodem jest przemyt”) noszone w Indiach, gdzie każdy policjant zna angielski – i nic. Noszono też koszulkę z napisem „I´m fucking Soviet Union” i też nic, choć Związek Sowiecki był w Indiach znacznie popularniejszy, niż u nas policja. Poznałem w końcu jeden kraj (Singapur), gdzie za koszulkę można było dostać mandat, ale wtedy, gdy była brudna. No, ale Singapur to przebrzydła dyktatura, a u nas państwo prawa i demokracja! Brudną koszulkę u nas nosić wolno.

#### Artykuł 4.

##### **Łapanka w sieci**

31 stycznia 2007, 11:51

**Od redakcji:** Zamieszczamy poniżej list pani Katarzyny Górzyskiej, wraz z załącznikami opisujący bulwersujące naszym zdaniem wydarzenie: najście policji na mieszkanie i konfiskatę komputerów z powodu jednego wpisu na forum internetowym, który jest przedmiotem postępowań dwóch prokuratur. Nie znamy treści tego wpisu i nie wiemy, co tak zbulwersowało organy ścigania. Wiemy

natomiast, że składane przez naszą redakcję powiadomienia o przestępstwie (dotyczące składania fałszywych zeznań przed sądem przez wysokiego urzędnika państwowego oraz istnienia zorganizowanej grupy przestępczej wyspecjalizowanej w przejmowaniu organizacji pozarządowych i czyszczeniu ich z pieniędzy oraz majątku) zostały niezwykle ochoczo przez prokuratury umorzone, nawet bez próby wyjaśnienia faktów.

O okoliczności opisanej poniżej sprawy zadaliśmy kilka pytań Ministerstwu Sprawiedliwości. Na razie nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Zamieścimy ją, gdy tylko nadejdzie. Na dziś sprawa wygląda dla nas tak, jak z wiersza Norwida: „*ogromne wojska, bitne generalaty, policje jawne, tajne i dwupłciowe, przeciwko czemu tak się pojednały?*”. Ano właśnie, przeciw jednemu wpisowi jednej pani na internetowym forum. Co najmniej jest to przerost formy nad treścią.

### **Dotyczy:**

Akta Prokuratury Rejonowej Poznań Grunwald **1 Ds 5652/06**

Akta Prokuratury Rejonowej w Pszczynie **KoKpp 758/06**

Prokuratura Rejonowa Poznań Grunwald prowadzi bezprawne śledztwo w sprawie domniemanego „znieważenia organu konstytucyjnego RP – sędziego Sądu Okręgowego za pośrednictwem wpisów na forum internetowym Głosu Wielkopolskiego w dniu 20.10.2006. w godzinach od 1.00 do 3.00”.

Śledztwo jest całkowicie bezprawne. Kwalifikacja z Art. 226 par. 3 domniemanego czynu zabronionego jest błędna, gdyż sędziowie nie są organami konstytucyjnymi, a jedynie funkcjonariuszami publicznymi, a więc ich domniemane znieważenie może być ścigane co najwyżej z Art. 226 par. 1, a nie par. 3. Nadto na podstawie wyroku Trybunału Konstytucyjnego Sygn. Akt P 3/06 z dnia 11.10.06 nie jest możliwe ściganie przez Prokuraturę domniemanych czynów znieważania funkcjonariuszy publicznych **w związku** z ich czynnościami służbowymi. Można ścigać wyłącznie za znieważanie funkcjonariuszy, które miało miejsce **podczas** wykonywania przez nich obowiązków służbowych.

A więc, ponieważ żaden sędzia nie sądzi na forach internetowych w nocy, toteż nie można go znieważać w sposób karalny, który mógłby być ścigany przez prokuraturę, poprzez dokonywanie tam jakichkolwiek wpisów na jego temat.

Mimo to Prokuratura prowadzi takie bezprawne śledztwo. Prokuratura „ustaliła”, co jest w zasadzie niemożliwe technicznie, że z numeru IP przydzielonego E. Górzynskiej-Tomanek zamieszkałej w Cze-



chowicach-Dziedzicach łączono się z forum internetowym Głosu Wielkopolskiego.

Na tej podstawie Postanowieniem z dnia 13.12.06 wydanym przez Asesora M. Świątałę z Prokuratury Poznań Grunwald w Poznaniu postanowiono „przeszukać pomieszczenia mieszkalne należące do E. Górzyńskiej-Tomanek w celu ujawnienia i zatrzymania sprzętu komputerowego, celem przeprowadzenia badania, czy znajdują się na nim ślady połączeń z forum Głosu” i „ewentualnego przypadku komputerów”.

Przeszukanie przeprowadzono wieczorem 12.01.07 w asyście zamaskowanej grupy antyterrorystycznej z ostrą bronią, psami, w kamizelkach kuloodpornych podczas nieobecności właścicieli E. Górzyńskiej-Tomanek i jej męża /będących w pracy/, poprzez włamanie się na teren posesji i siłowe wtargnięcie do domu poprzez mieszkanie Felicji Górzyńskiej /76-letniej, ciężko chorej emerytki/ bez okazania nakazu, ani jej ani obecnym tam w tym czasie K. Górzyńskiej i Izabeli Tomanek. Antyterrorysty – ze złamaniem wszelkich procedur – przeszukali cały dom i ogród wraz z piwnicami oraz „zabezpieczyli” sznurkiem i plasteliną 4 sztuki komputerów oraz zabrali je nie przyjmując do wiadomości, że działanie te są bezprawne, uniemożliwiając przy tym zintewentaryzowanie i skopiowanie zawartości komputerów.

W komputerach znajduje się dokumentacja naukowa, zawodowa, finansowa i osobista całej rodziny, w tym doradcy w dziedzinie zarządzania K. Górzyńskiej, absolwentki UJ Izabeli Tomanek, bankowca E. Górzyńskiej, etc. Także dokumentacja procesowa J. Górzyńskiego, który zainicjował ruch obywatelski „Inicjatywa przeciwko niesprawiedliwości”.

W Prokuraturze Rejonowej w Pszczynie złożono skargę i zawiadomienie o przestępstwie funkcjonariuszy, żądając natychmiastowego zwrotu komputerów. Żadna z osób, której zabrano komputery, nie jest osobą podejrzaną w żadnej sprawie, prowadzonej przez organa ścigania.

### ***Krystyna Górzyńska***

Przedstawione powyżej teksty, wybrane tylko z naszego archiwum, dobitnie pokazują, jak w Polsce działa prokuratura i policja. Gdyby ktoś miał jeszcze wątpliwości, że sprawa Krzysztofa Olewnika nie jest tylko koszmarnym wyjątkiem, możemy służyć kolejnymi przykładami.

I jeszcze jedna sprawa: W czasie strajku pielęgniarek latem 2007 roku złożyłem w prokuraturze powiadomienie o przestępstwie znęcania się nad pielęgniarkami strajkującymi w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Prokuratura odmówiła wszczęcia postępowania

na zasadzie „nie, bo nie”. Gdy wiosną tego roku zaczęły wychodzić na jaw fakty potwierdzające istnienie przestępstwa, napisałem do ministra Zbigniewa Cwiągalskiego list z prośbą o wyjaśnienie, czy odmowa prokuratury nie była spowodowana naciskami politycznymi. Minister skierował moje pytanie do Prokuratury Apelacyjnej w Warszawie („według właściwości”), ta zaś odpowiedziała, że wszystko jest O.K., bo Prokuratura Okręgowa prowadziła postępowanie wyjaśniające polegające na „ustaleniu personaliów” pielęgniarek. I już. Nie wiem, co na to minister, ale moim zdaniem jest to piękny przykład sabotowania jego polecenia wyjaśnienia sprawy. Tak więc zjawisko nie znikło wraz ze zmianą ministra i trwa nadal.

# Koniec państwa prawa 2016

**Aby czytelnikowi nie wydawało się po przeczytaniu poprzedniego tekstu, że prokuratura działała fatalnie tylko za poprzedniej ekipy rządzącej, przedstawiam poniżej artykuł z 2016 roku, o tym jakie zmiany w ustawie o prokuraturze wprowadził rząd PiS, z pomysłu Zbigniewa Ziobry**

Jeden z najważniejszych artykułów Konstytucji mówi, że Rzeczpospolita Polska jest państwem prawnym. **Art. 2.** mówi: **Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym, urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej.**

Jeśli nowa ustawa o prokuraturze wejdzie w życie, w praktyce zasada ta przestanie obowiązywać, bowiem ustawa ta **w praktyce sankcjonuje działanie niezgodne z prawem, jako dozwolone** i możliwe.

Najgorsze jest nie to, co literalnie jest w niej zapisane, ale to jakie możliwości w praktyce daje rządzącym. Zwłaszcza, że znamy skłonność obecnej ekipy do lekceważenia lub wręcz łamania prawa i przyjmowania postawy: „no i co mi zrobicie?”.

Ustawa daje przełożonym prokuratora, w tym ministrowi sprawiedliwości, będącemu jednocześnie prokuratorem generalnym, prawo do wydawania poleceń prokuratorowi właściwie co do każdej czynności lub decyzji procesowej. W praktyce taką możliwość

ma Jarosław Kaczyński za pośrednictwem Zbigniewa Ziobry, który musi wykonywać wszystkie jego polecenia (Ziobro został już uprzednio przełożony i upokorzony publicznie przez Kaczyńskiego i wie, że warunkiem niezbędnym w jego funkcjonowaniu jest bezwzględne posłuszeństwo).

Minister sprawiedliwości (polityk) może prokuratorowi nakazać wszczęcie postępowania przeciw konkretnej osobie, nawet o urojone przestępstwo (bo praktycznie przed nikim nie odpowiada za swoje decyzje, chroni go immunitet i ta ustawa, oraz Hegemon), może w każdej sprawie polecić umorzenie, odmowę wszczęcia postępowania, wycofanie aktu oskarżenia z sądu i co tylko zechce.

**Jeśli ktoś z ekipy rządzącej popełni przestępstwo, nawet bardzo poważne, to minister sprawiedliwości (a pośrednio Hegemon) może tak manipulować postępowaniem, aby nigdy nie poniósł on kary** (wystarczy nie występować do sądu o żaden środek zapobiegawczy, zwłaszcza areszt i latami zwlekać z zakończeniem śledztwa, a nawet można bezczelnie odmówić jego wszczęcia).

Art. 7 ustawy mówi:

*§ 3. Polecenie dotyczące treści czynności procesowej prokurator przełożony wydaje na piśmie, a na żądanie prokuratora – wraz z uzasadnieniem. W razie przeszkody w doręczeniu polecenia w formie pisemnej dopuszczalne jest przekazanie polecenia ustnie, z tym że przełożony jest obowiązany niezwłocznie potwierdzić je na piśmie. Polecenie włącza się do akt podręcznych sprawy.*

Zwróćmy uwagę, że uzasadnienie potrzebne jest dopiero „na żądanie prokuratora”. Prokuratorzy też są ludźmi i wiedzą, zwłaszcza znając wcześniejsze praktyki Ziobry, że lepiej jest specjalnie się o takie uzasadnienie nie dopominać (przecież ustawa jasno stanowi, że nie jest ono konieczne, bo dopiero „na żądanie”).

Co więcej: „Polecenie włącza się do akt podręcznych sprawy”, a więc nie do akt sądowych. Akta podręczne są tylko dla prokuratora, ale nie dla stron i sądu. Włączenie polecenia do tych akt, to tylko dla prokuratora „dupokrytka”, to nie ja, to mój szef, ale nic z tego dla samego postępowania nie wynika.

Prokurator praktycznie nie może polecenia nie wykonać. Może co najwyżej:

*§ 4. Jeżeli prokurator nie zgadza się z poleceniem dotyczącym treści czynności procesowej, może żądać zmiany polecenia lub wyłączenia go od wykonania czynności albo od udziału w sprawie. O wyłączeniu rozstrzyga ostatecznie prokurator bezpośrednio przełożony nad prokuratorem, który wydał polecenie.*

**§ 5. Żądanie, o którym mowa w § 4, prokurator zgłasza na piśmie wraz z uzasadnieniem przełożonemu, który wydał polecenie.**

Co to w praktyce znaczy? Prokurator może się dąsać, ale wykonać i tak musi. Nie ma w praktyce żadnej drogi odwoławczej. Żądanie zmiany decyzji kieruje do tego, kto wydał decyzję, a on wcale nie musi tego żądania spełnić. Może prosić o wyłączenie, ale tylko prosić. W praktyce nic nie może, a jak będzie się dąsał to tylko podpadnie, a i tak niczego nie uzyska. **Wola przełożonego jest tu ważniejsza, niż prawo.**

W dodatku:

**Art. 8. § 1. Prokurator przełożony uprawniony jest do zmiany lub uchylecia decyzji prokuratora podległego. Zmiana lub uchycienie decyzji wymagają formy pisemnej i są włączane do akt sprawy.**

Jakiej decyzji? Ponieważ nie określono jakiej, to każdej.

Jest też i bat na prokuratorów:

§ 7. Prokuratorowi, który dopuścił się:

1) istotnego **uchybiecia w zakresie sprawności postępowania** przygotowawczego – prokurator przełożony może zwrócić uwagę na piśmie na zasadach określonych w art. 139;

2) **oczywistej obrazy przepisów prawa przy prowadzeniu sprawy** – prokurator przełożony wytyka to uchybiecie na zasadach określonych w art. 140.

§ 8. **W razie stwierdzenia oczywistej i rażącej obrazy przepisów prawa prokurator przełożony jest obowiązany żądać wszczęcia postępowania dyscyplinarnego przeciwko prokuratorowi, który obrazy się dopuścił.**

Ależby ktoś nie myślał, jest też i łaska pańska broniąca przed tym batem:

**Art. 137. § 1. Za przewinienia służbowe, w tym za oczywistą i rażącą obrazę przepisów prawa i uchybiecia godności urzędu, prokurator odpowiada dyscyplinarnie (przewinienia dyscyplinarne).**

§ 2. **Nie stanowi przewinienia dyscyplinarnego działanie lub zaniechanie prokuratora podjęte wyłącznie w interesie społecznym.**

§ 4. **Za nadużycie wolności słowa przy wykonywaniu obowiązków służbowych, stanowiące ściganą z oskarżenia prywatnego zniewagę strony, jej pełnomocnika lub obrońcy, kuratora, świadka, biegłego lub tłumacza, prokurator odpowiada tylko dyscyplinarnie.**

A więc ślicznie. Prokurator może dopuścić się rażącej obrazy przepisów prawa, jeśli działa w interesie społecznym. A co to jest „interes społeczny”? Nie wiadomo. W polskim prawie dotąd nie było takiego pojęcia i nie ma żadnej jego wykładni. Był tylko „interes publiczny”, ale to co innego. W praktyce o tym, co jest a co nie jest „interesem społecznym” będzie decydował zwierzchnik, Lub jeszcze ważniejszy zwierzchnik, lub sam Hegemon.

To jest klasyczna teoria, że „sprawiedliwość stoi ponad prawem” („o tym kto jest Żydem to ja decyduję” – Herman Goering; „podejrzani to chodzą po ulicy, tu na UBP są winni” – Józef Różański).

W dodatku prokurator może zbluzgać podsądnego, jego obrońcę, świadka i jako „działanie prokuratora” (§ 2.) „w interesie społecznym” ujdzie mu to bezkarnie. Nawet sprawy cywilnej nie można mu założyć. Zresztą termin „działanie prokuratora” też jest gumowy i mętny. Jakie „działanie”, każde? Pobicie przesłuchiwanego też? No chyba też.

Zwracam uwagę, że wyższym interesem uzasadniano nie raz w historii stosowanie tortur, to czemu nie „interesem społecznym”?

Ciekawy jest też:

**Art. 12. § 1.** *Prokurator Generalny, Prokurator Krajowy lub inni upoważnieni przez nich prokuratorzy mogą przedstawić organom władzy publicznej, a w szczególnie uzasadnionych przypadkach także innym osobom, informacje dotyczące działalności prokuratury, w tym także informacje dotyczące konkretnych spraw, jeżeli informacje takie mogą być istotne dla bezpieczeństwa państwa i jego prawidłowego funkcjonowania.*

*§ 2. Prokurator Generalny oraz kierownicy jednostek organizacyjnych prokuratury mogą przekazać mediom osobiście, lub upoważnić w tym celu innego prokuratora, **informacje z toczącego się postępowania przygotowawczego** lub dotyczące działalności prokuratury, z wyłączeniem informacji niejawnych, mając na uwadze ważny interes publiczny.*

Co to znaczy? Prokuratura może manipulować informacjami ze śledztwa, na przykład nie udowodnionymi oszczerstwami, wymuszonymi zeznaniami. Można oskarżonego opluć w mediach, szantażować jego rodzinę „informacjami z toczącego się postępowania przygotowawczego”. Można w ten sposób napuszczać na kogoś opinię społeczną, sąsiadów, środowisko.

A tego wszystkiego wynika, że:

- 1. Polityk, minister sprawiedliwości lub Hegemon, któremu minister faktycznie (choć nie formalnie) podlega może uczynić bezkarnym sprawcę każdego**

- przestępstwa, gdy mu się to do czegoś przyda, lub gdy jest to „swój”.
2. **Może też przeciwnie, kogoś zupełnie niewinnego nękać, prześladować, manipulować dowodami i zeznaniami świadków (wystarczy dokonać selektywnego wyboru dowodów dla sądu) i nie tylko on, ale i wykonawcy jego poleceń za nic nie odpowiadają.**
  3. **Ustawa daje politykowi możliwość szantażowania prokuratorów, którzy już raz na jego polecenie złamali prawo, bo artykuł o braku odpowiedzialności ze względu na „interes społeczny” jest mętny i jego stosowanie uznaniowe. Na każdego, kto raz złamał prawo na polecenie szefa, szef ma już haka, bo informacja o poleceniu jest tylko w „aktach podręcznych” (o ile w ogóle jest), a tych akt żaden sąd nie widzi, poza prokuraturę nie wychodzą.**
  4. **Każdego można publicznie gnoić ogłaszając nawet kompletnie nieprawdziwe brednie, jako „informacje z toczącego się postępowania”. Takie informacje nie muszą wcale zostać później udowodnione.**

Ta ustawa daje władzy narzędzie, do dowolnego i bezkarnego łamania prawa.

Teoretyczny przykład: Powiedzmy, że działaczowi PiS-u spodobał się dom Jasia Kowalskiego, przyszedł z paroma zbirami i wygonił Jasia z domu, a sam dom zajął. Jasio wystąpił o pomoc do prokuratury, a kolega działacza, Ziobro, polecił nie wszczynać postępowania, lub prowadzić je tak, by nigdy się nie skończyło. I już. Przy okazji w telewizji „ujawniono” zeznanie Ziutka Kapusty (którego Jasio nawet nie znał), że Jasio Kowalski to pijak i złodziej, mąż prostytutki i ateista.

Podobnie działało prawo w PRL. Gdy milicjant bez powodu strzelał do Naroźniaka – aresztowano Naroźniaka.

**Komentarz aktualny:** Według tej ustawy, która już weszła w życie, takie działania prokuratury, jakie opisałem w poprzednim artykule („Typowa sprawa Krzysztofa Olewnika”), nie tylko nie są obecnie zakazane, ale są całkowicie legalne i wręcz zalecane. Minister Ziobro, a za nim Sejm, poszedł dalej. Do kodeksu postępowanie karnego wprowadzono przepis, że informacje uzyskane nielegalnie, mogą być dowodem w sądzie. I nie chodzi tylko o podsłuchy. W połączeniu z powyższą ustawą, pozwala to śledczym i oskarżycielom na wymuszanie

zecznań szantażem, groźbami, biciem, a nawet stosowanie tortur. Ziobro w swoich pomysłach idzie dalej. Chce wprowadzić dla więźniów przymusową pracę za darmo. Więźniowie mają „budować hale fabryczne”, nie wiadomo po co. Ziobrze wyraźnie marzą się obozy pracy. Takie myślenie znamy już z historii. W ZSRR więźniowie budowali Kanał Białomorski, za darmo i pod przymusem, jak chce Ziobro. Zmarły przy tym dziesiątki tysięcy ludzi. Kanał okazał się za wąski i za płytki, żaden statek nigdy nim nie przepłynął. Zresztą od początku był do niczego nie potrzebny, podobnie jak te hale.

Ziobro z nowych przepisów już robi użytek. Najpierw „wstrzymał wykonanie kary” dla skazanego prawomocnie za pobicie policjanta młodziana, bo ten młodzian był „patriotyczny i narodowy”. Ostatnio nakazał prokuraturze wszczęcie postępowania wobec prezesa Trybunału Konstytucyjnego, prof. Andrzeja Rzepińskiego, mimo całkowitego braku podstaw prawnych i faktycznych, czyli ściganie człowieka za przeciwstawianie się przestępstwu popełnianemu przez PiS.

O tym, kto i co jest przestępstwem, to ja decyduję, a nie kodeks karny, myśli dziś i działa Zbigniew Ziobro.



# Sztandar z głupoty 2008

**Motto:**

*Ciemno wszędzie,  
Glucho wszędzie,  
Czy tak k... zawsze będzie?  
Jerzy Duda Gracz*

Największym nieszczęściem polskiej klasy politycznej i polskich „elit” intelektualnych jest to, że należą do mojego **pokolenia 60-latków**. Należą do pokolenia, które żyło w zacofanym, zamkniętym kraju, które nie zna świata, nie zna języków, jest wszechstronnie niedokształcone, nie zna podstawowych pojęć ekonomicznych, nie rozumie statystyk i generalnie – nie potrafi odróżnić rzeczy ważnych od nieważnych.

**To pokolenie ma ogromne trudności ze znalezieniem się w nowoczesnym świecie.** Boi się techniki, bo sobie z nią nie radzi. Nauczyło się fatalnego nawyku nierozwijania się – pozostawiania przy raz zdobytym stanie wiedzy udowodnionym dyplomem. Wielu z tych ludzi nawet nie rozumie, że niejeden magister z lat 70., jeśli się dalej nie uczył, ma dziś mniejszą wiedzę niż student drugiego roku, który odbył parę zagranicznych podróży w czasie wakacji.

**Zejdźmy z tego nadmuchanego pomnika ze styropianu** na ziemię i zauważmy, gdzie jesteśmy. Nie jesteśmy narodem niosącym innym światło wiedzy i wolności. **Jesteśmy narodem w znacznej części mocno zacofanym cywilizacyjnie.** Porównajmy, jak Amerykanin, czy Anglik, czytają gazety, a jak robi to Polak. Tamci zaczynają lekturę od stron gospodarczych, a Polak, gdy dochodzi do stron gospodarczych, to gazetę odkłada. Polak czyta o tym, że pijana matka pobila dziecko, że piosenkarka ma nowego kochanka, a znany prezydent się rozwodzi – jednym słowem **uwagę znacznej części naszych rodaków zaprzętają głównie sprawy marginalne, o znaczeniu lokalnym, jednostkowym lub żadnym.**

Podobnie wyglądają polskie media. W niemal wszystkich naszych gazetach wiadomości gospodarcze są na końcu, zaraz przed sportem i ogłoszeniami. Obserwując polskie media, widzę że nawet redaktorzy naczelni i prowadzący często nie rozumieją, co jest ważne, a co nie. W świecie dzieją się bardzo istotne procesy gospodarcze i polityczne, procesy od których przebiegu będzie zależała nasza przyszłość, a tym czasem polska telewizja koncentruje się na tym, że w Indiach autobus wpadł do rzeki, że w Argentynie pobili się kibice, że w Czechach awaryjnie lądował samolot. Nie chodzi o to, by o takich rzeczach nie informować, ale nie powinno być tak, że polski widz wie z telewizji o Czechach, naszym najbliższym sąsiedzie, tylko o tym samolocie i o tym, że Hawel miał drugą żonę (a przy tym niejeden widz nie wie, kto to Hawel).

Najgorsze jest to, że wielu naszych rodaków, w tym wiodących polityków, czyni ze swego zacofania sztandar, wręcz chełpi się tą niezajomością świata, języków obcych, matematyki... Szlag mnie trafia, gdy słyszę zdania w rodzaju: „Ja z matematyki zawsze miałem trójkę, a maturę zdałem, bo dostałem ściągę”, albo: „Nie nauczę się komputera”, albo „Mam już za dużo lat (50) by uczyć się języków, prawa jazdy, obsługi bankomatu... (niepotrzebne skreślić)”. Panowie i panie, po co tyle słów? Wystarczy dwa: „jestem durniem” i wszystko jasne. Nie opowiadajcie mi, że w wieku 50 lat nie można opanować obsługi komputera. Moja własna matka nauczyła się tego w wieku lat 86 i napisała na komputerze książkę. To jest żalotne, gdy dorosły człowiek głosi, że opanowanie maszyny, z którą bez kłopotu radzi sobie kilkuletnie dziecko, przerasta jego możliwości.

Nie mam pretensji do tego pokolenia, że nie nauczyło się tego wszystkiego w młodości, ale, do czorta, czemu nie uczyło się później? Czy ja jestem z innej gliny? Mam ponad 60 lat. Gdy kończyłem szkołę, w 1967 roku, też nie znałem praktycznie żadnego języka, nie słyszałem o komputerze i nie miałem pojęcia, co to bank. Dlaczego ja mogłem się

tego wszystkiego nauczyć, a inni nie? **I czemu ci inni, co nie nauczyli się niczego, pchają się do rządu?** Jak nie potrafisz, to się nie pchaj na afisz – mówi polskie przysłowie. A oni się pchają. I jeszcze bzdury głoszą, że ich zacofanie, to zaleta, przejaw patriotyzmu, przywiązania do Polski, itp. Być może, jak się jest miernotą, to nie ma wyjścia: trzeba być „prawdziwym patriotą”, bo kimże innym być można? A te wszystkie lęki przed zagranicznym kapitałem, prawem międzynarodowym, Unią Europejską to też nie jest przejaw patriotyzmu. To jest przejaw zacofania mentalnego, głupoty, nieznajomości świata i podstawowych pojęć gospodarczych. To nie chluba, tylko wstyd.

A teraz przejdźmy do znajomości świata. Gdyby paru naszych polityków, łącznie z byłą minister spraw zagranicznych i jej zastępcą (mowa o pani AF i panu PK), pojeździło trochę po świecie, a później przeczytało swoje własne wypowiedzi o polityce zagranicznej, to chyba by popełniło *sepukku* ze wstydu. To samo dedykuję dziennikarzom paru gazet, którzy swego czasu krytykowali wyjazd delegacji rządowej z Donaldem Tuskiem do Peru i Chile, jako rzekomo niepotrzebny. Nie proszę państwa, podróże polityków po świecie i to nie tylko z oficjalnymi delegacjami, są potrzebne. Są potrzebne do tego, by o polityce zagranicznej mieć pojęcie nie tylko z telewizji. Do tego by nie pleść bzdur i nie robić błędów.

Gdyby były wicepremier w rządzie PiS, Andrzej Lepper, pojechał parę razy do Indii, to by wiedział, że kapitał rodu Birlha kontroluje jeden z największych koncernów hutniczych świata i nie wygadywałby zdań w rodzaju: „Co tam Hindus wie o hutnictwie?”. Gdyby politycy PiS pojechali choć raz do Peru, to by wiedzieli, jak ważne w tym rejonie świata są osobiste wizyty głów państw i jak ważny jest ten kraj dla Polski.

Gdy byłem w listopadzie 2007 w Arequipie, zauważyłem, iż wielu jej mieszkańców nosi w portfelach zdjęcia Karola Wojtyły. Czy są aż takimi katolikami? Nie. Czy tak kochają papieża w ogóle? Nie. Jan Paweł II był w Arequipie i swoimi wystąpieniami ujął tamtejszych mieszkańców za serce. I dlatego w kawiarenkach internetowych lub restauracjach tego miasta wiszą dziś jego portrety. Sympatię tych ludzi zdobywa się będąc na miejscu.



Lima. Pomnik polskich inżynierów – fot. Krzysztof Łoziński

To jest kraj szalenie dla Polski ważny (tak samo Chile). To jest kraj, w którym kocha się Polaków, bo polscy inżynierowie budowali andyjskie koleje, drogi i mosty. W Limie stoi pomnik polskich inżynierów. W Peru mieszka bardzo wielu potomków emigrantów z Polski. Przewodnik po Limie, metys, obywatel Peru, mówi na przywitanie „My name is Marek Zakrzewski” i dopiero po chwili przechodzi na język polski, choć urodził się w Peru i jego podstawowym językiem jest hiszpański, a w zawodzie przewodnika angielski. Współwłaściciel biura podróży (największego w Peru), Indianin, Hannibal Kanchaya, mówi świetnie po polsku, bo jest mężem imigrantki z Polski. W Cusco, młody kelner pyta czy jesteśmy Polakami. Po chwili przysiadła się do nas jego matka, około 40 letnia kobieta i przedstawia się: „Inez Sosnowski-Gruszka”. Nie zna słowa po Polsku, ale kocha Polskę, bo jej dziadkowie przed wojną przyjechali tu z Polski budować mosty i już zostali. A że Inez to po hiszpańsku Agnieszka, jest to po prostu Agnieszka Sosnowska-Gruszka przemieleną przez historię w peruwiańską Indiankę. Dwie godziny rozmawiamy jak starzy znajomi. Oczywiście rozmawiamy, bo, w przeciwieństwie do byłego premiera i prezydenta (mowa o Jarku i Leszku), myśmy się angielskiego nauczyli. A w restauracji możemy zapłacić kartą, bo mamy pieniądze w banku, a nie w skarpetce u mamy. A w ogóle do Peru mogliśmy pojechać, bo umieliśmy zdobyć wszystkie bilety-adresy-kontakty przez Internet.

Wizyta Donalda Tuska w Peru i Chile to nie jest stracony czas. Ta podróż koleją Malinowskiego, wizyta w Machu Pichu, zaowocują tym,

że Polska znowu podbija serce Peru. A Peru to centrum kulturalne Ameryki Południowej. To tu kwitła cywilizacja kultury Chavin, Lima, Nasca i wreszcie Inków. To jest serce tego kontynentu. A z kolei Chile, to jedna z najprężniejszych gospodarek świata. I też z polską legendą. Na ścianie najwyższego szczytu Andów, Aconkaqua, jest Lodowiec Polaków. W Santiago de Chile jest polski Klub Wysokogórski. Wszyscy tu wiedzą, że Polacy zdobyli najwyższe szczyty Andów. Tylko kompletny nieuk może kwestionować znaczenie tych krajów dla Polski.

Ja bym bardzo chciał, by polscy politycy i dziennikarze pojechali parę razy do Indii, Tajlandii, Singapuru... Może by się niektóre klapki w zastanych mózgach otworzyły. Może zobaczyliby w Indiach (i przestali pleść dyrdymały), że samochody koncernu Tata, to już dawno nie graty, tylko całkiem przyzwoite konstrukcje. W 2006 roku jechałem w Indiach samochodem Indyga produkcji Tata (odpowiednik Fia-ta Punto), indyjskim odpowiednikiem Jeepa produkcji Tata i odpowiednikiem Landrovera produkcji Ashoka Leyland. To bardzo fajne samochody. Koncern Tata obsługuje rynek regionalny i jest mało znany w Europie, ale ten rynek lokalny to 2 miliardy ludzi! 1/3 ludzkości. Same Indie to blisko 1.200 milionów (obecnie już więcej, 1,3 miliarda – przypis aktualny)! Może by, zamiast samochodu Tata lekceważyć, co ciągle słyszę w polskiej telewizji, pomyśleć o współpracy?



Bangkok, autostrady miejskie – fot. Krzysztof Łoziński

A gdyby tak nasi politycy zobaczyli stolicę Tajlandii, Bangkok, miasto, które (według danych z tamtejszego przewodnika) ma 375 kilometrów miejskich autostrad na estakadach, istny las potężnych wieżowców i port lotniczy z 500 stanowiskami odprawy pasażerów? Może

wreszcie ktoś by wpadł na pomysł, że można i tak u nas. Może byśmy mieli nowoczesne miasto i lotnisko zamiast przydomowego lądowiska dla awionetek (bo tak z perspektywy świata wygląda nasze Okęcie, choć ostatnio nieco się rozbudowało). A może warto, by ktoś już parę lat temu, bez wiadomej katastrofy, zauważył, że nasze rządowe Tupolewy to odpowiedniki Trabanta wśród samolotów i nas kompromitują. Takim złodem nie lata już nawet Afryka. Jak by temu TU złożyć skrzydła, to w Boeingu 777 można by go nadać na bagaż. To był mikrus, złom i obciach, ale musiał się w końcu rozbić, by wreszcie z niego zrezygnowano.

A w Singapurze warto zobaczyć małe państwo, tylko niecałe 5,5 miliona obywateli, które ma grubo ponad 150 miliardów dolarów PKB (z uwzględnieniem siły nabywczej), bo blisko 100 procent kapitału w tym kraju, to kapitał zagraniczny. I jakoś tych Singapurczyków nie zjadł, suwerenności im nie odebrał, tylko przyniósł im taki dobrobyt, że nie wiedzą, co robić z kasą i im się w głowie od bogactwa przewraca. I warto zauważyć, że ten bogaty do obrzydzenia kraj, właściwie nie ma rolnictwa, które według naszych polityków-głębów jest „podstawą gospodarki” (PKB Singapuru według sektorów: rolnictwo 0%, przemysł 26,6%, usługi 73,4%).

Moi szanowni równolatkowie – klaso polityczna, zwińcie tan sztandar z głupoty, ten pomnik ze styropianu i bierzcie się do roboty, do nauki języków, obsługi nowoczesnych narzędzi i podróżowania po świecie. Bo świata nie można poznać zamknąwszy się na Krakowskim Przedmieściu, na Wiejskiej lub Nowowiejskiej, jak w kurniku, nie czytając zagranicznych gazet, nie rozmawiając z ludźmi bez pomocy tłumacza. A w dzisiejszym świecie klasa polityczna co w językach ani be, ani me, co za granicą była ostatnio w NRD z wycieczką Orbisu (albo i to nie), to dziś skansen prehistorii. Minister, prezes partii lub poseł nie znający angielskiego to dziś dziwoląg nawet w Afryce.

Bierzcie się do roboty, przestańcie tylko robić Polsce wstyd i obciach. I przestańcie opowiadać, bo to już nudne, że nie mogliście się tego wszystkiego nauczyć, bo była komuna. Czy ja żyłem w innym kraju, czy byłem mniej prześladowany (raczej więcej)? Różnica między nami jest taka, panowie, że mnie się chciało, a wam nie. A poza tym komuny nie ma już 23 lata (teraz już 27 – przypis aktualny). Przez ten czas można było poznać kilkanaście krajów i to nie tylko plaż, autokarów i hoteli z biurem wczasowym, zwanym nie wiedzieć czemu biurem podróży.

No tak, ale do tego trzeba znać więcej języków niż dwa (w prawnym bucie i lewym)...

# W jakim kraju leży internet?

## 2009

**15 i 16 stycznia 2009 r. brałem udział w konferencji prasoznawczej pt. „Standardy mediów”. Nie będę opisywał samej konferencji, bo to rola dla organizatorów, a jedynie moje refleksje pod wpływem dyskusji**

Zacznijmy od prawa prasowego. Zdaniem prof. Jacka Sobczaka, obecna ustawa Prawo Prasowe jest zła i mocno niekonsekwentna, bo między innymi nie przeprowadzono jej dekomunizacji. W ustawie nadal występuje „przewodniczący Rady Państwa”, „Sąd Wojewódzki”, a więc organy dawno już nie istniejące. Z drugiej strony jednak, nikt nie przedstawił dotąd lepszego projektu prawa prasowego. Na ten temat większość uczestników była zgodna: lepiej, by politycy nie brali się za prawo prasowe, bo dla mediów zawsze się to źle kończy. Jak do tej pory, wszystkie zgłaszane przez polityków zmiany ustaw dotyczących mediów sprowadzały się do marzenia o jakiejś formie przywrócenia cenzury i kombinowania, co zrobić, by media były posłuszne nam, a nie im. Niezależność mediów, wolność prasy i słowa, to ostatnie rzeczy, które przychodzą politykom do głowy. Na przykład, mamy obecnie dwa projekty prawa prasowego (SDP i PiS), które nadają się wyłącznie do odrzucenia w całości.

Obecna ustawa ma także inne wady, a wynikają one z pojawienia się nowych form przekazu, głównie Internetu. Konstrukcja obecnej

ustawy jest taka: Definiujemy, co to jest gazeta (wszystko, co zawiera teksty prasowe, ma numer, datę, tytuł i ukazuje się cyklicznie, w tym radio, telewizja, radiowęzeł itp.). Następnie określamy, co i jak wolno publikować (trzeba sprawdzać informacje, dążyć do prawdy, podawać źródła). Dla takiego celu (określenie co wolno publikować) zdefiniowano pojęcie dziennikarza (dziennikarzem jest każdy, kto choćby jednorazowo coś publikuje). W sensie tej ustawy dziennikarzami są niemal wszyscy.

Zacznijmy od ostatniej kwestii. Pojawiają się głosy, że trzeba inaczej zdefiniować pojęcie dziennikarza. Pytam: po co? Jeżeli w prawie coś się definiuje, to w jakimś celu. We wszystkich dotychczasowych pomysłach definiowania pojęcia dziennikarza, miało to służyć temu, by dziennikarzom zaszkodzić i generalnie wziąć ich za pysk (złustrować, ocenzurować, koncesjonować dostęp do zawodu, nałożyć ograniczenia na wolność wypowiedzi itp.). Jakoś nikt nie miał na razie pomysłu, by definiować zawód dziennikarski po to, by dziennikarstwu, mediom i opinii publicznej pomóc. Zawsze chodziło o to, by dziennikarzem nie mógł być ktoś, kto się politykom nie podoba. Może więc bardzo dobrze, że nie ma precyzyjnej definicji dziennikarza.

### **W jakim kraju leży internet i co to jest gazeta internetowa**

Pozornie wszystko jest jasne. Jeśli gazeta internetowa, na przykład taka jak Kontrateksty, ma wydawcę, adres redakcji, rejestrację w Sądzie Okręgowym (choć w ustawie jest Wojewódzki), redaktora naczelnego, tytuł, numer wydania i datę, to jest gazetą i już. Wcale nie jest jasne. To są pojęcia żywcem przeniesione z prasy drukowanej.

Zacznijmy od siedziby. Gdy PiS kombinował przy lustrowaniu dziennikarzy, po to, by przywrócić cenzurę, rozważaliśmy przeniesienie „Kontratekstów” na serwer w USA, a prawnej siedziby redakcji do Indii (bo tam nie musielibyśmy w ogóle się rejestrować). Czytelnik nic by nie zauważył, bo kolejne numery wychodziłyby tak samo pod tym samym adresem internetowym (domeny zmieniać nie trzeba). Technicznie jest to możliwe w ciągu kilku godzin. Zgłaszamy w sądzie rejestrowym, że kończymy działalność i odstępujemy tytuł osobie fizycznej, np. Łozińskiemu, albo bezpieczniej – panu Babu Singh (co najmniej pół miliona obywateli Indii tak się nazywa, a oni nie mają dowodów osobistych, a często nawet metryki urodzenia). I już przestajemy być „polską” gazetą, mamy polskie prawo prasowe w nosie. Nowy adres siedziby piszemy na przykład: Main Bazar near the Imperial Cinema, Delhi, India. Sporo adresów w Indiach tak wygląda, do niedawna nawet Biuro Imigracyjne w Delhi miało adres „near the Tilak Bridge”



(w pobliżu mostu Tilak). Na tej samej zasadzie, my możemy mieć siedzibę w Delhi, kolo kina Imperial. Czemu nie?



W jakim kraju leży internet? W lesie deszczowym, w miejscu, gdzie łączą się rzeki Ukayali i Maranion, tworząc Amazonkę, przystępuję do pisania artykułu dla „Kontratekistów”. Po klawiaturze chodzi mi zwierzątko, którego nazwy wówczas nie znałem (ostrosnosa ruda) – fot. Agnieszka Łozińska

Oczywiście adres do korespondencji, telefon do redakcji (i tak komórkowy), adres mailowy, zostawiamy po staremu. Bo adres do korespondencji możemy mieć, gdzie chcemy, to tylko nasz problem. Gazeta internetowa nie musi mieć, w sensie fizycznym, siedziby redakcji i najczęściej nie ma – każdy siedzi w domu, przy swoim komputerze i porozumiewamy się przez Internet. Adres potrzebny jest tylko do rejestracji i najczęściej pod nim, fizycznie, żadnej redakcji nie ma.

W ciągu kilku godzin przestajemy być gazetą polską, a zaczynamy być gazetą indyjską, na amerykańskim serwerze, wychodzącą w języku polskim. Wolno? Wolno. A co najlepsze, wcale nie ruszamy się z miejsca, każdy komputer stoi tam, gdzie stał, każdy ołówek leży tam, gdzie leżał. A więc identyfikacja kraju i gazety nie jest wcale jednoznaczna, bo zmiana jej siedziby na inny kraj, to błysk i łatwizna. To nie jest gazeta drukowana, która ma rzędy biurów i gabinetów, która swój produkt musi wydrukować i rozwieść do kiosków. Nasz produkt może powstawać w dowolnym miejscu i będzie dostępny dla czytelników na całym świecie. I tak jest. „Kontrateksty” powstają na prywatnych komputerach 3 szefów redakcji, ok. 30 dziennikarzy i ok. 400 zewnętrznych autorów, z których każdy siedzi u siebie w domu. Powstają w kilkunastu

miastach i kilku krajach na raz. Wprawdzie ja większość swoich tekstów zamieszczam z Warszawy, ale czytelnik bez trudu znajdzie w archiwum moje artykuły, które z identycznym skutkiem zamieszczałem z Delhi, Agry, Varanasi (Indie), Kathmandu (Nepal), Bangkoku, wyspy Ko Chang (Tajlandia), Siem Riep (Kambodża), Limy, Cusco, Arequipy, Huaras (Peru)... I mogę tak dalej, a co? Pytanie: w którym kraju leży Internet, wcale nie jest retoryczne.

W tym, gdzie jest zarejestrowana redakcja? Za chwilę może być gdzie indziej.

W tym, którego języku wychodzi? Ale my publikujemy teksty w 3 językach (polskim, rosyjskim i angielskim). Poza tym, gazety w języku polskim wychodzą w wielu krajach.

W tym, z którego jest redaktor naczelny? No to zaraz redaktorem będzie Babu Singh, czemu nie?

W tym, z którego są dziennikarze? A w którym? W naszej redakcji piszą dziennikarze z Polski, Białorusi, Wietnamu, Australii, Kanady, Holandii, Włoch, Tadżykistanu, Gruzji, Rosji, Ukrainy... No to którzy?

W tym, z którego są czytelnicy? Czytelnicy są z całego świata, z wyjątkiem Korei Północnej i Kuby.

Ale jest z tym wszystkim i kłopot dla nas. Prasa internetowa nieuchronnie staje się prasą międzynarodową, a rządy wielu państw uważają, że skoro ich obywatele w niej piszą, to ma tych gazet i dziennikarzy dotyczyć prawo ich krajów. Są na to konkretne przykłady. Służby Chińskiej Republiki Ludowej zatrzymały swego czasu, pobiły i deportowały, pisujących u nas Marię Salzman (obywatelkę USA) i Tomasza Ozimka (obywatela Polski). Wobec mnie posunęły się do groźenia śmiercią. Wietnamska SB, przy udziale polskiej Straży Granicznej, miała zakusy na przesłuchanie naszej dziennikarki, wówczas obywatelki Wietnamu. Na szczęście bez skutku, choć Polska podpisała z wietnamskimi komunistami fatalną umowę o pomocy prawnej. Innym razem, polskie Biuro Ochrony Rządu, na życzenie służb wietnamskich, wyrzuciło ze wspólnej konferencji prasowej ówczesnego premiera Kaczyńskiego i premiera Wietnamu, dwójkę naszych dziennikarzy, Wietnamkę i Polaka – Ton Van Anh i Jędrzeja Karpińskiego, choć byli akredytowani i mieli ważne legitymacje prasowe. Później, nasze państwo chciało naszą Wietnamkę lustrować, choć nie była obywatelką polską (podobnie jak innych naszych cudzoziemskich dziennikarzy), a gdy Wietnam odebrał jej obywatelstwo (za działalność dziennikarską), to nasze polskie państwo ma jakieś straszne biurokratyczne problemy z wydaniem jej paszportu nansenowskiego (bezpaństwowca). Ostatecznie przyznano jej obywatelstwo dopiero w obliczu ciężkiej choroby nowotworowej jej męża, Roberta Krzysztonia. Dla celów

lustrowania Ton Van Anh była dla państwa dobra, a do tego, by po prostu dać jej obywatelstwo, gdy za pisanie w polskiej gazecie została na lodzie, to już była niedobra. To samo dotyczy Romana Jakowlewskiego z Białorusi. Lustrować go chcieli, a o wizę musi prosić. Zresztą służby białoruskie też uważają, że mogą się do naszej gazety i naszych dziennikarzy wtrącać.

Wysoce niepokojący jest fakt skazania w Tajlandii już drugiego cudzoziemskiego dziennikarza, za to, co pisał we własnym kraju (chodzi o książkę Australijczyka napisaną w Australii i nawet nie sprzedawaną w Tajlandii, gdzie trafiło tylko 7 egzemplarzy, bo ktoś je przywiózł). Do tej pory takie praktyki uprawiały tylko państwa bandyckie, a nie kraje normalne, jak Tajlandia. Co gorsza, nie tylko Tajlandia ma takie pomysły. Przypomnijmy, że nasz Prezydent nieszczęśliwie nam panujący (Kaczyński) i jego brat też chcieli ścigać listem gończym niemieckiego dziennikarza za artykuł napisany i opublikowany w Niemczech, w gazecie, która do Polski w ogóle nie dociera.

Dlaczego o tym piszę? Umiędzynarodowienie prasy internetowej, jej nieograniczony zasięg, powodują, że dziennikarz staje się coraz mniej bezpieczny. Jeśli ktoś, tak jak ja, napisał w swoim życiu zawodowym kilka tysięcy artykułów, w tym wiele na tematy międzynarodowe, to nawet nie pamięta, jakiemu rządowi w jakim kraju nadepnął na odcisk, jakim ekstremistom, czy innym oszołomom podpadł. Jeśli już majstrować przy prawie prasowym, to w pierwszej kolejności na poziomie międzynarodowym. Należy starać się o to, by dziennikarze byli na świecie bezpieczni, a w pierwszej kolejności, by za granicą nie ścigano ich za to, co piszą we własnym kraju i własnym języku. Ci dwaj ludzie skazani w Tajlandii nie byli żadnymi gwiazdami dziennikarstwa o światowym zasięgu. Zapewne nawet nie przypuszczali, że ktokolwiek w Tajlandii czytał ich wypracowania. Chciałbym wiedzieć, że jeśli pojedę na przykład do Armenii, Pakistanu, lub Tanzanii, to nie zostaną tam aresztowani, bo napisałem coś, co nie spodobało się, być może jedynie czytelnikowi mojej gazety w tym kraju i złożył on odpowiedni donos. Ja już nie mogę pojechać do Chin i Wietnamu, bo nie jestem Harrym Wu i Clinton mnie z więzienia nie wyciągnie.

To zagrożenie wcale nie jest fikcją. Znamy na przykład takie fakty: Służby specjalne Wietnamu działające na terenie Polski podsłuchiwały kontakty mailowe naszego dziennikarza Roberta Krzysztonia. Jego korespondencję z Januszem Śniadkiem przekazały posłance Samoobrony, Alinie Gut, która posłużyła się nią przy próbie storpedowania konferencji na temat Wietnamu, i naiwnie wyznała, skąd to ma (z ambasady Wietnamu). Innym razem, znany polski sinolog zbierał na zlecenie ambasady ChRL informacje o moim stanie majątkowym,

czyli brał udział w działaniach operacyjnych obcego państwa przeciw polskiemu dziennikarzowi. Mój przyjaciel, politolog, został przez jednego z pracowników tejże ambasady zaskoczony pytaniem: co zrobić z Łozińskim – przekupić, skompromitować, zabić? Pytający był przekonany, że rozmawia z człowiekiem podobnie kupionym, jak w/w siнолог. Tym razem się mylił i kolega mi rozmowę powtórzył.

*(przypis aktualny: o tym, że zagrożenie dziennikarzy wcale nie jest fikcją, świadczy niedawny, w lipcu 2016 r., zamach na Pawła Szeremeta. Zabito go na Ukrainie i nawet dziś nie wiadomo, przynajmniej w tej chwili, jaki kraj za tym stoi. Paweł pisywał dla wielu gazet, w kilku krajach, w tym dla „Kontrataków”).*

Wróćmy jeszcze do kwestii, co to jest gazeta internetowa. Wedle ustawy ma mieć numer wydania, datę itp. Tymczasem są gazety internetowe wychodzące w sposób ciągły. Cały czas dodawane są kolejne materiały, spychając w głąb archiwum poprzednie, przy czym nie ma tak jasnego podziału na numer bieżący i archiwum, jak u nas. Nie ma numeru wydania, data jest tylko dzisiejsza, czyli zgodnie z ustawą nie są to gazety. A jednak są. Tak wychodzi „Nasza Polonia” w Holandii i „Studio Opinii” w Polsce. To są całkiem porządne gazety. Są też formy pośrednie. W „Kontratakach” jest wyraźnie widoczny aktualny numer na stronie głównej, ale już w działach, materiały zamieszczone są po prostu w kolejności publikowania i nie ma widocznej granicy między numerem aktualnym, a archiwum. W dodatku, także na stronie głównej, zdarza się nam dorzucać coś aktualnego w trakcie bieżącego numeru, co w gazecie drukowanej było niemożliwe.

Internet ujawnił całkiem nowe możliwości publikacji, do których nie przystaje ani prawo prasowe, ani prawo autorskie. „Newsletter Afryka.org” rozsyłany jest mailami do czytelników. Wychodząca w Wielkiej Brytanii gazeta „Moja Wyspa”, też rozsyłana jest mailami, ale ma także oryginalną formę. Składa się tylko z linków poszczególnych artykułów, zakończonych linkami do innych gazet internetowych, z których one pochodzą. Jest jednocześnie gazetą i przeglądem prasy zarazem. Prawo prasowe ma się nijak do takich form. Tym bardziej do takich form jak blogi, fora dyskusyjne zawierające często całe materiały typowo prasowe (np. <http://www.sws.org/>), listy dyskusyjne, strony domowe, strony tematyczne itp. Istnieją też portale użytkowe, takie jak Onet.pl, wp.pl, gazeta.pl, które łączą elementy prasy z serwisami randkowymi, wyszukiwarkami, i inną działalnością typowo usługową. Granica między prasą, a nie prasą, jest tu całkowicie zartata. Gubią się w tym nawet sądy. Znamy przypadki skazania blogerów za wydawanie prasy bez rejestracji w Sądzie Okręgowym (i nie

szkodzi, że ustawa mówi o Wojewódzkim) i znamy przypadki uznania przez sąd, że blog to nie prasa.

Niektóre gazety internetowe sprytnie obeszły prawo autorskie. Składają się tylko z tytułów, pod którymi ukryte są linki do innych gazet i ich publikacji. Taka gazeta jest stuprocentowym plagiatem, ale nic jej zrobić nie można, bo teoretycznie nie przedrukowuje cudzej pracy, a tylko do niej kieruje. Prawo autorskie jest bezradne, choć autor może sobie nie życzyć, by linki do jego pracy zamieszczały jakieś szemrane brukowce. Bezradny jest także przepis Prawa Prasowego o dopuszczalnej objętości cytatu, bo w jednych krajach link jest cytatem, w innych nie jest, a jeszcze w innych (jak u nas) nie wiadomo. Miałem taki przypadek, że jedna ze stron biznesowych zamieściła na stronie głównej tytuł mojego artykułu, po kliknięciu w który otwierał się mój tekst na ich stronie (bez mojej zgody na przedruk). Gdy zaprotestowałem, tytuł pozostał, ale po kliknięciu otwierał się ten sam tekst, ale już na naszej stronie. Plagiat pozostał, ale zaczął być bezkarny.

Myślę, że tych wszystkich problemów nie da się rozwiązać bez napisania wspólnego prawa prasowego dla całej globalnej wioski. Tylko jak napisać wspólne prawo prasowe dla USA, Watykanu, Polski, Iranu, Sri Lanki i Kuby? Bądź tu mądry prawniku i pisz wiersze.

A problem narasta. Już niemal wszystkie gazety drukowane mają swoje wydania internetowe. W szybkim tempie narasta liczba gazet tylko internetowych. Prasa schodzi do Internetu, czyli wszędzie i nigdzie. Prawnicy mogą opracować a Sejm uchwalić nowe Prawo Prasowe, po czym może się okazać, że nikogo ono nie dotyczy, albo nie wiadomo, kogo dotyczy.



# Głęboka próżnia mózgowa

## 2012

W czasie internetowej dyskusji o patyku-brzozie, sztucznej mgle, łatwopalnym helu, bombie próżniowej itp. jeden z dyskutantów twierdził, iż wybuch tzw. bomby próżniowej ma większą siłę, niż klasycznego materiału wybuchowego. Gdy napisałem, że to niemożliwe, bo różnica między ciśnieniem powietrza a próżnią to tylko jedna atmosfera, a ciśnienie bezwzględne nie ma wartości ujemnych, odpisał: – *Pan mówi o zwykłej próżni, a jest jeszcze głęboka próżnia!*

Ta wypowiedź, oraz wiele innych padających w różnych dyskusjach publicznych, a także z ust polityków i telewizyjnych prezenterów, ujawnia **przerazający stan nieuctwa matematyczno-fizycznego bardzo dużej części społeczeństwa**, także tego „wykształconego”, po różnych studiach, a nawet z doktoratami. Tymczasem żyjemy w świecie, w którym zewsząd otacza nas technologia, w którym terminy matematyczne (statystyka, procent, średnia...) i fizyczne (pH, kaloria, ciśnienie, temperatura, prąd...) są w powszechnym i codziennym użytku, a jednocześnie ogromna część społeczeństwa – śmiem twierdzić, że znaczna większość – tej technologii i tych terminów nie rozumie. Pojęcie pH pojawia się w telewizyjnych reklamach, np. gumy „Orbit”, a spytajcie znajomych, co to jest pH (*w uproszczeniu:  $pH = -\log_{10}[H_3O^+]$  czyli ujemny logarytm dziesiętny aktywności jonów hydroniowych wyrażonych w molach na decymetr sześcienny*). Nie pytam już o pełną definicję, wystarczy ta szkolna przytoczona powyżej.

Podobnie, niemal każda kobieta mówi o kaloriach, a pytajcie ją, co to jest kaloria. Zacznie opowiadać o odchudzaniu i że kalorie to coś, co ma ciastko (*ilość ciepła potrzebna do podgrzania jednego grama wody o jeden stopień Kelwina*).

A świat idzie w takim kierunku, że wysoko zaawansowanej technologii, matematyki, fizyki, chemii, genetyki itd. będzie w naszym otoczeniu coraz więcej, i ludzie, którzy nie będą umieli sobie z tym wszystkim radzić, którzy nie będą rozumieli jak to działa, staną się osobami technologicznie wykluczonymi, osobnikami niepełnosprawnymi społecznie, którymi inni będą musieli się opiekować. Już dziś wielu – zwłaszcza starszych – ludzi wymaga pomocy, bo nie posługują się bankomatem, komputerem, Internetem, a za chwilę znikną klasyczne banki z kasą i papierowym przelewem. Do Internetu schodzi już znaczna część mediów i korespondencji. Pewnego dnia nie przyjdzie już listonosz i nie będzie można „iść do banku”, kupić papierowej gazety...

A tymczasem w polskich szkołach od lat obniża się nie tylko liczba godzin, ale i poziom nauczania matematyki, fizyki, chemii i innych nauk przyrodniczych. **Obecnie liczba godzin fizyki ma się do liczby godzin religii, w zależności od profilu szkoły, jak 1:2,2 do nawet 1:4.** Najpierw dokonano podziału na klasy matematyczno-fizyczne i humanistyczne metodą obniżenia wymagań z matematyki i fizyki dla „humanistów”. Uczniowie w lot zrozumieli ten sygnał: można nie uczyć się matematyki i fizyki! Po co się męczyć? Lepiej pójść na profil humanistyczny wymagający mniej wysiłku i pozwalający na kombinowanie, gdy się czegoś nie wie, na to, że brak wiedzy można zamaskować elokwencją.

Kolejnym sygnałem było wycofanie na szereg lat matematyki z matury. Uczniowie zrozumieli: można nie uczyć się matematyki.

Chcę tu postawić dwie tezy:

1. **bycie humanistą nie wymaga bycia nieukiem;**
2. **człowiek, który nie potrafi opanować matematyki i fizyki na poziomie szkolnym, to nie humanista, tylko matol.**

Dla uspokojenia humanistów dodam, że **technokrata, który nie zna historii i nie czyta literatury pięknej, to też matol.** Człowiek wykształcony to taki, który ma szeroką wiedzę ogólną, zarówno humanistyczną jak i przyrodniczą, a dopiero w swojej dziedzinie ma wiedzę wysoko specjalistyczną. Wniosek jest taki: jeśli już stworzymy na poziomie szkoły klasy profilowe, to nie metodą obniżania wymagań w innych kierunkach, tylko metodą rozszerzenia materiału w wybranym kierunku. Na maturze powinna być obowiązkowa



zarówno matematyka, jak i język polski, zarówno fizyka, jak i historia. To powinny być cztery obowiązkowe przedmioty matury dla wszystkich. Pozostałe mogą być do wyboru.

**Polskie szkoły są dziś tworami patologicznymi.** Z oszczędności, lub lenistwa, zlikwidowano pracownie. Dzieci uczą się fizyki, chemii, biologii... nie dotykając wielokrażka, magnesu, żaby, nie mieszając dwóch substancji, by zrobić z nich trzecią. To jest tak, jak nauka pływania na sucho, bez wody. Jeżeli dziecko nie poczuje, że za pomocą wielokrażka może podnieść 50 kG jedną ręką, to ten wielokrażek będzie dla niego tylko abstrakcją z podręcznika. Abstrakcją będzie dla niego chemia, jeśli nie zobaczy, że po wlaniu żółtego do zielonego zrobiło się czerwone. Abstrakcją będą pierwotniaki, jeśli nie obejrzy ich pod mikroskopem.

W polskich szkołach, przynajmniej w większości, zlikwidowano taki przedmiot, jak prace ręczne, bo ponoć nie jest nowoczesny. To kolejny błąd. Rozumiem, że inteligent nie ma zostać robotnikiem, ale to nie znaczy, że ma nie umieć wbić gwoźdźdza, przepiłować deski itp. Różne właściwości materiałów będą dla niego abstrakcją, jeśli nie poczuje ich w rękę, jeśli nie zauważy, że stalową blachę można wytłoczyć drewnianym młotkiem, itp. No, a poza tym, **chyba nie wszyscy mają być inteligentami.**

Przyjęto błędną koncepcję unowocześnienia szkoły. Nowoczesność mają załatwić komputery, a nie nowoczesne metody nauczania. Tymczasem **bez zajęć praktycznych ekran komputera to nadal jest kreda i tablica, tylko elektryczne.** Sama komputeryzacja szkół nie załatwia też innego problemu; tego, że w polskich szkołach nadal dominuje dziewiętnastowieczna koncepcja systematycznego wkuwania, zamiast rozumienia. Tymczasem potrzebna jest równowaga między pewnym zasobem zapamiętanych informacji, a umiejętnością ich zdobywania oraz stosowania dzięki rozumieniu. Przeglądanie w każdą stronę jest złe.

Nasi rządzący nie rozumieją, że **matematyka i fizyka nie służą wyłącznie do liczenia oraz inżynierii. Służą do rozumienia świata, w którym żyjemy.** Służą do nie robienia błędów także w innych dziedzinach. Służą do tego, by szarlatan nie robił nam wody z mózgu.

I tu garść przykładów. Pomińmy już zamieszanie polityczne, do którego wykorzystywane są „ekspertyzy” kilku szarlatanów z parlamentarnego zespołu. To zamieszanie możliwe jest właśnie dzięki powszechnemu nieuctwu, dzięki temu, że masa ludzi nie widzi absurdu w twierdzeniach tych panów, choć do obalenia tych „ekspertyz” wystarczy fizyka ze szkoły średniej. **Czy tak trudno zauważyć,**

**że twierdzenie Biniendy, o tym, iż samolot nie powinien się rozbić, bo ważył 80 ton, to ni mniej, ni więcej, tylko twierdzenie, że większy młotek uderza słabiej?**

A czy tak trudno zauważyć absurd twierdzenia Szuladzińskiego, że „jest nikła szansa, żeby przy kolizji skrzydła z drzewem obydwie objekty zostały złamane, że jeśli drzewo zostało ścięte, to skrzydło powinno ocaleć”? Szuladziński twierdzi, że „powyżej pewnej prędkości, prawdopodobieństwo, by obydwie zderzające się objekty uległy zniszczeniu, maleje niemal do zera”. **Czy aż tak trudno zauważyć, że są to kompletne bzdury, by niemal nikt tego nie zakwestionował?** By za pomocą takich bredni można było robić wodę z mózgu połowie społeczeństwa? A przecież wszyscy uczyli się w szkole zasad dynamiki Newtona, tego, że „siła akcji równa się sile reakcji”, **zawsze**, niezależnie od prędkości. W dodatku **mówienie o prawdopodobieństwie w odniesieniu do zderzeń ma sens w fizyce cząstek elementarnych, a nie w odniesieniu do zjawisk makro**. Zwolennicy tych teorii powinni wziąć bardzo ciężki młot, machnąć nim z olbrzymią prędkością, a, zgodnie z twierdzeniami Szuladzińskiego-Biniendy, uderzenie będzie słabiutkie. Ciekawe ilu z nich odważy się sprawdzić te twierdzenia na własnym palcu?

Istotne z tego wszystkiego jest to, że **nieuctwo powszechne przekłada się na łatwość manipulowania opinią publiczną**. I to nie tylko w tej sprawie.

Inny przykład to sprawa GMO. Pod wpływem ideologicznie nawiedzonych „ekologów” mamy dziś w Polsce zakaz sprzedaży żywności genetycznie modyfikowanej i nawet zakaz badań naukowych nad tym zagadnieniem. Podobnie jak w przypadku teorii smoleńskiego zamachu – i tu podstawą są, wyłącznie wynikające z nieuctwa, urojenia i szarłatańskie „ekspertyzy”, bo **ktoś w szkole nie nauczył się, co to jest gen i traktuje go, jak część ciała**. To smutne, jeśli Sejm położonego w środku Europy państwa, w XXI wieku, uchwała ustawy sprzeczne z wiedzą naukową i zakazuje badań naukowych, bo tak chcą *nieukowcy* (przeciwieństwo naukowców, ludzie nie prowadzący żadnych badań, nie czytający fachowej literatury, ale zawsze wiedzący lepiej).

Spójrzmy, jak politycy i telewizyjni prezenterzy interpretują statystyki. Słyszymy: tej partii spadło o jeden procent, a tamtej wzrosło o dwa procent, przy błędzie statystycznym 3 procent. Jeżeli błąd pomiaru jest 3 procent, to o różnicach 1 lub 2 procent można powiedzieć tylko: nie wiadomo, czy coś się zmieniło. **Polska klasa polityczna i polskie media nagminnie wyciągają wnioski z liczb mniejszych od błędu pomiaru**.

Powszechne jest błędne interpretowanie statystyk. Wszystkie zjawiska społeczne traktowane są tak, jakby były funkcjami jednej zmiennej. Stąd wnioski: *wzrosła liczb przestępstw – zaostrzyć kary*. Najczęściej nawet nie wzrosła, tylko akurat trwa jakaś medialna histeria („brutalność młodocianych sprawców lawinowo rośnie” – bredzi telewizja, bo doszło do *jednego* brutalnego zabójstwa). W dodatku **klasa polityczna wykazuje idealną odporność na wiedzę**. Funkcjonowało kiedyś hasło: „nie uczta się na błędach, tylko na uniwersytetach”, ale mam wrażenie, że niektórzy nie uczą się nawet na błędach. Kilkanaście lat temu zwiększono dziesięciokrotnie wysokość mandatów za wykroczenia drogowe (z 50 do 500 zł.). Liczba wykroczeń drogowych nie zmalała wcale. Dziś znowu słyszymy, że trzeba podwyższyć mandaty, bo kierowcy łamią przepisy. To jest rozumowanie kogoś, kto chce zapalić światło odkręcając kran: *odkręcam kran => światło się nie pali => muszę mocniej odkręcić kran => dalej się nie pali => jeszcze mocniej...* A można by zauważyć, że zaostrzanie kar nic nie daje, bo używa się niewłaściwego parametru – między wykroczeniami drogowymi a mandatami nie ma związku przyczynowego. **Rozumienie takich rzeczy to też jest matematyka.**

Nagminne jest podejmowanie decyzji politycznych pod wpływem przypadkowego impulsu. Kilkanaście lat temu rozpętano histerię na temat rzekomej strasznej przestępczości nieletnich, bo przez trzy kolejne lata sprawcy nieletni dokonali 3, 5, 8 zabójstw. Podjęto nawet próby wprowadzania godziny policyjnej dla nieletnich. Gdyby student pierwszego roku fizyki wyciągał wniosek, że coś rośnie lub maleje na podstawie trzech pomiarów, dostalby pałę w indeksie. A polscy politycy chcieli na tej podstawie zmieniać prawo. W dodatku nawet nie zauważyli, że w tym samym czasie główna grupa sprawców, mężczyźni w wieku 18-25 lat (a więc dorośli) dokonali kilkuset zabójstw. Jak w przysłowiu: kowal zawinił, Cygana wieszają.

W tym samym czasie rozpętano inną histerię. **Partia nieuków-populistów żądała zaostrzenia kar i przywrócenia kary śmierci**, choć przestępczość w Polsce systematycznie malała i już wówczas była jedną z najniższych na świecie. Specjalistów od kryminalistyki, resocjalizacji i prawa karnego gromko ogłoszono oszłomami, bo cud bezpieczeństwa powszechnego miał zapewnić las szubienic. Pamiętam swoją dyskusję telewizyjną z niejakim Ziobrą, który „udowadniał”, że po przywróceniu kary śmierci w stanie Floryda liczba zabójstw jeden raz spadła (później wzrosła, ale tego już nie zauważył). **To już nie było wyciąganie wniosków statystycznych z trzech pomiarów, tylko z jednego i to dobranego pod tezę** (w większości przypadków z innych krajów i stanów było odwrotnie).

W dodatku Ziobro (wówczas wiceminister) nie rozumiał, że same statystyki nie świadczą o istnieniu przyczynowości, a tym bardziej o jej kierunku. Zbieżność statystyczna może sugerować związek przyczynowy, ale by go udowodnić, trzeba zbadać jego mechanizm. Inaczej dojdziemy do wniosku, że przyczyną matur są chrabąszcze, bo zawsze, gdy następuje wysyp chrabąszczy (w maju) zaczynają się matury. Pełna korelacja statystyczna, proszę państwa!

Ciągle słyszymy: statystyki nie oddają rzeczywistości, a dlaczego? Dlatego, że wyniki nie są zgodne z opinią jakiegoś nieuka. **Statystyki nie oddają rzeczywistości wtedy, gdy są źle zrobione**, a poza tym oddają wybrane fragmenty rzeczywistości, a nie wszystko. **Statystyki powszechnie mylone są z badaniami ankieterskimi**, które są jednak trochę czymś innym. **Badania ankieterskie świadczą nie o tym, jak jest rzeczywiście, tylko o tym, co ludzie mówią ankietarowi**. W dodatku na ogół media podają same wyniki badań i to niepełne (same słupki), nie informując, na jakie pytanie ankietowani odpowiadali. A to jest kwestia najważniejsza, bo odpowiedź na pytanie: „kogo popierasz?” i na pytanie „na kogo będziesz głosował” może być inna. **Aby wyciągać wnioski ze statystyk, trzeba je rozumieć**, a do tego potrzebna jest matematyka. Jest taka ciekawostka, że statystyka jest jednym z najtrudniejszych pojęciowo działów matematyki, a jednocześnie ulubioną zabawką propagandową kierowaną przez matematycznych analfabetów do innych matematycznych analfabetów. Z tego jedni i drudzy wyciągają wnioski, najczęściej błędne. Gorzej, gdy na podstawie tych wniosków piszą ustawy.

A ta powszechna mania wyciągania ze wszystkiego średniej arytmetycznej, która przecież ma sens w odniesieniu do *rozkładu normalnego* (ilustrowanego graficznie krzywą Gausa), a nie do każdego rozkładu, gdzie średnia może być liczbą nie świadczącą o niczym (np. **średnia płaca wcale nie jest typową płacą**). Szczytem absurdu matematycznego były projekty ustawowego określenia płacy minimalnej jako połowy płacy średniej. Podnosimy minimalną do połowy średniej => rośnie średnia => znów podnosimy więc minimalną => znów rośnie średnia... Obie liczby byłyby zbieżne do sumy płacy maksymalnej, gdyby nie to, że wcześniej wszystkie firmy i państwo zbankrutują. Szczytem był postulat Samoobrony, by płacę minimalną ustawowo zrównać ze średnią. Najłatwiej to zrobić, gdy obie równe są zero, lub gdy obniży się wszystkie płace do minimalnej.

**Szanowni Państwo, matematyka i fizyka nie służą tylko do obliczeń** i rozwiązywania zadań typu „pociągi dwa od stacji B do stacji A”. **Służą do tego, byśmy umieli myśleć logicznie**, byśmy rozumieli zjawiska otaczającego nas świata, byśmy umieli radzić

sobie w tym świecie nie wołając „fachowca” do każdego gwoźdźcia, byśmy nie podejmowali błędnych – a kosztownych – decyzji, byśmy nie dawali wodzić się za nos szarlatanom i populistom, byśmy nie popierali głupich projektów. Służy do tego, byśmy przy reformie emerytalnej nie bredzili, że zastąpi ją „polityka prorodzinna” (projekt dorobienia dzieci do roczników, które już się urodziły), byśmy nie wydawali pieniędzy na leki homeopatyczne (czyli takie, w których substancji leczącej nie ma wcale), nie stawiali na komputerach paprotek, bo ponoć „jonizują ujemnie”, lub wydzielają „szare promieniowanie” (jedynym tego skutkiem może być oblanie komputera wodą przy podlewaniu i zrobienie zwarcia), nie kładli pod łóżka kasztanów, bo „ekranują ciekły wodne” (jedyny skutek to kurz pod łóżkiem, bo pozamiatać nie można).

Jednym słowem, nauka matematyki i fizyki służy do tego, byśmy byli mądrzejsi, a nie głupszy.

A wracając do polskiej szkoły, to **wymaga ona reformy gruntownej, reformy całości, a nie fragmentów**. Polska szkoła jest dziełem przypadku i zaszłości, na które naniesiono szereg chaotycznych poprawek (chyba lepsze byłoby słowo „pogorszek”, a nie „poprawek”). Tej szkoły nie ma sensu poprawiać. Ją trzeba zbudować od początku, zaczynając od planu i wizji, od odpowiedzi na pytania: po co, jak, kogo? Przytoczę dosadne, ale trafne powiedzonko Stefana Kisielewskiego: „G... nie da się usprawnić, można je tylko skomplikować”. I jeszcze drugie: „Herbata nie robi się słodsza od mieszania, trzeba dodać cukru”.



# Gdy rozum śpi, budzą się PiS-iory

## 2012

Oczywiście nie wierzę, że przekonam ludzi zac zadzonych PiS-em. Są oni science proof – idealnie odporni na wiedzę. Tekst adresuję do ludzi skołowanych, którzy nie wiedzą, co myśleć, bo nie mają „mat-fizycznego”, czy technicznego, wykształcenia, a sły szą facetów plotących brednie i tytułujących się „profesorami fizyki” i „ekspertami”. Tekst może być dla nich trudny, ale starałem się napisać tak, by każdy, kto uczył się fizyki i chemii na poziomie szkoły średniej, mógł go zrozumieć. Dla fizyków i chemików niektóre fragmenty mogą być za daleko uproszczone, ale proszę o wybaczenie – to musi być zrozumiałe dla innych, także dla humanistów.

### **Konferencja stu czyli dwudziestu siedmiu**

Ostatnio stronnicy PiS uraczyli nas trzema nieco dziwnymi wydarzeniami. Była to rzekoma „konferencja naukowa stu profesorów”, którzy mieli potwierdzać teorię o smoleńskim wybuchu, oraz odkrycie trotylu we wraku TU-154, ale nie przez śledczych, tylko przez propagandystów, dla niepoznaki nazywanych dziennikarzami. Kolejne wydarzenie to „Konferencja na Uniwersytecie Stefana Wyszyńskiego”. Z tym ostatnim wydarzeniem uniwersytet miał tyle wspólnego, że wynajął salę, a heca była typowym orwellowskim seanssem nienawiści, nie mającym już nic wspólnego z nauką.

Konferencja (pierwsza) jest przedstawiana jako „konferencja stu profesorów”, podczas gdy prelegentów było 27, w tym tylko kilku profesorów, najczęściej specjalistów nie na temat (nikt poważny nie liczy do uczestników konferencji widzów na sali, zwłaszcza że nie wiadomo, jakie mają zdanie, bo w dyskusji udziału nie biorą, a już na pewno nie wszyscy). Sądząc z przebiegu i wypowiedzi, był to raczej PiS-owski wiec, niż konferencja, a z nauką miało to wybitnie mało wspólnego. Przykładem „symulacje” Biniendy (inżyniera, nauczyciela budownictwa lądowego w college´u).

To, czego brak w tych „ekspertyzach”, to brak ekspertyzy. Ekspertyza polega na tym, że można wszystkie fakty i obliczenia sprawdzić, krok po kroku. Wszystkie działania są jawne. Tymczasem w przypadku „ekspertyzy” Biniendy mamy tylko filmik animowany w grafice komputerowej, zwany „symulacją”. Aby objaśnić najbardziej opornym: Program użyty przez Biniendę liczy i przekłada na grafikę takie liczby, jakie mu się w zbiorze startowym zada. Można mu też zadać takie liczby, by pokazał, że samolot poleciał w kosmos, lub latał pod ziemią. W tym przypadku Binienda z uporem nie ujawnia zbioru startowego, czyli nie ujawnia tego, co kazał komputerowi liczyć. Przedstawia tylko obrazki i filmik w grafice. Istnieje więc podejrzenie, że zadał dane startowe dobrane pod z góry założony wynik (czytaj: fałszywe).

Komputer to tylko zupełnie głupia maszyna, która liczy tylko to, co człowiek jej kazał. Gdy wprowadzi się w zbiorze startowym nieprawdziwe dane, to dostanie się nieprawdziwy wynik. Albo jeszcze prościej: jeśli spytamy was: ile jest dwa plus dwa, oraz: ile jest dwa plus trzy, odpowiecie najpierw 4, a później 5. Metoda Biniendy polega na mówieniu: „wyszło 5” i zatajeniu treści pytania. Zresztą pewne nieprawdy w „ekspertyzie” Biniendy wydać gołym okiem: teren u niego jest płaski, podczas gdy rzeczywisty się wznosił, na jego terenie nie ma żadnych przeszkód, podczas gdy w rzeczywistości są. Rozbawiła mnie dodatkowo jego ostania wypowiedź, że sprawdził swoją symulację „na wszystkich komputerach w stanie Ohio”. Przecież nie o liczbę komputerów tu chodzi. Gdy wszystkim komputerom poda się te same fałszywe dane, to dostanie się ten sam fałszywy wynik.

To samo można odnieść do „ekspertyz” Szuladzińskiego i Nowaczyka. To są gołosłowne oświadczenia na zasadzie „ja tak mówię”. Gadanie, że rozrzut szczątków „jest charakterystyczny”, to tylko gadanie, bo nie wiadomo, na czym ta „charakterystyczność” ma polegać. Aby to było ekspertyzą rzeczywiście, trzeba przytoczyć obliczenia, które dowiodą, że na skutek wybuchu działała na te elementy w konkretnym punkcie konkretna siła o wynikających z obliczeń kierunku, wartości i zwrocie i właśnie dlatego ten element znalazł się w tym miejscu.



Generalnie, metodyka naukowa polega na trzech krokach: pierwszy – zebranie faktów empirycznych, czyli danych, w tym przypadku liczbowego opisu śladów. Krok drugi, to budowa teorii opartej na tych faktach. Taką teorią może być też symulacja komputerowa. Krok trzeci to sprawdzenie, czy otrzymane wyniki zgadzają się z faktami empirycznymi, zwłaszcza z tymi, które według teorii powinny wystąpić, a myśmy ich nie zauważyli. Sprawdzamy: są – teoria jest trafna; nie ma – teoria jest do bani. W tym przypadku mamy do czynienia z teoriami, które przeczą faktom empirycznym (np. brzoza się złamała, żadne przyrządy nie zanotowały skoku ciśnienia, piloci rozmawiali i krzyczeli – czyli żyli, martwy nie krzyczy – aż do uderzenia w ziemię), a autorzy tych teorii głoszą, że to tym gorzej dla faktów. W dodatku żaden z nich nie ma dostępu do śladów, które w pierwszym kroku powinien przełożyć na liczby. Prawidłowa ekspertyza powinna zawierać obliczenia, które można sprawdzić, a nie wyłącznie wynik, który nie wiadomo, skąd się wziął.

Eksperci powinni też być niezależni od stron sporu. Tymczasem żona Wiesława Biniendy, Małgorzata Szonert-Binienda jest zatrudniona przez PiS-owskie „rodziny smoleńskie” (czytaj przez PiS) jako adwokat w sprawie Smoleńska w USA, gdzie nie toczy się na ten temat żadne postępowanie i raczej nigdy się toczyć nie będzie (więc po co adwokat?). Stawia to obiektywizm inżyniera Biniendy pod znakiem zapytania. Jego wiarygodność podważa też to, że przez wiele miesięcy podawał się za kogo innego, niż jest – za profesora fizyki na uniwersytecie i eksperta NASA. Tymczasem na wydziale fizyki nigdy nie studiował, nie ma habilitacji, a dla NASA wykonywał jedynie mało istotne prace zlecone, jak i tysiące innych inżynierów i naukowców z całego świata. Ostatnio podawał się za „specjalistę inżynierii cywilnej”, choć Wiesław Binienda dobrze zna język angielski i wie, że civil engineering to po polsku inżynieria lądowa a nie „cywilna”, ale cywilna brzmi lepiej i można udawać specja od samolotów, a nie od wiaduktów, nasyków i przydrożnych rowów.

I jeszcze dwie uwagi na koniec tego wątku:

Historia zna wielu prawdziwych naukowców, którzy zaczadzeni oszołomską ideologią, albo służyli tyranom, albo tworzyli pseudonaukę razem z szarlatanami w rodzaju Łysenki. Bomby atomowe dla Hitlera (nieskutecznie) i Stalina tworzyli naprawdę wybitni fizycy. Inni pod dyktando tyranów pletli o fizyce kompletne bzdury, zaprzeczając, na przykład teorii względności lub genetyce. Takie wieco-konferencje to niestety w historii nic nowego.

Tu historyczna dygresja: Himmler był obsesyjnie owładnięty pomysłem, by teorie nazistów o wyższości rasy germańskiej uzasadnić

na podstawie dzieł Tacyty. W tym celu zaangażował ogromne środki w poszukiwanie oryginałów pism Tacyty, choć wiadomo było, że zniszczono je wieki temu. Wiadomo było też, że Tacyt o Germanach wyrażał się niezbyt pochlebnie (gnuśni, leniwi itp., a dodatku Niemcy i Germanie to nie zupełnie to samo), ale Himmler uważał, że znajdzie w jego dziełach opis walecznych wojowników. Zorganizował więc specjalny pseudo-naukowy zespół. Jeden z historyków opisał ten zespół jako: „złożony z prawdziwych naukowców zaprzędanych fałszywej idei i tworzących fałszywą naukę, oraz z prawdziwych wariatów”. Coś mi to przypomina pewien zespół funkcjonujący obecnie w naszym kraju. I jednym i drugim fakty zupełnie nie przeszkadzają w tworzeniu pseudonaukowych teorii.

Uwaga druga: gdy napisałem artykuł ujawniający, że Wiesław Binienda nie jest profesorem fizyki i ekspertem NASA, oraz wskazałem kilka, spośród wielu, nonsensów w tym, co głosi, nie było żadnej dyskusji na argumenty. Zostałem w PiS-owskich mediach obrzucony niewybrednymi obelgami i oszczerstwami. To najdobitniej dowodzi, że nie o naukę i prawdę tu chodzi, tylko o miotanie oszczerstw wobec tych, którzy nie uznają geniuszu Jarosława Zbawiciela oraz jego „naukowych” klakierów. I nie o prawdę tu chodzi (mimo ciągłego wrzasku: „żądamy prawdy!”), lecz o udowodnienie chorych urojeń Kaczyńskiego i Macierewicza na podstawie bełkotu rzekomych „ekspertów”.

### **Wirtualny trotyl**

Przejdźmy do wątku drugiego, czyli trotylu w „Rzeczpospolitej”, bo przecież nie we wraku. Autorzy tego tekstu nie „pomylili się”, tylko nakłamali. Bo przecież śledczy wcale materiałów wybuchowych nie znaleźli, prokurator Seremet wcale autorom tych rewelacji nie potwierdził, nieprawda, że badano wrak pod tym względem po raz pierwszy po 2,5 roku, nieprawda, że badanie podjęto na skutek nieścisłości w dokumentacji, nieprawda, że próbki będą badać Rosjanie... i tak dalej, i tak dalej. W dodatku panowie we własnej wyobraźni ubarwili tę opowieść malowniczymi szczegółami, których żaden fachowiec nie mógł im przekazać, bo mają się do fachowości niczym pięść do nosa. Po pierwsze nie jest możliwe równoległe wykrycie „trotylu i nitrogliceryny” ( $C_7H_5N_3O_6$  i  $C_3H_5N_3O_9$ ) spektrometrem masowym (czy też spektrometrem aktywności jonów) o czym zgodnie mówią wszyscy spece od tematu. Według „Rz” „przyrzędy zwariowały” i „skończyła im się skala”. Te przyrzędy nie mogą „zwariować” i nie może „skończyć im się skala”. To nie amperomierz ze wskazówką. Te przyrzędy nie wariują i nie kończy im się skala, nawet gdy w badanej próbce jest sto procent szukanej substancji.

Autorów i redaktorów pograża dodatkowo późniejsze kręactwo. Najpierw „pomyliliśmy się”, a później „materiały wybuchowe mogą jednak być”, bo wykazać to mają dopiero badania próbek. Czyli: nakłamałiśmy, ale może jakimś cudem będzie to prawda, czyli nasze górą. To tak, jakbym napisał: wprawdzie nie ma dowodów na to, że Cezary Gmyz i Tomasz Wróblewski biją swoje żony, ale to nie wyklucza, że może jednak biją. Szanowni panowie, skoro nie ma na coś dowodów, to się nie pisze, że jest, ani, że może być. Nie ma dowodów, to nie ma. Koniec i kropka.

Zwolennicy trotylu dostali za kilka dni kolejny „argument” (dla nieuka każda bzdura jest argumentem), gdy ujawniono, że jeden z przyrządów wyświetlił komunikat „TNT”, czyli trotyl. Nic nie dały zapewnienia fachowców, że to nie oznacza iż trotyl jest, tylko że może być, ale nie musi. Towarzystwo nieuków i szarlatanów wpadło w euforię: jest trotyl! Jest dowód na zamach! W głupocie swojej nie zauważyli istotnego szczegółu: o wybuchu świadczyłaby obecność nie materiału wybuchowego, lecz produktów jego spalania (tu uproszczone wyjaśnienie dla posła Macierewicza: aby udowodnić komuś, że palił papierosa, trzeba znaleźć nie całego papierosa, tylko niedopałek i popiół, jak papieros jest cały, to go nie palono). Choćby nawet znaleziono sto kilo trotylu, a nie znaleziono produktów jego spalania, to dowodów na wybuch nie ma. Nawet jeszcze gorzej: czym więcej się znajdzie nie spalonego materiału wybuchowego, tym mniej jest prawdopodobne to, że ten materiał wybuchł!

Nawet gdyby znaleziono produkty spalania materiału wybuchowego, to istotna będzie ich ilość, bo niewielkie, śladowe ilości wcale nie muszą pochodzić z wybuchu w tym samolocie, tylko mogą być zawleczone przez ludzi, lub ładunek. Dowodem na wybuch byłoby dopiero znalezienie istotnej ilości produktów spalania materiału wybuchowego, i to koniecznie wraz z innymi śladami wybuchu.

Parę dni później pojawił się kolejny „ekspert”, przedstawiciel producenta jednego z przyrządów (prawdopodobnie handlowiec, co wnioskuje z kolejnych bzdur, jakie plółł na temat fizyki i chemii przy okazji). Twierdził on w telewizji, iż przyrząd, który sprzedaje, wykryje z całą pewnością „nawet jeden atom trotylu”. Ot ciekawostka przyrodnicza: trotyl to atom, pierwiastek (???). A ja naiwny myślałem, że związek chemiczny  $C_7H_5N_3O_6$  złożony jest z 21 atomów. I jeszcze co do tej „całej pewności” przy śladowych ilościach związku: Jest takie prawo fizyki, którego pan handlowiec, a nawet inżynier Binienda, mają prawo nie znać, bo na poziomie fizyki na ich uczelniach nie uczą, które nazywa się: zasada nieokreśloności Heisenberga. Wybaczcie fizycy szalenie daleko idące uproszczenia (jakbym temperował ołówek

siekierą), ale muszę to wyjaśnić tak, aby nawet posłanka Kruk mogła zrozumieć, choć to prawie niemożliwe. Mówi ta zasada, że iloczyn nieokreśloności położenia i nieokreśloności pędu jest większy lub równy od pewnej stałej liczby (pominę jakiej, bo oni i tak o niej nie słyszeli). To samo dotyczy innych par wielkości fizycznych, np. energii i czasu. Bardzo upraszczając: jak stwierdzimy, że jest na pewno to, to nie wiemy na pewno gdzie, jak stwierdzimy na pewno gdzie, to nie wiemy dokładnie co.

Zasada ta dotyczy stricte obiektów bardzo małych, jak cząstki elementarne, pojedyncze atomy i cząsteczki chemiczne, ale prawa fizyki, z których wynika, obowiązują wszędzie tam, gdzie bardzo dużymi przyrządami pomiarowymi bada się bardzo małe ilości czegoś.

Wyobraźmy sobie, że chcemy zaobserwować, jak mówi pan handlowiec, jeden atom. Musimy go w tym celu czymś oświetlić. Wyobraźmy sobie, że użyjemy w tym celu najmniejszej możliwej ilości światła – jednego fotonu. Ten jeden foton odbija się od jednego atomu i my ten atom w ten sposób widzimy. Zaraz, zaraz, ale co widzimy? Widzimy, gdzie ten atom był przed zderzeniem z fotonem, bo po zderzeniu się odbił i jest gdzie indziej i to jest właśnie ta nieokreśloność jego położenia. Co więcej, na skutek zderzenia z fotonem zmieniła się też jego energia. A więc nawet przy tak delikatnym pomiarze, jak oświetlenie jednym fotonem, nie wiemy do końca, co właściwie widzimy i gdzie.

A teraz wyobraźmy sobie takie pomiary, jak w Smoleńsku na Tu-polewie. Szukamy śladowych ilości, tysięcznych części miligrama, substancji chemicznej aparatem, który waży kilogram lub dwa. W stosunku do wielkości, które chcemy zmierzyć, ten aparat jest jak Titanic do kajaka. Nawet jeśli uwzględnimy tylko wielkość i czułość samego detektora, a nie cały aparat, to dalej jest jak Titanic do kajaka. Generalnie chodzi o to, że jeśli mierzymy wartości bardzo małe, to sam przyrząd pomiarowy, samą swoją obecnością, bardzo zaburza wielkość którą mierzymy i ją zmienia (wydziela lub pochłania ciepło, ma jakieś ładunki statyczne, płynie w nim prąd, więc wytwarza jakieś pole elektromagnetyczne...). I dlatego, panie handlowcu, nie da się „z całą pewnością” określić substancji chemicznej w tak małej ilości za pomocą takiej „konewki” (żargonowa nazwa aparatu, o którym mowa). I dlatego, panie handlowcu, wyświecenie się komunikatu TNT znaczy, że jest, albo trotyl, albo coś bardzo podobnego, ale co, nie wiadomo „z całą pewnością” i trzeba dopiero to zbadać w laboratorium za pomocą innych pomiarów i innymi metodami. Fizycy i chemicy bardzo by się ucieszyli, gdyby ktoś skonstruował aparat, który przykładamy do czegoś i pstryk, już wiemy jaki jest skład chemiczny. Niestety, jak dotąd, nikt takiego nie wynalazł, no chyba że na filmie z serii „CSI

– kryminalne zagadki Miami”, gdzie detektyw wkłada próbkę do urządzenia i mówi: „to jest azotan potasu pochodzący z lewej nogi sówki chojnowki żyjącej 60 km na północ od Huston”. Panu „ekspertowi” radzę mniej oglądać takich filmów.

Wyjaśnijmy jeszcze, jak działa spektrograf ruchliwości (aktywności) jonów. Bada on zachowanie frakcji gazowej (czyli oparów) substancji poddanych działaniu pola elektrycznego, co pozwala oddzielić materiały wysoko energetyczne, od innych. Oparы substancji zostają wciągnięte do takiej rurki, w której działa pole elektryczne, a na jej końcu znajduje się detektor. Można to porównać do wachania i rozpoznawania na podstawie zapachu. Ten spektrograf jest czymś w rodzaju elektronicznego nosa. I co istotne: nie robi on analizy chemicznej, tylko rejestruje to, co ma zbliżony ten elektroniczny zapach do szukanego wzorca, czyli to, co ma podobną aktywność jonów do jonów trotylu lub innego materiału wybuchowego. A materiałów, które mają zbliżoną aktywność jonów może być bardzo dużo.

Oczywiście, na wraku Tupolewa nie ma żadnych oparów, czy też jonów. Są one wytwarzane sztucznie, przez urządzenie, po to, by zbadać ich zachowanie w polu elektrycznym. Te detektory nie mierzą więc właściwości chemicznych substancji, tylko masę cząsteczkową jonów i interakcję z gazem nośnym – duże i ciężkie molekuly później dotrą do detektora od molekuł małych i lekkich.

I jest jeszcze ważna kwestia, o której pan handlowiec od producenta najwyraźniej nie wie. Co właściwie wykrywają detektory? Wcale nie związek chemiczny będący trotylem, bo on się składa z powszechnie występujących pierwiastków: tlenu, wodoru, węgla i azotu i jego jony też. I tu pan handlowiec powinien dostać pałę z chemii i wniosek o odebranie matury, bo nie wie, że **jony trotylu NIE SĄ TROTYLEM**. Jony każdego związku mają inny skład chemiczny, niż ten związek. Jon jest KAWAŁKIEM cząsteczki chemicznej, a nie CAŁĄ cząsteczką. Ten sam jon może być kawałkiem różnych cząsteczek, kawałkiem różnej całości.

Na przykład: kwas  $\text{H}_2\text{SO}_4$  rozpada się na jony:  $2\text{H}^+ + \text{SO}_4^{2-}$  (wodor i czterotlenek siarki), woda  $\text{H}_2\text{O}$  rozpada się na jony  $\text{H}^+ + \text{OH}^-$ . Podobnie żaden z jonów trotylu nie jest trotylem i może być identyczny z jonem innego związku chemicznego, bo to jest, do czorta, kawałek cząsteczki, a nie cała! Te jony mogą się później połączyć z innymi jonami i dać inny związek (tzw. reakcja jonowa), np.:  $\text{H}_2\text{SO}_4 + 2\text{NaOH} \rightarrow \text{Na}_2\text{SO}_4 + 2\text{H}_2\text{O}$ . Choćby na tym przykładzie dobitnie widać, że te same jony mogą być jonami różnych związków.

Na podstawie badania jonów nie można jednoznacznie określić, jaki związek chemiczny rejestrujemy, BO JONY NIE ZAWIERAJĄ

TAKIEJ INFORMACJI. Żadnym przyrządem świata nie można odczytać INFORMACJI, KTÓREJ NIE MA!!!! Ukazanie się na wyświetlaczu komunikatu „TNT” nie oznacza, że trotyl jest, tylko, że może być, ale nie musi.

Jest jeszcze jedna ważna zasada badań naukowych, najwyraźniej nieznaną „ekspertom” zespołu Macierewicza (co nie dziwi – jeden z tych „ekspertów” od lotnictwa był technikiem cukiernictwa), choć uczy się tego na pierwszym roku wydziału fizyki: nie wyciąga się wniosków z jednego pomiaru. Aby stwierdzić, że przyrządy pomiarowe pokazały prawdę, wynik musi być powtarzalny i sprawdzony innymi metodami. Dopiero wielokrotne wskazanie tego samego wyniku, i to przy badaniach przeprowadzonych przez różnych badaczy, daje podstawy do przypuszczenia, że coś jest na rzeczy. Pewność mamy dopiero wtedy, gdy to samo stwierdzimy badając innymi metodami, lub przy użyciu innej aparatury. To, że jeden raz uzyskano wynik pozytywny niewiele znaczy. Aparatura może być uszkodzona, może być zanieczyszczona po poprzednich pomiarach, może być źle wyskalowana, albo nieprawidłowo użyta. Naukowiec zawsze jest sceptykiem, a dureń i nieuk, czym większy, tym bardziej jest wszystkiego pewien. Dotyczy to także innych nauk. Poważny historyk też nie wyciąga radykalnych wniosków z jednego dokumentu, bo wie, że odkąd ludzie nauczyli się pisać, pisali często także nieprawdę.

Tak więc, bez przesady, można wykrywać ślady materiału wybuchowego tą aparaturą, ale nie jednej cząsteczki (tym bardziej atomu) i nie ze stuprocentową pewnością. Każdy, nawet najbardziej precyzyjny, aparat ma jakąś wartość minimalną, na jaką reaguje i na pewno nie jest nią jeden atom.

W czasie występu w telewizji pan „ekspert” odniósł się do twierdzeń prokuratury, że zastosowane w Smoleńsku spektrografy reagowały także na kielbasę i torebkę foliową. Pokazał, że jego aparat na kielbasę i torebkę nie reaguje. I tu znów pała z chemii dla pana „eksperta”. Nie ma takich związków chemicznych jak „kielbasa”, lub „torebka foliowa”. To są obiekty złożone z bardzo różnych związków chemicznych i nie jednakowe. Każda kielbasa ma inny skład chemiczny. Podobnie z torebką, która może być wykonana z różnych substancji. To, panie „ekspercie”, że pański aparat nie reaguje na konkretną kielbasę lub konkretną torebkę, nie znaczy, że nie zareaguje na inne. A może zareagować bo wiele związków organicznych ma podobny skład jak trotyl (tlen, wodór, azot i węgiel) i może mieć podobne lub nawet identyczne jony, jak trotyl. Pan „ekspert” znowu nie rozumie, co to są jony.

A co do tej stuprocentowej wykrywalności materiałów wybuchowych na lotniskach, to przeczą temu fakty. Richard Reid, znany jako

„shoe bomber” przemycił bez trudu na pokład samolotu bombę ukrytą bucie, choć na lotnisku był badany (i był wytypowany do badania jako podejrzany z powodu zachowania, oraz braku bagażu) dokładnie tymi samymi aparatami, które pan „ekspert” reklamuje, jako stu procentowo niezawodne. Byli też badani w podobny sposób agenci libijscy, którzy przemylili semtex w obudowie radia i wysadzili samolot PanAm nad Lockerbie w Szkocji.

Wyjaśnijmy jeszcze sprawę „markerów”, które miały wykryć badania w Smoleńsku. Wydaje się, że sami prokuratorzy nie bardo wiedzieli, o co chodzi.

Marker to inaczej znacznik, substancja służąca do oznaczania jakiegoś trudnego do rozpoznania materiału. Konwencja ONZ i Międzynarodowej Organizacji Lotnictwa Cywilnego ICAO z 1991 roku nakazała producentom materiałów wybuchowych oznaczanie ich wydzielającymi bardzo mocny zapach substancjami, głównie na użytek wyszkolonych psów, ale nie tylko. Ślady tych substancji można wykryć na powierzchniach przedmiotów, ciele ludzkim, ubraniach, które miały kontakt (nawet dość dawny) z materiałem wybuchowym, nawet gdy samego materiału wybuchowego już tam nie ma. To właśnie te markery, a nie sam materiał wybuchowy, mogły być zauważone przez biegłych w Smoleńsku. Te markery to: nitroglikol (EGDN), dimetylodinitrobutan (DMNB) i nitrotoluen (MNT). Zauważmy, że wszystkie one mają w nazwie sekwencję liter „nitro”. Możliwe, że jakiś kiepsko wyedukowany informator Cezarego Gmyza pomylił je z nitrogliceryną, choć są to zupełnie inne związki chemiczne. Obecność tych markerów na szczątkach samolotu wojskowego, którym wielokrotnie przewożono żołnierzy biorących wcześniej udział w walkach, oraz amunicję, nie jest żadną sensacją. Było by wręcz dziwne, gdyby ich tam nie było. ALE W ŻADNYM STOPNIU NIE ŚWIADCZY TO O WYBUCHU na pokładzie.

Kłopot w tym, że markery umieszczane są tylko na materiałach wybuchowych wytwarzanych przemysłowo i terroryści o tym wiedzą. Dlatego najczęściej wytwarzają materiał wybuchowy sami, co nie jest bardzo trudne, i ten materiał użyty do zamachu markerów nie ma. Obecność markerów świadczy więc raczej o przewożeniu samolotem osób, które miały styczność z fabrycznym materiałem wybuchowym, niż o działaniu terrorysty.

### **„Rewelacje” Wiesława Biniendy i Kazimierza Nowaczyka na Uniwersytecie Stefana Wyszyńskiego**

Wiesław Binienda przeszedł sam siebie i posunął się do otwartego kłamstwa twierdząc, że brzoza smoleńska była tak spróchniała, iż

można ją było złamać nawet kopniakiem. To po prostu zwykłe wierutne kłamstwo. Nie tylko ludzie, którzy to drzewo badali, nic takiego nie stwierdzili, ale nawet na zdjęciach widać, że drzewo było zdrowe i normalne. Żaden z „ekspertów” zespołu Macierewicza nie był w Smoleńsku, nie ma dostępu do oryginalnych zapisów rejestratorów lotu, nie badał śladów, a wszyscy oni twierdzą, że zapisy podawane przez komisję Millera są fałszywe. Wypada zapytać, skąd ta wiedza, skoro żadnych innych zapisów, niż te „fałszywe” panowie nie znają? Używając przenośni, panowie wręcz twierdzą, że znają teksty i melodie nigdy nie nagranych piosenek, których w dodatku nigdy nie słyszeli.

Kazimierz Nowaczyk powiedział na tej konferencji, że nawet trasa lotu zarejestrowana przez „czarne skrzynki” jest fałszywa. Skąd waćpan to wie, jeśli żadnego innego zapisu nie ma? To są twierdzenia wzięte z sufitu.

Wiesław Binienda twierdził, że dowodem na wybuch są „wyrwane nity”, które wręcz „wystrzeliły” i „latały po samolocie jak pociski”. Po pierwsze wyrwane nity są dowodem na wybuch tyle samo wartym co fakt, że trzy dni wcześniej pod Krakowem pasiono kozy. Przy takim walnięciu w ziemię, z taką prędkością, wszystko ma prawo być wyrwane, nie tylko nity. Poza tym, nit to nie korek od szampana i nie „wystrzeliwuje”. To jest naiwne wyobrażenie o działaniu ciśnienia wybuchu, tak samo jak rzekome „charakterystyczne wygięcie blach”. Każdy, kto choćby jak ja, przechodził w wojsku szkolenie saperskie, wie, że fala wybuchu trotylu ma gigantyczną prędkość i tnie metal jak nożem. No i jeszcze te nity „latające po samolocie”. Panie Binienda, chyba się panu pomyliły kierunki. Skoro w samolocie był wybuch, to „wyrwane nity” powinny polecieć na zewnątrz, a nie do środka.

I na koniec jeszcze rewelacje Kazimierza Nowaczyka. Słyszałem jego wypowiedź dla radia RMF-FM. Twierdził on, że rejestrator TAWS „odnotował lądowanie”, co świadczy o tym, iż samolot nie był w pozycji grzbietowej.

Można się załamać, ręce opadają z rozpaczą z szelestem, że człowiek tytułujący się fizykiem plecie takie bzdury. Rejestrator TAWS odnotowuje (według Nowaczyka) nacisk podwozia na sensor umieszczony między samolotem a podwoziem. Ten sensor to zwykły pstryczek-elektryczek, który pod naciskiem zamyka obwód prądu. Rzeczywiście podczas lądowania podwozie najpierw wisi pod samolotem, a gdy dotknie ziemi naciska na sensor. Pan „fizyk” jakoś nie zauważył, że gdy samolot znajdzie się w pozycji grzbietowej, to podwozie też naciska na sensor i zamyka obwód prądu. Podwozie w tej pozycji naciska na sensor swoim ciężarem, bo urządzenie nie przewiduje tego, że podwozie nie będzie pod samolotem wisieć, tylko znajdzie się nad nim



i będzie na niego swoim ciężarem opadać. Rzekomy dowód pana Nowaczyka świadczy o czymś wręcz odwrotnym, niż on twierdzi. Potwierdza grzbietowe położenie samolotu. Zresztą potwierdza to cała masa innych faktów, a to, że wrak leżał do góry kołami, chyba wszyscy widzieliśmy nawet w telewizji.

Co gorsza, Kazimierz Nowaczyk wyciąga z tego wniosek, że nagranie TAWS zostało „celowo zamazane” i on wie, że było na nim co innego. Skoro zostało „zmazane” to skąd pan wie, co na nim było?

### **Fakty świadczące o tym, że nie było wybuchu w Tu-154**

Zacznijmy od tego, na co, moim zdaniem, prokuratura nie zwróciła uwagi. Na nagraniu z kabiny pilotów słychać rozmowy aż do końca, łącznie z krzykiem przerażenia tuż przed uderzeniem w ziemię. Nie chodzi tylko o to, co już napisałem, że martwy nie krzyczy. Nagrania z kokpitu samolotu, w którym nastąpił wybuch bomby (a według Nowaczyka miał on nastąpić w kokpicie) wyglądają inaczej. Kilkanaście lat temu został zniszczony za pomocą bomby Boeing 747 Air India „Kanishka”. Czarne skrzynki wydobyto z dna Atlantyku. Nagranie z kabiny pilotów wyglądało tak: spokojna rozmowa pilotów i nagle, w pół słowa, całkowita cisza. Nagranie martwe, nawet bez szmerów. Dlaczego?

Przypomnijmy właściwości trotylu:

*Ciśnienie eksplozji: 22,3 GPa, czyli około 22.500 atmosfer technicznych (dwadzieścia dwa tysiące pięćset At)*

*Temperatura wytworzona na skutek eksplozji: 3300 stopni Celsjusza*

*Prędkość detonacji 6,9 km/s. (24 tysiące kilometrów na godzinę)*

Żaden mikrofon nie wytrzyma fali ciśnienia rzędu 20 tysięcy atmosfer, rozchodzącej się z prędkością 7 kilometrów na sekundę, o temperaturze 3300 stopni. Mikrofon jest urządzeniem bardzo delikatnym i przy eksplozji zostaje zniszczony w ułamku sekundy. Dlatego nagranie w czarnej skrzynce rejestruje tylko ciszę. Nawet nie rejestruje huku eksplozji, bo nie zdąży. Oczywiście ciśnienie i temperatura wybuchu w miarę odległości znacznie maleją, ale nie w odległości 2-3 metrów! Nawet jeśli te wartości w takiej odległości są mniejsze, to nadal są gigantyczne. Tymczasem na nagraniu słychać jeszcze (po rzekomym wybuchu, który według zespołu Macierewicza miał nastąpić 38 metrów nad brzozą, nad, nie za) wyraźnie wypowiedane słowa, trzaski i krzyk. Nawet gdyby jakimś cudem mikrofon przetrwał (co jest zupełnie nieprawdopodobne), to trudno sobie wyobrazić, by człowiek poddany ciśnieniu 20 tysięcy atmosfer i temperaturze większej niż w piecu hutniczym mógł cokolwiek powiedzieć, nawet krzyknąć.

Tak potężne ciśnienie wybuchu rozrywa na drobne odłamki wszystkie przedmioty znajdujące się w jego bezpośrednim sąsiedztwie. Te odłamki lecą z prędkością znacznie większą (ok. 20 razy), niż kule karabinowe i dziurawią wszystkie przeszkody na swej drodze.

Gdyby w samolocie nastąpił wybuch trotylu, to jego poszycie i skrzydła powinny być podziurawione jak sito. Tymczasem żaden fragment poszycia samolotu nie został podziurawiony odłamkami. Zachowały się nawet całe szyby, które pod wpływem wybuchu powinny rozlecieć się w drobny mak. Te szyby tłuły dopiero Rosjanie na ziemi.

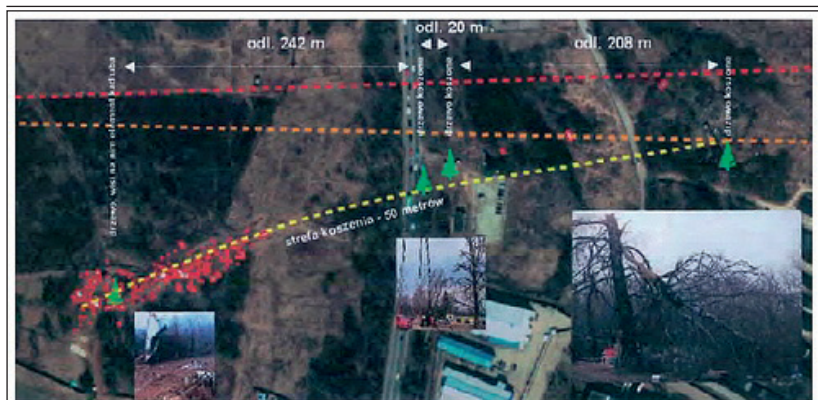
Na żadnych fragmentach wraku nie widać też śladów działania niezwykle wysokiej temperatury (przypominam: 3300 stopni).

Wybuch powinien rozrzucić szczątki samolotu koncentrycznie we wszystkie strony. Jeżeli wybuch nastąpiłby nad brzozą (jak twierdzi Binienda), to szczątki samolotu powinny leżeć we wszystkich kierunkach od tego punktu niemal kuliście. Powinny być zarówno przed brzozą, jak i za nią i w kierunkach prostopadłych. Prędkość początkowa odłamków nadana wybuchem byłaby wielokrotnie większa, we wszystkich kierunkach, od prędkości samolotu (260 km/h), jest więc niemożliwe, by wszystkie szczątki samolotu znajdowały się daleko w przód od brzozy (w wariancie wybuchu). Gdyby wybuch nastąpił 38 metrów nad brzożą (jak głosi Binienda), to szczątki samolotu powinny leżeć nie tylko do ok. 200 metrów za brzożą (w kierunku jego lotu), ale i ok. 200 metrów przed nią, a niektóre z nich znacznie dalej, nawet kilometr dalej. Tymczasem wszystkie szczątki samolotu znajdują się daleko za brzożą (kilkaset metrów) i to nieco w bok od kierunku lotu. Jest zupełnie niemożliwe, by odłamki samolotu rozerwanego wybuchem poleciały wszystkie w jedną stronę i po drodze jeszcze skręciły w lewo. I to wszystkie skręciły identycznie. Byłby to pierwszy w historii przypadek przedmiotu rozerwanego wybuchem, którego kawałki, zamiast rozlecieć się we wszystkie strony, lecą nadal zgodnie razem i w dodatku, jak na komendę zakręcają. Chyba jeszcze nikt nie wiedział odłamka, który zakręca.

## Popatrzmy na zdjęcia satelitarne



Jak widzimy, szczątki samolotu nie są rozrzucone kolistie, jak by było w wyniku wybuchu, lecz są rozciągnięte w długiej linii zgodnej z kierunkiem ruchu samolotu w momencie zderzenia z ziemią. Jeszcze lepiej widać to na kolejnym zdjęciu:



Linia pomarańczowa oznacza przedłużony kierunek lotu samolotu przed zderzeniem z drzewem. Linia żółta, tor lotu od zderzenia z drzewem do upadku na ziemię. Czerwone punkty to szczątki samolotu. Jest zupełnie nieprawdopodobne, by rozerwane wybuchem kawałki samolotu poleciały wszystkie daleko do przodu, blisko 500 m, a żaden nie poleciał w bok i do tyłu. W dodatku jest zupełnie nieprawdopodobne, by wszystkie odłamki poleciały nie w dotychczasowym kierunku lotu samolotu, tylko wszystkie zgodnie zakręciły o blisko 20 stopni. Zdjęcia wykonał amerykański satelita, więc Putin ich nie sfalszował.

Ale z tych zdjęć widać jeszcze jedno. Samolot uderzył w ziemię z prędkością 260 km/h i jego szczątki zostały rozciągnięte w przód na długości 165 m i w bok na szerokość 52 m, czyli po 26 m na boki od osi lotu. Jeśli prędkość 260 km/h dała długość 165 m, a prędkość poprzeczna rozpadu samolotu po 26 m, to łatwo ją obliczyć przez porównanie.  $260:165 = V:26 \Rightarrow V = 41$  km/h. Gdyby rozrzut poprzeczny następował wskutek wybuchu, prędkość odłamków wynosiłaby 41 km/h, co jest nonsensem. Wybaczenie państwo, ale pies szybciej biegnie niż fala wybuchu według Bieniendy, Szulabińskiego i Nowaczyka. Nawet fajerwerki sprzedawane dzieciom mają większą siłę eksplozji, niż rzekomy wybuch w teorii tych panów.

Wniosek jest prosty: **żadnego wybuchu nie było**. Samolot po urwaniu końcówki skrzydła zaczął zakręcać obracając się na grzbiet W CAŁOŚCI i rozrzut szczątków jest wyłącznie skutkiem uderzenia w ziemię. Wbrew twierdzeniom w/w panów rozrzut szczątków samolotu w żadnym stopniu nie jest charakterystyczny dla wybuchu. Wręcz przeciwnie: wszystko tej tezie przeczy.

Mają rację eksperci komisji Millera i prokuratury, że wybuchowi przeczą też dalsze fakty, jak brak popękanych bębneków w uszach ofiar, oraz brak zapisu skoku ciśnienia w rejestratorach. Ale jest

jeszcze coś – panowie Binienda, Szuladziński i Nowaczyk twierdzą, że w skutek wybuchu zostały wyrwane nity. To jakim cudem ocalały szyby w oknach samolotu? Przecież są znacznie słabsze od nitów. Nie trzeba być nawet znawcą wybuchów, by wiedzieć, że wszędzie, gdzie coś wybucha, szyby wylatują w pierwszej kolejności. Oczywiście szyby w samolocie są mocniejsze, niż w zwykłych oknach, ale bez przesady. Pancerne nie są.

Wiarygodność teorii zespołu Macierewicza podważa także ich niezwykła zmienność. Najpierw była „sztuczna mgła”, później „bomba próżniowa”, „magnes”, który przyciągnął „samolot z żelaza”, „rozpylony hel”, „rozciągnięty grafen”... Słyszeliśmy też, że Tu-154M to „samolot z żelaza, przerobiony bombowiec i powinien wytrzymać upadek z 80 metrów”. Kompletna nieprawda, samolot nie jest „z żelaza” (jest głównie z lekkich stopów aluminium i tytanu, kompozytów i tylko niektóre elementy są ze stali), nigdy nie był bombowcem (bombowce mają zupełnie inną budowę) i nawet najmocniejszy bombowiec nie wytrzyma upadku z 80 metrów.

Pominę już dyskusję kolejnymi bzdurami (samoloty przelatujące „w całości” przez budynki WTC, brzoza o średnicy pół metra jako „miękki patyk” itp.). Ci ludzie będą wymyślać kolejne brednie w nieskończoność.

**Jedyną nieskończoną wartością w przyrodzie jest głupota.**

**P.S. Ostatnio (2016 r.) minister Antoni odkrył koło Szczecina „broń elektromagnetyczną”. Jako patron obłąkanych ogłosił, że służby sprawę znają i badają. Podobno w okolicach Szczecina pojawili się wyznawcy ministra chodzący w czapeczkach z folii aluminiowej. Proponują im inne nakrycia głowy, działające podobnie: durszlak, blaszany lejek do benzyny... Ale czemu się dziwić, skoro już ogłoszono, że żarówki na pasie startowym wymieniono z żarówek „na światło” na żarówki „na ciemno”, podpalano samolot helem, który jest gazem szlachetnym i się nie pali, przyciągano samolot magnesem, wykryto ciśnienie mniejsze od zera...**



# Trzeba założyć KOD

## 18 listopada 2015

*Tekst, który przypominam poniżej, jest jednym z najważniejszych artykułów mojego życia, a napisałem ich kilka tysięcy na przestrzeni ok. 40 lat. Ten artykuł, opublikowany na stronie Studia Opinii, był iskrą zapalnika do powstania największej organizacji obywatelskiego oporu od czasów „Solidarności”: Komitetu Obrony Demokracji. A oto ten źródłowy tekst:*

**Gdy czytam komentarze na pod artykułami na Studiu Opinii, widzę że często pojawia się pytanie, co robić, wobec jawnych prób demontażu demokracji dokonywanych przez PiS. Nie będę ich wymieniał, wszyscy wiedzą.**

Mój pomysł jest następujący: trzeba założyć Komitet Obrony Demokracji działający na podobnych zasadach do tych, na jakich niegdyś działał KOR (Komitet Obrony Robotników powstały w 1976 roku). We wzorowaniu się na KOR nie ma nic złego, mimo iż niektórzy jego członkowie i współpracownicy (Macierewicz, Kaczyński...) przeszli później na ciemną stronę mocy. Przecież nie chodzi o te same osoby, lecz o metodę działania, która okazała się skuteczna.

A więc, trzeba zebrać grupę ludzi, dobrze by byli wśród nich ludzie o uznanym autorytecie, którzy byli by członkami KOD. Członkami, tak jak było w KOR, to znaczy występujący jawnie pod imieniem

i nazwiskiem, podpisujący się pod dokumentami, występującymi publicznie. Druga grupa to współpracownicy, ludzie formalnie nie zrzeszeni, ale pomagający, zajmujący się zbieraniem informacji (legalnym, żadnego wykradania, szpiegowania, podsłuchiwania itp), kolportażem materiałów, pozyskiwaniem środków. Ci ludzie celowo nie powinni być zrzeszeni w formalnej strukturze, bez jakiegś podległości, kierownictwa, wydawania poleceń.

Dlaczego tak? Dlatego, że w przypadku członków jawnych bardzo trudno ich oskarżyć (nawet komuna miała z tym kłopot), bo o co? O obronę demokracji? Niepolitycznie. O spiskowanie? Też nie bardzo, bo przecież działają jawnie. Cała siła KOR-u polegała na tym, że działała w dużym stopniu w ramach konstytucyjnego prawa. Działał w obronie pewnych podstawowych wartości, a nie przeciw państwu w ogóle. KOR nie deklarował nigdy obalenia ustroju, nie wzywał do przemocy, nie deklarował wrogości do władzy, tylko patrzył władzy na ręce i punktował jej naruszenia praw obywatelskich. Tak powinno być i teraz. Organizacja, która by nie uznawała wyniku wyborów, bardzo szybko by upadła. KOD powinien być, dokąd tylko się da, jawnie zarejestrowanym stowarzyszeniem. Nie powinien się wiązać z żadną konkretną partią polityczną.

A teraz dlaczego współpracownicy nie powinni być formalnie zrzeszeni i zorganizowani w hierarchiczną strukturę. Dlatego, że przy dzisiejszych możliwościach i technikach operacyjnych, taka struktura nie przetrwa trzech dni. Ale żadne „służby” nie poradzą sobie ze środowiskiem jak mgła, opartym na więziach towarzyskich, koleżeńskich. Ze środowiskiem ludzi, którzy podejmują działania na zasadzie spontanicznego pomysłu i skrzyknięcia paru kolegów do jego realizacji. Tu nikt nie dojdzie po nitce do kłębka, bo nie ma nitki i nie ma kłębka.

Dziś jest o tyle łatwiej (na razie), że nie trzeba tworzyć podziemia. Są gazety, w których można publikować, są legalne drukarnie, w których (jeszcze) można drukować, jest Internet, jest (jeszcze) możliwość organizowania spotkań i wykładów.

A co robić? To samo, co robił KOR. Pisać listy otwarte i zbierać pod nimi podpisy (można przez Internet), tworzyć raporty (takie jak nasz „Raport Gęgaczy”, żadna dyktatura nie lubi, gdy „spisane są czyny i rozmowy”), prowadzić dyskusje publiczne i wykłady, organizować pokojowe demonstracje. Organizować pomoc prawną i materialną dla ewentualnych poszkodowanych. Bardzo ważne jest pokazywanie społeczeństwu, jak bardzo jest okłamywane. Zresztą co ja będę Polakom tłumaczył takie rzeczy. Trzeba pokazać że „siła bezsilnych” istnieje.

I trzeba pamiętać, celem nie jest obalenie legalnie wybranych władz państwa, lecz obrona demokracji, praworządności, praw



człowieka, praw obywatelskich i prawdy. To ostatnie jest chyba nawet najważniejsze, bo już słyszemy o „polityce historycznej”, „polityce karnej” itp. Co gorsza, o ile komuna miała „ekonomię polityczną”, to to towarzystwo ma już nawet „fizykę polityczną” i „chemię polityczną”.

I proszę szanownego towarzystwa, nie oczekujcie, że ja to zrobię. Ja nawet nie mam fizycznych możliwości, bo raz: mieszkam za daleko od dużych miast; bo dwa: mam już tyle lat, co mam i nie te siły. To nie jest zadanie dla emerytów. A jeśli taka grupa ludzi sama, bez popychania palcem, nie umie się zebrać, to i nic nie zrobi.



Pierwsza demonstracja KOD w Warszawie, grudzień 2015 r. – Krzysztof Łoziński

**S (lipiec 2016).** Wypada dodać parę słów, o tym,. Skąd się ten artykuł wziął i co było dalej.

18 października rano rozmawiałem przez telefon z Piotrem Wachtanem. Rozmawialiśmy o tym, że rządzący od niedawna politycy PiS przystępują do demontażu demokracji, czego przejawem był rozpoczęty niemal natychmiast po wyborach atak na Trybunał Konstytucyjny. Było dla nas oczywiste, że celem tego ataku jest ubezwłasnowolnienie Trybunału po to, by nie mając większości konstytucyjnej, zmieniać ustrój państwa za pomocą zwykłych ustaw i w końcu zrealizować marzeni od lat Jarosława Kaczyńskiego – dyktaturę.

W tej rozmowie powiedziałem:

– Cholera, trzeba założyć KOD na wzór KOR-u.

A Piotr na to:

– Napisz to.

No i napisałem. Artykuł zamieścił w Studiu Opinii Bogdan Miś wieczorem 18 października 2015 roku. Jeszcze tego wieczora przeczytała to Danuta Kuroń i zadzwoniła do Mateusza Kijowskiego, mówiąc: „zrób z tym coś”. 19 października Mateusz zamieścił mój artykuł na facebook-u i założył grupę otwartą pod nazwą KOD. Jednocześnie Jarek Marciniak założył na facebook-u fun page KOD. Wszyscy trzej działaliśmy oddzielnie i nie znaliśmy się wcześniej.

20 października, gdy jeszcze nic nie wiedziałem o działaniach Mateusza i Jarka, poszedłem z żoną wieczorem na urodziny sąsiadki. A tu nagle telefon:

Mariusz Ziomecki z Polsatu: – Panie Krzysztofie, zapraszam pana do programu bo w tym KOD-zie już 3 tysiące ludzi...

– Zaraz, zaraz, ja nic nie wiem – mówię. Byłem kompletnie zaskoczony. Zresztą Ziomecki trochę się pomylił, było już dużo więcej.

Nie będę tu opowiadał całej historii KOD-u. Gdy zrobiliśmy pierwszą demonstrację uliczną w Warszawie, na początku grudnia, mieliśmy obawy, czy ludzie przyjdą, rozważaliśmy, co robić, jeśli nie przyjdą. Kontrdemonstrację zapowiedzieli narodowcy.

Przyjechałem do Warszawy. Wsiadam do metra na stacji Centrum i widzę, że jak na sobotę top jest spory tłok. Wsiadam na stacji Politechnika, by dojść pod Trybunał Konstytucyjny i już widzę rękę ludzi z flagami Polski i Unii Europejskiej, z wykonanymi domowymi sposobami transparentami. Tłum wypełnia całą Aleję Szucha i pobliskie uliczki. Jest coraz większy. Naprzeciw ok. 30 narodowców. Coś tam szumią, ale gdy pochód rusza wieją jak zające. Mało butów nie pogubili.

Na naszą demonstrację przyszło ponad 50 tysięcy ludzi. Następnego dnia swoją demonstrację urządził PiS. Też była duża, ale mniej liczna od naszej. Partia chamstwa i kłamstwa zareagowała w jedyny sposób, w jaki potrafi – kłamstwem i obelgami. Kaczyński naubliżał nam od komunistów i złodziei. Nakłamano przy okazji, że demonstrujemy za pieniądze Sorosa, że mamy płacone po 400 złotych za udział w demonstracjach.

Największa demonstracja KOD-u do tej pory, na początku maja, liczyła ok. 250 tysięcy uczestników.



Największa demonstracja KOD z udziałem partii opozycji parlamentarnej (PO, Nowoczesna, PSL) w Warszawie, 7 maja 2016. Na Placu Piłsudskiego zmieściła się tylko mniejsza część spośród ok. 250 tys. uczestników – fot. Krzysztof Łoziński

Tu mała dygresja. Podczas słynnej pierwszej wizyty Jana Pawła II, mieszkałem na ul. Miodowej, na przeciw pałacu prymasa, a pracowałem w Teatrze Wielkim, czyli obok dzisiejszego Placu Piłsudskiego (wówczas Placu Zwycięstwa). Widziałem więc z góry oba największe zgromadzenia tej wizyty. Podawano wówczas, że brało w nich udział milion, dwa miliony. Na podstawie tych obserwacji twierdzę, że były to zgromadzenia mniejsze, i to wyraźnie mniejsze, niż majowa demonstracja KOD. To oczywiście nic im nie ujmuje. To świadczy tylko o tym, jak bardzo Polacy wówczas tych zgromadzeń chcieli i w rezultacie przesadzali z oceną ich liczebności. Ani na Placu Zamkowym żadnym sposobem nie zmieści się milion ludzi, ani tym bardziej na Placu Piłsudskiego dwa miliony. Zresztą cała ludność Warszawy była wówczas mniejsza, niż dwa miliony.



Demonstracja w Warszawie z udziałem byłych prezydentów, Aleksandra Kwaśniewskiego i Bronisława Komorowskiego, 4 czerwca 2016 r. Ok. 55 tys. uczestników wypełnia cały Plac Konstytucji i ulicę Marszałkowską – od skrzyżowania z ulicą Światokrzyską

Gdy podczas naszej demonstracji Plac Piłsudskiego był już szczelnie wypełniony ludźmi, ludzie stali nawet w Ogrodzie Saskim, Koniec pochodu jeszcze nie ruszył spod Rady Ministrów w Alejach Ujazdowskich. Gdy na palcu już zakończyliśmy wiec, ten koniec demonstracji jeszcze półtorej godziny czekał, aż przez Plac Na Rozdrożu przejdą ludzie zgromadzeni od strony Alei Szucha. Gdy pierwsi demonstranci już się rozeszli, jeszcze przez blisko trzy godziny strumień ludzi wchodził na plac od strony Krakowskiego Przedmieścia.

A zaczęło się od krótkiego artykułu na Studiu Opinii. Oczywiście ten artykuł niczego by nie sprawił, gdyby polskie społeczeństwo, przez 26 lat wolności nie nauczyło się wolności cenić.

# Noc długich nosów

## Styczeń, 2016

### Śmiejmy się, gdy nie jest do śmiechu

**Motto:**

*Prezesie, historia ci może wybaczy,  
ale u mnie masz przerąbane.*

Śmiech ma siłę rażenia wcale nie mniejszą, niż kłamstwo. Długie nosy to symbol kłamstwa, więc obśmiejmy tę „noc długich nosów”, która obecnie się dzieje. Wprawdzie protoplasta wielu lansowanych dziś koncepcji robił „noc długich noży”, a nie „długich nosów”, ale może dlatego, iż umiał posługiwać się nożem (i widelcem). Jego naśladowcom zostały już tylko długie nosy. Jak mawiał pewien klasyk: historia się powtarza, ale jako farsa.

Warto sobie przypomnieć parę starych a ciągle aktualnych anegdotek i trochę literackiej klasyki, co właśnie zamierzam zrobić.

Zacznijmy od długonosych obietnic wyborczych (np. dla każdego tatusia 500 zł na każde 200 browarów).

Za czasów Gierka krążyła taka anegdotka:

*Dwa tygodnie przed świętami władza ogłosiła, że każdy dostanie za darmo szynkę na święta. Tydzień przed świętami ogłoszono,*

*że może nie będzie to szynka, ale coś z wieprzowiny. Dwa dni przed świętami ogłoszono, że tej wieprzowiny nie dostanie każdy, a tylko ci, co się upomną, dostaną po ryju.*



Reformy – potocznie: majtki damskie, wełniane reformy (za „Słownikiem Języka Polskiego PWN”)

Władza wówczas też ogłosiła przywileje dla emerytów: mogą przechodzić na czerwonym świetle i kąpać się w miejscach niedozwolonych. Ustanowiono też dla nich hasło na pochody poparcia dla reform emerytalnych władzy: „popierajmy partię czynem, umierajmy przed terminem”.

Oczywiście wszystkie analogie są zupełnie przypadkowe...

W okresie stanu wojennego pojawił się na murach Warszawy ciekawy napis, zgrabnie unikający wulgaryzmu: „Junta juje”. **Oczywiście wszelkie analogie są przypadkowe.**

A teraz przejdźmy do literackiej klasyki. Popularny ostatnio stał się Orwell, ale ja proponuję autora z kręgów cywilizacyjnych bliższych sułtanowi Sulejmanowi Karłowatemu, ze wschodu.

Był taki rosyjski pisarz Michaił Sałtykow Szczedrin, który w 1869 roku opublikował książkę „Dzieje pewnego miasta”. Miasto nazywało

się Głupów, a jego mieszkańcami byli Głupowianie. **Oczywiście wszelkie analogie są przypadkowe.**

Głupowianie ubolewali nad tym, że w Głupowie nie było władzy. Chodzili po różnych kniaziach i prosili o nadanie miastu władzy. Większość kniaziów mówiła roztropnie: „a na cholerę wam władza?”. W końcu pewien kniaz ustanowił w Głupowie władzę – horodniczego. I wszystko co się działo dalej było tego konsekwencją... **Oczywiście wszelkie analogie są przypadkowe.**

Pierwszy horodniczy (który wcale nie miał na imię Antoni) wprowadził w pole wojsko. Ale wieczorem zrobiło się zimno i w polu pokazały się wilki, a wojsko, poza wyjściem w pole, nie wiedziało co robić. Wówczas horodniczy wydał historyczny rozkaz: „dygotać!”. **Oczywiście wszelkie analogie są przypadkowe.**

Nastał później horodniczy, który robił porządek. Tam, gdzie wcześniej szumiały łany pszenicy, teraz był porządek! Na skutek porządku w mieście pojawił się głód. Głupowianie wszczęli bunt, a horodniczy zrozumiał, że coś tu musi nadejść: albo zboże, albo garnizon.

Goniec na koniu pognął do Petersburga, a Głupowianie wychodzili na drogę i patrzyli. Pewnego dnia na horyzoncie ukazał się tuman kurzu. „Zboże jedzie, zboże!” zakrzyknęli Głupowianie, a z tuma- na kurzu dobiegł głos wojskowej trąbki. To szedł garnizon.

Tak więc nie cieszcie się Głupowianie, gdy nadciąga tuman (**oczywiście wszelkie analogie są przypadkowe**).

Był też horodniczy Pozytywka. Miał w głowie pozytywkę. Codziennie wychodził na balkon swego pałacu i mówił: „psiakrew, nie ścierpię!”. Lud wiedział, że władza jest mocna i panował spokój. Ale pozytywka zaczęła się psuć. Horodniczy coraz rzadziej wychodził na balkon i Głupowianie wszczęli bunt. Pozytywkę wysłano do naprawy do Petersburga, horodniczy znów wyszedł na balkon, wydał ukaz „o naprawie władztwa” i powiedział „psiakrew, nie ścierpię!”. Znów zapanował ład i porządek. W końcu do tego prowadzi „ustawa naprawcza”. **Oczywiście wszelkie analogie są przypadkowe.**

A na końcu był horodniczy Benewoleński, który ułożył „Ustawę o właściwej rządcom miasta dobrotliwości”.

Zacytuję ważniejsze jej zapisy:

- \* niech każdy rządcą miasta będzie dobrotliwy;
- \* skazywać, rujnować czy też w inny sposób niszczyć mieszkańców należy rozwaźnie, ażeby od takiego rujnowania nie zmniejszył się Imperium Rosyjskiego awantaż;
- \* obywatela przechodzącego mimo od razu za kołnierz chwycić i do kozy wsadzać nie należy;

- \* prawa należy wydawać dobre, naturze ludzkiej odpowiadające. Praw zaś sprzecznych z naturą, a zwłaszcza niejasnych i niewygodnych do wypełnienia do wiadomości publiki nie podawać;
- \* w czasie wystąpień publicznych i przemówień zachować na mordzie łagodny uśmiech, by nie budzić przerażenia;
- \* oświatę wprowadzać łagodnie, w miarę możliwości unikając rozlewu krwi;
- \* co do reszty postępować wedle uznania.

Już nie w tej książce, ale w jednym z opowiadań, prześmiewca Szczedrin podał zalecenie dla czynowników: „w nastroje władztwa wpatrywać się uważnie, zaś podszeptom zdrowego rozsądku ulegać w umiarkowanym zakresie”. **Oczywiście wszelkie analogie są przypadkowe.**

I na koniec jeszcze cytuję z innego klasyka, z powieści Piotra Wojciechowskiego „Czaszka w czaszce”. Rozmowa dwóch Kozaków:

– I co teraz będzie – pyta młody Kozak starego.

– To co zawsze, wiosną zazieleni się step i przyjdzie nowa władza po nowej trawie.

I tym to sposobem, wszystkim przyjaciółom na Nowy Rok, nowej władzy po nowej trawie życzę.



## Duża lekcja do odrobienia Czerwiec, 2016



Podczas pikiety KOD demonstruję opaski strajkowe, z sierpnia 1980 i stanu wojennego

**W swoich publikacjach wielokrotnie zastanawiałem się (i nie tylko ja), skąd się wzięło zwycięstwo wyborcze PiS-u i mniejszy, ale jednak, sukces drugiej partii populistycznej, Kukiz-15. Nasuwają się proste odpowiedzi:**

## **z nieudolności i wręcz lenistwa PO, z uśpienia społeczeństwa obywatelskiego...**

Kolejna odpowiedź, którą obszernie omawiamy z Piotrem Rachatanem w „*Raporcie Gęgaczy – o kłamstwach, manipulacjach i prawdziwych zamiarach środowiska PiS*”, jest też w gruncie rzeczy prosta: **propagandystom PiS udało się okłamać na wielką skalę sporą część społeczeństwa** w sferze faktów gospodarczych, społecznych i politycznych. A więc: „Polska jest „w ruinie”, „nie mamy przemysłu”, „Niemcy wykupują polską ziemię”, „bieda jest coraz większa” itp. Są to rzeczywiście kłamstwa i rzeczywiście społeczeństwu te kłamstwa wmówiono. Prawdą jest też, że druga strona nie zrobiła nic, by wmwawianie tych kłamstw uniemożliwić.

Ale to wszystko jest diagnoza zbyt prosta, zbyt powierzchowna. PiS nie wziął się znikąd. Jest wytworem społeczeństwa, w którym żyjemy i dlatego warto zastanowić się nad stanem świadomości i emocji tego społeczeństwa.

Moim zdaniem, mamy przed sobą do odrobienia dużą lekcję, by odwrócić w powszechnej świadomości wiele bardzo złych emocji i kompletnie fałszywych pojęć w kwestiach podstawowych. Wiele z nich odziedziczyliśmy po czasach komuny i nic nie zrobiono, by je wyprostować, a w ostatnich latach te fałszywe poglądy i złe emocje zostały dodatkowo wzmocnione i cynicznie wykorzystane. Nie wiem, czy potrafię wymienić wszystkie takie zjawiska, bo to chyba temat do poważnych badań socjologicznych, ale spróbuję omówić choć parę przykładów.

Problem jest ważny, bo nawet jeśli PiS straci władzę, to podatność społeczeństwa na demagogię, na populizm, kultura zawiści, patriotyzm absurdalny, głębokie podziały i inne złe zjawiska będą istnieć nadal i, chcemy czy nie, będziemy musieli się z nimi zmierzyć.

### **Kultura zawiści – „zarabianie jest złe”**

Jawnie i świadomie mało kto tak twierdzi, ale pośrednio uważa tak bardzo wielu. Mamy dwie osoby: Jasia i Anię. Jasio „ciężko pracuje” i zarabia mało. Ania wykonuje pracę biurową i zarabia dużo. W racjonalnym świecie należy uznać, że złe jest to, iż Jasio „ciężko pracując” zarabia mało. Ale zastanówmy się krytycznie nad tym, jak myśli wielu naszych rodaków. Najczęściej negatywne emocje, wręcz protesty, budzi to, że ktoś zarabia dużo. To Ania jest zła. Powszechne oburzenie wywołują informacje o tym, iż ktoś dostał wysoką premię lub odprawę. Co gorsza, oburzenie wielu osób spowodowała na przykład informacja o tym, ile Tomasz Lis zarobił na swojej książce. Nikogo nie obchodzi, że książkę pisze się wiele miesięcy, że trzeba do tego nabyć

sporą wiedzę, że przecież to jest wynagrodzenie za wykonaną pracę. Nie szkodzi, Tomasz Lis, jak ta Ania, jest zły bo zarobił dużo i nikt nie myśli, czy słusznie, czy zasłużył. Sam fakt wysokich zarobków jest godny potępienia.

Propaganda komunistyczna utrzymała mit człowieka lepiej usytuowanego, jako „wyzyskiwacza”. Ten mit starannie hodowali zarówno prawicowi, jak i lewicowi, populiści. Pamiętamy nagonki na menadżerów z najwyższej półki, od których wręcz oczekiwano, by zrzekali się wysokich honorariów, bo „nie wypada” by ktoś zarabiał kilkadziesiąt, lub więcej, tysięcy. Skutek: Polska pozbywa się najlepszych fachowców na rzecz szarlatanów lub miernot, które podejmą się bez oporów kierowania wielkim projektem, mimo iż się na tym nie znają. Skutki wiadome. Rządzący wszystkich opcji realnie, nie mówię o obietnicach bez pokrycia, mało robią by poprawić status najbiedniejszych, za to ochoczo i z poklaskiem tłumu, uchwalają „ustawę kominową”, by zaszkodzić najlepiej sytuowanym. A tłum, się cieszy, choć „zwykłym ludziom” takie rozwiązanie nic nie daje, w niczym im życia nie poprawia. Co sprawia tę radość? Dokopanie „tym lepszym”.

Jednocześnie budowano etos „prostego człowieka”. To przy okazji część innego zagadnienia, o którym później. „Prosty człowiek”, jako postać pozytywna, powinien być biedny i żyć skromnie. Jeśli mieszka na wsi, powinien być rolnikiem, najlepiej małorolnym. Gdy w pobliżu wsi, w której mieszkam, powstała farma przemysłowa na 4,5 tysiąca świń, miejscowi aktywiści PiS natychmiast ogłosili zamiar jej „zwalczenia”. W samorządowej kampanii wyborczej głosili, że będą wspierać małe gospodarstwa, i są przeciwni farmom przemysłowym. Ktoś dwukrotnie próbował ową farmę podpalić. Słysząc było opinie: „no bo na co komu 4,5 tysiąca świń?”. W mentalności tych ludzi, „prawdziwy Polak” powinien być biedny, oczywiście ich samych to nie dotyczy. Takie poglądy głoszą często ludzie, którzy wcale biedni nie są. Biedni mają być inni, bo to przecież nie chodzi o to, bym ja miał, tylko o to, by inni nie miał.

Gdy chce się kogoś zdyskredytować, to najlepiej jest ogłosić, że dużo zarabia i to do wielu ludzi trafia. A więc „pokaż lekarzu, co masz w garażu”, „ten to się dorobił”, „taka pielęgniarka to zawsze sobie dorobi na boku”... Gdy po zaledwie miesiącu istnienia KOD-u pojechałem do lekarza do Elku ze znaczkiem KOD w klapie, usłyszałem, że pan doktor „nie lubi KOD-owców”. A dlaczego? „Bo ten Kijowski to, zobacz pan, jaką ma drogą kurtkę!”. Spytałem: – no to co? „Panie, jak go stać na taką kurtkę, to źle nie ma”. A mentalności pana doktora, jak „źle nie ma”, to złym człowiekiem jest.

Dla mnie takie argumenty są absurdalne. Tak absurdalne, że aż trudno uwierzyć, ale – niestety – bardzo wielu naszych rodaków takimi kategoriami myśli. Tymczasem dążenie do tego, by jak najwięcej zarabiać, jest jednym z głównych motorów gospodarki. Ludzie pracują po to, aby zarabiać, kształcą się po to, by zarabiać więcej. Dobrobyt bierze się z pracy. A w naszym kraju, człowiek, który doszedł dzięki pracy i wykształceniu do lepszego statusu, przez wielu traktowany jest jako podejrzany. „Z uczciwej pracy to on takiej bryki nie kupił” – mówi mi właściciel warsztatu samochodowego, jeden z najbogatszych ludzi w gminie, zwolennik PiS (zresztą właściciel znacznie lepszej „bryki”).

Zwróćmy uwagę, jakimi argumentami, czy też obelgami i pomówieniami, propaganda PiS zareagowała na powstanie KOD. A więc „złodzieje”, „w futrach z nerek”, „dostali kasę od Sorosa”, „oderwani od koryta”. To są wszystko odwołania do kultury zawiści, do złych emocji. Nie ma argumentów, jest: patrzcie, są bogatsi od was. Jak minister Radziwiłł zareagował na strajk pielęgniarek? Nakłamał, że zarabiają od 5 do 9 tysięcy.

Ta gra na najniższych instynktach objawia się nawet w programie gospodarczym PiS. Skąd się bierze wrogość do sklepów wielkopowierzchniowych? Przecież zwalczanie w jakiegokolwiek branży najlepiej prosperujących przedsiębiorstw, by chronić te, które prosperują najgorzej, jest ekonomicznym absurdem.

Ale tu nie o oto chodzi. To jest stare bolszewickie hasło „grab zagrabione”. Bo przecież jeśli jakaś firma osiągnęła rynkowy sukces, to na pewno nieuczciwie. To znów to samo, jak ktoś ma, to musi być złodziej. Zły jest już tylko z tytułu odniesionego sukcesu. To jest nieświadome przedłużenie kultury zawiści i oczywiście cyniczna gra na najniższych instynktach. I aby nie było, że taka mentalność dotyczy tylko PiS-u. Moja znajoma, całkiem fajna dziewczyna, feministka, wegetarianka, całkiem nie PiS-owska, nie kupuje jogurtów Danon, „bo to koncern”. Myśli dokładnie tą samą kulturą zawiści i nawet o tym nie wie. Powszechne, nie tylko wśród elektoratu PiS, jest przekonanie, że supermarkety i banki nie płacą podatków, choć akurat te podmioty należą do grupy największych płatników podatków CIT i VAT. Oczywiście ludzie, którzy w to wierzą, nie sprawdzali, jak jest naprawdę, ale ochoczo uwierzyli w bajkę pasującą do ich kultury zawiści.

Nie będzie trwałej i bezpiecznej demokracji, dokąd nie pokona się kultura zawiści. Demokracja nie daje się pogodzić z podziałem społeczeństwa na klasy wrogości i z mentalnością „kto się wyróżnia, tego do parteru”.

### „Bij wykształciucha” i sztandar z głupoty

Bardzo niepokojący jest – bardzo powszechny w naszym społeczeństwie – brak szacunku do wiedzy i wykształcenia, a nawet chęć się brakiem wykształcenia. **Wszystkie autorytarne reżimy w pierwszej kolejności zwalczały inteligencję.** W hitlerowskich Niemczech inteligencja nazywana była „wrzodem na zdrowym ciele narodu”. W maoistowskich Chinach nosiła miano „dziewiątej śmierdzącej kategorii”. Nazista Hanns Johst mawiał: „gdy słyszę słowo kultura, sięgam po rewolwer”. Mao Zedong powiedział: „Cesarz Ts'in zakopał w ziemi żywcem 450 uczonych. My zakopaliśmy 45 tysięcy. Czyż nie jesteśmy sto razy lepsi?”

U nas oczywiście nie ta skala, przynajmniej na razie, ale niepokojące określenia już padały: „łże-elity”, „lumpeninteligenci”, „wykształciuchy”, „nieprawdziwy hrabia”... **Ćwok i prymityw zawsze nie lubił inteligenta, z prostego powodu: czuł się przy nim gorszy.** Teraz jednak dostał paliwo do nienawiści. Z góry płynie antyinteligencja retoryka, a jednocześnie pompowanie miernoty, a nawet żuła, ideologią. A więc miernota, czy nawet menel, nie jest już tym, czym był dotychczas: osobnikiem lekceważonym, niedocenionym. Jest już „patriotą”, jest już „kims”. Żuł jest już „narodowcem”, ma wytatowaną kotwicę Polski Walczącej (z którą nie ma nic wspólnego), na koszulce orła w koronie (albo jakiś faszystowski symbol, co mu tam, on sprzeczności nie widzi) i słyszy obietnice, że będzie „obroną terytorialną”, dostanie broń, będzie bił Żyda i „wykształciucha”. No bo przecież ten „wykształciuch” ma „SB-czką emeryturę”, został „oderwany od koryta” i utracił „przywileje”.

To nie żarty, dorobiliśmy się „patriotów”, którzy w „patriotycznym” zapale gotowi są bić najbardziej zasłużonych dla Polski ludzi, całą elitę intelektualną, bo wmówiono im skutecznie, że to „komuniści i złodzieje”.

Podobnie jak wszystkie autorytarne reżimy, polska skrajna prawica od lat zwalcza wszelkie autorytety i ludzi wykształconych. **Symborska to „komunistka”, Brzeziński – „fałszywy profesor”, Kuroń, Mazowiecki, Bartoszewski to „Żydzi” (nie ma znaczenia, że to nieprawda), Miłosz „komunista”, Wałęsa – „Bolek”, Kijowski to „alimenciarz” i tak można dalej. Do tego przykład płynący z góry: skoro poseł Suski (z zawodu fryzjer), minister Ziobro (z trudem magister), Beata Szydło (magister etnografii) i inni podobni, mogą poniżać i bezkarnie obrażać profesorów prawa, dyrektorów teatrów, aktorów, literatów, to dlaczego ma tego samego nie robić Ziutek Kapusta (menel, o przepraszam! „narodowiec”).**

Ale jest jeszcze znacznie starsze zjawisko, które nazywam sztandarem z głupoty. Jest to dosyć rozpowszechniona kokieteria brakiem wiedzy lub wykształcenia. Nasi rodacy potrafią bez żenady oświadczyć: „ja to matematyki nigdy się nie mogłem nauczyć”, albo: „na maturze dostałem ściągę”. W kręgach wykształconych ludzi Zachodu taki tekst budzi zakłopotanie, żenadę. Jest czymś niestosownym, bo nieuctwo i głupota, w ich pojęciu, to cechy wstydliwe. Tymczasem nasi rodacy mają całą gamę usprawiedliwień dla nieuctwa. Wśród ludzi z mojego pokolenia nader często słyszymy, że nie mogli poznać świata, nauczyć się języków, nawet obsługi komputera, „bo żyli w PRL”. Przepraszam, a gdzie ja żyłem? Na Marsie? To nieprawda, że z PRL nie można było wyjechać. Gierek dawał paszporty niemal wszystkim. Nawet za Jaruzelskiego nie było z tym większego kłopotu. A nawet jeśli, to od tamtej pory minęło 27 lat. Wam się, proszę państwa, zwyczajnie nie chciało. A co ma komputer i internet do PRL? Przecież pierwsze komputery osobiste oraz internet, zaczęły się pojawiać w powszechnym użyciu dopiero pod koniec lat 80. Od tamtej pory było 30 lat czasu na to, żeby się tego nauczyć.

Jest mi wstyd, gdy w zagranicznej telewizji śmieją się, że prezes rządzącej partii nie ma konta w banku, prawa jazdy, nie umie pisać na klawiaturze i nawet telewizję ogląda na kanale, który „ktoś mu nastawił” i tam leci francuska prognoza pogody. Ale jest mi także wstyd, gdy moja żona w egipskim hotelu wymieniana jest przez obsługę, jako „Polska która mówi po angielsku” (bo reszta towarzystwa nie mówi), albo gdy polska turystka na pytanie: „Where are you from?”, odpowiada: „Mariola”! Wstyd mi, gdy polski polityk nie mówi ani słowa po angielsku, podczas gdy już nawet w Afryce nie dostałby z tego powodu posady kelnera. Nie chodzi o to, by mówić biegle, jak anglista. Ale żeby nic?

Zobaczmy, co w ostatnich latach stało się z polską szkołą. Na 3 lekcje religii przypada jedna lekcja fizyki, chemii, geografii, historii. Szkolne korytarze (może nie wszędzie, ale w wielu szkołach) zavalone są wydawnictwami Frondy, jakimiś broszurami o szatanach, egzorcyzmach i innych bzdurach. Czemu się dziwić, że tylu ludzi, także młodych, kupuje brednie o sztucznej mgle, podpalaniu samolotu helem itp. Skąd oni mają wiedzieć, co to jest punkt rosy i że hel jest gazem niepalnym? Wchodzę do kościoła w Elku, a tam w przedsionku plakat o kontroli rodzicielskiej internetu straszący tekstem: „wirusy, robaki, obcy!”, a wokół tego tekstu rysunki jakiś maskaronów. Ale cała szkoła parami idzie na mszę za „żołnierzy wyklętych”.

W większości polskich szkół zlikwidowano pracownie. Dzieci uczą się fizyki, chemii, biologii nie widząc zjawisk. To jak nauka pływania na sucho, bez wody. Obniżenie poziomu nauczania matematyki

i przedmiotów przyrodniczych rzutuje na całe rozumienie świata, także gospodarki i polityki. Młodzież staje się bardziej podatna na teorie spiskowe i różne bzdury, jak „bomba mezonowa” w Dubnej robiona przez GRU na oczach młodego Petru, czy modna ostatnio „broń elektromagnetyczna”. Zajął mi trochę czasu, by dowiedzieć się o co chodzi z tą „bronią”. Ponoć wrogie siły „wysyłają na kogoś promienie elektromagnetyczne” i za ich pomocą mieszają mu w głowie wszczepiając obce poglądy. Mój rozmówca nie wiedział nawet, że „promienie elektromagnetyczne” to po prostu światło, promieniowanie cieplne, radiowe, rentgenowskie... Skąd miał wiedzieć? Z broszurek Frondy?

### **Patriotyzm absurdalny**

Całe dorosłe życie, począwszy od 1968 roku, poświęciłem walce o wolną i demokratyczną Polskę. Działalem w marcu 1968, współpracowałem z KOR-em, uczestniczyłem w strajkach sierpnia 1980, w Solidarności, w podziemiu Solidarności. Siedziałem w więzieniu, sąd w wolnej Polsce podczas sprawy odszkodowawczej doliczył się w moim życiu 110 takich incydentów jak zatrzymania, przeszukania i inne. No i co? Podczas demonstracji KOD w Olsztynie dowiedziałem się od narodowca, że mam „SB-cką emeryturę”, „straciłem koryto” i „dostałem kasę od Żyda Sorosa”. Innym razem, od członka partii rządzącej dowiedziałem się, że on by „tych wszystkich z marca 68 rozstrzelał”. Dlaczego? „Bo to byli komuniści”, co usłyszał w telewizji od Macierewicza (komuniści dla odmiany twierdzili, że to „syjoniści”). Nawiasem mówiąc, w marcu 1968 Macierewicz podpisał się pod listem otwartym do Sejmu, pod którym podpis od niego zebrałem na dziedzińcu UW akurat ja. Mam kopię tego listu z podpisem Macierewicza do dziś.

Oto on:

		<u>XXXVI</u>
Do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej		
My, młodzież studiująca Warszawy, protestujemy przeciwko decyzji		
zakazującej wystawiania w Teatrze Narodowym w Warszawie dramatu		
Adama Mickiewicza "Dziady".		
Protestujemy przeciwko odcinaniu się od postępowych tradycji na-		
rodu polskiego.		
1	Krzysztof Łoziński	Marciniak 26
2	Andrzej Fordak	H. Wisniewski 27
3	Janek Jaglaron	W. H. 28
4	Zygmunt Brzus	M. W. 29
5	Andrzej Soltan	R. K. 30
6	Andrzej Soltan	Z. Bukowski 31
7	Witold T. Kranej	32
8	T. Kąjawa	33
9	Liber	34
10	Witold T. Kranej	35
11	Andrzej Soltan	S. Z. 36
12	B. K.	P. S. 37
13	P. K.	A. B. 38
14	Janusz Kijowski	S. Z. 39
15	H. Creley	W. B. 40
16	Kawonowski M	Antoni Macierewicz 41
17	D. W.	M. K. 42
18	B. W.	J. G. 43
19	S. W.	
20	J. W.	
21	Zygmunt Stępiński	
22	Janusz Kijowski	
23	Janusz Kijowski	
24	J. K.	
25	J. K.	

List otwarty do Sejmu PRL z 1968 roku podpisany przeze mnie (na miejscu 1 zawsze podpisywali się jako pierwsi zbierający podpisy, by nie dawać innym do podpisu pustej kartki) a na miejscu 41 przez Antoniego Macierewicza. Dziś Macierewicz twierdzi, że działacze Marca 68 to byli komuniści. Na miejscu 23 podpisany Janusz Kijowski, stryj Mateusza Kijowskiego

Nie chodzi mi o to, by się żalić, chodzi o przykład, o zjawisko, bo wielu ludzi z mojego pokolenia, o podobnych życiorysach, zostało podobnie potraktowanych. Oto stoi przede mną wygolony na łyso młody osobnik, ze znakiem Polski Walczącej na kurtce i napisem „Miasto 44” i mówi to wszystko do człowieka, którego matka i ojciec w Powstaniu



1944 roku walczyli, z którego rodziny cztery osoby w tym powstaniu zginęły (siostra matki z mężem i dwoma synami), którego dziadek dowodził jedną z powstańczych formacji, a po wojnie spędził 9 lat w bierutowskim więzieniu za AK i Powstanie.

Pojawiła się w naszym kraju nowa ideologia: patriotyzm absurdalny. Ludzie, którzy z walką o wolną Polskę nie mają nic wspólnego, oskarżają niemal o zdradę, o komunizm, o SB, Targowicę. Oskarżają tych, dzięki którym mogą bezkarnie wygadywać takie bzdury. Mało tego, atakują nas zawłaszczając naszą historię i nasze symbole, głosząc przy tym ideologię skrajnej prawicy, która z tą historią i z tymi symbolami jest skrajnie sprzeczna. Ten młody człowiek nie wie, że to dzięki nam mówią mu na policji per „pan”, a nie przepuszczają przez „ścieżkę zdrowia” i dopiero po godzinie bicia i kopania pytają o nazwisko. Tego „patrioty” nikt nie bił. To jemu wmówiono, że jako „patriota” ma bić innych.

A przykład idzie z góry. Ci młodzi narodowcy sami tego nie wymyślili. Szef partii rządzącej, mówi o ludziach wywodzących się z Solidarności lat 80-81 i podziemia „komuniści i złodzieje”, a transmituje to telewizja. Szef dzisiejszej Solidarności (którego udziału w podziemiu jakoś nie pamiętam), PiS-owski harcownik, twierdzi, że nie mam prawa używać sztandaru Solidarności i opaski Solidarności, nawiasem mówiąc mojej prawdziwej opaski strajkowej z tamtego czasu. Bohaterem za to jest dla niego Prezes, który wówczas nie miał odwagi nawet się do Solidarności zapisać, a zza szafy u mamy wypełził dopiero po 6 latach od wprowadzenia stanu wojennego, gdy Solidarność działała już jawnie (choć jeszcze nielegalnie).

Tenże Prezes głosi w telewizji, że nawet nie powinienem mieć prawa używania polskiej flagi i polskiego godła. Mam taki mały proporczyk, który alpiniści zakładają na czekan i pozują z nim do zdjęć na zdobytych szczytach. Wiele razy miałem ten proporczyk nad głową na szczytach Himalajów, Hindukuszu i innych dużych gór, a teraz słyszę od faceta, który nie potrafi wejść na stołek bez pomocy innych, że nie mam prawa do polskiej flagi. Co ciekawe, ten sam prezes nie odmawia prawa do polskiej flagi facetom pozdrawiającym się gestem Heil Hitler, urządzającym marsze z pochodniami i palącym wozy transmisyjne telewizji. Widać oni są „patrioci”, ja nie. A czemu nie? Bo jakoś nie mogę sobie przypomnieć wzniosłych czynów bojowych prezesa. Rzekniesz, nie wiem co przez 6 lat robił u mamy za szafą.

### **Tutsi i Hutu**

Spółeczeństwo polskie jest dziś podzielone na dwa wrogie obozy, podzielone już nie poglądami, lecz nienawiścią. Niczym Tutsi i Hutu w Rwandzie. Pamiętamy, czym to się skończyło. Zwolennicy

PiS-u i zwolennicy KOD-u czytają inne gazety, oglądają inne stacje telewizyjne. W wiadomościach dla jednych i drugich są zupełnie inne treści. Nawet władze państwowe i samorządowe podają zupełnie inne informacje, w zależności od tego, kto w nich rządzi. Uczestnicy marszu KOD 4 czerwca zajmowali powierzchnię całego Placu Konstytucji i ulicy Marszałkowskiej aż do ronda przy Alejach Jerozolimskich (co widać na zdjęciu). Miasto mówi, że było 50 tysięcy, policja że 10.

Polacy nawet w stanie wojennym nie byli tak podzieleni. I co najgorsze, nie ma dyskusji, nie ma argumentów. Jest wrogość i obelgi. I ta wrogość jest ciągle podsycana, napuszczana z góry, przez rządzących. Niektóry tak się wczuli w misję szczucia nienawiścią, że rezygnują przy tym z elementarnej godności. Pan prezydent Andrzej Duda nie reaguje na antysemitckie obelgi wobec jego żony, jej ojca i krewnego (bo dostał nagrodę poetycką, której PiS nie lubi).

Ten podział, ta skumulowana nienawiść, jest zjawiskiem bardzo niebezpiecznym. To jest taka ukryta sprężyna agresji, która może w każdej chwili wystrzelić. I mam niestety wrażenie, że niektórzy chcą, by wystrzeliła.

To jest jeden największych problemów, przed jakim stoimy. Jeśli ta kumulacja agresji nie zostanie rozładowana, to prędzej, czy później, doprowadzi do bardzo złych rzeczy.

Uważam, że mimo wszystko trzeba podejmować próby rozmowy z ludźmi inaczej niż my myślącymi. Trzeba tłumaczyć, że nie jesteście, komunistami, złodziejami, nie straciliśmy „koryta”. Oczywiście łatwiej jest wzruszyć ramionami, lub pukać się w czoło, ale tym niczego się nie załatwia. Z tymi narodowcami w Olsztynie, o których tu pisałem, po manifestacji zaczęliśmy rozmawiać. Początkowo byli bardzo agresywni, ale później zaczęli mięknąć. Coś w tych chłopakach zaczęło świtać, że chyba nie jest tak, jak dotąd uważali, że w ich obrazie przeciwnika coś nie gra.

Mamy przed sobą wielką lekcję do odrobienia. Wielką pracę informacyjną, edukacyjną. Bez tego, sama zmiana obozu rządzącego na inny, niewiele załatwi (albo i nic), bo bez tej pracy za jakiś czas pojawi się kolejny polityk, albo i ten sam, z identycznym zestawem pomysłów i znowu zyska szeroki posłuch.

W swojej publicystyce od lat tłumaczę, że budowa demokracji i społeczeństwa obywatelskiego to proces na dziesięciolecia, albo i dłużej. I nigdy nie można uznać, że już jest cacy, już jest dobrze. Jak widzimy, nawet w krajach, w których demokracja trwa znacznie dłużej, pojawiają się polityczni niebezpieczni wariaci. To nie tylko polska specjalność.

**A na koniec...**



# Oświadczenie lustracyjne 2007

[Wiosną 2007 roku, rządzący PiS przeforsował ustawę lustracyjną, będącą w rzeczywistości próbą przywrócenia cenzury, pod pozorem lustracji. Przewidywała lustrację dziennikarzy i zobowiązywała redaktorów naczelnych do lustrowania pracowników ich redakcji]



**W związku z obowiązującą od 15 marca lustracją dziennikarzy, zamieszczam oświadczenie lustracyjne:**

Imię: Krzysztof

Drugie imię: brak

Nazwisko: Łoziński

Data urodzenia: 16 lipca 1 roku przed narodzinami Hegemona

Pochodzenie społeczne: łże-elita, lumpeninteligencja

Status: wykształciuch

Oświadczam, że nigdy nie współpracowałem z SB, PiS-em, LPR-em i Samoobroną, nie mam więc żadnej hańby na sumieniu.

Na usprawiedliwienie mam to, że mi nie proponowano.

Największym moim grzechem jest jednak to, że choć uczestniczyłem w antykomunistycznych knowaniach przez 21 lat, to żadnym cudem nie mogę sobie przypomnieć wzniosłych czynów bojowych Jarosława i Lecha Kaczyńskich. Pamiętam natomiast opacznie i niesłusznie, że byli oni tylko drugorzędnymi doradcami przywództwa „Solidarności”. Przyznaję więc, że powinienem zostać za to surowo i przykładowo ukarany.

Ponieważ, jako redaktor naczelny, nie mam zamiaru pouczać moich dziennikarzy o odpowiedzialności karnej, przesłuchiwać ich i odbierać oświadczeń (bo nie jestem SB-kiem), może być za mną wystawiony list gończy. Muszę jednak zasmucić ministra Ziobrę. W krajach cywilizacji europejskiej, w Ameryce Północnej, Australii i Japonii nie będzie on respektowany. Do pogoni za mną włączą się natomiast chętnie: Rosja, Białoruś, Chiny, Korea Północna, Wietnam, Kuba, Birma, Iran. Można też zapewne liczyć na współpracę Roberta Mugabe i Hugo Caveza.

Dla ułatwienia postępowania załączam 3 zdjęcia. Szczoteczkę do zębów i kaptcie mam już spakowane. Prawa i obowiązki więźnia znam z wcześniejszej praktyki. Do społeczności więziennej mogę wnieść znajomość takich piosenek jak: „Przyleciał do mnie na kraty biały gołąbek skrzydlaty” i „Już piąte lato siedzę w Toledo”.

Świadom odpowiedzialności karnej za fałszywe oświadczenie, podpisuję:

**Krzysztof Łoziński**

# Lista obelg 1968-2016

## **Motto:**

*Nie ma większego zaszczytu dla dziennikarza,  
niż wściekłość idiotów*  
(K.Ł.)

A oto lista obelg, którymi już mnie uraczono (niestety, bez chronologii):

1. Jajarz
2. Popeliniarz
3. Mistrz popeliny
4. Laureat Orderu Złotego Jaja
5. Pękła mu żyłka w pachwinie
6. Mitoman
7. Wszystkim był tylko po trochu
8. Oryginał
9. Byle instruktor samoobrony
10. „Mistrz wibrującej pięści”
11. Mięśniak
12. Przerost masy mięśniowej nad masą mózgową
13. Marcowy komandos

14. Rewizjonista
15. Chuligan
16. Element antysocjalistyczny
17. Pelzający kontrrewolucjonista
18. Anarchosyndykalista
19. Warchoł z Radomia i Ursusa
20. Kornik
21. Podczerwony
22. Kuroniada
23. Lewica laicka
24. Koncesjonowany opozycjonista
25. Pan z gazety koszernej
26. Zabójca nienarodzonych
27. Piewca cywilizacji śmierci
28. Satanista
29. Swawolnik
30. Wróg islamu
31. Antyislamski bluźnierca
32. Silny ośrodek antychiński
33. Podły spisek Michnika i Geremka
34. Dziennikarz spiskowiec należący do Unii Wolności
35. Wiadomy element
36. Macki CIA
37. Tuba CIA
38. Triada z Hong Kongu
39. Humanista końca XX wieku zrzeszony w komitetach obrony cze-  
goś
40. Ujadający kundelek
41. Święta krówka na łączce
42. Hiperliberał
43. Przekraczający granice przyzwoitości
44. Zwolennik łagodnego karania
45. Zwolennik rozpasanej wolności
46. Różowa hiena na robotniczych plecach
47. Deprawator
48. Element pro przestępczy
49. Demoliberalą koszerny
50. Pełna kompromitacja autora i wydawcy
51. Wróg Radia Maryja
52. Człowiek nie odróżniający prawdy od fikcji
53. Główna przeszkoda w stosunkach polsko-chińskich
54. Prokomunista



55. Frankensztain dziennikarstwa
56. Szwadron śmierci dla prawdy
57. Poplecznik morderców, gwałcicieli i bandytów
58. Pan, z którym miałem nieprzyjemność
59. Autor słów „mogę iść, ale będą jaja”
60. Powinien się o nim wypowiedzieć biegły psychiatra
61. Inny tatarnik nazwiskiem Krzysztof Łoza
62. Jego dorobek górski nie znalazł jeszcze uznania w oczach historyków tatarnictwa
63. Nie zostały jeszcze rozwiane wątpliwości (o zgrozo) co do prawdziwości niektórych elacji
64. Ma lekką paranoję
65. Łozowanie polega na zdejmowaniu przez TOPR
66. Wykiwał masę ludzi
67. Wstrząsy po Uchi Mata i O Soto Gari sprawiły, że mylą mu się punkty z centymetrami
68. Powinien spojrzeć krytycznie na swój dorobek
69. Człowiek o takiej osobowości, że raczej nie zechce zrozumieć
70. Pan, który ma lukę
71. Tytan dziennikarstwa szmatławego
72. Niech sobie Łoziński nie myśli
73. Laureat nagrody „Złamanego Ołówka” przyznanej przez Czerwony Kolektyw
74. Nieprawdziwy ekspert
75. W jego życiu miały miejsce liczne incydenty
76. Nie pisze po Wprostowemu
77. Łże-elita
78. Wykształciuch
79. Daje w ryj zniecka
80. Nieznany osiłek, chuligan i bandyta, który daje bez powodu piąchą w twarz, a później kopie, gdzie popadnie
81. Bruce Lee – złodziej dróg
82. Genetycznie nie patriotyczny
83. Niezłe nazwisko sobie wymyślił
84. Nie można go, jak innych, pomawiać, że jest Żydem, bo za dużo osób wie, że jest Tatarem
85. Ma rodziców w KPP
86. Członek układu, co poczoł się zagrożony (pisownia zgodna z oryginałem)
87. Trzeba się pochylić nad jego przeszłością
88. Sąd wziął pod uwagę arogancję oskarżonego i świadków
89. Front obrony przestępców

90. Pracuje w lewackich beznadziejnie redagowanych Kontratakach
91. Łoziński jest nikim
92. Robił karierę u Kiszczaka i Michnika
93. Człowiek Michnika
94. Kolega Świtonia
95. Byle nauczyciel z liceum zawodowego
96. Trzeba mówić, że to były SB-ek
97. Koło prawdziwego kung fu nawet nie przechodził
98. Przyłaził na forum Azji i Pacyfiku i swoimi wystąpieniami wzbudzał śmiech fachowców
99. Ciekawe, który ma Dan
100. Przerażony salon wyciągnął go z nikąd przeciw Biniendzie
101. Chce zdyskredytować wybitnego inżyniera
102. Nie powołany biegły
103. Poszedł do tej córki SB-ków Olejnik
104. Stosuje SB-ckie metody
105. Z pannami mu nie szło, więc brał się za mężatki
106. Błaznuje nie pierwszy raz
107. Jego głupota zostanie szybko zweryfikowana
108. Powołuje się na Newtona, a wiadomo, że Newton to żyd [pisownia „żyd” z małej litery zgodna z oryginałem]
109. Nie jest specjalistą, bo tylko skończył fizykę
110. Swoje rekordowe przejścia w rejonie Wołowego Grzbietu opublikował dopiero po 10 latach
111. Wygrywać procesy Łoziński sobie może
112. Marudzący matol
113. Wyciągnął go z niebytu prorządowy portal Onet
114. Pożyteczny idiota
115. Lepiej niech opisuje pasących kozy w Hindukuszu
116. Szkoda jego inteligenckiej głowy na politykę
117. Wrzucono mu temat
118. Wyrasta na „turonia”, co przypomina nazwisko kogo innego
119. Koń trojański Studia Opinii
120. Generalnie pisze głupoty
121. Nie wie jak się pisze Kadafi
122. Przykleił do sztandaru słomę z butów, którą się podtarł po kryjomu za stodołę, co budzi zakłopotanie
124. Szlachetka
125. Złodziej z Warszawy
126. Łapał kule karabinowe ręką
127. Komunista i złodziej

128. Zaprzędany człowiek gorszego sortu
129. Ma gen zdrady
130. Targowica
131. Element animalny, odzwierzęcy
132. Nie wiadomo kto go rekrutuje
133. Wykazuje niedouczenie
134. Zbija kasiorę na „Raporcie Gęgaczy”

A tak poza tym, to pies szczeka, a księżyc świeci...

